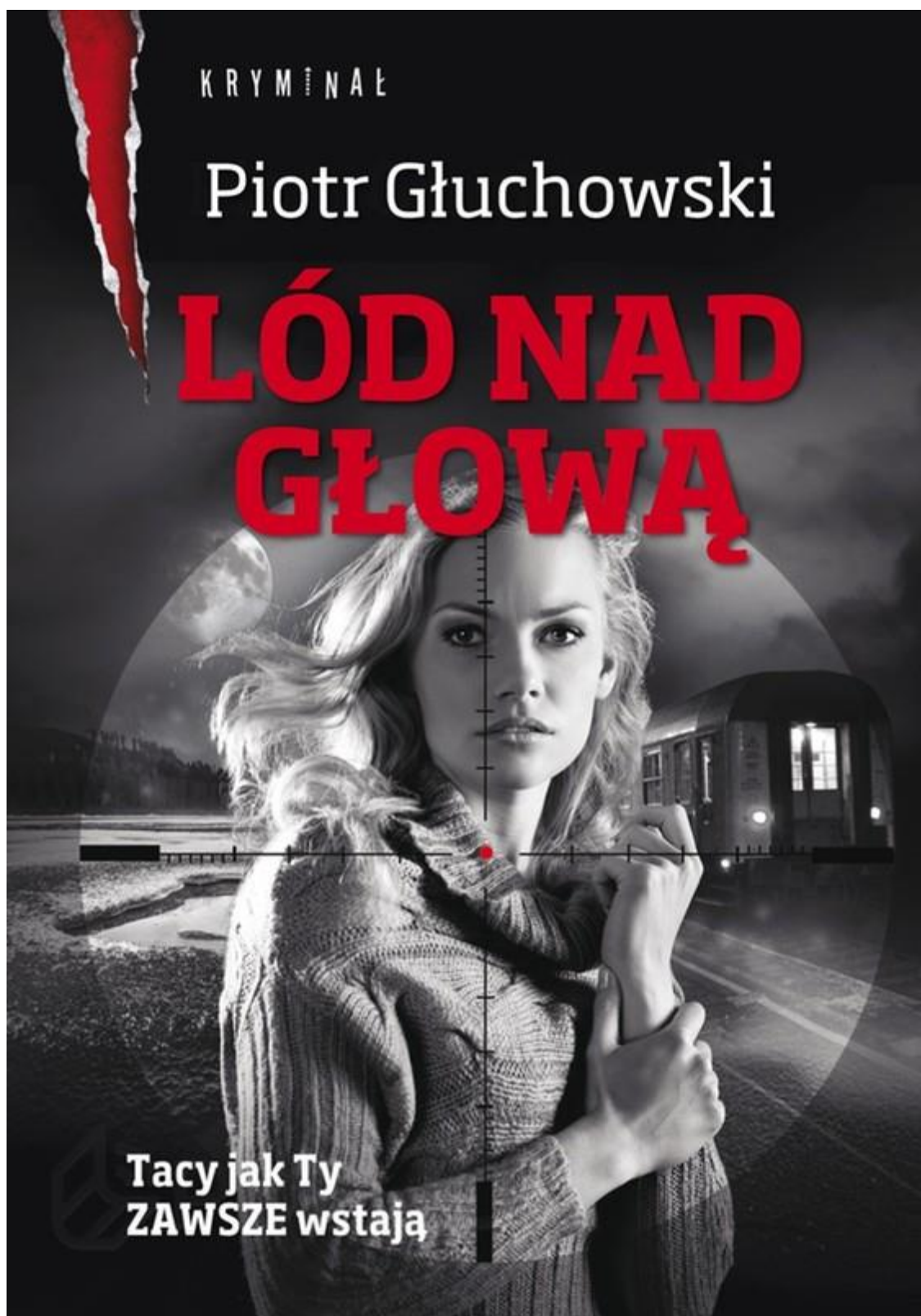


KRYMINAL

Piotr Głuchowski

LÓD NAD GŁOWĄ

Tacy jak Ty
ZAWSZE wstają



Piotr Głuchowski

Lód nad głową

Warszawa 2013

Gdy w mroźny poranek 2 lutego 1945 roku żołnierze Armii Czerwonej przybyli nad wschodni brzeg jeziora, które dziś nazywa się Krosin, pomiędzy zalesionymi wzgórzami a porośniętym trzciną brzegiem stała mikroskopijna wioska o nazwie Himmwelde. Pięć domów z czerwonej cegły przycupnęło jeden blisko drugiego wzdłuż brukowanej uliczki bez nazwy. Zdobywcy zamordowali wszystkich - czyli czterech - starych mężczyzn i jednego dziesięcioletniego chłopca. Zgwałcili dziewczynki, starszki i - oczywiście - młode kobiety, które później także pozabijali. Najładniejszej z nich, trzydziestojednoletniej ciemnowłosej Annie, która prócz zajmowania się gospodarstwem szła dodatkowo ubrania, przybili do głowy jej własny kapelusz. Pochodzący spod Wołokołamska żołnierz użył drewnianego klepaka do palikowania krów i pięciocalowego gwoźdźca. Miał niebieskie, tego dnia mocno przekrwione oczy i tyle samo lat co Anna. W innym życiu mógłby się w niej zakochać. W tym świecie przy pomocy dwóch towarzyszy powiesił ją za nogę na kasztanowcu.

Zanim ruszyli dalej, krasnoarmiejcy zniszczyli wieś. Wyszadzili murowane budynki, drewniane podpalili. Może chcieli zatrzeć ślady po wymordowaniu dwudziestu siedmiu osób, a może zrobili to w pijanym widzie? Raczej to drugie. Od dwóch dni niczego przecież nie jedli, bojąc się, że trofiejna żywność może być zatruta. Ograniczali się do picia wódki i - rzadziej - wody z jezior.

Przez następne lata wioski, małe miasteczka i całe krainy wokół Krosina zmieniały nazwy. Neustettin przemianowano na Szczecinek, Märkisch Friedland na Mirosławiec. Pogranicze Pomorza Tylnego i Nowej Marchii stało się Pojezierzem Drawskim. I tylko Himmwelde nie otrzymało nowego imienia. Ktoś, kto być może wiedział, co tam się stało, zdecydował, iż miejsce pozostanie opuszczone.

I takie było przez kolejne dwadzieścia lat, aż do jesieni 1967 roku, gdy prezydium rady narodowej z odległego o dwadzieścia kilometrów miasta wydało miejscowemu zakładowi produkującemu śruby i nakrętki zgodę na budowę ośrodka wypoczynkowego tuż nad wschodnim brzegiem Krosina.

Budowa ciągnęła się przeszło dziesięć lat. Kopacze i murarze najpierw pojawiali się tylko w miesiącach letnich, potem - gdy podciągnięto prąd - na stałe zamieszkali w barakowozach na budowie. Pracowali niewiele, bo wciąż brakowało materiałów. Większość czasu spędzali, szukając alkoholu w okolicznych wsiach i osadach. Pili biber z miejscowymi starcami, robotnikami rolnymi i drobnymi złodziejami. To od nich usłyszeli, że miejsce, w którym stawiają ośrodek, jest przeklęte. Szczególnie w lutym. A najszczególniej przeklęty jest stary kasztan nad samą wodą. Leśniczy, co już miał go przed dwoma laty wyciąć, utopił się w środku lutego, gdy łowił ryby w przerębli. Rzekomo

wciągnął go pod łód kłusowany sum, ale jest i inna możliwość - zabrała go Kasztanowa Kurwa, o której mówią, że po pierwsze - mieszka w środku drzewa, po drugie - wychodzi przez niewidoczną z dołu dziuplę tylko w najmroźniejsze zimy, a po trzecie - odejdzie znad jeziora dopiero wtedy, gdy uśmierci dwadzieścia sześć osób. Dlaczego akurat tyle, nikt robotnikom nie powiedział. Usłyszeli natomiast, że nieszczęsny leśniczy był trzecią ofiarą Kurwy z Kasztana. Wcześniej nad Krosinem zginął stary kłusownik, który podobno niechcący postrzelił się w środku zimy z samopału, i równie stara Kaleka Marta. Ta zamarzła pijana, gdy rok po rozpoczęciu budowy myszkowała między wykopami w poszukiwaniu nie wiadomo czego. Też w lutym.

Do 1979 roku, kiedy wreszcie otwarto Zakładowy Ośrodek Wypoczynkowy „Metal”, na budowie oraz przy stróżowaniu zdarzyły się jeszcze dwa śmiertelne wypadki. Oba w okolicach lutego.

Potem zakład produkcji śrub upadł, zaś ośrodek opustoszał.

W 1995 roku zmienił właściciela.

Nowy zarządca - przedsiębiorca z Koszalina - przemaalował elewację, zawiesił nad wejściem szyld „Omega”, wykupił reklamy w kilku stacjach radiowych, a ciasne pokoiki, w których kiedyś wypoczywali kierownicy i magazynierzy z branży metalowej, kazał połączyć po dwa i w ten sposób przerobić na większe pokoje, szumnie zwane apartamentami. Mimo to przez dwie dekady biznes kręcił się słabo - goście przyjeżdżali wyłącznie w długie weekendy i dwa wakacyjne miesiące. Poza tym - pusto.

Aż nagle w sąsiedniej wiosce Klukowęsy pojawili się Amerykanie, Kanadyjczycy i Bóg raczy wiedzieć kto jeszcze. Spółka ExxonMobil Corporation zaczęła dziurawić ziemię w poszukiwaniu gazu łupkowego. Odwiert wykonano w miejscu, w którym jeszcze rok wcześniej nikt nie spodziewałby się sukcesu - pas złóż gazowych miał się zaczynać dopiero na północ od Szczecinka i biec dalej na wschód. A jednak inżynierowie zza oceanu coś najwyraźniej znaleźli, bo z miesiąca na miesiąc przyjeżdżało ich coraz więcej. W lokalnych gazetach pisano o „obiecującym złożu surowca”.

Poszukiwacze podziemnych bogactw pracowali ciężko, po pracy ostro się bawili. Podupadłe w kryzysie knajpy i agencje towarzyskie ze Złocieńca, Drawska, Człuchowa, Chojnic przeżyły odrodzenie. Coś z tego tortu uszczknął też i właściciel Omegi, co dało się zauważyć już na pierwszy rzut oka. Przed wejściem stanęły nowe, rattanowe meble, nad nimi rozpięto kolorowe parasole z reklamami piwa, trawnik - ładnie przystrzyżony - zamienił się w parking pełen samochodów z najdziwniejszymi rejestracjami.

Kasztanowa Kurwa, o ile ktoś w nią jeszcze wierzył, odeszła albo po prostu nie było

dla niej wystarczająco mroźnych zim. Aż do tej ostatniej, gdy temperatura w nocy z pierwszego na drugiego lutego spadła do minus dwudziestu ośmiu stopni.

Część I

MŁOT THORA

1.

Piątek, 5 września, przedpołudnie i noc

- Zebraliśmy tu panów także i po to, aby się wspólnie zastanowić, komu z dotychczas zatrudnionych proponujemy dalszą pracę, a kogo musimy pożegnać. - Makary Gliński, dystyngowany i całkiem nowy prezes wydawnictwa prasowego Atrium, stoi oparty plecami o wielkie okno z widokiem na oblewany rześnym deszczem plac Piłsudskiego i Grób Nieznanego Żołnierza. Spotkanie zarządu z redaktorami naczelnymi czterech największych - i ostatnich dochodowych - tygodników lokalnych spółki trwa od pół godziny, ale można powiedzieć, że dopiero teraz się zaczęło naprawdę. - Jesteśmy w swoim gronie, dlatego bez skrępowania możecie się wypowiedzieć także o pozostałych redakcjach. Skonfrontujemy wasze i nasze opinie, choć nie ukrywamy, że mamy już swoje typy. Naturalnie nawet w przypadku osób, którym proponujemy przedłużenie umów, nie możemy dalej mówić o etatach. Raczej umowy o dzieło i własne firmy.

Mimo wczesnej pory z powodu ciężkich chmur na zewnątrz w sali konferencyjnej panuje półmrok, ale nikt nie zapala światła. Spółka zmieniła stołeczną siedzibę na mniejszą i dalej oszczędza na wszystkim.

Cisza się przeciąga.

Poza ubranym w jasny garnitur Glińskim i jego dwoma równie eleganckimi zastępcami na wysokich fotelach - pamiątkach po dawnej świetności tego, pozał się Boże, koncernu medialnego - siedzi już tylko czterech wyrobników pióra dumnie zwanych redaktorami naczelnymi. Z prawej: Robert Pruski, szef „Głosu Torunia”. Wysoki, co widać nawet, gdy siedzi. Lekki brzuszek zmusił go do poluzowania paska przy dżinsach już na początku zebrania. Rozczochrane orzechowe włosy z pasmami siwizny opadają na czarny sweter z pagonami. Co najmniej dwudniowy zarost, ciężkie wojskowe buty, do tego stary, nakręcany zegarek na ręce. Opuszczone kąćki oczu i ust zdradzają nerwowe życie, wieloletni nałóg tytoniowy, a także setki poranków na kacu. Krótko mówiąc: redaktor Pruski nie

wygląda już młodzieńczo, ale stara się trzymać fason w trudnej chwili. Noga założona na nogę, trochę nieobecny wzrok - i tylko dłoń skręcająca kosmyk włosów przy uchu zdradza podenerwowanie. Obok niego szef ze Szczecina - breughlowska twarz i solidna nadwaga. Dalej - Olsztyn. Facet nie zgolił wąsów od lat osiemdziesiątych. Za nim Gorzów Wielkopolski. Reszta naczelnych, ci z deficytowych miasteczek, dowie się o podjętych dzisiaj decyzjach z e-maili.

Przekaz jest w sumie prosty: budżet czasopism ostatni raz zbilansował się w maju. W obecnej postaci tygodniki nie przetrwają do wiosny. Jednogłówną decyzją trzyosobowego zarządu likwidujemy więc dotychczasowe tytuły - znikają wszystkie papierowe „Kuriery”, „Głosy”, „Czasy” i „Echa”. Zostają wydania internetowe. Na papierze będzie się odtąd ukazywał jednolity tygodnik: „Ilustrowany Kurier Północny”. Staroświecka nazwa pozwoli być może utrzymać najstarszych, przyzwyczajonych do papieru czytelników. I zachować ostatnie reklamy.

Zarząd zamówił już projekt struktury nowego zespołu. Do obsługi internetu zostaje czternaście osób na zlecenie, zatem należy się teraz, z rozsądkiem i empatią, wspólnie zastanowić, kogo ratujemy, a kogo wysyłamy na zieloną trawkę.

- Może wpieryw powiemy sobie, co z nami? - Wiecznie spocony koleżka ze Szczecina, któremu dziś dodatkowo śmierdzi z ust przetrawioną cebulą, zawsze budził politowanie Roberta.

Chłop jeszcze nie rozumie, co zostało powiedziane?

- Wy, moi drodzy panowie, wciąż pozostajecie z nami związani - jeden z wiceprezesów mówi to celowo cicho, powoli... i już jest jasne, kto na dzisiejszym zebraniu ugrał wszystko, a kto nic. - Do nowego „Ilustrowanego” wejdzie wasza czwórka i może jeszcze ze trzy osoby do pomocy.

Kolejne zdanie, które powinno teraz paść, lecz nie pada, Robert dopowiada w myśli: „...tylko że już nie będziecie, moi drodzy panowie, żadnymi naczelnymi, ale robotami od wszystkiego na śmieciówkach po dwa tysiące brutto”.

Z jednej strony czuje, że bardzo chce mu się zapalić - oraz oczywiście wypić - z drugiej ogarnia go spokój. Już wie: nie podpisze żadnej umowy o dzieło, nie założy własnej firmy, nie będzie się staczał na dno razem z tymi palantami, których rynkowe zmiany wiecznie zaskakują z ręką w nocniku. Nie pomoże w ustalaniu, kogo z kolegów i koleżanek wysłać na bezrobocie. Wyśle tam siebie.

W połowie drogi między czterdziestką i pięćdziesiątką, jeszcze dziś zostaniesz, człowieku, byłym dziennikarzem z dyplomem nauczyciela rysunku i adresem w małym,

toczonym bezrobociem miasteczku.

I, kurwa, dobrze.

Do sali wchodzi na swoich nieprawdopodobnych nogach, przedłużonych jeszcze wysokimi obcasami, kruczowłosa asystentka zarządu Ewa. Pachnie niedostępnymi w zwykłej drogerii perfumami i pieniędzmi zainwestowanymi w ciało. Na aluminiowej tacy wnosi kawę i francuskie ciasteczka. Są tylko trzy filiżanki. Panowie Niedawno Jeszcze Naczelnicy napiją się zaraz ustami swoich przedstawicieli w zarządzie.

Robert wyjmując pall malle w zielonej paczce, prostuje nogi, zakłada łokcie za głowę, przeciąga się, aż coś mu mocno strzela w ramionach, lecz nie słyszy tego chrupnięcia, tylko je czuje, bo kolega ze Szczecina puścił, chyba z nerwów, dużo głośniejszego bąka. Mruczy przepaszająco z zaczerwienioną wstydem twarzą. Reszta udaje, że nic nie słyszała. Dobrze sobie.

- Coś mi tu kwaśno cuchnie - słowa, które zapalający papierosa Pruski wypowiada całkowicie beznamiętnym tonem, można potraktować zarówno jako suche stwierdzenie faktu, jak i ocenę sytuacji w firmie. Panowie z zarządu zgodnie piorunują go wzrokiem - trochę z powodu tych słów, a trochę dlatego, że tu się tytoniu nie pali. Tu się pali ostatnie mosty.

* *
*

W starym, parterowym domku przy ulicy Polskiej na warszawskich Siekierkach muzyka wali tak, że w sfatygowanych okiennicach drżą szyby. Jazz połamany z reggae i amerykańskim rapem - szalone, taneczne remiksy ściągnięte ze strony klubu Mefistoid w czeskiej Pradze wprawiają w trans nawet tych nielicznych, którzy - jak Maja Szalawska - nie zaprawili się jeszcze alkoholem, nie pociągnęli lolka ani nie zarzucili żadnych pigułek. W pokoju trzy na pięć oświetlonym tylko płomieniami świec i ekranem laptopa jest ciasno. Tańczy, siedzi, leży i całuje się około dwudziestu osób. A między nimi piekielna mieszanka woni: papierosowy dym, spalona marihuana, niedrogie wody kolońskie i niedojedzone pizze, których resztki walają się w kartonach pomiędzy butelkami z wódką, z piwem i po piwie. Majka od czasów gimnazjalnych - czyli przynajmniej od ośmiu lat - nie była na takiej domówce. A gdy bywała, nie zaznała podobnego hardkoru. Wygląda na to, że wszyscy w tym pomieszczeniu postanowili dzisiaj w nocy pojechać na maksa i ona ze swoją trzeźwością nie za bardzo do nich pasuje.

Bardzo szczupła, bardzo delikatna, bardzo blada blondynka z miodowymi piegami i szokująco jasnymi oczami, ma lekko zadarty nosek i usta wycięte tak, jakby się zawsze uśmiechała. Lecz faktycznie śmieje się niezbyt często. „Myślicielka”, „profesorka”, „osobna laska” - tak ją określają nieliczne koleżanki studentki. Natomiast za plecami mówią o niej

często „wyniosła cipa”. Może dlatego, że Maja jest urodzoną warszawianką, obecnie mieszkającą w podmiejskiej osadzie willowej Piaseczno, córką byłego konsula, felietonisty „Polityki”, a przez kilka miesięcy nawet wiceministra kultury Konstantego Szalawskiego. Może właśnie dlatego piątkowych wieczorów nie spędza z koleżankami ani w modnych upijalniach, ani w dyskotekach, ani na takich ściskawach jak ta, lecz raczej w teatrze, na wernisażu, jeszcze częściej - w internecie.

Portale i fora zaludnione przez nieznanym nikomu poetów, entuzjastów niderlandzkiej porcelany, pasjonatów pierwszych maszyn parowych albo wzajemnie terapeutyzujących się nieszczęśników, którym rodzice kazali czesać frędzle przy dywanach. Muzyka z Gambii, historia wojen pirackich, astrologia w pismach Carla Gustava Junga, zapomniane akronimy, najstraszliwsze obelgi w językach andamańskich i nowogwinejskich... To są sprawy, które pochłaniają Majkę i sprawiają, że na towarzyskich zgęstkach często siedzi osobno, śmiertelnie znudzona otaczającym ją paplaniem, powtarzaniem oklepanych formułek o znanych ludziach, muzyce, czasem polityce... W tym ostatnim przypadku polityczna poprawność idzie zazwyczaj w parze z płycizną osądów. Ona myśli i chodzi własnymi bezdrożami. W ciągu czterech lat napoczęła trzy kierunki studiów - bez trudu dostała się na dzienne prawo, potem na orientalistykę i na inżynierię środowiska. Wszystko porzuciła i zaczęła historię: fascynujący kierunek, niedający większych szans na zdobycie pracy.

Mama, kiedyś przewodnicząca wydziału w sądzie apelacyjnym, w rozmowach z koleżankami wytłumaczyła sobie jej uczelniane wolty zdaniem wytrychem: „Maja to poszukująca dusza”. I za bardzo nie przejmowała się jej życiem, zajęta własnymi problemami.

Tata, który pojawiał się w domu najwyżej dwa-trzy razy w tygodniu, próbował zmotywować córkę do wybrania jakiejś zagranicznej *Alma Mater*, najlepiej brytyjskiej lub amerykańskiej. Kiedy zdarzyło mu się zostać na cały weekend w Piasecznie - przyjeżdżał raz z Krakowa, innym razem z São Paulo - zamykali się we dwoje w pokoju lub szli przez sosnowe lasy ciągnące się w kierunku Chojnowa. On mówił:

- Harvard.

A ona:

- Daj spokój, czytałam świetną książkę o tym, jak cesarz Puyi został ogrodnikiem.

On mówił:

- Cambridge.

A ona opowiadała mu o wojnie Voortrekkerów z Zulusami.

Bo co miała powiedzieć?

Że po prostu pierdoli to elitarne życie, którym jej drogi papa jest przesiąknięty od czubka francuskich pantofli po grzywkę? Że chce być zwykłą dziewczyną z Warszawy? Że nie chce ani wczasów w brazylijskich hotelach na drzewach, ani nowego samochodu, ani pieniędzy na wyjazd do hrabstwa Oxfordshire? Że chce się latem zatrudnić w sklepie?

Nie mogła tego powiedzieć, nie mogła tak zranić tatusia, szczególnie po tym, gdy ukochana mama wyprowadziła się na Wilanów, do apartamentu austriackiego architekta młodszego od ojca o przeszło dwadzieścia lat. Teraz są w Wiedniu, chodzą do opery i organizują bale charytatywne.

A córka, siedząc na zasypanej piętami podłodze, pije prosto z kartonika zimny barszcz. I wcale się nie nudzi, choć powinna, bo na ciekawą rozmowę próżno tu liczyć. Kilkoro zebranych już nic nie jarzy, reszta również ma gruby lot. Jakaś dziewczyna o zielonych włosach zrzuciła w tańcu stanik, odsłaniając imponujące melony z bardzo ciemnymi sutkami. Dwaj pijani i zgrzani kolesie licytują się, który więcej zapłaci za prawo do polizania. Na razie stawka wynosi dziesięć złotych - w tym pomieszczeniu nikt nie śmierdzi hajsem. To nie jest towarzystwo z Piaseczna. Trafiła tu tylko dlatego, że zaprosił ją gospodarz tej chałupki, poznany na uniwerku Paweł, który właśnie stojąc na krześle i wzbudzając aplauz, odbija łokciem butelkę wina. Jakaś koleżanka, bosa i w rozdartej na plecach sukience, trzyma przed nim poobijany rondel, na wypadek gdyby korek wyskoczył i półwytrawne dobro zaczęło się wylewać. Nie puszczając garnka, dziewczyna tańczy w miejscu.

Majce, która właśnie wstaje, by dołączyć do tańczących na środku pokoju gości, bardzo się to wszystko podoba. A Paweł najbardziej. Od godziny nie spuszcza go z oczu, choć trochę się tego sama przed sobą wstydzi. Nigdy nie narzekała na brak adoratorów, o znajomości z chłopcami, a potem facetami absolutnie nie zabiegała. Teraz chyba będzie inaczej. Bo Paweł jest niesamowity. Czuje to bardziej ciałem niż głową - przecież właściwie niewiele o nim wie. Ledwo kilka rzeczy. Zaczynając od tych najmniej istotnych, lecz sympatycznych: ma świetny tyłek, fajną, sportową sylwetkę i gęste, długie dredy. Jest wyluzowany i zarazem jakiś taki... nieustraszony. Silny. Choć nie jest żadnym intelektualistą, to kiedy mówi, nie powtarza po nikim. Kiedy opisuje, nie ocenia. Jest w jego słowach prosty i gęsty sens. Gdy słucha, słucha całym sobą. Bycie z nim - choćby przez chwilę - ma ciężar. Paweł jest kimś, przy kim Maja po raz pierwszy w życiu poczuła się... poczuła... kurka wodna, brakuje na to słów. Choć przecież nie należy do tych dziewczyn, które zapominają języka w gębie.

Na to, co czuje do Pawła, nie znalazła na razie właściwego określenia. To nie jest zakochanie, już bywała zakochana. To jest rzecz nagła, mocna i silniejsza od znanych jej

uczuc. Jakieś strasznie poważne słowo czai się za rogiem.

2.

Poniedziałek, 2 lutego, popołudnie i wieczór

Amerykański karabin maszynowy M240 może w ciągu minuty wypluć nawet siedemset pocisków. Waży tyle, co duży męski rower, dlatego zwykle montuje się go na czołgach, transporterach opancerzonych albo pokładach helikopterów.

Silny mężczyzna potrafi jednak strzelać nim także z ręki.

Ten człowiek wygląda na silnego. Jest bardzo wysoki i szeroki w ramionach. Więcej nie da się o nim powiedzieć - nie widać: stary czy młody? Blondyn, łysy czy brunet? Od stóp do głów maskuje go gruby kombinezon, który jednym z zebranych kojarzy się ze strojem nurka głębinowego, innym - i ci mają lepszą intuicję - z odzieniem sapersa rozbrajającego ładunki wybuchowe. Zielona kurtka z nomexu, ciężkie ochraniacze na golenie, kask połączony z resztą uniformu za pomocą potężnego, sztywnego kołnierza.

Wielkolud podnosi broń i strzela - najpierw w kierunku ministra na mównicy.

Jest sześć minut po pierwszej.

W tej chwili w największej sali ośrodka Omega, nieco pompatycznie nazwanej salonem konferencyjnym, siedzą i stoją dwadzieścia trzy osoby. Wszystkie w ubiegłym tygodniu odebrały identycznie brzmiące listy podpisane ręcznie - zamaszysty zawijas został bez wątpienia wykonany piórem - przez Januarego Okryńskiego, szanowanego urzędnika średniego szczebla w Ministerstwie Sprawiedliwości. Dwudziestka to prawnicy, głównie prokuratorzy obu płci. Jest też kilkoro sędziów, młody radca prawny i notariuszka - jej jasnioletowy dwuczęściowy kostium wyróżnia się na tle szarych lub czarnych garniturów i spódnic. Poza prawnikami w sali jest jeszcze dwóch ochroniarzy ministra - jeden to były wojskowy, drugi większość trzydziestoletniego życia przepracował w ochronie bankowych konwojów.

No i jest sam Ewaryst Kunicki: przystojny, ładnie opalony mężczyzna z niewielką, przyciętą w szpic jasną bródką.

Człowiek, którego polityczna kariera była równie niespodziewana co krótka - kończy się właśnie w tej chwili, o trzynastej sześć, gdy pierwsze osiem pocisków przebija skórę ministra i na jego kremowej koszuli wykwitają krwistoczerwone kwiaty. Jedni z siedzących w pierwszym rzędzie prawników patrzą na ten obraz zahipnotyzowani, inni natychmiast padają na podłogę.

* *
*

Na drogę, która zaprowadziła go do ośrodka Omega, Kunicki, olsztyński sędzia w stanie spoczynku, wszedł niecały rok wcześniej, gdy przystąpił do skrajnie lewicowego Ruchu dla Wolności. Było to pod koniec lata, w czasie gdy przedwyborcze sondaże nie dawały nowemu ugrupowaniu żadnych szans.

Sytuacja zmieniła się po serii gwałtownych afer, jakie zachwiały faworytami wyborów - zwłaszcza populistami, choć liberałami niewiele mniej. Podwójne życie prywatne premiera, tajne szwajcarskie konto skarbniczki opozycji, potem dziecięca pornografia w komputerze wicemarszałka Sejmu... Jedni mówili o prowokacji, inni o pomyłce - ale emocje wzięły górę i wczesną jesienią wyniki sondaży były fatalne zarówno dla rządzących, jak i tradycyjnych oponentów. Marginalny dotąd Ruch dla Wolności ze swoim ośmioprocentowym poparciem stał się mocną trzecią siłą z nadzieją na miejsce drugie.

I wtedy Ruchowcy trafili pod ostrzał mediów.

Telewizje wzięły na cel od razu kilka osób, między innymi Kunickiego, który właśnie został wpisany na listę wyborczą. Kilka stacji przypomniało dwa kłopotliwe fakty z przeszłości kandydata na posła: umorzone śledztwo w sprawie tragicznego wypadku spowodowanego w stanie nietrzeźwym oraz sprawę tak zwaną Mazurską Spółdzielnię Milionerów - grupy szemranych biznesmenów, którzy jeszcze w latach pięćdziesiątych mieli finansować nieprzyzwoite zachcianki prawników, między innymi Kunickiego.

O dziwo, wiadomości nie zrobiły wrażenia na wyborcach. Może z tego powodu, że Polacy byli już zmęczeni kolejnymi „...-gate”, a może dlatego, że wobec ciężaru oskarżeń spoczywających na głównych aktorach w grze przedatowane skandaliki pana z Ruchu dla Wolności mogły się wydawać banalne.

Kunickiemu w zdobyciu mandatu pomogła dobra kampania wyborcza. Z jednej strony zadziałał ładny Fanpage na Facebooku, z drugiej - tysiące osobiście uściśniętych dłoni.

No i to chwytliwe hasło: „Prawo dla obywatela - nie na odwrót!”

Udało się.

Po wyborach, na początku grudnia, skwaszeni liberałowie podpisali z liderami Ruchu dla Wolności dokument nazwany górnolotnie „Paktem Trwałej Koalicji”. Zgodnie z jego punktem piątym były sędzia Kunicki został ministrem sprawiedliwości. Natychmiast zwołał konferencję prasową, na której obiecał „zmianę niezyciowych oraz krępujących przepisów w różnych dziedzinach”. Zapowiedzi były daleko idące: usunięcie ograniczeń w dystrybucji alkoholu, dostępie do aborcji i możliwości zawierania małżeństw homoseksualnych, zwiększenie swobody internautów, palaczy marihuany i tych, którzy chcą zakończyć życie

na własnych warunkach.

Szkic Superustawy został przedstawiony na konferencji prasowej w wigilię Bożego Narodzenia. Ta data - nieprzypadkowo wybrana przez szukającego popularności Kunickiego - niesłuchanie rozsierdziła konserwatystów i aktywistów równie świeżej jak Ruch dla Wolności, lecz skrajnie przeciwnej mu partii: Przymierza Polskiego.

„Najwyższe oburzenie” wyrazili biskupi. Lecz nie tylko oni okazali się przeciwnikami projektu. Nawet odlegli od Kościoła komentatorzy pisali o Superustawie: „bubel prawny”, „pospieszny manifest ideologa dyletanta”, „kwit pod publiczność”, „papier kompromitujący kogoś, kto sądził ludzi”, „rzecz tak głupia, że może być tylko prowokacją” i tak dalej.

Niezrażony krytyką minister ruszył w trasę pod hasłem „konsultacji społecznych projektu”. Spotkał się z absolwentami medycyny, góralami, organizacjami kobiecymi, a teraz nad jeziorem Krosin dostarczono mu przed oblicze prawników z całego kraju.

Konferencja w Omedze zaczęła się zgodnie z planem - o dziesiątej rano. Ze względu na długi i trudny dojazd nad jezioro niektórzy goście zaczęli przysypiać już po półgodzinie. Wejście Kunickiego na mównicę - główny punkt programu „konsultacji” - nieco ożywiło siedzących, ale nie wszystkich. Zastępca szefa prokuratury rejonowej z Kielc przebudził się tylko na chwilę i teraz - sześć po pierwszej - śni mu się dziewczyna jego szesnastoletniego syna.

Ze snu wrywa go karabinowa seria. Otwiera oczy, unosi głowę i widzi, jak zakrwawione ciało ministra Kunickiego wali się na jasną ścianę za mównicą.

* *
* *

Hałas w sali konferencyjnej jest ogłuszający - ciężka broń w rękach człowieka w kombinezonie dosłownie ryczy. Pociski masakrują twarz ministra, która w trudny do opisanego, okropny sposób rozpada się na kawałki.

Zabójca stoi w miejscu. Nie zdejmuje palca w grubej rękawicy z karabinowego spustu. Robi tylko niewielki ruch lufą i stalowy prysznic rozbija pierwszego z ochroniarzy Kunickiego, który właśnie składa się do strzału. Ekszołnierzy ma pod marynarką kamizelkę kuloodporną, ale to na nic się nie przydaje. Kilkanaście pocisków przeszywa na wylot jego ramiona i czaszkę. W powietrzu na oczach przerażonych prawników wirują drewniane drzazgi wyrwane z pulpitu mównicy, fragmenty plastiku z krzeseł, strzępy papierów, krople krwi i kawałki ciała.

Drugi z ochroniarzy rzuca się pod jeden z trzech ustawionych z przodu stołów. Wsparty na obu łokciach strzela z glocka prosto w uda zamaskowanego potwora. Ten co prawda chwieje się, ale nie przerywa ognia. Wali serią poprzez blaty stołów, kule

rozrywają drewno i paździerze. Ochroniarz usiłuje się jeszcze przeturlać pod ścianę, wymieniając magazynek, ale jest bez szans.

Napastnik robi dwa kroki i zabija leżącego. W tym momencie od jego hełmu, krzesząc iskry, odbijają się kule z niewielkiego pistoletu szczekającego w dłoni młodego, tęgiego mężczyzny, który odważnie stoi w ostatnim rzędzie między krzyczącymi i miotającymi się w przerażeniu ludźmi.

Wnoszenie broni na spotkanie z przedstawicielem rządu jest oczywiście zabronione, ale trzydziestopięcioletni prokurator z Malborka nie chciał zostawiać swego pistoletu w samochodzie na niestrzeżonym parkingu. Odbierając o wpół do dziesiątej klucz od pokoju, który miał dzielić z dwoma sędziami, zapytał recepcjonistkę o sejf, ale ta tylko wzruszyła ramionami. Wziął więc klamkę ze sobą. Gdyby BOR-owcy odbierali przy wejściu broń, oczywiście oddałby ją, lecz nikt go nie zaczepił. Na zaimprovizowane w pośpiechu spotkanie z Kunickim - jak się okazuje - mógł wejść właściwie każdy, ponieważ niejaki Grzegorz Kopciński, urzędnik średniego szczebla w MSW, do którego obowiązków należy uzgadnianie różnych szczegółów z resortem sprawiedliwości i Biurem Ochrony Rządu, pokpił sprawę. Kopciński, kiedyś student Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, potem dziennikarz, rzecznik prasowy straży municypalnej i policji, a ostatnio pracownik Departamentu Ewidencji Państwowych, nie przesłał na czas pewnego świstka, który powinien pokonać trasę między Biurem Organizacji Ministerstwa Sprawiedliwości przy Alejach Ujazdowskich a budynkiem jednostki wojskowej przy Podchorążych. Nie przesłał go ani w formie elektronicznej, ani papierowej. I przez to teraz jest, jak jest.

* *
*

Zamachowiec czuje uderzenia w kask, lecz w pierwszej chwili nie jest w stanie określić, kto i skąd do niego strzela - ma zbyt ograniczone pole widzenia. Kręci głową na tyle, na ile może, i jednocześnie się obraca. Widzi kolejno: plecy ludzi tłoczących się w panice przy drzwiach, które przed chwilą zamknął na klucz, lecące w jego stronę krzesło - ktoś odważny i głupi nim cisnął - oraz rozbite okno, przez które usiłują wyskoczyć kobieta i mężczyzna.

Dopiero patrząc w głąb sali, dostrzega strzelającego grubasa. Nie zważa na lekkie uderzenie w ramię - krzesło sięgnęło celu - lecz kieruje lufę w stronę faceta z pistoletem.

Krótki pojedynek wygląda jak scena ze starego filmu *Terminator*: zdesperowany człowiek przeciwko maszynie bez czucia.

Maszyna oczywiście zwycięża.

Jest sześć minut i czterdzieści sekund po trzynastej. Zamachowiec - już przez nikogo

nieatakowany - zabija kolejno całą grupę przy drzwiach, potem tych w oknie, dalej - kolejnych, leżących na podłodze.

Z pewną trudnością wynikającą z noszenia grubej rękawicy podnosi z posadzki klucz, który upuścił po wejściu na salę, i wychodzi. Dopiero teraz czuje klucie i gorącą wilgoć w okolicach prawego uda.

* *
* *

Informacje o rzezi w ośrodku Omega najszybciej pojawiają się na stronie internetowej lokalnego tygodnika ze Złocieńca. Po czternastej już wszystkie poważne telewizje przerywają dotychczasowe programy, by opowiadać, co się dzieje na Pojezierzu Drawskim.

Do piętnastej na ekranach widać głównie sporządzone pośpiesznie grafiki-mapki, które mają przybliżyć widzom lokalizację akwenu Krosin, oraz zdjęcia ministra Kunickiego w różnych sytuacjach z ostatnich miesięcy. Dopiero po trzeciej nad jeziorem pojawia się telewizyjny helikopter i telewidzowie mogą zobaczyć miejsce tragedii na żywo. Kamera rejestruje zaparkowane w śniegu policyjne samochody z włączonymi kogutami, podjeżdżające i ruszające na sygnałach karetki pogotowia, biegających we wszystkie strony ludzi w mundurach i po cywilu oraz malownicze lądowanie na zamrzniętej tafli wody śmigłowca z ratownikami w czerwonych kombinezonach.

W tym czasie pościg za zamachowcem trwa już drugą godzinę.

Początkowo rozhisteryzowana recepcjonistka z Omegi, dwudziestoletnia Kinga, nie potrafiła drżącymi rękoma wybrać numeru alarmowego. Morderca w kombinezonie, poruszając się powoli i lekko kulejąc, wyszedł głównymi drzwiami ośrodka niecałe pół minuty przed tym, gdy złapała za słuchawkę telefonu. Odchodząc, posłał jeszcze od niechcienia krótką serię w kierunku trzęsącej się za ladą dziewczyny. O dziwo, żaden z pocisków nawet jej nie drasnął, rozsypało się natomiast lustro na ścianie za nią, drukarka do faktur i niewielkie akwarium - ozdoba korytarza. Teraz czerwone rybki, które wypłynęły na zimną podłogę, rzucają się bezradnie wokół stóp skulonej za kontuarem Kingi, która usiłuje wybrać na przemian numery 997 i 112.

Zza uchylonych drzwi sali konferencyjnej wypęła prawniczka w liliowym kostiumie. Z ust płynie jej krew, lewa dłoń - także zostawiająca na podłodze purpurowy ślad - pozbawiona jest dwóch palców.

- Jezuuu... ratujcie!!! - Kinga krzyczy do słuchawki, choć po drugiej stronie nie ma jeszcze żywego człowieka, tylko nagrany głos recytuje beznamiętnie zdanie: „Pogotowie policji, Drawsko Pomorskie, proszę czekać na przyjęcie zgłoszenia”.

- Szybcieeeej!!!

Gdy wreszcie zgłasza się jakaś kobieta, Kindze uspokajanej przez funkcjonariuszkę po drugiej stronie łącza udaje się powiedzieć kilka najważniejszych słów: „minister”, „był zamach”, „nie wiem, nie widziałam, nie weszłam” i „nad Krosinem”.

W momencie, w którym głos po drugiej stronie przypomina jej, by pod żadnym pozorem nie przerywała połączenia, z sali konferencyjnej wychodzi chwiejnie jeszcze jeden człowiek - mężczyzna z telefonem komórkowym w lewej dłoni. Prawą ręką trzyma się za szyję. Idzie bardzo wolno, chyba chce coś powiedzieć, ale z jego ust dobywa się tylko makabryczny bulgot. Gdy podchodzi do kontuaru recepcji, patrząca z poziomu podłogi Kinga widzi dokładnie, co stało się z jego gardłem. Tego widoku nie jest już w stanie znieść.

Mdleje.

Policjantka dyżurująca w Drawsku słyszy kolejno dwa stłumione stuknięcia: jedno z nich wydaje upuszczona słuchawka telefonu, drugie - upadająca głowa Kingi.

Potem jest jeszcze kilka szmerów, po nich ochryply, bulgoczący głos mężczyzny, który podniósł telefon. Nie można zrozumieć, co mówi.

* *
*

W ciągu niecałych dwóch minut dyżurna łączy się z komendą wojewódzką w Szczecinie, komisariatem w Czaplinku, pogotowiem ratunkowym w Złocieńcu i kilkoma innymi numerami, w tym z działającą od niedawna tak zwaną centralą antyterrorystyczną.

W tej samej chwili - dziesięć minut po pierwszej - za bramą wjazdową Omegi, w miejscu, gdzie szare, suche trzciny prawie dochodzą do skraju lasu i drogi łączącej ośrodek z asfaltową szosą, Kajetan Leski zrzuca z siebie ostatnią część kombinezonu. Stoi pod wielkim, czarnym kasztanowcem na udeptanym, mocno zmrożonym śniegu, w samych dżinsach i czarnym policyjnym swetrze, który opina ciasno jego muskularne ramiona. Proste ciemne włosy przykleiły mu się do spoconego czoła. Pochylony ogląda swą przestrzeloną na wylot nogę. Powietrze jest bardzo mroźne - jakieś minus dwadzieścia stopni w słońcu, w cieniu jeszcze zimniej. Z ust Leskiego leci para, paruje cieknąca po nodze krew.

Zamachowiec otwiera tył stojącego pod drzewem rudobrazowego jeepa, z bagażnika wyciąga puchową kurtkę i apteczkę. Wyjętym z kieszeni nożem rozcina nogawkę spodni, po czym brudząc się krwią, zakłada prowizoryczny opatrunek.

Wyciera piekącym śniegiem ręce, potem twarz. Siada za kierownicą.

Łączy wystające spod niej kable. Rusza ostro, auto na moment wpada w poślizg. Silnik wyje na niskich biegach, gdy wóz rozpędza się do sześćdziesiątki. Pozostawiony na śniegu nomeksowy kombinezon, porysowany kulami hełm i otwarta, wybebeszona apteczka znikają w tylnym lusterku razem z widokiem na białą taflę jeziora i budynek

ośrodka.

Od szosy dzieli Leskiego jeszcze siedem kilometrów wyboistego duktu biegnącego najpierw wokół jeziora, a potem przez wysoki las na południowy zachód. Zaciśnięty na nodze bandaż szybko czerwienieje.

Kierowca przyspiesza, patrząc na zegarek. Grudy zbrylonego śniegu strzelają spod kół we wszystkie strony. Trzeszczą resory i oba mosty zawieszenia.

Gdy pokonuje połowę leśnego odcinka, w stronę Omegi pędzą już różnymi drogami cztery radiowozy i karetka.

* *
* *

Najbliżej celu są dwaj policjanci z Czaplinka. Wąska asfaltowa droga, którą mkną, jest kręta, ciasno oflankowana starymi drzewami, a w dodatku wiedzie raz pod górę, raz w dół. Mimo przeszkód kierujący radiowozem młody posterunkowy nie zdejmuje nogi z gazu. Prędkościomierz pokazuje sto siedemdziesiąt na godzinę.

We wsi Siemczyno opel omal nie zderza się z jeepem, który wypada zza nieotynkowanego domu, po czym rozbijając w pył zaspę na wąskim chodniku przed blaszanym sklepem, mknie dalej wprost na gołe pole. Ogromne niczym lotnisko, idealnie białe i odcięte dwiema liniami lasu ciągnącymi się po horyzont.

Nagle i bliskie spotkanie z nadjeżdżającym z boku radiowozem to przypadek, którego Kajetan Leski się nie spodziewał.

Trzeba przyznać: Siemczyno to był słaby punkt planu. Jednak za tą wioską miało już być bezpiecznie - zaplanowana w najdrobniejszych szczegółach droga wiedzie wyłącznie przez zaśnieżone bezdroża, leśne dukty i zapomniane, opuszczone przysiółki, do których nie dochodzi asfalt. Trzydzieści kilometrów odludzia aż do śródleśnego jeziora, gdzie - ukryty w szopie dla wędkarzy - czeka zapasowy samochód.

Leski miał tam dotrzeć piętnaście minut przed drugą.

Teraz sytuacja się skomplikowała.

Szybko zmienia biegi, na przemian dodając gazu i gwałtownie hamując. Zaorane jesienią pole, przez które pędzi, pełne jest dołów zaspanych co prawda nawianym i zamarzniętym na kamień śniegiem, ale wystarczająco głębokich, by przy prędkości stu kilometrów na godzinę urwać koło.

We wstecznym lusterku widzi tuman śniegu i kryształków lodu. Gdy wiatr na chwilę znosi tę zasłonę na bok, wyłania się - oddalony o jakieś dwieście, może trzysta metrów - srebrno-niebieski policyjny samochód z migającym sygnałem na dachu.

Sytuacja zrobiła się wredna.

* *
*

Gliniarze z Czaplinka z każdą kolejną sekundą zostają z tyłu, ale obaj doskonale znają teren i wiedzą, że uciekinier już im się nie wymknie. W tych warunkach, przy doskonałej widoczności, kierowca terenowego samochodu nie ma szans na oderwanie się od pościgu czy zmylenie tropu. Pierścień obławy, której priorytet wciąż podkreślają przez radio coraz bardziej podekscytowani dyżurni, dopiero się tworzy. Ale w ciągu pół godziny będzie zamknięty.

- Jest nasz - starszy z policjantów, czerwony na twarzy sierżant sztabowy ubrany w puchową kurtkę i czapkę z daszkiem, mówi to, osłaniając dłonią czubek własnej głowy, która co chwila boleśnie zderza się z sufitem. Przed chwilą podał przez radio prawdopodobne numery rejestracyjne uciekającego auta. Jest z siebie bardzo zadowolony. Kierujący wozem posterunkowy nie odpowiada starszemu koledze - pochłania go rajd. Podoba mu się to. Umykający jeep wyrył w twardym śniegu głębokie koleiny, goniący go radiowóz o podobnym rozstawie kół wpadł w nie tak głęboko, że trze podwoziem o złodowaciałą białą skorupę. I pędzi za ściganym jak pociąg po szynach. Nastawione na cały głos policyjne radio wypływa rozkazy i informacje o kolejno ustawianych blokadach, ściąganych posiłkach, położeniu ściganego pojazdu. Padają nazwy miejscowości: Bobrowo, Wierzchowo, Psie Głowy.

Wygląda na to, że dzisiejszy dzień przejdzie do historii policji w Czaplinku i nie tylko. Posterunkowy nie oszczędza silnika ani zawieszania.

* *
*

Po godzinie szesnastej wszystkie media w kraju zajmują się wyłącznie zbrodnią w Omedze.

„Minister Ewaryst Kunicki zginął z ręki zamachowca, który zamordował prawdopodobnie także około dwudziestu innych osób, uczestników spotkania środowisk prawniczych z szefem resortu sprawiedliwości...”

„...cały czas kompletowana jest lista obecnych podczas tragicznej konferencji w ośrodku wypoczynkowym Omega. Wiemy już, że na zebranie udali się między innymi: zastępca prokuratora rejonowego z Leszna, wiceprezes sądu apelacyjnego z Gdańska...”

„...z pierwszych informacji wynika, że tylko dwie osoby przeżyły masakrę, obie są kobietami i obie walczą o życie w szpitalach. Policja odmawia ujawnienia tożsamości tych osób...”

„Policjanci przesłuchują recepcjonistkę i dwójkę kucharzy, którzy podczas dramatycznych wydarzeń znajdowali się w sąsiednim budynku...”

„...za chwilę połączymy się telefonicznie z sędzią Władysławem Kobialką, który z powodów osobistych nie pojawił się na konferencji w ośrodku Omega... Tak... Już mamy połączenie? Dzień dobry, panie sędzio, to straszny dzień. Nie sposób się wciąż jeszcze otrząsnąć...”

„...w pościgu za zamachowcem, którego atak zaszokował wszystkich, bierze udział przeszło dwadzieścia jednostek policji, straży gminnej i żandarmerii wojskowej z województw zachodniopomorskiego i wielkopolskiego. W tej chwili łączymy się z helikopterem...”

„...jeżeli pyta pani o podobieństwa z najgłośniejszymi zamachami terrorystycznymi, to mogę odpowiedzieć na razie w ten sposób: z jednej strony samo nasuwa się porównanie z czynem Andersa Breivika. Podobnie jak w przypadku Norwega możemy mieć do czynienia ze zbrodnią pozornie bezsensowną, a jednak ukierunkowaną politycznie, rodzajem terroryzmu politycznego. Z drugiej jednak strony trudno pokusić się o jednoznaczne, polityczne zdefiniowanie celów zamachowca, o ile mamy tu w ogóle do czynienia z zamachem, a nie atakiem szaleństwa. Jak wiemy, prokuratorzy i sędziowie w naszym kraju nie mogą należeć i nie należą do żadnej partii.

- Musimy przerwać rozmowę, przepraszam, mamy już nowe wiadomości z obszaru pościgu. Tak, Marcinie... słyszymy cię...

- Witam państwa. Jak widać, nie jesteśmy już w powietrzu - na życzenie policji musieliśmy wylądować. To, co państwo widzicie w tle, to droga gruntowa prowadząca do miejscowości Siemczyno - jak widać, kompletnie nieprzejezdna. Uciekający mężczyzna przeciął pole w miejscu odległym ode mnie o niespełna pięćset metrów. Tak jak informowaliśmy, porusza się samochodem terenowym Jeep Cherokee z 1996 roku o numerach rejestracyjnych CIN 2513U. Wszystko wskazuje na to, że auto jest kradzione, a sprawca pozostaje wciąż anonimowy. Policja nie chce udzielać informacji na temat tworzonego właśnie pierścienia obławy, ale wiemy nieoficjalnie, że w tej chwili zamknięte są już wszystkie drogi pomiędzy Wałczem, Kaliszem Pomorskim...

- Marcinie, czy wiemy, dokąd może zmierzać zamachowiec?

- To jest dobre pytanie i myślę, że policjanci prowadzący obławę właśnie gorączkowo szukają na nie odpowiedzi. Rzut oka na mapę pokazuje, że celem sprawcy może być pozbawiony dróg wielki obszar dawnego poligonu. To teren pokryty małymi jeziorkami i zamarzniętymi w tej chwili bagnami, zwracam uwagę, że mamy tu minus dwadzieścia trzy stopnie i temperatura spada. Słońce już, jak państwo widzą, zaszło, za godzinę zapadną całkowite ciemności.

- Dziękujemy ci bardzo, Marcinie, łączymy się ze studiem, wracamy do rozmowy. Proszę... pan redaktor Zapatoczny.

- Więc... oczywiście, że jest jeszcze zbyt wcześnie na formułowanie jednoznacznych wniosków, lecz wszyscy przecież wiemy... Minister Kunicki był osobą nieszablonową, przedstawicielem ruchu politycznego o wyraźnym obliczu. Powiedzmy sobie szczerze: kto go najmocniej krytykował i atakował? Często bezpardonowo...

- Proponowałabym jednak, redaktorze, nie rzucać oskarżeń tak szybko...

- Jednak doskonale pani wie, że jest takie trafne rzymskie powiedzenie - ja nie jestem romanistą, ale to się sprowadza do stwierdzenia: ten jest sprawcą, kto osiąga korzyść...

- To nie brzmi dokładnie w ten sposób, jeśli chodzi o ścisłość.

- Jeszcze raz musimy przerwać, ponieważ mamy połączenie z naszym drugim wozem transmisyjnym, jadącym w tej chwili na Pomorze w ślad za policyjną grupą wydelegowaną przez Komendę Stołeczną... Halo?! Tak, słyszymy was!

- To są niepotwierdzone jeszcze informacje, ale przed chwilą rozmawiałam z policjantami, którzy jadą przed nami, i ostatnie informacje są takie, że... zdaje się... doszło do strzelaniny, w której... tak... przepraszam... do strzelaniny, w której padły strzały, przepraszam, padły ofiary... odbieram jeszcze potwierdzenie... proszę studio i państwa, widzów, o jeszcze chwileczkę cierpliwości... zamachowiec nie żyje?! Tak! Jediną ofiarą strzelaniny jest sam uciekający mężczyzna. To jest już w tej chwili informacja potwierdzona przez policję. Dziękuję. A zatem pół godziny temu, w terenie pomiędzy wsiami Psie Głowy i Kołaczkowo, prawdopodobny sprawca bezprecedensowej masakry, pierwszej takiej zbrodni w historii naszego kraju, jak mówię... sprawca został zastrzelony”.

* *
* *

O godzinie siedemnastej na obu kanałach telewizji publicznej oraz w większości stacji prywatnych miejsce reporterów delegowanych na Pojezierze Drawskie zajmują ich warszawscy koledzy.

- Za chwilę nadamy oświadczenie Prezesa Rady Ministrów - mówi podniosłym tonem szczupły czterdziestolatek w okularach i puszystej apaszcze wystającej spod wełnianego płaszcza w cętki. - Nasza komentatorka jest już w sali konferencyjnej Urzędu. W tej chwili wiemy już, że...

Obraz znika i na moment pojawia się na wizji studio przy Woronicza. Stół prezenterski jest pusty, kamera pokazuje tylko plecy spikerki, która stoi w kącie i czyta jakieś papiery. Najwyraźniej montażysta się pogubił, bo ktoś zza kadru mówi głośno: „Halo! Przepraszamy... przepraszamy!”, po czym na ekranach telewizorów pojawia się inna

dziennikarka - stojąca z plikiem kartek na progu sali częściowo zasłoniętej brązową kotarą.

- Sensacyjne informacje docierają do nas z gmachu Ministerstwa Sprawiedliwości, skąd witam państwa na gorąco. Rzeczniczka resortu Tamara Janicka ujawniła mi przed chwilą szokującą wiadomość o pogroźkach, jakie docierały do sekretariatu tragicznie zmarłego ministra Kunickiego. Nie mamy w tej chwili żadnych szczegółów co do tekstu gróźb, nie wiemy nawet, czy chodzi o pocztę elektroniczną resortu, czy są może jakieś listy, które moglibyśmy zobaczyć i pokazać państwu... Za półtorej godziny ma się odbyć duża konferencja dla mediów, na której wspólnie pojawią się przedstawiciele policji, ministerstwa, a także Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Spodziewany jest szef Departamentu Prawa i Bezpieczeństwa Pozamilitarnego...

- Dziękujemy za te informacje. - Tym razem spikerka w studiu siedzi za biurkiem prosto i pewnie. - Mamy już utracone wcześniej połączenie z Urzędem Rady Ministrów, halo... Czy znamy treść oświadczenia?

* *
*

Wystąpienie premiera jest podniosłe i pełne wykrzykników, ale w zasadzie stanowi tylko emocjonalne podsumowanie tego, o czym wszyscy wiedzą. Jedyne nowe informacje to nazwiska dwóch ocalałych z zamachu kobiet. Pierwsza: Eleonora Kawaska - notariuszka. Druga: Aleksandra Jasińska-Chadib, do niedawna sędzia w apelacji pomorskiej, od dwóch miesięcy - wysoka urzędniczka rządu. Wciąż jest nieprzytomna, lekarze oceniają jej stan jako bardzo ciężki.

Ciekawszy od orędzia szefa Rady Ministrów jest wielki briefing rozpoczęty pięć minut po ósmej wieczór w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Rzeczniczka Tamara Janicka, trzydziestoletnia platynowa blondynka o karminowych ustach i szerokich biodrach rozpychających srebrzystą suknię-tunikę, na początek serwuje dokument podpisany przez wiceministra Adama Panfila.

- W związku z dynamicznym rozwojem kryzysowej sytuacji minister Panfil nie mógł osobiście pojawić się na niniejszym spotkaniu - zaczyna pani rzecznik. - W jego imieniu bardzo proszę wszystkich zebranych o wysłuchanie do końca oświadczenia, a także treści następnego dokumentu. Na zadawanie pytań przyjdzie czas później.

Część stłoczonych przed nią dziennikarzy kiwa głowami, część mruczy na zgodę.

Tekst, który Janicka trzyma w upierścienionej dłoni, mieści się na dwóch kartkach formatu A4. Rzeczniczka odczytuje go grobowym głosem. Kilka ciepłych zdań poświęconych zastrzelonemu dzisiaj szefowi resortu, dalej parę ogólników na temat policyjnej operacji, po nich potwierdzenie zgonu domniemanego zamachowca, wreszcie prośba do dziennikarzy

o zachowanie umiaru w komentarzach i niesugerowanie jakichkolwiek motywów zbrodni. Do tego powtórzone kilka razy sformułowania typu: „za wcześniej jeszcze, aby...”, „na tym etapie nie można” i tak dalej.

- List, który za chwilę państwo poznacie... - ostatnie zdanie oświadczenia rzeczniczka czyta kamiennym tonem -...może skłaniać do daleko idących supozycji, na które jednak, moim zdaniem, jest za wcześniej. Podpisano: Adam Panfil.

Zebrani dziennikarze zachowują się jak dotąd wzorowo. W ciszy przerywanej tylko szuraniem przesuwanych statywów, popiskiwaniami elektroniki oraz szelestami papierów Janicka wyciąga rękę w kierunku dużo młodszej od siebie anorektycznej postaci, która może być zarówno jej asystentem, jak i asystentką.

W dłoni wychudzonego stworzenia: mail z pogrozkami.

Janicka odczytuje dokument jeszcze wolniej i ciszej niż oświadczenie szefa, jakby bała się - albo wstydziła - wypowiedzianych słów. Słysząc ją jednak doskonale. Przeszło czterdziestu przedstawicieli kilkunastu redakcji, dotąd wierzących się, poprawiających sprzęt i papiery na kolanach, teraz zamiera w absolutnej ciszy.

Rzeczniczka zaczyna od miejsca i daty:

„Warszawa, pierwszy stycznia.

Ostatnie ostrzeżenie.

Od wyborów parlamentarnych w naszym kraju obserwujemy ze zgrozą haniebne i niszczące Polskę poczynania niejakiego Ewarysta Kunickiego. Osobnik ten nie zajmuje się ściganiem narastającej przestępczości, nie interesuje go ochrona Substancji Narodowej przed osobami, które wbrew prawu wyszydzą i poniżają Naród Polski, również inne konstytucyjne obowiązki przynależne piastowanej pozycji są mu obce. Zamiast robić, co należy, niejaki Kunicki poświęca czas, energię i pieniądze polskich podatników na to, żeby dogodzić ordzie oszustów, narkomanów, zabójców dzieci i tych, których celem jest rozpijanie w kierunku likwidacji naszego Narodu.

W sytuacji, w której żadna z patriotycznych sił politycznych nie jest w stanie przeciwstawić się nadciągającemu Holocaustowi Narodu Polskiego, my, Jedyni Synowie Polski, zastrzegamy sobie prawo do podjęcia działań obronnych...”.

Tamara Janicka robi dłuższą pauzę, jej ręka wyraźnie drży z emocji. Gdy wraca do lektury, czyta tekst jeszcze przez półtorej minuty. Ostatnie zdanie na kartce brzmi:

„Precz ze złą złą, precz z neokomunizmem, precz z kulturowym marksizmem i transhumanizmem! Precz z handlarzami idei i zdrajcami Narodu. Nasze obowiązki są polskie i tylko polskie!”.

- Na końcu jest potrójny wykrzyknik - kończy cicho rzeczniczka.

Przez kolejne kilka sekund doskonała cisza w sali trwa.

A potem wybucha nagły i ogólny rwetes: dziennikarze wstają, przewracając krzesła, leci na ścianę przeciążony wieszak z płaszczami i kurtkami, ktoś komuś wytrąca laptopa z ręki, ktoś inny klnie, niebezpiecznie chwieją się dwie halogenowe lampy na statywach. Jedni chcą szybko wyjść, inni przepychają się w stronę Janickiej. Młodzi reporterzy przekrzykują się z poważnymi, przynajmniej z wyglądu, publicystami i choć jasne jest, że w takich warunkach nikt o nic nikogo nie zapyta i niczego nie nagra, emocje są silniejsze.

Janicka unosi upierścienioną dłoń, próbuje coś powiedzieć, ale nie słyszy własnych słów. Wychudzone stworzenie, które jej towarzyszy, macha obiema rękami, lecz także nie powstrzymuje rozgorączkowanych krzykaczy. Ciszej robi się dopiero w momencie, gdy przed zebranymi nagle i nie wiadomo skąd pojawia się mniej więcej sześćdziesięcioletni, ostrzyżony na jeża i lekko siwawy mężczyzna w dobrze dopasowanym czarnym garniturze. Unosi rękę - na serdecznym palcu ma duży, srebrny sygnet. Zegarek także się błyszczy. Kilka razy otwiera i zaciska uniesioną dłoń.

Ten gest intryguje i zarazem uspokaja krzyczących.

- Pułkownik Drwęcki, szef Departamentu Zwalczania Terroryzmu - prezentacja jest krótka i od razu staje się jasne, że innej nie będzie. - Wiem, o co państwo chcecie pytać, ale pytań jest za wiele. Nie zdążymy na nie odpowiedzieć, a czas jest dzisiaj ściśle limitowany. Zostało dwadzieścia jeden minut.

Szmer niezadowolenia przechodzi przez salę, lecz jest już w miarę cicho. Większość zebranych usiadła z powrotem na krzesłach, niektórzy z reporterów zdejmują marynarki i bluzy, bo temperatura we wnętrzu wzrosła.

- W tej chwili odczytam wspólne oświadczenie Komendy Głównej Policji i Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego - zaczyna pułkownik.

Jego przemówienie jest pełne sensacji.

Po pierwsze: nadawcą odczytanych przed chwilą gróźb przedstawiającym się jako członek organizacji Jedyni Synowie Polski wedle sporządzonego już kilka tygodni temu portretu psychologicznego jest prawdopodobnie młody mężczyzna, samotny, mający średnie wykształcenie ogólne, znający język angielski co najmniej w stopniu podstawowym.

Po drugie: przedstawiony e-mail z groźbami pod adresem Ewarysta Kunickiego nie jest jedyny. Było kilka. Pozostałe nie zostaną na razie upublicznione. Wszystkie teksty nadane zostały z konta założonego na nigeryjskim serwerze obsługującym anonimowych abonentów. Dzięki pomocy polskiej ambasady na miejscu ustalono, że nadawca tekstów dostawał się

do swojej poczty, używając nic nieznaczącego hasła.

- Jakiego? - ktoś jednak odważa się zadać pytanie.

- Kombinacja liter i liczb, nic ideologicznego - mówi pułkownik.

Dalej opowiada o tym, jak to fachowiec łączył się z Nigerią za pomocą komputera lub kilku komputerów, których numery identyfikacyjne zamaskował za pomocą rosyjskiego programu o nazwie RE-1-TOR - to absolutna nowość na rynku cebulowego routingu. Pewne ślady po logowaniach oczywiście pozostały, ale jakie - tego na razie pułkownik nie może ujawnić. Trwają czynności.

Trzecia sensacja: według informacji ABW zgromadzonych jeszcze przed dzisiejszą tragedią ten sam domniemany autor ostrzeżeń miesiąc temu zamieścił w sieci anglojęzyczny tekst będący czymś w rodzaju pochwalnego listu otwartego adresowanego do dwóch osób: siedzącego w amerykańskim więzieniu Teodora Kaczynskiego zwanego Unabomberem oraz do Andersa Breivika, zamachowca z Norwegii. Pod manifestem widnieje podpis: „Syn Polski”.

Czwarty i ostatni punkt przemowy, częściowo odczytywany przez pułkownika z kartki, a częściowo wygłaszany z pamięci, wygląda na próbę wytłumaczenia się.

- Jak widać z powyższych ustaleń, zarówno organy policji, jak i Agencji zajmowały się sprawą gróźb od chwili ich zaistnienia i potraktowały zagrożenie poważnie. Zachodzi pytanie: czy dotychczasowe podjęte czynności były wystarczające? Jak się okazuje - prawdopodobnie nie. Mogę jednak zapewnić, że wszystkie podjęte do tej pory działania i ewentualne zaniechania poszczególnych osób czy funkcjonariuszy będą poddane szczegółowej analizie, a odpowiednie służby wewnętrzne wyjaśnią, czy można było... - Mówiący robi przerwę, jakby się nad czymś zastanawiał.

Nikt mu nie przeszkadza.

-...czy mając dotychczasowe dane, można było zrobić cokolwiek więcej, by uniknąć dzisiejszego zamachu.

- A jak pan osobiście sądzi? - Starsza dziennikarka z drugiego rzędu wyciąga w górę dyktafon.

- Moje osobiste zdanie nie ma żadnego znaczenia. Zostało półtorej minuty, które mogę państwu poświęcić.

- Czy zastrzelony przez policję zabójca i nadawca listów to ta sama osoba? - Pytanie, które wydaje się teraz najsensowniejsze, zadaje brodaty młodzieniec w wąskich okularach i z małym plecakiem ozdobionym logotypem niszowego tygodnika.

- Nie mamy pewności, czy człowiek, którego dzisiaj ścigano, zginął z ręki policjanta -

pułkownik Drwęcki odpowiada z kamienną miną, jakby nie dostrzegł gwałtownego poruszenia wywołanego tym, co właśnie mówi. - Za wcześnie też, aby ocenić, czy to ta osoba jest nadawcą pogrózek. Drodzy państwo... - Oficer chowa do wewnętrznej kieszeni marynarki papiery, które dotychczas trzymał w dłoni. Jego ton robi się nieco mniej sztywny. - Pozwolę sobie zauważyć, że jest za wcześnie nawet, by ogłosić, że to w ogóle był zamachowiec. Apeluję o cierpliwość. Śledztwo trwa, czynności wykonywane są bardzo intensywnie, policyjne ekipy, a także funkcjonariusze Agencji, pracują w kilku miejscach równocześnie, działania koordynuje sztab kryzysowy. Myślę, że jutro rano będziemy mogli przekazać wiele informacji. Dziękuję.

3.

Wtorek, 3 lutego

- Robercik! - Głos dobiega zza uchylonej szyby czekającego na czerwonym świetle wielkiego czarnego auta z wyłączonym kogutem na dachu. Pruski podchodzi do krawężnika. Widzi swego starego druha Grzesia Kopcińskiego, w toruńskich czasach zwanego Kopytem, a częściej Kopytkiem, teraz odzianego w tweedową marynarkę ministerialnego waźniaka. Siedzi samotnie na tylnym siedzeniu jak jakiś pieprzony ambasador, w ręce trzyma tablet z białą obudową. Przed nim - za kierownicą - słabo widoczny, zapewne służbowy szofer. - Co za spotkanie! Jesteś teraz w Warszawie?

- Jak widzisz.

Skrzyżowanie Francuskiej i Waszyngtona to chyba wciąż Warszawa, chociaż już Saska Kępa.

- Musimy się spotkać, stary... Numer masz ciągle dawny?

- Aparat też mam dawny. - Robert wyciąga z kieszeni sfatygowaną, sześćioletnią nokię i potrząsa nią przy uchu, jak gdyby sprawdzał, czy coś tam w środku nie grzechoce. Niech rząd popatrzy, jak trudno się żyje ludowi.

- Zadzwoń do ciebie przed weekendem, koniecznie musimy pogadać!

- Będę czekał w napięciu.

- U nas teraz kaszana, to wiesz...

- Wiem.

- Ale zadzwonię. Potrzebuję powietrza!

- Do usług.

Volvo rusza powoli w kierunku biało-czerwonego stadionu, a Robert, piechotą,

w przeciwną stronę. Francuska, jego nowa ulica i kolejny, co najmniej dziesiąty życiowy adres, zasypana jest śniegiem miejscami do kostek, miejscami do pół łydki. Białe i brudnoszare pryzmy są już wyższe od słupków dzielących chodnik i jezdnię. Pruski idzie niespiesznie najpierw wzdłuż bloków, potem mijając modernistyczne wille. Pociąga cienkiego pall malla i kontempluje okolicę - fajnie tu jest. Kafejki - jak ta przy skrzyżowaniu z Lipską, którą właśnie mija - wystawiają zewnętrzne ogródki nawet podczas zimy. Nagrzewnica hula, ciepłe koce czekają na odważnych. Można palić. Przyjazne miejsce do życia. A jednak Iwona nie chce się przeprowadzić... Ostatnio niczego od niego nie chce. W tym problem.

W ciągu ostatnich dwóch i pół roku w życiu Roberta Pruskiego i jego partnerki zmieniło się dużo i - niestety - na gorsze. Na początku, jak to zwykle bywa, łął się wyłącznie miód. Opublikowane w "Głosie Torunia" artykuły o tak zwanym ruskim Wampirze, zabójcy rodziców Iwony, przyniosły Pruskiemu sławę w mieście pierników, parę nagród i tę znajomość, która wydawała się autentyczną miłością. Nawet nią była. Chyba. Dwa lata temu wszystko się udawało - nie tylko w kwestiach sercowych, ale też tak... ogólnie. Najpierw na gali w dwudziestopiętrowym hotelu szalowa, wyższa od niego o głowę blondynka o murzyńskich ustach wręczyła mu - jako Dziennikarzowi Roku - kluczyki do sportowego nissana w kolorze jaskrawej żółcieni.

Później kilka miesięcy zajęło mu napisanie książki o chwytliwym tytule *Wywiad z wampirem* oraz - co okazało się trudniejsze - nauka i zdawanie egzaminu na prawo jazdy. Podchodził do niego cztery razy, w końcu się udało.

Kolejnym zwycięstwem okazała się sprzedaż *Wywiadu*.

Książka poszła rewelacyjnie - może dlatego, że w części księgarń ustawiono ją na jednej półce z amerykańskimi bestsellerami o miłości pomiędzy nastoletnimi konsumentami krwi, a może dlatego, że faktycznie była dobra. Jak to często w życiu bywa, zaraz po sukcesie przyszedł zimny prysznic - rozbił nissana. Nie ze swojej winy.

Zderzenie na zwanej Rydzykówką szosie Toruń-Płońsk było dramatyczne: furgonetka z przyczepką wyjechała nagle z bocznej drogi, a Robert z powodu pędzących z przeciwka aut nie był w stanie jej wyminąć. Zahamować też nie zdołał. Nadeszło siedem długich tygodni w szpitalu - złamanie kości nogi z podwójnym przemieszczeniem. Wyszedł na własne życzenie pouczany przez doktora, że robi głupio, nie kontynuując leżenia.

Z pieniędzy, które ubezpieczalnia wypłaciła za skasowany wóz i szkody na zdrowiu, kupił piętnastoletniego SUV-a marki Subaru: ciężkiego, bezpiecznego i dużo bardziej przystającego facetowi po czterdziestce niż sportowe cacko z opuszczanym dachem.

Przez kilka miesięcy nic ważnego się nie działo. Nadeszły błogie czasy harmonii i spokoju. „Głos Torunia”, tygodnik sławny po akcji z Wampirem, sprzedawał się wystarczająco dobrze, by domykać budżet. Warszawscy właściciele przy każdej okazji stawiali Toruń za wzór kilkunastu podobnym periodykom koncernu. Robert cieszył się związkiem z Iwoną i faktem, że coraz mniej utyka.

Ich pierwszy rok - z wyłączeniem ciężkiego do zniesienia okresu hospitalizacji - oboje określali zgodnie jako najszczęśliwszy czas w życiu. Iwona bezproblemowo zaakceptowała fakt, że on ma w Toruniu być żoną i dwójkę dzieci. Polubiła Krzysia i Jasia, a oni polubili „ciocię”. Mało tego: „ciocia” zaprzyjaźniła się z Kamilą, mamą jego dzieci.

No... może „przyjaźń” to określenie nieco przesadzone - po prostu kilka razy spotkali się we trójkę: on, jego dziewczyna i jego była.

Raz nawet spędzili weekend we czwórkę - z Dominikiem, nowym facetem Kamili.

Iwona była wyrozumiała. Nie przeszkadzały jej ani zwariowane godziny pracy Roberta, ani jego wahania nastrojów, ani też nerwica objawiająca się najdziwniejszymi kompulsjami. Wytrzymywała z nim, gdy po kilka nocy z rzędu nie mógł zasnąć i łąził w kółko po mieszkaniu, podjadał, czytał gazety, pił kolejne herbaty, znowu podjadał, palił, grzebał w laptopie, czytał... i tak dalej.

Ich związek zaczął się psuć standardowo - w drugim roku - ale nie wskutek wzajemnego znudzenia się sobą, tylko z powodów, które Robert na własne potrzeby - albo dla uspokojenia - określił mianem „zewnątrznych”.

W ciągu jednego miesiąca - to było we wrześniu, prawie cały czas padał wówczas deszcz - Iwona dostała pełnoetatową posadę na kierowniczym stanowisku w tej samej agencji ubezpieczeniowej, dla której wcześniej pracowała jako jednoosobowa firma. A on został bezrobotny. Po dramatycznym spotkaniu z prezesami Atrium złożył wypowiedzenie. Udało mu się tylko wymóc na prezesie Glińskim gwarancje dalszego zatrudnienia dla swoich dwóch współpracowniczek w Toruniu - dziennikarki Justyny i Katarzyny, graficzki. Miały odtąd zajmować się „Ilustrowanym Kurierem Północnym”.

On sam poszukał posady poza Toruniem. Sława pogromcy „Wampira” pomogła mu znaleźć pracę w Warszawie. Myślał przez kilka tygodni o Poznaniu albo Trójmieście, lecz w końcu uznał, że jak już ma dojeżdżać, to będzie jeździł w miejsce, gdzie płacą najwięcej. Dlatego rozesłał oferty pod kilkanaście wyłącznie stołecznych adresów.

Ostatecznie podpisał dwie umowy: jedną z Wyższą Szkołą Dziennikarstwa, drugą - z debiutującym na rynku snobistycznym dwumiesięcznikiem „Rynek Sztuki”.

Założyciele szkoły - trzech redaktorzy o znanych nazwiskach, jeden telewizyjny

celebryta i jeden prawnik - zlecili mu prowadzenie ćwiczeń ze słuchaczami przez trzy dni w tygodniu. Nie przeszkadzało im absolutnie, że jest tylko prostym magistrzem - okazało się zresztą wkrótce, iż pozostałym pracownikom naukowym, zwanym szumnie „wykładowcami”, też wiele brakuje do profesury.

Człowiek od dwumiesięcznika sztuki - prawie siedemdziesięcioletni Szymon Galper, marszand z paszportem USA spędzający zimniejsze pół roku w Kalifornii, fanatyk Facebooka, Twittera i wszelkich technologicznych nowinek - zlecił Robertowi całościowe redagowanie czasopisma: od okładki po notki na przedostatniej stronie. Plus autorski felieton w każdym numerze.

Potrzebował rozpoznawalnego nazwiska za niewielkie pieniądze, Robert zaś przypasował mu jako uhonorowany nagrodami reporter, a zarazem posiadacz dyplomu plastyka.

Jemu samemu marszand przypadł do gustu z dwóch powodów.

Po pierwsze, zaproponował na początek cztery i pół tysiąca na rękę - czyli z grubsza dwa razy tyle co szkoła dziennikarska - a przy tym wcale nie poruszył tematu godzin pracy. Do redakcji zorganizowanej na pierwszym piętrze należącej do niego modernistycznej willi przy ulicy Francuskiej, gdzie przed pojawieniem się Roberta kilkunastoosobowa grupka młodych zapaleńców szykowała od miesięcy - z mizernym skutkiem - numer zerowy, mógł wpaść o każdej porze dnia i nocy albo nie przyjeżdżać całymi dniami. Galpera interesował tylko efekt, a nie dupogodziny. I Robert mu ten efekt dał.

Po drugie, właściciel-wydawca okazał się niesamowicie ciekawym facetem. W latach sześćdziesiątych wyemigrował z Polski, ukończył już jako dorosły mężczyzna Uniwersytet Kalifornijski w San Diego ze specjalnością „sztuka, architektura i archeologia”, potem zaś zyskał tytuł odpowiadający polskiemu profesorowi oraz poważne pieniądze. Zawsze starannie uczesany, wyperfumowany, lekko opalony i nienagannie ubrany, znał się na literaturze, teatrze, nafcie, transporcie morskim, na motylach, diamentach i kabale. Robert nigdy wcześniej nie spotkał człowieka, który potrafiłby tak prosto i zwięźle przekazać wiedzę z praktycznie dowolnej dziedziny. Facet przeczytał chyba połowę ksiązek świata.

Każda godzina spędzona z Szymonem to był dobrze zainwestowany czas.

Pół roku później, po wypuszczeniu pierwszego, fachowo wypromowanego numeru „Rynku Sztuki”, który sprzedał się całkiem nieźle - i, co ważniejsze, przyciągnął reklamodawców z kilku luksusowych branż - Pruski wiedział już, że Galper to facet, z którym chce pracować.

Zwariowana Szkoła Dziennikarstwa nie dawała takiej satysfakcji nawet w połowie,

nie mówiąc o tym, że ciągle spóźniała się z wypłatą i tak marnego wynagrodzenia.

Najgorsze było jednak coś całkiem innego: po niespełna półrocznym życiu między Warszawą i Toruniem zaczęło mu się z Iwoną psuć wszystko oprócz seksu.

Jego coraz dłuższe pobyty na Francuskiej - Galper bezpłatnie wydzielił połowę piętra z kuchnią, łazienką, małą sypialnią i wąskim łóżkiem - były jak robaki podgryzające ich udany do tej pory związek. Problem pogłębiły zupełnie różne zainteresowania obojga i jakaś wcześniej głęboko schowana fundamentalna różnica w postrzeganiu świata, w którym on widział najczęściej szklanki w połowie pełne, a ona - w połowie puste.

Pruski mimo napadającej go co jakiś czas chandry pozostawał niepoprawnym optymistą. Parł do przodu. Gdy się nie udawało - wbić gwoźdź, zainstalować program, naprawić zaciętego suwaka - próbował jeszcze raz. Wszelkie działania, których się podejmował, były po coś. Dla pieniędzy, dla dzieci, dla niestoczenia się w przepaść. Ją nosły sprzeczne wiatry, wyprowadzały z równowagi błahostki, potrafiła się poświęcić irracjonalnym, altruistycznym albo po prostu oderwanym od rzeczywistości działaniom, które czasem miały sens metafizyczny - jak poszukiwanie grobu rodziców - a czasem nie miały żadnego. A w każdym razie Robert go nie widział.

No i jeszcze - przeciwne zapatrywania na kwestię prokreacji.

Iwona chciała dziecka, Robert uznał, że jest za stary na ojca kolejnego małego stwora, zaś jego chłopcy - dwunastoletni Krzysio i młodszy o dwa lata Jaś - nie potrzebują nowego braciszka, tylko więcej czasu spędzanego z tatą. A on sam potrzebuje więcej wspólnych wieczorów z Iwoną, bo inaczej ich związek się rozleci.

Przed trzema miesiącami zaproponował jej przeprowadzkę do Warszawy. Dla ratowania relacji. Odmówiła.

Nie chciała opuszczać swego toruńskiego mieszkania, nie chciała zmieniać pracy, w której po latach dorywczych i słabo wynagradzanych robót została wreszcie doceniona i opłacona jak należy. Może nie chciała zostawić czegoś - lub kogoś - jeszcze?

Robert wracał do tematu przenosin czterokrotnie i za każdym razem miał poczucie, że natyka się na mur, którego fundament oparty jest na jakiejś tajemnicy Iwony. Słyszał tylko, że Warszawa jest brzydka, hałaśliwa, brudna, przeludniona, pozbawiona proporcji i sensu. W zasadzie się z tym zgadzał, ale... są tu przecież i miejsca urocze. Jak choćby Francuska i te jej wszystkie mikroskopijne bary serwujące falafele albo afrykańskie przysmaki. Bary takie jak ten, do którego wchodzi na spóźnione śniadanie.

Jest pusto - prócz niego tylko dwie młode dziewczyny nad kawą i kawałkami ciemnego, krojonego ciasta. Senegalski kelner przynosi serwetę i pyta:

- To cio ziawsie dać?

Robert potwierdza. Fasolowe pączki w pomidorach za piętnaście złotych od porcji nie mają sobie równych, więc po co zamawiać cokolwiek innego?

Czekając na jedzenie, przygląda się dziewczętom. Obie bardzo wysokie i szczupłe, jedna ma na sobie luźny sweter z dużym wycięciem, przez które wyziera nagie ramię o przyjemnym, oliwkowym kolorze. Druga, o długiej szyi i jeszcze dłuższych nogach, pokazuje z profilu piękną, mądrą twarz. Idealny krój policzków o nieco wystających kościach plus pełne wargi, które uznałby za arcydzieło chirurga, gdyby nie to, że anioł ma nie więcej niż osiemnaście lat i chyba wszystkie elementy jeszcze naturalne.

Kiedy między nim a Iwoną układało się w miarę dobrze, wcale nie zauważał dziewczyn wokół siebie. Jakby ich nie było. A teraz... Sytuacja mocno się skomplikowała - i to na różnych frontach.

Jego była żona Kamila rozstała się ze swoim obecnym facetem w Toruniu. Robert początkowo udawał sam przed sobą - i przed nią - że w ogóle go to nie obchodzi, jednak w pewną sobotę, po standardowym widzeniu z chłopcami, których zabrał na długi spacer, a potem oddał mamie, ta zaproponowała mu pozostanie na noc. Nie odmówił.

Jej pytanie - „zostaniesz?” - i jego odpowiedź - „zostanę” - nastąpiły po sobie w ciągu kilku sekund. Później przez kilka tygodni zastanawiał się, dlaczego się na to zdecydował. Może przyczyniło się do tego kilka wcześniejszych cichych dni z Iwoną, a może dobry - jakiś taki rodzinny - nastrój po wycieczce z Krzysiem i Jasiem?

Kolacja we czworo poprawiona deserem we dwoje nie zakończyła się w łóżku. Płynnie przeszła jednak w kilkugodzinną rozmowę na rozkładanej kanapie, rozmowę, z której początkowo nic ważnego nie wyniknęło - poza tym, że Kamila na koniec położyła mu stopy na kolanach, a w jego głowie - i sercu - coś się bezszelestnie, lecz trwale przestawiło.

Dwa tygodnie później miał już swe rzeczy rozsiane w trzech miejscach. W Toruniu, w bloku przy Gagarina - u Iwony. Dwa kilometry dalej, przy Kraszewskiego - u Kamili. No i tutaj, w Warszawie - przy Francuskiej.

Święta spędził w połowie z Iwoną, w połowie z Kamilą i dziećmi.

Na sylwestra Iwona zabrała go do nowomodnego klubu, gdzie wszyscy szybko się upili, a Robert, znudzony jak mops, wypalił półtorej paczki pall malli. W Nowy Rok był już z klasycznym suchym kaczem na obiedzie u byłej żony.

Teraz, po czterdziestu dniach kursowania między dwiema kobietami, dwoma miastami i dwiema pracami, po dziewięciu dobach spędzonych ciągiem nad kolejnym numerem „Rynku Sztuki” i na zajęciach w szkole, Robert czuje wyraźnie, że coś musi z tym wszystkim

zrobić albo się wykończy.

Jak zawsze za dużo sobie wzięłeś, człowieku, na głowę. Szczęście, że za tydzień urlop.

W związku z nadchodzącymi feriami szkolnymi w Toruniu zaklepał sobie od następnego wtorku wolne - i u Szymona Galpera, i u pani kanclerz w Wyższej Szkole Dziennikarstwa. Damian, jeden z najstarszych toruńskich kumpli, obiecał mu klucze do przerobionej z gospodarstwa rolnego wiejskiej posiadłości, którą odziedziczył po rodzicach: dwóch pustych domów na wiślanej skarpie między Włocławkiem a Ciechocinkiem.

Palenie w piecu, wyciąganie wody ze studni, sanki, łyżwy, łowienie ryb w przerębli i spacer po lesie.

Krzysio, Jasio i tata.

Bez Iwony, bez Kamili, bez nikogo. Pięć dni.

Robert kończy śniadanie, dopija hibiskusowy napój, zostawia dwudziestozłotówkę i wychodzi, wymieniając uśmiechy z czarnoskórym barmanem. W staroświeckim radiodbiorniku na kontuarze lektorka Radia Tok FM zaczyna czytać wiadomości. Oczywiście najpierw mówi o tym cholernym odstrzelonym zamachowcu.

* *
*

Najciekawsze wieści na temat śmierci Kajetana Leskiego, syna Ludwika i Eweliny - ochrzczonego już przez internautów Skurwysynem Polskim - pojawiły się kilka godzin wcześniej, o szóstej rano. Szczeciński reporter Polskiego Radia jako pierwszy zauważył dziwny fakt: nikt ze ścigających terrorystę - a byli wśród nich, prócz policji, także żandarmi wojskowi, leśnicy, inspektorzy celni i tak zwani gumisie z dwóch różnych jednostek specjalnych - otóż nikt nie ma pojęcia, kto zastrzelił uciekiniera niedaleko opłotków wioski Psie Głowy. Mało tego: jeden z uczestników obławy, strażnik gminny, z którym szczecińskiemu dziennikarzowi udało się porozmawiać w terenie, zapewnia, że wszyscy uczestnicy pościgu - dosłownie każdy szeregowy funkcjonariusz stojący na każdej z kilkunastu blokad drogowych - byli wielokrotnie instruowani, aby nie strzelać, chyba że w obronie własnej.

Pojawia się zatem pytanie: kto - a przede wszystkim: dlaczego - wystrzelił?

Jeszcze poprzedniego wieczora wiadomość o śmierci prawdopodobnego sprawcy największego w Polsce zamachu politycznego od czasu eksplozji w Cytadeli Warszawskiej nikogo nie oburzała. Mogło się wydawać, że kula w łeb to jedyna dająca się zaakceptować zapłata za wymordowanie dwudziestu jeden osób.

Nazajutrz nie wygląda to już tak prosto.

Dziennikarze wspominają zabójstwo Kennedy'ego, zamach na Abrahama Lincolna i całkiem świeży przypadek islamskiego zamachowca zastrzelonego przez służby specjalne w Algierii zaraz po tym, gdy rzucił bombę na przejeżdżającą grupę Europejczyków.

W tym ostatnim wypadku zabójca terrorysty - oficer bezpieczeństwa - sam okazał się człowiekiem talibów.

Kto więc zabił Kajetana Leskiego i czy przypadkiem nie uczynił tego jakiś jego wspólnik, aby uniemożliwić doprowadzenie mordercy na przesłuchanie?

Natłok komentarzy, odczytywane kilka razy dziennie orędzie premiera zapewniającego rodziny zamordowanych o "wspieraniu ze strony rządu", ogłoszenie przez prezydenta żałoby narodowej, do tego obrazy szlochających matek, żon, dzieci... Wszystko to wciąż jeszcze spycha na drugi plan pytanie o zgon samego terrorysty. Ale co bystrzejsi redaktorzy już w tej chwili zamawiają przede wszystkim materiały o życiu Kajetana.

* *
*

Leski przyszedł na świat w Łodzi i w tamtej okolicy popełnił wszystkie swoje wcześniejsze przestępstwa.

Jego akta wymieniają włamania do samochodów i kradzieże, za które został skazany na pół roku więzienia w zawieszeniu, oraz udział w zorganizowanej grupie przestępczej trudniącej się produkcją i dystrybucją nielegalnego alkoholu. Za rozwożenie po knajpach i sklepach lewej wódki dostał rok i trzy miesiące, z czego odsiedział połowę.

Ostatnie zarzucone mu przestępstwo to współudział w porwaniu i wymuszeniu okupu. Czterooosobowa banda przez siedem miesięcy więziła po słowackiej stronie granicy córkę przedsiębiorcy z branży paliwowej. Leski był najmniej ważnym uczestnikiem przedsięwzięcia, w akcie oskarżenia prokuratura zarzuciła mu jedynie pomocnictwo. Dużo poważniejsi od niego bandyci wynajęli go po prostu jako dobrego szofera ze względu na umiejętności, którymi prawdopodobnie wykazał się wcześniej.

Aresztowany w sprawie kidnapingu w trakcie śledztwa nie przyznał się do winy, nikogo nie sypnął, po czym - wypuszczony za kaucją podczas ślimaczącego się postępowania sądowego - zniknął.

Cztery miesiące temu wystawiono za nim list gończy.

„Kajetan Dominik Leski, pseudonim »Leszcz«, urodzony 2 lipca 1978 r., wykształcenie niepełne średnie, imię ojca - Ludwik, ostatnie miejsce zamieszkania: Łódź, ulica Kanałowa 213/56.

Wzrost 196 cm, waga ok. 110 kg, muskularna budowa ciała, włosy krótkie, może być

obecnie wygolony. W przypadku jakichkolwiek informacji na temat miejsca ukrywania się mężczyzny należy kontaktować się z oficerem...”.

Teraz, w południowych wiadomościach telewizyjnych, obraz listu gończego ozdobionego zdjęciem nieco puciołowatego mężczyzny pokazywany jest widzom na przemian z materiałami nakręconymi w Psich Głowach.

Już wiadomo, że Leski zginął tam od jednego, supercelnego strzału z daleka.

- Trwa analiza kuli wyjętej z potylicy zastrzelonego - informuje telewidzów modnie ubrana reporterka stojąca na tle dwóch pasów żółtej i biało-czerwonej taśmy rozpiętej między bezlistnymi drzewami wiejskiego sadu.

- Wszystko działo się tutaj jakby w dwóch aktach, z których drugi nastąpił po zapadnięciu ciemności. Kilkanaście minut przed tym, gdy zamachowiec pojawił się na drodze w Psich Głowach po raz pierwszy, jeden z mieszkańców wioski próbował wyjechać z niej samochodem. Auto utknęło na drodze. Według policjantów, z którymi dzisiaj rozmawiałam, stojący w poprzek jezdni samochód zmusił uciekiniera do powrotu na gołe pole, poprzecinane w tym miejscu rowami melioracyjnymi, i objechania tego terenu. Około godziny czternastej trzydzięci Kajetan Leski, by wydostać się z pola, wjechał do lasu.

Dziennikarka robi kilka kroków w stronę kamery, operator też najwyraźniej zmienia pozycję, bo w tle zamiast sadu pojawia się rząd policyjnych i cywilnych samochodów. Między autami ciągle jeszcze pracują funkcjonariusze w czapkach i mniej liczni cywile w płaszczach. Zza płotów wszystko to obserwuje grupa kobiet i kolorowo ubranych dzieci.

Reporterka poprawia słuchawkę w uchu.

- Jak już wiadomo, uciekającemu nie udało się przejechać przez las, co potwierdził mi jeden z oficerów pracujących nad rekonstrukcją zdarzeń... Rekonstrukcją bardzo ważną, ponieważ tylko ona może przybliżyć nas do odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób zginął tutaj sprawca zamachu. Wracając do wydarzeń: wszystko wskazuje na to, że Leski zmuszony był krążyć po lesie, a ponieważ drogi i przecinki, co potwierdziłam dzisiaj w nadleśnictwie Kłosowo, były i nadal są trudno przejezdne nawet dla przystosowanych do tego pojazdów... najwyraźniej postanowił wrócić po śladach własnych kół wprost w czekającą obławę. Ostatni akt dramatu rozegrał się ponownie właśnie tutaj, jak państwo wiedzą, po szesnastej dnia wczorajszego. W momencie, o którym opowiadam, po obu stronach wioski zebrały się już główne siły pościgowe: co najmniej sześć policyjnych radiowozów, straż pożarna, samochód nadleśnictwa... Jak twierdzą moi rozmówcy, jeep zamachowca pojawił się na polu w pełnym pędzie i bez świateł. Uciekinier wykonał kilka desperackich operacji, cofał samochód, próbował w końcu przekroczyć autem rów, ale to się nie udało, no i właściwie od tego

momentu poszczególne relacje, do których dotarłam... te relacje zaczynają być sprzeczne. Zamachowiec został trafiony w głowę, tyle tylko wiemy. Śmiertelny pocisk jest obecnie analizowany w policyjnym laboratorium.

* *
*

O piątej po południu Kajetan Leski na krótko przestaje być głównym tematem serwisów. Wozy transmisyjne z antenami jadą na pogranicze Ursynowa i Wilanowa, gdzie w niewysokim szeregowcu przy ulicy Nowoursynowskiej kilka godzin wcześniej powiesił się January Okryński, radca z Ministerstwa Sprawiedliwości.

Według nieoficjalnych informacji to właśnie ten mężczyzna - sześćdziesięcioletni wdowiec mieszkający samotnie w eleganckim, dwupoziomowym apartamencie - sporządził przed dwoma tygodniami ostateczną wersję listy prawników zaproszonych na spotkanie w Omedze. To on osobiście polecił jednemu z ministerialnych sekretariatów rozesłać zaproszenia pocztą priorytetową.

Dziś nie pojawił się w pracy.

Prawdopodobnie około godziny dwunastej w południe położył w kryształowej popielniczce jednozdaniowy list. Napisał: „Nie wytrzymałem tego”. Uplecioną z prześcieradła pętlę zaczepił o balustradę antresoli. Zostawił włączony telewizor i czworo dorosłych dzieci.

Pierwszy program telewizji w głównych, wieczornych wiadomościach zadaje oczywiste pytanie, czy urzędnik mógł czuć się współwinny tragedii na tyle, by odebrać sobie życie. Zaproszony do programu warszawski psycholog, którego kamera zdejmuje na tle zaśnieżonego Ogrodu Łazienkowskiego, orzeka, iż to „wysoce prawdopodobne”. Z rodziną zmarłego telewizji nie udaje się skontaktować.

4.

Środa, 11 lutego

Pawła Domaradzkiego i Maję Szalawską upodabnia do siebie tylko to, że mają po dwadzieścia cztery lata. Poza tym właściwie wszystko ich różni. On - chudy, wysoki, brodaty i z wielką szopą dredów na głowie. Nieprzywiązujący wagi do konwenansów syn „pani magister” z apteki i właściciela małego, cienko prowadzonego sklepu meblowego. W dzieciństwie wszechstronnie uzdolniony laureat sportowych zawodów i konkursów wiedzy, potem gitarzysta w garażowej czy raczej piwnicznej kapeli grającej starego brytyjskiego rocka; jeszcze później autor mocno odjechanego muzyczno-literackiego bloga.

Gdy trzy lata temu przyjechał z Iławy do Warszawy, by studiować historię, miał ze sobą: po pierwsze - dużo ambicji; po drugie - ledwo trzysta złotych, jako że ojciec stosował w domu politykę trudnego pieniądza; po trzecie - zapisany na kartce adres stryjenki, starszej siostry ojca mieszkającej samotnie w lichym domku przy ulicy Polskiej na Siekierkach. Dotarł na tę ulicę autobusem z Dworca Centralnego, a potem piechotą od skrzyżowania Gagarina i Czerniakowskiej. Było sierpniowe upalne popołudnie, on niósł wielki plecak, a pot spływał mu w szparę między pośladkami. Tego dnia zmienił wyobrazenie o Warszawie. Wcześniej - jak każdy licealista - poznał Złote Tarasy, Starówkę, Muzeum Powstania Warszawskiego i Centrum Nauki „Kopernik”. Teraz, zaraz za rzędami nowych bloków przy Bartyckiej i Bluszczańskiej, zobaczył okolice, jakich w Iławie próżno szukać. Hektary opuszczonych działek pracowniczych zaludnionych przez brodatych, spalonych słońcem i gorzałką zbieraczy złomu oraz ich wiecznie nieprzytomne towarzyszyki o tłustych włosach i nerwowych ruchach. Zaśmiecone mokradła ciągnące się kilometrami w stronę Wisły. Między tym wszystkim koślawe, mikroskopijne domki, każdy z nich jedyny w swoim rodzaju, każdy wystawiony metodą gospodarczą przez jakiegoś przedwojennego złodzieja, wytwórcę bimbru albo ostrzyciela noży. Na domkach krzywe gołębniki, w blaszanych garażach - ciągnące resztką sił warsztaty reanimacji najstarszych samochodów.

Paweł absolutnie się nie zniechęcił - ani Siekierkami, ani Warszawą w ogóle.

W ciągu roku zdobył stypendium naukowe i posadę instruktora w siłowni połączonej z klubem fitness blisko centrum, po kolejnych dwunastu miesiącach dodał do aktualnych obowiązków nocne, nieźle płatne dyżury w Info-Radio, dzięki czemu mógł sam opłacić trzyletnią naukę w prywatnej Wyższej Szkole Dziennikarskiej. Szybko został w niej dostrzeżony jako jeden z najzdolniejszych studentów. Podwójne studia udało mu się pogodzić nie tylko z pracą radiowego dziennikarza stażysty, lecz również z opieką nad coraz bardziej chorą stryjenką, którą własne dzieci opuściły wiele lat temu. Z miesiąca na miesiąc coraz więcej czasu poświęcać też musiał utrzymywaniu w jako takim stanie należącej do ciotki rozpadającej się prawie stuletniej murowanki z toaletą na zewnątrz, gdzie obok niego i starszej pani na trzydziestu pięciu metrach kwadratowych gnieździło się jeszcze pięć kotów i dwa psy. Obowiązek łatania dachu, naprawiania rur, podpierania zarwanej podłogi i dokarmiania całej menażerii czworonogów spadł oczywiście na Pawła.

Rok temu stryjenka zmarła. Pokrzywiony domek na Polskiej, wraz z otaczającą go zarośniętą działką, zapisała swemu ostatniemu, jedyjnemu opiekunowi. „Kochanemu, dzielnemu, bratankowi”. Tak napisała w testamencie.

Prócz tego zawarła w dokumencie tylko jedno życzenie: aby pozwolił zwierzętom

zostać pod dachem.

Przybyli na pogrzeb dwaj synowie zmarłej - lekarz i przedsiębiorca budowlany prowadzący firmę za Odrą - próbowali testament podważyć. Po siedemnastu miesiącach sprawa wciąż ciągnie się w sądach, ale Paweł, początkowo bardziej przytłoczony niż uradowany darowizną, w trakcie kilku wokand zapalał taką niechęcią do doktora i biznesmena, że postanowił nie odpuszczać. Teraz, gdy zostało jedno, a może dwa posiedzenia w drugiej instancji, jest już pewny, że wygra cały proces i będzie mieszkał na Polskiej. Nie sam.

Jeszcze w trakcie ostatnich wakacji, gdy zyskał pewność, że wyrok będzie korzystny, własnoręcznie wyremontował jedną trzecią domku. Założył bezprzewodowy internet, zapłacił za wpięcie się do kanalizacji miejskiej, wymienił podłogę i papę na dachu, rozwalił sławojkę, a z jej desek zbił sporą budę: wspólną dla kotów i psów.

Odtąd zwierzaki nie pętają się już po domu, roznosząc kłaki i błocko. Mieszkają jednak pod dachem, jak przykazała stryjenka.

Cuchnący stęchlizną barłóg, w którym - wspólnie z czworonogami - zalegiwała przed śmiercią, Paweł spalił w ogrodzie razem z kilkuset kilogramami rupieci. Czego nie dało się spalić - zakopał, by zaoszczędzić na wywozie. Gdy wreszcie skończył malowanie ścian - był deszczowy początek września - urządził dwa przyjęcia. Jedno, kameralne, dla rodziców, którzy przyjechali z Ławy pierwszy raz od czasu jego wyjazdu na studia. Ojciec powiesił mu krzyżyk w przedpokoju na własnoręcznie wbitym gwoździu.

Drugą imprezę, większą, zorganizował dla towarzystwa z uniwersytetu i szkoły dziennikarskiej. Przyszły dwa tuziny gości, wśród nich Majka. Dziewczyna, której spojrzenia już od dłuższego czasu chwytają na zajęciach i na korytarzach, ale której nie brał wcześniej pod uwagę nawet jako potencjalnej kumpelki, nie mówiąc o jakimś wysoku natury erotycznej. Córka ministra z pałacu w Piasecznie - tyle o niej wiedział. Nie jego świat. Mimo to dobrze im się rozmawiało - krótko, w przelocie, na uczelni. Zaprosił ją najpierw do grona znajomych na Fejsie, a potem na parapetówkę.

Nigdy by nie przypuścił, że to ona wyjdzie z balangi ostatnia, a jednak tak się stało. Rozmawiali długo, nad ranem, gdy nawalone towarzystwo wreszcie ewakuowało się z placu boju. Paweł był pijany, Majka trzeźwa. Pogadali o swoich rodzicach, o swoich pasjach i o swoich uczuciach. Można powiedzieć, że rozmowa potoczyła się na skrót. Gdyby ktoś starszy podsłuchał, pewnie by nie uwierzył, że ci ludzie nie mają jeszcze dwudziestu pięciu lat. Dwa dni później poszli we dwoje na spacer, po kolejnych dwóch dniach - do łóżka, chociaż, ściśle rzecz biorąc, był to najpierw blat stołu, a zaraz potem podłoga. Można

powiedzieć, że córka konsula uwiodła syna farmaceutki. Miała nie tylko szalenie wysokie IQ, lecz i niespożyty temperament.

Po kolejnym tygodniu wsiadła do swojej małej, dwudziestoletniej toyoty i przewiozła część rzeczy z eleganckiej sypialni-studia na poddaszu willi ojca wprost do Pawłowego domku. Jej kosmetyki - na początek najniezbędniejsze - powędrowały ze sprzątaną przez ukraińską gosposię łazienki z widokiem na staw kąpielowy i ogród pełen wypielęgowanych roślin do wykafelkowanego tylko w połowie pomieszczenia z kibelkiem, prysznicem i małą umywalką.

Buteleczki drogich perfum i słoiczki z kremami po sto złotych sztuka zabawnie się teraz prezentują na plastikowych półeczkach z Tesco.

Ojciec został w Piasecznie zupełnie sam, ale córka przy ulicy Polskiej jest szczęśliwa ze swoim chłopakiem, który w tej chwili - kolejny dzień z rzędu - ślęczy przy klawiaturze nad semestralną pracą zaliczeniową dla szkoły dziennikarskiej.

* *
*

Prowadzący ćwiczenia z reportażu magister Pruski, zwany przez większość słuchaczy Wiedźminem, dał swemu ulubionemu studentowi temat petardę: zamach w Omedze. Co już wiadomo? Gdzie są luki? W jakim kierunku afera może się dalej rozwinąć?

Klepiąc po ramieniu, przykazał: „Niech pan to zrobi najwyżej w pięć dni, inaczej się panu wszystko rozsypie od ciągle dochodzących informacji. I niech pan zaznaczy datę oraz godzinę zakończenia pracy”.

Miał świętą rację.

Kolejne wiadomości, newsy zaprzeczające poprzednim doniesieniom, strumień spekulacji i komentarzy, wodosпад nowych teorii - to wszystko doprowadziło Pawła do wyczerpania nerwowego. A przecież Pruski już w piątek ostrzegł lojalnie, że przyjdzie pracować - jak to określił - „na żywym organizmie sytuacji”.

- Będzie się panu pisało ciężko i nerwowo sypiało, ale posiadzie pan zdolność modelowania tekstu na bieżąco i improwizacji... w pewnych granicach. A to się bardzo przydaje w naszym zawodzie. I proszę uwzględnić tło polityczne. Kto mógł z powodów ideologicznych źle życzyć Kunickiemu? To właściwie oczywiste, ale niech pan też zwróci uwagę na ewentualną fintę w fincie.

- Na co?

- Nie czytał pan *Diuny*?

- Niestety...

- Biorąc pod uwagę pana wiek... powinienem być wyrozumiały, ale to jest jednak

lektura obowiązkowa także i dla waszego pokolenia.

- Postaram się nadrobić.

Nie nadrobił - nie przeczytał od piątku ani *Diuny*, ani niczego innego prócz kilku setek ekranów pełnych wiadomości, sprostowań i komentarzy na temat Ewarysta Kunickiego, Kajetana Leskiego oraz wydarzeń w Omedze i pod Psimi Głowami. Do tej chwili zapisał dziewięć stron w Wordzie i właściwie kończy. Cały referat podzielił na trzy części opatrzone znakami zapytania.

W pierwszej podsumował fakty zebrane w ciągu minionego tygodnia przez kilkuset dziennikarzy, w większości rewolwerowców, których największe gazety i stacje telewizyjne oddelegowały do sprawy zamachu. Dał rozdziałowi nagłówek: *Co wiemy na pewno?*

Wiemy że:

Kajetan Leski, jeszcze jako oskarżony o udział w kidnappingu, został zwolniony z aresztu za kaucją - całkiem pokaźną. Nie pojawił się od tego czasu w domu swojej matki, gdzie mieszkał przed zatrzymaniem, nie pokazał się także starym kumplom łobuzom. Zniknął. Wystawienie listu gończego niczego nie zmieniło. Przepadł jak kamień w wodę, a sprawę gangu kidnaperów trzeba było zaczynać od początku.

Dwudziestego trzeciego grudnia na portalu neonazistowskiej organizacji Blood & Honour Polska zalogował się - a nie jest to takie proste - nowy użytkownik o nicku *synpolski*. Aktywność internauty nie była początkowo imponująca: pochwalił najnowszą płytę zespołu *Odwet Na straży rasy*, dopisał się do grona subskrybentów jednego z fanzinów i kupił wysyłkowo koszulkę z hasłem „Stop semickim chwastom” oraz rysunkiem brodatego obrzydliwca, którego przebija bagnetem przystojny SS-man z białą-czerwoną opaską na ramieniu.

Potem - na zamkniętym forum „tylko dla Aryjczyków” - *synpolski* skomentował kilka artykułów, między innymi *Bolszewizm i synagoga*, *Generał Léon Degrelle*, a także *Kobiety w Ruchu Narodowosocjalistycznym*. Ci, którzy analizowali potem te komentarze, zgodnie orzekli, że choć utrzymane w specyficznej stylistyce nienawiści, zdradzały spore odczytanie.

Zbyt spore jak na bałuckiego oprycha.

Dwudziestego czwartego grudnia po południu, gdy większość rodaków szykowała już wigilijne wieczerze, a minister Kunicki ogłaszał publicznie swe kontrowersyjne plany polityczne, *synpolski* za pomocą sieci wymienił się z wielbicielami organizacji Krew i Honor kilkoma uwagami na temat konstrukcji bomb oraz możliwości zakupu przez internet pistoletów i karabinów; wreszcie - udzielił na czacie paru profesjonalnych rad w sprawie techniki rozpylania gazów bojowych na stadionach i w halach sportowych.

Dwudziestego piątego grudnia zawiesił w sieci pierwszy z własnych manifestów rozpoczynający się słowami: „Każdy kto popiera ideę Narodowego Socjalizmu, musi w pierwszym rzędzie podjąć walkę o Aryjską Kulturę, jej tradycję, jej dziedzictwo i przyszłość, która jest przyszłością Białej Rasy. Urodzić się Białym to wielkie szczęście, lecz również i obowiązek...”.

W Nowy Rok wysłał pierwszy list z groźbami wobec ministra Kunickiego, ten najsłynniejszy, ujawniony zaraz po zamachu. Potem posłał drugi rozpoczynający się słowami:

„»Pamiętaj miejsca i twarze zdrajców Rasy. Oni wszyscy zapłacą za swoje zbrodnie«. Niech motto autorstwa Iana Stuarta Donaldsona będzie krótkim i wystarczającym wstępem. W imieniu organizacji Jedyni Synowie Polski ogłaszam wpisanie na listę zdrajców Rasy mieszańca Ewarysta Jana Kunickiego oszukańczo mianowanego Ministrem Sprawiedliwości w judejskim okupacyjnym rządzie Ruchu dla Wolności, który jest tylko Ruchem dla Ogłupienia, oraz jego koalicjanta...”.

I tak dalej.

Kolejny list, tym razem rozpoczynający się mottem zaczerpniętym z dorobku Alessandry Mussolini - „Lepiej być faszystą niż pedałem” - *synpolski* posłał ministrowi Kunickiemu dzień później. Odniósł się do projektów zmian w polskim prawie ze szczególnym uwzględnieniem zapowiadanej noweli na temat związków partnerskich. Zaocznie wymierzył Kunickiemu osobne - choć jednakowe - kary także za planowaną liberalizację ustawy aborcyjnej, zmianę kodeksu wykroczeń i inne. Śmierć, śmierć i jeszcze raz śmierć. Wyjątek był tylko jeden: za plan dopuszczenia do przydomowej produkcji bimbrowy, czyli „rozpijanie Aryjczyków w celu dalszego podporządkowania ich żydostwu”, autor listu skazał Kunickiego - nie wiedzieć czemu - na potrójne dożywocie.

Trzeciego stycznia *synpolski* stworzył swój największy - przynajmniej objętościowo - elaborat: list do Teda Kaczynskiego i Andersa Breivika. Tekst zatytułowany *Są tylko dwie strony: nasza i ta druga* został napisany po angielsku i zdradzał przyzwoitą znajomość języka.

„Czas więc pochylić się nad wątpliwościami” - tymi słowami Paweł kończy pierwszą część referatu.

Drugą tytułuje: *Niezgodności, czyli ilu było sprawców?*

W pierwszym akapicie zauważa, że Kajetan Leski - co dziennikarze sprawdzili, odwiedzając jego dawnych nauczycieli, kumpli i paru kuzynów - nie mówił, a tym bardziej nie pisał w języku Szekspira. Nie miał nawet matury, zawsze uczył się kiepsko, przy czym najgorzej szło mu z matematyką i angielskim. Tymczasem w tekście skierowanym do Unabombera i Norwega znalazły się - poprawnie przełożone na angielski - takie

skomplikowane frazy, jak: „zmasowany, bezosobowy terror wywierany na Białych Aryjczyków przez poprawność polityczną i fałszywą tolerancję musi prędzej czy później odcisnąć się terrorem obronnym” albo „młot Thora, który już wisi nad Polską, zmiążdży na początek sodomitów, lewaków, autorów Wielkiego Kłamstwa, promotorów zбочzonego multikulturalizmu, a także wszystkich tych, którzy ich ochraniają za żydowskie pieniądze”.

„Podejrzenie, że ktoś musiał pomagać Leskiemu, graniczy z pewnością” - pisze Paweł.

Następna sprawa: samochody.

Zamachowiec przygotował dwa auta. Oprócz skradzionej terenówki, którą przyjechał do ośrodka Omega, czekał na niego drugi samochód, odnaleziony przez policję dzień po obławie w lesie niedaleko Psich Główn, a wcześniej także skradziony z ulicy, w dodatku tego samego popołudnia trzydziestego pierwszego stycznia, tyle że na drugim końcu Polski. To niemożliwe, by Leski zwinął nowiutkiego SUV-a marki BMW w Katowicach i popędził nim na skraj Kujaw i Wielkopolski, by tam, mniej więcej trzy godziny później, skraść jeszcze jeepa. Bo co zrobiłby potem? Pojechałby na północ dwoma autami naraz?

Kolejna rzecz: znalezione w schowku terenowca plany budowlane ośrodka Omega nie zostały, jak początkowo pisały gazety, skopiowane z oryginałów w archiwum starostwa powiatowego. Ktoś zrobił je od nowa, i to niedawno, o czym świadczy uwzględnienie przeróbek dokonanych w korytarzu ostatniej jesieni. Ktoś znający się na rzeczy, może nawet inżynier.

Wreszcie najistotniejsza kwestia - śmierć zamachowca.

Okazało się, że wyciągniętą z czaszki „Leszcza” kulę wystrzelono z karabinu snajperskiego, może to być na przykład Remington 700. Tego rodzaju broń znajduje się na wyposażeniu oddziałów antyterrorystycznych policji, ale - jak zapewnił rzecznik komendanta głównego - żaden z funkcjonariuszy nie strzelał z remingtona drugiego lutego w okolicy wsi Psie Główny.

Kto zatem strzelał?

Teoriom na temat zabójcy Paweł poświęca połowę trzeciej części, wymieniając tylko te najbardziej popularne spośród krążących w mediach i między internautami.

Zabił policjant, którego przełożeni postanowili teraz ochronić?

Mało prawdopodobne.

Zabił ktoś ze służb specjalnych, kogo nie było w Psich Głównach, ale strzelał na przykład z pokładu helikoptera?

Musiałby być snajperskim mistrzem świata wszech czasów.

Zabił - po to, aby przeciąć trop - jeden z członków organizacji rasistowskiej, do której należał Leski?

Rozwiązanie logiczne, ale zarazem rodzące kolejne pytanie: jakim cudem ten ktoś mógł pozostać niezauważony w środku pierścienia obławy?

I ważniejsze zagadnienie: jaka to organizacja, ci przekłęci Synowie? Realna czy tylko wymarzona przez osamotnionego szaleńca?

* *
*

Trzeci rozdział pracy Pawła - *Kto stoi za zamachem?* - omawia kilka najszerzej zakrojonych medialnych śledztw na temat Jedynych Synów Polski. Żadne z nich nie przyniosło sensownych rezultatów. Dziennikarze pozostawili po sobie wyłącznie sążniste opisy własnej pracy nad tematem: gdzie szukali, z kim rozmawiali, jakie pytania zadali, jak się strasznie namęczyli. I niewiele więcej.

„W ten sposób dochodzimy do pętli” - Paweł notuje te słowa o drugiej w nocy i może dlatego jego świetny zazwyczaj, literacki i zarazem zwięzły styl robi się nieco przegadany. „Wiemy, że Leski był przez całe życie zwykłym urwisem, potem złodziejem, a wreszcie - bandziorem. Nagle - jako ukrywający się przestępca - przeszedł metamorfozę i objawił się w skórze fanatycznego rasisty, który doskonale operuje typowymi dla tego środowiska sloganami, zna się na broni i historii Europy, przede wszystkim zaś dobrze pisze po angielsku.

Czy możliwe, że ktoś go skaptował i ekspresowo przeszkolił?

Dlaczego - czy raczej na czyje zlecenie - Leski usiłował stworzyć w internecie wrażenie działania rozbudowanej organizacji rasistowskiej, która prawdopodobnie jest jedynie tworem jego imaginacji?

Pętla, w jaką wpadamy, polega na tym, że mimo iż nie wierzymy w Synów Polski, to jednak mamy poszlaki świadczące o czymś przeciwnym, a mianowicie o jak najbardziej realnym istnieniu tajnej, bardzo profesjonalnej struktury pomagającej Leskiemu.

Wymienię te poszlaki, choć twardych dowodów wciąż nie ma:

1. Finansowanie zamachu. Leski nie miał pieniędzy potrzebnych do tego, by kupić profesjonalną broń z USA i kombinezon produkcji chińskiej, a raczej tego sprzętu nie ukradł, chyba że za granicą, a wtedy dochodzi konieczność przemytu.

Wniosek: pomoc kogoś ze świata zorganizowanej przestępczości lub nawet międzynarodowego terroryzmu.

2. Przynajmniej dwie osoby zaangażowane były w kradzież samochodów potrzebnych do ucieczki.

3. Listy do Theodore'a Kaczynskiego i Andersa Breivika zostały z pewnością

napisane przez kogoś innego niż Leski. Doliczając osobę, która dokonała obmiarów budynku ośrodka Omega i wyrysowała plan, mamy już grupę co najmniej trzyosobową, a prawdopodobnie liczącą cztery albo pięć osób. Mamy zatem do czynienia z organizacją, która, będąc jak najbardziej realna i zdolna do skomplikowanych operacji, nadaje sobie naiwną nazwę Jedyni Synowie Polski i usiłuje stworzyć wrażenie, że jest tylko wymysłem ultraprawicowego szaleńca opętanego żądzą zamordowania ministra z lewicy.

Cele tej organizacji mogą być różne. Wśród najbardziej logicznych teorii wymienię:

1. Destabilizacja kraju. Tym mogłoby być zainteresowanych wiele podmiotów wewnętrznych i zewnętrznych. Teoria dość prawdopodobna - wskazuje na to wybór tego akurat ministra i ogromna skala masakry: jak gdyby ktoś chciał rzucić na kolana aparat sprawiedliwości i państwo jako całość.

2. Osobista zemsta na Ewaryście Kunickim, który jako były sędzia mógł mieć wrogów choćby wśród niegdyś skazanych. Tę teorię oceniam mimo wszystko jako mało prawdopodobną. W takim wypadku powinien zginąć wyłącznie minister.

3. Uniemożliwienie Kunickiemu wdrożenia zapowiedzianej nowelizacji jakichś konkretnych przepisów i zarazem postraszenie ewentualnych naśladowców, którzy chcieliby liberalizować polskie prawo. Jest to bardzo możliwe. Ogrom zbrodni miałyby wzmóc przerażenie i wywołać - jak napisał autor jednego z popularnych politycznych blogów - »odrętwienie zastraszonych reformatorów«.

Ten ostatni cel może oczywiście przyświecać najzagorzalszym politycznym wrogom Ruchu dla Wolności - skrajnej prawicy i ultrakatolickim ortodoksom, których wzburzenie dało się odczuć pod koniec ubiegłego roku. Osobiście stawiałbym jednak na nieznaną dotąd organizację reprezentującą podmioty, osoby lub grupy, które mogłyby stracić nie tyle ideologicznie, ile finansowo, gdyby reformy Kunickiego weszły w życie”.

* *
*

Stawiając kropkę przy tym ostatnim zdaniu - które nie jest już omówieniem żadnych cudzych publikacji, lecz jego samodzielnym wnioskiem - Paweł czuje się dumny z efektu i zarazem strasznie zmęczony. Jeszcze godzina pracy i tekst będzie gotów do przedstawienia Wiedźminowi.

Zamyka oczy, kreci głową raz w jedną, raz w drugą stronę. Zmarzł, siedząc bez ruchu - przez szparę pod drzwiami wieje chłodem od strony pustej, niewyremontowanej jeszcze części domu. Za oknem pada śnieg, miriady białych płatków pojawiają się i znikają wokół samotnej, przekrzywionej lampy, którą ktoś przed laty nieudolnie zawiesił w połowie drewnianego słupa - i tak zostało.

Paweł szuka koca, którym mógłby się owinąć.

Może zagrzać sobie herbaty? W służącym za lodówkę koszu na parapecie powinna być jeszcze ćwiartka cytryny.

W świetle niewielkiej żarówki znad biurka ogląda Majkę śpiącą na łóżku w drugim kącie pokoju. Gdyby nie szeroko zakrojona kwerenda, jaką w ciągu ostatnich dni zrobiła dla niego w internecie, nigdy nie doprowadziłby referatu do końca. A już na pewno nie byłby to materiał na medal.

Znajduje koc, zawija się w kokon do wysokości piersi. Z herbaty i cytryny rezygnuje. Przecierając piekące oczy, siada i rozkłada przy klawiaturze przygotowane przez Maję kolorowe fiszki.

To będzie główne danie całej jego pracy: lista firm i stowarzyszeń, które poniosłyby realne straty w wypadku zmian poszczególnych przepisów, jakie chciał wprowadzić Kunicki. Dziewięć fiszek. Trzeba wybrać pięć najbardziej sensownych i pamiętać, by najciekawsze przypadki umieścić na samym końcu. Tak jak uczył ich Wiedźmin: tekst musi dozować napięcie aż do puenty.

W takim razie na początek niech idzie wizja, według której zamach zlecił świat przestępczy zaniepokojony perspektywą legalizacji miękkich narkotyków.

- Paweł... która jest godzina? - Majka unosi się w pościeli. Jej proste jasne włosy, teraz rozkosznie zmierzwione, odcinają się w półmroku od ciemnej ściany za łóżkiem. Jedno ramię luźnej koszuli nocnej opadło na łokieć, odsłaniając nakrapiane piegami ramię.

- Prawie wpół do trzeciej. - Paweł odchyła się w krzesło, przytrzymując spadający na kolana koc. - Nie możesz spać?

- Ty powinieneś do łóżka... już dawno... chodź do mnie.

- Zostało mi najważniejsze.

- O której masz tam być?

- U Wiedźmina? O pierwszej. - Paweł z trudem tłumi ziewnięcie.

Maja podchodzi od tyłu i wplata mu palce między płataninę dredów. Drapie zaostrozonymi paznokciami. Rozkoszny dreszcz przechodzi go do samych pięt. Kiedyś widział w sklepie druciane urządzenie do drapania się po czaszce.

- Nie przestawaj... - mruczy.

Ona przygląda się fiszkom i końcówce tekstu: „...podmioty, osoby lub grupy, które mogłyby stracić nie tyle ideologicznie, ile finansowo, gdyby reformy Kunickiego weszły w życie”.

- Wiesz co, Pawka... kurka wodna, to w ogóle nie tak powinno być napisane.

- Nie rozumiem.

- Pomyśl tylko, przypomnij sobie: premiera *Batmana*, miasteczko Newtown i amerykańskie szkoły albo ten ostatni szalony koleś w Niemczech... Obłąkaniec wpada, zabija, kogo popadnie, zabija siebie albo własną matkę, albo dusi chomika. Ewentualnie się od razu poddaje jak jego idol Breivik, żeby potem go podziwiali, kurka wodna, przed sądem. Żeby mógł opowiedzieć do kamer te wszystkie bzdety o supremacji białej rasy - Maja mówi szybko. - Słuchasz mnie?

- Słucham, tylko nie przerywaj drapania. - Paweł oczy ma wciąż zamknięte, ręce opuścił wzdłuż krzesła, stara się poddać przyjemności całym sobą.

- Uciekanie skradzionym samochodem mi nie pasuje. W ogóle to wszystko jakoś nie trzyma pionu. Naziści, bandyci, Synowie-Skurwysynowie... Wystarczy zrobić kilka kroków do tyłu i spojrzeć jeszcze raz. To po prostu kiepskie jest. Byłam kiedyś z ojcem na polowaniu - mówiłam ci, jak podglądaliśmy zwierzynę w nocy?

- Nie. Chyba nie. Podrap tak bardziej przy uchu... dobrze? Ooo... ja pierdykam! Tak, tutaj!

- Chcesz słuchać czy nie?

- Chcę. Podglądaliście zwierzynę w nocy...

-...taka bardziej szopka dla jakiegoś arabskiego ambasadora czy inwestora. Ze sto osób. Najpierw puścili sokoły, potem strzelali do kaczek, ale głównie w powietrze, za to stoły były rozstawione w lesie i duży wypas. Straszna nuda, może dlatego, że nie pili. Arabowie sobie nie życzyli. Ale jeden koleś był ciekawy. Mocno starszy. Opowiadał mi po zmierzchu o zwyczajach zwierząt i pokazywał: jak chcesz zobaczyć kształt w ciemności, to nie możesz patrzeć tam, gdzie się go spodziewasz, tylko trochę obok. Wtedy widzisz.

- Widzisz co?

- Na razie jeszcze nie wiem, ale się przyjrzę. A ty idź spać, bo zaraz zjedziesz z krzesła.

- To z rozkoszy. Uwielbiam cię, wiesz?

- A ja ciebie.

- I też myślę, że te Syny-Skurwysyny to jakaś papranina. - Ziewa przeciągle. - Masz rację: jestem zmęczony.

* *
*

Po pięciu minutach Paweł śpi, a ona przygląda się jeszcze raz swym kolorowym fiszkom. I znowu czyta końcówkę tekstu:

„...grupy, które mogłyby stracić nie tyle ideologicznie, ile finansowo, gdyby reformy

Kunickiego weszły w życie”.

Grupy, które mogłyby stracić finansowo.

Podnosi z podłogi koc - jeszcze nie ostygł. RzUCA go na oparcie krzesła, idzie do toalety, potem zalewa kubek rozpuszczalnej kawy. Wraca. Na biurku, przy klawiaturze, stoi pusta szklanka i leży niedokończona paczka maślanych herbatników. Siada na krześle z podkurczonymi nogami i zawija się po sam nos w ciepły, włochaty materiał. Wystawia z kokonu tylko jedną rękę. Pociąga łyk kawy. Rozpuszczalna nie jest taka smaczna jak ta z ekspresu ciśnieniowego, który został w Piasecznie.

Kilka minut siedzi bez ruchu. Myśli o Wiedźminie, ciekawym koleśiu, który zlecił Pawłowi tę pracę. Facet wygląda, jakby się w życiu nie uczesał. Maja dwa razy go sobie googlowała, przejrzała też dokładnie profil „Dziedzic Pruski” na Facebooku. Ze stron ilustrowanych jego fotografiami z gali wręczania nagród i spotkań autorskich dowiedziała się tyle, że mieszka w Toruniu, dojeżdża do Warszawy do pracy w kolorowym dwumiesięczniku z wyższej półki i - jaka szkoda - ma dwójkę dzieci. A więc pewnie i kobietę.

Wchodzi do internetu. Jej świadomość i uwaga zestrzajają się dopiero przy trzeciej otwartej witrynie. Po kwadransie już zaczyna pracować. Po godzinie - jest całkowicie pochłonięta tym, co robi. Przez pięć i pół godziny otwiera i zamyka kolejne strony, zapisuje kilka kartek w kratkę, wypija jeszcze dwie kawy, zjada do końca herbatniki. Przed dziewiątą gasi lampkę - niebo za oknem jest zachmurzone, ale już wystarczająco jasne, by dało się pracować przy dziennym świetle. Śnieg nadal pada - betonowe słupki przytrzymujące siatkę od strony ulicy przykryte są teraz pociesznymi białymi czapeczkami, z których każda wygina się w inną stronę. Maja czuje, że zaczyna ją boleć głowa, lecz nie przerywa pracy. To, co dostrzega oczami wyobraźni, jest niewiarygodne, niesamowite, niewyobrażalne, a jednak... logiczne. I wszystko do siebie pasuje. Kolejne odkrycia, kolejne internetowe witryny tylko potwierdzają słuszność koncepcji. Jakby ta tajemnica tylko czekała na odkrycie. Jak rzeźba, która - tak mawiał podobno Michał Anioł - oczekuje, ukryta w kamieniu, na tego, kto ją odsłoni, odkuje, uwolni ze zbędnej, mylącej oko i krępującej właściwy kształt nieważnej materii.

Tak! Wystarczy odrzucić to, co nieistotne. Odrzucić stworzone pozory.

Kasuje ostatnie zdanie Pawła i zastępuje je swoim tekstem:

„Inną możliwością jest istnienie organizacji zaniepokojonej nie tyle działaniami samego ministra Kunickiego, ile tych prokuratur i sądów, których przedstawiciele znaleźli się na sali ośrodka Omega. Istnieje co najmniej jedna nić łącząca trzy spośród zamordowanych osób: sędziego Ambrożego Malaka z Lublina oraz dwójkę prokuratorów z Torunia i Gdańska

- Kazimierza Czyżykiewicza i Wandę Mariannę Raduńską.

Zamordowanie tych trzech osób indywidualnie i w różnych miejscach dałoby asumpt do trzech wnikliwych śledztw, które prędzej czy później doprowadziłyby detektywów do podobnych wniosków jak moje - ofiary pracowały nad sprawami, które coś łączy. Co innego akt terrorystyczny, w którym ginie członek rządu oraz dwadzieścia niewinnych osób - taki czyn przez swoją potworność nakazuje politykom i śledczym szukać przyczyny globalnej, możliwie najbardziej oczywistej, takiej, którą zaakceptuje ogół: wyborcy i media. A zatem: destabilizacja państwa, polityczna zemsta, bezrozumny albo ultraprawicowy terrorizm. Są to rozwiązania najbardziej oczywiste i takimi jesteśmy obecnie karmieni.

Wyobraźmy sobie jednak przez chwilę bezwzględną organizację, dla której liczą się tylko cele - czy raczej zyski osiągnięte przez realizację celów - a z drugiej strony koszty ich osiągnięcia. Organizacja ta postanawia wyeliminować trójkę - a może większą liczbę - ważnych funkcjonariuszy prawa. Staje przed alternatywą - albo zorganizować trzy, może cztery osobne zamachy, albo jedną zuchwałą i krwawą, lecz możliwą do przeprowadzenia akcję.

Wyobraźmy sobie, że ta organizacja wybiera rozwiązanie drugie”.

Do jedenastej Majka na przemian pisze, kasuje fragmenty napisanych już akapitów, inne przerabia. O wpół do dwunastej robi sobie śniadanie - gotuje dwa jajka w elektrycznym czajniku. Popijając sok pomarańczowy wprost z kartonika, kończy tekst. Wyszło w sumie dwanaście stron.

Wpisuje tytuł *Kto stoi za zamachem - aneks* i zapisuje plik. Odnosząc talerz do łazienki - umywalka w kibelku służy im także za kuchenny zlew - trąca kolaniem wystającą za łóżko stopę Pawła.

- Wstawaj, śpiochu! Dokończyłam za ciebie.

- Cooo?

- Masz pracę gotową. Możesz drukować i lecieć do Wiedźmina. I pozdrowić go ode mnie.

- A która jest? - Paweł podnosi się gwałtownie.

- Dwunasta minęła!

- Ooouu... zwierzaki zreć wieczorem nie dostały... Co znaczy: „dokończyłam”?

- Obejrzyj sobie! - Dochodzący z łazienki głos Majki miesza się z szumem puszczanej wody. - I pochwal mnie zaraz!

Paweł siada przy klawiaturze. W kartoniku zostało jeszcze trochę soku - wysysa zawartość do ostatniej kropelki. Przewija tekst na ekranie raz w górę, raz w dół, jakby nie

mógł się zdecydować, od czego zacząć. Wreszcie znajduje początek „aneksu”. Czyta w milczeniu przez kilkanaście minut. Maja stoi za jego plecami - podeszła bezszelestnie - i nic nie mówi. W pokoiku słychać tylko szum komputera, dochodzące z dworu pomiaukiwania głodnych kotów oraz, od czasu do czasu, przejeżdżające ulicą auta.

Paweł kończy lekturę, opiera łokcie obok klawiatury i przykłada obie dłonie do czoła.

- Zajebiste... - mówi, patrząc na ekran przez palce. - Jak to wykombinowałaś?

- Sama się zastanawiam nad własnym geniuszem. Ale jedno wiem: mój motyw ma przynajmniej sens. A jednak Skurwysyn sensu nie ma.

- To dlaczego nikt wcześniej tak tego nie pokojarzył?

- Bo jedni przepisują od drugich, a mało kto usiądzie i się zastanowi. No i wszyscy patrzą w to samo miejsce.

- Tylko ty patrzysz obok zwierzyny. - Paweł przez chwilę przesuwając kursor po ekranie, raz w górę, raz w dół. - Mam się pod tym podpisać?

- Nie chcesz?

- Chcę. O ile ty chcesz... Nawet jeśli to nie jest prawdziwe, i tak zajebicie brzmi!

* *
* *

Mokotów.

Pod szary blok, którego dwa dolne piętra zamieniono w siedzibę Wyższej Szkoły Dziennikarstwa, Paweł podjeżdża trzy minuty przed pierwszą. Ściąga zbyt cienkie jak na tę porę roku rękawiczki i skostniałymi palcami przypina swój sfatygowany żółty rower górski do całkiem pustego stojaka przy schodach. Przy pięciu stopniach mrozu i dziesięciu centymetrach świeżego śniegu nikt prócz niego nie przybył na zajęcia dwukołowcem. Słuchacze z bogatszych domów dojechali autami, reszta - komunikacją miejską.

Ćwiczenia z Robertem Pruskim w słabo ogrzanej salce zaczynają się z dziesięciominutowym opóźnieniem. Temat: przeprowadzanie wywiadu. Oczywiście w kontekście ostatnich wydarzeń.

Wiedźmin tryska humorem, który nijak nie przystaje do trwającej cały czas - przynajmniej formalnie - żałoby narodowej. Mówi szybko, dużo gestykuje, krąży po sali i robi jakieś piruety z energią zaskakującą przy jego nieco przyciężkiej sylwetce czterdziestopięcioletka.

Na początku zajęć wciela się w wyimaginowanego polityka Przymierza Polskiego. Studenci kolejno siadają na krzesła, które ustawił przed sobą, i zgodnie z instrukcją próbują zmusić go do przyznania, że werbalne ataki posłów Przymierza na zastrzelonego ministra mogły zainspirować zamachowca. Innymi słowy: że prawicowa opozycja - jak to się ostatnio

słyszysz tu i ówdzie - ma krew na rękach.

Pruski daje każdemu dwie minuty.

Jako pierwsza siada przed nim studentka o włosach przewiązanych indyjską chustą. W uszach ma ciężkie kolczyki, w nosie - ćwiek. Dziewczyna jest chyba podenerwowana, bo dopiero za trzecim razem udaje jej się włączyć dyktafon. Piętnaście sekund już minęło.

- Chciałam zapytać pana, dlaczego tak brutalnie pańska partia atakowała ministra...

- Myśmy nigdy pana Kunickiego nie atakowali *ad personam*.

- Jak to?

- Dokładnie tak, jak pani słyszy. - Robert zaplata dłonie na brzuchu i uśmiecha się zimno. - Jeszcze jakieś pytania?

- Ale przecież wszystkim i powszechnie wiadomo, jaki był wasz stosunek...

- Szanowna pani... nie ma w ogóle rzeczy, które wiadomo wszystkim. - Prowadzący już nie jest fajnym, wyluzowanym wykładowcą. Zmienił się - a w każdym razie próbuje - w kostycznego i przemyślnego politruka ze skłonnością do pouczania całego świata. Marszczy brwi i unosi w górę palec wskazujący. - Wie pani, że nawet postać Adolfa Hitlera nie jest znana stu procentom Ziemi? Ani obecny papież, ani nawet papież Polak nie są tak popularni... A któż dopiero miałby znać stosunek naszego skromnego ugrupowania, w dodatku, jak pani to ujęła, „powszechny”, do czegokolwiek... Pani naszą popularność znacznie przecenia.

Studentka coś jeszcze duka, gdy okazuje się, że czas minął.

- Dziękuję pani... pani...

- Zuzanna.

- Piękne imię. Pochodzi od egipskiej nazwy kwiatu lotosu. - Pruski wstaje i zaczyna się przechadzać wokół krzesła studentki. Znowu jest sobą. Jego ton się ociepla. - Udał się wywiad, Zuzanno?

- Nie bardzo. Pan mi nie ułatwił...

- A czego się pani spodziewała?

- Że zechce pan po prostu odpowiadać na pytania. - Studentka wydyma usta i robi nadąsaną minę.

- Mili państwo... - Robert zamiata dłonią powietrze, jakby obejmował całość sali i przysuwał ją do siebie. - Bardzo rzadko prawdziwą intencją waszych rozmówców będzie udzielenie informacji. Pozyskanie wiadomości to cel prowadzącego wywiad. Tak przynajmniej powinno być. Natomiast celem człowieka udzielającego wywiadu może być albo zyskanie na popularności, albo obrażenie dziennikarza, wprowadzenie go w błąd,

wybielenie siebie bądź osoby trzeciej, wreszcie nakreślenie wizji zdarzeń korzystnej dla jakiejś grupy osób, a czasem zgrabne poprzesuwanie akcentów czy po prostu zwyczajne stworzenie zamieszania. Pani Zuzanna po pierwszym odbiciu piłeczki przeze mnie nie była w stanie wskazać żadnych przykładów słownego ataku Przymierza Polskiego na świętej pamięci ministra Kunickiego i dlatego musiała wysłuchiwać dyrdymałów na temat Hitlera.

Teraz Wiedźmin opiera się o ścianę frontem do grupy.

- Jeżeli nie mamy w głowie, a jeszcze lepiej w laptopie, pewnego, najlepiej spisane go z natury cytatu z datą, za pomocą którego możemy rozmówcy udowodnić sensowność stawianego zarzutu, to nie zakładamy, że on nam pomoże - prawda? Na samooskarżaniu się bazował wymiar sprawiedliwości szczęśliwie minionego ustroju. My stosujemy bardziej wymyślne metody interwencji. Kto na ochotnika?

Zgłasza się czarnowłosa student z wytatuowaną na szyi cierniową obrozą. Po nim swoje scenki odgrywają jeszcze cztery osoby. Robert omawia ich kolejne porażki i powoli naprowadza grupę na właściwe tory. Uczy symulowania naiwności, usypiania czujności rozmówcy, tłumaczy zasady kalibrowania psychologicznego.

- Z grubsza rzecz biorąc, chodzi o to, by zachowywać się podobnie jak rozmówca. To człowieka otwiera. A przynajmniej - wedle różnych badań - otwiera trzech na pięciu. Jeżeli wasz rozmówca jest poważny, bądźcie poważni. Jeżeli się uśmiecha - uśmiechajcie się. Jeśli podchodzi do okna i patrzy - stańcie obok, zróbcie podobnie. Pali? Wolno, a nawet dobrze jest zapalić także. Tylko ostrożnie... Najgorzej byłoby sprawić wrażenie, że parodiujecie. No to jedziemy dalej. Może pani...

Po odegraniu kilku kolejnych scenek Pruski ma dla zebranych parę pochwał. Wywiady faktycznie idą coraz lepiej.

- W takim razie, dla płodozmianu, przed przerwą omówimy jeszcze choć jedną pracę. Może pan Domaradzki. Jak poszło podsumowywanie ostatnich sensacji?

- Powiem panu nieskromnie, że niesamowicie. Rozważyłem opcję, w której mordercy nie chodzi o ministra, tylko o trzy inne osoby obecne w Omedze.

- No pięknie! Ale po co w takim razie mordować tylu innych?!

- Żeby ukryć właściwy cel.

Wiedźmin przeciąga obiema dłońmi po włosach, Paweł robi to samo. Zrozumiał zasady kalibrowania. Przez chwilę patrzą na siebie - w oczach studenta jest wielki znak zapytania razem z wykrzyknikiem, w oczach Pruskiego - zdziwienie pomieszane z uznaniem.

- I co państwo sądzicie o takim pomysle? - zwraca się do pozostałych.

- Może oni wszyscy, w Omedze, byli... tego... no... ukrytymi członkami Ruchu dla

Wolności - młodzieniec z cierniami na szyi zaczyna trochę niepewnie, ale się rozkręca. - Dlatego minister ich zaprosił na takie odludzie, żeby dawać im tam specjalne instrukcje, jak szybko liberalizować wszystkie możliwe przepisy. Jak ponaginać prawo zgodnie z interesem partii. I dlatego prawicowa ekstrema, wiedząc o tym, że...

- A ja uważam, że to jest właśnie prowokacja samej lewicy. - Zuzanna, której tak kiepsko poszedł wywiad, teraz przerywa wydzierganemu. Może postanowiła nadrobić braki warsztatowe aktywnością w dyskusji. - Przecież nie ma lepszego sposobu, żeby sobie poprawić sondaże, niż gdy polityk padnie ofiarą przestępstwa. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby Ruchowi teraz wystrzeliły słupki i gdyby zażądali wcześniejszych wyborów. To się nazywa... nazywa...

-...zdyskontowanie tragedii. - Pruski musi przyznać, że dziewczyna niezgorzej kombinuje. - Jeszcze jakieś koncepcje?

Do końca godziny brać studencka rzuca kilka pomysłów, coraz bardziej szalonych. Ktoś wspomina o inwazji rosyjskiego komanda zabójców, które wślawiło się swego czasu „wystrzelaniem ocalałej załogi Tupolewa”. Ktoś inny protestuje przeciwko robieniu sobie żartów z ofiar Smoleńska, więc Robert - aby uniknąć pozamerytorycznej sprzeczki - zarządza wcześniejszą przerwę. W korytarzu Paweł podchodzi do niego z plikiem kartek spiętych plastikową kłamrą.

- Pan wybacz, że tak bez teczki, ale robiłem to do ostatniej chwili. Mam wersję papierową i na pendrivie. Od razu się przyznam, że koleżanka - właściwie moja dziewczyna Maja - bardzo mi pomagała w zbieraniu informacji. Ten aneks z alternatywną przyczyną wydarzeń to jest właściwie jej dzieło. Ale reszta - już moja własna.

- Zdolność do pracy w parze jest rzeczą cenną, panie Pawle. Było kilka takich duetów: Bernstein i Woodward... Z tym że o ile mnie pamięć nie myli, tamci byli manipulowani, a poza tym nie tworzyli pary w pełnym tego słowa znaczeniu. - Pruski zapala papierosa i wydmuchuje siwe kłęby przez uchylone plastikowe okno, zza którego wieje tak, że większość dymu wraca na korytarz. Lubi Pawła i obaj o tym wiedzą. - Niech pan to da. Rozumiem, że pendrive'a też mogę czasowo zatrzymać?

- Jak panu wygodnie. - Student skłania głowę.

- To niech pan wraca na salę i powie grupie, że za trzy minuty przyjdę. Muszę gdzieś zadzwonić. Aha... jakbyśmy się już... nie tego... to kiedy mam z wami kolejne ćwiczenia?

- W poniedziałek.

- Okej. Możemy przyjąć, że do poniedziałku pana ocenię. Pozdrowienia dla koleżanki.

- Ona też kazała pana pozdrowić. Jest pańską fanką. Wysłała panu zaproszenie

do znajomych na Fejsie, ale się nie doczekała odzewu.

- Ostatnio zaniedbałem swą stronę, lecz takie zaproszenie rozważę... pana sympatia jak ma na nazwisko?

- Szalawska. Maja Szalawska.

* *
*

Kolejna medialna bomba wybucha dwie i pół godziny później, gdy Paweł po drodze z zajęć do pracy w siłowni zjada tradycyjny warszawski kebab w niewielkiej budce wciśniętej między dwunastopiętrowe, sine bloki przy Czerniakowskiej.

Telewizor zawieszony pod styropianowym sufitem ciasnego pomieszczenia przesiąkniętego zapachem tłuszczu i vegety jest wyciszony, ale śniady sprzedawca na prośbę Pawła robi głośniejsze. Prezenterka w bakłażanowym kostiumie podaje na stojąco najnowsze wiadomości.

-...w komputerze ofiary policja znalazła listę nazwisk, na której widnieją zarówno zamordowany przed dziewięcioma dniami minister Ewaryst Kunicki, jak i sam przewodniczący Ruchu dla Wolności Edgar Mater. Nazwisko prezesa Matera jest drugim i ostatnim, które dotychczas poznaliśmy, wiemy jednak, że lista liczy co najmniej siedem punktów i są tam wymienieni dziennikarze i politycy, prawdopodobnie z kilku ugrupowań, także pozaparlamentarnych. Czy to potwierdza teorię o szeroko zakrojonym rasistowskim spisku?

Na miejscu prezenterki pojawia się niższy od niej mężczyzna opisany jako „Grzegorz Kopciński, doradca MSW”, który coś mówi, ale Paweł nie słyszy co, ponieważ do kebabiarni wchodzi rozgadana grupa długowłosych nastolatków. Gdy dostają wreszcie swoje ociekające majonezem bułki z mięsem, w telewizorze widać okopcone, rozbite okno bloku - chyba piwniczne, bo umieszczone pół metra nad poziomem gruntu - oraz sanitariuszy z noszami. Dźwigają kogoś w kierunku karetki zaparkowanej na wielkopłytowym osiedlu. Głos zza kadru informuje, że właśnie, po nieskutecznej próbie reanimacji, wynoszą ciało niejakiego Mirosława R., dwudziestosześcioletniego kibica-ultrasa, fanatyka Jagiellonii Białystok.

Paweł kończy jeść i uruchamia w komórce macierzyste Info-Radio. Ze słuchawkami w uszach wsiada na rower. Włącza przednią i tylną lampkę - zdążyło się zrobić ciemno. Do fitness parku pięć i pół kilometra po zaśnieżonych chodnikach i oblodzonych jezdniach. Przynajmniej dojedzie dobrze rozgrzany.

W radiu mówią oczywiście o śmierci kibica. Ze skrótu wiadomości, które czyta Aldona Namysłowska - znana Pawłowi, raczej niesympatyczna redaktorka od publicystyki - wynika, że Mirek z Białegostoku był niezłym gagatkiem. Kilkakrotnie zatrzymywany

za pobicia i udział w stadionowych burdach, od lat zamieszczał w internecie swoje zdjęcia w nazistowskich dekoracjach. Rok temu wyrzucono go z grupy rekonstruktorów bitew, gdzie występował w mundurze oficera Waffen SS. Jak twierdzą koledzy zmarłego, których radiowy dziennikarz najwyraźniej dopadł pod białostockim blokiem - grając Niemca, mocno wczuwał się w rolę.

- Ostatnio oskarżono go o pobicie kogoś na pokazach sprzętu wojskowego w Elblągu - zagaja reporter.

- Ale to nieprawda. Miras ino się bronił.

- Dobry kolega był.

- Nie złodziej.

Nawijających z blockerskim akcentem ziomków zastępuje na antenie Aldona.

- Mirosław R. zginął dziś rano od ładunku wybuchowego, przy którym manipulował w piwnicy. Takie są przynajmniej wstępne ustalenia policji. Nieoficjalnie mówi się więcej: ofiara eksplozji szykowała bombę. Nie wiadomo na razie na kogo, choć lista polityków i dziennikarzy może być jakimś tropem. Łączymy się z naszą współpracowniczką w Białymstoku, która przygotowała już szczegółowy raport.

Wchodząca na antenę po Aldonie dziewczyna połyka ze zdenerwowania połówki wyrazów, ale mniejsza o formę, skoro treść jest pierwsza klasa.

Policjanci rzeczywiście przetrzepali kibicowi peceta. Znaleźli coś pod tytułem *Lista Zdrajców Rasy* - zeskanowany dokument sygnowany pieczęcią „Jedyni Synowie Polski” i Toporłem - obosieczną siekierą z głową ptaka i lewoskrętną swastyką.

Czyżby Majka się omyliła?

Stojąc na jezdni przed światłami przy skrzyżowaniu Goworka i Puławskiej, zastanawia się, jak w świetle białostockich rewelacji wygląda praca złożona na ręce Pruskiego.

Nie wygląda najlepiej.

Obciąża kurtkę, chowając zmarznięte dłonie w rękawach. Powinien odżałować kilkanaście złotych na cieplejsze rękawiczki, ale czy teraz warto? Jeszcze miesiąc do wiosny. A on jest oszczędny.

W radiu dalej jadą z tematem dnia.

Aldona i jakiś jej rozmówca - trzaski na antenie wskazują, że łączy się ze studium przez komórkę - roztrząsają zagadnienie pod tytułem, czy zastrzelony zamachowiec rodem z Łodzi i wysadzony kibic z Białegostoku mogli się wcześniej znać.

Pewnie, że mogli.

Paweł rusza na zielonym równo z samochodami i stara się trzymać na tyle blisko krawężnika, na ile pozwalają bulwy zmarzniętego śniegu wypiętrzone od strony chodnika.auta mijają go o pół metra, ktoś chamsko trąbi. Cyklista zimą - i po zmroku - wkurza najwyraźniej podwójnie. Warszawa to nie jakaś wiocha, by po niej jeździć rowerem.

Mija księgarnię, potem kawiarnię Grycanów. Przecinając tory tramwajowe z wysuniętą lewicą, mocno ściska kierownicę, by przednie koło nie wpadło w stalową koleinę. Ledwo się udaje. Opony roweru są twarde, skłonne do poślizgu. Podobno już sprzedają zimowe ogumienie na rower. Gdyby tak ściągnąć sobie używane przez net? Ciekawe, ile mogłyby kosztować?

Mijając budynek Riwiery i tabliczkę z napisem „Śródmieście”, zmienia biegi, mocniej dociskając pedały. Jest siedemnasta czterdzieści siedem. Jego dyżur w klubie fitness zaczyna się za trzynaście minut.

W tej samej chwili, w kilku biurach odległych o nie więcej niż trzy kilometry od Riwiery, kilkanaście osób bezskutecznie próbuje się skontaktować z prezesem Ruchu dla Wolności, pięćdziesięciosiedmioletnim politycznym weteranem Edgarem Eugeniuszem Materem.

5.

Piątek, 13 lutego

Jeszcze dwa lata temu Edgar Mater był doskonale prosperującym warszawskim adwokatem. Jego siedmioosobowa kancelaria Mater, Jasiński, Hołda i Wspólnicy zajmowała - a właściwie zajmuje nadal - przestronne piętro kamienicy przy Nowym Świecie, w której roczny czynsz za metr wyższy jest od ceny metra na własność - tyle że kilka ulic dalej.

Obok dobrej pracy - dobry związek. Szykowna i inteligentna żona - producentka telewizyjna - plus dwie udane córki. Pierwsza: prawniczka z własną kancelarią w Krakowie. Druga: kontrowersyjna kuratorka wystaw, a zarazem wzięta autorka kieszonkowych książeczek o tak zwanej sztuce życia, publikująca pod nazwiskiem męża, z pochodzenia Węgra - Ferencza Goranyia.

Reszta wizerunku Matera też robi wrażenie: trzystumetrowy apartament na Wilanowie od poniedziałku do piątku, zaś na weekendy - rezydencja w połowie drogi do Rawy Mazowieckiej.

Przy pałacu - własna stadnina koni. I jeszcze warte około pięciu milionów dolarów udziały w amerykańskich spółkach z branży nowych technologii, kilka kilogramów platyny

w banku depozytowym i w końcu wisienka na torcie imponującego dostatku: pełnomorski jacht.

W kilku wywiadach, jakich Mater udzielił po zawiązaniu Ruchu dla Wolności, przedstawił różne wersje tłumaczące życiową wolnę, którą bez wątpienia było wejście do polityki.

W poważnych gazetach i programach publicystycznych mówił o względach etycznych: „Potykając się przez lata prawniczej praktyki o setki legislacyjnych absurdów i bubli, postanowiłem coś z tym wreszcie zrobić”.

Rozmawiając z tabloidami i wysłannikami plotkarskich portali, eksponował męską i przygodową stronę przedsięwzięcia: „Przychodzi w życiu człowieka chwila, gdy się zastanawia, co jeszcze może osiągnąć. Jestem spełnionym mężem, kochającym ojcem, wziętym adwokatem i szefem zespołu. Czas więc na nowe wyzwania!”.

Trzeba przyznać, że tworząc swój Ruch, zagrał *va banque*.

Jako grupę docelową wybrał młodych, niezadowolonych, dotkniętych kryzysem i bezrobociem. Takich, co żyją raczej w internecie niż w realu i zwykle na koszt rodziców. Obiecał więcej wolności obyczajowej, totalną swobodę w sieci, dostęp do marihuany, ograniczenie praw państwa wobec obywateli i tak dalej. Lekko uszczuplił swe zasoby, by wynająć setkę gigantycznych billboardów w dziesięciu największych miastach. Wygrał jednak - co wykazali po wyborach dyplomowani analitycy - nie dzięki największym nawet plakatom, lecz za sprawą Facebooka oraz dziesiątek prześmiewczych stron WWW.

Flupyzdupy.com, Wytryskarka.bux - żaden poważny polityk nawet nie zbliżyłby się do tych rejonów sieci. Ale doradcy Matera - młodzi ludzie ściągnięci z Rosji, Czech, a nawet z RPA - okazali się odważniejsi i sprytniejsi od konkurencji. Tworzyli setkami filmiki, trailery, komiksy, memy... Mieli i poczucie humoru, i doświadczenie. Niektórzy robili wcześniej Facebookowy PR wielkim i bogatym firmom - od McDonald'sa po BMW. Inni próbowali szczęścia jako niezależni filmowcy. Sztab Matera dał im gotówkę i najlepszy sprzęt. Zadziałało. Dwa dni przed wyborami internet zalały niesamowite produkcje - zabawne, wzruszające, oburzające... ale zawsze chwytliwe. Przekaz „głosuj na Ruch dla Wolności” nie wyzierał z nich wprost. To było zrobione ze smakiem, dystansem, seksem i dodatkiem wisielczego humoru.

Okazało się diablo skuteczne.

Co ciekawe, Mater nie wystartował do Sejmu osobiście. Wystawił na listach ludzi pokroju Ewarysta Kunickiego - dobrze prezentujących się na ekranie facetów z jajami, którzy potrafili twórczo rozwinąć jego program.

Decyzja o niekandydowaniu zaskoczyła komentatorów. Prezes Ruchu wyjaśnił jednak wszystkim, że nie da rady pogodzić obowiązków szefa rozrastającej się kancelarii prawnej, prezesa partii i posła.

Prawdą jest, że nie zamierzał dodawać sobie zbyt wielu zajęć. Nie chciał rezygnować z przyjemności i miłych chwil. Takich jak obecna, gdy woda ze sztucznego wodospadu oblewa mu kark. W kancelarii wiedzą, że jest na trzydniowym „wyjeździe zagranicznym w sprawach prywatnych”. Żona wie, że podróżuje „w sprawach kancelaryjnych” i przy okazji odwiedza rodziców Ferencza w Budapeszcie - to ostatnie akurat jest prawdą.

Edgar Eugeniusz Mater rozumie, że dobre oszustwo powinno przynajmniej w trzech czwartych zasadzać się na faktach, które można potwierdzić. Dlatego wczoraj w południe zaszczyił wizytą miłych państwa Goranyi - zjedli razem obiad, wypili kawę, a potem on wsiadł w samochód i przed dziesiątą wieczorem był w uzdrowisku Miskolc-Tapolca.

Nastazja, pół-Rosjanka, jego ostatnia zdobycz, była na tyle rozgarnięta, że kilka godzin wcześniej sama wynajęła apartament w pięciogwiazdkowym spa i zamówiła kolację oraz jego ulubiony czteroputtoniowy tokaj.

Gdy wjechał windą wprost do pokoju, w którym czekała, nie tracili czasu. Odrobina kokainy jak zwykle dodała Materowi i apetytu, i animuszu. Właściwie jeszcze czuje w kościach - i głowie - szaloną noc.

Nastusia, jak ją lubi nazywać, w srebrzystym dessous, z wibratorem pomiędzy pośladkami i jego członkiem w ustach. Jej idealnie okrągłe, silikonowe piersi w czekoladowym kremie. Jej ostre ząbki - te z przodu ozdobione diamentowymi serduszkami. Ekscytujący moment, kiedy podniecona do szaleństwa wysikała mu się na twarz, by potem zmywać z niego swoje siuski winem. Pił jedno i drugie. To było doprawdy urocze.

Mater pochyla się pod wodospadem tak, aby główny strumień wyłomotał mu zeszywniały mięsień kapturowy. W kilku miejscach piecze go skóra na szyi. To przez te ząbki.

Musi jeszcze dzisiaj pójść na profesjonalny, ręczny masaż i kremowanie.

Masażystów Węgrzy mają dobrych... Nie zmieniło się to od czasów schyłkowej komuny, kiedy park i kompleks basenowy w Tapolcy były nieco zapleśniałym miejscem, a zapach zupy gulaszowej mieszał się ze smrodem tłustych i obrzydliwych langoszy. Od tamtych czasów obite sidingiem szopy ustąpiły miejsca ekskluzywnym hotelom i centrom *well-ness*, a betonowe niecki pomalowanych basenów pokryła hiszpańska terakota. Kompleks podziemnych grot i ciepłych źródeł rozrósł się kilkakrotnie we wnętrzu zalesionego wzgórza pełnego dzikich winorośli.

Edgar Mater uwielbia atmosferę tych skalnych podziemi. Półmrok i lejąca się z poszarpanych ścian ciepła woda, której szum zwielokrotniają głębokie, jaskiniowe echa... Tłum anonimowych golasów, w którym wprawne oko co rusz wyławia jakąś młodą ślicznotkę. Dzisiaj pora jest jeszcze wczesna, dlatego w grotach przeważają stare Niemki i węgierskie pary z małymi dziećmi. Warte grzechu aniołki jeszcze nie podniosły się z hotelowych posłań. Nastusia też śpi. A jej kochany ogier - z zamkniętymi oczami i szeroko otwartymi ustami - rozkoszuje się wodnym strumieniem, który mknąc po skórze, łaskocze przyjemnie jego owłosioną klatkę piersiową i naprężone sutki.

Nabiera powietrza i zanurza głowę w ciepłej toni, która w tym kącie skalnego basenu sięga mu do połowy piersi. Podciąga nogi. Powoli wypuszcza powietrze. Jego tęgie, krępe ciało wolno opada na dno. Jak miło... Słyszy szuranie bosych stóp po dnie grotu, zniekształcone śmiechy kąpiących się nieopodal, daleki pisk dziecka, a może podnieconej dzierlatki, której woda wlała się do szparki. Wypuszcza nosem powietrze. Prostuje nogi i już ma się wynurzyć, gdy jakiś ciężar zwała mu się na plecy.

Pierwsza myśl: to nieostrożny pływak wpadł na niego, zanurzonego i niewidocznego pod wodospadem.

Druga myśl: uczeplił się mnie czy co?

Trzecia: muszę strącić z siebie to cielsko!

Czwarta: nie mogę!!

Piąta: kurwa mać - ja tonę!!!

Rozpaczliwa walka prezesa Matera o życie trwa nieco ponad pół minuty i w całości rozgrywa się pod wodą. Żaden z przepływających w półmroku amatorów ciepłych kąpeli nie dostrzega niczego niepokojącego. Pod huczącym strumieniem wody, w spienionym i hałaśliwym miejscu, w którym przed chwilą jeszcze stał łysawy, starszy facet, teraz widać zanurzonego aż po grubaśną szyję krótkowłosego, młodego atletę. Gdyby ktoś przyjrzał mu się z bliska, może zauważyłby napięte mięśnie kwadratowej szczęki, złamany nos boksera, zrośnięte nad nim brwi - teraz zmarszczone - i dziwny wyraz oczu. Baczny obserwator mógłby też zwrócić uwagę na rozczapierzoną dłoń rozpaczliwie młócacą wodę tuż za szerokimi plecami osiłka.

Nikt jednak w to miejsce nie patrzy. Czteroosobowa węgierska rodzina spokojnie przepływa kilka metrów obok.

Prezes Ruchu dla Wolności, z głową uwięzioną między umięśnionymi udami zabójcy, nabiera wody do płuc i powoli wiotczeje.

* *
*

Węgierskie utonięcie pociąga za sobą różnorakie konsekwencje - głównie polityczne, ale nie tylko.

Po pierwsze, dwie godziny po odkryciu i zidentyfikowaniu zwłok w Polsce zostaje wzmocniona ochrona wszystkich osób wymienionych na liście znalezionej u białostockiego kibica.

Po drugie, popołudniową konferencję prasową zwołuje dwójka tak zwanych współprzewodniczących Ruchu dla Wolności. Otyła, niska i słynąca z piekielnej złośliwości posłanka Julita Żarnowska, wyprzedzając policyjne ustalenia, informuje dziennikarzy - głównie telewizyjnych, bo tylko tych szanuje - że "to, co się zdarzyło na Węgrzech, jest bez wątpienia kolejnym morderstwem politycznym wymierzonym w ugrupowanie".

- Ilu jeszcze członków Ruchu musi zginąć, byśmy się wreszcie dowiedzieli, kto steruje organizacją odpowiedzialną za te bezprzykładne zbrodnie?! Czy państwo polskie nie jest już w stanie zapewnić pełnego bezpieczeństwa swoim przedstawicielom?! Co w czasie ostatnich dziesięciu dni zrobiły służby policyjne i specjalne, aby zapanować nad sytuacją?! Od śmierci ministra Kunickiego słyszymy tylko o wszczętych działaniach... A ceną tego lenistwa, indolencji, a może i złej woli jest, proszę państwa, śmierć. Śmierć kolejnego polityka, wspaniałego człowieka! Ja nie chcę być nazbyt złośliwa w tak tragicznej chwili, ale słowo „kпина” samo ciśnie mi się na usta. Czy szanowny pan minister spraw wewnętrznych i administracji byłby łaskaw wreszcie jednoznacznie przerwać ten zupełnie niepotrzebny, kompletnie bezowocny spór ze związkowcami? Czy byłby łaskaw opanować chaos we własnych szeregach i wziąć się za to, co teraz najważniejsze? Chyba można odłożyć na bok wszystkie inne kwestie, kiedy co rusz giną ludzie?!!

Zebrani przedstawiciele mediów nie pytają, co prezes Mater w apogeum kryzysu politycznego robił w węgierskim uzdrowisku. Dziennikarzy bardziej interesuje możliwość zerwania przez wolnościowców Paktu Trwałej Koalicji.

Niesiona emocjami Żarnowska - polityczna nowicjuszka, z zawodu technik technologii żywienia, czyli kucharka - unosząc wysoko ręce ozdobione złotymi bransoletami, oświadcza, że po pierwsze, jej ugrupowanie nie wycofa się z prac nad Superustawą, a po drugie - jeśli koalicja ma trwać, to ona - Żarnowska - daje premierowi „ostatnie czternaście dni” na wskazanie winnych zbrodni.

Można jej wierzyć. Ciężko zapracowała na swój image sejmowej brzytwy. Od początku kadencji weszła we wszystkie możliwe spory, jakie tylko udało jej się wygenerować. Szydliła z polityków Przymierza Polskiego, obrażała hierarchów Kościoła, nie wahała się wyśmiać ojca Tadeusza Rydzyka, nie wspominając już o drobniejszych ikonach

prawej strony sceny. Wybranych oponentów - głównie tych, których uznała za słabych, czyli godnych pogardy - pozywała do sądu za każdą krytykę własnej osoby. Pokażny i rosnący pakiet procesów cywilnych nadal prowadzi w jej imieniu kancelaria nieodżałowanego prezesa Matera.

W tej chwili stojąca przy mikrofonie pani poseł gwałtownie opuszcza dłonie na swe grube kolana. Być może trzasnęła jej pod pachami napięta do granic możliwości marynarka albo po prostu chciała wykonać jakiś dramatyczny ruch dla podkreślenia wagi słów, które za chwilę padną:

- Pragnę dziś jednoznacznie ogłosić, co następuje: albo w ciągu najbliższych dwóch tygodni dowiemy się prawdy o sprawcach ataków, albo pójdziecie państwo głosować w przedterminowych wyborach. Mówię to jako pierwsza współprzewodnicząca Ruchu i osoba mająca teraz pełne poparcie i pełnomocnictwo ze strony prezydium. Jeżeli nie będziemy jednoznacznie konsekwentni i zdecydowani, możemy się wkrótce okazać współwinnymi kolejnych ofiar w ludziach!

Kolejny dramatyczny skłon Żarnowskiej kończy się potrąceniem statywu z mikrofonem i małym zamieszaniem, któremu Paweł przygląda się na ekranie telewizora w korytarzu Info-Radia. Po przedstawieniu ultimatum komentarzom i spekulacjom nie ma końca. Oto pojawił się nowy obraz organizacji stojącej za zamachami na ministra i przewodniczącego - obraz międzynarodowy. Przecież na Węgrzech nacjonalistów-ultrasów nie brakuje.

- Zatem spisek na skalę Europy? - to pytanie dziennikarz w czarnej, błyszczącej koszuli i marynarce kieruje do dwóch równie żalobnie odzianych gości siedzących na czerwonej kanapie w telewizyjnym studiu programu *Minął dzień*.

Obaj chętnie podchwytyją wątek.

Wspominają brytyjskich i niemieckich neonazistów, którzy jako pierwsi wystąpili z inicjatywą Redwatch, tworząc ogólnoeuropejskie listy „Zdrajców Białej Rasy”.

- Dotychczas nasze, polskie listy proskrypcyjne, wymierzone w lewicowych polityków, feministki czy działaczy gejowskich, były swoistym folklorem. Mówię to w tym sensie, że nikt z nas, dziennikarzy, chyba nie traktował zagrożenia zbyt poważnie. Trudno więc teraz krytykować organy ścigania - mówi wyższy z rozmówców, właściciel siwej koziej bródki, znany Pawłowi celebryta publicystyki określanej przez prawoskrętne media mianem „pupila rządu”: Albert Zapatoczny.

- Ja bym tak naszej władzy łatwo nie rozgrzeszał - przerywa „pupilowi” niższy dyskutant, grubasek reprezentujący jakąś organizację pozarządową o długiej nazwie. -

Lekceważenie zagrożenia narastającego nie od roku i nie od dwóch, ale przynajmniej od dekady musiało się tak skończyć! I powiem coś niepopularnego: otóż minister sprawiedliwości, tragicznie zmarły sędzia Ewaryst Kunicki, także się do tego przyłożył. Stowarzyszenie, które reprezentuję, złożyło między innymi na ręce pana prokuratora generalnego pana ministra Kunickiego listy, w nich po raz kolejny wskazywaliśmy osoby, głównie dziennikarzy lewicowych, o które należy się martwić w kontekście gróźb skrajnej prawicy. Wymieniliśmy piętnaście osób...

-...w tym ani jednej z ofiar obu ostatnich zamachów.

- Trudno być prorokiem we własnym kraju.

Paweł odwraca się od zawieszzonego pod sufitem telewizora i wchodzi do aneksu kuchennego zalać sobie wrzątkiem chiński kubek.

Przed dziewiętnastą dostaje nagłe zadanie: skrócić świeżo przetłumaczony wywiad, udzielony godzinę wcześniej budapeszteńskiemu odpowiednikowi Info-Radia przez szefa całej węgierskiej policji. Bierze się do roboty nieco zdenerwowany - jako stażysta nie dostawał dotąd zleceń redaktorskich. Jego domeną były raczej porządki w cyfrowym archiwum, nagrywanie cotygodniowych zapowiedzi audycji, kleczenie krótkich zajawek i tym podobne. Tym razem jednak - jak zwykle, gdy zaczyna się weekend - obowiązuje hasło „wszystkie ręce na pokład”.

Wywiad ma dwie strony.

Paweł szybko wydobywa z niego najważniejsze wieści. Wstępne oględziny zwłok wskazują jednoznacznie na celowe utopienie. Denat ma krwawe podbiegnięcia w okolicach karku, ramion, nawet na głowie. Ktoś go po prostu miażdżył pod wodą. Do tego jest pokąsany na piersiach, ale - zdaniem patologów - te ślady są delikatne i wskazują raczej na damsko-męskie igraszki niż zbrodnicze działanie.

Między zgonem polskiego polityka a zamknięciem kompleksu basenowego przez zaalarmowaną obsługę nie minęło więcej niż pół godziny. Kończy się właśnie akcja przesłuchiwania świadków, wciąż analizowane są nagrania z kamer zamontowanych nad wejściem do grot. Filmy są czytelne, a wszyscy wchodzący tego dnia - wyraźnie uwiecznieni. Na razie nie wytypowano żadnego ewentualnego podejrzanego.

I to by było na tyle.

Gdy Paweł wysyła skrót wywiadu na komputer Sylwii - szefującej dziś wieczorem, niewiele starszej od niego redaktorki o fioletowych oczach, które sprawiła sobie, kupując kolorowe soczewki - jest siódma.

Za wielkim oknem oddzielającym radiowy newsroom od tarasu, który latem służy

za palarnię, pada coraz gęstszy śnieg. Jak tak dalej pójdzie, trzeba będzie odstawić rower i zacząć jeździć autobusem, co jest o tyle kłopotliwe, że na ulicę Polską dociera tylko jedna linia, w dodatku kursująca tylko do północy. A jego dzisiejszy dyżur kończy się dopiero o pierwszej.

Zima w mieście to same kłopoty - i koszty. W Łławie było jakoś łatwiej żyć. Jeździło się na łyżwach i bojerach po zamrożonym Jezioraku. Jeszcze w gimnazjum - a może to już było w liceum - organizowali z kolegami kuligi. Jeden samochód, pożyczony przez któregoś z kumpli od starszego brata albo od ojca, linka holownicza, kilka par sanek, koleżanki, wódka, kiełbasy, ognisko w lesie koło Sarnówka lub między wiatami na pustym w zimie polu namiotowym Makowo. I zero zmartwień. No... Może tyle, żeby szkoły nie zawalić, ale to mu akurat nigdy nie sprawiało wielkich trudności. A teraz Paweł ma na głowie dwie posady, podwójne studia, dwa psy, cztery koty - jeden zrobił wszystkim grzeczność i zdechł - do tego remont, który powinien dokończyć, jak tylko zrobi się ciepło. Bez nowego kredytu - ani rusz.

Majka co prawda zaproponowała pożyczkę od swego taty, lecz jakoś mu się nie uśmiecha branie pieniędzy należących do szanownego pana mecenasa Szalawskiego. Dotychczas dawał sobie radę sam w tym mieście i niech tak będzie dalej.

O wpół do ósmej na polecenie Sylwii siada przy archiwum nagrań, by do jutrzejszego Info-Poranka - poświęconego oczywiście nadciągającemu kryzysowi rządowemu - powybierać możliwie niedawne i jak najbardziej prorządowe wypowiedzi polityków Ruchu dla Wolności. Będą mieli okazję się od nich odciąć, skoro chcą przechodzić do opozycji - tak przynajmniej wyobraża sobie początek jutrzejszej audycji redaktorka Sylwia.

* *
*

W tym samym czasie, mniej więcej w połowie drogi między ulicą Polską a Info-Radiem, w trzypiętrowym, żółtawym budynku przy Podchorążych czterej mężczyźni i dwie kobiety - reprezentanci kilku różnych służb - analizują ostatnie wyniki prowadzonych równolegle śledztw i operacji o różnym stopniu tajności.

Klimatyzowana, monitorowana i ogólnie najeżona elektroniką sala, w której siedzą, ma około czterdziestu metrów kwadratowych powierzchni, lecz ani jednego okna, tylko wielki ekran na ścianie, teraz zgaszony. Na środku pomieszczenia stoi ciężki, półkolisty stół, na nim pusty wazon w połowie wypełniony wodą, wokół kilka otwartych laptopów, dwa termosy z kawą i herbatą oraz wypełniona w połowie popielniczka. Jest jeszcze rząd zapasowych krzeseł, plastikowa tablica na trójnogu, przenośny ekran, projektor, dwa komputery na podstawach z kółkami oraz potężne elektroniczne urządzenie - coś między serwerem i przedpotopowym teleksem. Przeznaczenie tego ostatniego aparatu na pierwszy

rzut oka trudno rozszyfrować.

Po kilku krótkich raportach, które jedni z zebranych wygłaszają z pomocą notatek, a inni z pamięci, zaczyna się dyskusja krążąca wokół kwestii, jak to możliwe, że strzelec, który umieścił kulę w głowie Kajetana Leskiego, nie tylko oddalił się niezauważony z obstawionego przez stróżów prawa rejonu, ale też nie pozostawił śladów. Albo też - co jeszcze bardziej kompromituje wszystkie zaangażowane służby - pozostawił, lecz nikt nie potrafi ich znaleźć. Przeważa opinia „gdzie kucharek sześć...”. Wokół Psich Głów miało się feralnego wieczoru tylu policjantów, żandarmów i strażników wszelkiej maści, że śladów na śniegu było po prostu za dużo. Rankiem nikt już nie był w stanie dokładnie powiedzieć, kto, gdzie i kiedy znajdował się w poszczególnych punktach i momentach. Konkluzja: albo sprawca wmieszał się w tłum przebrany za funkcjonariusza, albo...

- Strzelcem jest jednak ktoś od nas - ogolony na łyso mężczyzna o podkrążonych oczach, nie przerywając żucia gumy, mówi to, o czym większość w tym momencie pomyślała.

- Chyba od was.

- Miałem na myśli „nas” szeroko pojętych.

- Nie jesteśmy na konwersatorium, więc jeśli masz jakieś konkretne podejrzenia...

- Spokojnie... Nie tak ostro...

Nikt jeszcze nie krzyczy ani nie wstaje, ale wyczuwalne już wcześniej napięcie teraz gwałtownie się wzmaga. Im więcej pada uwag w rodzaju: „jesteśmy rodziną”, „pracujemy razem tyle lat”, „w tym gronie i tej sali możemy mówić otwarcie”, tym jaśniejsze jest, że rozmówcy nie ufają sobie nawzajem, a w każdym razie nie wszyscy.

Jeden ze starszych mężczyzn - zwalisty, siwiejący na skroniach szatyn ubrany w białą koszulę i jedwabną kamizelkę ze złotymi guzikami - od kwadransa milczy, ograniczając się do słuchania, palenia papierosów i spoglądania na ekran jednego z komputerów. Ma grubo ciosane dłonie, potężny, nieco przygarbiony kark, mięsiste usta, wypukłe czoło i krzaczaste brwi. Przypomina trochę wielkiego goryla - samca alfa - i chyba rzeczywiście jest tu najważniejszy, bo kiedy wreszcie się odzywa - głosem niskim i chropowatym - zapada cisza.

- Proponuję oddalić się na jakiś czas od tematu, którego penetrowanie nie posuwa nas ani o krok. Przejdźmy do analizy opcji... ghrmm... spektakularnych zatrzymań. Możemy wstępnie porozmawiać o konsekwencjach przyjęcia takiego kierunku... Spytałem po prostu... kogo najprościej wyciągnąć za dupę?

Pięćdziesięcioletnia w rzeczywistości, lecz wyglądająca dużo, dużo młodziej kobieta bierze do ręki kartkę, którą niedawno schowała w cienkiej, skórzanej teczce ze złotymi

okuciami.

To nie jest służbowy segregator z gatunku tych, które leżą przed większością zebranych. To cacko z cielejącej skóry kupione najpewniej w jakimś włoskim sklepie, podobnie jak reszta rynsztunku właścicielki: zakiet w kolorze burgunda zakończony lekko zmarszczoną baskinką oraz wisząca na oparciu krzesła duża, bursztynowa torebka Fendi.

- Mam tu pewne sugestie z Rakowieckiej.

- Ooo...

- Panowie sami wywęszyli coś wprost z za biurek?

- Na pewno... Jest ten cały Maćkowiak Jarosław... - elegantka zdaje się lekceważyć pytanie. - Mamy IP komputera, tak... Będzie też wyjście na ewentualne postępowanie karne. To, że tak powiem, zupełny amator, ale formalnie pasuje. Jeszcze czterech-pięciu podobnych. Są w zasadzie wszystkie dane, aktualne miejsca pobytu, nawet szczegóły... nie będę was zanudzała... - kobieta odwraca papier na drugą stronę i stuka weń brązowym wiecznym piórem. Dłonie ma wypielęgnowane, paznokcie pokryte ciemnym lakierem. - Są wpisy na interesujących nas forach, logowania, całkiem niedawne, styczniowe, nawet i lutowe. Jest operacyjnie ustalony udział w tych samych, że tak powiem, spotkaniach nacjonalistycznego aktywu. Ewidentne kontakty. Dwaj są karani...

- No! To już jest coś! - Siedzący po lewej ręce referentki łysy mężczyzna z gumą do żucia w ustach i ciemnymi obwódkami wokół zmęczonych oczu sprawia wrażenie nagle zbudzonego z letargu.

Miedzianowłosa gasi jego zapal lekceważącym machnięciem dłoni.

- Karani w sprawie nielegalnego obrotu wierzytelnościami. To jeszcze nasi prowadzili w gospodarce w Łodzi. Tam był też handel przeterminowanym mięsem i wypiekami.

- Podziemni piekarze... jasna kurwa... - ten z łysiną na głowie prycha, strzykając kropelkami śliny, ale spiorunowany wzrokiem przez małpowatego w kamizelce kładzie rękę na ustach.

- Spokojnie, moi mili... - Druga z kobiet siedzących w pokoju, nieco starsza od elegantki, wstaje od stołu i poprawia ciężkie, przyciemniane okulary na nosie. Wygląda trochę jak przedwojenna guwernantka: chuda, sztywna, włosy w kolorze mysiego futerka upięła w mały kok na czubku głowy. - Łódź to dobrze. Numer jeden jest z Łodzi.

- No i jeszcze ten aktor amator. Reinhart Tormblader. Niemiecki emeryt spod Łomży, wielbiciel koni. - Elegantka odkłada kartkę do ekskluzywnej teczki, by zaraz wyjąć z niej ksero jakiegoś artykułu prasowego. - Wystarczy wypuścić mediom jego związki z Legią Cudzoziemską...

- Domniemane.

-...opisane przez niemiecką prasę, nie naszą. To robi wrażenie. Wątek międzynarodowy, jak zauważyliście, jest mocno eksponowany.

- Obywatelstwo koniarza? - małpowaty patrzy pytająco.

- I niemieckie, i polskie. Formalnie nie ma żadnych przeszkód...

- Określi się ich jako grupę...

-...niezależnie od zatrzymań...

- Niemiec zadziała na wyobraźnię. Jakby miał jeszcze dziadka w gestapo...

- Rozumiem, że to był żart, pułkowniku.

- Jedno zyskamy. Czas.

W ciągu następnego kwadransa rozmowa robi się nieco chaotyczna. Małpowaty przypala kolejnego papierosa bez filtra i mruży oczy. Wiele razy już obserwował, jak najbardziej fantastyczne koncepcje i sfingowane teorie w procesie obróbki, którą można by od biedy nazwać analizą operacyjną, nabierają tak realnych kształtów, że sami ich twórcy zapominają, z jakiej nędzy koncepcyjnej się to wszystko wykluło. Od pewnego etapu wypróbowane procedury zaczynają działać automatycznie, trzeba je tylko uruchomić. Stare powiedzonko - dajcie mi człowieka, a paragraf się znajdzie - należałoby dziś, gdy mamy do czynienia ze zwiększoną liczbą niewiadomych, twórczo rozwinąć: dajcie nam tylko pomysł, a znajdą się i paragrafy, i ludzie.

Opcja „przychodzimy po nich nad ranem” już skusiła wszystkich zebranych w tym pokoju. Jego - nie do końca.

On patrzy dalej.

Oczywiście dwutygodniowe ultimatum polityczne, które obecnie stanowi największy kłopot zwierzchników wszystkich tu zgromadzonych, może z czasem przekształcić się w także jego problem. Polityka to nie nauka ścisła, wszystkiego nie przewidzisz. Nie po to jednak tę całą maszynę stworzyliśmy, by teraz używać jej do kręcenia młynków w powietrzu ku uciesze gawiedzi. Zatrzymania to jedno, dojście do prawdy: drugie - i ważniejsze.

- Cóż... w takim razie... - Gdy się odzywa, w pokoju znowu zapada cisza. -...opcji spektakularnej nie odrzucamy, co nas jednak oczywiście nie zwalnia od obowiązku przepatrzenia najważniejszych wątpliwości. Nad naszym numerem jeden nie będziemy się już dalej rozwodzić, wszystko na tym etapie zostało powiedziane. Numer dwa. Heleno...

Mówiąc do elegantki, po raz pierwszy okazuje coś, co od biedy można by nazwać życzliwością - uśmiecha się i odsłania dużą szparę między przednimi zębami.

- Rozwadowski Mirosław. - Miedzianowłosa Helena zdejmuje okulary z nosa. Teraz

wiszą na jej ładnie i kosztownie wyprofilowanych piersiach podtrzymywane srebrnym łańcuszkiem. - Ekstremista niewątpliwie. Czy zdolny do działania? Osobna sprawa. Moim zdaniem - tak. Ustalenia są następujące: trzy dni przed śmiercią wyjechał z Białegostoku, zabrany z osiedla przez kogoś poruszającego się samochodem. Jest świadek, ale nie zapamiętał numerów. Analizujemy zdjęcia z satelity, monitoring i resztę. Mamy godzinę wyjścia Rozwadowskiego z domu, jest kamera nad wejściem do klatki. Kiedy się to połączy, niewykluczone, że ustalimy, dokąd pojechali. Teraz dalej... tak... Nie było go w miejscu zamieszkania do dziesiątego, na kamerze mamy go o dziewiętnastej dwanaście, gdy wraca. Listę nazwisk wrzucił do komputera z pendrive'a mamy charakterystykę, instalacja sprzętu - godzina dziewiętnasta osiemnaście. Czyli przyjechał do domu i od razu wgrał dane. Są wszystkie właściwości pliku - niestety, standard office'owski. Nazwiska w tabeli ułożone alfabetycznie: na pierwszym miejscu senator Bruski, Kunicki miejsce drugie, Mater - siódme. Analiza niewiele daje. Kilka błędów literowych, nic charakterystycznego. Pendrive - chińska tanioccha dostępna na stacji benzynowej. Mógł należeć do niego od dawna, rodzina się nie orientuje. Teraz kwestia tego ładunku w piwnicy. Prawdopodobnie przywiózł go ze sobą we wtorek, na nagraniu z kamery mamy go z torbą. Torba jest u nas, niestety bawełniana, bez odcisków. Jak będziemy mieli kierunek albo i trasę samochodu, wtedy może coś więcej... Co do samego materiału wybuchowego, mamy, że tak powiem, dość sporo. Przede wszystkim: substancja ciekawa, rzadko spotykana, stosowana w konstrukcjach termobarycznych. Można powiedzieć - ostatni krzyk mody. Mieszanina węglowodorów i pyłów metali. Absolutnie nie do kupienia w kraju. Tego jeszcze żadne gangi nie mają, a co dopiero...

-...kibic Jagiellonii. Pieprzony blokers.

- Właśnie. Czyli też mamy zbieżności z numerem jeden. Nieadekwatnie drogie, że tak powiem, oprzyrządowanie.

Kobieta jeszcze kilkanaście minut omawia punkt pod nazwą „Rozwadowski”. Poszczególni członkowie rodziny, ostatnie przedśmiertne kontakty, finanse i tak dalej. Potem jej sąsiad przy stole - ogolony na łyso mężczyzna o podkrążonych oczach - pozwala sobie na coś w rodzaju puenty:

- Albo bierzemy się za tych, co są, albo jesteśmy w piździe.

Żadna z dwóch kobiet nie wydaje się zgorszona grubym wyrazem.

Niedziela, 15 lutego

Wysiadając z taksówki na rogu Alej Jerozolimskich i Nowego Świata przy szarpanej wiatrem palmie, Robert Pruski przypala papierosa i smakuje dym. Jest zadowolony z trzech powodów. Po pierwsze, taksiarz wziął za kurs z Francuskiej mniej niż dychę, co rzadko się zdarza. Po drugie, czeka go zaraz kolacja z Grzesiem Kopcińskim. Po trzecie, jutro idzie na uczelnię ostatni raz w tym tygodniu. O piątej, najpóźniej szóstej wieczór, gdy korek na Wisłostradzie trochę się zmniejszy, rusza do domu, by rozpocząć nareszcie wymarzone ferie „sam na sam z synami”.

To znaczy rusza do domów Kamili i Iwony.

Bo ty przecież nie masz domu, człowieku!

Kuląc się na wietrze, idzie - w zielonej bluzie i puchowej kurtce z kapturem - rzeźsście oświetlonym, pełnym młodych ludzi chodnikiem.

Ale zimno...

Przed restauracją stylizowaną na niemiecką birsztubę ekipa robotników w watowanych kombinezonach łopatami ładuje wielką śnieżną zaspę na pakę półciężarówki. Ciekawe, co oni z tym śniegiem robią? Do Wisły przecież nie wrzucają, bo zamarzła po wielkich mrozach na początku miesiąca.

Przypala nowego papierosa od poprzedniego. Trzeba się okopcić na zapas, bo w środku - tego jest pewien - będzie zakaz palenia.

Oblodzony, przysypany nawianym śniegiem próg knajpy przekracza tuż przed dziesiątą wieczór.

Kopciński siedzi w najciemniejszym kącie wypełnionej do ostatniego miejsca sali, pod wewnętrznym balkonikiem z ciemnego drewna, na którym biesiaduje jakieś wesołe damskie towarzystwo. Elegancko ubrane panie w nieokreślonym wieku stukają się szklankami z piwem. Pod antresolą, na dużym stole, który Kopyto musiał wcześniej zarezerwować, paruje nienaruszona jeszcze golonka. Błyszczą półlitrowka wódki w wiaderku z lodem. Już napoczęta.

- No, witam pogromcę wampirów, smoków, kobiet i innych złych stworzeń.

- Widzę, że nie próżnujesz. - Robert zdejmuje z siebie puchówkę, potem bluzę i wiesza je na oparciu krzesła, które o mało się nie przewraca pod ciężarem ubrań.

- Stresy w pracy. - Kopciński nalewa sobie wódki z oszronionej butelki. Robert przez moment wyobraża sobie jej smak, ale tylko zaciska powieki i krótko potrząsa głową.

- Na pewno smakuje jak sperma.

- Masz na myśli wódeczkę? - Kopyto robi sztucznie zdziwioną minę. - Wręcz

przeciwnie! Smakuje przecudnie! Na pewno nie spróbujesz?

Robert trze oczy zmarzniętymi palcami i nie odpowiada.

- No dobra, dobra... To co ci zamówić? - Kolega wbija nóż w ciemnoróżowe mięso i obficie okłada kęs chrzanem.

- Mam rozumieć, że stawiasz?

- Tego nie powiedziałem, ale skoro już się bezczelnie przymawiasz... - Macha na kelnera, w czasie gdy Robert bierze się do przeglądania karty dań. Zaczyna menu od ostatniej strony - z czystej ciekawości. Mają dwanaście rodzajów piwa...

Starszawy ober w ciasno zapiętej pod szyją śnieżnobiałej koszuli podchodzi do stolika.

- Herbatę poproszę i może... tatar.

Gdy kelner odchodzi, obaj siedzący za stołem przez chwilę patrzą sobie w oczy.

Kopciński żuje golonkę, kropla tłuszczu ścieka mu po brodzie.

- Schudłeś... - Pruski pierwszy przerywa milczenie.

- W ostatnim tygodniu chyba cztery kilo. - Grzegorz, który zawsze był drobny, a przy tym niższy od Roberta co najmniej o głowę, próbuje się uśmiechnąć, lecz wychodzi z tego tylko jakiś żalony grymas. Skórę ma ziemistą, ręka trzymająca widelec drży.

Robert przeciąga dłonią po czole.

- Dobra, Grześ, spuść już od razu tę żółć z wątroby, bo widzę, że ci się nie szczęści.

- Co mam gadać? Wszystko, kurwa, wiesz.

- Nic nie wiem. Ja teraz robię w kulturze i sztuce. Mówiłem ci, że prowadzę czasopismo dla zainteresowanych kolekcjonerstwem...

- Mówiłeś.

-...i mogę sobie pozwolić na luksus niebycia na bieżąco.

- Zauważyłem, że się trochę wyalienowałeś. Zanim zadzwoniłem, dwie wiadomości ci zostawiłem na fejsie. I nic.

- Nie miałem czasu wchodzić. Zawirowania osobiste.

- To znaczy?

- Taaakie tam... - Robert robi ruch dłonią, jakby odganiał muchę sprzed nosa. - Lepiej mi poopowiadaj, co dobrego u Skurwysynów. Namierzyliście?

- Żartujesz? Zero, null, gnój kompletny i panika. - Grzegorz przechyla kieliszek z wódką i od razu nalewa sobie kolejny. - Drgawki schodzą już coraz niżej. W środe pogałem do Białegostoku, jak tylko się okazało, co ten debil ma w komputerze. Do piątku musiałem tam siedzieć na miejscu. Przez trzy dni nie spałem praktycznie...

- Ale po co ty gonisz za Skurwysynami? Przecież to sprawa glin.

- To jest sprawa wszystkich, Robercik, a moja bardziej, niż myślisz...

- Dlaczego?

- Tajemnica państwowa. Ja chcę ci się tylko pożalić, że wczoraj cały dzień i pół nocy siedziałem w robocie, a dzisiaj to samo. Musiałem, kurwa, golnąć na odwagę, żeby wyłączyć komórkę przed dziesiątą, chociaż jest niedziela. Czy nie jest? Bo już mi się dni całkiem pierdolą...

- Jest niedziela.

- Znaczy... od jutra jeszcze jedenaście dni zostało.

- O czym ty mówisz... o tym całym ultimatum? Tej grubej bździągwy...

-...Żarnowskiej.

- Przecież to pic na wodę.

- Nie całkiem, kurwa, nie całkiem. Szkoda, że już nie pijesz.

- Żałuję tego każdego dnia. Ale inaczej się nie da. Masz chrzan na ręce.

- Strasznie się mądry zrobiłeś. - Kopciński sięga po serwetkę. - Może to przez obcowanie z kulturą i sztuką. Ja jeszcze pamiętam, jak miałeś nie chrzan, tylko całego pawia, i nie na ręce, tylko na twarzy. Pamiętasz, w Zajeździe Kujawskim? Szczaliście pod stołem do kufli z tym rudym z roku... W biały dzień, przy kelnerkach. A potem żeś się spawianił w kłocie.

- To były szklanki.

- Co?

- W Zajeździe nie było kufli, tylko szklanki. Szczaliśmy do szklanek. Elegancki lokal był.

- Dopóki myśmy nie zaczęli przychodzić. - Grzegorz śmieje się krótko. - Pamiętasz? Szatniarz cię złapał, jak wynosiłeś wazonik z kwiatami. Dla tej... jak jej było... z geografii... Mówiłeś wtedy, że podobno lubi, jak włożysz całą pięść...

- Ewelina. Ale żeby ja jej kwiaty nosił...? Nie pamiętam.

- Nosiłeś, nosiłeś. I zawsze kradzione. Rzeczywiście lubiła pięścią?

- Też nie pamiętam. Chodziłem do niej dopiero, jak już byłem na urwanym...

- Kurwa mać... - Twarz Kopcińskiego powoli nabiera rumieńców: albo to efekt wypitej wódki, albo toruńskie wspomnienia poprawiły mu pracę serca. - Było dobrze!

- Byliśmy wtedy dzikimi zwierzętami, Grzesiu.

- Bo ja wiem? Pamiętasz, jak nie zapłaciliśmy rachunku i uciekaliśmy potem bulwarem i ten jednooki narkoman... jak on się nazywał?

- Haczyk.

- Wskoczył, jebaniec, do Wisły, bo nie mógł szybko biegać. Milicja wodna go ściągała motorówką z łachy. Potem miał chyba z pięć zarzutów naraz. Czyn chuligański, obraza milicjanta... Wylali go z trzeciego roku historii. Jeszcze go w latach pięćdziesiątych widywałem. Na Szerokiej zebrał o kasę. Złachany, kurwa, jak ściera.

- Też się na niego nadziałem. Już mieszkalem z Kamila, przyszedł do nas do bloku pożyczyć pieniądze. Nie dałem mu, ale wypił mi wszystko, co miałem pochowane po kątach. Trzymałem pełną butelkę w spłuczce od kibla, dobrze się chłodziła. A on poszedł niby na kupę i wydoił całą w dwie minuty. Są goście, którzy mają do alku instynkt tropiciela. Już z kibla nie wyszedł, musiałem go wyciągać. I z flaszką się wydało. Kama wściekła, powiedziała mi wtedy, że jak jeszcze raz koleś się u nas w domu pojawi, to...

- Kama? Dawno nie słyszałem, byś o niej mówił w ten sposób.

- Mówiłem, że sprawy w Toruniu trochę pokręcone ostatnio...

- Słynny związek z bohaterką Iwonką się kończy? - Grzegorz unosi kieliszek i brwi. Wypija jednym haustem, natychmiast nalewa sobie następny.

- Sam nie wiem. - Robert wyciąga dłoń płasko przed siebie i kołysze nią lekko na boki.

- Gdy nie jesteś już pewny, kogo kochasz, to wiedz, że coś się dzieje... ha ha! Twoje zdrowie. Jeszcze, kurwa, wrócisz do żony. Historia zna takie przypadki. Sam mieszkasz?

- W Warszawie? Sam jak palec. Za to w ładnym miejscu.

- Pytałem o To-to-ruń. Eiiiiep! - Kopciński najwyraźniej dostał czkawki.

- Trochę u Iwony, trochę u Kamili.

- To musi być, kurwa, ekscytujące. Tak z dziurki do dziurki... Jak myszka. Mów do mnie jeszcze... eip!

- Grześ, ty tylko spokojnie mi powiedz... Bo widzę, że masz ochotę się urzącić... Co tobie grozi? Przecież jesteś jeszcze z poprzedniego zaciągu. Co cię materowcy obchodzą? Upadek rządu? Chyba się nigdzie nie zapisałeś?

- Głupi jesteś? Mam większy kłopot. Dobra... Zdradzę ci tajemnicę państwową. Dałem dupy w sprawie Omegi.

- Cooo?!

- Sam o tym z początku nie wiedziałem. Jeszcze jak żeśmy się spotkali wtedy na Francuskiej...

- No?

-...żyłem w błogiej nieświadomości. Wiesz, kurwa, że tam powinien stać ktoś

dodatkowo na bramce, w Omedze, a nie stał. Tych dwóch od razu zastrzelonych, co przyjechało z Warszawy z Kunickim, powinno mieć jeszcze trzyosobowe wsparcie na zewnątrz.

- To chyba wszyscy wiedzą. Czytałem gdzieś, że jakiś pan pułkownik już za to poleciał.

- Nie przerywaj... - Kopciński bawi się kieliszkiem, ale nie pije. Dalej mówi cicho, wolno i wyraźnie. Prawie sylabizuje. - On poleciał... bo i tak miał sam odejść. Ktoś musiał beknąć z BOR-owców, wybrali jego. Ale prawda jest inna. Oni dlatego nie wystawili ochrony przed budą, bo ja im na czas jednego kwitu nie wysłałem. Takiej obiegowki delegacyjnej. Teraz się Ministerstwo Sprawiedliwości za wszystko z BOR-em rozlicza. Nie kasą, ale na papierze, żeby było wiadomo, kto ile korzysta. I to idzie przez naszych. Na szczęście jestem kryty formalnie, bobym tu z tobą nie siedział. Kunicki wszystko zorganizował za szybko, a u nas na każdą czynność są terminy. Ale oczywiście... - Kopyto zawiesza głos. Dolna warga opada mu, odsłaniając koniec języka. Wygląda żałośnie.

- Oczywiście co?

Kopciński patrzy w szkło. Nie odpowiada. Robert pochyla się ku niemu i też ścisza głos.

- No, mów koledze... Dyscyplinarkę ci zrobią? Wywalają cię? Gadaj.

- To tak nie działa. - Grzegorz macha ręką przed oczami ich obu, jakby odganiał złe wizje. - Nie mogą mnie ukarać, bo moi panowie się przecież nie przyznają, że coś nie grało z naszej strony. A oficjalnie jestem czysty, mówię ci przecież. Ale gdybym tak odszedł na własną prośbę, to pewnie nikt by mnie nie zatrzymywał. Dlatego muszę się teraz uwijać za dwóch, wszędzie jeździć i wszystko wiedzieć, bo chwilowo nie mam na oku żadnej nowej roboty.

- Szczególnie takiej, gdzie dają volvo z kierowcą.

Kopciński prychnął i potrząsa głową. Już mówi głośno.

- Znasz mnie. Mogę zapierdalać tramwajem, jak trzeba. Albo ty... - zawiesza głos, a na twarz niespodziewanie wraca mu uśmiech. - Może załatwisz mi dobrą robotę na twoim uniwersytecie? Też będę wykładowcą!

- To nie jest żaden uniwersytet, Grześ. Poza tym słabo płacą i chyba na kolejny rok nie przedłużą mi umowy. Niż demograficzny idzie.

- I co zrobisz? - Grzegorz przechyla kieliszek i mlaska ze smakiem. Miło jest dla odmiany posłuchać o cudzych problemach.

- Pisemko dla kolekcjonerów ładnie mi się rozwija. To jest przyszłościowa branża,

bracie. Dzieła sztuki, numizmaty i dobre wina. Lokaty na niepewne czasy. Dookoła tyle upadłych banków, szaleńcy strzelają do rządu, topią się ludzie w basenach, wybuchają bomby po piwnicach... a ty sobie siedzisz, bracie, w fotelu, kontemplujesz rzeźbę nagiej pani i obracasz w paluchach złotego florena. W drugiej ręce kieliszek chateau mouton rothschild...

- Czego?

- Takie wino. Tysiąc dolarów za flaszkę. Zależy zresztą od rocznika.

- Piłeś?

- Na zdjęciu widziałem. Wiesz, ile mi na tym niby-universytecie płacą? Dwa tysiące.

- Ale chyba coś innego z tego jest? - Grzegorz rozciąga wargi w szerokim uśmiechu.

Po ostatnim kieliszku rysy zaczynają mu się powoli rozjeżdżać. - Studenteczki, kurwa, kuse kiecki i młode cycuchy... eiiiieep! I z takim meszkiem brzoskwiniowym. I koniecznie, żeby były duże!

- Duże to ja mam zaległości w poprawianiu wypracowań, chłopie. Dziś cały dzień przejściówki czytałem i nawet nie skończyłem, a jutro na urlop chcę iść...

- Przejściówki?

- Prace zaliczeniowe dzieciaków. - Robert pochyla się nad talerzem tataru, który kelner przyniósł mu dopiero teraz razem z dzbankiem herbaty. Porcja jest bardzo mała, ale warto było czekać. Mięso - czerwone jak świeża krew - smakuje wybornie, drobno pokrojony ogórek chrząści po przegryzieniu. - Czytałem, bracie, przejścióweczki i mam raczej smętne refleksje. Umiejętność pisania po polsku zanika.

Grzegorz się nie odzywa. Znowu sięgnął po butelkę, lecz na razie tylko obraca ją w palcach. Robert przeciera usta serwetką.

- Ale ci powiem za to ciekawą rzecz... Jeden chłopak stworzył niesamowitą teorię o Omedze i Skurwysynach.

- Mów... - Kopyto odstawia butelkę z głośnym stuknięciem. Dwie spośród kobiet biesiadujących na antresoli spoglądają przez barierkę na ich stolik. Robert posyła im uspokajający uśmiech.

- Że to nie było w ogóle wymierzone w Kunickiego. Rozumiesz?

Kopciński nie odpowiada. Odchyła się na krześle, zakłada ręce za kark i przez moment nie patrzy na Roberta, ale w swój talerz, na którym została już tylko tłusta kość i sflaczały liść sałaty. Gdy podnosi głowę, wzdycha ciężko i jakoś tak nienaturalnie, jak gdyby chciał w ten sposób ukryć nagłą ekscytację. - Mów do mnie jeszcze.

- Według chłopaka... kluczem... są trzy mało znane... osoby. - Robert robi przerwy, by przełknąć tataru, potem wrzuca plasterk cytryny do herbaty w dzbanku. - Dwóch

prokuratorów... właściwie dwoje... i jeden sędzia. O jakimś takim śmiesznym imieniu... jak z bajki.

- Ambroży Malak.

- Dokładnie ten. Ty wszystkich ich znasz na pamięć... tych wystrzelanych?

- Razem z funkcjami, adresami i datami urodzenia.

- Słuchaj... Grześ... - Robert kończy jedzenie i odsuwa na brzeg stołu opróżniony talerzyk. - Co ty właściwie teraz robisz?

- Teraz piję wódkę.

- Aha. Bardzo śmieszne. A w pracy?

- Też czasem pijemy. Po godzinach. Tylko że od dwóch tygodni nie ma na to czasu. Mów mi o twoim studencie. - Kopyto nie kryje ożywienia. Czkawka zniknęła. - Dlaczego stawia na Malaka?

- Karkołomna dosyć teoria.

- Mamy czas, Robercik. Ja mam.

Gdy Robert zaczyna streszczać aneks pracy Pawła, Grzegorz każe wynieść kociołek z zimną wodą, resztkami lodu i niedopitą butelką. Zamawia podwójne espresso i robi się bardzo ciężko-poważny. Robert ma wrażenie, że oto objawia mu się jakaś nowa, wcześniej starannie skrywana część osobowości kolegi.

Przenikliwe spojrzenie, ton nieznoszący sprzeciwu... Gdzie się podział mój stary druh Kopytko, który pokazał dziekanowi gołą dupę na połowinkach? Który wyrzucił przez okno akademika wersalkę? Który rozpaczliwie złapał się w końcu posady rzeczownika straży, a potem policji, bo wypieprzali go za notoryczne obsuwy z każdej kolejnej redakcji, od radia studenckiego poczynając?

Stary druh Kopytko się schował.

Teraz rozmawiasz z wyższym urzędnikiem ministerstwa.

* *
*

Po kwadransie wychodzą przed knajpę na papierosa. Śnieg ciągle pada. Robert stoi w puchówce narzuconej na ramiona, Kopyto w samej marynarce. Częstuje mentolowymi chesterfieldami.

- Mów dalej.

Oho, to już prawie przesłuchanie. A miał być wesoły wieczorek dwóch starych kumpli.

- No więc jak pierwszą sprawę prowadził Malak, to drugą Czyżykiewicz, a trzecią, dziwną, ta z Gdańska. Nadążasz?

- Całkowicie. Prokurator Wanda Marianna Raduńska, pięćdziesiąt cztery lata.

- Nie popisuj się.

- Mów, Robercik, mów...

- To chyba przez ten wiatr jest tak zimno, bo przecież nie ma już mrozu wielkiego...

- Nie drocz się ze mną.

- Dobra. Na czym skończyłem?

- Na przesłuchaniu chłopca spod Kwidzyna, Alojzego Karbowanego...

- Chłop zgłosił, że mu bandyci ukradli dwieście pięćdziesiąt tysięcy z domu. Ale nie umiał wyjaśnić na przesłuchaniu, skąd miał takie pieniądze, więc nagle zmienił zeznania - że tylko pięćdziesiąt mu wzięli. Bo za tyle miał zapłacony podatek od sprzedanego wcześniej pola. Tylko że pani Raduńska była dokładna i to sprawdziła. Umowa na pole okazała się lipna. Istniał papier kupna-sprzedaży, ale w księdze wieczystej - żadnych zmian. Zatem skoro nie było transakcji, to i cały ten napad na dom mógł być wymyślony.

- Ale podatek on jednak zapłacił?

- Mówiłem, że sprawa jest dziwaczna. Prokuratorce też musiało to uderzyć: chytry chłop płaci podatki za frajer?! Dociska dziada i on wtedy jeszcze raz wersję zmienia. Pieniądze były, i nie pięćdziesiąt, ale faktycznie ćwierć miliona. A pola nie sprzedał, tylko transakcję sfingował, żeby wyjaśnić sąsiadom, czemu się nagle zrobił bogaty i samochody kupuje, remonty robi... Nawet mu ten podatek kazali zapłacić, żeby rzecz uwiarygodnić.

- Jak on się zrobił bogaty?

- To są właśnie ci „oni”. Ktoś mu dał walizkę kasy właśnie za to, że nie będzie sprzedawał pola ani go udostępniał. A to było pole niezbędne dla dużej inwestycji gazowej, dla wierceń poszukiwawczych. W końcu chłopina, jak go Raduńska wzięła w obroty, wyśpiewał, że wziął łapówkę za zablokowanie gazownikom inwestycji. I nagle, po tym przyznaniu się - zniknął. Tylko że przed zniknięciem - to jedynie podejrzenie mojego studenta ukryte między wierszami - zdążył powiedzieć Raduńskiej, kto mu tę kasę dał. Kto go podplacił. Kim są „oni”. Nadążasz?

- I mam rozumieć, że sama Raduńska powiedziała to wszystko twojemu studentowi?
Za życia jeszcze?

- Nie, no... co ty? Nie słuchasz?

- Sprawdzam, czy coś ci się nie pomieszało.

- Dzięki. Niezłe te chesterfieldy... Może się na nie przerzucę.

- Mów dalej.

- Mój studencik kochany to wszystko pisał, ma się rozumieć, już po zamachu, kiedy

prokuratorka nie żyła. I reszta. Właściwie nie wiem, skąd wziął dane. Kazałem mu streszczać publikacje, więc pewnie przepisywał od kogoś. Wiesz, jak to jest z internetem. Z kontekstu by wynikało, że Raduńska rozmawiała z mediami na pewno tam u siebie, w Gdańsku. To nawet logicznie się układa. Popatrz: rolnik po przesłuchaniach znika. Tydzień - nie ma gościa. Miesiąc - i dalej nic. Żona i córka poszły najpierw na policję, a potem zatrudniły detektywa i oprócz tego zaczęły obie chodzić po redakcjach. Robiły raban, opowiadały wszystkim historię od początku: najpierw ojciec się wzbogacił na polu korzystnie sprzedanym albo niesprzedanym - w ich wersji dla prasy to bez znaczenia. Potem go napadli we własnym domu, zabrali auto i kasę. Później prokuratura nie dość, że nie łapie bandytów, to jeszcze się czepia biednej ofiary, bo skradzione pieniądze były z niewiadomego źródła, a w dodatku pan Alojzy nie mógł się zdecydować co do ich ilości. No więc jak to w Polsce jest z tą sprawiedliwością? Mąż, ojciec, spokojny przedsiębiorca rolny zostaje najpierw okradziony, a po tym wszystkim jeszcze zaszczuty przez prokuraturę. I nagle zapada się pod ziemię! Może skoczył do Wisły ze zgryzoty? Patrzcie, ludzie, co za granda! Mieli znaleźć złodziei, a doprowadzili do kolejnego nieszczęścia. Organy ścigania tylko się czepiać Polaka potrafią... Stłamszą chłopą biednego, do samobójstwa doprowadzą... No i prokuratorka widocznie, w pewnym momencie, wkurzyła się na taką medialną aktywność córeczki i żonki. Powiedziała do kamery swoją wersję. Wyjaśniła, że śledztwo w sprawie napadu na gospodarza to jedna sprawa, a druga, niezależna rzecz, to że musieli chłopu przedstawić zarzuty, bo fałszywie zeznawał. Kumaszu?

- Doskonale.

- Może on zresztą naprawdę chciał uciec z forszą od rodziny? Nie jest ci zimno?

- Nie jest. Nawijaj.

- Nie ma lepszej grzałki niż wódka w brzuszku, co?

- Do rzeczy, Robercik.

- Chodź już do środka. Mam dosyć. Jakbyś chciał więcej szczegółów, musiałbyś sam ze studentem pogadać. Paweł Domaradzki. Mieszka - mówił mi kiedyś - gdzieś na Siekierkach. Z dziewczyną. Wchodź pierwszy.

Na progu Kopyto potrąca wychodzącego z restauracji faceta. Robert ma wrażenie, że od dwudziestu minut kumpel jest już zupełnie trzeźwy, za to myślami - gdzieś daleko. Nie reaguje nawet, gdy dwie minuty później, już przy stoliku, jedna z wesołych pań siedzących na antresoli ochlapuje go piwem. Niedbałym ruchem strzepuje ciecz z ramienia marynarki, ignorując dobiegające z góry przeprosiny i śmiechy. Robert zadziera głowę. Miłe babeczki, jedna jest nawet bardzo, bardzo ładna. Normalnie można by je zaprosić do stolika, ale tym

razem czar wieczoru już prysł. Kopciński milczy. Przeciera oczy, obraca w dłoni smartfon, jakby się nad czymś zastanawiał albo próbował podjąć decyzję.

Robert ostentacyjnie ziewa.

- Bierzymy rachunek? - Wlewa do filiżanki resztę herbaty z dzbanka.

- Ja zapłacę. Powiedz mi... Ten Paweł Domaradzki to jest inteligentny chłopak?

- Bardzo. Wygląda trochę na młodego ćpuna, ale to gigant. Równolegle studiuje historię i pracuje w radiostacji... Ma łeb na karku.

- To dobrze. Masz jego telefon?

- Nie.

- A kiedy się będziesz z nim widział?

- Jutro. Chyba że nie przyjdzie na zajęcia.

- Robercik, potraktuj, proszę, sprawę poważnie... Tutaj masz moją wizytówkę. Na ten numer możecie dzwonić i ty, i ten twój Domaradzki. O każdej porze, ale im wcześniej, tym lepiej. Ten rolnik...

- Pan Karbowany.

-...to jest faktycznie dość pojebana teoria, ale nie taka głupia, jak ci się może wydawać. - Kopyto przywołuje kelnera i od razu, bez pytania o wysokość rachunku, wręcza mu trzy banknoty. Kładzie prawą dłoń na środku stołu i przez chwilę bębni palcami w drewno. Zamówiona przez niego kawa stygnie, prawie nietknięta. - Robercik... Ja wiem, co ty sobie o mnie myślisz, ale to teraz nie ma żadnego znaczenia. Gdybym na serio uwierzył w teorię twojego studenta, tobyśmy zaraz do niego pojechali radiowozem. Ale trochę wypilem, jestem zmęczony i chyba muszę to jeszcze przemyśleć. Może on jednak niedokładnie wszystko połączył... ale coś w tym pomyśle jest. Tak czuję. I nie gniewaj się na mnie.

Robert ogląda wizytówkę. Takiej jeszcze nie widział. Jest na niej tylko imię „Grzegorz”, numer telefonu komórkowego z dziwnym początkiem - od jedynki - i adres e-mailowy z końcówką *gmail.com*.

- Zapłaciłeś za mojego tataru - mówi koledze. - Wybaczam ci wszystko.

7.

Poniedziałek, 16 lutego, poranek - popołudnie

W połowie aktu Majka przyspiesza. Siedząc wciąż okrakiem na biodrach Pawła, chwyta go mocno oburącz za ramiona i ujeżdża ze wszystkich sił. Jej pośladki klaszczą

rytmicznie. Zaciska powieki, usta ma w pół otwarte. Na jej długiej, nagle zaczerwienionej szyi pojawiły się żyły i małe kropelki potu. Paweł wsunął dłonie pod własne plecy, próbuje się powstrzymać przed schwyceniem dziewczyny w tali. Niech to się stanie samo... jeszcze... jeszcze... Zimne i gorące prądy przechodzą mu przez stopy i kark po czubek głowy.

- Jeszcze, jeszcze!

- Taaak... - Ona jest coraz głośniejsza, on czuje, że nie powstrzyma się długo. Gwałtownie uniesiony, obejmuje jej mokre plecy, przyciska nabrzmiałe piersi do swoich i wpycha się w nią jak najgłębiej, uderzając w nierównych odstępach najpierw w poprzek jej rytmu, a potem zgodnie z nim, by w końcu narzucić własny - jeszcze szybszy. Dłonie ślizgają się na skórze, jej paznokcie wbite w jego uda, jego palce między jej pośladkami, cudowne uczucie rozbijania się o głębokie dno drugiego ciała.

- Daaaj!

Majka przewraca się na plecy, on jest teraz na niej, nogi splątane, ślina i pot na twarzy, ciepło spermy, palec zanurzony w wilgotnej pupie, usta rozgniecione na ustach, sztywny język.

Dochodzi dziesiąta rano, za oknem - po raz pierwszy od dłuższego czasu - błyska słońce. Gęste chmury, od świtu przykrywające większość nieba, niedawno popękały w kilku miejscach jak wielki, szary strup. Temperatura: dwa stopnie poniżej zera. Może po południu zrobi się jeszcze cieplej?

Paweł, w niedopiętych spodniach, klapkach i kurtce narzuconej na gołe ciało, stoi przez chwilę w otwartych drzwiach domu, jak gdyby zbierał siły, a potem wybiega do ogródka, by rzucić jedzenie zwierzętom. Oba kundle - większy, łaciaty, i mniejszy, hałaśliwy, z naderwanym w jakiejś psiej potyczce uchem - podskakują w głębokim śniegu na widok wielkiej i już otwartej puszek marki Puffi. Koty też się zbiegają. Żarcie jest - jak zwykle - wspólne. Puszki dla psów są w Tesco o jedną trzecią tańsze od kocich, dlatego cała menażeria zajada psie żarcie - i nikt nie narzeka. Paweł zapomniał zabrać z domu łyżki. Nie chce mu się wracać, więc odłamuje kawałek gałęzi z ośnieżonego krzaka bzu i z jej pomocą wywala śliską zawartość puchy do stojących przed budą misek. Resztki pulpy o smaku wołowiny lecą wprost na głowy kłębiącej się nad garnkami sfory. Koty zlizują brązowy budyń jeden z drugiego.

Paweł w pośpiechu wraca do domu. Gdy zamyka za sobą drzwi, słyszy szum wody. Majka bierze prysznic w toalecie-łazience. Zegar zawieszony nad lustrem w mikroskopijnej sieni wskazuje dziesiątą dziesięć.

Za niecałą godzinę zaczynają się zajęcia - najpierw ćwiczenia z Wiedźminem, a potem

nudny wykład z komunikacji społecznej.

Zdejmuje kurtkę i podchodzi do drzwi łazienki. Śnieg roztopiający się na jego gołych stopach znaczy podłogę mokrymi plamami.

- Majeczka... jakbym ci odśnieżył toyotę, zawiozłabyś mnie na lekcje?

- Co mówiłeś...? - Szum wody cichnie. Paweł uchyla drzwi. Wilgotne ciepło uderza go w twarz. Maja stoi mokra pod słuchawką prysznica. Cieknąca ledwo-ledwo woda i szampon z jej jasnych włosów spływają po piersiach, tworząc wokół wzniesionych sutków maleńkie, mleczne strumyki.

- Zawieziesz mnie do szkoły? Mielibyśmy jeszcze pół godziny dla siebie... - W pośpiechu ściąga dżinsy, pod którymi nie ma majtek. Ona uśmiecha się na widok erekcji.

- No chodź... - Przyciąga go do siebie. - Ale jesteś ziiimny...

Całują się łapczywie pod strumykami wody, on trzyma ją mocno za uda, potem unosi i opiera na mokrej ścianie. Wchodzi trochę niezdarnie, pomagając sobie kolanem, ręką i sapiąc. Kochają się szybko, gwałtownie, ona szczytuje pierwsza i z długim westchnieniem zsuwa się po kafelkach. Gdy z pluskiem zanurza pośladki w płytkiej wodzie, przez głowę przelatuje jej ciąg deklinacyjny rzeczownika *dominus*, nie wiadomo czemu - w liczbie mnogiej: *domini, dominorum, dominis, dominos...*

Paweł opiera czoło o ścianę. Strumień wody zalewa mu oczy, gdy Maja - już uwolniona od tupotu łaciny, trochę oszołomiona orgazmem i trochę nieobecna - bierze go głęboko w usta.

* *
*

Na zajęcia dociera spóźniony, ale w spojrzeniu, które posyła mu Pruski, nie ma pretensji.

Przeciwnie, szanowny Wiedźmin, który ubrał się dziś wyjątkowo elegancko jak na siebie - w dżinsową koszulę z czarnym kołnierzykiem i ciemniejszymi kieszeniami na piersiach - sprawia wrażenie uradowanego, że student w ogóle przyszedł. W przerwie, którą zarządza wcześniej, niż by należało, przywołuje Pawła niecierpliwym gestem dłoni.

- Już się martwiłem, że pana nie będzie.

- Przepraszam, dzisiaj...

- Nieważne... Niech pan słucha... - Robert wyjmuje z płaskiego, czarnego plecaka tekturową teczkę, a z niej jego spięty klamrą tekst. - Przeczytałem pańską pracę. To jest i dobre, i ciekawe. Wystawię panu maksa, co pana, zdaje się, zwolni z egzaminu u doktora Głowackiego.

- Dziękuję.

- Niech pan nie dziękuje, należało się. - Wiedźmin wyciąga z kieszeni dzinsów Pawłowy pendrive, oddaje, potem siada na swoim biurku, wyciąga ciemnozieloną paczkę papierosów, otwiera ją i chwilę obserwuje, jak gdyby przeliczał zawartość. Po chwili wyjmuję z niej - zamiast pall malla - niewielki kartonik.

- Tu jest wizytówka mojego kolegi. On pracuje, jak mówią Amerykanie, dla rządu. Opowiedziałem mu o tym, co pan zasugerował na końcu wypracowania. O aneksie. Bardzo go podnieciły wnioski na temat tych trzech śledztw.

- Pan myśli, że mnie się udało...

- Niewykluczone, że pańskie połączenie faktów - Toruń, Lublin i Gdańsk-Kwidzyn - że to się wszystko trzyma kupy lepiej niż cokolwiek innego.

- Tym bardziej że to, co podają wszyscy...

-...jakoś się nie klei. Też słucham radia. A dzisiaj jest bardzo ciekawa analiza niejakiego Macieja Taczalskiego we "Wproście". Polecam. Czytając, miałem wrażenie, że autor idzie tym tropem co i pan, tylko brakuje mu wiadomości, które pan zebrał.

- Właściwie to moja dziewczyna, mówiłem...

- Mówił pan. Maja.

- A może mógłbym ten tekst... no, nie wiem... jakoś wypuścić w prasie?

- Gdyby pan dorobił komentarz, dajmy na to, prokuratury czy choćby policji... Tyle że oni mogą nie chcieć z panem rozmawiać, teraz wszyscy wszystkim siedzą w tej sprawie na karku. Ale opinia wprost z zakamarków ministerstwa...? Ta wizytówka może się panu bardzo przydać. Ja nie czułem się uprawniony do przekazywania koledze pańskiej pracy, lecz pan może śmiało pohandlować z tym dżentelmenem.

- Tu jest tylko imię.

- Nazywa się Grzegorz Kopciński.

- Z ministerstwa?

- To na pewno. Niech pan mu powie, że owszem, dostanie referat, ale w zamian za krótką odpowiedź na trzy-cztery pytania. Osobno niech skomentują założenia aneksu i koniecznie niech dadzą panu coś na wyłączność. Jakiś szczegół, którym pan może zabłysnąć. Im... jemu... temu Grzesiowi - to mój kolega z bardzo dawnych czasów - im strasznie teraz zależy, żeby się wykazać jakąkolwiek koncepcją. Tak to odbieram. Już dwa razy dzisiaj do mnie dzwonił. Nie może się doczekać kontaktu z panem.

- Ultimatum rządowe...

- No właśnie. Materowcy naciskają premiera, premier naciska ministra, minister naciska swoich ludzi. Naciska to zresztą mało powiedziane. Odnoszę wrażenie, że niektórzy

są bliscy paniki. Mój kolega - na pewno. Pan ma tymczasem atuty w rękach. Dawałem już panu moją komórkę?

- Nie.

- To niech pan sobie zapisze. - Robert wyciąga pall malla z paczki i dyktuje numer telefonu, który Paweł notuje na odwrocie wizytówki.

- Zaczniemy ćwiczyć za dziesięć minut, ale pan jest zwolniony z reszty zajęć. - Pruski wkłada papierosa do ust i żwawo zeskakuje z biurka. - I powiem doktorowi Głowackiemu, że nie będzie pana na wykładzie. Niech pan się zajmie moim kolegą Kopcińskim i swoim tekstem. To pana więcej nauczy niż wykład doktora.

Wychodząc na korytarz, Wiedźmin zapala papierosa, a Paweł dopisuje nazwisko „Kopciński” między imieniem „Grzegorz” i numerem telefonu.

Dzwoni do niego pół godziny później. Po kolejnej godzinie - i zapewnieniu, że odpowiedź na wszystkie nurtujące go pytania zostanie niebawem nadesłana - wysłała e-mailem referat.

Potem robi sobie i Majce makaron z serem na obiad. Czeka na obiecany komentarz.

Ale nic nie nadchodzi.

W dodatku Kopciński nie odbiera już telefonu.

* *
*

Nie odbiera, bo go wyłączył. Przeczytał tekst od Domaradzkiego dwa razy, pozaznaczał fragmenty zielonym markerem, jeszcze raz przeczytał - bardzo powoli. Teraz, stojąc na drugim piętrze budynku ministerstwa, spogląda w swoje odbicie w lustrze i zastanawia się, czy powinien usiąść na kanapie, czy może jeszcze chwilę postać. Siedząca pod stylową lampą sekretarka wiceministra Sławomira Drehnera, z wyglądu sześćdziesięcioletnia dystygowana pani o krótkich, prawie idealnie srebrnych włosach, uśmiecha się życzliwie za każdym razem, gdy ich spojrzenia się zetkną.

- Może podać panu wody, panie Grzegorzu? Albo soku?

- Dziękuję, nie. - Kopciński czuje, że chce mu się raczej zapalić. I najchętniej coś mocniejszego od tytoniu. Robi dwa kroki do przodu, dwa do tyłu, wpycha pod pachę papierową teczkę w kolorze karminowym, wyciąga wyciszoną komórkę i spogląda na ekran - żadnych nowych wiadomości przez ostatnie pięć minut, trochę nieodebranych połączeń, w tym dwa od studenta.

Jeszcze raz przygląda się swemu odbiciu: w połowie zielonkawego krawata wciąż widać biały ślad. Rano poplamiał się jogurtem, gdy jadł w pośpiechu przygotowane przez żonę musli z morelami. Na rękawie marynarki powyżej łokcia też widzi plamkę.

Odwrócony plecami do sekretarki ślini czubek palca i przeciera najpierw popielaty materiał garnituru, a potem jedwab krawata. Rzut oka w lustro - jest lepiej.

Znowu dwa kroki w przód, dwa z powrotem.

Jeszcze kwadrans i się rozstrzygnie: albo szanowny minister kupi szaloną teorię i będą z tego jakieś benefity... albo wywali go za drzwi. Nic gorszego nie grozi. Przynajmniej wykaże aktywność.

W pamiętającym lata dziewięćdziesiąte wielkim telefonie na biurku starszej pani miga znana Grzegorzowi lampka. Pomarszczona dłoń z wielkim pierścieniem na środkowym, krogulczo zagiętym palcu unosi się zapraszająco i wskazuje podwójne drzwi we wnęce.

- Proszą pana do środka.

„Proszą”? To brzmi niepokojąco. Spodziewał się raczej spotkania w cztery oczy.

Jeżeli wizyta zakończy się porażką - to przy widowni.

Naciska ciężką klamkę i wkracza na jasnobeżowy dywan.

Drehner siedzi przy niskim stoliku pod oknem. Na szklanym blacie leżą dwa otwarte laptopy i jakieś papiery. Obok na krzesłach dwójka facetów, których ponure twarze coś Kopcińskiemu mówią, ale nazwisk nie może sobie przypomnieć.

Jeden - w wieku Grzegorza, dobrze zbudowany i idealnie łysy - na pewno pracuje gdzieś w tym kompleksie, w nadzorze i pionie policyjnym. Ma na imię Artur, lata między ministrem a komendantem głównym i - jak się tutaj powiada - „łatwi tematy”. Wygląda na spiętego, żuje gumę, oczy ma podkrążone tak bardzo, że wyglądają na podmalowane. W rzeczywistości - lecz tego Kopciński nie wie - od rana męczy go monsturalny kac i trudno mu się skoncentrować na myśleniu o czymkolwiek.

Drugi, dużo starszy, bardzo męski, ubrany jest w wełnianą marynarkę, spod której wystaje kamizelka. Ma nieco bandycki wygląd, przypomina starą małpę... brwi jak u Breżniewa... spojrzenie czarnych oczu zawierające w sobie jednocześnie groźbę i podejrzenie... Skąd ja go znam? Facet kojarzy się Kopcińskiemu z jakąś kurtuazyjną wizytą, nudną oficjałką... Chyba w Pałacu Prezydenckim.

Nie ma czasu, by sobie przypomnieć więcej, bo Drehner mówi już do niego, szybko pukając w ekran laptopa:

- Pan do nas podejdzie, panie Grzegorzu, tego pan jeszcze nie widział... - Minister najwyraźniej nie zamierza przedstawiać przybyłych sobie nawzajem. - Pan puści jeszcze raz - mówi do młodego łysola, który kilkoma stuknięciami w klawiaturę uruchamia film.

Drgająca w czyimś ręku kamera obejmuje zrujnowane pomieszczenie - złuszczone żółtobrazowe ściany, podziurawione deski podłogi, zabite płytą okno przedzielone resztkami

powyginanej kraty.

Frontem do widza stoją dwaj mężczyźni w czarnych kominiarkach na twarzy, kolorowych, luźnych dresach i jasnych sportowych butach. Obaj są dosyć grubi i chyba młodzi, sądząc po węzowych ruchach i gestach rodem z MTV. Stojąc na lekko ugiętych nogach, machają dłońmi i recytują tekst na dwa głosy:

- Proces likwidacji Syjonistycznego Rządu Okupacyjnego został rozpoczęty. - Jeden z dresiarzy wyciąga do kamery obie ręce. Gest jest sztywny, tak jak wypowiedziana kwestia. Znać, że chłopak kompletnie nie ma aktorskich talentów.

- Zdrajca Mater i kłamca Kunicki to nie jest koniec, tylko to jest dopiero początek. - Drugi, ruszając się nieco szybciej, zaciśniętą dłonią wymierza cios niewidzialnemu wrogowi. - Oddajemy cześć naszym towarzyszom, którzy oddali życie!

Na chwilę na ekranie pokazują się zdjęcia. Na pierwszym - kibic Mirek Rozwadowski, jeszcze żywy, z szalikiem Jagiellonii Białostok zawiązanym z tyłu głowy. Drugie zdjęcie jest reprodukcją listu gończego wysłanego kiedyś za Kajetanem Leskim.

- "Leszczu" i "Kapa" byli naszymi towarzyszami broni. Cześć ich pamięci!

- Cześć!!

Zdjęcia znikają, malejąc i jednocześnie kręcąc się po ekranie jak obrazy proszków do prania w starych reklamach telewizyjnych. Obaj faceci w kominiarkach stoją teraz na baczność i wyciągają ręce w hitlerowskim pozdrowieniu.

- *Heil* synom Białej Rasy!

- *Heil!*

- Za każdego zabitego Aryjczyka Młot Thora zmiażdży trzech członków ZOG-u!

- *Heil!*

- Nasza zemsta jest naszym prawem.

- *Heil* Białym Synom Polski!

- Bądźcie dumni, że urodziliście się białymi. *Heil! Heil!*

Koniec nagrania.

Drehner wstaje od stolika, przechodzi przez pokój i siada bokiem za wielkim biurkiem przy tylnej ścianie. Krótkie nogi w kosztownych lakierowanych półbutach kładzie na niskiej szafce stojącej pod biało kwitnącą egzotyczną rośliną i flagą Unii Europejskiej.

- Co pan sądzi o tym przedstawieniu, panie Grzegorzu? - pyta, poprawiając lekko przyciemnione okulary na nosie.

- Tak na gorąco... panie ministrze... - Kopciński ustawia sobie krzesło w połowie drogi między szklanym stolikiem a biurkiem szefa. Teczkę, którą przyniósł, kładzie na kolanach. -

Po pierwsze, to jest bardziej prymitywne niż listy i manifesty Leskiego. Na granicy parodii. Powiedziałbym... terrorystyczny kicz. Już nie ma nic o marksizmie i multikulturalizmie. Prosty bełkot i ograne „*heil Hitler!*”. Tylko ten Młot Thora się powtarza. Jeżeli nie mamy do czynienia z inscenizacyjną zmyłką, stawiałbym raczej na młodocianych fanatyków, entuzjastów białej wszechmocy albo zwykłych baranów, którzy chcą się podpiąć pod sytuację.

- A jeżeli to jest zmyłka? - Goryłowaty podchodzi do biurka i opiera się dłonią o róg. Patrzy na Kopcińskiego uważnie.

- Wtedy pozostaje założyć, że ktoś nas od początku nieźle wodzi za nos, tylko tym razem przedstawienie jest tańsze.

- To nie jest takie całkiem prymitywne. - Łysy ciągle siedzi przy stoliku. Jeszcze raz puścił nagranie, by czymś się zająć i zapomnieć o tym, jak bardzo go suszy. - Poza tym obszcymury z blokowiska nie znają określenia „ZOG”.

- Przyznam się, że ja też nie znam.

- Zionist Occupation Government. - Małpowaty prostuje się przy biurku. - A co pan nam chciał powiedzieć „po drugie”, panie... Grzegorz?

Kopciński zamyka oczy, by przykryć zmieszanie i zdenerwowanie.

Gość mnie zna. A więc tylko ja nie dostąpiłem tutaj łaski poznania rozmówców.

Odkasłuje, by zyskać na czasie. Powiedział „po pierwsze”, ale to nic nie znaczyło, chciał tylko jakoś zacząć zdanie. Teraz trzeba popisać się improwizacją.

- Mam wrażenie, że oni te teksty czytali z planszy - ta myśl przychodzi mu do głowy nagle. - Z planszy, którą ktoś im trzymał nad kamerą albo obok... Bo przecież ktoś to filmował z ręki, skoro obraz tak skacze.

Goryłowaty patrzy na Kopcińskiego, jakby dodawał mu odwagi i zachęcał: mów dalej. Więc Grzegorz mówi, starając się, aby jego głos nie brzmiał zbyt nerwowo.

- Ktoś to sfilmował i zmontował... prymitywnie albo raczej celowo prymitywnie.

- Bardzo dobrze. - Małpowaty zaczyna się przechadzać po wielkim gabinecie Drehnera. Nie zwraca się do żadnego ze słuchaczy, ale i tak można doskonale zrozumieć każde słowo.

- Samo umieszczenie nagrania na egipskim tym razem serwerze zdradza i pewien profesjonalizm, i jakiś związek z poprzednimi sprawami. Program maskujący nadawcę to jakaś piracka kopia. Co do czytania z promptera, mam dokładnie takie samo wrażenie jak pan, panie kolego. - Na chwilę staje przy Kopcińskim. - Oglądaliśmy powiększenie. Nie jest zbyt wyraźne, ale ci dwaj statyści ewidentnie patrzą w jeden punkt. To wszystko sprytny teatr.

Cóż... jestem pewien, że jeszcze dziś wieczór całe gówno będzie w mediach. Profesjonalnie rozkolportowane. Mamy do czynienia z fachowcami, którzy udają idiotów... - Ostatnie słowa mówiącego skierowane są już do ministra.

-...na co wskazują też informacje z Budapesztu... - Łysy o podkrążonych oczach wchodzi staremu w słowo, zamykając laptopa. Podnosi z biurka kartkę. - Najbardziej prawdopodobny sprawca z basenu to mężczyzna, biały, lat około trzydziestu pięciu, metr dziewięćdziesiąt, waga ponad sto dwadzieścia kilo, typ atletyczny. Pojawił się znikąd.

- Co to znaczy? - Kopciński nie ma pewności, czy na tym spotkaniu wolno mu zadawać pytania, ale... trzeba być aktywnym.

Skacowany łysol odpowiada natychmiast, choć patrzy tylko na Drehnera.

- Twarz niezarejestrowana wcześniej przez inne kamery w interesującym nas rejonie, oczywiście nienotowany, nie było go w hotelach, narodowość nieznana. Mamy tylko opis z zeznania świadka - zapamiętał go z szatni z powodu jego wielkiej postury, ale nie zamienili ani słowa. Świadek opisuje wyłącznie imponujące umięśnienie i tatuaż na plecach. Smok w kształcie spirali. Czyli pozostaje nam właściwie zapis z monitoringu po zdarzeniu. Mają go wychodzącego przez hol i jak mija bramkę biletową na zewnątrz kompleksu. A potem - uwaga! - wsiadł do autobusu komunikacji miejskiej i wysiadł najprawdopodobniej na jednym z dwóch przystanków linii, gdzie nie ma kamer. Ulica Csabai kapu. Przystanków jest w sumie czterdzieści. W obie strony. A akurat ten na Csabai kapu nie jest monitorowany.

- Fachowcy udający idiotów. - Drehner kładzie łokieć na swoim ciężkim, wielkim biurku i opiera policzek na zaciśniętej pięści.

- Węgrzy postarali się na tyle, że obliczyli czas i sprawdzili z satelity auta w okolicy tej „kapu”. Też nic nadzwyczajnego. Żadnych kradzionych - brak punktu zaczepienia. Jeden trop jeszcze sprawdzamy. - Łysy podaje kartkę papieru staremu w wełnianej marynarce, jak gdyby dawał do zrozumienia, że minister, owszem, ma prawo wiedzieć, ale właściwym adresatem wszelkich pozyskanych informacji jest Małpowaty.

- A pan miał dla mnie, zdaje się, jakieś opracowanie? - Drehner unosi głowę, spuszcza stopy na dywan i obraca się w fotelu przodem do reszty towarzystwa.

Grzegorz w pierwszej chwili jest zaskoczony, jakby zapomniał, po co i z czym tu przyszedł.

- No tak... panie ministrze... ghrmhh... - odchrząkuje, przysłaniając usta dłonią. Nadchodzi czas na kilka razy przećwiczony tekst. Otwiera trzymaną na kolanach teczkę. - To jest opracowanie autorstwa młodego dziennikarza i politologa. Na moją prośbę przeanalizował to już pewien pracownik naukowy... Człowiek spoza resortu, do którego mam

zaufanie.

Łysy już sterczy za plecami Grzegorza, jakby chciał zajrzeć w przyniesione przez niego papiery. Zapomniał, że ma nie chuchać na zebranych, i teraz Kopciński czuje obrzydliwy odór kwasów przelewających się w zmaltretowanym żołądku tamtego.

Zamyka karminową teczkę. Jest gotów do referowania z pamięci.

- Pozwoliłem sobie sięgnąć po pracę młodego człowieka, jako że mieliśmy się posiłkować świeżymi koncepcjami z zewnątrz...

Drehner nie spuszcza oczu z mówiącego.

- Natomiast sama analiza, którą przedstawię panu ministrowi i panom... jest już moja własna. Zwracam uwagę, że to opracowanie powstało jeszcze przed śmiercią prezesa Matera. I o tyle zrobiło się według mnie cenniejsze, że dalsze wydarzenia, także film, który panowie przed chwilą pokazali, i to, co pan powiedział o udawaniu idiotów - to wszystko tylko potwierdza pomysł, że ktoś tu inscenizuje zdarzenia. Żeby nas zmylić...

- Do rzeczy.

- Tak. Najkrócej mówiąc, chodzi o to, że nie minister Kunicki - a ja bym dodał, że także nie prezes Mater - był celem zamachu.

Wiceminister i obaj jego goście milczą. Słychać stłumiony dźwięk telefonu w korytarzu. Na biurku Drehnera miga lampka, ale on nie reaguje. Grzegorz czuje na sobie trzy pary oczu i jeszcze to, że zaczyna się denerwować.

- Celami były inne osoby spośród zgromadzonych w ośrodku Omega. W szczególności prokurator Kazimierz Czyżykiewicz z Torunia, prokurator Wanda Raduńska z Gdańska i sędzia Ambroży Malak z Lublina. Chodzi o prowadzone przez nich sprawy z terenu, które się łączą. A także o ich wiedzę pozyskaną podczas przesłuchiwania podejrzanych i potencjalnie oskarżonych, którzy z kolei mogli wskazać, może nawet wskazali... pewne... spółki.

- Trochę jaśniej, proszę.

- Tak, tak... Objęci postępowaniami to rolnik z powiatu kwidzyńskiego, radny miejski z Lublina i prezes fundacji ekologicznej z miejscowości Brodnica koło Torunia...

- Niech pan tyle szczegółów nie wymienia, tylko do sedna. O co chodzi?!

Kopciński zaczyna się pocić pod szyją i w kroczu.

- Chodzi o pewne spółki, które tych ludzi na różne sposoby dotują w sposób niejawnym. Bo jeśli idzie o same osoby objęte postępowaniami... to one się nie znają. Natomiast spółki, o których mowa, mają oczywiste wspólne cechy i są nie tylko połączone, ale też wyraźnie zaangażowane, powiem nawet - celowo stworzone do finansowania działań nieprzyjaznych

wobec firm szukających...

- Dlaczego pan mówi, że to są potencjalni podejrzani i oskarżeni? - Łysy stoi tak blisko Grzegorza, że mógłby po prostu zabrać mu teczkę, i chyba ma wielką ochotę to zrobić.

- Ponieważ te sprawy się dopiero wykluwają... wykluwały. Jedna jest na etapie postanowienia o przedstawieniu zarzutów, druga... Nie wiem, czy jest sens, żebym wchodził teraz głęboko w detale. Założenie zawarte w materiale, który przyniosłem, jest takie, że komuś zależało na tym, żeby...

-...postępowania się nie wykluły - gorylowaty dokańcza zdanie cicho, ale znów świetnie go słyhać. - Komu zależało i do czego to ma, pańskim zdaniem, prowadzić? - Pytanie jest krótkie i Grzegorz już szykuje się do zdradzenia tego, co najważniejsze - tezy o sponsorach i ich celach - ale Drehner unosi się gwałtownie. Wyciąga dłoń w stronę Kopcińskiego. Gest jest jasny.

Podwładny posłusznie podchodzi do biurka i przekazuje teczkę przełożonemu.

Minister chwilę patrzy na obwolutę opatrzoną logotypem fundacji charytatywnej resortu. Od kiedy oszczędzają na wszystkim, w sekretariatach można dostać już tylko ten typ teczek.

- Panowie pozwolą, że najpierw zapoznamy się z tymi materiałami we własnym gronie.

Takiej zagrywki Grzegorz się po Drehnerze nie spodziewał. Twardy jest. Nie przypadkiem szósty rok za tym biurkiem. Przez ostatnie siedem lat rząd - choć ciągle w rękach liberałów - formował się na nowo cztery razy. Ilu było ministrów spraw wewnętrznych? Trzech albo czterech. A ten, Chytry Sławek, niski facecik w okularach o grubych szklach, ktoś, kto na pierwszy rzut oka zdaje się być magazynierem ubranym w dyrektorskie ciuchy, trwa na swojej reducie jak kamień.

Skacowany łysol i jego starszy towarzysz, nie kryjąc urazy, żegnają się chłodnymi półsłówkami.

- Pan jeszcze zostaje, panie Grzegorzu. - Minister zdejmuje okulary, chucha na nie i przeciera szklą chusteczką.

No jasne, że zostanę!

Chyba jednak będą benefity.

* *
*

Obiad z Szymonem Galperem w przeszklonej jadalni na wysokim parterze willi przy Francuskiej trwa już drugą godzinę. Siedząc tak z każdym innym rozmówcą, Robert nie powstrzymałby się od zerkania na zegarek, liczenia papierosów w paczce i tak dalej. Ma

powody, by się niecierpliwić - bądź co bądź czeka go dziś jeszcze przejazd do Torunia. Ale w towarzystwie Szymona nie nudzi się nigdy. Tym bardziej że zimą, jak teraz, widują się rzadko - czas między listopadem i marcem Galper spędza głównie w Santa Ana i Long Beach. Do Warszawy przylatuje jedynie na dwa-trzy dni, by opędzić spotkania z notariuszami i adwokatami. Zainwestował przeszło dziesięć milionów dolarów w stołeczne nieruchomości, więc ma czego pilnować. „Ciebie natomiast pilnować nie muszę i to mnie cieszy”. Tak mówi Robertowi. Powtarza - pół żartem, pół serio - że najchętniej nie rozmawiałby z nim o pracy, tyle jest ciekawszych tematów. Robert uważa jednak, że zdanie relacji z postępu robót przy najbliższym numerze „Rynku Sztuki” to jego obowiązek. A poza tym Szymon zawsze coś ciekawego podpowie.

Po totalnym przeorganizowaniu redakcji w dwóch pokojach na piętrze zostało czworo stałych pracowników: poza samym Pruskim jeszcze jedna redaktorka - szybka, bystra i zarazem cicha jak myszka Weronika, trzydziestolatka z dzieckiem, która przez poprzednie dwa lata wydawała polonijny tygodnik w Edynburgu; nieco młodszy od niej grafik i zarazem fotoedytor; wreszcie zupełnie młodziutka dziewczyna, studentka arabistyki, która prócz robienia korekty i tłumaczenia tekstów ściąganych z anglojęzycznych portali zajmuje się donoszeniem kawy i potraw z koszernej kuchni ulokowanej w przyziemiu willi.

Kuchnia - prowadzona przez matkę i córkę, które codziennie dojeżdżają z Góry Kalwarii - działa cały rok, także i wtedy, gdy Galper jest za oceanem. I trzeba przyznać, że podczas jego zimowej nieobecności jedzenie nie jest ani ciut gorsze niż latem.

Dzisiaj na stole stoi kilka rodzajów humusu, czarne oliwki i szparagi na ciepło. Jest bakłazan, brukselka, kurczak na dwa sposoby, grillowana jagnięcina, ryż z warzywami, a za chwilę - co Szymon zapowiedział, demonstracyjnie oblizując palec - na obrus wjadą jeszcze gruszki w czekoladzie.

Jedzą we troje z Weroniką. Robert właśnie streszcza *cover* nadchodzącego numeru - wielki artykuł poświęcony współczesnym fałszerzom ikon. Tekst zamówił miesiąc wcześniej u profesora Ilińskiego, malarza i historyka sztuki, wykładowcy z gdańskiej akademii, który napisał już dla redakcji „Rynku” kilka rzeczy.

Zlecenie wyspecjalizowanej firmie akwizycji reklam i zamawianie materiałów dziennikarskich na zewnątrz to były dwie najważniejsze zmiany, jakie Pruski wprowadził, gdy zaczął w imieniu Szymona rządzić redakcją na Francuskiej.

Żadnego silenia się na własne teksty, które z braku fachowych sił i wiedzy musiałyby sprowadzać się do mniej lub bardziej zgrabnej kompilacji cudzych twórców i informacji z internetu. Żadnego lania wody uprawianego przez młodych dziennikarzy entuzjastów,

którym się wydaje, że coś wiedzą. Obstalowujemy artykuły wyłącznie u fachowców, potem je tylko uczłowiczamy, żeby to było strawne dla przeciętnego czytelnika. No, może nie takiego przeciętnego. „Rynek Sztuki” kosztuje w saloniku prasowym piętnaście złotych i to od razu profiluje krąg odbiorców.

Ci członkowie pierwotnego zespołu pisma, którym nie spodobały się nowe porządki, odeszli. Prawdę mówiąc, odeszli praktycznie wszyscy. Weronika, która od początku wzięła stronę nowego szefa, została.

Potem było sporo nerwów, lecz pomysł Pruskiego się sprawdził. Pierwszy numer „Rynku Sztuki” poszedł w trzech tysiącach i zebrał wyśmienite recenzje. Przyszło sporo e-maili od czytelników chwalejących teksty i podpowiadających tematy kolejnych. Kilka portali i dwie ogólnopolskie gazety zyczliwie zauważyły „nowy tytuł na rynku”. Drugi numer rozszedł się w trzech i pół tysiącach, teraz dobijają do pięciu. Jak na niszowe czasopismo - przyzwoicie. Najbliższe wydanie będzie miało nakład osiem tysięcy pięćset.

Na okładkę trafi zapowiedź tekstu Ilińskiego ilustrowana dwoma obrazkami: po prawej unikatowa serbska ikona Chrystusa Króla Królów, po lewej - jej falszyfikat. Przegląd metod współczesnych ikonopisów oszustów, który stworzył profesor, to fantastyczny artykuł, można powiedzieć: śledczy. Dużo nieznanych - nawet fachowcom - informacji o genezie ikon, trochę ciekawostek o zaginionym przykazaniu Dekalogu: „Nie uczynisz sobie obrazu ani żadnej podobizny tego, co jest na niebie w górze i co na ziemi nisko”. To powinno zainteresować nie tylko prawdziwych kolekcjonerów. Dalej profesor opisuje - na podstawie niespenetrowanych wcześniej akt sądowych - wyczyny złodziei mebli spod Leszna. Okradali prowincjonalne muzea i kościelne biblioteki z szaf, których zawartość sprzedawali za bezcen, albo wywalali w lesie. Potrzebowali tylko starych desek, które kupował od nich wrocławski fałszerz, notabene jeden z najlepszych w Europie Środkowej. Według Ilińskiego ikony, które ten typek wytworzył w ostatnich dwudziestu latach, wiszą w muzeach od Kanady po Australię. Oszust wynalazł nieznanego wcześniej sposób wywoływania piękności na warstwie malarskiej. Potrafił oszukać rzeczoznawców pracujących rezonansem, tradycyjnym ultrafioletem i metodą węglową. Po prostu geniusz. Policja ciągle go szuka.

Gruszki pojawiają się na stole, gdy Robert jeszcze streszcza tekst. Weronika wyszukuje coś w swoim smartfonie - ona treść planowanego *cover story* zna doskonale, Szymon uważnie słucha. Ten człowiek - doskonale zorganizowany - sprawia wrażenie, jakby nigdy się nie spieszył. Stojący w kącie zegar z wahadłem wybija szóstą, gdy Weronika żegna się ze słodkim uśmiechem - jedzie odebrać córkę ze świetlicy. Galper i Pruski odprowadzają

ją wzrokiem - ma fantastyczne, wysportowane nogi, dobre wcięcie w talii i idealnie okrągłe pośladki. Idąc w stronę drzwi wyjściowych, kołysze biodrami tak pięknie, że obaj przy stole myślą w tej chwili to samo: „Ona czuje, skubana, że się na nią gapimy”.

Gdy tylko za zjawiskiem zamykają się drzwi, Galper zdejmuje marynarkę, luzuje krawat i dolewa sobie czerwonego wina. Z etykiety na butelce - w połowie pokrytej hebrajskimi literami - wynika, że to izraelski merlot.

- Nasza Weronika jest tak piękną kobietą, mój drogi Robercie, że jej pozostawanie w samotności zakrawa na skandal. I fatalnie świadczy o mężczyznach w tym mieście.

- Myślę, że chętnych nie brakuje. Samotność to chyba jej własny wybór.

- Nawet jeżeli własny, to z całą pewnością niedobry. Bóg daje talenty po to, by człowiek realizował swoje powołanie. A powołaniem takiej kobiety jak pani Weronika, jest kochać i być kochaną. U ciebie bez zmian?

- Czeka mnie ciężki wybór, jeśli już mowa o niewiastach. Mówilem panu... Iwona *versus* Kamila.

- Niewiasta... ładne słowo. Wzięło się od „niewiadoma” i to dobrze oddaje naturę tych stworzeń. A ty źle ustawiasz swój wybór, drogi Robercie. Tu nie ma żadnego „*versus*”. Mężczyzna jest z natury stworzeniem poligamicznym, a głos serca jest jak echo: rozbrzmiewa raz tam, a raz siam. To umysł ustawia różnorakie byty w opozycji, bo mamy skłonności do kategoryzowania tego, co nam umyka. Ale warto posłuchać również innego głosu...

- Rozsądku?

-...a nawet pójść za obowiązkiem. Wypełnianie powinności potrafi dać często większą satysfakcję niż zaspokajanie pragnień. Nawet tych najbardziej, wydaje nam się, słusznych. Tych, których spełnienie się mężczyźnie po prostu należy. Ośrodek nagrody w mózgu to osobny byt.

- Nie słucha argumentów.

- Pozornie nie słucha, ale często to dobrze, bo wie lepiej. O ile zachowujemy... powiedzmy... etyczną trzeźwość. Kiedyś nazywaliśmy to głosem sumienia. Tego słuchaj. - Szymon energicznie kręci wysokim kieliszkiem wina, wacha jego zawartość, podnosi na wysokość oczu, trzymając za nóżkę, i obserwuje spływającą po ściankach purpurę.

Robert siada na wygodnym pufie przy buzującym kominku. Zapala pall malla. Tuż za tarasowymi oknami, w których odbijają się płomienie, drżą na wietrze nagie gałęzie starego platanu. Ich ciepła, jasna szarość odcina się teatralnie od czarnego nieba. Spadają duże płatki śniegu. Niedobrze, że znowu zaczęło sypać. Będzie się jechało do Torunia i wolniej, i gorzej. Robert już wyobraża sobie te kolumny aut ciągnące za spychaczami

i piaskarkami.

- Wiesz, drogi Robercie, dlaczego wina ze Wzgórz Golan są lepsze od wszystkich innych?

- Bo tam jest zimniej?

- Chłody w pewnym stopniu także mają wpływ. W lecie zdarzają się zimne dni, kiedy wieje od góry Hermon. Ale chodzi przede wszystkim o skład ziemi. Tamtejszy grunt ma bardzo specyficzną strukturę. Jest żyzny, żelazisty i zarazem skalisty. Winorośl to lubi. Od zawsze. Szkoda, że starożytne szczepy już wyginęły... Teraz uprawia się tam cabernet sauvignon, syrah i muskat. Przyznasz, mój drogi, że to mało oryginalne.

- Nie myślał pan nigdy, by się przeprowadzić do Izraela? - Robert czuje, że musi zmienić temat. Jeszcze minuta tej winiarskiej poezji i też się napije.

- Oczywiście, że myślałem. - Galper odstawia niedopity kieliszek i kroci gruszkę na talerzyku. - Był okres, w którym koncepcja silnego Żyda z pługiem i karabinem... opalonego herosa w miejsce bladego stwora gettowego... ten ideał mnie także uwodził. Prawo i pięść... Teraz myślę o tym inaczej. Izrael, mój drogi Robercie, jest krajem zbudowanym na przemocy i oszukiwaniu własnych obywateli. Uczą tam dzieci historii pustynnych zwycięstw, a kto dziś odważy się przypomnieć, że jeszcze przed czterdziestym ósmym polewaliśmy ropą arabskie pomidory? Ludzie niestety nie chcą ani pamiętać, ani widzieć, co rządy wyprawiają w ich imieniu. Podobnie w Polsce. To bardzo smutne, że osobą najgłośniejszą domagającą się wyjaśnienia tragicznych wydarzeń jest ta niewiasta...

- Żarnowska.

- Jeżeli takich mamy kontrolerów publicznej sfery, to nie jest dobrze. Gdzie są poważne media? Gdzie się podziewa polski Assange lub chociaż Uri Blau? Wybacz. Narzekania starego pierdziela. Obywatele...

-...chcą głównie ciepłej wody w kranie.

- Otóż to! Czy ty, mój drogi, nie miałeś dzisiaj jechać do Torunia?

- Już się zbieram. - Robert wrzuca niedopałek między płomienie i dokłada kilka szczap na zapas. - Tak jak mówiłem, wracam za tydzień. Weronika będzie mnie we wszystkim...

- Dobrze, dobrze... Myśl o tym, żeby porządnie wypocząć, mój drogi. Nabierz sił. Mam jeszcze pewne ciekawe plany z tobą związane. - Galper uśmiecha się i puszcza oko. - Zobaczymy się w marcu. Dwudziestego przylatuję na dłużej. Aha! W miseczce coś leży.

Usługujące Szymonowi panie zjawiają się cicho jak duchy, by zebrać naczynia ze stołu. Gospodarz przesuwając swoje siedzisko bliżej ognia. Robert idzie do siebie - na górę.

Piętnaście minut później po wymianie uścisków z Galperem bierze kopertę z mosiężnej misy w przedpokoju, zapina czarną puchową kurtkę i wychodzi z torbą przewieszoną przez ramię. Śnieg gęstnieje. Podjazd przed willą - odsnieżony w środku dnia przez firmę zajmującą się w lecie ogrodem Szymona - zdążył zarosnąć nową warstwą puchu do kostek.

Naciąga kaptur, podchodzi do samochodu, rękawem odgarnia śnieg z przedniej szyby, rzuca torbę na siedzenie, siada za kierownicą, zapala silnik i otwiera kopertę. Zgodnie z przewidywaniami - premia. Przelicza banknoty. Okrągłe dwa tysiące ekstra. Szymon to zdecydowanie najfajniejszy z jego dotychczasowych szefów.

* *
*

Nokia dzwoni, gdy zjeżdża z mostu Poniatowskiego na Wisłostradę. Już prawie siódma, a korek na Wybrzeżu Kościuszkowskim stoi niczym w szczycie. Pewnie się ciągnie do samych Łomianek.

- Tak, słucham.

- Opowiadałeś już komuś o tej pracy studenta?

- Grzesiu?

- To ja. Mówiłeś?

- Nieee... raczej nie... - Robert podkręca gałkę zestawu głośnomówiącego, bo z przeciwka, od strony ulicy Pułkowej, pędzi karetka na sygnale. Jej przeciągły jęk miesza się z równomiernym stukotem zbierających śnieg wycieraczek, pomrukiem silnika subaru i klekotaniem w podwoziu tira, który wlecze się w korku równolegle, metr obok.

- Nie mówiłem, bo nie mam komu. Moja mała redakcja żyje innymi problemami. Czemu pytasz?

- To nie jest na telefon. Chciałbym, byś był zupełnie dyskretny w tej sprawie. Gdzie ty w ogóle jesteś?

- W drodze na Toruń.

- Ale jeszcze w Warszawie?

- Jeszcze.

- Dobra, czyli o tym referacie wie autor i na razie tylko ty... tak?

- No i ty wiesz. I chyba ktoś, komu to pokazałeś, bo czuję, że coś się u ciebie dzieje. Ożywiony jesteś mocno.

- Ja cię chciałem poprosić, Robercik, żebyś... się już tym kompletnie nie interesował. - Grzegorz kładzie akcent na słowo „nie”. - Absolutnie nikomu nie gadaj. A już dziennikarzom żadnym... wcale. Nawet u siebie, w Toruniu. To jest, tyle ci mogę powiedzieć, mocna sugestia

z samej góry.

- Masz to jak w banku, złotko. Nie denerwuj się. Od jutra jestem z dziećmi na wiejskich wakacjach. Na feriach. Z nikim nie zamierzam gadać. Powiedz mi tylko... pytam z ciekawości. Mam rozumieć, że mój Pawełek... on trafił?

- Nie mogę ci nic powiedzieć. Nie przez telefon. Jeszcze pewnie zadzwonię. Odbieraj ode mnie, dobra? To ważne.

- Spokojnie. Przez najbliższe cztery godziny wciąż jadę. Straszny syf jest na drodze.

- Odezwę się.

Mijając w żółwym tempie zasypany śniegiem park Młociński, Robert uświadamia sobie, że o kimś Kopytce nie wspomniał. Dziewczyna Pawła... współautorka referatu.

Próbuje oddzwonić, by mu o niej powiedzieć, ale numer telefonu, z którego kolega dzwonił, jest teraz zajęty.

Potem się zadzwoni.

Niegdyś biały, a teraz mocno zabłocony dostawczak jadący przed Robertem staje w miejscu, ledwie błyskając zachlapanymi na czarno światłami stopu.

Sąsiedni pas też się nie rusza.

Jak tak dalej pójdzie, będziesz jechał, człowieku, do rana.

Wyjmuje ze schowka kilka płyt bez okładek, kładzie je na kolanach i zaczyna przeglądać. To nie... to nie... tego się już też nie da słuchać... W końcu decyduje się na *Paranoid*.

Umazana błockiem furgonetka rusza, by po kilkunastu metrach znowu stanąć.

All day long I think of things...

Podstawa zachowania w stojącym korku - nie wściekać się. Skoro nie masz na coś wpływu, wyluzuj. Albo przynajmniej spróbuj.

Can you help me occupy my brain? Oh, yeah...

Płatki śniegu są duże i nieforemne - spadają z ciemnego nieba zbite w coś, co przypomina fragmenty rozszarpanych przez kota wacików. Muzyka, pomruk silnika, czerwone światła samochodu z przodu. Metr po metrze. Cholerna droga przez Polskę.

8.

Poniedziałek, 16 lutego; od wieczora do północy

Wiceminister Sławomir Drehner - w kapeluszu, długim płaszczu od Zegny i z twarzą owiniętą kaszmirowym szalikiem po sam nos - zatrzaskuje drzwi służbowego volvo, którym

odjeżdża jego ochrona. Zostawił wysportowanym chłopakom obie swoje komórki i dał dwie godziny swobody, mówiąc z miną na tyle tajemniczą, na ile mu się to udało, że zamierza „spędzić czas z przyjaciółką”. Uśmiechnął się przy tym do aniołów stróżów najbardziej obleśnie, jak tylko potrafił.

Uwierzyli?

A czemu by mieli nie uwierzyć?

Ćwiczył to już parę razy wcześniej.

Tym razem kazał się wysadzić na Żurawiej, pod drogą restauracją serwującą sushi. Stoi na chodniku, przytupując, i patrzy, jak czerwone światła volvo znikają w perspektywie ulicy za zasłoną śniegu.

Jego włoskie pantofle na gładkiej podeszwie zdecydowanie nie nadają się na taką pogodę. Już przy wysiadaniu nasypało mu się wierzchem ponad niską cholewką. Delikatnie stawiając stopy, by nie poślizgnąć się na paskudnie oblodzonym chodniku, rusza w stronę Kruczej i dalej, do placu Trzech Krzyży. Może to wredny wiatr, może coraz gęściej padający śnieg albo początek tygodnia... coś sprawiło, że chodniki są prawie puste. Minister staje kilka razy, upewniając się, czy nikt nie zwraca na niego uwagi. Ręce w rękawiczkach schował głęboko w kieszenie płaszcza. Gdy się pochyla, niesione podmuchami wiatru płatki wpadają mu za okulary.

Zatrzymuje się przed bramą kamienicy o elewacji wyłożonej błyszczącym stalowo granitem. Patrzy w górę: wszystkie okna zamknięte, świeci się w co trzecim, na mikroskopijnych balkonikach - nikogo, kto mógłby na niego spoglądać. Jeszcze raz lustruje jezdnię i oba chodniki. Czeką, aż przejedzie obok buraczkowy ford sedan prowadzony przez siwą kobietę. Samochód ma jedno światło zepsute.

Znów się rozgląda. Nikt nie patrzy.

Rusza w stronę ściany. Robi dwa kroki dzielące go od podświetlonego domofonu zainstalowanego tuż obok metalowych drzwi.

Oparty jedną ręką o granit wytrzepuje śnieg z buta. Jego palec - to może wyglądać na całkiem przypadkowy ruch - naciska guzik oznaczony numerem siedem. Przez dłuższą chwilę nic się nie dzieje, po kilkunastu sekundach odzywa się damski głos.

- Córkę nie ma w domu.

- To pomyłka. Nacisnąłem przycisk niechcący.

- Nic się nie stało. Do widzenia!

Drehner już nic nie mówi. Idzie przed siebie. Przed placem skręca w lewo. Gdy mijają rozkopane skrzyżowanie Brackiej i Nowogrodzkiej, jest równo osiemnasta pięćdziesiąt.

Faceci w pomarańczowych kombinezonach wyciągają kable z wykopu wydłubanego w miejscu, gdzie - minister jest tego więcej niż pewien - nie dalej niż przed rokiem skończył się remont. Zwały zmarzniętej ziemi i śnieżno-piaskowe zasy, ciemne, biurowe bloczyska wokoło. Własne odbicie - lekko przygarbiona postać oświetlona światłem pobliskiej latarni - pojawia się zniekształcone w czarnej szybie pomieszczenia oznaczonego planszą „Do wynajęcia”. Smród spalin i jeszcze jakiś dodatkowy, gazowo-smażalniany odór. Hałas narastający w miarę zbliżania się do ruchliwej alei. Coraz bardziej wyostrzone zmysły.

Kontakt za czterdzieści minut.

Nie korzystał z tej awaryjnej ścieżki jeszcze ani razu. Kiedyś stosował w nagłych wypadkach routing cebulowy, potem, gdy Onion Net przestał być bezpieczny, polecono mu inny sposób. Pozostawiał informacje w kilku niewinnych skrzynkach mailowych jako kopie robocze. Ktoś gdzieś w szerokim świecie wchodził do skrzynki, odczytywał kopię i kasował ją. E-mail nie wędrował nigdzie, zatem nie mogli go wytropić nawet ci, dla których pseudodomena nie jest żadną twierdzą. Ale nawet te robocze kopie musiał - choćby wstępnie - zaszyfrować. A szyfrowanie tego, co ma dziś do przekazania, musiałyby trwać trzy dni. Zakładając, że niczego innego by nie robił.

Dlatego przyszło mu się teraz zachowywać, jakby był jakimś pieprzonym Stirlitzem.

Zawraca przy ostatnim parkomacie na Brackiej i szybkim spojrzeniem omiata ulicę, którą przed chwilą miał za plecami. Nic ciekawego: stara kobieta z psem na smyczy przystaje pod nadłamanym drzewem, by podopieczny mógł się wypróżnić w śnieg. Dwaj zajęci rozmową mężczyźni wychodzą z biurowca i podają sobie ręce. Jeden wsiada do auta, drugi, w kapeluszu i z teczką, idzie szybkim krokiem w stronę placu.

Minister podąża za nim. Zastanawia się, co powinien zrobić w trakcie najbliższych kwadransów. Zakładając, że komuś zechce się w przyszłości - być może niedalekiej - odtworzyć te minuty z jego życia, rozsądnie będzie iść na „spotkanie z przyjaciółką”.

Omija obie modne kawiarnie ulokowane przy północnej pierzei. Przechodzi obok narożnego butiku. Manekiny w oświetlonych na różowo oknach niewiele się różnią od kobiet z krwi i kości. Ich włosy i oczy są aż nazbyt naturalne - i piękne. Wchodzi na przejście dla pieszych tuż przed maską hamującego autobusu. Nieogolony od dawna pasażer w oknie przygląda się idącemu z widoczną niechęcią. Wszystko dobrze.

Wybiera niewielką restaurację za rogiem. W ciepłym przedsionku natychmiast zaparowują mu okulary. Wyciąga jedwabną chustkę, przeciera szkła, rozgląda się. Ładnie tu.

Przytłumione światło spływa ze stylowych kinkietów, w głębszej sali, której stąd nie widać, ktoś gra na pianinie. Uprzejmy szatniarz, dziadunio o skrzywionych ramionach

i uslužnym wyrazie twarzy, wręcza mosiężny numerek cięższy od przeciętnego telefonu komórkowego, a szef sali - niewiele młodszy od Drehnera, z małym wąsikiem w typie przedwojennego doliniarza - podchodzi z pytaniem:

- Czym można służyć?
- Potrzebny będzie stół dla dwojga.
- Oczywiście.

Restauracja jest prawie pusta. Minister siada tyłem do ściany, rozkłada na kolanach serwetkę, zamawia wodę, carpaccio z łososia i butelkę białego burgunda, której połowę każe rozlać młodemu kelnerowi do dwóch potężnych kieliszków, a resztę zostawić w lodzie. Jedząc rybę - dobrze przyrządzoną z tymiankiem, rukolą i odrobiną roszonej - zastanawia się, jak najlepiej odegrać sceny zniecierpliwienia. Prosi najpierw o gazetę - przynoszą mu „Rzeczpospolitą”. Czyta nieuważnie jakiś tekst o piłce nożnej, potem kilka razy ostentacyjnie patrzy na swój zegarek za sześć tysięcy euro. Wychyla połowę kieliszka. Burgund smakuje doskonale - jest umiarkowanie gorzki i miękki jak leśny mech, choć trochę nazbyt wychłodzony.

Gdy kieliszek jest pusty, wstaje od stolika, rozgląda się nieco nerwowo, znów siada. Szef sali dostrzega niezdecydowanie, ruchem ręki przywołuje bladego kelnera.

- Poproszę rachunek.

Przed stolikiem ministra staje w uslužnej pozycji kierownik sali.

- Mam nadzieję, że panu smakowało.

- Owszem... chociaż nie przyszedłem tu na jedzenie.

- Rozumiem. Naturalnie. Być może osobie, na którą pan czeka, wypadło coś nieprzewidzianego. W całym mieście są dzisiaj od południa korki.

- Taaak? - Drehner udaje zainteresowanie, tak jak umie.

- To przez te wypadki, pan nie słyszał? Jeden pod Dziekanowem, a drugi na Łazienkowskim. Trzy ofiary, może będą i cztery, bo jeszcze ciągle w radio o tym mówią.

- Na pewno ma pan rację. Wszystko przez korki. I szaleńców. Na drogach i poza drogami.

Rachunek w aksamitnej poszewce na porcelanowym talerzyku jest już przygotowany.

Szef sali i kelner próbują zabawić gościa na zmianę.

- Życzę panu, mimo wszystko, spokojnego wieczoru.

- Ja również. Przykro mi, że się pan nie doczekał...

Służbowy napiwek powinien im obu wystarczyć aż nadto, by zapamiętali gościa.

Na przystanek tramwajowy przy Alejach dochodzi dwie minuty przed wpół do ósmej. Nerwy znów ma tak napięte, że wszystko wokół wydaje się ostre, twarde, jakby pociągnięte bezbarwnym lakierem. Widzi każdy nieforemny płatek padającego śniegu, widzi raz gęstniejące, a raz rozrzedzające się ciemne, mroźne powietrze, słyszy dziesiątki rozmów, westchnień, kroków, odróżnia poszczególne samochodowe silniki. Słyszy szum w rurach pod ulicą.

Pod przezroczystą wiatą przystanku kryje się przed wiatrem kilka osób.

Niski, chudy mężczyzna o chytrej twarzy i nieprzyjemnym wejrzeniu przychodzi idealnie o czasie. Drehner widział go dotąd raz w życiu, za to całkiem niedawno. Facet przyniósł wtedy listę nazwisk z dodatkowymi informacjami o pewnych pokurwieńcach, a przedstawił się jako „Szary”, co mogło równie dobrze być nazwiskiem, imieniem w jakimś języku lub zwykłą polską ksywką. Ale to nie jest Polak.

Rozmawiają po angielsku, stojąc bokiem do siebie.

Wiceminister przekazuje kartę pamięci i dyktuje numer telefonu zaczynający się od jedyńki. Nie żegnają się uściskiem dłoni, nie przywitali się przecież. Tamten odchodzi, a Drehner stoi jeszcze minutę, przytupując i patrząc na swój kosztowny zegarek.

Podjeżdża tramwaj. Wsiada duża grupa - przeważnie młodzi albo bardzo starzy ludzie. Minister robi kilka kroków w przód i w tył jak ktoś, kto chciał wsiąść do wagonu, ale się rozmyślił. Tramwaj odjeżdża, on zostaje. Wmieszany w grupę przechodniów podchodzi do przejścia dla pieszych. Zielone. Ludzka ciżba rusza, on też. Napięcie powoli opuszcza ciało.

Ciężar w nogach i pustych dłoniach.

Idzie coraz wolniej Alejami w kierunku Novotelu, mija ekskluzywny sklep jubilerski, wypełnioną ludźmi aptekę i bistro rozsiewające po ulicy toporny zapach smażonych kurczaków pomieszany z odorem przypalonego cukru. Nie ma pośpiechu. BOR-owcy mają go podjąć przy rondzie dopiero po dwudziestej. Stara się nie myśleć o odbytym przed chwilą spotkaniu, a tym bardziej o jego ewentualnych konsekwencjach. Zastanawia się raczej, co powinien zrobić żonaty mężczyzna w średnim wieku, kiedy kochanka nie stawiała się na umówione spotkanie.

Mężczyzna wypił pół butelki wina i chciał pojechać do kobiety tramwajem, ale się rozmyślił. W tej chwili - oczywiście - powinien się napić jakiegoś trunku dla dorosłych i wkurwionych.

Po przekroczeniu obrotowych drzwi Novotelu, z płaszczem i szalem przewieszonym przez ramię idzie prosto do baru. Pomarańczowe żyrandole, ciemnoczerwone obicia ścian,

złote kotary, łagodna muzyka. Siada na obrotowym krześle przy kontuarze. Czuje zapach kawy, kwiatów i owoców. Jest już spokojny. Droższe i niespecjalnie zatłoczone bary to jego ulubione miejsca. Zamawia dużą whisky bez lodu. Nie mają William Lawson's, więc prosi barmankę o Ballantinesa. Wypija czterema łykami.

- Jeszcze raz to samo!

Ładna jest ta barmanka. Ma wypielęgnowane dłonie i ciekawą twarz, nieco podobną do twarzy znanej mu prostytutki. Gęste, wysoko upięte włosy w naturalnym, jasnym kolorze. Wyprostowana postawa - pewnie nosi wysokie obcasy, ale przez wysoki kontuar baru tego nie widać. Biała koszulka opinająca wysoko zadarte piersi i ciasna kamizelka o barwie kawy z mlekiem dodają jej dyskretnego powabu typowego dla stewardes i policjantek. Z dziewczęcym uśmiechem podsuwa mu orzeszki, lecz Drehner nie korzysta. Im bardziej będzie teraz cuchnął alkoholem, tym lepiej. A poza tym naprawdę ma ochotę się upić. Zamawia trzecią szklanekę i pozwala sobie nieco pofantazjować. Gdyby tak zapytać barmankę: „O której kończysz pracę?”. Albo od razu: „Czy lubisz walenie w dupsko?”. Na pewno lubi.

Ale nie tym razem.

To nie jest dzień na wilgotne przygody. To jest dzień, w którym spłacił stary dług. Po tym, co - z własnej inicjatywy! - zrobił dziś wieczór, czuje, że stać go będzie, aby przy kolejnej okazji powiedzieć mrocznym panom: „Użyjcie kogoś innego”.

* *
*

- Dzień dobry. Pan Kopciński, tak? Mówi Paweł Domaradzki. Student pana Roberta Pruskiego. Przepraszam, że tak późno, ale ja w sprawie...

- Przypominam sobie.

- Chodzi mi o te informacje... obiecany komentarz od państwa...

- Panie Pawle... ja o panu cały czas pamiętam. Nie odbierałem telefonu, bo miałem ważne zebranie. Poniekąd w pańskiej kwestii. Chcę pana prosić o dyskrecję i o cierpliwość. Pan ten komentarz od nas dostanie, zapewniam pana.

- Ale kiedy... przepraszam, bo chodzi o to, że ja... pan Robert Pruski mi mówił...

- Rozmawiałem dziś po południu z panem Robertem. I umówiliśmy się, że przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny zachowamy pańskie teorie w tajemnicy. Co oznacza, że pan nie powinien tego w tej chwili nigdzie kolportować.

- No właśnie, dopóki...

- Niech się pan nie denerwuje. Ile pan ma kopii tego tekstu?

- Mam na papierze z uwagami pana Pruskiego i jeszcze na nośniku, i w komputerze.

- Dobrze. Proszę się tym z nikim pochopnie nie dzielić. Damy panu to, co pan chce, a ja dołożę coś ekstra. Na wyłączność.

- Myślałem, że...

- Proszę się nie niecierpliwić. W odpowiednim czasie będzie pan najlepiej poinformowany. Zapewniam. Na razie moi szefowie muszą sprawdzić, czy to, o czym obaj myślimy, jest tak bliskie prawdy, jak pan sugeruje. Skoro pan planuje poważną publikację...

- Tak, właśnie.

-...to jest także i w pańskim interesie, by uprawdopodobnić pewne szczegóły i nie popełnić błędu. Prawda? Pan nie jest jeszcze całkiem zawodowym dziennikarzem...

- Pracuję w Info-Radio.

- Jako stażysta...

- Oczywiście...

-...i chyba nie jest panu potrzebny proces albo od razu kilka... Zgodzi się pan ze mną?

- Tak, tak! Ale czy mógłbym jednak liczyć na jakieś informacje od pana, założmy, jutro wieczorem?

- Zdzwonimy się. To na pewno. A reszta zależy od tego, na ile pana teorie się potwierdzą. Z naszej strony, zapewniam, nikt nie próżnuje.

- To ja będę czekał na telefon, a jeżeli nie będzie pan dzwonił, pozwolę sobie zadzwonić jutro o tej samej porze.

- W takim razie jesteśmy umówieni.

- Do widzenia. - Paweł odkłada na parapet ericssona z paskudnie pękniętym ekranem.

- Zajębiście - mówi do swego odbicia w oknie, ale tym razem to słowo nie wyraża niczego radosnego. Maja - ze słuchawkami w uszach - leży na łóżku, od obiadu pochłonięta tabletem. Jak zwykle postanowiła zgłębić temat do samego końca. Czyta materiał poświęcony metodom wydobycia kopalin.

On opiera czoło o zimną szybę. Na termometrze do połowy zanurzonym w świeżym śniegu - minus trzy. Trzeba wymienić zwierzakom wodę w miskach, bo na pewno znów zamarzła.

Zakłada kurtkę, ściąga oburącz niesforne dredy i upycha je pod kapturem. W toalecie napelnia kranówką sfatygowaną plastikową butelkę po dwulitrowej oranżadzie. Wychodzi do ciemnego ogródka.

* *
*

Kilkanaście kilometrów dalej, po drugiej stronie Wisły, niski, kruczowłosy mężczyzna z wydatnym nosem i niezapalonym cygarem w ustach zdejmuje z uszu bezprzewodowe

sluchawki. Patrzy pytajaco na mlodego technika o nieco dziewczęcej urodzie. Ten kiwa głową, dając znak, że wszystko zarejestrowane, po czym zaczyna stukać w klawiaturę potężnego walizkowego laptopa. Robi to tak błyskawicznie, że nie słyhać pojedynczych stuknięć, ale jednolity terkot, jakby ktoś wysypywał suchy groch na blat stołu.

Człowiek z cygarem kilka dni temu skończył pięćdziesiąt dwa lata, ale ciało ma szczupłe, chłopięce. Jego brwi i włosy są czarne, a przy tym błyszczące jak zastygła smoła. Cera była kiedyś oliwkowa, teraz jest mocno poszarzała. Ciemne oczy kryją w sobie coś bardzo złego. Krzywo zaciśnięte usta mogłyby świadczyć o przeżytym wylewie, ale w tym wypadku raczej zwiastują sadystę.

Na imię ma Arsen. W tym miejscu i w tym czasie tak ma na imię.

W swojej dziedzinie, którą trudno zdefiniować jednym słowem, jest specjalistą najwyższej klasy. Podobnie jak jego pochylony nad klawiszami wysoki, delikatny, dużo młodszy, a jednak już zgarbiony podwładny - Marks. I tak samo jak trzech innych siedzących i stojących w tym pomieszczeniu mężczyzn. Ich trudno byłoby jednak nazwać delikatnymi, szczególnie jednego - człowieka ze złamanym nosem i czarnymi brwiami zrosniętymi na środku czoła. Wszyscy trzech wyglądają na niebezpiecznych.

Arsen wyjmując wymiętolone cygaro z ust i wtyka je sobie za ucho. Tu się nie je, nie pije i nie pali. Ilość i jakość sprzętu zgromadzonego w tym pokoju wprawiałaby w silną ekscytację każdego, kto choć trochę zna się na podsłuchu i monitoringu. Inna rzecz, że na takim sprzęcie zna się niewielu ludzi w Europie. Część aparatów w tej sali nie ma nawet nazw. Arsen i jego współpracownicy nazywają je po swojemu: tester, skaner, traser, destiler i tak dalej. Urządzenia powstały w kilku, może kilkunastu egzemplarzach i nikt nimi nie handluje, a w każdym razie nie oficjalnie. Większość została ściągnięta na potrzeby operacji, która poprzedzała niniejszą.

Do kupowania mebli nie mieli głowy, dlatego maszyny połączone kablami i wiązkami podczerwieni stoją jedna na drugiej albo po prostu na podłodze. Niektóre aparaty leżą w otwartych stalowych walizkach.

Arsen, opierając nogę na jednej z nich, patrzy w stojący przed nim wielki ekran wypełniony informacjami na temat pracownika polskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Grzegorza Kopcińskiego. Adres, numery aut prywatnego i służbowego, dane żony i dzieci łącznie z adresami szkół, numery kart kredytowych i historia dwóch rachunków bankowych, PESEL, wiadomości o leczeniu, e-maile z ostatnich miesięcy, billingi połączeń z trzech telefonów, konto córki na Facebooku, adresy rodziców i rodzeństwa, ich konta bankowe, telefony, ostatnie połączenia, tabele, cyfry, mapa terenu, po którym Kopciński, obecnie

figurant numer siedem, przemieszczał się od momentu nawiązania awaryjnego kontaktu z Polakiem, jego szefem. Dalej powiększenia wybranych przez Arsena szczegółów, zdjęcia budynków, plany...

Ruch palcem przed ekranem i okno wypełnia się danymi człowieka, którego słowa przed chwilą zostały nagrane. Paweł Łukasz Domaradzki, syn Edwarda, urodzony w Iławie, wzrost 191 cm, adres Wyższej Szkoły Dziennikarstwa, telefon do mieszkania ojca, jego dane, numery rejestracyjne auta, stan konta, zdjęcia matki, satelitarne ujęcia niewielkiego miasta z zaznaczonymi kilkoma punktami. Program sam kwalifikuje rodziców Pawła jako numery piętnaście i szesnaście.

Kolejny ruch palca. Znajomy widok Warszawy z lotu ptaka. Powiększone miejsce, z którego Domaradzki połączył się z numerem siódmym - gdzieś blisko Wisły. Ulica Polska. Technik nie przestaje stukać w klawisze, lokalizacja jest coraz bardziej dokładna, nowe informacje wpadają na ekran. Osoby, z którymi kontaktował się dzisiaj telefonicznie Domaradzki, dane teled adresowe sąsiadów z ulicy, długa tabela z numerami telefonów logujących się w tym obszarze - program porównuje je z listą tak zwanych alertów, dalej: cyfry, nazwiska, jeszcze więcej cyfr...

Skaner sprzężony z destilerem potrzebuje niecałych pięciu minut by pokazać dwa włączone telefony i router w trzech pomieszczeniach niewielkiego budynku. Wygląda na to, że prócz figuranta jest tam jeszcze jedna osoba. Być może kobieta. Jeżeli tak, to dobrze będzie się dowiedzieć, kim ona jest. Na razie, bez względu na to, co się okaże, otrzymuje numer siedemnasty.

Arsen odwraca się od ekranu i wydaje polecenia. Mówi po angielsku ze słowiańskim akcentem, choć Słowianinem bez wątplenia nie jest. Głos ma wysoki jak na mężczyznę, melodyjny i dźwięczny. Mógłby być śpiewakiem operowym, ale życie wybrało dla niego odmienną profesję. Również dostarczającą metafizycznych wrażeń i wymagającą podróży.

Urodził się za Kaukazem, do szkoły chodził małym miasteczku Gurdzaani. Biednym i zalany słońcem. Przynajmniej w jego wspomnieniach słońce świeciło tam zawsze. Wokoło stało kilka kościołów, do których prowadziła go matka: wszystkie kamienne, bardzo stare i bardzo ciemne w środku. Działo też kilka targowisk, gdzie kradł z kolegami najpierw gorące pierożki albo owoce, potem dzinsy i kurtki ze skóry, wreszcie pieniądze. Mieszkało też w tej mieścinie i kilka wartych grzechu dziewcząt. Jedną z nich zdążył paskudnie skrzywdzić, nim wyjechał na zawsze. A musiał wyjechać, ponieważ wsadził za głęboko nóż. W pewien bok.

Większość swych lat przeżył w Związku Radzieckim. Potem kolejno mieszkał

na Kubie i w kilku miejscach w Afryce. W każdym z odwiedzanych krajów spędził co najmniej pół roku, najbardziej spodobało mu się - o dziwo - nie na karaibskich plażach, lecz w Mozambiku. Może dlatego, że w Hawanie i Matanzas musiał chodzić jak w zegarku, mieszkać w różnego rodzaju koszarach i bazach, meldować o każdym ruchu, a w dodatku nie był jeszcze wtedy przyzwyczajony do upałów. W Afryce pokochał gorące nocne powietrze i kobiety o suchej skórze koloru sadzy. Były ubogie, uległe, bardzo młode, właściwie dzieci. Stawały się jego żonami na dzień, tydzień, miesiąc - ile było potrzeba. Za miskę zarcia, dosłownie. Chciał zostać tam na zawsze. Jego organizm przystosował się do tropików, a nawet zaczął ich potrzebować. Gdy dużo, dużo później przerwali go do Jugosławii, było mu tam za zimno.

Dzięki Afryce z wykonującego rozkazy stał się rozkazującym. W Etiopii, Mozambiku i Angoli sam regulował swój czas, co nie znaczyło oczywiście, że nie raportował. Zawsze był karny, czujny i prawie nigdy nie robił błędów - nienawidził ich. Wierny, zmotywowany, bezwzględny. Umiał i lubił sprawiać przykrość. W imię perfekcji operacji potrafił wsadzić nóż bardzo głęboko, choć tego typu prace już nie należały do jego obowiązków. Gdy nadciągnął kapitalizm - tak ogólnie i w jego świecie też - dostał, jako wyjątkowo wredny, a przy tym inteligentny bydlak, intratną - można rzec: menedżerską - propozycję w sektorze półprywatnym.

* *
*

Dwie godziny po wyjeździe z Francuskiej Robert ma za sobą ledwo Łomianki. Dopiero za zieloną tablicą oznaczającą wjazd do sąsiedniego Dziekanowa widzi, dlaczego ruch wygląda tak a nie inaczej. Jakiś większy wypadek. W ciemności błyskają światła: pomarańczowe, czerwone i niebieskie.

Subaru staje na kilka minut za szarym passatem, potem ruszają - i znowu stop. Ktoś z tyłu trąbi. Robert uchyla okno do połowy. Śnieg i wiatr wpadają do środka razem z natarczym dźwiękiem klaksonu i zawodzeniem syreny radiowozu, który przejeżdża poboczem. Zapala papierosa, dym wiruje i kłębi się pod sufitem auta.

Patrzy w mokre reflektory jadących z naprzeciwka. Jego pas się nie rusza, a przeciwny - całkiem żwawo. Pewnie przepuszczają ruch wahadłowo.

Puszcza kierownicę, prawą ręką chwytą od tyłu zagłówek fotela i napina mięśnie, aż coś strzela w ramieniu. Facet z tyłu - a może to kobieta? - wciąż morduje klakson.

Wyrzuca niedopałek w błoto pobocza.

Zagląda do paczki - zostało pięć palli. W tym tempie nie starczy nawet do Sierpca. Zamyka okno, lecz nie do końca. Niech się jeszcze wietrzy. Przyjemność

z kopcenia w aucie to jedno, ale papierosowy smród drażni go tak samo jak w zamierzonych czasach, gdy jeszcze nie palił.

Samochody z przeciwka znieruchomiały. Jeszcze minuta, dwie... Wreszcie rusza jego pas. Trzydzieści sekund jazdy i znowu - stop.

Co za cholera...

Nie denerwuj się.

Jedziesz do dzieci, w Warszawie wszystko masz mniej więcej opanowane, za osiem minut pełna godzina, posłuchasz sobie w Trójce wiadomości: co tam nowego w sprawie Synów, co z ultimatum rządowym... Ciekawe, co przełożeni Kopytki wycisną z teorii Domaradzkiego. Materiał szkoleniowy chyba... bo co innego? Dobre sobie...

Do miejsca, w którym błyszczą kolorowe światła, jeszcze co najmniej sto metrów - na ile da się tę odległość oszacować w zamieci. Stamtąd się chyba wreszcie pojedzie normalnie.

Uspokój się.

Nie daj się zjeść nerwicy. Jest dobrze.

Pomyśl, że było gorzej - prawda? Pamiętasz, jak zjadłeś dziesięć stilnoxów, żeby się nie obudzić? I to z jakiego powodu? Z dzisiejszego punktu widzenia - z żadnego. Mózg ci się zmienił w galaretę od nadmiaru wódki - ot, cała prawda. Ale mózg się regeneruje, choć nauka twierdzi co innego. Stilnox był przeterminowany albo po prostu masz szczęście. Tam, gdzie migają te niebieskie światła, ktoś miał zapewne mniejszy fart.

Jest wreszcie czas, by się zastanowić, co zrobić z Iwoną i Kamilą.

Tak się dłużej nie da żyć... na dwa fronty.

Z Iwoną należałoby się chyba pożegnać, dopóki można to zrobić w zgodzie. Nikt nikomu krzywdy dotąd nie zrobił, było pięknie, ale coś się skończyło. Ty jej pomogłeś stanąć psychicznie na nogi, ona tobie - pośrednio - wyjść z zawodowego dołka i długów. Teraz trzeba pomyśleć o ciągu dalszym osobno.

Szymon Galper ma rację. Zna życie od podszewki. Powiedział: „Idź za obowiązkiem”, czyli tak naprawdę: „Idź za dziećmi”. Dopóki jeszcze cię potrzebują, człowieku.

Jasne, że potrzebują. Jasio dzwonił w tym tygodniu cztery razy, przysłał nawet SMS-a. W wieku dziesięciu lat odkrywa uroki telefonu komórkowego. Umówili się, że przed wyjazdem na pustkowie wymienią mu zepsutą kartę pamięci, by można było robić zdjęcia. I kupią wędkę - skoro mają łowić ryby w przerębłach.

Krzysio, niestety, nie zadzwonił. Jest starszy i powoli wchodzi w czas buntu. Nie będzie się narzucał staremu, skoro stary wybrał życie osobno. A że nie wybrał, tylko tak się

porobiło... wytłumacz nastolatкови!

Zegar w samochodzie pika, oznajmiając pełną godzinę. Robert zmienia muzykę na wiadomości.

„...nowe pogrożki ze strony Jedynych Synów Polski.

Nagranie, którego fragmenty odtworzymy za chwilę, zostało opublikowane w sieci przed około pięcioma godzinami. Materiał jest cały czas analizowany przez lingwistów, psychologów i policyjnych specjalistów. Nie potwierdziły się doniesienia, jakoby internetowy film składał się z dwóch części, z których druga miałaby zawierać nazwiska nowych celów terrorystów.

»Heil synom Białej Rasy! Heil! Za każdego zabitego Aryjczyka Młot Thora zmiażdży trzech członków ZOG-u! Heil! Nasza zemsta jest naszym prawem! Heil Białym Synom Polski!«.

Poproszony o ocenę skali zagrożenia były szef jednostki specjalnej GROM...”.

Passat przed Robertem rusza i dość szybko się rozpędza. Co za ulga. W ciągu piętnastu sekund przesuwają się dalej niż przez poprzedni kwadrans. Już widać zastawione barierkami zwężenie, za nim strażaków i policjantów krzątających się w miejscu wypadku. Makabrycznie zmiażdżone, zasypane śniegiem auto na lawecie - trudno rozpoznać markę. Radiowóz w poprzek jezdni, wielki reflektor na stojaku, pochyleni ludzie na zaśnieżonym pasie oddzielającym kierunki ruchu. Karetki i karawany - jeśli były - najwyraźniej już odjechały. Zostało sprzątanie.

„»Podaniem brzytwy tonącemu« określił ultimatum posłanki Julity Żarnowskiej przewodniczący klubu poselskiego Przymierza Polskiego Antoni Żelazny. Poseł postanowił jednocześnie uciąć spekulacje na temat możliwego zawarcia koalicji z liberałami w wypadku wycofania się Ruchu dla Wolności z koalicji rządowej. »Przymierze nie boi się przyspieszonych wyborów« - usłyszeliśmy...”.

Za miejscem wypadku samochody dalej się wloką. Ktoś w niskim, półsportowym samochodzie z szybami zapaćkanymi śniegiem i lodem wciska się przed Roberta, korzystając z odrobiny miejsca. Prawie go przy tym potrąca.

„Poranny napad rabunkowy na wrocławskiej dzielnicy Krzyki nie ma nic wspólnego z mieszkającymi po sąsiedzku członkami rodziny posła Ruchu dla Wolności Wojciecha Ossowskiego, informuje rzecznik dolnośląskiej policji. W specjalnym oświadczeniu lokalna komenda...”.

Dopiero za skrzyżowaniem do Czosnowa Robert rozpędza samochód. Wycieraczki piszczą, ubijając coraz cięższy śnieg na marginesie szyby. Komunikat meteo na koniec serwisu

informacyjnego mówi o nadciągających wielkich opadach, wietrze i nagłym wzroście, a potem równie szybkim spadku temperatury. Na razie w Gdańsku minus pięć, w Łodzi i Poznaniu do minus piętnastu...

Do kogo ja miałem zadzwonić?

Do Kopytki.

Trzeba mu powiedzieć o dziewczynie Domaradzkiego.

Bo co by było, gdyby... powiedzmy... jednak... ich szalony pomysł okazał się chociaż w części prawdziwy? To by wywróciło wszystko, co się dotychczas wydawało jasne. Żadnych czcicieli Thora... Tylko krwawa mistyfikacja zupełnie nieprawdopodobnych rozmiarów. Nowa jakość w świecie szpiegostwa i zbrodni.

„Suma wszystkich spisków” - to byłby dobry tytuł.

Jadąc na trzecim biegu w coraz głębszych śnieżnych koleinach, Robert wybiera numer Grzegorza. Kopciński natychmiast odbiera telefon.

Żwawo reaguje także Arsen. Zakłada słuchawki na uszy, a Marks, jego przygarbiony technik, któremu niczego nie trzeba powtarzać dwa razy, sprawnie optymalizuje parametry nagrania.

* *
*

Paweł i Maja w przyjemnie nagrzejonej toyocie jadą powoli Alejami Ujazdowskimi. Po prawej stronie kompletnie zasypana śniegiem przyparkowa aleja, po lewej właśnie zmieniają się posterunki przed kancelarią premiera. Mundurowych - w odblaskowych kamizelkach i bez - jest cztery razy więcej niż zwykle. Między pryzmami przybrudzonego śniegu parkują policyjne i wojskowe furgonetki, w ślepej uliczce zamkniętej ogrodzeniem - i przez to słabo widocznej - stoi jakieś srebrzysto-zielone monstrum: ni to wóz pancerny, ni polewaczka do rozpędzania tłumów podobna do tych, które można zobaczyć na kartach albumów o dawnej „Solidarności”.

Wiatr kołysze gwiazdkowymi ozdobami świecącymi złościście przy latarniach. Szarpie reklamówką, która utkwiała na bezlistnym drzewie przy skrzyżowaniu z Agrykołą. Płatki śniegu wirują - jedne lecą prosto w dół, inne skręcają, kłębią się, łączą, zagęszczają. Przypominają kłębki bawełny.

Podróż rowerem do Info-Radia stała się w tych warunkach niewykonalna i Maja sama zaproponowała Pawłowi, że podrzuci go na nocny dyżur. Po całym popołudniu spędzonym z tabletem na brzuchu musiała usiąść dziś wieczór za kierownicą. W Piasecznie ojciec czeka z kolacją. Chce się pożegnać, bo jutro o dziewiątej rano wylatuje do Londynu, a później - na Islandię. Konferencja jednego z kilku międzynarodowych stowarzyszeń,

w których piastuje funkcje o trudnych do zapamiętania nazwach, potrwa cztery dni, lecz tata już ostrzegł córkę, że zamierza zostać na wyspie przez kolejne dwa. „Islandia - powiedział - jest ostatnim obok Mołdawii krajem Europy, w którym nie byłem. Muszę ją sobie dokładnie obejrzeć”.

- Jak skończę z papciem, mogłabym po ciebie wrócić. - Za skrzyżowaniem z ulicą Piękną Maja przyspiesza. Małe koła samochodu buksują w pośniegowym błocie, by po chwili wpaść w poślizg podczas nagłego hamowania.

- Oż ty!!

Jakiś niedzielny albo bezczelny kierowca w potężnym pikapie próbuje zawrócić na środku jezdni.

- Nie denerwuj się... - Paweł uspakajająco kładzie dłoń na jej ręce opartej o gałkę zmiany biegów. Palce Majki są chłodne, jego - ciepłe. Gładzi ją delikatnie po nadgarstku. -...i nie musisz przyjeżdżać. Jaki to ma sens, żebyś zapieprzała o trzeciej w nocy? Dojadę nocnym na Czerniakowską i się przejdę. Powinnaś zostać w Piasecznie na noc. Do rana przynajmniej odśnieżą drogę, wrócisz spokojnie, a ja będę czekał ze śniadaniem. Zrobię coś specjalnego. Płatki z mlekiem.

- Może rzeczywiście zostanę... Papcio wystawi na stół butelkę i jak ja biedna mu mogę odmówić? - Maja śmieje się, lekko prychając. - Będzie mi chciał poczytać do snu w moim dawnym pokoju. Bywa słodki, kiedy się zapomina. Pogadam, czyby nie pomógł i nie popchnął jakoś sprawy.

- Nie wiem, czy powinnaś go w ogóle w to mieszać... Na tym etapie. Może kolega Wiedźmina się wywiąże. Już tak się przed nim poniżam, że ja pierdykam...

- Papa go ściśnie.

- Byłoby lepiej, jakby twój stary odkopał telefon do dawnych znajomych z redakcji i poprosił, żeby ktoś przeczytał... ocenił równolegle... to, co już mamy.

- O tym też z nim pogadam.

- Głupio mi.

- Wcale nie głupio. Dlaczego ma ci nie pomóc? Ty to za bardzo ambicjonalnie traktujesz.

- Ja?!

- Tak, ty. Czasem mam wrażenie, że rywalizujecie o to, kto będzie dla mnie lepszy. - Maja odwraca się na moment w stronę Pawła i opiekuńczym ruchem odgarnia mu z czoła dwa splątane dredy, które wymknęły się z węzła na czubku głowy. - Wyluzuj, Pawka... Jak koleś będzie cię tak dalej olewał, to papcio zadzwoni prosto do jego szefa.

- Nie... to już by była przesada.

- Powinieneś usłyszeć takie coś... Pan miniiiisteer...? - Maja teatralnie obniża ton, ściąga brwi i marszczy nos. - Mówi Kooooonstanty Szaaaalawski. Chyba się widzieeeeliśmy ostatnio w paaaalacu... praawda? Maaam do pana pewną uprzeejmą prooooobę. Choodzi o teeeego młodego człowieka, który wciąż czeka na obiecaane przez paaaański resort stanowisko w spraaawie teorii dotyczącej przyyyyczyn i ceeelów zamaaachu, który tak nami wszyyyystkimi wstrząsnął. Ten młody człowiek jest przyjaaacielem mej córki...

- I takich tekstów bym właśnie najbardziej nie chciał. - Paweł stuka dłonią w pulpit auta.

- Dzieciak jesteś. - Maja wraca do swego naturalnego tonu, choć mówi trochę głośniej, niż trzeba. - Obiecali ci informacje - niech dają! Ja znam, kurczę, tych wszystkich ministerialnych obiboków. Zawsze przychodzili do papcia masami, nasłuchałam się... nieważne. Taki obieca i natychmiast zapomni. A ty czekasz, przecież widzę, że się denerwujesz. To jest też i moja sprawa, Pawka. Kto wpadł na powiązania?

- Detektyw Maja Szalawska.

- Otóż to! A na razie daj telefon koleś.

Gdy mijają kościół Świętego Aleksandra, który wygląda jak wielki śnieżny bałwan, Paweł - wyginając się w ciasnej przestrzeni - zdejmuje kurtkę przez głowę. W kabinie dwudrzwiowej corolli wyjęcie łokci z rękawów nie jest proste dla kogoś o wzroście przeszło metr dziewięćdziesiąt.

Z kieszeni flanelowej koszuli w kratę wyjmując portfel, z portfela - wizytówkę.

- Możesz ją zatrzymać, ja już wklepałem sobie numer. I wolę nie myśleć, co twój starszy mu powie...

- Jak to co? - Maja znowu zmienia ton. - Proszę paaana tylko o to, by paan się wywiązał z obietnicy wobec narzeczooonego mojej jedyyyynej i najukochańszej córeeeczeki. To młodzieeeeeec, którego przyszłość bardzo leży mi na seeeercu...

- Uważaj!...

- Gdzie mi tuuu... - Stary mercedes beczka, który jedzie przed nimi, hamuje gwałtownie z powodu dwójki przebiegających w poprzek jezdni dzieci. Mają nie więcej niż

po sześć lat, kolorowe kurtki i nieforemne czapki, które spadają im obu - a może obojgu - na oczy. Majka, wychodząc z krótkiego poślizgu, z hukiem wpada dwoma kołami na krawężnik oddzielający pas jezdni Nowego Świata od zastawionego autami trotuaru. Silnik gaśnie, ale przynajmniej uniknęli zderzenia z latarnią.

Maja przeciera twarz. Paweł wciska klawisz świateł awaryjnych i z powrotem zakłada kurtkę.

- Nie wiem, czy w tych warunkach w ogóle powinnaś jechać. Przecież to jest jakaś zajebista klęska żywiołowa. Dobra... słuchaj, Majeczka... ja dalej pojedę tramwajem. Jedź sobie w prawo do mostu i do domu, a do Piaseczna weź, proszę, taksówkę. Na koszt starszego. Obiecuj... To nie są warunki do jazdy dla dziewczynek.

- Też kierowca mi się znalazł, mądrała rowerowy.

- Majeczka, proszę cię... Ciut-ciut i byśmy byli na słupie.

- Ale nie jesteśmy.

Przekomarzają się jeszcze chwilę. Gdy Maja jest już spokojna, Paweł wychodzi z auta w głęboki śnieg i rozkładając szeroko ręce, zatrzymuje jadący prawym pasem sznur samochodów. Ona włącza wsteczny bieg, wycofuje toyotę na środek jezdni, a potem rusza, bryzgając szarym ciastem spod kół. Przy skręcie, za pomnikiem de Gaulle'a, wymusza pierwszeństwo. W dodatku zapomniała wyłączyć świateł awaryjnych. Paweł macha do niej oburącz z chodnika. Jego gest można równie dobrze odczytać jako pożegnanie, jak i napomnienie. Ale Majka i tak go nie widzi.

Widzi ktoś inny. Z czarnego półterenowego audi, które w bezpiecznej odległości jechało za nimi już od skrzyżowania Polskiej z uliczką Gościniec, wyskoczył przed chwilą trzydziestoletni mężczyzna w zielonej kurtce z wysokim kołnierzem i ciężkich, traperskich butach. Jest jeszcze wyższy od Pawła - ma chyba dwa metry. W lewej dłoni brakuje mu najmniejszego palca.

Auto, które opuścił, jedzie dalej - za Majką. Facet ze zdeformowaną ręką staje na chodniku i patrzy na Domaradzkiego. Kaszle, zasłaniając usta nadgarstkiem. Wypluwa brązową flegmę, poprawia słuchawkę w uchu i rusza z miejsca dopiero, gdy Paweł wchodzi na przejście dla pieszych między krocącym po postumencie generałem-prezydentem Francji a plastikową palmą.

Niespełna dziesięć minut później śledzący wsiada do tramwaju tymi samymi drzwiami co figurant numer osiemnaście, ale od razu przechodzi w drugi kąt wagonu.

Podróż w kierunku siedziby Info-Radia przy Okopowej zajmuje im obu trochę ponad dwadzieścia minut. Gdy Paweł, lekko zdyszany i z włosami w nieładzie, przebiega przez

sekretariat na drugim piętrze biurowca, jego cień staje pod budynkiem czterdzieści metrów od wejścia. Za plecami ma w połowie pusty parking ogrodzony poszarpaną siatką. Przed sobą - rozświetloną elewację gmachu wielkiego szklanego ula pełnego pracujących do późna ludzkich pszczół.

Za pomocą lornetki przed kilkanaście minut lustruje jedną po drugiej przeszkłone komórki. Potem składa krótki meldunek - wygląda w tym momencie, jakby coś mruczał sam do siebie. Wreszcie wysłuchuje zwięzłej instrukcji i zaczyna spacerować w tę i z powrotem wzdłuż siatki. Co rusz wstrząsa nim paskudny kaszel.

Info-Radio nadaje audycję podsumowującą dzień.

- Dobry wieczór państwu, z tej strony Aldona Namysłowska, moimi gośćmi są dzisiaj pan poseł Przymierza Polskiego Arkadiusz Erdmann, gdańszczanin, i pani profesor Lucyna Zawisza, językoznawca z Uniwersytetu Warszawskiego.

- Dobry wieczór.

- Witam słuchaczy radia.

- Chciałabym, abyśmy w ostatniej godzinie tego pełnego wydarzeń dnia porozmawiali o trzech sprawach - i niekoniecznie o nazistowskim nagraniu, które zdominowało wieczorne serwisy. Po pierwsze, wrócimy, jeśli goście pozwolą, do dzisiejszej publikacji jednego z dzienników, który złamał niepisaną umowę pomiędzy mediami i opublikował tak zwaną „listę kibica” z nazwiskami polityków oraz, jak się teraz okazało, także dziennikarzy, którzy mieliby zostać zgładzeni...

- Ja bym jednak, pani redaktor wybaczy, nie użyła takiego sformułowania. Nie sądzę, byśmy powinni jeszcze dodatkowo podgrzewać atmosferę...

- Tym bardziej że z publikacji „Dziennika” nie wynika nic, poza samym składem tej grupy...

-...jednak wiemy, w jakich okolicznościach i w czym komputerze lista została znaleziona. Nie mówmy więc, że „nie wynika nic”! Osobną kwestią jest tak zwana preambuła listy.

- Niestety, oceniona przez „Dziennik”, a także przez inne media...

- Z racji wyjątkowego natężenia języka nienawiści...

- Biorąc pod uwagę grozę obecnej sytuacji, moglibyśmy chyba, miłe panie, przynajmniej na jakiś czas odstawić święte kanony politycznej poprawności...

- Grozę, o której pan poseł wspomina, sięją właśnie ci, którym tak bardzo zależy na promocji swojego bełkotu, że posuwają się...

- Drodzy państwo, o tym zdążymy jeszcze porozmawiać. Nikt nie kwestionuje powagi

zagrożenia. Żadna z wymienionych na liście osób nie pojawiła się od rana publicznie...

- Pani redaktor...

- Za chwilę, panie pośle. W tej chwili chciałabym przedstawić słuchaczom plan naszej dzisiejszej rozmowy. Tak jak mówiłam, publikacja „listy kibica” - z preambułą czy bez - to jedno. Mam nadzieję, że zdążymy porozmawiać także i o tym, co zdarzyło się rano w pana rodzinnym Trójmieście, a mianowicie o rozpadzie lokalnej koalicji spowodowanym secesją przedstawicieli Ruchu dla Wolności.

-...którzy już chyba nie mogą się doczekać upływu terminu ultimatum i przebijają nogami w oczekiwaniu na nowe rozdanie polityczne. Zakładają, że tragiczna śmierć pana prezesa i pana ministra automatycznie przełoży się na głosy, a jak sobie przypomnimy rok dwa tysiące dziesiąty i wybory prezydenckie, to już wiemy, że wcale tak być nie musi.

- Do tego wrócimy. Natomiast jako temat trzeci proponuję, byśmy pochyłili się nad ciekawą informacją jednego z tygodników, analizą językową słynnego *Ostatniego ostrzeżenia* oraz *Listu do Andersa Breivika*.

- Cieszę się, że pani o tym mówi, ponieważ to jest moim zdaniem ważny i być może najciekawszy trop. Dziś rano, w trakcie lektury gazet niemieckich i francuskich, ale także w prasie rosyjskiej, zauważyłam, że ze wszystkiego, co się pisze o sytuacji w Polsce, najmocniej wyeksponowano właśnie ten wątek. Analiza lingwistyczna słusznie wskazuje charakterystyczne związki frazeologiczne...

- Pani profesor pozwoli tylko, że w dwóch zdaniach przypomnimy słuchaczom, co napisał wspomniany tygodnik. Otóż tekst przypisywany zamachowcowi, ten elaborat pod tytułem *Są tylko dwie strony, nasza i ta druga*, który to tytuł, jak już wiemy, sam jest cytatem, a właściwie zawołaniem organizacji Blood & Honour... otóż po analizie dowiedzieliśmy się...

-...że tekst mógł pierwotnie powstać w języku rosyjskim, białoruskim, ukraińskim lub nawet serbskim. Potem został przetłumaczony na angielski. Ewentualnie został spisany po angielsku przez kogoś, kto, powiedzmy, myśli według innej niż polska składni językowej. Z podobną sytuacją mamy do czynienia w przypadku tak zwanego *Ostatniego ostrzeżenia*, gdzie padają określenia „piastowanie pozycji” czy „orda oszustów”. Osoba polskojęzyczna użyłaby raczej określenia „piastowanie stanowiska” i „horda”. Weźmy teraz sformułowania o „zagrożeniu jedności”. Otóż gdyby to napisał ktoś wychowany w polskiej kulturze językowej, to zależnie od stopnia zaawansowania w znajomości angielskiego użyłby następujących sformułowań... przeczytam z notatnika... znajdę tylko...

Audycja Aldony Namysłowskiej - przerwana skrótem wiadomości i dwoma blokami reklam - trwa trzy kwadransy i kończy się po północy. Pawła czekają jeszcze co najmniej

dwie godziny pracy. Człowieka spacerującego wzdłuż ulicy Okopowej - dwie godziny czekania. Roberta - któremu wreszcie udało się minąć Płońsk - co najmniej cztery godziny jazdy do Torunia. Droga jest coraz gorsza: nie widać już żadnych fragmentów asfaltu, tylko kopny śnieg i zlodowaciałe muldy szaroburego ciasta z zamrożonej wody i piachu.

9.

Wtorek, 17 lutego; od północy do czwartej nad ranem

Maja nie skorzystała z rady Pawła i nie wezwała taksówki. Ślizgając się na jezdni, używając raz pierwszego, raz drugiego biegu, minęła - wlokąc się w korku - apartamenty Wilanowa, rozświetlone salony samochodowe i ciemne hurtownie na granicy miasta, potem wille, rezydencje i schowane za kutymi ogrodzeniami pałace Konstancina. Jadąc w miarę przyzwyczajoną odśnieżoną ulicą Piaseczyńską - wśród wysokich sosen, wysokich żywopłotów i wysokich cen nieruchomości - poczuła przyjemne ciepło. Zamieniła tę bogatą, uporządkowaną okolicę bez jednego śmiecia na zdziczałe, pokrzywione i poplątane Siekierki. Zrobiła to trochę po to, by przekonać samą siebie, że jest nie tylko przyzwyczajoną do luksusu panią z dobrego domu, ale także kobietą, która potrafi żyć tak, jak chce. Wybór okazał się słuszny - w to nie wątpi. Mimo to wciąż nie potrafi przestać lubić tych wielkich domów i starych ogrodów, które latem toną w kwiatach, a zimą - w świątecznych lampkach. Jeszcze teraz, w połowie lutego, migają wzdłuż Pułaskiego i Wschodniej betlejemskie gwiazdy, elektryczne szyszki i świecące na biało serpentyny, które niczym neonowy bluszcz oplatają drzewa po obu stronach drogi.

Do Piaseczna dojeżdża po godzinie. Gdy wreszcie siadają z ojcem przy suto zastawionym stole, porcelanowy zegar z pasterzem i pastereczką - osiemnastowieczny autentyk - wygrywa północ. Tato zapalił świece i - zgodnie z przewidywaniami córki - otworzył na powitanie butelkę schłodzonej cavy. Gospośia upiekła wcześniej indyka nadziewanego gruszkami, który teraz pyszni się pomiędzy miseczkami pełnymi przystawek. Z kupionego jeszcze przez mamę odtwarzacza płyt CD płyną ciche dźwięki kameralnego utworu van Beethovena.

Ojciec z serwetką na piersi i wysokim kieliszkiem w dłoni zachęca do toastu.

- Za twojego Pawełka. Coraz bardziej podoba mi się ten chłopak.

- Jak mam to rozumieć? - Maja smakuje alkohol. - Podoba ci się? Macie schadzki za moimi plecami?

- Córcia... - Konstanty Szalawski ociera serwetką usta. - Mówię całkiem poważnie.

Rozmawiałem z Marianem Marcinkowiczem - ty już go możesz nie pamiętać, byłaś malutka, kiedy z nim pracowałem na uczelni...

- Z rozczochraną brodą i w okularach z ciemnymi szklami?

- Rzeczywiście! Chociaż już tych okularów nie nosi. I brodę ma dużo krótszą. Teraz pan docent Marcinkowicz nosi się bardzo elegancko. Ma młodą żonę. Chyba w twoim wieku... To niesłychane, że go zapamiętałaś...

- Kłął mnie tą brodą w czoło. Zawsze się rwał do całowania. Może miał od młodego słabość do kobiet z mojego rocznika?

- Ha, ha! Byliśmy razem w Chorwacji. Ile ty mogłaś mieć wtedy lat...? Na pewno nie więcej niż pięć.

- Cholerny pedofil...

- Zaszkoziła ci wtedy ryba, to chyba było w Jelsie... dostałaś gorączki, mama chciała wracać. - Gdy pada słowo „mama”, głos ojca na moment zjeżdża w dół, a przy stole robi się jakby ciemniej.

Mają wie, że ojciec wie, że ona to zauważyła.

Ale dzisiaj tata nie ma zamiaru się rozklejać. Nigdy nie ma takiego zamiaru. Czasem tylko nie daje rady opanować mimiki. Teraz po prostu zaczyna mówić trochę szybciej.

- Marcinkowicz jest w radzie Europejskiego Centrum Edukacji... czekaj... obywatelskiej chyba, czy może to się teraz nazywa... społeczeństwa obywatelskiego. Zmienili nazwę po odejściu prezesa... Jak on się nazywał...? Skleroza nie boli, ale jednak doskwiera. Są współwłaścicielami tego Info-Radia.

- Zaczynam rozumieć. Ale chyba nie zapytałeś tego koleśia o mojego Pawkę tak wprost?

- A dlaczego nie? Maryś to nasz stary przyjaciel. Po prostu zagadnął prezesa, jak się sprawuje kolega Domaradzki. Czy coś w tym stylu.

- I co usłyszał?

- Że to jest świetny, doskonale rokujący pracownik.

- Mam, kurczę, rozumieć, że pan prezes - tak natychmiast - przypomniał sobie stażystę? Jednego z dwudziestu?

- Należy raczej zakładać, że wcześniej o niego popytał. - Ojciec uśmiecha się łobuzersko. - Spróbuj pikli. Są wyśmienite. Kupiłem prosto od kobiety z Jesówki. Sprzedaje tylko własne wyroby. Wyobraź sobie, że przyjeżdża tu, do Piaseczna, rowerem z dwukółką. W te śniegi i mrozy...

- Tatko, co ty namotałeś w sprawie Pawła? Mów mi tu jak na spowiedzi. - Maja tupie

nogą pod stołem i jednocześnie stuka srebrnym widelcem w blat.

- Uważam, córciu, że należy mu pomóc. - Ojciec dopełnia winem opróżniony w jednej czwartej kieliszek Majki i własny, już pusty. Teraz ma minę poważną, nawet nieco srogą. - Jesteście razem prawie drugi rok. Wiesz, że ja to wszystko uważnie obserwuję. I wiesz, że byłem przeciwny twojej przeprowadzce...

- No jasne, już to wałkowaliśmy. Mogłam przecież zamieszkać z Pawłem tu, u góry, no nie? Nauczylibyśmy go, kurka wodna, jeść z serwetką na kolanach.

- Nie bądź niegrzeczna.

- A ty mu nie pomagaj, skoro on nie prosi.

- Nie rozumiesz tego, dziecko... Jesteś taka inteligentna, a nie rozumiesz...

- Paweł sobie sam poradzi. - Mówiąc to, Maja zdaje sobie sprawę, że brnie w niewłaściwym kierunku. Przecież miała prosić ojca o pomoc w przepchnięciu sprawy z Kopcińskim.

Dziecięca złość, która w niej wybuchła, jest jednak silniejsza niż chłodna kalkulacja. Tupie kolejny raz i dodaje:

- Ja też sobie sama poradzę.

- Nie mam co do tego wątpliwości - ojciec mówi to cichym, uspokajającym tonem. - Po prostu szkoda jego czasu, szkoda tych wieczorów i nocy, które spędza na roznoszeniu papierzysk...

- Paweł nie roznosi żadnych papierów. - Córka ciągle jest zła.

- A w tej siłowni co robi? Ściera tłuste deski w saunie, tak?

- Ohohooo! Bo to jest oczywiście niemożliwe, żeby narzeczony córki ministra...

- Nie bądź, powiadam, niegrzeczna - tym razem w tonie ojca dźwięczy mosiądz. - Doskonale wiesz, że nigdy nie myślałem w ten sposób. Gdyby to były lata siedemdziesiąte, osiemdziesiąte, powiedziałbym: niech on pracuje choćby i na budowie. Nic tak męczyzny nie utwardza jak ciężka, fizyczna praca. Ale to już jest inny świat... i ty o tym doskonale wiesz, moje dziecko. Tylko że ty nie przyjmiesz mojej pomocy, nie przyjmiesz pieniędzy, bo postanowiłaś po prostu wszystko zrobić na opak. Ze swoją maturą, ze swoimi zdolnościami mogłabyś teraz zaczynać doktorat na Harvardzie. Tyle razy ci mówiłem... że po ukończeniu historii na uniwerku dołączysz do rzeszy bezrobotnych ubiegających się o pół etatu w gimnazjum czy szkolnej bibliotece.

- Nie mam nic przeciw bibliotekom. Ale na razie jestem po wstępnych rozmowach w Biedronce.

- Gdzie?!

- Będę w wakacje ustawiała towary na półkach. W Biedronce na rogu Dolnej i Belwederskiej. Na nocki.

- Majeczka... Już niedługo odejdę, czuję, że od kiedy nie ma mamy, zacząłem się starzeć w przyspieszonym tempie... Czy ty to robisz, żeby mnie upokorzyć?

Ojciec przerywa na moment, a Maja chwyta go za rękę. W jednej chwili minęła jej cała złość.

- Nie mówmy już o tym... - Pochyliła się nad obrusem i przykłada dłoń ojca do policzka. Mimo wysiłków manikiurzystki jego paznokcie są sine i jakby pomarszczone, a opuszki palców suche i spękane. Papcio rzeczywiście szybciej się ostatnio posuwa w latach.

- Zostanę u ciebie na noc. Twoje zdrowie! I pomóż Pawłowi, jak umiesz. A najlepiej... pomożesz mu wydrukować w jakimś poważniejszym piśmie pewien tekst... dobrze?

- Tekst o czym?

- O przyczynach zamachu w Omedze. On ma pewną teorię. Razem ją mamy. I oboje myślimy, że należałoby to upublicznić.

- Córciu moja... Od tej sprawy to ty się trzymaj jak najdalej. - Ojciec cofa rękę.

- Ale myśmy wpadli, ja wpadłam, na coś maksymalnego! Tam mogło nie chodzić o reformy Kunickiego, tylko o interesy, którym przeszkadzali prawnicy. Niektórzy z grona tych zastrzelonych...

- Majka! - Tato zaciska dwie pięści i stuka nimi w blat stołu. - Ja cię proszę i bardzo ostrzegam. Nie pozwolę ci na żadne drukowanie, w żadnym piśmie, żadnych teorii na temat tej tragedii. To jest baaardzo niebeeeezpieczny teemat. - Przez chwilę Konstanty Szalawski jest znowu konsulem, ministrem i człowiekiem władzy, a nie - jej kochającym papciem. Szczęka mu twardnieje, zaraz zacznie zgrzytać zębami. Ale w Majce już się obudził diabełek przekory.

- Co jest niebezpiecznego? Może to, że Malak, Czyżykiewicz i Raduńska doszli niezależnie do wiedzy o spółkach handlowych...

- Majka! Ja nawet nie chcę tego słuchać.

- Bo sam coś wiesz!

- Niczego nie wiem i niczego nie chcę wiedzieć. Niech ci wystarczy, że długo żyję na tym świecie i mam doświadczenie. Ta sprawa będzie rozwiązana na pewno w optymalny sposób. - Ojciec urywa i przykłada do ust serwetkę, jakby powiedział o jedno zdanie za dużo. Zapada dłuższa cisza, potem on włącza pojednawczy ton: - Po co ci jakieś publikacje? Brak ci pieniędzy? Dam ci! Chcesz zaznać sławy? Załatwię ci rolę w filmie, mój znajomy z czasu...

- Chcę pomóc Pawłowi nie w ten twój sposób, że jeden pan drugiemu panu coś

szeptnie na ucho, tylko żeby mu dali wydrukować tekst, który jest wstrząsający, rozumiesz? Wstrzą-sa-ją-cy! I jeżeli potrzeba protekcji, to tylko dlatego, żeby to, co napisaliśmy, raczyli przeczytać w jakiejś poważnej redakcji. A o wynik już jestem spokojna. Nasz referat broni się sam.

Ojciec milczy. Unosi kieliszek, oczy ma zmęczone, na twarzy - upór i rezygnację zarazem. Po przełknięciu cawy odzywa się głosem grobowym:

- Córciu, ja cię ostrzegam i zaklinam na wszystko. Na wszystko. Nie mieszaj się. Mam przecucie, nawet coś więcej... nie mam wiedzy, ale mam pewność. To jest historia straszliwie brudna i musi jak najprędzej zostać zamknięta. Za wszelką cenę. Rozgrzebywanie tego może pociągnąć dalsze tragedie. Obiecuj mi, że dasz sobie z tym spokój!

- Obiecuję, że już cię nie będę o nic prosiła.

Tata zapada się w sobie, rysy twarzy zaczynają mu się rozplýwać. Maja tej zimy zauważyła coś, czego przedtem nie było. Ojciec - szczególnie wieczorami - funkcjonuje do pewnego momentu, a potem nagle... jakby ktoś wyjął z niego baterię.

- Jak sobie chcesz... - mówi. - Twoje zdrowie po raz ostatni. Położyłem ci tę pościel w makówki, którą lubiłaś.

- Sam położyłeś czy pani...?

- Sam. Długo się męczyłem z poszewką. Z latami materia stawia mi coraz większy opór - ponownie robi długą przerwę. Szczęka mu opada. Wygląda, jak gdyby zasnął z otwartymi oczami.

* *
*

Dwie godziny później mecenas Konstanty Szalawski faktycznie śpi, a nawet głośno chrapie w swojej sypialni. Jego córka z laptopem ułożonym na kołdrze nurkuje w zakamarkach sieci. Wypity alkohol i obfita, spóźniona kolacja nie uspiły jej. Przeciwnie - czuje się nakręcona. Właściwie od napisania „aneksu” czuje się nakręcona non stop.

Nie ma co tracić czasu na sen. Tym bardziej że jest co poczytać. Wszystkie portale informacyjne atakują czerwonymi i żółtymi ramkami:

„Z ostatniej chwili: Nocne zatrzymania wśród JSN”.

„NOWE! Akcja antyterrorystyczna w całym kraju. Przełom w śledztwie?”.

„Relacja minuta po minucie: Brygady specjalne weszły do mieszkań podejrzanych o udział w spisku. Pięć osób za kratkami, w tym jedna kobieta. Wśród zatrzymanych jest obywatel niemiecki. Zobacz materiały wideo”.

Maja czyta kolejne artykuły, a potem klika na film. Niesamowite - zdążyli go już opatrzeć reklamami. Chwilę patrzy na uśmiechnięte twarze amatorów nowego środka przeciw

bólowi głowy, potem obraz zaczyna skakać. Policyjna kamera rejestruje głównie plecy funkcjonariuszy w czarnych kaskach i kominiarkach. Rozbijają jakieś drzwi, wpadają do pomieszczenia o ciemnych ścianach, ktoś przebiega przed obiektywem, słychać nakładające się na siebie okrzyki i komendy, potem widać zbliżenie zabłoconych sportowych butów, a jeszcze później męskie dłonie - już w kajdankach.

Kolejny obraz - dwóch mężczyzn mówi na przemian do kamery, w tle korytarz zalany zimnym światłem lampy jarzeniowej. Gdy pojawia się nieładny, niewysoki, poszarzały i wyglądający na nudziarza chuderlak, podpis informuje: oto „Grzegorz Kopciński, doradca w MSW”. Kiedy kadr wypełnia jego przeciwieństwo - rudy, duży, tłusty wręcz koleś - podpis głosi: „Rzecznik policji inspektor Adam Along”.

Zaczyna rudowłosa:

- W godzinach późnowieczornych nastąpiły jednoczesne zatrzymania osób podejrzewanych o udział w zorganizowanej grupie mieniającej się Jedynymi Synami Polski. Funkcjonariusze przeprowadzający operację działali w ścisłym porozumieniu z prokuratorami prowadzącymi śledztwo wszczęte drugiego lutego. Mogę potwierdzić, że grupa obecnie zatrzymanych liczy cztery osoby, w tym jest kobieta i jeden obcokrajowiec. Są to, kolejno: Karol D... - Rzecznik przez chwilę przestaje patrzeć w kamerę, najwyraźniej czyta nazwiska z kartki. -...Aneta K., Jarosław M. oraz Reinhart T., obywatel polski i jednocześnie niemiecki.

- Czy to prawda, że Reinhart... - Pytanie dziennikarki, której ładna twarz pojawia się na moment w kadrze, przerwane zostaje nieprzyjemnym dla ucha piskiem mającym przykryć nazwisko Niemca. -...jest aktorem?

- Ewentualne zainteresowania artystyczne tego pana pozostają na razie poza sferą naszych zainteresowań dochodzeniowych. - Kopciński usiłuje przybrać sympatyczny wyraz twarzy, ale i tak wygląda na półmartwego. Pewnie koleś jest chory, skacowany albo skrajnie przemęczony. - Reinhart T. został zatrzymany na terenie należącej do niego stadniny koni w miejscowości - znowu słychać pisk - w województwie podlaskim. Funkcjonariusze z grupy przeprowadzającej zatrzymanie zabezpieczyli na przyległym terenie broń i amunicję.

- Pan był przy zatrzymaniu?

- Tak, byłem.

- Jak przebiegało?

- Z tego, co wiem, niektórzy spośród zatrzymanych, a z całą pewnością obywatel niemiecki oraz, jak mi mówiono, także Maćko... chciałem powiedzieć, Jarosław M. - te osoby spodziewały się naszej wizyty. Reinhart T. był przygotowany. Chyba na nas czekał.

- Jak to rozumieć?

- Był ubrany, spakowany, nie stawiał oporu, wręcz ułatwiał czynności przeszukiwawcze. Karabin został odnaleziony już pół godziny po rozpoczęciu czynności.

- A więc to jest karabin?

- Tak. Potwierdzam. To duża broń snajperska. - Po takim oświadczeniu Grzegorz Kopciński może już być pewien, że jego aktywny udział w akcji zostanie zapamiętany. - Na razie żadnych szczegółów ponad to.

- Czy zatrzymany miał pozwolenie na tę broń?

- Według własnego oświadczenia posiadał taki dokument wystawiony na terenie Republiki Niemiec, co jednak według obowiązujących przepisów nie jest wystarczające. Jeszcze dzisiaj, gdy tylko prokuratura zrobi swoje, zostaniecie państwo poinformowani o szczegółowych zarzutach wobec podejrzanych. Będzie to szereg paragrafów o charakterze kryminalnym. Materiały zebrane w ciągu ostatnich dwóch tygodni pozwalają uprawdopodobnić także inne przestępstwa, za które, w naszym przekonaniu, powinni odpowiedzieć zatrzymani.

- Jakie to mogą być zarzuty? Jakie inne przestępstwa?

- Powiem tyle, że w grę wchodzi złamanie przepisów przynajmniej kilku ustaw.

- Czy Reinhart T. jest podejrzewany o zabójstwo Kajetana „Leszcza” Leskiego?

Kopciński:

- Bez komentarza.

Along:

- Tak jak pani słyszała.

- A może podejrzewacie którąś z tych osób o zamordowanie prezesa Matera?

Kopciński:

- Powtarzam: w tej kwestii - bez komentarza.

- Czy może więc pan chociaż potwierdzić informację, jaka pojawiła się ostatnio, że także samobójcza śmierć urzędnika, który sporządził listę osób zaproszonych do Omegi - mam na myśli dochodzenie w sprawie tej śmierci - że to jest włączone do sprawy „Synów”?

- Pan radca January Okryński reprezentował resort sprawiedliwości, tam proszę...

-...więc może chociaż pan rzecznik coś powie?

- Śledztwa, o których mówimy, prowadzą różne jednostki, koordynuje je sztab kryzysowy, którego nie jestem członkiem. - Along wznosi na moment oczy ku górze, jakby pytał się niebios, dlaczego wciąż pozostaje tylko rzecznikiem, podczas gdy inni są już ministrami. - Jednak nie mogę wykluczyć twierdzącej odpowiedzi na pani pytanie. Musicie nas wszyscy państwo w tym wypadku zrozumieć. Część zatrzymanych już skontaktowała się

z adwokatami, szczegóły naszego dalszego postępowania...

Przerwa na reklamę.

Majka patrzy na zegar w rogu ekranu. Za chwilę trzecia w nocy. Złapali Synów-Skurwysynów... Wszystko, co wyszperała, poukładała w logiczną całość i spisała - wszystko to okazało się fikcją. Rzeczywistością alternatywną.

To chyba dobrze...

Coś jednak nie daje jej spokoju. Jak to powiedział papa? Rozwiążą szybko sprawę w optymalny sposób? Czegoś w tym rozwiązaniu brakuje.

Czego?

Po pierwsze, w żadnym tekście nie ma informacji, w jaki sposób dzielni policjanci wytypowali całą tę grupę zatrzymanych. A po drugie...?

Jeszcze przez kwadrans ogląda nagrania wideo i czyta komentarze. Dominuje przekonanie o udanym zwrocie w ślimaczącym się dotąd dochodzeniu.

Wszyscy przyjmują za pewnik, że wyciągnięta z łóżek banda to Skurwysynowie. Bo jakby inaczej?

„Nazistowska siatka za kratkami. Przeczytaj komentarz b. szefa MSWiA”.

„NOWE! Zatrzymany Jarosław M. był już karany za przestępstwa z użyciem przemocy”.

„Julita Żarnowska: Wyjaśnienie tej sprawy do końca będzie testem wiarygodności obecnej ekipy i służb. Za wcześniej jeszcze, by odwoływać ultimatum dla rządu. Czekamy na wyniki przesłuchań”.

„NOWE! Zamachowiec Kajetan L., kibic Mirosław R. i zatrzymany Jarosław M. mogli się znać od co najmniej pięciu lat”.

„NOWE! Konferencja w siedzibie premiera o dwunastej w południe”.

„Fundacja »Obserwator«: Już dwa lata temu informowaliśmy policję o języku nienawiści i paszkwilach rozpowszechnianych przez Karola D.”.

Pół godziny przed czwartą Maja porzuca strony WWW poświęcone najnowszym wydarzeniom i zaczyna szukać brakującego elementu układanki. Zagłębia się w witrynach Europejskiego Rejestru Firm. Potem otwiera kolejno bogato ilustrowane serwisy: Lula, Pudelek, Kozaczek, Plotek... Czyta informacje o córce prezydenta i jej planowanym ślubie. To będzie towarzyskie wydarzenie roku. Piękna Kasia i jej niecodzienny wybranek poznany podczas motorowodnych szaleństw w jakimś mazurskim kurorcie. Zdjęcia, ekskluzywne sesje, krzykliwe stroje, retuszowane uśmiechy.

O wpół do piątej zasypia przy włączonym laptopie. Z półki wiszącej na ścianie

vis-à-vis łóżka patrzą na nią pluszowy lisek i wypełniony ziarnami kurczak, którymi bawiła się, gdy miała cztery lata. Liska nazywała Grupeć, a kurczaka - Kokoloko.

* *
*

Niespełna dwadzieścia kilometrów dalej Arsen i Marks, obaj skrajnie zmęczeni, wpatrują się w ekrany podzielone na kilkanaście okienek.

W większości z nich nic się już nie dzieje - z wyjątkiem dwóch.

W pierwszym system otwiera i wyświetla kolejne, coraz starsze wiadomości wysłane z dwóch skrzynek e-mailowych założonych przez Pawła Domaradzkiego. Jak dotąd nie znalazło się w tej korespondencji nic nowego. Nic, co wymagałoby zmiany planu.

W drugim okienku - w tej chwili wypełnionym fragmentem mapy satelitarnej środkowej Polski - porusza się czerwony trójkąt oznaczający figuranta numer dziewiętnaście. Wychodząc od jego komórki, która kilka godzin wcześniej połączyła się z numerem figuranta siódmego, Arsen i Marks zebrali masę informacji. Dziewiętnastka może się okazać postacią bez znaczenia dla akcji: z trzech nagranych rozmów wynika, że to dziennikarz, raczej przypadkowy pośrednik. Arsen nie lekceważy jednak żadnego elementu. Niskie, zbite chmury uniemożliwiają obserwację satelitarną, dlatego cierpliwie śledzi kolejne logowania telefonu dziewiętnastki. Tester, jeden z najciekawszych aparatów w tym pomieszczeniu, urządzenie stworzone dopiero kilka lat temu przez Amerykanów - tutaj w wersji chińskiej - mógłby pokazać położenie komórki w samochodzie dziennikarza z taką dokładnością, że zobaczyliby, czy aparat leży w kieszeni spodni kierowcy, czy w torbie na tylnym siedzeniu. W tej chwili nie ma jednak potrzeby sięgania po dokładny namiar. Wystarczy śledzić skoki telefonu pomiędzy masztami stacji bazowych i nadchodzące z opóźnieniem obrazy z elektronicznego systemu monitoringu dróg. Na jednym z ujęć - wyjątkowo dobrze doświetlonym - widać dokładnie twarz za kierownicą. Długowłosy facet o męskiej szczęce porośniętej ciemną szczecinałą pali papierosa.

Arsen też by zapalił. Zmienia obraz na ekranie, by skontrolować efekty pracy programu wyszukującego w sieci dalsze dane o człowieku. Jest tego sporo. Zdjęcia, tabele, korespondencja, artykuły prasowe, nawet materiały filmowe. Robert Pruski był niedawno bardzo sławny. A razem z nim - Iwona Tomaszewska, córka Huberta, numer telefonu, ubezpieczenia, karta kredytowa, numer NIP, urząd skarbowy, metryka, zdjęcie szkolne... Są też wspólne zdjęcia jej i jego. Sprawiają wrażenie pary, choć z urzędowych adnotacji wynika, że jest tam jeszcze inna kobieta. Kamila Barańska-Pruska.

Czerwony trójkąt przesuwa się między stacjami transmisyjnymi oznaczonymi jako Złotopole i Kikół.

Marks, ze zmęczenia bardziej przygarbiony niż zwykle, pokazuje coś na ekranie. Znalazł w korespondencji studenta oznaczonego osiemnastką trzy wiadomości przesłane do Pruskiego i dwie odebrane od niego, a w każdym razie od kogoś, kto zalogował się jako *netplus/erpe70*. Arsen czyta:

„...o przesunięciu dyżuru zostałem powiadomiony godzinę temu, z powodu późnej pory nie chcę do Pana dzwonić, ale muszę prosić o usprawiedliwienie...”.

Zgadza się wszystko. Osiemnasty jest uczniem dziewiętnastego w tutejszej niewielkiej akademii dziennikarskiej - to już wiedzą. Odnosi się do swojego nauczyciela z dużym respektem i gdyby trzeba było podszyć się pod dziewiętnastkę, by skłonić osiemnastego do jakiegoś ruchu, nie byłoby to trudne. Adres i wszystkie telefony akademii mają zebrane, podobnie jak listę pracowników, adresy e-mailowe, domowe i tak dalej. Na razie to niepotrzebne. Plan przewiduje inne rozwiązanie, choć Arsen dotąd nie zdradził Marksowi jakiego. Dlatego młody człowiek tak pilnie analizuje wszystkie gałęzie wszystkich algorytmów. W ich dobrze zsynchronizowanym duecie on jest programem rejestrująco-analitycznym, a dowódca - analityczno-operacyjnym.

Zestrajali się przez czternaście miesięcy, wiedzą o sobie wiele, choć naturalnie nie znają i pewnie nigdy nie poznają swoich prawdziwych imion, nie mówiąc o nazwiskach. W ich pracy nazwisk ma się zresztą tak wiele, że ich prawdziwość - czy raczej nieprawdziwość - to rzecz trzeciorzędna.

Od ponad pół roku poza dwójką agentów, wysportowanych i łebskich chłopaków od manualnej roboty w terenie, jest z nimi jeszcze dwoje specjalistów, w branżowym slangu - elektryków, choć Marks ma przeczucie, że jedno z nich pełni też funkcję inkwizytora. Kiedyś w służbach, z których wywodzi się Arsen, operacyjny szef miał swojego politycznego komisarza. Polityka skończyła się w gównie, lecz szycie wszystkiego podwójnym ściegiem pozostało. Inkwizytorem - skoro nie jest nim on sam - musi być ktoś z tej dwójki: albo szczupła, niewysoka kobieta o oczach barwy malachitu, albo równie niski, drobnokościsty mężczyzna o bezbarwnej, chytrej twarzy i drewnianym głosie. Ona jest podczas tej misji nazywana Różą, na niego mówią: Ezra.

Cała ich czwórka, pomijając agentów, od kilku tygodni pracuje - w parach i na dwie zmiany - dwadzieścia cztery godziny na dobę. Są wszyscy na skraju wyczerpania, ale jeszcze kilka dni, kilka ostatnich działań i opuszczą na zawsze obskurny barak udający siedzibę podupadłej firmy poligraficznej Vera-druk z adresem „Warszawa - Wał Miedzeszyński” na pieczęcie. Zostawią po sobie - nie po raz pierwszy - rozsypaną układankę, której miejscowi nigdy nie złożą. Będą przesłuchiwać, a potem sądzić, swoich rasistów, ekstremistów albo

terrorystów, zależnie od tego, do jakich szufladek powkładają tych piździelców politycy i dziennikarze. Nic nie będzie się trzymać kupy, ale zawsze znajdą się chętni do zakończenia śledztwa z sukcesem, szczególnie że pakiet mocnych poszlak wskazujących kogo trzeba członkowie grupy Arsena już przygotowali. Listy, nagrania, broń, narkotyki, pieniądze i rachunki czekają już w odpowiednich miejscach na doręczenie lub nieuchronne odkrycie. Co się już zaczęło.

Dowódca wacha niezapalone cygaro. Pachnie korą, czarną skórą kobiety i czymś zwierzęcym.

- Wychodzę na trzy minuty - mówi do Marksa.

* *
*

Krótko przed i krótko po piątej rano komórka dziewiętnastego figuranta z operacji „Odcięcie” trzykrotnie melduje swą obecność w rejonie oznaczonym na ekranie jako „miasto Toruń dzielnica Bielany”. Miejscowość się zgadza z zebranymi wcześniej informacjami, adres - z danymi tej całej Tomaszewskiej. Marks skanuje wnętrze budynku przy ulicy Gagarina. Dziewiętnastka jest w środku na dziesiątym, czyli - według tutejszej nomenklatury - dziewiątym piętrze.

Pół godziny przed szóstą dyżur w sali komputerów przejmują Róża i Ezra.

10.

Wtorek, 17 lutego; od poranka do południa

Robert wchodzi do mieszkania Iwony, starając się nie narobić hałasu. Ona budzi się mimo to. Wyrwana ze snu, mówi na jego widok: „Wyglądasz na skonanego”, i z powrotem naciąga kołdrę po same uszy.

On myje się resztkami sił, potem, stojąc przy otwartej lodówce, wypija ćwierć litra maślanki na spanie. Z tapczanu dobiega już posapywanie, co oznacza, że Iwona też miała wyczerpujący dzień.

A cóż ją tak wyczerpało?

Opęda się od tej myśli. Kładzie głowę przy jej plecach, trąca nosem kark, obejmuje wąską talię i próbuje zasnąć - na próżno.

Zaczyna nieśmiało gładzić jej płaski brzuch.

Pierwsza fala, właściwie lekko rozkołysane drgnienie, wychodzi gdzieś spomiędzy ud i rozchodzi się po biodrach, by zgasnąć. Druga jest już silniejsza. Trzecia - sięga ramion. Ona odchyła na poduszce głowę i mruczy. On przeciąga palcami po jej wzgórkach, cofa dłoń, potem

wsuwa ją głębiej między ciepłe uda. Czuje krótkie napięcie w jej mięśniach, coś jakby słaby prąd. I zwilgotnienie skóry. Wprowadza dwa palce w najcieplejsze miejsce, najpierw delikatnie przeciąga w tę i z powrotem - centymetr po centymetrze - później zanurza się głębiej.

Jeszcze śpi, ale jej ciało się budzi. Najpierw czuje rozkoszne ciepło, po nim łaskotanie przechodzące w miły dreszczyk. Coś jakby wejście do gorącej, a zarazem orzeźwiającej wody. Jakaś jej część próbuje zanurzyć się w tym po szyję, inna - pozostać w puchowej otoczce snu.

Robert już trzyma ją od środka. Sen nie pęka nagle jak bańka mydlana, ale rozwiewa się, rozmywa, znika niby obłok w bezwietrzny dzień. Sam z siebie i bez żadnego „pyk!”. Nawet takiego cichego. Jego palce wędrują wśród wilgoci - z początku chaotycznie, potem jakoś tak... posuwiście i w końcu: po prostu mocno.

Soczysta śliskość, lepka i słodko-kwaśna jak wnętrze cytrusa, domaga się już zlizania, wypicia, natychmiastowego zjedzenia. Spełnienie nie może nie nadejść.

Czuje jego język najpierw w uchu - to, co wywołał, z początku jest tylko lekkim swędzeniem, ale po chwili przechodzi w uczucie, przed którym można się tylko schować - albo mu poddać. Jej ciało wybiera poddanie. Rozchyła wilgotne uda, przekręca się na wznak. Oczu jeszcze nie otwiera. Jego język - trochę szorstki, trochę wilgotny i ciepły - wędruje ku piersiom. Jedno leciutkie ugryzienie, po nim drugie - mocniejsze. Drapanie twardego zarostu. Gorąca, a po chwili już chłodna ślina. Odrobina potu w zagłębieniu ciała - zaraz zlizana. Oddech przyspiesza. Przyspiesza tętno. I jemu również zaczyna się spieszyć. Nie wysuwając dłoni spomiędzy jej warg, przysysa się do nich ustami - nareszcie! Ona unosi biodra, by mógł ją zjadać większymi kęsami. On liże, ssie, chłepce i kąsa, łapczywie, gorączkowo, coraz prędzej i mocniej. I długo. Potem ona czuje niespodziewany, silny chwyt na pośladku. Paznokcie wbijające się w jej napiętą skórę. Robi pierwszy w pełni świadomy ruch - już całkiem na jawie. Szuka jego erekcji: solidnej, gorącej. Twardej i jedwabistej. Otwiera oczy. Widzi właśnie to, co chciała zobaczyć! Przyciąga go niedelikatnie ku sobie i bierze w usta - bardzo głęboko, do końca, aż jej odbiera dech. Podciąga stopy i napiera krokiem na szorstką twarz. Drapanie, klucie... taaak... więcej drapania. On wdziera się w jej gardło. Ona z trudem wciąga powietrze nosem - ma zapach soli, rozgrzanego letniego piasku i agresywnej męskości. Woń odpychająca i pociągająca. Niebezpieczna, podniecająca, narkotyczna. Niebiański odór podnieconego samca.

Jej usta przyssane do granic bólu, jego nabrzmiała pała, pot spływający po skroniach i wszystko coraz szybciej, gęściej, goręcej... Musi wygiąć się w łuk, by go z siebie wyciągnąć

i sapnąć:

- Wypieprz mnie z tyłu!

Kiedy się przekręcają, są już mokrzy. Gdy wbija się w nią - nieostrożnie, nierówno i szybko - pot z jego twarzy skrapia jej plecy. Wchodzi głęboko, najgłębiej, jak się da, niecierpliwa, śliska dłoń szuka resztek miejsca, by też tam się wcisnąć, jego drapiąca broda zadaje ból jej ramieniu, szyi, policzkom. Łóżko zaczyna skrzypieć, on zaczyna syczeć i toczyć ślinę, ona jęczy po raz pierwszy.

- Do końca wał, do dna! Rżniiiij!

Sąsiedzi - jeśli hałasy ich obudziły - muszą mieć niezłe używanie.

* *
*

Sześć godzin później Robert budzi się ze smakiem starego kaptura w ustach. Nieduży pokój Iwony jest ciemny, żaluzje zasłonięte, a ona najwyraźniej już wyszła, bo ani z małej kuchni, ani z jeszcze mniejszej łazienki nie dochodzi żaden dźwięk. Próbuje przełknąć gęstą ślinę i uśmiecha się - jak powiadają - do własnych wspomnień z minionej nocy. Wstaje z tapczanu, idzie do kuchni, wyciąga z lodówki niedopitą maślanekę i kończy ją w łazience, sikając na siedząco.

Wraca do pokoju.

Iwona pewnie poszła do pracy - w końcu jest środek tygodnia. Za oknem całkiem jasno. Wybiera jej numer, ale ona rozłącza się po kilku sygnałach. Albo rozmawia akurat z klientem, albo po prostu nie chce gadać. No... i tak to właśnie się teraz porobiło.

Niewiasty, czyli że nie wiadomo, o co im chodzi.

Jest wpół do dwunastej.

Kamila też w pracy, Krzysio i Jasio pewnie sami w domu, ewentualnie u teściowej, na Podgórzu.

Wybiera numer.

- Kamcia...?

- Już wróciłeś?

- W nocy.

- Zachrypnięty jesteś. Ciężka droga?

- Jak cholera. Gdzie chłopcy?

- U mamy.

- Pojadę po nich, co? Zjedziemy do centrum, kupić wędkę.

- To mi nawet pasuje, bo jeszcze chciałam do kosmetyczki... Wasz wyjazd jest aktualny?

- No jasne. Tylko muszę odebrać wieczorem klucze od Damiana.

- Gdzie jesteś?

- U Iwony jeszcze.

- Mhm...

- Sam siedzę. Wyszła rano.

- Mam cię pożalować?

Robert przez krótką chwilę zastanawia się, co ma odpowiedzieć. Nie mówi nic.

- Nie zrobiła ci śniadanka? - Głos Kamili się ociepla. Takim tonem mówiła do chłopców, gdy byli jeszcze mali. Chociaż nie... nie dokładnie takim. Tym razem pluszowy tembr przesyty jest stalową nitką ironii. - Nie dała ci buzi?

- No... raczej... nie. Może upichcimy z chłopcami obiad na twoje przybycie.

- Będę po piątej.

- Pasuje. A co byś chciała dzisiaj zjeść?

Rozmawiają jeszcze minutę. Potem on zalewa sobie kawę, wkłada spodnie, buty, kurtkę i wychodzi na balkon z papierosem w ustach. Śnieg już nie pada, za białą zasłoną wysokich chmur pojawia się nawet coś na kształt słonecznej tarczy. Jednak to, co wysypało się z nieba przez noc, robi wrażenie. Takie zimy zdarzały się za komuny, teraz można je oglądać już tylko na czarno-białych zdjęciach.

To miało już nie wrócić, bo ociepla się klimat. A tu proszę! Wróciło. Nawet saneczkarze i narciarze się pojawili. Na biegnącej w dole ulicy Gagarina jakiś mężczyzna w seledynowej czapce przesuwa się na biegówkach. Ciągnie sanki, na sankach wiezie chłopczyka i psa. Pewnie pomykają w stronę lotniska aeroklubu - na otaczające je wzgórki.

Robert ogrzewa dłonie, przekładając ciepły kubek z lewej do prawej i na odwrót. Dym papierosowy i zamarzająca para z ust łączą się w szare kłęby. Zionie jak smoki z serialu, w którym dobrzy i źli rycerze walczą o żelazny tron.

Czeka cię w tym tygodniu szkoła przetrwania, człowieka. Trzeba będzie spakować najgrubsze rzeczy, koce, dużo skarpet na zapas, a przed wyjazdem kupić dla chłopców jakieś krople do nosa i witaminę C. Na wszelki wypadek.

Wchodząc do pokoju, wnosi śnieg, który powoli topnieje na dywanie. Włącza telewizor. Siada na brzegu łóżka. Konferencja poświęcona nocnym zatrzymaniom Skurwysynów właśnie się zaczyna.

Najpierw trzeba wysłuchać przydługiego politycznego wstępu rzecznika rządu. Maurycy Osmołowski staje za pulpitem i chwyta blat obiema rękami. Ktoś mu doradził, że w tej pozycji zademonstruje kontrolę nad sytuacją. Gość ma nie więcej niż czterdzieści lat.

Duże czoło, szerokie policzki, słowiańskie rysy. Dostyć chudy, niezbyt wysoki. Ktoś, kto może podobać się kobietom. Złośliwi dziennikarze piszą jednak o nim per Człowiek z Twarzy Podobny do Pięści. Może zazdrościć powodzenia. A poza tym facet, wcześniej wzięty adwokat, faktycznie jest politycznym bokserem. Twardym graczem, doświadczonym intrygantem, a przede wszystkim człowiekiem premiera od specjalnych poruczeń. Niejedną grandę w ostatnich latach udało mu się wyciszyć.

Teraz, stojąc na podeście u boku jak zawsze odstrzelonej Tamary Janickiej z Ministerstwa Sprawiedliwości, mówi szybko, gestykulując w sposób zdradzający i trening, i opanowanie. Patrzy prosto w kamerę. Tradycyjnie nadużywa słowa „mianowicie”. Całą jego wypowiedź można streścić tak:

Koalicyjne ultimatum posłanki Żarnowskiej było zagranie agresywnym, ale mieszczącym się w granicach demokratycznego porządku. Premier przyjął je ze spokojem i troską. Odpowiednie służby wykazały pełną mobilizację niezależnie od wszelkich politycznych nacisków. Dwa tygodnie, jakie upłynęły od zamachu, to rzeczywiście dużo, lecz nawet jedna godzina z tego czasu nie została zmarnowana. Zarówno konstruktywne sugestie, jak i niewybredna krytyka ze strony opozycji zostały wysłuchane i wzięte do serca, a wszystkie wątki sprawy i wszelkie, nawet najbardziej ryzykowne teorie są sprawdzane.

Robert ma wrażenie, że słowa o „ryzykownych teoriach” dotyczą rewelacji, które sam przekazał Kopcińskiemu, ale to chyba niemożliwe, by referat Pawła był analizowany aż tak wysoko.

Chociaż właściwie... czemu nie?

- Przyjęte w śledztwie założenia - te mianowicie, że zamach jest dziełem rasistowskiej organizacji terrorystycznej znanej państwu od jakiegoś czasu pod nazwą Jedyni Synowie Polski - znalazły potwierdzenie w ujawnionych dowodach, mianowicie i przede wszystkim w kwestii broni.

Rzecznik zawiesza głos - jak należy - w najciekawszym momencie i ustępuje miejsca przy mikrofonie znanemu już z poprzednich konferencji pułkownikowi Drwęckiemu z Wydziału Działań Antyterrorystycznych.

Newsy „made in ABWehra” są następujące:

Żadna z zatrzymanych osób nie przyznaje się na razie do winy, ale w efekcie przeszukania mieszkania wynajmowanego w Warszawie przez zatrzymanego Jarosława M. znaleziono materiały pirotechniczne identyczne z substancją, której eksplozja spowodowała śmierć Mirosława R. pseudonim „Kapa” - domniemanego autora „listy kibica”.

Na szybie auta użytkowanego przez zatrzymaną do dyspozycji prokuratury Anetę

K. odkryto nie do końca zdrapaną słowacką winietę drogową kupioną po pierwszym lutego bieżącego roku. Może to wskazywać na podróż w kierunku granicy węgierskiej. Trwają - jak to określa pułkownik - czynności podjęte wspólnie z Interpolem, których celem jest potwierdzenie przejazdu samochodu, ustalenie trasy i ewentualnych pasażerów. A także zebranie wiedzy pozwalającej połączyć Anetę K. z zabójstwem prezesa Matera.

Teraz największy hit: karabin snajperski, który znaleziono na terenie opuszczonej nieruchomości sąsiadującej ze stadniną koni Reinharta T., odpowiada kalibrem pociskowi wyjętemu z głowy Leskiego.

Czas na pytania dziennikarzy.

Widać, że reporterzy i sprawozdawcy z mikrofonami nie uzgodnili przed konferencją, kto ma się odezwać pierwszy, bo od razu zaczynają się przekrzykiwać. Drwęcki stoi spokojny i wyprostowany, słucha, nic nie mówi. Przywrócenie porządku biorą na siebie Człowiek z Twarzy Podobny do Pięści i białowłosa Tamara. Pierwsze pytanie pozwalają zadać wysłannikowi telewizji publicznej. Ten nie zna się na broni snajperskiej, dlatego nie pyta ani o karabin, ani tym bardziej o materiały wybuchowe, lecz o zdrowie dwójki ocalałych z zamachu nad Krosinem - notariuszki i sędzi.

Chce się wydać dziennikarzem o wielkim sercu i ludzkich odruchach.

- To pytanie powinien pan, redaktorze, skierować raczej do szpitala, nie do nas, ale ja, naturalnie, mogę odpowiedzieć. - Janicka uśmiecha się promiennie, jej wyszminkowane usta błyszczą w świetle halogenów skierowanych na podest. - Pani notariusz Kawaska czuje się dobrze, jej zdrowiu nie zagraża żadne poważne niebezpieczeństwo. Pani sędzia Jasińska-Chadib, niestety, pozostaje nieprzytomna. Z tego, co wiem, jej obrażenia są...

Robert wyłącza telewizor.

Dzwoni do Damiana.

Czekając, aż kolega odbierze, myśli o tym, że teoria Pawła, choć szalona, miała w sobie jakąś niesamowitość. Czar wielkiego, tajnego sprzysiężenia złych ludzi. A prawda okazała się jak zwykle bardziej banalna, choć niewiele mniej sensacyjna. Bo jednak polityczny zamach terrorystyczny... to jest coś!

Irlandczycy, Baskowie, Czerwone Brygady... a teraz Jedyni Synowie Polski. Wyłapani po dwóch tygodniach.

Każdy ma taką Al-Kaidę, na jaką zasłużył.

* *
*

Stukanie do drzwi wyrywa Pawła z najgłębszego snu. Z dyżuru w radiu wyszedł nad ranem skonany. W nocnym autobusie próbował się zdrzemnąć, ale gdzieś na wysokości

Łazienek para chuliganów w za dużych czapkach zaczęła na jego oczach maltretować nastolatka. Wstał, najpierw rzucił wiązanę, a kiedy to nie pomogło, po prostu dał w ryja jednemu z napastników. Natychmiast schowali się w drugim końcu autobusu i na najbliższym przystanku już ich nie było.

Napadnięty chłopczyna się popłakał. Wysiadł, tak jak i Paweł, na Czerniakowskiej, okazało się, że mieszka w blokach przy Zwierzynieckiej i jeszcze chodzi do gimnazjum. Ledwo przestał się bać tamtych dwóch, a już popadł w strach przed swoim ojcem. Miał być w domu o dziesiątej wieczór.

- Stary się wkurwi na maksa i na pewno mi wyjebie - powiedział.

Odprowadzając dzieciaka wzrokiem, Paweł pomyślał, że pewnie lańsko spuszczone tej nocy jest chłopakowi zapisane w gwiazdach.

Dwa kilometry piechotą od Zwierzynieckiej do Polskiej w zimnym wietrze i przez nieodśnieżony odcinek Bluszczańskiej wystarczyły, by zeszła z niego cała adrenalina po bójkę i wróciło, ze zdwojoną mocą, zmęczenie. Gdy dotarł do łóżka, padł. Zdążył zdjąć sweter i T-shirt, ale skarpetek i spodni już nie. Teraz, przynaglony natarczywym, mocnym stukaniem, rusza półnagi ku drzwiom, odgarniając dredy z twarzy. Czy to możliwe, żeby Majka tak waliła? Zapomniała klucza? Ale ona nigdy tak nie łomoce. Coś się stało?!

* *
*

Maja, po całonocnym surfowaniu w sieci, budzi się w pustym domu. Próbuje jeszcze dzwonić do ojca, lecz ten nie odbiera. Pewnie zdążył już wyłączyć telefon przed wejściem do samolotu. W kuchni zostawił śniadanie: kanapki pod folią i sałatkę w miseczce. I kwiatek położył - chińską różę. Jest jeszcze kartka z napisem: „TAMTĄ SPRAWĘ NATYCHMIAST ZOSTAW. BŁAGAM CIĘ. KOCHAM J”.

Chowa jedzenie do wielkiej lodówki, karteluszek zgniata w kulkę - i do śmietnika. Nie chce jej się jeść śniadania. Chce się jej szybko do Pawła. Wciąga dżinsy najprędzej, jak potrafi. Wychodzi przed dom. Toyota nie odpala. Dlaczego ja, głupia, nie wjechałam do garażu? I co teraz?!

Dzwoni po taksówkarza, by uruchomił jej silnik z pomocą swojego akumulatora i kabli. Stojąc w krótkim płaszczyku - co prawda z owczej wełny, lecz tylko do pół uda - marznie, czekając, aż się to wszystko skończy.

Gdy wreszcie jedzie na Polską, dzwoni Beata Badowska, jedna z jej najbliższych koleżanek. Przez ostatnie lata nie spotykały się często, lecz zawsze w momentach ważnych dla nich obu. Ostatnim razem jadły wspólnie kolację po tym, gdy były facet „Badzi” przysłał jej pozew z żądaniem częstszego widywania się z córką. Teraz Beata chce opowiedzieć, jak

sprawa się zakończyła, ale ledwo zaczynają rozmowę, z toyotą Majki zrównuje się radiowóz. Majka natychmiast rzuca telefon, lecz gliniarz i tak wyciąga przez okno staroświecki lizak. Każe zjechać na bok. Kończy się na stu złotych i dwóch punktach. Ludzki pan. Daje jeszcze do zrozumienia, że robi grzeczność, nakładając najniższą możliwą karę.

* *
*

Paweł w pierwszej chwili nie może otworzyć drzwi, ponieważ zamknął je nocą na klucz, a potem go wyjął, by wracająca ewentualnie Majka mogła wsunąć swój od przeciwnej strony.

Gdzie ja ten klucz zostawiłem?

- Maja, to ty?!

Zza drzwi nie dochodzi żaden dźwięk. Ale psy nie szczekają, a na obcego przecież by się darły. Co tu się dzieje?

Bum-bum-bum!

Nie, no... to na pewno nie jest Maja, za mocne łomotanie, to nie jej styl. Jakiś facet nerwowy, zaraz mi drzwi rozpierdyka...

Gdzie klucze?!

- Chwila!! Moment!!

Stukanie ustaje. Kluczy nigdzie nie widać. Miotając się po pokoju, Paweł uchyla zasłonę i patrzy przez okno na ganek. Nikogo nie widać. Poszedł sobie. Ale dlaczego psy nie szczekają? Ich też nigdzie nie widzi.

Znów pukanie. No zajebicie... Co jest dziś grane? Niewidzialny człowiek na progu stoi?!

Są wreszcie klucze - cztery na jednym kółku i doczepiony do nich pendrive. Cały ten pęczek leży sobie spokojnie na parapecie.

Wewnętrzny impuls „nie otwieraj!” szarpie Pawłem niemal fizycznie, kiedy przekręca zamek. Ale jednak robi ten obrót - bo co...? Ma schować się pod podłogę? Przed czym? Przed kim?

Drzwi, pchnięte od tamtej strony z niewiarygodną siłą, uderzają go tak, że wpada tyłem do toalety.

* *
*

Najpierw akumulator, potem ten mandat, a teraz kolejna fatalna niespodzianka. Coś, co jeszcze wczoraj było wjazdem do jej i Pawła ogródka, jest wypiętrzoną przez jakiś spychacz białą górą, wysoką na ponad półtora metra. Gdy się przedziera przez tę zimną kupę, śnieg sypie jej się wierzchem w niskie, sportowe buty. Furtka szeroko otwarta. Dziwne. Koty,

widząc panią domu, przybiegają w zabawnych podskokach. Miauczą w charakterystyczny sposób, który już nauczyła się rozpoznawać jako wołanie o żarcie.

Paweł ich nie nakarmił? Śpi po dyżurze? Nie... kręcił się już, bo przecież widać ślady. Zupełnie świeże. I coś ciemnego w śniegu przy progu. Kabel od zasilacza laptopa. Maja podnosi go dłonią bez rękawiczki, otrzepuje i naciska klamkę. Otwarte.

- Paweł!?

Cicho. Ciemno. W pierwszej chwili nic nie widać.

Dwa koty jednocześnie trą o jej łydki. Oczy przyzwyczajają jej się do mroku.

Pierwszy, zaskakujący obraz - oberwana umywalka widoczna przez na wpół otwarte wejście do łazienki. Sama spadła? Taka była balanga?

Drugi obraz: gryzmoł na ścianie korytarzyka - jakieś niezrozumiałe graffiti.

Złe przeczucie.

Szkoło pod nogami. Maja czuje strach. Dlaczego jest ciemno? Dlaczego Paweł trzyma zaciągnięte zasłony? Kto tu jest?

- Paweł!!!

Dziwne, chore jakieś miauknięcie kota. Szmata od nogami. But Majki lepi się do podłogi. Wylany olej?

To nie jest szmata.

To jest nasz pies!

Przejechał go samochód?

Dlaczego leży w przedpokoju?!

To nie jest olej.

- Paaaweeee!!!

Chrupnięcie większego kawałka szkła pod podeszwą buta, stukot spadającej na ziemię ładowarki, brzęknięcie kluczyków od toyoty, otwarte oczy Pawła siedzącego, a właściwie przewieszzonego przez krzesło. Jego przekrzywiona, jakby przetrącona głowa, nagi tors i mnóstwo krwi - w półmroku czarnej. Krwawe cięcia jak pręgi po biczowaniu odznaczają się ciemnym karminem na piersi, brzuchu i bezwładnie wiszących rękach.

- Boooooże!!

Drugi, nieżywy pies zawieszony na lampie głową w dół. Brunatny sopel kołyszący się pod rozwartym pyskiem. Poderżnięte gardło, wydłubane oczy.

- Nie! Nie! No... nieeeee!!! Dlaczego?! Nieeeee!!! - Maja krzyczy wysokim, nieswoim głosem, którego sama nie słyszy. Wychodzi z domu tyłem, potyka się i przewraca w śnieg. Wełniana, luźna czapka w kolorze dojrzałego grejpfruta zsuwa się jej na plecy. Choć

obie dłonie wpadły w puch po łokcie i teraz śnieg sypie się do rękawów, Maja nie czuje chłodu. Nabiera garść zimnej białej masy i wkłada sobie w usta. Przeciera nią twarz, jakby chciała zmyć z siebie widok sprzed chwili. Dopiero teraz rejestruje wilgoć i kłujące zimno.

Policja... Telefon... Wychodzi - wciąż tyłem - przez niedomkniętą furtkę. Nie spuszcza wzroku z wpółotwartych drzwi wejściowych.

Za furtką znowu się potyka, siada okrakiem w zaspie. Ślady. Zasypane śniegiem ślady. Poszli stąd już wcześniej, gdy jeszcze padało. Nie ma ich w środku. Na pewno nie ma... Policja... Telefon...

Jest w samochodzie.

A kluczyki?

Gdzieś daleko na ulicy odzywa się klakson samochodu. Nie... nie daleko. Tutaj... tylko jakby coś tłumi dźwięk w lewym uchu. Musiałam się uderzyć. Maja przykładła do czoła rękę, aby osłonić wzrok przed nagle wychodzącym zza mlecznych chmur słońcem. Widzi swój mały samochodzik i jakąś bordową półciężarówkę częściowo zasłoniętą pniami drzewa i słupem latarni. W środku chyba dwóch mężczyzn. Albo mężczyzna i kobieta. To oni?!

Znów trąbienie.

Na furgonetce jest napis. „Kredyty - chwilówki - bez pocieszycieli”.

Dlaczego kredyty?

Jacy „pocieszyciele”?

Staje na obie nogi, opierając się o zimny metal furtki. Kierowca samochodu ją widzi. Kolejny raz naciska klakson.

Krzyczeć? Schować się?

Mężczyzna wychodzi z szoferki. Podchodzi. Na głowie ma kominiarkę zrolowaną wysoko nad czołem. Dlaczego idzie tak szybko? Coś mówi. Dlaczego źle słyhać? Czego on chce? Maja wyciąga przed siebie dłoń w czytelnym geście: „Nie podchodź!”.

-...on nie jest pani?! To czyj?!

- Jaaaaa... Ja paaanaaaa...

- Co pani mnie? Co pani?! Twój wózek jest ten, czy czyj jest?!

- Jaki wózek?

Człowiekowi z samochodu zmienia się twarz. Był niecierpliwy i rozzłoszczony, a teraz jest już tylko zdziwiony. Patrzy Majce w oczy.

- Coś się pani stało?

Znowu klakson. Głośniejszy od poprzedniego. Za furgonetką teraz stoi żółto-czerwony autobus.

- Niech pan zadzwoni na policję... - Majka mówi to wreszcie wyraźnie i głośno. Potem zaczyna wymiotować.

11.

Wtorek, 17 lutego; popołudnie i wieczór

Kolejne osiem godzin Maja Szalawska spędza w odrętwieniu i oczekiwaniu. Najpierw w policyjnym furgonie, później w wielkim gmachu pełnym zakręcających we wszystkie strony korytarzy, ciemnych klatek schodowych i otwieranych elektronicznie drzwi. Kilkanaście razy prowadzą ją z pokoju do pokoju - raz chodzi w asyście umundurowanej policjantki, innym razem w towarzystwie młodego chłopaka w dresie. Pięć razy opowiada to samo, lecz na swoje pytania odpowiedzi nie słyszy. Jeden z policjantów ponad dwie godziny wypisuje wielostronicowy protokół, inny przynosi jej do podpisu coraz to nowe „pouczenia” i ”poświadczenia”.

Przez pół godziny ogląda na ekranie zdjęcia mężczyzn w różnym wieku, powtarzając: „Nie znam”, „nie widziałam”, „nigdy tu nie przechodził”. Potem musi oświadczyć do protokołu, że dwie tabletki extasy zapakowane w mały, foliowy woreczek, który jej pokazują, nie należą ani do niej, ani do Pawła. I nigdy nie widziała, aby w domu leżało coś takiego. Nie, nie jest uzależniona od żadnych substancji psychoaktywnych. Paweł też nie był.

Czy to możliwe, że tabletki zostawili ci, którzy napadli Pawła?

Brak odpowiedzi.

Tak, zgadza się na badanie krwi.

Kolejny korytarz, przejście przez wewnętrzny dziedziniec, kolejny pokój - tym razem niewielkie ambulatorium. Znowu czekanie. Chce jej się spać, ale gdy siedząc na metalowym taborecie, zamyka oczy, czuje mdłą wirowanie w brzuchu i głowie.

Jedyną sensowną rozmowę odbywa z łysiejącym od czoła, niskim policjantem ubranym w czekoladowy garnitur i czarne, zamszowe buty. W słabo oświetlonym korytarzu, gdzie kazali jej czekać na kolejnego funkcjonariusza, nie widzi, co tamten ma wypisane na wiszącym u szyi identyfikatorze, ale intuicja podpowiada jej, że to ktoś, kto pracuje głową.

- Może pan na chwilę przy mnie usiąść? - Maja zagaduje go pierwsza.

- Źle się pani poczuła? Polecę, żeby ktoś przyniósł wody.

- Nie o to chodzi. Jest już prawie siódma...

- Niedługo będzie pani wolna. Ostatnie czynności... Jeszcze identyfikacja - musi się odbyć z powodów formalnych, ale niekoniecznie dzisiaj. Zaraz dostanie pani do podpisu

wyniki badania. Jest pani czysta.

- Ja wiem... czysta. Ja się nie skarżę. Tylko niech pan mi powie... kto to mógł zrobić?

- Nie mogę na tym etapie... Pani zostanie świadkiem...

- Wiem, to mi już powiedzieli. Ale niech pan mi powie... bardzo proszę... dlaczego zabili? Dla tabletu, starego komputera i komórki? I dla radia? Przecież to wszystko... pana kolega mnie pytał o wartość... To były jakieś, kurka, bezwartościowe śmieci...

- Wiem.

-...i wyszło razem tysiąc dziewięćset...

- Proszę pani... Jednego chłopca tam, na Siekierkach, zabili w zeszłym roku dlatego, że nie chciał dać dziesięciu złotych na papierosy. Bo nie miał. Przebili mu szyję... nożem - jak pani narzeczonemu. Miał szesnaście lat. A sprawcy po siedemnaście.

- Paweł ma urodziny w kwietniu. Miał.

- Niech pani nie płacze.

- Nie płaczę. To byli jedni z tych, których dziś oglądałam?

Policjant w pierwszej chwili nie rozumie pytania. W jego kieszeni odzywa się brzęczek telefonu, wyjmuje komórkę, patrzy na wyświetlacz, przykłada aparat do ucha i rzuca krótkie: „Zaraz!”. Potem przez moment spogląda prosto w podpuchnięte, jasne oczy Majki. Zbiera myśli.

- Pani chodzi o to zabójstwo małego? Nie... nie ci. Innych pani pokazywaliśmy. Tamci już siedzą.

- Więc to po prostu tak... złodzieje zwykli?

- My ich złapiemy, proszę pani. Zawsze łapiemy. I wtedy się okaże, kto to był. Niech pani będzie spokojna.

- Oddacie mi telefon?

- Oddamy. Proszę o jeszcze chwilę cierpliwości. Klucze od domu na razie zostaną do naszej dyspozycji. Pani ma gdzie nocować?

- Pana kolega już pytał. Mam.

* *
*

Obiadokolacja we czworo, a potem pakowanie plecaków Krzysia i Jasia sprawiają, że i Kamila, i Robert czują się, jakby wrócili do przeszłości. Znowu rozmowy o chłopięcych gadżetach, o szczoteczkach do zębów, skarpetkach do zacerowania i innych do wyrzucenia, przekładanych wizytach u lekarza i o tym, co słyhać u dziadków. Krótki spór o chipsy: Kamila kupiła cztery paczki, Robertowi foliowe zgrzewki nie pasują do ekwipunku prawdziwych traperów, ale zdanie dzieci przeważa. Paprykowe i cebulowe chrupki pojedą

na wycieczkę razem z konsolą do gier, Krzysiwym tabletem, komórkami, ładowarkami, laptopem, poklejonym plastrami starym nintendo i całym tym chłamek, który nie przystoi ekstremalnym podróżnikom jadącym na zamrożone łono natury.

- Jeszcze mi będziesz dziękował. - Kamila upycha w bocznej kieszeni najmniejszego plecaka jednorazowe chusteczki. - Papier toaletowy daję tu, na wierzch. I szczyrek. Jasieniek, popatrz! Tu ci go wkładam, żebyś nie zgubił, synuś... tak?

Synuś odwraca się na moment od telewizora i rzuca wyuczone: „Tak, mamo”. Od pół godziny obaj bracia wyjątkowo zgodnie śledzą perypetie łowców tuńczyków, a może to jakieś inne ryby, dość, że rzecz dzieje się na morzu i na kanale przyrodniczym. To już postęp w stosunku do tego, co oglądali poprzednio. Od kiedy Robert wprowadził się jedną nogą do mieszkania byłej żony, chłopcy musieli uznać kilka nowych zasad. Nie jemy przed telewizorem, kreskówki nie oglądamy wcale, a pozostałe programy - najwyżej dwie godziny dziennie. I nie rozrzucamy ubrań po podłodze. Gdyby tak można było jeszcze zadekretować niedokuczanie sobie nawzajem, nieobgryzanie paznokci i mycie zębów bez kilkakrotnego przypominania... Tu jednak dochodzący tatuś poniósł klęskę.

Kilka minut przed siódmą dzwoni Iwona.

Rozmowa jest krótka i chłodna, jakby ich ostatnia nocna przygoda została wzięta w nawias. Jakby się nie zdarzyła. Robert po prostu składa meldunek: jestem u Kamili, pakuję Krzysia i Jasia na wyjazd, wieczorem mam spotkanie z Damianem, by odebrać klucze do gospodarstwa.

- Rano wyjeżdżamy - mówi do słuchawki - przenocuję z chłopakami. Co u ciebie?

- Straszliwy młyn mam. Będę zajęta do wieczora.

- Mogę podjechać i podwieźć cię po pracy, pożegnamy się przynajmniej. - On stara się, żeby oferta zabrzmiała wesoło, naturalnie i zachęcająco.

- Nie musisz. - Jej nagle ochłodzony i jakiś taki... nieobecny ton budzi w Robertcie nowe podejrzenia. Ale może Iwona po prostu rozmawiając, coś jednocześnie robi. - Możesz przyjść do mnie, jak już wrócicie. Kamila z wami nie jedzie?

- Nie... mówiłem ci przecież. Tylko we trzech.

- Wreszcie zrealizujesz założony cel.

- Czuję lekką kpinę.

- Nie bądź zbyt czujny. Naprawdę jestem ciekawa, jak to zniesiesz.

- Jaaa?!

- O twoich synków jakoś mniej się martwię. - W głosie Iwony rozbrzmiewa coś cieplejszego. - Oni poradzą sobie na pewno. Natomiast ty... tyle dni bez pracy... tu może być

problem.

- Najważniejsze, że wszyscy wokół wierzą w chłopaków. Spakowali cały sklep elektroniczny.

- A ty co spakowałeś?

- Kilka książek. W jednej znalazłem twoje zdjęcie. To z basenów. Z września.

- Zdjęcie Kamili też bierzesz?

- Ghrmm... No dobra. Rozumiem, że koniec rozmowy?

-...

- Też cię pozdrawiam.

- Pa!

Chowając komórkę do kieszeni, Robert przeciera ciepłe czoło zmarzniętą ręką. Kamila krząta się po mieszkaniu, chłopcy kłócą się o coś głośno, a on, na balkonie, przypala papierosa od papierosa. Co się porobiło z tobą i Iwoną, człowieku? Kurwa mać... Przecież ona od początku wiedziała, że jest Krzysio i Jasio, a więc i Kamila. I nie przeszkadzało. A teraz przeszkadza... Albo to pretekst. Może celowo obniża temperaturę związku. Nocą przemówiło jej ciało, a teraz... Jakby cię chciała przeformatować z kochanka na przyjaciela.

Może to i dobry pomysł?

Mijają te słodkie, pierwsze lata i nagle widzimy się takimi, jacy jesteśmy. Iwona ma czarne włoski na przedramionach i plecach. Czy wcześniej ich nie miała? Miała. Lubi ponarzekać bez wyraźnego powodu. Czy kiedyś było inaczej? Nie było. Wygłasza czasem sądy żywcem wyjęte z tabloidu. Zawsze to robiła i sama mówiła od początku: „Filozofii po mnie nie oczekuj, misiaczku, ja jestem dziewczyną stąd”. Z bloku na Bielanych.

Sam teraz narzekasz...

Może byś się lepiej zastanowił, jak ona cię widzi? Przyjeżdżasz raz na tydzień, dobierasz się do niej w środku nocy, a potem większość dnia spędzasz u Kamili. Kwiatów nie przynosisz, o urodzinach zapominasz, kiedyś potrafiłeś wysłać słodkiego SMS-a, ale już ci się nie chce. Brzuch ci rośnie, golisz się raz na tydzień, śmierdzisz, człowieku, fajkami... Masz w dupie, co o tobie myślą. Okej - zawsze miałeś, ale Iwona była ważna. Podniosłeś się przy niej, a teraz miodowe lata minęły i wracasz, bracie, w utarte koleiny. Obowiązki i jeszcze raz obowiązki. Kamila po prostu lepiej to znosi. Dlatego dryfujesz w jej stronę.

No... może nie tylko dlatego.

Jak powiedział Galper?

Spełnianie powinności też jest zaspokajaniem pragnień.

Jakoś tak.

* *
*

Wyciągnięcie toyoty z policyjnego parkingu okazuje się ciągiem kolejnych, nużących formalności. Rachunek za lawetę jest piątym z kolei dokumentem, jaki odrętwiała i zubożniała Majka odbiera na komendzie. Nie ma nawet siły protestować czy pytać, z jakiej racji każą jej wyłożyć prawie dwieście złotych.

Wkłada na głowę wełnianą czapkę, jeszcze cuchnącą wymiocinami, kilkoma ruchami upycha pod nią niesforne kosmyki włosów, wsiada do samochodu i w tym momencie widzi, że ktoś tu grzebał. Nawet nie starali się tego ukryć. Poutykane wcześniej w schowkach i na półkach drobiazgi - ochronna szminka do ust, klucze do domu w Piasecznie, pilot do bramy, cień do powiek, którego niedawno szukała, słuchawka telefoniczna na kablu, wizytówka od Pawła, biblioteczny identyfikator - wszystko to leży teraz na siedzeniu pasażera w srebrno-czerwonym pudełku, chyba po damskich butach. Maja rzuca na stosik drobiazgów swój smartfon. Policjanci oddali telefon wyłączony, a ona chyba na razie nie znajdzie w sobie dość sił, by go włączyć. Boi się nieuchronnej rozmowy z rodzicami Pawła, których policja na pewno zdążyła już powiadomić.

Może nawet nie chodzi o to, że się boi... Po prostu za dużo już tego dzisiaj... za wiele.

Wszystko stało się jakieś puste, nieważne, pozbawione zapachu, koloru i ciężaru. Wszystko jest umowne - nawet te samochody i budynki wokół... Zamiast nich można by poustawiać tablice jak w elżbietańskim teatrze: „Tu stoi auto”, „To jest dom”. I wstawić wszędzie wielkie szare, kartonowe pudła z Chin. Puste. Niczego by to nie zmieniło. Całe jej życie zmierzało do tego jednego, dzisiejszego dnia. Wszystko, co przeżyła i co robiła, do niego właśnie prowadziło... i tutaj droga się urywa. Dalej tylko sucha kraina.

Teraz, gdy jest za późno, rozumie całym ciałem, że ta miłość miała sens.

W niej była, nią żyła, dla niej się działy wszystkie zjawiska, były sobie różne rzeczy, rozkwitały myśli i słowa... A teraz Paweł leży, półnagi, w metalowej szafie, a ona siedzi za kierownicą wyziębionego samochodu. Skostniała i pusta w środku - jak tykwa.

Zapala silnik. Tym razem tłoki ruszają za drugim podejściem. Pilnujący bramy wyjazdowej funkcjonariusz w puchowej, odblaskowej kamizeli założonej na mundur nie chce jej wypuścić bez jakiegoś papierka. Maja podaje mu przez uchylone okno kolejne z zebranych przez ostatnie godziny kwitów, ale żaden nie jest tym właściwym, uprawniającym do przekroczenia szlabanu.

- Proszę pana, ja jestem strasznie zmęczona. Dzisiaj znalazłam martwego człowieka, którego bardzo kochałam. Czy pan mi każe spać na tym parkingu?

- Pani z tej sprawy na Polskiej?

- Tak. Z tej.

- Pani jest świadkiem?

- Tak. Byłam.

- To ja zadzwonię do zabójstw.

Posterunkowy obraca się na pięcie, w ostrym świetle latarni nad bramą błyszczą zielonkawe pasy na jego kamizeli. Wchodzi do dyżurki o wysokich szybach pokrytych szronem, nie wraca minutę, dwie, trzy... Maja nie gasi silnika.

Cztery minuty, pięć... Na szybę samochodu zaczyna padać śnieg z deszczem. Nagle wieczorne ocieplenie... Jakiś samochód staje za nią i mruga światłami. Mundurowy wreszcie wychodzi z portierni. Ma w ręce papier na plastikowej podkładce. Staje przed maską toyoty, coś pisze - pewnie notuje numery - potem podchodzi do okna i podaje Majce żółty najtańszy długopis.

- Pani mi jeszcze pokaże dowód osobisty, tutaj się podpisze i można jechać. - Wręcza przemoknięty formularz.

Maja bazgrze nieuważnie swe nazwisko, wrzuca oddany dowód do pudełka z drobiazgami i odjeżdża bez pożegnania z policjantem.

Dojazd do domu ojca zajmuje jej prawie godzinę.

Przed bramą willi chwilę grzebie w kartonie po butach, wyrzucając z niego kolejne przedmioty w poszukiwaniu pilota. Jest. Wysoka, stalowa brama chowa się w mokrym ceglany murze zwieńczonym kamerą na obrotowym wysięgniku. Podjazd pod gankiem jest starannie odśnieżony. Ogrodnik zrobił swoje i poszedł.

Kamera robi obrót.

Ludzie nadal wiodą swe naturalne żywoty. Ludzie, maszyny i wszystko inne... Sklepy sprzedają mleko, dzieci odrabiają lekcje albo się bawią, leśne wróble szukają pożywienia. Każda istota i instytucja działa napędzana własnym silnikiem i motywem. Jej silnik zgasł.

Przejeżdża przez posesję, zatrzymuje auto dwa kroki od drzwi garażu. Przez chwilę wpatruje się w telefon i całą resztę rzeczy na siedzeniu. Do czego mi to wszystko? Zaczyna płakać. Nie ociera łez. Pozwala, by popłynęły po policzkach, szyi, obojczykach. Dopiero po kilku minutach, pociągając głośno nosem, bierze pod pachę pudełko i wysiada, zatrzaszkując z impetem drzwi auta. Ponownie wciska pilota od bramy i czeka, aż rozlegnie się charakterystyczny dźwięk oznaczający zapadnięcie zamka. Sprawdza jeszcze boczne wejście w płocie - też jest zamknięte.

Ociera oczy długim rękawem płaszcza. Poprawia spadającą na oczy czapkę. Jak mogłam ochlapać rzygiem swoje ulubione nakrycie głowy? Muszę wziąć się w garść. Dom

mojego ojca będzie moją twierdzą. Na Polską nie wrócę. Już nie ma po co.

Przekręca klucz w drzwiach, zamyka je za sobą na dwa razy i wchodzi do przestronnego holu oświetlonego lampką nad alabastrowym popiersiem. Nie zdejmując butów, mija salon, łapie za ciężką poręcz szerokich schodów i idzie prosto do swojego pokoju na górze. Tam stawia pudło przy łóżku. Kładzie się na pościeli twarzą w dół.

Znowu zaczyna płakać. Łzy wsiąkają w kolorowe makówki.

Zasypia.

* *
*

Budzi się niecałą godzinę później poderwana strachem. W dachowe okno nad głową bębnią wielkie krople deszczu. Gdzieś między płucami z trzewiami wiruje nieposłuszny jej wentylator. Czuje się jednocześnie skonana, przerażona, przeziębiona, rozpalona i ponownie bliska wymiotów. Która godzina? Widzi - jak filmowy obraz rzucony na ścianę - zakrwawionego Pawła na krześle. I wiszącego psa. Jeszcze straszniejszego niż ciało człowieka.

Trzeba zadzwonić do ojca... Gdzie on teraz jest? Gdzie tym razem poleciał?

Myli się, wklepując PIN. Palce drżą jej jak po południu, kiedy składała pierwsze podpisy pod protokołami. Kolejna próba. Numer prawidłowy.

Siedem nieodebranych połączeń. W tym matka Pawła.

Nie... tylko nie to. Jeszcze nie.

Najpierw trzeba zadzwonić do papy.

Długo czeka na sygnał, potem słucha nieznanego sobie melodii. Nagrany głos informuje w jakimś skandynawskim języku, a później jeszcze raz - po angielsku - że abonent nie odbiera.

No to do mamy. Nie rozmawiały... nawet nie pamięta jak długo. Bardzo długo. Ale to teraz nieważne...

Sygnał. Jeden, drugi, trzeci... Połączenie przerwane.

Dlaczego się teraz właśnie rozłączasz, moja rodzicielko?! Nie chcę być dzisiaj sama. Nie dzisiaj. Boję się.

Może zadzwonić do Beaty?

Koleżanka tym razem zgłasza się bez problemów:

- To ty, Majka?

- Co robisz?

- Przy łapie sobie siedzę, na fejsiku. A coś się stało od wczoraj? Bo głos masz...

- Chciałam cię trochę przeprosić, że wczoraj... nie mogłam się potem dodzwonić

do ciebie, sieć padła czy coś... Mogłabyś do mnie przyjechać?

- Masz bardzo dziwny głos.
- Dziwnie się czuję.
- Dziwnie?
- Fatalnie.
- Co się stało?! Mów mi tu zaraz, ale szybko!
- Przyjedź do mnie.
- Teraz? O jedenastej?
- Tak.
- No... dobra. Tylko wiesz, że ja nie bardzo mam czym.
- Zapłacę za taksówkę... Proszę.
- Nie możesz powiedzieć zaraz?
- Nie mogę.
- Dobra... zbieram się. Jesteś u Pawła?
- Jestem u ojca. W Piasecznie. Pamiętasz, jak tutaj się dojeżdża?

Przyjaciółki rozmawiają jeszcze pół minuty. Maja stara się nie rozplakać. Beata obiecuje przyjechać przed północą.

Coś trzeba zrobić przez ten czas.

Kawa?

Może lepiej butelka wina z piwniczki.

Zejsć sama na dół? Nie.

Jakąś książkę poczytać?

Albumy i mapy na półkach w wielkim pokoju dziennym papy. Muszla - pamiątka z plaży w Libanie. Wspólne zdjęcie z mamą.

Otwiera na chybił trafił *American Dreamers* Michaela Kazina. Czyta na stojąco kilka linijek, ale nie potrafi się skupić na angielskich słowach. Komórka dzwoni. To znowu matka Pawła.

Może ona też nie chce być sama? Dlaczego nie mogę odebrać? Znowu obrazy. Pies jak mokra ścierka, ten bazgroł na ścianie. Może on coś oznaczał? Szum... narastający szum pod czaszką. Chwytaj się innych myśli, innych wspomnień... czegokolwiek. Nie pozwól, by ten szum tobą owładnął...

Nie da się. Nie ma innych wspomnień. Jest tylko Paweł. Ale nie ma Pawła.

Fatalny, niekończący się dzień. Policjant-głupek pochylony nad oporną klawiaturą, policjant w radiowozie, policjant przy szlabanie i ten najmądrzejszy z nich - w czekoladowym

garniturze. Pytania. Głupie protokoły, szpargały. Biurokraci. Nie złapią morderców. No i co z tego? Dlaczego zabili? Dlaczego ukradli stary komputer? Przecież to się ciężko wynosi i na pewno jeszcze ciężiej sprzedaje. A Paweł nie byłby takim idiotą, by stanąć przeciw bandytom z nożem i bronić paru gratów za cenę życia. Co ten policjant powiedział? Że pewnie nie miał szans? Co to w ogóle oznacza? Wszystko i nic.

Maja przechodzi z salonu do kuchni, otwiera oba skrzydła podwójnej lodówki. Wyjmuje pęto kabanosów, próbuje zjeść jednego na stojąco. Kielbaska ma kolor wypalanej cegły i powinna smakować mięsem albo papryką, tymczasem ona czuje przypalony dżem. Robi jej się niedobrze. Wypluwa lekko przeżuty kawałek na dłoń i wyrzuca do zlewu. Odkręca kran, ukryty pod zlewem automat mielący resztki włącza się z cichym buczeniem. Uderzenie mdłości, łzy w oczach, kaszel, zapchany nos. Wymiotuje samą żółcią, trzymając się oburącz kamiennego blatu. Potem nabiera w dłoń zimnej kranówki, przemywa czoło, twarz, zwilża usta i włosy.

Bąk wewnątrz jeszcze przez chwilę wiruje, ale szum w głowie mija.

Trzeba coś zrobić do przyjścia Beaty, żeby nie zwariować. Przynosi z przedpokoju swoją ulubioną grejpfrutową czapkę, poplamioną przy poprzednim wymiotowaniu, i pierze ją ręcznie w łazience. Wieszka na suszarce do ręczników, siada na podłodze i patrzy na ściekające krople. Podgrzewana podłoga jest ciepła. Klęka na wielkich kafelkach. Kładzie się na nich. Zwiija w kłębek.

Leży, pozwalając ciału robić to, co chce. Najpierw ręce ściskające kolana opadają bezwładnie, potem głowa przekręca się na bok, policzek przy podłodze, krople z nosa na terakocie. Zagubiona myśl. Coś oczywistego i zarazem ukrytego w cieniu. Coś, na co boi się spojrzeć. Myśl pociągająca za sobą złe konsekwencje. Lepiej jej nie pomyśleć. Ale ona nie zniknie, nie rozwieje się, nie pozwoli o sobie zapomnieć.

Wizytówka.

Facet z ministerstwa.

Dlaczego wzięli komputer? Żeby zabrać tekst o Synach Polski?

A co z referatem na papierze? Został w domu czy go skradziono?

Jesteś taka mądra i nawet się tym nie zainteresowałaś? Jeżeli już pomyślałaś A, to pomyśl i B. Skoro można zabić ministra, prokuratora, sędziego, dwadzieścia osób, trzydzieści osób... to nie można zabić jednego Pawła?!

„Wyobraźmy sobie jednak przez chwilę bezwzględną organizację, dla której liczą się tylko cele - czy raczej zyski osiągnięte przez realizację celów - a z drugiej strony koszty ich osiągnięcia”.

Pawka, miłości moja... komu ty to dałeś? Facetowi z ministerstwa - oczywiście.

Wizytówka. Pieprzona wizytówka w pudełku.

Maja siada na podłodze, potem wstaje, podpierając się obiema rękami. Idzie na górę.

Wizytówka jest bardzo elegancka. Obraca kartonik przed oczami. To nie papier i nie plastik, coś pomiędzy. Kilka rąk już jej dotykało. Pod wydrukowanym imieniem „Grzegorz” dopisane ręką Pawła nazwisko: „Kopciński”. Niżej numer. Dziwny jakiś. Dwanaście cyfr. Sto dwadzieścia, dwieście pięćdziesiąt jeden... końcówka zero zero. Niżej adres e-mailowy. Na odwrocie jeszcze jeden numer. Chyba też zapisany przez Pawła. Z początkiem na sześćset.

Majka wklepuje w samsunga ciąg cyfr. Cztery długie sygnały, po których odzywa się niski, nieco zmęczony głos: „Robert Pruski, nie mogę teraz odebrać, oddzwonię”.

Wymówione powoli imię i nazwisko Wiedźmina wydobywa z Majki westchnienie ulgi. Bez zastanowienia wybiera drugi numer, ten z dwoma zerami na końcu.

Sześć krótkich sygnałów i cisza. Ktoś odebrał czy rozłączyło?

- Halo... pan Kopciński?

- Kim pani jest? - Męski głos mówiący po angielsku z polskim albo podobnym do polskiego akcentem. Rozkazujący i zarazem jakby podchwytliwy ton w pytaniu.

- Mówi... jestem Anna. - Maja czuje już, że zrobiła jakieś głupstwo. - Anna Kowalska.

- Nic bardziej wymyślnego nie przychodzi jej do głowy. - Ale to chyba pomyłka. Pomyliłam się.

- Skąd pani ma ten numer? Proszę mi powiedzieć, pani Anno...

Teraz rozmówca jest miły. Słodki wręcz.

- To na pewno pomyłka.

- Gdzie pani teraz jest, droga pani?

- Do widzenia. - Aby się rozłączyć, Majka musi pokonać wewnętrzny opór, jakąś membranę rozpiętą w poprzek ciała, jak gdyby wola człowieka po drugiej stronie słuchawki już zaczynała ją wiązać.

Wyświetlacz samsunga informuje, że połączenie trwało piętnaście sekund. Co ja, kurczę, robię? Trzeba się opanować, zadziałać metodycznie. Czego chcę?

Chcę wiedzieć.

Pruski? Wiadomo. Wiedźmin z Torunia. Maja czytała o nim. Oglądała zdjęcia. Tak zwany interesujący mężczyzna.

Kopciński? Facet, który miał udzielić informacji. Gość, który zwlekał. Którego papa miał popędzić do działania. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych... Dlaczego numer Wiedźmina jest zapisany na wizytówce faceta z ministerstwa? To oczywiste: referat.

Wiedźmin go czytał, Kopciński też. Co Paweł o nim mówił?

Myśl!

No... myśl!

Maja wstaje energicznie. Wychodzi na korytarz, zapala centralne światło i jeszcze jedno - nad rzędem obrazów, wysoko pod sufitem. Wchodzi do gabinetu taty. Zapach drewna i czegoś, co kojarzy się z wygasłym ogniskiem. Zapach ojca. Włącznik światła. Lampka na biurku. I druga, z kolorowym kloszem, wisząca obok szafy. Komputer, którego hasło brzmi zawsze „mojamaja” albo „majeczka”.

Tym razem „majeczka”.

Windows długo się otwiera.

Ruszaj! Maja patrzy na zegarek. Za dwadzieścia pięć dwunasta.

Wyszukiwarka: Kopciński plus Grzegorz plus Robert plus Pruski. Ponad dwadzieścia tysięcy wyników, wśród pierwszej dwudziestki dominują stare publikacje poświęcone białoruskiemu zabójcy i dawnym wydarzeniom opisanym przez „Głos Torunia”. Te same zdjęcia Pruskiego, które oglądała już dwa razy. Nie tędy droga...

Kopciński plus Grzegorz plus Toruń. Internetowe archiwum dziennika „Nowiny”, jakieś bardzo stare artykuły podpisane skrótem „grzekop”, strona biura rzecznika straży miejskiej w Toruniu... rzecznik Kopciński... wywiady, kilka zdjęć.

Jeszcze inaczej. Kopciński plus Grzegorz plus ministerstwo. Jest jakiś urzędowy telefon i faks. Maja dzwoni - tym razem z aparatu na biurku ojca - ale nikt po drugiej stronie nie odbiera.

Może inaczej: Facebook, rejestr wirtualnych bibliotek, wyszukiwarka zapytań. Trzeba ściągnąć dwa programy, bez tego ani rusz.

Po dwudziestu minutach nerwowej pracy przy kilku okienkach równocześnie Majka kopiuje do pliku zdjęcie, adres domowy i dwa numery telefonów komórkowych należących prawdopodobnie do Pauliny Kopcińskiej, uczennicy klasy trzeciej w Liceum Ogólnokształcącym im. Pawła Jasienicy, córki Grzegorza, pracownika Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, oraz Sabiny, urzędniczki w stołecznym urzędzie pracy.

Dzwoni na pierwszy numer i słucha komunikatu: „Abonent ma wyłączony telefon lub znajduje się poza zasięgiem sieci”. Drugi telefon. Jest połączenie.

- Halo? Paulina?

- Nie mogę rozmawiać.

- Ale ja tylko mam jedno pytanie... Proszę, nie rozłączaj się, Paulina, to bardzo ważne! Nazywam się Majka. Mój narzeczony i twój tata mieli razem... chciałam przekazać coś

bardzo, bardzo ważnego twojemu ojcu...

- Tatusz nie żyje. - W słuchawce słychać cichy stuk, lecz Paulina nie odłożyła telefonu.

Maja słyszy jej nierówny oddech.

- Jak to nie żyje? Przecież wczoraj... on miał Pawłowi... mój Paweł rozmawiał z twoim...

- Miał dzisiaj wypadek.

- Jak to: dzisiaj?

- Dziś po południu.

- Przepraszam cię bardzo. To... może... ja... jeszcze do ciebie zadzwonię.

Maja pierwsza rozłącza rozmowę i dłuższą chwilę wpatruje się w zdjęcie roześmianego Pawła na tapecie wyświetlacza. Oparty o kwitnące drzewo trzyma w rękach kota, którego podniesiony ogon zasłania mu kawałek twarzy. Ten kot miał chyba na imię Kaktus, ale Maja nie jest tego pewna. Kilka miesięcy zajęło jej nauczenie się, jak odróżniać od siebie poszczególne zwierzaki. Nie mogła się nadziwić, że Paweł rozpoznaje je przez zamknięte drzwi tylko na podstawie brzmienia ich miauknięć.

Pawka... Chłopaku mój, mężczyzno mój... słyszę twój głos w głowie, chociaż nie rozumiem słów. Czy to możliwe, że zabili cię tylko przez moje domysły?

Majka opiera czoło o ciemny blat biurka. Przyjemny chłód. Kot Kaktus... Trzeba było jechać prosto z policji na Polską, żeby zwierzaki nakarmić. Trzeba zadzwonić do sąsiadki. Nie... później. Trzeba szukać.

Kładzie ręce na klawiszach.

Grzegorz plus Kopciński plus wypadek plus MSW. Szukaj od najnowszych. Onet.

„NOWE! Sprawcy śmiertelnego wypadku usunęli ślady?

Poszukiwana furgonetka została odnaleziona na terenie pomiędzy Nadarzynem a wsią Rusiec. O płonącym wraku poinformowali policjantów strażacy, którzy gaszą w tej chwili ogień w sile dwóch zastępów. Trwają poszukiwania sprawców podpalenia i czynności mające wyjaśnić, czy podpalony pojazd jest tą samą poszukiwaną furgonetką, którą oddalili się z miejsca przestępstwa sprawcy śmiertelnego potrącenia przy ul. Raławickiej”.

Wcześniejsza informacja:

„WARSZAWA.

Pracownik ministerstwa przejechany przez kierowcę samochodu dostawczego. Sprawca zbiegł.

Grzegorz Kopciński, 44-letni urzędnik stołecznej centrali MSW, został śmiertelnie potrącony przez nieustalonego sprawcę zbiegłego z miejsca zdarzenia. Do tragedii doszło

około godziny 17 w pobliżu skrzyżowania Raławickiej z Wołoską. Świadkowie zdarzenia mówią o czerwonej bądź pomarańczowej furgonetce z jednym mężczyzną w sioferce. Samochód, który nawet nie próbował hamować przed pieszym idącym po przejściu, miał odjechać w kierunku południowym. Policja prosi o kontakt wszystkie osoby...”.

Maja przegląda jeszcze kilka wiadomości. Na temat wypadku niczego istotnego więcej nie ma, jest za to sporo komentarzy poświęconych gorącej konferencji prasowej w budynku rządu i zatrzymanym poprzedniej nocy ekstremistom. Ktoś podał informację, że jeden z Synów Polski już przyznał się do winy, prokuratura dementuje. Jedni dziennikarze ruszyli tropem newsów, inni - szeroką ławą. Bogato ilustrowany reportaż, reklamowany jako kompendium wiedzy na temat polskich terrorystów, zaczyna się przydługim rysem historycznym na temat Rewolucjonistów Mścicieli terroryzujących łódzkich bogaczy równe sto lat temu. Potem autor opisuje Organizację Bojową PPS, podając informacje, które Maja pamięta ze szkoły, w takim tonie, jak gdyby odkrył je sam.

Przeskakuje do okienka z rozmową między dziennikarzem a działaczem organizacji pozarządowej Zrzeszenie Antyfaszystowskie „STOP”.

„-...od co najmniej dziesięciu lat alarmowaliśmy wszystkie możliwe instytucje o narastającym zagrożeniu ze strony skrajnie prawicowych organizacji politycznych. Nasz ostatni raport poświęcony Strefie Okop i związanej z nią grupie White Devils wysłaliśmy w formie zawiadomienia do prokuratury w połowie stycznia. Na ironię zakrawa fakt, że w tym samym dniu, kiedy przekazaliśmy odpowiednim organom wyniki naszej kilkumiesięcznej pracy, stołeczny ratusz przysłał nam wymówienie najmu siedziby z powodu zaległości czynszowych. W tym samym dniu w Żyrardowie odbył się koncert zespołu Security White Race, na który bez większych problemów zjechało ponad pięciuset młodych nazistów z całej środkowej Polski. Z miejsca, w którym grane były takie »hymny«, jak *Dyktatura białej rasy*, do siedziby tamtejszej policji, sprawdziliśmy to dokładnie, jest mniej niż kilometr! Te trzy równoczesne wydarzenia - zignorowanie naszych ostrzeżeń, totalna bierność władz Warszawy oraz policjantów i jednoczesna bezkarność przestępców - najlepiej oddają sytuację, w jakiej się znaleźliśmy. Sytuację, która doprowadziła do tragedii.

- Wasz raport, a można go przeczytać na stronie internetowej zastop.pl, opatrzone jest wykazem najbardziej waszym zdaniem niebezpiecznych organizacji skrajnie prawicowych. Wśród dwudziestu wymienionych, poza tymi od dawna znanymi, jak Combat 18 czy Blood & Honour, są także grupy, o których piszecie jako o kręgach, cytuję, »kilkuosobowych«. Ale nawet wśród nich nie ma ani słowa o Jedynych Synach Polski. Nie wiedzieliście o nich? Wy także zlekceważyliście tę grupę?

- To jest organizacja nowa, która zasadniczo różni się od takich grup, jak znana nam doskonale Inicjatywa Redwatch czy wspomniana Security White Race. Tradycyjne, tak to nazwijmy, zrzeszenia ekstremistów mają swoje strony internetowe, organizują koncerty, utrzymują na pół jawne kontakty międzynarodowe, zapraszając neonazistów z Litwy, Rosji, Finlandii czy Estonii - można powiedzieć, że robią wokół siebie dużo szumu i jednocześnie próbują nie dać się schwytać policji za rękę. Synowie Polski to głęboka konspiracja. Trudno czynić nam zarzut, że ich nie rozszyfrowaliśmy, skoro nie udało się to także służbom z milionowymi budżetami. Nasze biuro liczy w tej chwili trzy osoby i wszyscy jesteśmy wolontariuszami. Proszę zwrócić uwagę na to, kogo, wedle obecnie dostępnej wiedzy, Synowie Polski zwerbowali. Osoby z różnych środowisk, z różnych miast, z bardzo różnym stopniem wykształcenia... To wskazuje na zupełnie nowy *modus operandi*, na wysoką specjalizację. Oni po prostu posunęli się niesłychanie daleko pod względem organizacyjnym. Przyznaję, że nasz monitoring w tym przypadku zawiódł, ale zawiódła także cała machina bezpieczeństwa państwa. Zawiódła tym bardziej, że mieliśmy symptomy nadciągającej tragedii. Były przecież ostrzeżenia. Nie wysyłano ich do naszej organizacji, ale na adres e-mailowy Ministerstwa Sprawiedliwości. To chciałbym podkreślić.

- Wspomina pan o neonazistach z Rosji i krajów nadbałtyckich. Jeden z portali zwrócił wczoraj uwagę na fakt, że anglojęzyczne listy do Andersa Breivika i Theodore'a Kaczynskiego, których autorem miał być początkowo Kajetan Leski, co niektórzy podali już jednak w wątpliwość - te listy sprawiają wrażenie przetłumaczonych na angielski nie z polskiego, ale być może z innego języka. Może i w tym wypadku mamy więc do czynienia z organizacją zza wschodniej granicy?

- Albo i wschodniej, i zachodniej. Przecież jeden z zatrzymanych jest obywatelem niemieckim. Nie zdziwiłbym się specjalnie, gdyby kolejne zatrzymania, o których już się mówi, wyszły poza nasze granice. Rak neonazizmu rozprzestrzenia się...”.

Bła, bła, bła...

Maja jeszcze raz próbuje wyszukać coś na temat wypadku na skrzyżowaniu Raławickiej z Wołoską, ale żadne nowe informacje nie wpadły do sieci przez ostatnie dziesięć minut.

Słyszysz dzwonek domofonu.

Zawieszony na ścianie obok ojcowskiego biurka monitor z podglądem na bramę ożywia się samoczynnie. Widać zaparkowaną taksówkę i Beatę w kolorowych kaloszach, długim, przeciwdeszczowym płaszczu, z torebką listonoszką przewieszoną przez ramię. Choć gabinet ojca - tak jak cały dom - jest klimatyzowany, Maja czuje, że płoną jej policzki.

Co tu robi Beata?

Czy to możliwe, że wszyscy się mylą?

Czy Kopciński zginął, bo czytał tekst?

A co z Pruskim?

Naciska przycisk domofonu, brama rusza, ale Beata nie wchodzi. Nadal stoi przy taksówce.

Kasa... To ja miałam zapłacić za kurs. Gdzie pieniądze?

Schodząc po schodach, nagle zdaje sobie sprawę, że odpowiedzi na pytania są proste i właściwie... leżą w zasięgu ręki. Tak, wszyscy się mylą. Mają się mylić, ponieważ to jest na rękę prawdziwym aktorom tej gry. To oni chcą, by wszyscy się mylili. By zostało tak, jak jest. Synowie Polski. Nikt nie lubi wygolonych osiłków skandujących wulgarne hasła wymierzone w kolorowych i homoseksualistów. Nie ma już Pawła, nie ma jego referatu. Nie ma przeszkód, by ogłosić wszem wobec jedyne możliwe rozwiązanie. Nie żyje facet z ministerstwa, nie odpowiada Pruski. Jego też wyeliminowali?

A ja sama?

Gdy Maja otwiera drzwi domu, słyszy szum deszczu. Beata jedną dłonią przytrzymuje wielki kaptur błyszczącego, mokrego już płaszcza, a drugą unosi na powitanie.

* *
*

Robert i Damian siedzą w głębokich fotelach przy niskim stoliku, w kącie dużej, kwadratowej sali. Trzy z jej ścian pomalowane są na ciemną czerwień, czwarta - wzdłuż której ciągnie się bar - błyszczy sztucznym złotem i celowo spękanymi lustrami.

Hałaśliwa i jednocześnie przesłodzona muzyka wymaga stałego podnoszenia głosu. Tym razem Damian nie otworzył zacisznego kantorka przy backstage'u. Na rurach będą dziś tańczyły dwie nowe dziewczyny, szef musi patrzeć, poza tym jedna z trzech barmanek właśnie zaczyna pracę na nowym stanowisku i co dziesięć minut podchodzi, by o coś zapytać. Jeszcze w sobotę była tancerką, w tym tygodniu awansowała, aby dołączyć do kilkusobowego grona, któremu wolno otwierać kasetkę z pieniędzmi.

Jest wtorek, więc tłoku nie ma. Na parkiecie około dwóch tuzinów dziewcząt - wszystkie szczupłe, smukłe, opalone w środku zimy, wszystkie na wysokich obcasach, głównie z Deichmanna, w krótkich spódniczkach i cienkich bluzeczkach odsłaniających ramiona. Długie, proste włosy opadają na szczupłe plecy. Ideały w trzech wersjach: blond, ognista cegła i głęboka czerń. Promienie zimnego światła ze stroboskopów wrywają z półmroku stopklatki: uniesione nad głowami ręce, wyprężone uda i pupy, odrzucane do tyłu grzywki. Ukryta pod centralnym podestem maszyna co rusz wypuszcza kłęby dymu.

Odsłonięte w uśmiechu zęby i plastikowe bransoletki na nadgarstkach świecą w ultrafioletowych błyskach. Blondynka w środku, najmocniej kręcąca biodrami, trzyma w ustach lizaka. Jej głęboko odsłonięty dekolt ozdabia kolorowy, świecący tatuaż kalkomania: dwie kulki lodów w spiczastym rożku. Wszystko jasne. Królowa parkietu rozgrzewa przed pokazem pozostałe koleżanki i kilkunastu facetów w bardzo różnym wieku. Już czekają wzdłuż baru i pod ścianami. Krótko ostrzyżeni, ubrani w większości w jasne koszule wepchnięte w spodnie rurki. Klamry pasków Pierre Cardin i Valentino Morris, zegarki z dużymi cyferblatami. Rozproszyli się równo po sali, aby nie wchodzić sobie nawzajem w drogę, kilku już podryguje - raczej wbrew muzyce niż do rytmu. Wszyscy ostro piją. Na barze kieliszki z wódką i szklanki z kolorowymi trunkami, dwa nalewaki do piwa bezustannie pracują. Kelnerki w krótkich, czerwonych szortach i identycznych koszulkach gimnastycznych kursują między zapleczem a rzędem głębokich foteli ustawionych wzdłuż ścian dla najpoważniejszych klientów. Nagie ramiona błyszczą im od potu.

Zgodnie z informacją przed wejściem - i tym, co powiedział Damian - blondynka z lizakiem i jej niewidoczna na razie koleżanka pokażą dziś na podeście program pod rozkosznym tytułem *Podwójne uderzenie*.

Purpurowy Kot, uparcie zwany w mieście „Purpurowym knotem”, trzyma się mocno na rynku toruńskiej nocnej rozrywki mimo dość drogiego drinków, wejścia za dwadzieścia złotych i wciąż narastającej konkurencji ze strony klubów go-go, w których dziewczyny chodzą w samych butach i wszystko jest jasne od początku.

Damian mówi o sobie, że prawie od dekady broni biznesu według trzech zasad, które Robert może już wymienić z pamięci, tyle razy słyszał ten wykład. Po pierwsze, na podeście muszą się rozbierać, a na parkiecie tańczyć zawsze świeże i jak najmłodsze laski, choćby trzeba się było podpierać leasingiem z agencji. Po drugie, musi być otwarte od wtorku do niedzieli - bez względu na to, czy wypada Wielki Piątek, Gwiazdka czy Święto Strażaka. Po trzecie, muzyka ma być łatwa i z elementami latino. To nie jest klub dla studentów ani hipsterów, tylko miejsce, gdzie faceci, których na to stać, przychodzą poderwać dziewczyny lubiące wypas. Mniej więcej połowa kołyszących się na środku młodych piękności - jak tłumaczy Damian - przychodzi tu w nadziei na luźny sponsoring, druga połowa ma sztywny cennik.

Robert nie jest w stanie odróżnić jednych od drugich.

Damian twierdzi, że to widać na pierwszy rzut oka.

Przez lata, ku zazdrości kolegów plotkarzy, cudownie łączył w swoim klubie obowiązki z przyjemnościami. Ostatnio jednak zdiagnozował albo się rozleniwił - coraz rzadziej

zaprasza panny do kantorka na zapleczu i coraz mniej pije w swoim własnym barze whisky, a coraz więcej herbaty. Tak jak teraz.

Kelnerka o wesołych oczach i fikuśnie wymodelowanych brwiach błyskawicach właśnie przynosi mu trzeci dzbanek. Indyjska zielona z imbirowym wkładem. Do tego kolejny sok z aronii dla Roberta.

Damian sypie do filiżanki brązowy cukier z mikroskopijnej tutki.

- Może jednak zostaniesz na pokaz? Naprawdę warto! Poza tym wyrazisz jakieś światło, warszawskie uwagi na temat dziewczynek.

- Damianek, bracie, ja mogę najwyżej wyrazić żal, że takich klubów w tym mieście nie było, jak mieliśmy po dwadzieścia lat. I nic poza tym. Zresztą... napatrzę się i nie będę mógł zasnąć, a muszę iść spać wcześniej, bo zapowiedziałem chłopakom, że wyjeżdżamy z rana. Jasio sobie budzik nastawił na szóstą, musiałem mu go przed wyjściem po cichu przestawić na ósmą. Do tego się martwię tym deszczem, cholera... Miały być mrozy, a nie chlapa...

- Co za dno! Dziewczyny na wyciągnięcie dłoni, a ty mi o pogodzie opowiadasz. I będziesz teraz szedł spać, o dwunastej?! Pamiętasz w ogóle jeszcze, jak sypiałeś tu, na backstage'u, bokiem na szafce? Jak cię przez pomyłkę zamknąłem?

- Nie dopełniłeś podstawowych obowiązków właściciela. Nie przejrzałeś pobjowiska. Budzę się, a tu ciemno, zimno, kac i wyładowana komórka... Dopijałem resztki z browarów po kątach. Jedna butelka była stłuczona, skaleczyłem się w usta, wkręciło mi się, że już na pewno będę miał HIV-a. Chciałem umrzeć, naprawdę, tylko że nie było sznura.

- Mogłeś sobie poderznąć żyły tą flaszka.

- Innym razem posiedzimy. Nie gniewaj się. Jutro muszę stanąć na wysokości zadania, rozumiesz? Nadciąga tata idealny! - Robert unosi rękę i zgina ją w łokciu, prezentując wybrzuszony biceps pod starą bawełnianą bluzą w kolorze zgniłej zieleni. Wyprute nitki na rękawie żarzą się fioletowo w błyskających światłach.

- A popatrz na tą... tam, z lewej... - Damian wyciąga dłoń, pokazując kołyszącą się na skraju parkietu długonogą i kruczowłosą dziewczynę, jeszcze szczuplejszą - o ile to w ogóle możliwe - od pozostałych.

- Nie przypomina ci...?

-...kogo?

- Imienia zapomniałem... Ale ty pamiętasz ten namiotowy maraton na wyspie, z tamtymi... Jak one się nazywały? Jedna była z Grudziądza, ta, co bez przerwy fajki paliła... Tak wyglądała, jak ta... Rozwaliła mi namiot, ale było warto.

- Ledwo mi się to wszystko wyświetla...

- Wyspa Owcza.

- Aaa... Pamiętam... Przyczepiałem sobie pieniądze gumką na głowie i zasuwałem wpływ do geesu po wódkę. Baba w spółdzielni nie chciała przyjmować mokrych banknotów. Raz myślałem, że utonę... Płynąłem w burzę sam na plecach, a na brzuchu - siatka mielonek i woda... Wypierdoliłem mielonkę w połowie drogi do wyspy.

- Wódka dojechała.

- Zawsze... Ale dziewczyny z Grudziądza nie pamiętam... - Robert przez chwilę milczy, obserwując czarnowłose zjawisko. Gęste włosy prosto ścięte na wysokości bioder, lekko spiczaste ramiona, na nagich plecach wytatuowany jakiś stwór: mięsożerny kwiat, ośmiornica, falująca rozgwiazda lub coś podobnego. Napięte łydki, szpilki w lamparcie cętki, nad kostką prawej nogi łańcuszek z jakimś świecidełkiem. - Wiesz co, Damianku? Nawet jeśli tamta koleżanka była i ciut podobna, to nie mogła mieć tego... sam widzisz... W naszych czasach panienki nosiły rozciapciane czółenka na kaczuszcze i sweterki maminej roboty.

- Robuś... - Damian znowu wybucha śmiechem i przez moment chichocą obaj, stukając się naczyniami z sokiem i herbatą. -...jednak nie wszystko zapomniałeś!

- Czasem chciałbym.

- Nie chciałbyś. Nie kłam. Ja zresztą też nie. Co by nam wtedy zostało?

- Ty nie narzekaj, dobra? Zwijam się. Dzięki za klucze, brachu. Idę... Już prawie dwie godziny nie palę, nie wymagaj zbyt wiele.

- Możesz się odpalić na zapleczu. No, poczekaj trochę. Za chwilę dwunasta, popatrzysz sobie, jak dziewczyny ściągają stringi.

- Ty mnie chcesz w coś wciągnąć, Damianek?

- Oj tam, oj tam...

- Ja nie szukam wolnej szparki. Mam, chłopie, raczej kłopot z wyborem. - Robert już miał wstać, ale tylko odchyła się w fotelu i przez chwilę milczy, trąc zmęczone oczy.

- Co jest? - Damian pochyla się i robi poważną minę.

- Nie wiem... szczerze... ale Iwona mi się jakoś wymyka. - Robert zbliża twarz do twarzy kolegi. - Przyjeżdżam do Torunia i jest coraz częściej tak, jakby ona była myślami gdzieś indziej. Jak gdyby miała gdzieś kogoś... może jeszcze nie fizycznie, ale na myśli. Albo coś się dzieje po prostu takiego... Pytałem dziesięć razy, zawsze zmienia temat. Może gdybym więcej z nią siedział tutaj, w Toruniu, byłoby inaczej...

- Siedział? Ty?

- Wiesz, jak to jest... Jesteś z kobietą w domu, nic nie robicie, czas płynie... technika

słow... Życie się tworzy samo.

- Gówno się tworzy! - Damian cofa głowę i gwałtownie macha ręką nad niskim stolikiem. - Ty masz idealistyczną wersję marazmu, bo nigdy go nie doświadczyłeś. Ciągłe zapierdalasz i myślisz, że jak para ludzi siedzi na kanapie i milczy, to nad nimi miłość otwiera kolorowy parasol. Ale ty głupi jesteś, Robuś, chociaż taki mądry...

- Wiesz co...? Chyba do Kamili wrócę. Przynajmniej na jakiś czas. Nie wiem, czy to będzie lepsze dla mnie, ale na pewno dla dzieci.

- To jest jakiś argument. Już się pukacie?

Robert kręci głową.

- A ty pukasz swoje kelnerki?

- Oj tam, oj tam... Pytałem tylko. Jak kolega.

- Ja też pytałem.

- Już dawno nie posuwam personelu. Ale ta pierwsza... - Damian wskazuje palcem na bar. -...ma na imię Paulinka i jest wolna i chętna. Niedobry chłopak ją porzucił. Wyjechał do Holandii z jej koleżanką. On u mnie kiedyś pracował, na kuchni. Bardzo ładne zakąski umiał wyczarować z przedatowanego zarcia i vegety. Od kiedy go nie ma...

-...podajecie tylko orzeszki.

- I jeszcze paluszki. W dwóch smakach. Sam widzisz, jakie ja straty ponoszę. Ta koleżanka Paulinki, dupcia z agentury na Słowiczej, najpierw sto kilometrów chuja obciągnęła, a potem nagle, jak tu była z klientem, pokochała mojego kuchcika. Miłością, kurwa, czystą i prawdziwą. Wpadli na siebie w korytarzyku do kibla. I po tygodniu wyjechali w dalekie strony. Jak w amerykańskim filmie. Widzisz to?

- Się rzeczywiście cuda w "Knocie" dzieją.

- Zawołam na chwilę Paulinkę, co?

- Damian... daj mi spokój. Uważaj, byś się nie zamienił w alfonsa.

- Wiesz, że to by mi nawet pasowało? Przerobić „Kotka” na dochodową agenturę. Od stycznia mi czynsz podnieśli. Czwarty raz, przecież to można kurwicy dostać! Zapłać ochronę, szatniarzy mam już trzech, bo zimą się nie wyrabiają... Widziałeś sam: co chwila ktoś na zewnątrz wychodzi.

- Palić nie pozwalasz.

- Wczoraj kominiarz zażyczył sobie pięćset w łapę za podpis albo nakaże remont przewodów. Debil z wiatraczkiem w ręce... Do tego koncesja, za muzę ZAiKS-owi zapłać, menedżerka chce, kurwa, umowę, jeszcze trochę i barmanka ci etatu zażąda... Patrz! Wyszyły moje gwiazdeczki!

Na podeście, między trzema niklowanymi, podświetlonymi na fioletowo rurami, zaczynają kołysać biodrami dwie piekielnie zgrabne dziewczyny w ciemnoczerwonych peruczkach. Mają na sobie złote stringi, poza nimi - tylko buty, bransoletki i trochę kolczyków w różnych rejonach. Plus jakieś błyskające motylki na sutkach. Jedna z tancerek właśnie klęka przed drugą i zaczyna oplatać jej uda wężowymi ruchami dłoni.

- Ty, Damian... a one mają te fistaszki na cycusiach czym zasilane?

- Dobrze, nie?! Bateriajkami! To się przykleja. *Made in Korea*. Chcesz takie dla swojej Kamilci?

- Spierdalaj, z boku... - Robert dopija sok i odstawia szklanekę z mocnym stuknięciem, którego i tak nie słyhać wśród wrzawy wywołanej występem striptizerek.

- Poczekaj chociaż, aż się lizać zaczną! - Damian prawie krzyczy.

- Zjeżdżam do boksu, zanim będzie za późno. - Robert podnosi ze stołu pęk kluczy i wstaje. - Jeszcze raz dzięki za chatę! - woła wprost do ucha kolegi. - W niedzielę przed północą masz klucze z powrotem!

- A co masz przedtem zrobić?!

- Zakręcić wodę i spuścić wszystko z pompy!

- No to idź, idź... poświęcaj się dla dzieci... I tak cię kiedyś w dupę kopną! - Damian ściska rękę Roberta. Stukają się jeszcze pięściami, gdy do szefa podchodzi kelnerka i wyrzaskuje prosto do ucha jakieś pytanie.

Robert wychodzi, przeciskając się między mężczyznami oblegającymi podest.

Czuje wody kolońskie, odżywki do włosów, korzenne perfumy, pot i zapachy poszczególnych alkoholi. Najmocniej pachną winiaki i kolorowe wódki rozlewane tutaj jako whisky. Woń czystej - najmniej agresywna, ale wyczuwalna - też się unosi. Nigdy tego nie udowadniał eksperymentalnie, lecz jest przekonany, że po długiej abstynencji potrafi już odróżnić zapach wódki ciepłej od schłodzonej.

Jeszcze przed drzwiami wyjściowymi wkłada do ust papierosa.

12.

Środa, 18 lutego, od północy do popołudnia

Beata Badowska - „Badzia” - wzrostem i figurą jest prawie identyczna z Mają. Różnią się tylko cerą. Majka - bladolica, z jasnymi piegami na szyi - prezentuje typ germańskiej Królowy Śnieżki. Beata ma w sobie coś z Włoszki. Równie mały, lecz ciut ostrzej niż u Majki zakończony nosek, równie wielkie oczy okolone długimi rzęsami, do tego masa

grubych, falujących włosów, kiedyś ciemnokasztanowych, teraz rozjaśnionych i przefarbowanych na szafran. W mlecznej bluzce z kołnierzykiem i ciasnej, elastycznej sukience, półleżąc na krowiej skórze przed płonącym kominkiem, wygląda jak blond Esmeralda. Brakuje jej tylko tamburynu.

Maja siedzi obok zapadnięta w wielką skórzaną poduchę, którą ojciec przywiózł kiedyś z Maroka. Między jej bosymi stopami a odkrytym paleniskiem stoi półmetrowej średnicy srebrna taca na niskich nóżkach w kształcie psich łap - szesnastowieczny hiszpański wyrób wart więcej od niejednego samochodu. Na tacy dzbanek z herbatą, filiżanki, rozsypane orzeszki, pusta butelka po czerwonym winie i druga, opróżniona w dwóch trzecich. Obok ciastka i otwarta paczka davidoffów. Słychać trzaskanie płomieni. Maja roznieciła ogień głównie dlatego, żeby komin zaciągał dym i Badzia mogła swobodnie zapalić. Ale nie tylko po to. Siedząc z kimś u boku przy domowym ognisku, czuje się odrobinę bezpieczniej.

Beata jest mądrą dziewczyną i umie słuchać.

Kilka minut temu ich rozmowa - o zamordowanym Pawle, o strachu, o smutku i o miłości - zmieniła się w monolog Majki. Beata tylko od czasu do czasu daje znać, że rozumie i nadaża. Czasem prosi, by koleżanka coś powtórzyła - wtedy Maja tłumaczy jeszcze raz, co takiego niedawno odkryła i opisała. Coraz bardziej się przy tym przekonuje, że wszystkie elementy - wbrew informacjom z radia, telewizji i sieci - doskonale do siebie pasują. Chociaż układanka jest potwornie skomplikowana.

-...nazwali to Wojewódzką Radą Bezpieczeństwa Energetycznego czy jakoś tak - obejrzałam ich prezentację. Dużo wodolejstwa, dużo ładnych grafik, początkowo trudno się zorientować, co robią i po co, poza tym, że się spotykają i wydają pieniądze. Ale w końcu zrozumiałam, w czym rzecz. Przekonali firmy szukające gazu łupkowego - holenderskie, brytyjskie, amerykańskie i polskie - że aby stworzyć dobrą atmosferę wokół wierceń, trzeba się dostosować do jakiejś regionalnej strategii Ochrony Środowiska i Zrównoważonego Rozwoju. Domagali się przeprowadzenia dodatkowych konsultacji, a potem jeszcze tego, tamtego i siamtego... Chcieli mieć prawo do opiniowania, a potem - gdy już zaopiniowali - prawo do zatwierdzenia, później włączyli w to urzędników nadleśnictw... No i tak krążą sobie setkami różne wnioski, opinie i zapytania, a wiercenia się przez to ślimaczą. Właśnie to jest ten półcień... jak ci mówiłam...

-...teraz trochę odpadłam.

- Szczegół z leśnictwami jest akurat nieistotny. Ważne, że wkładali kij w szprychy całej maszyny poszukiwań i wiercenia... ale tylko do momentu, gdy pojawił się starszy gość... no widzisz, kurka wodna, nawet nazwiska nie mogę przytoczyć bez komputera, ale to też jest

do sprawdzenia. Na imię miał, to pamiętam, Ignacy. Widziałam zdjęcie. Stary, całkiem siwy, taki brodaty dziadek - Święty Mikołaj... Wcześniej miał mnóstwo funkcji i posad: był senatorem, wykładowcą na uniwersytecie i jeszcze wynalazcą jakiejś nowej metody górniczej. No i ten dziadzio zaczął wreszcie nad szanowną Radą Bezpieczeństwa Energetycznego panować. Zamiast robienia jakichś dziwnych posiedzeń nie wiadomo przez kogo sterowanych domagał się planu i jawnego głosowania pisemnych wniosków. Natychmiast stało się dla wszystkich oczywiste, że król jest nagi.

- Czyli... że co?

- Że ta Rada Bezpieczeństwa nie ma żadnego sensu poza tym, że przeszkadzają w łupkowej robocie. Już mieli Radzie odebrać budżet - po prostu rozpędzić ją na cztery wiatry - aż tutaj półtora roku temu stawiają senatorowi zarzut brania łapówek. Zgłosił się do prokuratury świadek wręczenia pieniędzy. Radny miejski z Lublina, na co dzień dyrektor w spółce... Od razu mnie zaciekało, że on się z tym dyrektorowaniem nigdzie nie ujawnia, ale wystarczył krótki przelot po rejestrach gospodarczych, gdzie SMS-em płaci się za wgląd. Spółka GRA Trade International Monitor. Jako przedmiot działalności ma wpisane wszystko: handel węglem i stalą, gastronomia, pośrednictwo w obrocie wierzytelnościami. Niski kapitał zakładowy, żadnej widocznej aktywności, w rejestrze tylko goły wpis.

- Czyli ten radny...

- On wtedy odwiedził - z tekstów wynikało, że wręcz z własnej inicjatywy - „Kurier jakiś tam” i „Dziennik - chyba - Lubelski”, jakieś stacje radiowe. Opowiadał wszystkim, że widział sześćdziesiąt tysięcy w walizce, którą zabrał senator, ten dziadek Święty Mikołaj. To się niby odbyło pod drewnianą wieżą punktu widokowego Piaśnica czy Piasecznica... Pan radny przyszedł tam piechotą z dzieckiem, oglądali sobie okolice, weszli po drabinie na górę, słońko świeci, wokoło ptaszki latają... no, kurka, sielanka maksymalna. Aż tu niespodziewanie podjechały pod platformę dwa samochody. W jednym nasz senator... Aha! On się Ignacy Zasuń nazywał. Miał podjechać pod wieżę swoim własnym autem, fiatem, a łapówkodawca z walizką pieniędzy superdrogim amerykańskim hummerem. Radny widział to wszystko z góry, a oni jego nie widzieli. Rzeczywiście historia jak z filmu, trudno się dziwić, że gazety się tego złapały... Przepraszam. Za dużo?

- Teraz akurat nadążam. - Beata wkłada do ust kilka orzeszków, a potem papierosa.

- Jeszcze przed procesem uznali go za winnego. Ignacego Zasunia. Senatora, szanowanego wykładowcę i wynalazcę... Normalnie go zaszczuli. Został usunięty z Rady Bezpieczeństwa Energetycznego - i to jest najważniejsze, bo jeśli teoria jest prawdziwa, znaczy, że właśnie o to chodziło. Żeby go stamtąd wypieprzyć i żeby ta rada mogła dalej

spokojnie mącić przeciw wydobyciom gazu. A reszta też była naprawdę grubymi niemi szyta. Poszły nawet do mediów plotki obyczajowe o córce senatora... ale to boczny wątek. Sam proces o łapówkę rozpoczął się... w marcu, chyba jedenastego, prawie rok temu.

- A ta łapówka za co miała być?

- Za pozwolenie na budowę grozonego osiedla willowego nad Jeziorem Zemborzyckim. Dawca łapówki, ten od hummera, to znany kamienicznik z Lublina. Od razu się przyznał, że postanowił posmarować pana senatora, bo wszyscy wokół wiedzą o jego łapownictwie. Tak oświadczył w sądzie, a tekst natychmiast poszedł w internecie. Łapiesz schemat?

- Spoko. - Beata zmienia pozycję przed kominkiem. Łokieć jej zdrętwiał. Już wcześniej zdjęła buty, przed chwilą ściągnęła skarpetki, teraz stara się przysunąć bosc stopy do ognia.

- Senator twardo się bronił, chociaż już musiał być na skraju załamania. Skandal erotyczny z udziałem córki, proces o łapownictwo idzie na przegraną... A tu nagle sędzia pyta: gdzie jest te sześćdziesiąt tysięcy? Bo jakoś nigdzie nie ma banknotów ani świadków, żeby senator się wzbogacił. Do tego jeszcze wyszło - już na procesie - że dziadunio kompletnie nie miał możliwości, nawet teoretycznych, by sprawę zamkniętego osiedla nad zalewem przepchnąć w urządzie czy choćby ułatwić. Tam by musiało wejść w zmwę co najmniej kilka instytucji - to konkluzja sędziego. I sam środek pierwszej sprawy.

Majka unosi się z pufy, by dorzucić do ognia, potem wypija łyk wina. Zaszło jej w gardle, oczy szczypią po trosze ze zmęczenia, po trosze od papierosowego dymu, ale kiedy opowiada, czuje się jakoś... bezpieczniej. Chce opowiadać. Ma w głowie tyle szczegółów, których nawet nie opisała w referacie...

Ma w głowie bombę.

Dolewa sobie herbaty z dzbanka.

Beata wrzuca niedopałek w ogień.

- Mów dalej.

- To jest najważniejszy człowiek w tej historii: sędzia Ambroży Malak, przewodniczący wydziału karnego, sześćdziesiąt lat, żonaty, dwoje dzieci. Orzekał w sprawie senatora, czytałam skany uzasadnienia zwrotu sprawy do prokuratury. Zasuń potem opublikował je na swojej stronie. Akt oskarżenia normalnie, kurczę, zmiażdżony. Dawca łapowy, rzekomej łapowy, czyli ten kamienicznik z hummera, nie umiał wyjaśnić, jak sobie wyobrażał pomoc oskarżonego przy sprawie osiedla. Czyli nie wiedział właściwie, po co i za co mu daje sześćdziesiąt tysięcy - czaisz?

- Luzem.

- Jedyne świadek, czyli radny-dyrektor spółki GRA, mówił najpierw dziennikarzom, jak zobaczył z wieży walizkę pełną stuzłotówek i je policzył. Ale na eksperymencie, który zarządził sędzia Malak, okazało się, że taka suma nie zajmuje nawet ćwierci walizki, nawet jednej ósmej. Radny wtedy sprostował zeznanie: że jednak ledwo mu mignęły te pieniądze. A potem sędzia zamówił jeszcze opinię biegłego i okazało się, że radny z tej odległości, z platformy na wieży, w ogóle, kurka, nie mógł widzieć, że to banknoty. Za wysoko, za daleko. I właśnie wtedy - jak opisał potem senator Zasuń - wtedy pan dyrektor GRA International się łamie i oświadcza, że niczego nie widział, a w ogóle to został zmuszony, by fałszywie oskarżyć senatora, ale odmawia odpowiedzi, kto go zmuszał i dlaczego.

- I senator uniewinniony?

- W połowie stycznia był zwrot akt sprawy do prokuratury z uzasadnieniem, że to maksymalny gniot i ogólnie skandal. I uważaj: najważniejsza jest rozmowa z sędzią w gazecie lokalnej chyba ze stycznia, w której dziennikarka pyta o proces Zasunia. Tam pada nazwa GRA Trade International Monitor i sugestia, że to jest ważny trop...

-...ale w jakim sensie?

- Sędzia Ambroży Malak sugeruje, żeby tę spółkę przebadać dziennikarsko. Myślę, że ta rozmowa go zgubiła.

- Jak to zgubiła?

- Tobie jego nazwisko nic nie mówi?

- Powinno?

- Dojdziemy do tego. Za moment. Tylko jeszcze ten jeden wątek ci powiem: pan kamienicznik...

-...co jeździł hummerem.

-...nie miał szczęścia w interesach. Już było z nim maksymalnie krucho, ale nagle, dwa miesiące przed aferą z wieżą widokową i łapówką, sprzedał niecałe dziesięć hektarów ugoru między Lublinem a Lubartowem za rekordową cenę dwóch i pół miliona. To go super postawiło na nogi. A kupiła spółka...

-...GRA Trade International?

- Inna, ale mająca wspólnego z tamtą właściciela, którym zresztą też jest spółka. Nazywa się North-South Company RGA. Odwrócone literki. Tych kombinacji jest więcej, są spółki GRA, RAG, GAR, RGA, ARG... Wszystkie były rejestrowane w tym samym miejscu, w kancelarii w Sopocie. Potem ci powiem najciekawsze o tym... Teraz słuchaj: około szesnastego stycznia sędzia Malak dostaje zaproszenie na fatalny zjazd do Omegi.

- Nie no, chyba żartujesz, że...

- Właśnie. To jest to...

- Myślisz, że chcieli go zabić Synowie? Razem z ministrem?

- No, kurka, właśnie nie! Beata... Ministra zabili razem z Malakiem. I jeszcze innymi. To Kunicki zginął przy okazji, a nie odwrotnie. W tym jest cała rzecz, może od tego powinnam była zacząć, ale chciałam od początku... Słuchaj: jeżeli to, co ci mówię, jest prawdą, to jedynaków Skurwysynów nie ma i nigdy nie było. To wszystko jest ściema.

- Ale przecież Omega to był zjazd z zaproszeniami od samego Kunickiego. A nie od jakiejś spółki GRA czy RAG International.

- Bravo! Właśnie! Dlatego to nie jest lokalna sprawa z jakiegoś tam Lublina czy Kwidzyna, kurczę, tylko spisek. Maksymalny spisek - rozumiesz? Chodzi o ten fatalny gaz z łupków. Wszystko jest nakręcone wokół tego. Ten cały oszust kamienicznik dostał dwa i pół miliona za ziemię, żeby pogrążyć Zasunia. Radny - tak samo. Miał świadczyć na poparcie oskarżenia.

- Ale łapówki nie było i wyroku też nie.

- Bo sędzia połapał się w ściemie! Ale i tak był smród i wywalili senatora z Rady Bezpieczeństwa Energetycznego. Ta Rada - ja to sprawdziłam - bez niego dalej spokojnie mąci. Cztery lata minęły od przyznania koncesji na odwierty, dwa lata od potwierdzenia bogactwa złoża - to wszystko jest w sieci, nawet w Wikipedii! A wiercenia eksploatacyjne ciągle nie ruszyły. Dlaczego? Bo Rada Bezpieczeństwa działa.

- I dla tej głupiej rady tyle kombinacji?

- A ty wiesz, jaka to maksymalna kasa?! Miliardy. Tysiąc metrów sześciennych gazu z łupka kosztuje jakieś trzysta dolarów. Ruski Gazprom sprzedaje nawet i za pięćset. Dwieście dolców taniej albo drożej na tysiącu metrów, a w samej tylko Polsce, jak jest mróz, schodzi przeszło sześćdziesiąt milionów metrów sześciennych dziennie. Dziennie! Ty wiesz, o co oni grają?

Majka unosi dłonie, jakby obejmowała wielki balon nad głową.

Potem wstaje i przekłada dużą bukową szczapę z wiklinowego kosza do ognia. Płomień w kominie przygasa i strzela do góry. Beata cofa stopy i obejmuje ramionami złączone kolana. Na jej włosach pojawiają się cytrynowe refleksy.

- Czyli... kto w końcu stoi za tymi firmami - GRA i innymi?

Mają kładzie się brzuchem na wielkiej poduszce i podpira łokciami.

- Stoją ci, którzy zarabiają na drogim gazie, to oczywiste - mówi, odgarniając niesforne kosmyki z nosa. - Albo nawet konkurencja z szeroko pojętej branży energetycznej.

Elektrownie atomowe, farmy wiatrowe, rurociągi z ropą. Oni wszyscy zarabiają na energii, dla nich im drożej - tym lepiej. Mają tajne budżety na czarną robotę, każda wielka korporacja takie ma. Pieniądze rosyjskie, katarskie czy ogólnie: arabskie. Międzynarodowe. Opowiem ci o Kwidzynie i prokuratorce z Gdańska. Albo o prokuratorze z Torunia i fundacji z Brodnicy... jak jeszcze masz siłę.

- Mam, tylko... - Beata dolewa sobie wina i sięga po kolejnego papierosa. - Powiedz mi zaraz, czy ty to wszystko opowiedziałaś na policji?

- Nie całkiem.

- Booo...?

- Bo byłam w fatalnym szoku przez pół dnia, a potem byłam na nich wściekła... za to, jak mnie traktowali. Na komendzie. Formaliści maksymalni. Właściwie dopiero tutaj, w domu, gdy sobie uświadomiłam, że ta wizytówka...

-...że jaka?

- Badzia... słuchaj mnie... przepraszam, że dopiero teraz ci to mówię, ale ja myślę... - Maja podnosi się z poduszki i klęka przed koleżanką. - Daj rękę.

Beata podaje lewą dłoń, w prawej wciąż trzyma papierosa. Dym unosi się między twarzami ich obu, a potem sunie nad pochyloną, jasną głową Majki, by wypełznąć pod okap paleniska.

- Ja myślę, że Pawła zabili z tego samego powodu, co sędziego Malaka i innych.

- Cooo?! - Beata cofa rękę i przez chwilę patrzy na koleżankę, jakby podejrzywała ją o szaleństwo.

- No... tak.

- Zabili twójego Pawła z powodu interesów z gazem?!

- Pojedziemy na policję razem, jutro, zaraz z samego rana. Już wiem, że trzeba. I trzeba będzie zadzwonić do jednego faceta, co uczy w szkole, w której Paweł... - Głos Majki nagle łamie się i zanika.

- Nie płacz. - Beata dolewa jej wina i gładzi po głowie. Druga butelka jest już pusta.

- Która godzina?

- Będzie trzecia.

- Daj mi papierosa.

- Przecież...

- Daj! Proszę... - Maja próbuje użyć zapalniczki, ale ręka jej drży. - Badzia... kochana... ja cię może, kurczę, wykorzystałam, ale to był impuls, by do ciebie zadzwonić. Właściwie dopiero po telefonie mnie się do końca ułożyło, że kiedy na to wpadłam, a potem

napisałam ten cały tekst... i Paweł... on go zaniósł temu Pruskiemu, swojemu nauczycielowi, a Pruski dalej... do kolegi z ministerstwa, który miał pomóc... i teraz ten kolega nie żyje, i Paweł... Wybaczysz mi? Przypał to, proszę, bo już nie dam rady. - Podaje koleżance papierosa i zapalniczkę.

- Co z tym Kwidzynem i Gdańskiem?

- To też jest straszliwie skomplikowane, dlatego opowiem krótko. - Majka odbiera przypalonego davidoffa, zaciąga się płytko i odkasłuje. - Był jeden rolnik spod Kwidzyna, nazywał się śmiesznie, bo Karbowany. Koleś zgłosił kradzież pieniędzy, które miał dostać za sprzedane pole. Prawda była inna... Dostał kaskę za to, że nie wpuścił na pole firmy ExxonMobil. A akurat jego grunt był strategiczny dla oceny potencjału dużego złoża gazu.

- A podłəcili go ci z GRA?

- Albo ARG, albo RGA, a pani prokurator Raduńska, która to odkryła, dostała zaproszenie do Omegi. - Maja wrzuca do ognia w połowie tylko wypalonego papierosa.

Rozmawiają jeszcze ponad godzinę. Nad ranem, owinięte w pościel z makówkami, zasypiają w jednym łózk w dawnym pokoju Majki.

* *
* *

Dwadzieścia minut po dziewiątej Robert skręca w lewo ze starej szosy numer jeden, która przez ostatnie kilkanaście kilometrów biegła wzdłuż nowo zbudowanej autostrady, by dalej skręcić między rozrzucone w płaskim krajobrazie domy klocki.

Asfalt - na trasie z Torunia do Włocławka umiarkowanie podziurawiony i oblodzony - teraz, po zjeździe w wiejski dukt, zmienia się w zaśnieżone, kamieniste koryto. Trudno po tym iść, by nóg nie połamać, a co dopiero jechać. Coś wali w tylnym zawieszaniu auta, coś zgrzyta, całe podwozie jęczy w męczarniach. Za plecami znikają błyszczące świeżą farbą wiadukty, wielkie drogowskazy i ekrany dźwiękochłonne. Przed maską otwiera się kraina maleńkich, drewnianych szopek, poskręcanych z bólu starych jabłoni i krzywych, drewnianych słupów obwieszonych splątanymi kablami. Na drutach siedzą wrony - czarne dziury wycięte w stalowoszarym niebie.

Po nocnej odwilży wrócił lekki mróz i twarde zwały zbrylonego błota trzaskają pod szerokimi kołami subaru.

Jasio i Krzysio siedzą na tylnym siedzeniu, obaj w kurtkach i polarowych czapkach, których nie zgodzili się zdjąć mimo włączonego w aucie ogrzewania. Pierwszy trzyma w ręce wędkę, drugi ma na kolanach laptopa z wetkniętym weń filmem na DVD. Nie pokłócili się przez ostatnie pół godziny - i to jest sukces. Czyżby miał się ziścić wyjazd marzeń?

Robert co najmniej pięć razy szczegółowo planował samotny wypad z synami. Raz

miał to być spływ kajakiem, innym razem tułaczka po górskich schroniskach. Mieli wyjechać w trakcie poprzednich wakacji, potem przełożyli plany na ferie zimowe, później znowu na wakacje. On zmieniał w tym czasie pracę, oni rośli i przestawali wierzyć w ojcowskie opowieści o czekających ich męskich przygodach. Jasio z rozszczebiotanego maluszka zmienił się w wysokiego jak na swój wiek, zdecydowanego i lubianego w klasie dziesięciolatka. Krzysio, dwa lata starszy, pozostał odludkiem zatopionym w grach komputerowych, książkach i czasopiśmie przyrodniczych, których dziś zapakował do plecaka co najmniej tuzin. Robert walnie się przyczynił do rozwoju tej ostatniej manii, namiętnie kupując mu stosy ilustrowanych magazynów dla pasjonatów geologii, astronautyki, ichtiologii i paleobotaniki. Parę rzeczy w roli ojca udało mu się w końcu osiągnąć. Trochę zainteresował malców sportem - zwłaszcza Jasia, obecnie wielkiego znawcę drużyn futbolowych, siatkarskich i tych od piłki ręcznej z niemieckimi na czele. Bracia dali się nawet przekonać, że lepiej posłuchać sobie starego rocka, bluesa czy choćby czeskich ballad niż tego szumiąco-piszczącego gówna, które leje się z większości klipów na YouTube i głośników w sklepowych toaletach. Gówna, które komputery produkują masowo chyba tylko po to, aby słuchały tego inne komputery. Dzisiaj, w podróży, samochód wypełniają francuskie piosenki Isabelle Geffroy. Serce rośnie.

Przejazd do najbliższej wioski - Anina - okazuje się nie lada wyczynem. Gdyby nie wysokie zawieszenie subaru i jego czterokołowy napęd, pewnie musieliby wracać. Auto skacze na boki, na zakrętach wpadają w poślizgi - ale chłopakom się podoba. Krzysio odłożył nawet film.

- Tata, a jak staniemy tutaj w polu, to już nigdy nie ruszymy?

- Ruszymy, ruszymy, nie bój się.

- A daleko jeszcze?

- Dwadzieścia kilometrów, może mniej.

- A ile to czasu?

- W tych warunkach, synek, to pewnie pół godziny. Ale nigdzie się nie spieszymy, prawda?

- Pójdziemy jeszcze dzisiaj na ryby?

- Nie wiem, czy dzisiaj, czy jutro... Musimy najpierw rozpaść w piecu, bo przecież w tym domu będzie bardzo zimno, a chyba nie chcecie się przeziębować...

- Ja się nie przeziębiam.

- A ja będę mógł podpalać ogień?

- Będziesz mógł.

- Masz zapalniczkę, tata?
- Ja zawsze mam zapalniczkę. A teraz wziąłem cztery i jeszcze zapalki.
- Tata... wiesz co?
- Nie wiem.
- Fajnie, że jedziemy!

Robert w pierwszej chwili nie odpowiada, bo czuje, że gdyby się teraz odezwał, chyba by zapłakał. Trwaj, chwilo. Fajnie, że jedziemy... to mało powiedziane. Boże... Niewiele trzeba, żeby być ze sobą jak tak zwani normalni ludzie. Dlaczego to się nigdy wcześniej nie udawało?

Bo zawsze miałeś ważniejsze sprawy... ty łachu.

Ale teraz już się nie obwiniaj. *Carpe diem*.

Po dwudziestu minutach zza wyrzeźbionej wiatrem co najmniej dwumetrowej zasy wyłania się jakaś nieregularna i nieotynkowana konstrukcja, z której unosi się dym. Robert spogląda na wojskową mapę, którą rozłożył na bocznym siedzeniu: to może być Anin. Przy drodze stoi przysypany śniegiem traktor, z okapu koślawej murowanki zwisają potężne, żółtawe sopele. Wiatr kołysze sztywnym praniem na sznurach rozwieszonych pomiędzy zardzewiałymi żebrami czegoś, co kiedyś było szklarnią.

Czy da się suszyć ciuchy w mróz? Widocznie tak.

Wzdłuż samochodu biegnie, szczerkając jazgotliwie, mały pies na trzech łapach. Podbiega tak blisko kół, że momentami słycać go, ale nie widać.

- Tata, nie przejedziesz pieska?
- Nie przejadę.
- On taki biedny... Jedną łapę ma krótszą.
- Za to drugą ma dłuższą. Pan Bóg często daje coś na pocieszkę.
- Tata, nie śmieję się z niego.
- Przepraszam... Po prostu mam dobry humor i chce mi się żartować. Spójrz tam,

w prawo - na pole - widzisz?

- Zając!
- Dwa zające!
- Będziemy chodzili tropami zwierząt, chcecie?
- Ja chcę!
- Ja też!
- A daleko jeszcze?
- Chcecie pokierować?

- Ja pierwszy!
- Drugi!!
- To wypnij się z pasa i wchodź mi tutaj... na kolana, tylko ostrożnie.
- Ale najwyżej pięć minut, potem ja!
- A potem znowu ja!
- Tata, a patrz na zegarek, żeby on nie oszukiwał.

Robert odsuwa fotel do tyłu, Jasio gramoli mu się na kolana. Kładzie ręce na kierownicy, zadowolony buczy głośno, naśladując pracę silnika. Robert zwalnia do kilku kilometrów na godzinę. Powoli kołyszą się wśród białych muld i głębokich dołów. Po lewej, w obniżeniu terenu, pokazuje się na chwilę wielkie wiślane rozlewisko. Zamarznięte, gładkie, perłowe. Szkoda, żeśmy nie wzięli łyżew.

Po pięciu minutach - zmiana kierowcy. Krzyś ma już na tyle długie nogi, że ledwo się obaj z ojcem mieszczą za kierownicą.

- Tata, ale ty nie trzymaj kółka, kiedy ja trzymam!
- Muszę trochę pomagać. Co będzie, jak źle skręcisz i wpadniemy do rowu?
- Tu nie ma rowu.
- Tam jest, popatrz w lewo. Jakbyśmy sobie spadli, tobyśmy wylądowali aż na zamarzniętej rzece. Chciałbyś?
- Nie chciałbym. Ale ty tak wolno jedziesz.
- Skup się lepiej, bo już cię ściąga na prawo.
- Ty mnie ściągasz. Chociaż raz naciśnij gaz na maksa!
- Dobra... Połóż tu rękę, to wrzucimy drugi bieg...

Droga na miejsce - w coraz lepszych humorach - zajmuje trzem podróżnikom jeszcze kwadrans. W zwiniętej na bocznym siedzeniu czarnej, puchowej kurtce ojca dwa razy po kolei odzywa się telefon. Chłopaki z AC/DC rzną stary przebój *Highway to Hell*, ale Robert - zajęty rozmową z chłopcami - nie odbiera. Mijają dwa kolejne skupiska zapadniętych w śnieg baraczków, obdrapany dwór wśród drzew - opuszczony, jak prawie wszystko tutaj - a kilometr później duży, stojący samotnie dom oznaczony wielką planszą jako gospodarstwo agroturystyczne ze szkołą jogi. Ciekawe... Wydawałoby się, że nie ma tyle prozaku na świecie, by ktoś zechciał przyjechać na wypoczynek w takie miejsce, a jednak... Przed budynkiem - potężny terenowy samochód, skuter śnieżny, tablica reklamująca niedrogie obiady i drewniany drogowskaz ze strzałkami w kilku kierunkach. Na tablicach - takich, jakie widuje się na górskich szlakach - dają się odczytać wskazówki: „PKP Lubanie 2,8 km”, „Lotnisko Bydgoszcz 90 km”. Trzecia deska mówi coś o odległości do najbliższego

wjazdu na autostradę, ale Robert nie ma już czasu tego odcyfrować, bo w polu widzenia pojawia się bardzo wysoka, ostrzyżona na pazia kobieta. Na nogach ma śmieszne śniegowce ze sztucznego futra, na ramionach - grubą góralską chustę w kwiaty. Biegnie w ich kierunku, wysoko unosząc stopy w śniegu. Ruchy ma lekkie, dziewczęce.

Kogo ona przypomina?

Hamuje i jednocześnie otwiera szybę. Góralka już podbiega, ślicznie się przy tym uśmiecha.

- Robert?! Co ty tu robisz na końcu świata?

- Jadę z dziećmi na wyraj. Nad Wisłę.

Gorączkowa praca mózgu: kto to, cholera, jest? Znamy się - bankowo. Ale skąd?!

- Robicie ferie w tym miejscu?

- No... jak widać... To ty... Kalina...?

- A kto?

- Jejku! Ile to lat minęło?

- Od naszej ostatniej imprezy chyba już dwadzieścia sześć. Więc miło, że mnie poznałeś.

- Na ludowo wyglądasz kapitalnie.

Uśmiech kobiety robi się jeszcze piękniejszy.

- To twoi synkowie?

- Dzień dobry pani.

- Dzień dobry.

- Co ty tu robisz, Kalina... jogę uprawiasz?

- Jeszcze gorzej.

- Hę...?

- Kupiłam tę budę. Szkoła jest moja. Zobaczyłam samochód i pomyślałam, że jadą do mnie goście. Czekam na jedną rodzinę.

- I jak to idzie? Masz na tym... masz tutaj obłożenie?

- Na razie cienko, dopiero ruszyliśmy. Od sylwestra.

- Ruszyliśmy?

- Z Adrianem.

- Z kim?

- Mam teraz męża. - Kalina mruży w uśmiechu powieki i potrząsa przed twarzą Roberta smukłą dłonią, na której błyszczy obrączka. Duża, srebrna, z jakimś kwiatowym grawerunkiem. Przez chwilę oboje milczą. Robert dostrzega, że między skroniami a kącikami

bursztynowych oczu koleżanki mnożą się drobne zmarszczki. Ale i z nimi Kalina ciągle ma w sobie wiele z dziewczęcia z dawnych lat.

On przypatruje się jej intensywnie, a ona - najwyraźniej dostrzegając coś w jego wzroku - ma niezły ubaw.

- Trochę cię przytkało - mówi wreszcie.

- Że mąż? Nie, no... dlaczego...? U mnie też się sporo ostatnio działo.

- To wie cała Polska.

- Ja nie o tamtym, tylko... też już nie mieszkam w Toruniu. Mam na myśli... nie całkiem w Toruniu.

- I co robisz? Bo że "Głos" zniknął z kiosków, to zauważyłam.

- Robię w Warszawie magazyn dla obrzydliwie bogatych snobów. Kolorowy.

- Podjedź tam. - Kalina pokazuje ręką miejsce pomiędzy skuterem śnieżnym i fioletową amerykańską terenówką wysoko zawieszoną na kołach, jakich nie powstydziliby się zaden traktor. - Zapraszam na herbatę.

- Nie teraz, Kalinka. Musimy się zainstalować...

- Gdzie?

- My tu na tydzień. Jeden koleś, nie znasz go... taki Damian. W naszych czasach nie trzymaliśmy się jeszcze. Dał mi klucze do gospodarstwa.

- Damian Daszyński? Daszyńskich syn?

- Zgadza się. Mama i tata zostawili mu tutaj hacjendę. Już, widzę, wsiąkłś w okolicę.

- Żebyś wiedział. Pogadamy przy herbatce.

- Ale jutro, dobrze? Chcemy się jeszcze dziś za dnia zainstalować na chacie, a nie wiem, co tam zastanę.

- Nie dojdziecie takim samochodzikiem. Za dużo śniegu w tamtą stronę.

- Nie obrażaj mojego terenowca.

- Jak chcesz. W razie czego mogę ci pożyczyć samochód Adriana. Prawdziwy teren.

- Rozumiem, że wyszłaś za mąż na bogato.

- Wyszłam z miłości, a jak chcesz znać szczegóły...

- Chcę, bardzo. Wszystko sobie powiemy. Przyjedziemy jutro z rana. Albo lepiej jutro wieczorem, co ty na to?

- Raczej przyjdziecie tu po pomoc za godzinę, kiedy utoniecie w zaspach. Albo ześlizgniecie się do Wisły. Zdradliwe rozlewiska wszędzie się porobiły jeszcze przed świętami. Cienki lód. Mówię ci na wypadek, gdyby wam się zachciało łązić gdzieś przy brzegu. Żebyś cię nie musiała wyciągać. Ja albo Adrian... Cieszę się strasznie, że was

spotkałam. Długo zostajecie?

- Pięć dni.

- Szkoła przetrwania? Wychowujemy prawdziwych mężczyzn?

- Nic innego!

- Ładne te twoje urwisy... - Kalina znowu się uśmiecha. Jest naturalnie opalona i - jak się wydaje - szczęśliwa.

- Udani po mamie.

- Cieszy mnie, że wciąż próbujesz czarować. Tak czy owak, czekam na was.

* *
* *

Kilka minut później i półtora kilometra dalej okazuje się, że śnieg faktycznie jest za wysoki, by przejechać. Bezkres zasypanego pola podnosi się płynnie na skraju niewielkiego zagajnika, wypiętrzając śnieg w długie białe fałdy, pod którymi można się już tylko domyślać dalszego biegu drogi. Jeśli mapa w skali jeden do dziesięciu tysięcy nie kłamie, od brzegu Wisły dzieli ich teraz trzysta albo czterysta metrów. Od gospodarstwa Damiana - w którym Robert był dotąd tylko dwa razy i po pierwsze, dawno, po drugie, latem, a po trzecie, pijany - najwyżej połowa tego odcinka.

- Wiecie, że za tym laskiem będzie już chyba nasz dom?

- I poprosimy tą panią o duży samochód?

- Nie, sami damy sobie radę. Do pani pójdziemy jutro w odwiedzinach. A teraz założycie szaliki, weźmiemy plecaki i przebijemy się przez las. Między drzewami śnieg jest mniejszy.

- A samochód?

- Nikt go stąd nie zabierze. Kiedy napalimy w piecach, to sobie wrócimy po torbę, wędkę i resztę rzeczy, dobrze?

- Przekopimy potem drogę? Tak jak to robią na Alasce?

- Może...

- Zabierzemy jedzenie? Bo ja już jestem trochę głodny...

- Zabierzemy najpierw przekąski, a potem wrócimy i przyniesiemy resztę bagaży. - Robert wyłącza silnik i zakłada kurtkę.

Kolejna godzina upływa rozkosznie. Najpierw bitwa na śnieżki, potem przeprawa przez zmarzniętą gęstwinę niskich sosen i oblodzony grzebień dzikich wierzb. Później kolejno: skok nad płotem, ogrzewanie zapalniczką zamarznętej kłódki od chlewika-graciarni, przekopywanie się za pomocą łopat przez nawiany wysoko śnieg do drzwi wejściowych chatki. Zamek nie puszcza. Teraz trzeba opalić w ogniu klucz. Cierpliwe ogrzewanie nad

płomykiem plus smarowanie wygrzebaną z chlewa stearyną dają łącznie pożądany efekt: drzwi wreszcie stają otworem. W tym samym momencie zasłona chmur na niebie rzędzie, odsłaniając kawałek bladego nieba i słabe, zmęczone zimą słońce. Nieśmiała porcja światła sprawia, że szarozielonkawy śnieg na podwórzu i dachu domu natychmiast błyska ciepłymi odcieniami.

- No i widzicie, jaka nam się piękna pogoda szykuje? Jak na zamówienie. - Robert przytrzymuje w progu otwarte drzwi. - Kto pierwszy wchodzi?

Z wnętrza chaty wieje chłodem i zbutwiałą wilgocią.

- Tam są pająki?

- Jeżeli nawet były latem, to zamarły na kość i się nie ruszają.

- Strasznie zimno tutaj...

- Gorzej niż na dworze.

- To nie zdejmujcie czapek. Zaraz to naprawimy. Ja przyprowadzę taczkę z chlewa, a wy ją napełnicie drewnem z tamtej sterty.

- Ale ja pierwszy będę rozpalał ogień.

- Krzysio zapali w piecu, a Jasio w kominku. Zobacz, jaki jest fajny...

- A do czego są te druty?

- Do suszenia grzybów. Albo skarpetek.

- Mam mokro w nogach...

- To dopiero teraz mi, Jasiu, mówisz?! Ściągaj buty... Pokaż... O *fuck!* Masz w plecaczku drugie skarpety?

- W torbie zostały.

- Cholera. Dobra... To najpierw zapalimy ogień, a potem pobiegnę do auta. Jasio, ty zostań tutaj, masz moją kurtkę, wsadź w nią stopy, my z Krzysiem lecimy po opał. Aha... termos...

Po chwili młodszy syn, skulony na lodowatej kanapie przy zimnym palenisku, popija parującą herbatę z nakrętki, a starszy wraz z tatą uwija się na zaśnieżonym podwórzu. W kieszeni Roberta odzywa się komórka. Tym razem odbiera, ale po drugiej stronie nikt się nie zgłasza. Może coś z zasięgiem? Niby widać na wyświetlaczu dwie kreski sygnału, ale... Pieprzyć to!

Szczapy drewna zrzucone na kupę w kącie podwórza poprzymarzały do siebie. Trzeba je najpierw poodbijać, a potem przynajmniej jedną rozłupać na drobne drzazgi do podpałki.

Słońce świeci, Robert się spieszy, starszy syn pomaga, jak potrafi. Po półgodzinie cała trójka, siedząc na przysuniętej do kominka kanapie, opieka w buzującym ogniu słodkie

wafelki.

Robert wepchnął do kominka tyle drewna, ile weszło. Gdy wreszcie izbę ogarnia jako takie ciepło, obaj chłopcy zasypiają w ubraniach. Ojciec okrywa ich znalezionymi w szafie kocami, a potem kręci się po obejściu jeszcze przez trzy kwadransy: znosi drewno, rozpala w drugim piecu, włącza prąd - przełączniki bezpieczników wskakują na swoje miejsca dopiero za czwartym razem. Temperatura wewnątrz chaty podnosi się opornie, dlatego przynosi jeszcze znaną w chlewie dmuchawę. Gdy kolejny raz przechodzi przez podwórze, tym razem w poszukiwaniu przedłużacza do farelki, wydaje mu się, że na odległym o sto metrów wzniesieniu, za którym prawdopodobnie zaczyna się rzeka, ktoś stoi. Ubrany od góry do dołu na biał.

Mieszkaniec Anina podziwia przyrodę?

Adrian, wielbiciel amerykańskich terenówek, przyjechał obejrzyć starego przyjaciela swojej żony?

Wszystko jedno.

Wraca do chałupy.

Kabel spełnił zadanie - farelka hula przy kanapie. Leżący na niej chłopcy - przytuleni do siebie - mają czerwone policzki. Wznoszone podmuchem ciepłego powietrza drobinki kurzu wirują w skośnym świetle nad ich głowami. Jest dopiero wpół do drugiej, a słońce już chowa się za dach obory.

Robert wyciąga z kieszeni kurtki papierosy i telefon. Siedem nieodebranych połączeń. Niech dzwonią. Przelicza zawartość paczki: dziś zeszły dopiero dwie fajki. A to ci niespodziewany sukces!

Życie jest piękne. Uruchamia pompę wodną, myje ręce nad kuchennym zlewem, potem, z papierosem w ustach, pisze i wysyła trzy SMS-y: do Kamili, do Iwony i do Damiana.

* *
*

Majka budzi się w Piasecznie.

Słyszy równy, głęboki oddech śpiącej tyłem do niej koleżanki i gong starego zegara piętro niżej. To chyba ten dźwięk ją obudził. Promień słonecznego światła, który pojawia się wysoko na tapecie w kolorowe prążki, wskazuje, że musi już być późno. Jedenasta? Dwunasta? Pierwsza?

Nie chce jej się sięgać po zegarek. Nie chce jej się nic. Zamyka oczy i próbuje zasnąć ponownie. Nie myśleć, nie czuć, nie cierpieć. Nie być. Ale senność wycieka z niej i wsiąka w prześcieradło.

Dlaczego właśnie mnie to spotkało?

Serce bije nierówno: tok-bum-tok-tok-bum-bum-bum...

Jestem sama. Papa nieuchwytny za granicą. Pawła już nie ma. A z jego mamą - jedyną osobą, która mnie teraz szuka - nie chcę rozmawiać.

Bo nie jestem gotowa nikogo pocieszać. To ja potrzebuję pocieszenia. Pomocy. Głodne zwierzęta na Polskiej... pogrzeb Pawła... aneks do referatu. Gdybym go nie napisała - czy on by żył? Czy jestem winna? Czy byłam pyszna? Po co to było? Żeby się popisać? Pokazać: patrzcie, nikt nie potrafi myśleć tak jak Szalawska. Wszyscy jesteście ślepi i głupi, a tylko ja taka mądra.

Mam prawie dwadzieścia pięć lat, bogatych rodziców, którzy zapewnili mi królewskie warunki - a nie skończyłam studiów, nie znalazłam pracy, nie urodziłam dziecka, nie nakarmiłam głodnego uchodźcy, nie nauczyłam się malować, nie nakręciłam filmu. Ale kochałam i byłam kochana... I Kocham dalej, lecz to uczucie urywa się w pustce. Podobnie jak całe dotychczasowe życie.

Referat. Aneks. Policja... Czy z takimi sprawami dzwoni się na policję? A gdzie indziej? Czy da się wytłumaczyć kolejnemu tępemu służbiście subtelne zależności między sędzią z Lublina, fundacją z Brodnicy i spółkami zarejestrowanymi przez prawników z Wybrzeża?

Maja czuje, że obie dłonie ma ściernięte, jak gdyby odpłynęła z nich krew. Policja i jej głupie protokoły... Nie bądź niemądra! Musisz zadzwonić, żeby przynajmniej spróbować to wyjaśnić. Może trafisz na kogoś kompetentnego?

Dlaczego nie powiedziałam ojcu o referacie, kiedy jeszcze tutaj był? Dlaczego, pisząc, nie zastanowiłam się nad konsekwencjami tej pisaniny?

Bo jestem głupia.

- Ojeeejku... - Beata przewraca się na drugi bok, lewą dłonią przeciera oczy, prawy łokieć wsuwa sobie pod głowę. Niezmyty w nocy makijaż zbił się w grudki na jej policzkach.

- Pić mi się chce... Która jest...?

- Nie wiem. - Maja też ma zaschnięte usta.

Beata mruczy:

- O jedenastej muszę być w mieście.

- Mogę cię zawieźć.

Majka siada na łóżku i spuszcza nogi na gruby, włochaty dywan. Czuje zawrót głowy, lecz po chwili przychodzi otrzeźwienie, a plan układa się sam. Nie dać się pochłonąć poczuciu winy, nie dać się czarnej dziurze. Zadzwonić do ojca i do mamy. Poinformować

Pruskiego, co się stało z Kopcińskim. Niech wie. W końcu to on umówił Pawła i tamtego.

Przede wszystkim: jechać na policję.

Opowiedzieć im całą historię podejrzeń, choćby mieli protokołować dwadzieścia godzin bez przerwy. Choćby nie uwierzyli ani jednemu słowu.

Wstaje, podchodzi do okna. Termometr na zewnątrz wskazuje minus siedem stopni. Słońce wędrujące pomiędzy poszarpanymi chmurami rzuca oślepiające refleksy. Zimne ogniki błakają się wśród lodowych sopli zwisających z gałęzi drzew.

Beata rusza w stronę łazienki.

- Mam ci zrobić śniadanie? - Maja oburącz rozrzuca włosy.

- Nie ma mowy, bym coś przelknęła. - Koleżanka wchodzi do wielkiego pomieszczenia, które przypomina raczej salon kąpielowy w spa niż domową łazienkę. Musi się chwilę zastanowić, by pojąć, jak odkręcić kran nad marmurową umywalką rozmiaru wanny dla dziecka. Pochylona nad strumieniem ciepłej wody moczy twarz, szyję i dekolt.

Dwadzieścia minut później obie stoją w przedpokoju na dole.

Majka - w dżinsach rurkach, płaskich sportowych butach i powyciąganym swetrze *vintage* stylizowanym na samodzielnie wydziergany - próbuje uporządkować przed wielkim lustrem rozczochrane włosy. Beata - z oczami czerwonymi jak u królika - wkłada stopy w swoje kalosze pokryte kwiecistym wzorkiem i naciąga rękawy cienkiego przeciwdeszczowego płaszcza.

- Zimno się zrobiło, pożyczę ci coś na głowę. - Maja przynosi z łazienki swoją czapkę z włóczki. - Świeżo wyprana.

- Cudowny kolor na zimę. - Beata usiłuje się uśmiechnąć. Staje przed wysokim lustrem w ciężkiej, drewnianej oprawie i próbuje okiełznać burzę loków. Najpierw frotka, potem czapka na czoło, odrobina kremu na usta, rękawiczki z kieszeni.

Maja kilka razy przechodzi szybko między jadalnią, salonem i kuchnią.

Co trzeba zabrać? Torbę... klucze od auta, komórkę... właśnie...

Wraca do sypialni na górze. Schodząc na dół, dzwoni na numer Pruskiego. Gdy słyszy w słuchawce długi, nieco poszarpany sygnał, przystaje.

- Zapalę sobie na ganku, poczekam... - Beata zakłada na ramię cynamonową listonoszkę, otwiera drzwi na ganek.

Słyszy krakanie wron - kolczaste dźwięki w leśnej ciszy - i szum silnika przejeżdżającego gdzieś daleko samochodu. Wyjmuje papierosa ze sztywnego pudełka.

Nie słyszy głuchego huknięcia dobiegającego spomiędzy odległych, wysokich drzew o prostych pniach. W tej temperaturze pocisk pędzi dwa razy szybciej niż dźwięk. Kiedy

odgłos strzału odbija się echem od frontu domu, a ułamek sekundy później od zmrożonej ściany jałowców w ogrodzie, Beata zaczyna już padać na plecy. Pchnięta niewidzialną siłą, skoncentrowaną w siedmioipółmilimetrym, paskudnie wydrążonym kawałku metalu, uderza tyłem rozpekniętej głowy w najniższy stopień bazaltowych schodów. Wokół jej twarzy, przed chwilą tak pięknej, a teraz zeszpeconej, mieszają się cztery kolory: biel śniegu, żółcień rozsypanych włosów, jasny pomarańcz rozszarpanej wełnianej włóczki i ciemna czerwień krwi, ta najbardziej intensywna, nie do pomylenia z żadną inną barwą.

* *
*

Bardzo wysoki, prawie dwumetrowy snajper, który od pięciu godzin tkwił nieruchomo na sośnie, walcząc z zimnem i zmęczeniem, obserwuje wejście domu Konstantego Szalawskiego jeszcze tylko kilka sekund. Atak kaszlu, wcześniej powstrzymywany, teraz, po strzale, dopada go z potrójną mocą. Agent nie może zwalczyć przeziębienia już od dwóch tygodni. Zaprawił się paskudnie w podobnych okolicznościach: wisząc na innym drzewie w wysokim lesie, na drugim końcu Polski, koło jakiejś zaszczanej wioski z psem w nazwie. Samo oczekiwanie na egzekucję Polaka, któremu wcześniej organizował transport, trwało dłużej, niż zakładał plan. Rudy jeep, osobiście skradziony przez agenta, pojawił się co prawda tam, gdzie miał być, i to o czasie, a nawet szybciej, ale figurant numer cztery nie dał rady wyminąć tkwiącego na drodze zepsutego samochodu jakiegoś miejscowego wsioka i niespodziewanie zmienił kierunek niespełna pół kilometra przed miejscem, w którym miał dostać kulę w łeb. Potem sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej.

Czwórka, oślizgły typek, o którym snajper zdążył wyrobić sobie jak najgorsze zdanie podczas dwóch dni wspólnych przygotowań do akcji, okazał się gorszym patałachem, niż można było sądzić. Ciągnął za sobą stado glin. Na widok kolejnych radiowozów, a potem jeszcze helikopterów agent miał prawo zrezygnować z kontynuowania misji, ale nie zrobił tego. Czekał w rozwidleniu pnia najwyższej sosny. Co z tego, że w ciepłym, maskującym stroju? Przy ponad dwudziestu stopniach poniżej zera, na wietrze i bez możliwości ruchu, żaden strój nie jest dość ciepły. Kwadrans mijają, słońce zachodziło, a on wciąż obserwował - używając na zmianę lunety karabinu i lornetki - miotających się po okolicy uzbrojonych ludzi. Widział samochody, psy, rozstawiane reflektory i ciekawskich tubylców przeganianych przez policję z miejsca na miejsce. Cierpliwe czekanie w końcu się opłaciło. Czwarty - żaloszny pojeb - zgodnie z przewidywaniami snajpera nie przedarł się przez las. Wrócił wprost w objęcia pościgu na pola wokół wioski. Miotał się między płotami i rowami melioracyjnymi, pędząc autem to w jedną, to w drugą stronę. Gliny już go otaczały, żeby aresztować.

Chcieli go żywego. Ale nie dostali.

Gdy wyskoczył z wozu i rzucił się do panicznej ucieczki piechotą, agent sprzątnął go jednym, fantastycznym strzałem. Przy odległości przekraczającej kilometr i silnym wietrze trzeba brać pod uwagę nie tylko to, że kula leci kilka sekund, a w tym czasie biegnący człowiek zmienia położenie, ale też to, że pocisk opada nawet o kilkanaście metrów. Do tego jest znoszony przez wiatr, który wieje raz mocniej, raz słabiej.

Mimo to Kajetan Leski dostał prosto w czaszkę.

Co, niestety, nie zakończyło pracy snajpera. Choroby nabawił się od nieruchomego czekania, przeszło siedem godzin, aż zabiorą trupa i z całej okolicy wyniosą się te tłumy policjantów, leśników i innych. Nie pomogło mu także i to, że potem, zamiast odpocząć, musiał jeszcze niezauważony przejechać z trefną spluwą pół kraju, by podrzucić ją w sąsiedztwie posiadłości innego figuranta, Niemca. Trzy dni później dopadła go gorączka, zaczęły się kłopoty z oddychaniem. Arsen powinien był po tym wszystkim znaleźć dla niego jakąś robotę pod dachem, ale kiedy wczoraj wieczorem ta młoda suka, „siedemnastka” zadzwoniła na telefon urzędniczyny, figuranta siódmego, którego wcześniej przejechali na ulicy, zapadła decyzja o natychmiastowej eliminacji gówniary. Fakt, że agentem trzęsie obrzydliwy, rwący płuca kaszel - taki jak w tej chwili - nikogo nie obchodził. Musiał znowu pakować się nocą do zimnego lasu, wisieć na kolejnym drzewie jak jakaś jebana małpa.

Kaszel znowu go atakuje.

Snajper prawie się dusi, piersi i ramiona drżą, a luneta przy długiej lufie karabinu skacze. Obraz zastrzelonej przed chwilą figurantki znika. Powinien jeszcze chwilę poczekać, ale trafienie nie budzi wątpliwości, a jemu chce się już wejść do zaparkowanego kilometr dalej audi z podgrzewanymi siedzeniami w kabinie.

* *
*

Majka stoi z komórką w ręce na schodach w domu.

Natychmiast po wystrzale w słuchawce telefonu usłyszała najpierw jakieś trzaski, potem krótkie, męskie, nieco ochryple „halo?”, a po nim sygnał oznaczający zakończenie połączenia.

Teraz powoli schodzi na dół.

Przesuwa się wzdłuż ściany w stronę jasnej jadalni. Patrzy przez szybę, nie podchodząc do niej zbyt blisko. Wspięta na palce stara się dojrzeć zewnętrzne schody, ale kwitnące na parapecie chińskie róże zasłaniają podjazd i ganek. Nisko schylona podciąga do ściany jedno z ciężkich, dębowych krzeseł i wchodzi na nie.

Dopiero teraz widzi, co się stało z „Badzią”.

13.

Środa, 18 lutego, popołudnie

O ile podczas wczorajszego pobytu w komendzie policji Maja miała wrażenie, że jest jedną z setek osób-klocków standardowo przesuwanych pomiędzy korytarzami i pokojami oficerów dyżurnych, o tyle teraz zdaje jej się, że stanowi centrum zdarzeń.

Zdanie, które wprawilo otaczającą ją maszynierię ludzką w przyspieszony, pozornie chaotyczny ruch, padło jeszcze w Piasecznie, w kuchni domu ojca, gdy otoczona funkcjonariuszami obu płci po raz trzeci powtarzała, jak ma na nazwisko i kiedy się urodziła. Właściwie nie było to nawet zdanie, lecz krótkie potwierdzenie.

Najpierw wyższa od niej mężczyzny, szeroka w ramionach i krótko ostrzyżona policjantka z trzeszczącym radiotelefonem w ręku sylabizowała niewidocznemu rozmówcy jej imię i nazwisko: „Sza-law-ska Ma-ja”. Potem słuchała kogoś, kto mówił, a raczej wyszczeniwał słowa na tyle szybko, że Majka nic z tego nie zrozumiała. Potężna funkcjonariuszka była jednak najwyraźniej przyzwyczajona do tych szczeknięć i czegoś się dowiedziała, bo nagle wykonała dłonią gwałtowny ruch, który unieruchomił wszystkich wokół: krępa policjantkę w czapce, która właśnie rozdawała zebranych gorącą herbatę, dwójkę techników z walizkami, milczącego, wąsatego oficera w rozpiętym płaszczu i wiercącego się przy drzwiach młodego posterunkowego w czarnym mundurze ściśniętym pasem z przytroczoną ogromną kaburą.

- Pani jest z tego zdarzenia na Polskiej? - słowa herod-baby wybrzmiały w nagłej ciszy zakłócanej tylko ledwo słyszalnym szumem silników kilku samochodów za oknem i trzeszczeniem radiotelefonu.

- Tak. To ja.

Od tego momentu wszystko przyspieszyło, a policjanci - w odróżnieniu od tych, którzy wczoraj rzucali w jej stronę pytania i notowali odpowiedzi, nie odrywając wzroku od formularzy - teraz patrzyli jej głęboko w oczy, jak gdyby chcieli dobrze zapamiętać jej twarz lub coś z niej wyczytać.

- Pani sprawę przejmie Wydział do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw - te słowa usłyszała w pędzącym przez Warszawę radiowozie. Potem, w zalewie pytań i odpowiedzi, padło jeszcze kilka istotnych zdań. Zrozumiała, że trwa jakiś spór kompetencyjny w jej sprawie. Dotarło też do niej kilka strzępków rozmowy na temat śladów odnalezionych na Polskiej. Z kontekstu zrozumiała, że ma to coś wspólnego z narkotykami,

a ktoś interesuje się znajomością Pawła z jakimś Kolosem czy Kulasem. Najpierw pomyślała, że policjanci uporczywie brną w ślepią uliczkę, potem - że jest jej to obojętne, jeszcze później - że może ktoś z nich, skoro ciągle kręcą się na Polskiej, będzie tak miły, by rzucić jedzenie zwierzętom. Poprosiła eskortującego ją wścawca, żeby przekazał prośbę.

- Jedzenie jest w puszkach, w przedpokoju na podłodze.
- Rozumiem. Niech się pani nie martwi.

* *
*

Dopiero półtorej godziny po wyjeździe z Piaseczna słyszy pytanie najważniejsze:

- Czy pani podejrzewa, kto mógł zastrzelić koleżankę?
- Tak.

Dwie pary oczu intensywnie wpatrzone w jej twarz.

- Tak?
- Myślę, że ci sami ludzie, którzy zabili pana Kopcińskiego z ministerstwa.

- Kopcińskiego? A nie Domaradzkiego Pawła? - Czterdziestoletnia z wyglądu, asymetrycznie ostrzyżona i bardzo ładna kobieta w atramentowej, prążkowanej garsonce, która przed chwilą poczęstowała Maję przesłodzoną kawą, na moment odrywa wzrok od jej twarzy. Spogląda pytająco na lekko zgarbionego mężczyznę o brązowych oczach i czarnych włosach zaczesanych z przedziałkiem. Facet stoi w kącie pomieszczenia bez okien od samego początku rozmowy - właściwie chyba już tam był, gdy Atramentowa Garsonka wprowadziła Maję do środka. Jego męska, kiedyś zapewne piękna, ale dziś już mocno zniszczona czy zmęczona twarz przecięta jest na brodzie blizną i wyraża coś w rodzaju rozumnej desperacji. Ma na sobie kawowy garnitur niezłego sortu i niedopasowane do niego, niemodne czarne buty. Czuć od niego papierosowy dym, niezłe perfumy i zdecydowanie.

Ani razu się nie odezwał, ale jest jasne, że to on tutaj rządzi.

Maja zaplata dłonie na blacie stołu, gdzie stoją tylko: bezprzewodowy mikrofon, pusta popielniczka i jej kawa w purpurowobrązowym papierowym kubku, z którego wystaje białe mieszadełko.

- Jeśli chodzi o mojego Pawła, to on... tak myślę... zginął z tego samego powodu co pan Kopciński i... w pewnym sensie... Beata.

- Dlaczego „w pewnym sensie”?
- Bo to ja miałam dziś zostać zastrzelona.

Chwila ciszy, a potem kolejne pytanie policjantki:

- Sugeruje pani, że urzędnik ministerstwa, pani narzeczony i pani koleżanka... zginęli zamiast pani?

- Nie... tego nie powiedziałam. Ale z mojego powodu.

Atramentowa Garsonka odchyła się na krześle i chyba zastanawia się, o co ma pytać dalej. Przez moment nie patrzy Majce w twarz, tylko odczytuje coś ze spiętego pliku kartek, który trzyma przed sobą. Pytające spojrzenie w stronę mężczyzny, jego kamienne oblicze. Jeżeli przekazali sobie coś oczami, to Maja tego nie zrozumiała. Funkcjonariuszka znów jest skupiona i zdecydowana, a jej głos - donośny.

- Niech pani zacznie od początku.

- Miałam zostać zabita, ponieważ... jak mi się wydaje, wpadłam na trop związany ze sprawą Synów, czyli Omegi, czyli...

- Wiemy, o czym pani mówi.

- Tym, na co wpadłam, są, krótko mówiąc, powiązania ludzi i firm. Napisałam o tych powiązaniach, dopisałam wnioski do pracy na zaliczenie Pawki. On był...

- Paweł Domaradzki?

- Tak. Był studentem Wiedźmina. Pana Pruskiego, tego dziennikarza z Torunia.

- I pani narzeczony pisał dla swojego nauczyciela jakiś raport, czy tak?

- Referat. Podsumowanie ustaleń co do zamachu w Omedze. Takie ćwiczenie z dziennikarstwa... Znalazłam wizytówkę, to znaczy Pawka mi ją dał. Bo Wiedźmin go wcześniej skontaktował ze swoim kolegą, właśnie Kopcińskim, żeby Kopciński nam pomógł.

- Pomógł w czym?

- Paweł chciał wydać referat jako swój artykuł. Albo nasz wspólny. Artykuł z tą naszą... moją... teorią. Że nie ma żadnych jedynaków polskich i nie chodzi o Ruch dla Wolności, tylko o pieniądze i wydobywanie gazu.

- Gazu?

- Gazu z łupków. Wierzyliśmy oboje, że to będzie publikacja, która wstrząśnie maksymalnie... Teraz to strasznie brzmi, ale tak mi się wydawało. I żeby się nie ośmieszyć, żeby ktokolwiek to przyjął do druku, potrzebny był nam z Pawłem jeszcze głos z drugiej strony. Policja i prokuratura - wiadomo - wszystko jest tajne, a Paweł nie jest... nie był... zawodowym dziennikarzem. Wymyślili więc z Wiedźminem, że ten Kopciński, kolega Pruskiego, że on mu po znajomości załatwi kogoś ważnego do artykułu. Wypowiedź. Żeby ktoś z ministerstwa tę teorię w referacie poznał i ocenił. Ktoś poważny. Ale nikt nie chciał. Zlekceważyli Pawła maksymalnie, to znaczy Kopciński zwodził, nie odzywał się, Pawka dzwonił do niego i słyszał, że jutro, jutro. Dlatego ja wzięłam tę wizytówkę z takim pomysłem, że teraz mój tata pomoże. Bo on jest... - Maja na chwilę zawiesza głos. Wymienienie któregoś z tytułów ojca zawsze ją krępowało.

- Pan minister Konstanty Szalawski. - Atramentowa Garsonka patrzy na nią spokojnie.
- Już mi powiedziano. Czy ma pani jeszcze tę wizytówkę?
- Mam w domu... u papy. Została w Piasecznie. W moim pokoju. Na górze.
Policjantka zaznacza coś w papierach.
Maja podnosi do ust kubek z kawą i odstawia go, nie upijając nic.
- Jeszcze czegoś nie powiedziałam wam wczoraj.
- Nam?
- Policji.
- Słuchamy.
- Jak mi pokazywali zdjęcia i pytali, co zaginęło z domu, to im wyliczyłam, że tablet, komputer i radio... ale tam był przecież jeszcze wydruk tego referatu. A Pawka miał przy kluczach do domu pendrive'a. Gdybyście teraz sprawdzili...
- Pojedziemy tam z panią na miejsce. Dziś jeszcze. I sprawdzimy depozyt.
- Aha... Jeszcze coś ważnego... a może nie bardzo...
- Proszę mówić.
- Kiedy dzwoniłam do pana Kopcińskiego, on już nie żył.
- Kiedy pani dzwoniła?
- Wczoraj.
- O której godzinie?
- Chyba krótko przed jedenastą wieczorem. Jakoś tak.
- Co było dalej?
- On nie żył, ale ktoś jednak odebrał komórkę. I nie przedstawił się, tylko chciał wiedzieć, kim jestem. Mówił po angielsku, ale to nie był Anglik. Kiedy zadzwoniłam do córki pana Kopcińskiego, dowiedziałam się, że miał ten wypadek...
- Zadzwoniła pani do córki Grzegorza Kopcińskiego po jego śmierci?
- Tak.
- Z tej komórki, którą...
- ...oddalam tej pani, co mnie wypytywała jeszcze w Piasecznie. Tej pierwszej policjantce, takiej dużej. Ona mi powiedziała, że oddacie...
- Telefon zostanie pani zwrócony. O ile podpisze pani zgodę na skopiowanie pamięci. Te połączenia mogą w przyszłości...
- Ja rozumiem, podpiszę.
- Czy pani jest absolutnie pewna, że Paweł Domaradzki przekazał tekst materiału dziennikarskiego, o którym pani opowiada, swojemu wykładowcy i Grzegorzowi

Kopcińskiemu? - stojący pod ścianą mężczyzna z blizną zadaje wreszcie jakieś pytanie. Jego ekstremalnie niski ton głosu przypomina Majce znanego amerykańskiego aktora, tylko nie może sobie przypomnieć którego. Na pewno Murzyna.

- Jestem pewna. Pawka dał to Pruskiemu na kartkach. I chyba na pendrivie też, osobno. Ale Pruski mu oddał po poprawieniu. Tak mi mówił.

- Kto mówił?

- Mój narzeczony. A potem, do ministerstwa, wysłał plik mailowo. Prosto z domowego komputera.

- Zatem pan Paweł miał ten tekst wydrukowany na papierze i jeszcze kopię na pendrivie, i drugą w komputerze stacjonarnym...

-...i chyba wszystko nam, jemu, wczoraj ukradli.

- To właśnie pojedziemy sprawdzić.

Na moment zapada cisza.

Maja ściera z półeczki łyżkę. Popłynęła tylko jedna. Więcej nie będzie. Nie pobeczy się teraz, przed kamerą, której nie widzi, ale która na pewno gdzieś tu jest i wszystko rejestruje.

- Zatem jedną kopię elektroniczną dostał Grzegorz Kopciński... a Robert Pruski, wcześniej, wydruk. A pani nie ma własnej kopii?

- Nie. Mam wszystko w głowie.

- Proszę mówić.

Maja upija łyk wystygłej kawy. Jest bardzo niedobra. Trąci najtańszym, sacharynowym słodzikiem, pachnie jak mokre futro psa, smakuje ziemią.

- Według tego, co napisałam, nie ma żadnej organizacji terrorystycznej... chciałam powiedzieć inaczej: ona jest, ale inna. Nie chodzi o kwestie światopoglądowe, prawo do aborcji ani wolność pędzenia śliwownicy. Nie chodzi o marihuanę i internet - Maja mówi coraz szybciej, prostując się na krześle. Nabiera powietrza, kładzie obie ręce na udach. Już nie jest zapłakaną dziewczyną na przesłuchaniu. Jest kimś, od kogo ci ludzie mogą się dowiedzieć rzeczy najważniejszych. Nie będzie więcej płaczu. Trzeba ich znaleźć. Trzeba, żeby odpowiedzieli za Pawkę. Za Badzię. - Im chodzi o wielkie interesy z gazem.

- O tym już pani wspomniała. Ale kogo ma pani na myśli, mówiąc „im”?

- Wielki biznes energetyczny. Bo nie ma żadnych Synów Polski. Ktoś ich cały czas sztucznie stwarza, żeby eliminować różnych ludzi pod pozorem, że robią to ekstremiści, szaleńcy, faszyci. Znalazłam powiązania trzech osób, ale może być ich więcej. Może nawet wszyscy albo prawie wszyscy zaproszeni do Omegi byli ludźmi przeznaczonymi... do odstrzału. Może ten prezes Mater też... ale z innego powodu, niż się mówi. Nie dlatego,

że liberalizacja, Superustawa i tak dalej...

-...ale dlatego, że gaz... - Brunet o dudniącym głosie siada na pustym dotąd krześle tuż obok Atramentowej Garsonki i pochyła się w stronę Majki, a ona kiwa głową.

- Proszę opowiedzieć nam o tych trzech osobach. O powiązaniach.

- To prokurator z Torunia Kazimierz Czyżykiewicz, prokuratorka z Gdańska Wanda Raduńska i sędzia z Lublina.

- Sędzia Ambroży Malak.

- Tak. Od kogo mam zacząć?

- Od pana Czyżykiewicza na przykład.

- Prowadził dochodzenie po zawiadomieniu, które złożyła Fundacja Zielone Płuca z Brodnicy. Chodziło o wycięcie drzew przez firmę działającą na zlecenie tych, którzy tam wiercili za gazem.

- To znaczy?

- Amerykańsko-holenderskiej spółki Chevrex. Ekolodzy złożyli przeciw niej kilka różnych doniesień i wniosków: do sądu, do samorządu, do policji, do różnych izb kontroli i obrachunków... Raz pisali o drzewach, a innym razem o siedliskach rzadkich ptaków i ślimakach. Efekt był taki, że wstrzymywali Amerykanom prace. Prokurator Czyżykiewicz wysłał policjantów czy inspektorów, żeby sprawdzili, jak to faktycznie jest z tymi drzewami. I widocznie nie było nic złego, bo kazał umorzyć sprawę. Ale ekolodzy się odwołali, przez co roboty przy wiertniach dalej stały w miejscu. Pół roku... Nie wiem, niestety, co napisali w odwołaniu - może coś obyczajowego, tego nie znalazłam w necie - ale chyba bardzo mocno nastąpili prokuratorowi na odcisk. Ruszył policję i urząd skarbowy, i tych, którzy kontrolują dotacje unijne, żeby sprawdzić te Zielone Płuca pod kątem lewego finansowania. Bo tam są dziwaczne i nie wiadomo na co przeznaczone przelewy ze spółki o nazwie GAR Investment Company Poland.

- Może pani powtórzyć?

- GAR Investment Company Poland.

- Proszę mówić dalej.

- Pan Czyżykiewicz zwrócił się do zwierzchników o zgodę na jakieś dalsze czynności w tej sprawie. I dostał ją drugiego stycznia. A niedługo potem - wiecie sami... zaprosili go do Omegi. Tak samo jak panią Raduńską i sędziego Malaka, którzy, tak się składa, zajmowali się firmami-siostrami tego GAR Investment.

- Pani jest prawniczką?

- Studiowałam niecałe trzy lata. Ale to nie moja bajka.

- Mam przeciwne wrażenie. - Brunet z blizną uśmiecha się przyjaźnie. - I te wszystkie informacje po prostu, ot tak, wyciągnęła pani z internetu?

- By dostać się na wewnętrzne strony prokuratury albo urzędu kontroli, nie trzeba być hakerem. To można zrobić po prostu przez...

- Niech pani lepiej tego nie mówi w tym pokoju. - Policjant podnosi palec. Maja już sobie przypomniała, z kim jej się kojarzy ten gardłowy głos.

Z aktorem Morganem Freemanem.

- A co może nam pani opowiedzieć o samej spółce GAR?

- To jest jedna z kilku, może kilkunastu firm... Już na pierwszy rzut oka widać, że mają ze sobą coś wspólnego. Niektóre - identyczne daty powołania, inne - adresy w tej samej kancelarii. I jeszcze powtarzające się w tytułach litery, jakby od nazwisk, imion czy ksywek trzech osób. To maksymalnie głupie i od razu wpada w oko. Nie wiem, czemu ci dwaj kolesie w ten sposób nazwali...

- Jacy „kolesie”?

- Co najmniej cztery spółki są zarejestrowane przez kancelarię adwokata Jakubowskiego w Sopocie. Zapisał je na siebie Wiktor Cezar, który jest tam współnikiem.

- Ten Wiktor Cezar?! - Policjantka w garsonce wstaje z krzesła.

- Ten sam. Narzeczony córki pana prezydenta.

Oficerowie wymieniają spojrzenia, których znaczenia tym razem Maja domyśla się doskonale.

- Musimy zmienić pomieszczenie, jeżeli mamy rozmawiać dalej. - Brunet o głosie Freemana wstaje, więc Maja robi to również.

14.

Wiceminister Sławomir Drehner uważa się za człowieka skrzywdzonego. Bo ani wolne od podatku - faktycznie niemałe - sumy, które odebrał w ostatnich dwudziestu pięciu latach, ani jego kariera, której nie byłoby, gdyby nie tamten deszczowy poranek, nie są wystarczającą rekompensatą za nerwy, wyrzuty sumienia, wieczną czujność i podwójne myślenie, które stało się jego naturą do tego stopnia, że nie potrafi już spontanicznie reagować, cieszyć się... Czasami ma wrażenie że pająki - jak nazywa tych ludzi na własne potrzeby - doprowadziły go na skraj choroby psychicznej.

Fatalny deszczowy poranek był bardzo ciepły, a sam Drehner - młody, od dwóch lat żonaty, od pół roku dzieciaty i wciąż jeszcze pijany. Była środa, koniec sierpnia roku 1989,

przedmieścia Wrocławia. Fiat 125p, chociaż zwany w tamtych czasach „dużym”, faktycznie był ciasny i miał - jak się miało okazać - jeszcze inną wadę. W tym momencie jednak najbardziej doskwierał Sławkowi i wpychającej się na jego kolana dziewczynie brak przestrzeni. To również przez ten niedostatek miejsca stało się to, co się stało.

Ona miała na imię Janka, wołali na nią Nana i była koleżanką z pracy, to znaczy z kancelarii zespołu adwokackiego. Poprzedniego dnia świętowali imieniny jednego z mecenasów - w tamtych czasach wciąż świętowano: a to imieniny, a to urodziny, a to chrzciny... Po bankiecie w miejscu pracy przyszedł czas na kolację z oceanem wódki - zaczęli w Klubowej, skończyli chyba w Stylowej, gdy w pierwszej z knajp zabrakło alkoholu. Po kolacji przerzedzone już towarzystwo - sami najtwardsi faceci i najbardziej napalone dziewczyny - odwiedziło jeszcze bar w hotelu, a potem klub dansingowy... To chyba był Savoy, a może KDM? Był striptiz, także i męski, oraz kolejne butelki wódki. Potem - już dokładnie nie pamięta, jak to było - albo on włożył Nanie ręce pod spódnicę, albo ona jemu w spodnie. I zaczęło im się bardzo spieszyć.

Nie powinni byli jechać do niej samochodem - ani jego własnym, ani żadnym innym, chyba że taryfą - ale taksówek na postoju nie było, a im obojgu tak bardzo chciało się kochać, że pierwsze rżnięcie zafundowali sobie zaraz za mostem, gdy tylko wyjechali poza gęstą zabudowę Starego Miasta i znaleźli nieoświetlony kawałek klepiska przy drodze. W jej mieszkaniu, czyli pokoju z kuchnią na parterze wolno stojącej kamienicy gdzieś za Psim Polem, czekała wódka z colą i jeszcze jeden striptiz, ale tym razem już tylko dla niego. Nana miała lepsze ciało od tancerki z Savoya. Była szczuplejsza, cycki jej sterczały bardziej zalotnie i nie zasłaniała owłosionej piczki jak tamta. Poza tym potrafiła wypić więcej niż niejeden facet i mimo późnej pory nie morzył jej sen. Palila dużo carmenów, wlewała w siebie kolejne ciepłe drinki i chciała się pieprzyć do upadłego. Dosłownie. Po czwartym razie Sławkowi za nic nie chciał już stwardnieć, a ona dopiero wtedy pokazała, co potrafi. Najpierw ułożyła go na plecach, a potem zaczęła się nad nim masturbować, jednocześnie pracując nad jego fiutem tak ostro i zarazem fachowo, że po prostu nie miał innego wyjścia - musiał stanąć. Drehner do dziś pamięta rozanieloną twarz Nany, gdy spocona i jęcząca kończyła go ujeżdżać. Na dworze robiło się jasno.

Kilka godzin później - bez kawy i śniadania - oboje wpakowali się do jego fiata, by wrócić do centrum. Sławek, który czuł, że wódka wciąż mocno go trzyma, mógł wtedy zadzwonić z automatu do swego patrona i jakoś się usprawiedliwić. Jego aplikacja dobiegała końca, miał własnego pomocnika świeżaka, wystarczyło wymyślić historyjkę o chorobie półrocznego dziecka albo skradzionych nocą kołach od fiata.

Nana jednak była tylko sekretarką, a w dodatku nie dostała tej pracy z polecenia tatusia prokuratora czy notariusza, tylko wychodziła ją sobie sama, a właściwie - wyleżała z rozchylonymi nogami. To się wtedy nazywało „załatwianiem przez łóżko”. Mimo autentycznego zamięłowania do seksu obciążanie sflaczałych kutasów podstarzałym decydentom z palestry musiało ją kosztować na tyle dużo, że bardzo swoją kancelaryjną posadę szanowała i za nic nie chciała jej stracić. Wcześniej pracowała w pralni chemicznej.

Musiała być siódma rano, gdy oboje jeszcze pijani ruszyli spod domu. Samochód najpierw długo nie chciał zapalić - to się zawsze działo, kiedy padał deszcz. Na nieszczęście w końcu silnik jakoś zaskoczył. Potoczyli się ulicą, która dziś nosi nazwę któregoś z królów, ale wtedy miała, zdaje się, jakiegoś innego, komunistycznego patrona.

W miejscu, gdzie z prawej strony biegły tory kolejowe, a z lewej wyrastały zielska dochodzące do samej jezdnii, Nana rozpięła Sławkowi rozporek. Trochę popracowała ustami - on cały czas prowadził - potem zaczęła wchodzić mu na kolana. Przykazała, aby nie zatrzymywał wozu - muszą przecież zdążyć do pracy.

Była kompletnie szalona!

Usiadła mu na nodze tak, że nagle dodali gazu. Drehner usiłował jeszcze zahamować, ale pedał hamulca zapadł się i nie zadziałał. Na drugie i trzecie naciśnięcie zabrakło czasu. Zobaczył przed sobą betonowy kloc podtrzymujący gruby, drewniany słup, chyba coś przy tym krzyknął, bo Nana zaczęła się obracać, by też spojrzeć... Jej wygięte ciało uniemożliwiło mu w ostatniej chwili skręt i uniknięcie zderzenia. A potem wypadło przez przednią szybę.

Ani ból żeber - jak się jeszcze tego dnia okazało, tylko pękniętych - ani rozcięcie ręki do kości nie uderzyły w mózg Sławomira Drehnera tak mocno, jak widok nienaturalnie skręconej szyi i rozoranego czoła Nany, z którego wprost na szeroko otwarte oczy wysączyła się krwawa galareta. Deszcz zmywał ją z bladej twarzy, ale z wnętrza głowy wypływały wciąż nowe glutny.

Niespełna trzydziestoletni wówczas Drehner był nie najgorszym prawnikiem i od razu objął wyobraźnią całość sytuacji. Po pierwsze, spowodował śmierć człowieka, kierując po pijaku. Mógłby dostać wyrok w zawieszeniu, ale tylko wtedy, gdyby był trzeźwy. Zaostrzone przepisy Ustawy o wychowaniu w trzeźwości nie dawały nadziei. A zatem - albo uciec, albo dać się zamknąć.

Ucieczka nie miała sensu - zbyt wiele osób widziało ich razem wychodzących z lokalu, jego samochód stał wiele godzin pod jej mieszkaniem, w dodatku zostało tam pełno śladów.

A zatem - krata.

Ale to nie wszystko. Druga konsekwencja wypadku to ostateczny koniec kariery prawnika.

A trzecia: po sekcji zwłok ofiary i odkryciu jego spermy w jej ciele zakończy się małżeństwo państwa Drehnerów.

Choć to ostatnie nie wydawało się już takie pewne.

I rzeczywiście - małżeństwo aplikanta, mecenasa, a potem dyrektora i prezesa Sławomira Drehnera miało przetrwać jeszcze ponad dziesięć lat i zakończyć się z zupełnie innego powodu. Zaś tamtego fatalnego dnia, późnym wieczorem, gdy już przewieźli go w kajdankach z izby wytrzeźwień na komendę milicji, podszedł do niego na korytarzu bardzo blady facet w średnim wieku. Miał jagodowy garnitur, okulary w szylkretowej oprawce i strasznie zniszczoną skórzaną teczkę w ręce. Taką, która bardziej przystoi kolejarzowi niż oficerowi SB.

Kazał konwojentowi rozkuć zatrzymanego, odebrał kluczyki do kajdanek, a potem - gestem uczynionym jakby od niechcenia - polecił Sławomirowi wstać i iść za sobą.

Przeszli długi korytarz, weszli piętro wyżej, a może zeszli niżej... W każdym razie najbardziej brzemienne w skutki rozmowa w całym życiu Drehnera odbyła się w milicyjnej toalecie.

- Co by pan zrobił, żeby się z tego wypłatać? - Nieznajomy był pierwszym człowiekiem tego dnia, który zwrócił się do Drehnera per „pan”. Sanitariusze, lekarze z wytrzeźwiarki i milicjanci, którzy od rana bezceremonialnie popychali go przed sobą, mówili mu wyłącznie przez „ty”, w najlepszym wypadku „wy”. „Zajebany pijak i morderca kobiety”, mówiły ich oczy.

- Zrobiłbym wszystko.

- Niech się pan jeszcze raz zastanowi.

- Wszystko... oprócz... najgorszych zbrodni.

- To już mądrzej. - Facet uśmiechnął się czy raczej rozciągnął blade wargi, bo jego oczy za grubymi szklami nie wyraziły niczego miłego.

One też mówiły Sławomirowi: „Ty morderco”. Ale usta powiedziały:

- Jestem gotów panu pomóc, choć oczywiście... są pewne warunki.

Całą resztę swego życia, która nastąpiła po tamtym spotkaniu, Drehner określał w myślach mianem drugiej połowy. Zdarzały się miesiące, a nawet półroczne okresy, w których pająki niczego odeń nie chciały. Szczególnie w latach, kiedy ich macierzyste organizacje były rozwiązywane albo nawet rozpędzane. Potem jednak pojawiały się nowe szyldy, a on, jako tak zwany zasób osobowy, ciągle był do czegoś potrzebny.

Bywały też miesiące bardzo intensywnych kontaktów, tygodnie, w których wymagano od niego i stałej czujności, i inicjatywy. Miał wtedy wrażenie, że jego mroczni władcy nie tylko orzą nim własne poletko, ale również wynajmują go do prac u zaprzyjaźnionych panów. Czasem miało to ciekawe i korzystne konsekwencje. Jak na przykład wtedy, gdy po zamachu nad jeziorem dali mu gotową listę ekstremistów. W odpowiednim momencie poinformuje się premiera, komu zawdzięcza oddalenie przyspieszonych wyborów.

Odwdziczył się pająkom, można powiedzieć, solennie. Najpierw dostarczył raport Kopcińskiego, potem zaś, dzięki inteligencji, doświadczeniu i zdolności do obserwacji szczegółów wychwycił pewien ciekawy fakt, pozornie niezwiązany ze sprawą. Od niespełna godziny kilku wysokich funkcjonariuszy kilku różnych służb wydzwania do kogo się da w ministerstwie, aby możliwie nieformalnie dostać zgodę na przyłączenie się do trwającego właśnie, ale chwilowo zawieszono przesłuchania niejkiej Mai Szalawskiej. Córki tego Szalawskiego, do niedawna narzeczonej Pawła Domaradzkiego, autora tekstu, o którego istnieniu wie coraz mniej żyjących osób, ale wciąż chyba zbyt wiele.

Przekazując pająkom za pomocą kopii roboczej e-maila informację o miejscu przesłuchania, Drehner czuje coś w rodzaju zadowolenia.

Jestem skurwysynem, ale jestem też ofiarą. Jestem zaprzańcem i zdrajcą, ale nie dałem się zgnoić. Nie myślę za wiele o tym, czego chcę, ale wiem - bez specjalnego zastanawiania się - czego bardzo, bardzo nie chcę. Nie chcę, aby te stwory, które od lat obracają mnie w swoich włochatych odnóżach, wyssały mi flaki z powodu likwidacji projektu. Wskazani ekstremiści muszą się przecież okazać tymi właściwymi.

W tej chwili sukces pajaków - to także sukces Sławomira Drehnera.

* *
*

Misja w komendzie policji jest po pierwsze, spóźniona, po drugie, samobójcza - i agent to wie. Nie jest idiotą. Chociaż byczy kark, ciężka zuchwa, zrosnięte nad złamanym nosem czarne brwi i wypukłe czoło nadają jego twarzy stereotypowy wygląd prymitywa o przestępczych skłonnościach, faktycznie jest mężczyzną o ilorazie inteligencji ponad sto pięćdziesiąt w skali Wechslerowskiej.

To, że Arsen postanowił go poświęcić, można interpretować na kilka sposobów. Pierwszy: istnieją ukryte priorytety akcji. Drugi: ktoś podejrzewa go o nielojalność i dzisiejsze zadanie jest po prostu egzekucją, którą sam na sobie wykona. Wariant trzeci, pozornie najmniej prawdopodobny: Arsen oszalał. Kilka dni temu w bazie agent zobaczył go w przylegającej do garażu kotłowni. Dowódca siedział nago na betonie z butelką wódki w jednej i bronią w drugiej ręce. Bawił się bezpiecznikiem. Wyglądał na kogoś, kto rozważa

samobójstwo.

Jest i kilka innych powodów do niepokoju, a najbardziej oczywisty z nich to kompletny brak kontaktu z Latarnią. W trakcie nielegalnych operacji relacje z nią zwykle są słabe, a to przedsięwzięcie nosi w dodatku kryptonim, który można odczytywać jako omen: „Odcięcie”. Jakaś nić zawsze łączyła ich jednak z zapleczem i oddech Latarni się czuło. Tym razem od pewnego czasu - kompletnie nic. Odcięcie totalne. Arsen jest początkiem i końcem. Jeżeli zwariował - wyrok na całą grupę już zapadł. Co można zrobić w takiej sytuacji?

Nawet supersprawny, analityczny umysł agenta nie jest w stanie odpowiedzieć na to pytanie. A zatem - koncentruje się na zadaniu.

Tym bardziej że sprzyja mu szczęście.

W biało-czerwonym stroju dostawcy pizzy naciągniętym z trudem na kamizelkę kuloodporną i kevlarowe ochraniacze przechodzi bez trudu przez policyjną wartownię od strony ulicy Nowolipki. Rozważał użycie munduru, ale - po starannym rozważeniu argumentów za i przeciw - porzucił ten pomysł. Mundur - owszem - zabrał, lecz jako pakunek złożony w równą kostkę i upchnięty ciasno na dnie kwadratowej, czerwonej torby z białym napisem „Pizzeria Caro”.

Poza odzieżą i dwoma sztukami broni ma w bagażu także trzy gorące placki z salami, cebulą i pieczarkami. Idzie szybko przez długi, rzęsiście oświetlony podwórzec, wypatrując osoby, razem z którą mógłby wejść w jakiegokolwiek z otwieranych identyfikatorem drzwi. Fart go nie opuszcza - z trzykondygnacyjnego budynku po lewej stronie wychodzą dwie zajęte rozmową młode kobiety. Przechodzą na skos przez jasno oświetlony parking i wchodzą po schodkach na podwyższenie przed pawilonem naprzeciw. Gdy jedna z nich otwiera plastikową kartą skrzydło przeszklonych drzwi, agent - pół kroku za drugą z kobiet - przytyka do ucha komórkę. Przytrzymując nogą zamykające się przed nim wejście, mówi niezbyt głośno do wyłączonego aparatu:

- Daj mnie jeszcze raz ten numer pokoja.

Jego polszczyzna nie jest najlepsza.

Ale żadna z kobiet się nie odwraca.

Wchodzi.

Korytarz tonie w półmroku. Plan budynku już wyświetla się w głowie. Nadszedł czas na błyskawiczne rozwiązywanie równań z wieloma niewiadomymi. Coś, co potrafi.

Torba na ramieniu, telefon - gadżet pozbawiony baterii i karty - przy uchu. Krok zdecydowany, ale niezbyt szybki. Jeden zakręt korytarza, drugi, trzeci. Pokoje biurowe, pokoje oficerów, salka konferencyjna, zaplecze socjalne, schody awaryjne, pomieszczenia

informatyków, korytarz do potrójnego pokoju przesłuchań. To potencjalnie najbardziej interesujący punkt, ale tutaj dostarczyciele pizzy nie wchodzi. Tutaj wejście - ewentualnie - w drugim przebraniu. Na razie - dalej!

Słabo oświetlona toaleta.

Dwaj mundurowi z przeciwka.

Kobieta z torbą - chyba sprzątaczką. Nie patrzy na niego. Pewnie nauczyła się nie podnosić wzroku, gdy nie trzeba.

Uchylone drzwi, cztery osoby w środku.

Zamknięte drzwi, stukot klawiatury i dwa męskie głosy prowadzące rozmowę.

Trzy pary wejść zamkniętych, jedno otwarte.

Klamka w dół. Wnętrze rozświetlone tylko pomarańczowym światłem latarni błyszczącej na dziedzińcu za oknem. Wystraszone, pytające i zarazem odpychające spojrzenie mężczyzny za zabudowanym biurkiem. Kosmyk nieco zbyt długich jak na policjanta włosów zwisa mu wzdłuż spoczonej skroni. Z kąta ust cieknie ślina.

Skończył właśnie trzepanie gruchy czy trzyma koleżankę pod biurkiem?

Gdyby nie napięte do ostateczności nerwy, agent mógłby się w tej sytuacji roześmiać. Robi przepraszający i umyślnie roztargniony gest. Zamyka drzwi.

Kolejne wejście - pusto.

Nie tu.

Tutaj też nie.

Za chwilę koniec korytarza. Minęła minuta.

Zakręt muru, system przeciwpożarowy na ścianie, kamera skierowana w boczne wejście, przez które sączy się zimne światło.

Schody w górę, schody w dół. Z dołu dobiega zapach przypalonego jedzenia.

Kroki za plecami - wysoki mężczyzna w marynarce i dżinsach mija go, idąc szybko. Przy pasku kabura. Smród wypalonych papierosów.

Półpiętro. Kobieta schodząca z góry przygląda mu się z zainteresowaniem, ale to nie jest ten rodzaj uwagi, który mógłby zaniepokoić agenta. Uśmiecha się do przechodzącej, a ona spuszcza oczy.

Piętro drugie. Dwie osoby przy automacie z coca-colą i batonikami. Mrugająca lampa jarzeniowa pod sufitem.

Kolejne nieinteresujące wejścia.

Uchyła skrzydło drzwi opatrzone ogłoszeniem jakiegoś związku zawodowego, czuje uderzenie papierosowego smrodu i robi przepraszającą minę w stronę kilku

spoglądających na niego mężczyzn.

Potrzebne będzie jeszcze więcej szczęścia. Minęło półtorej minuty.

Długi korytarz. Wejście do aneksu kuchennego, ciemny, niezamknięty magazyn sprzętaczek...

Nie, nie... i jeszcze raz nie.

Zawraca.

Schody w górę. Kolejne półpiętro.

Pod nogami zielonkawa wykładzina wyższej jakości - zamiast plastiku coś, co ma udawać dywan. Strefa rządzących. Białe storczyki na stoliku z serwetką, jasne oświetlenie, kamera w czarnej bańce pod sufitem. Mężczyzna w dobrze dopasowanym garniturze i błękitnej koszuli wychodzi niespodziewanie zza zakrętu korytarza po prawej i natychmiast znika w sąsiednim pokoju, nie patrząc w stronę agenta.

Mija kolejne piętnaście sekund czujnego krążenia. Dywan zamienia się na powrót w gumową wykładzinę. Nic.

Wchodzi do męskiej toalety.

Nikogo nie ma. Otwiera skrajną kabinę przy oknie, stawia pudło z pizzą na klapie sedesu, zamyka za sobą drzwi, przekręca zamek. Wyjmuje czarny polowy mundur w rozmiarze XXXL. Naciąga go błyskawicznie na dotychczasowy strój. Większy z pistoletów trafia do kabury przy pasie, mniejszy - do rękawa. Wychodzi. Zamyka kabinę od zewnątrz, używając dziesięciogroszowej monety. Uchyła okno, sprawdza, czy da się z niego wyskoczyć. Da się. Wychodzi z ubikacji.

Korytarz, którym wraca, jest długi, wąski i ciemny, na końcu rozszerzony ku oświetlonemu przedsiönkowi gabinetu jakiegoś ważniaka. To tam stoją storczyki. Agent jeszcze raz sprawdza wszystkie drzwi, które poprzednio zastał zamknięte. Czwarte z kolei ustępują.

- Kogo pan szuka? - Nieładna kobieta w wieku około pięćdziesięciu lat i w okularach na nosie podnosi nieproporcjonalnie dużą blond głowę znad sterty papierów. Mijał ją przy automacie z napojami.

- Szukam wyjścia - mówi i szybko odwraca się od niej bokiem.

- Prosto tym korytarzem i do schodów. - W tonie brzydkiej baby jest coś, co mówi agentowi, że został zdemaskowany. Roznosiciel pizzy nagle przedzierzgnięty w funkcjonariusza... Pierwszy kłopot.

Zamyka pokój i przyspiesza.

Niecałe dwadzieścia metrów przed sobą widzi dwie i pół osoby.

Czyżby jednak miał dziś szczęście? I czy fart może towarzyszyć samobójcy?

Nie myśl o sobie!

Poszukiwana - jego cel - stoi na końcu korytarza w towarzystwie krótkowłosej kobiety w ciemnogrnatowej marynarce i spódnicy. Policjantka. Chyba nieuzbrojona. Mężczyzna - on jest tą połową osoby - znika w otwartych drzwiach z lewej. Za futryną chowa się przedramię i noga w czarnym, męskim półbuciu, który agentowi kojarzy się z obuwiem do trumny.

Trumny będą dzisiaj potrzebne - to pewne.

Obie kobiety patrzą w otwarte drzwi, jakby czekały na zaproszenie ze środka. Osiemnaście metrów, najwyżej cztery sekundy.

Agent zaczyna biec. Pierwszy skok krótki, drugi dłuższy. Ćwierć sekundy. Za sobą słyszy podniesiony i zaczepny damski głos:

- Halo, tam!!

To krzyczy blondyna z wielką głową.

Nieistotne.

Mniejszy pistolet już w prawej dłoni. Większy w lewej. Krzyk z tyłu się wzmacnia. Pół sekundy. Kolejne dwa skoki, kolejne cztery metry.

Kobieta w garsonce, nieco wyższa od tej, która jest celem, chyba nie słyszy jeszcze krzyku, bo nie odwraca głowy. Nie widzi biegnącego ciemnym korytarzem agenta. Robi płynny ruch w stronę wejścia, w którym zniknął właściciel czarnych trupięgów. Jej głowa na moment przesłania profil tej, o którą chodzi, i dlatego pierwszy pocisk dosięga właśnie ją.

* *
* *

Strzał w wąskim korytarzu huczy, jakby ktoś walnął z armaty.

W tym samym ułamku chwili, w którym kula przebija policzek policjantki, dwa metry przed biegnącym ktoś gwałtownie otwiera drzwi. Jasnoniebieska płyta z tworzywa sztucznego zasłania nagle większość korytarza i cel. Kolejny huk. Jeden, drugi... Twardy plastik trzaska, gdy dziurawią go cztery pociski. Agent wypalił z obu luf i teraz kopie z rozpędu w przestrzelone przez siebie skrzydło, które uderza grubasa w galowym mundurze. Pędzący strzelec robi pełny obrót, aby - nie tracąc rozpędu - precyzyjnie się między drzwiami, ścianą i rozchwanianym spaślakiem.

W uszach mu dzwoni.

Zrobił bardzo efektowny, ale niepotrzebny piruet.

Biegnie, ale w przedsiönku, od którego dzielą go dwie sekundy, nie widać celu. Widzi tylko postrzeloną policjantkę, która klęczy, trzymając się za twarz. Krew sika w kilka stron naraz i pieni się na zielonkawej wykładzinie. Zza framugi otwartych drzwi po lewej

na moment wychyla się męska twarz, a potem już tylko lufa pistoletu glock. Pada strzał, po nim natychmiast drugi i trzeci. Wszystkie trafiają agenta w lewą pierś.

Fachowiec.

Minęła kolejna sekunda.

Ktoś strzela z tyłu. Twarda kamizelka pod mundurem i strojem z pizzerii bierze na siebie impet uderzeń, ale nie uratuje agentowi życia. Nie uratuje go także wytatuowany chiński król smoków Long Wang, który miał zapewniać nieśmiertelność noszącym go na plecach zabójcom. Biegący wie, że ma już tylko chwilę, by odpowiedzieć ogniem i dopaść cel.

Z jednej ręki strzela w tył, z drugiej w przód. Tłuszcioch dostaje w sam środek czoła, lecz ciągle stoi. Brzydula za nim przewraca się, uderzona dwoma pociskami. Tył czysty. Został tylko przód.

Agent w tej ostatniej sekundzie cztery razy odbija się to od jednej, to od drugiej ściany korytarza. Utrudnia zadanie głównemu przeciwnikowi. Mimo to inkasuje kolejne trafienia: pierwsze w lewy bok, drugie w prawe przedramię.

Kłęcząca policjantka krwawi, ale też wyciąga broń spod marynarki. Agent instynktownie pomija ją w rozwiązywanym błyskawicznie równaniu.

Jeżeli chce dopaść do drzwi, musi wyeliminować ukrytego za nimi fachowca. Tamten już wie, że jest kamizelka, teraz będzie celował...

Pocisk wchodzi dokładnie między dolną i górną szczękę pędzącego. W momencie, gdy przebija dolną krawędź kości podniebiennej, biegnącego strzelca dzielą od ukrytego za załomem drzwi policjanta niespełna dwa metry. Agent, za lufą glocka, widzi brązowe oko, czarną brew, ciemne włosy nad skronią i zarośnięty wielodniową szczecina policzek.

Oficer za futryną też patrzy przeciwnikowi w twarz. Dostrzega brzydkie zagłębienie pośrodku nosa, połączone brwi pod obłym czołem i uciekające w górę oczy. Już wie, że zabił.

Bezwładne ciało agenta siłą rozpędu robi nad zielonkawą wykładziną niezgrabnego fikołka jak rzucony z wielką siłą worek kartofli. Odrzucona w bok noga strąca donicę pełną storczyków. Kilka osób krzyczy. Śmierdzi prochem.

Część II

ŻURNALISTA

15.

Środa, 18 lutego, wieczór

Z wnętrza przestronnego, jasno oświetlonego sekretariatu pierwszego zastępcy komendanta stołecznego policji Maja Szalawska z przerażeniem patrzy na to, co dzieje się za otwartymi drzwiami, przez które przed chwilą weszła, a właściwie została wprowadzona. Dzieje się kilka rzeczy jednocześnie. Czarnowłosy policjant, który przesłuchiwał ją jeszcze pięć minut wcześniej, zgina się pochylony nad ranną partnerką i mówi jej coś wprost do ucha. Jego własne przestrzelone ucho wygląda jak ociekające krwią serce indyka - jedno z tych, które babcia Majki kupowała na targowisku i wrzucała do rosołu.

Zastrzelony przed chwilą wielkolud w polowym mundurze leży, a raczej zwisa na ścianie i potrzaskanym stoliku. Widać jego odrzuconą pod kątem prostym ciężką dłoń - jeden z palców jeszcze drży... a może to tylko złudzenie. Otwarte oczy bez źrenic, dwa przednie zęby wyrwane z ust uderzeniem pocisku wiszą przy obrzydliwie wywalonym na wierzch strzępie dziąsła.

Na schodach, w głębi, histerycznie krzyczy sprzątaczką z plastikowym wiadrem w ręce i pękiem kluczy na smyczy przytroczonej do paska ciemnych spodni. Nie patrzy na zabitego olbrzyma, tylko w ciemny korytarz po prawej stronie, gdzie otyły policjant w niebieskim mundurze z dziurą wielkości pięćdziesięciogroszówki w środku czoła nadal stoi, oparty plecami o rozwalone drzwi. Wygląda niczym zombi z tandetnego horroru.

Maja zaciska powieki i uda. Słyszy na przemian krzyk kobiety, okropne przekleństwa gdzieś bliżej i startujący samolot we wnętrzu własnej głowy. Obrazy zaczynają się rozjeżdżać. Ktoś od tyłu mocno trąca ją w plecy, ktoś inny warkliwie próbuje o coś pytać. Jakiś facet bierze ją energicznie pod ramię i prowadzi w stronę schodów - oboje muszą przestąpić nad potworną twarzą zabitego. Maja przypomina sobie, że głowa dorosłego mężczyzny waży od czterech do pięciu i pół kilograma. Kurczy się w sobie, gdy prowadzący ją człowiek, mijając wrzeszczącą kobietę z wiadrem, rzuca krótkie „do budy!”.

Jeszcze kilka sztywnych kroków w dół schodów, kilka twarzy biegnących w górę ludzi, kilka przekleństw odbijających się od pomalowanej olejną farbą ściany, które już do niej nie docierają. Majka mdleje.

Gdy wraca jej świadomość, leży na czterech plastikowych krzesłach w jakimś korytarzu.

Siedzenia przytwierdzone do wspólnej, stalowej ramy boleśnie gniotą ją w plecy. Nie tyle wie, ile raczej czuje, że jej odlot trwał nie dłużej niż pięć minut. Przez korytarz co rusz ktoś przebiega, brzęczy alarm, gdzieś daleko, za ścianami, słychać sygnał radiowozu, może karetki. Majka wstaje i opiera się o jasnyniebieską ścianę. Wydaje się jej, że już w tym korytarzu była. Czekala tu na coś. Na kogoś. Chce jej się pić. Pomieszczenie po lewej otwarte na oścież, nikogo wewnątrz. Wypełniona w połowie butelka wody mineralnej. Tu też była. Podchodzi do biurka, odkręca zatyczkę, pije.

Na blacie - równo poukładane - leżą zaplamiona gazeta, pusta kabura od pistoletu, jakieś formularze, a obok jej własne rzeczy: otwarta skórzana torebka w tabaczkowym kolorze, czarna komórka samsung - bateria obok - klucze do samochodu, chusteczki higieniczne, portfel z kilkoma banknotami, kartą kredytową i zdjęciem Pawła, ciemne okulary w futerale ze skarabeuszem... Dopiero teraz rozumie, gdzie się znajduje. Widzi szybę na pół ściany, za szybą słabo oświetlony pokój. Stół i dwa krzesła. Niedopita kawa w czerwono-brązowym papierowym kubku.

Wkłada swoje drobiazgi do torebki, zakłada ją na ramię, odwraca się i wtedy widzi stojącego w progu pomieszczenia policjanta w czarnym, polowym mundurze i z bronią przy pasie. Stoi, patrzy, nic nie mówi. Chociaż nie... jego szeroko rozstawione nogi i ręce założone za plecy coś jednak mówią. Mianowicie: „nie wyjdiesz stąd tak łatwo, panienko”.

Przeraźliwy, wysoki, bez wątpienia kobiecy wrzask rozlega się nagle, jak gdyby ktoś włączył od razu na cały regulator fragment arii w wykonaniu ostatniego kastrata.

- Chodź tu! - agresywny męski głos z korytarza, sądząc po natychmiastowej, karnej reakcji mundurowego w czerni, jest właśnie do niego skierowany. Facet z pistoletem przy boku odwraca się o dziewięćdziesiąt stopni, jakby robił na placu apelowym „w prawo zwrot”.

- Mam tutaj świadka... - jego słowa ledwo słychać wśród histerycznego wrzasku, którego źródło chyba się zbliża.

- Kurwa! Mówię, do mnie! Brama dzwoniła, stara Grubego tu leci!! Nie może wejść na górę, zrozumiano?!

- Tak jest!

- To zapierrrdaaalaaaj na schody, czeeego stoooisz?!!

Mundurowy robi błyskawiczne w tył zwrot i już go nie widać.

Mają się nie porusza. Nikt więcej w drzwiach nie wyrasta. Kobięcy krzyk - wciąż na najwyższym C - miesza się w niedalekim korytarzu z okrzykami męskimi.

Powoli podchodzi do progu, wygląda za framugę. Nikogo nie ma. Sztynno i niespiesznie idzie przed siebie w kierunku odległych o pięć metrów przeszklonych drzwi. Nie mają zewnętrznej klamki i pozwalają otworzyć się od środka. Zimne powietrze, zimne światło jarzeniowej lampy nad bocznym wejściem, stojąca popielniczka pełna petów. Jeden jeszcze się dymi. Oblodzone schody. Za nim pusty wewnętrzny dziedziniec. Zaparkowane samochody z identyfikatorami za szybą. Dźwięk syren dochodzący zza dwupiętrowego budynku po prawej stronie. W oświetlonym oknie na parterze mężczyzna z telefonem przy uchu. Coś mówi, patrząc w stronę Majki, ale albo jej nie widzi, albo go to nie interesuje.

Pierwsze kroki na udeptanym śniegu. Wciąż jeszcze jest jej słabo, lecz dotkliwie szczypiący mróz zamienia początkowe bolesne i mdlące uczucia w otępiały spokój. Jej ruchy są teraz oszczędne, kuli się, bo obcisłe dzinsy i niezbyt gruby, luźny sweter przepuszczają chłód na wskroś. Idzie sztywnym krokiem zgarbionego manekina najpierw w lewo, potem prosto. Obchodzi budynek i trafia na wysoki płot z zamkniętą furtką. Ogrodzenie ma co najmniej trzy metry i drut kolczasty u góry. Co kawałek - kamera.

Mają wraca. Syreny milkną. Teraz słycać szum odległych, podnieconych ludzkich głosów - coś jakby krzyki na stadionie. Idzie w stronę dźwięku. Jeden załom muru, drugi... Wąskie, mroczne przejście pod jasno oświetlonym, pustym łącznikiem spinającym nad jej głową dwa gmachy. Coraz więcej hałasu, niebieskie i czerwone refleksy na murach. Jeszcze jedna ściana, narożnik... i już wszystko widać. Karetki pogotowia stojące blisko siebie z migającymi światłami na dachach. Radiowozy. Rozbiegani mężczyźni, kilka kobiet. Czerwone kombinezony ratowników, czarne mundury policjantów. Dwa metry przed Mają facet w grafitowym płaszczu wyrzaskuje komendy do radiotelefonu z wygiętą anteną. Przechodzi obok niego, mija następnego, też ubranego po cywilnemu, lecz bez marynarki. Idzie powoli między samochodami, ściskając prawą ręką lewy łokieć i pasek torebki. Ktoś blisko naciska klakson. Hałas wchodzi Majce nie tylko w uszy, ale i w oczy.

Gwałtownie wysiadający ze srebrnego forda mondeo funkcjonariusz w mundurze trąca ją w ramię górną krawędzią drzwi, lecz nawet nie patrzy w jej stronę. Odwraca się w kierunku wyskakującego z drugiej strony auta mężczyzny w czarnym kombinezonie i kończy zdanie:

-...dopiero, chuje, przed szesnastą zadzwonili. I co?!!

- I gówno!! - Ten drugi, przekrzykując trąbienie, które nie ustaje, otwiera bagażnik.

Z trudem wydobywa z wnętrza jakiś ciężki przedmiot. Maja już się nie dowie, co to jest. Patrzy pod nogi. Nikt jej nie zatrzymuje ani wtedy, gdy przechodzi pod uniesionym szlabanem, ani gdy wychodzi na szeroki, niedawno odśnieżony chodnik przy ulicy Nowolipki, gdzie w poprzek zaparkowała kolejna karetka. Nikt nie interesuje się nią także w ciągu tych długich dwudziestu sekund, kiedy przechodzi wzdłuż dobrze oświetlonego, pałacowego frontu policyjnej komendy, z którego wciąż wysypują się ludzie - jedni w płaszczach, inni, jak Maja, w samych swetrach i bluzach - ktoś jest nawet w koszulce z krótkim rękawem. Trzej mundurowi zajęci rozpinaniem biało-niebieskiej taśmy w poprzek chodnika po prostu ją przepuszczają.

Kilkanaście sekund później staje na skraju szerokiej ulicy i opiera plecy o słup ogłoszeniowy. Plakat, pod którym stanęła, reklamuje nowe, wysoko oprocentowane konto bankowe. Maja wyciąga z torebki telefon i baterię, z trudem - palce już jej grabieją - składa obie części, włącza aparat, czeka, potem loguje się i wybiera numer zapisany pod hasłem „Taxi”.

- Poproszę naaa... - Spogląda na granatową tabliczkę po drugiej stronie jezdni. Nazwa ulicy jest w połowie przykryta śniegiem. -...na Andersa, tylko że teraz, zaraz... Może być na nazwisko. Sza... Sza... Na hasło „szarlotka” poproszę... Słucham? Tak. A ile bym musiała czekać? To w takim razie na róg z aleją „Solidarności”.

Wsiada do taksówki trzysta metrów dalej między żółtą budką telefoniczną i zamkniętym już kioskiem z gazetami. Skulona na tylnej kanapie zamawia kurs do Marriotta. Taryfiarz - niewiele starszy od pasażerki, chudy i ostrzyżony na jeża - najpierw pyta: „Czy pani aby nie za zimno?”, potem mówi coś o jej czerwonym nosie - to ma być chyba zabawne - wreszcie proponuje wspólne zatrzymanie się „na gorącą kawkę”. Maja nie mówi nic. Przegląda zawartość torebki, przelicza pieniądze w portfelu, grzebie w telefonie. Ignoruje listę nieodebranych połączeń i nieprzeczytanych SMS-ów. Wybiera numer ojca, lecz ten wciąż nie odbiera. Chowa telefon do torebki, przekręca się na bok i już tylko patrzy w szybę na przystanki metra, reklamy ciuchów, kredytów, wycieczek i własne odbicie, które zależnie od mocy światła mijanych latarni jawi się raz mniej, a raz bardziej wyraźnym. W pewnej chwili, gdy obraz jest ostry, zauważa łzy na własnych policzkach. Dotyka twarzy. Rzeczywiście - płyną. Przez głowę przebiega jej myśl, że już nie kontroluje ani swojego ciała, ani zachowania. Nie ma sensownego planu, nie ma siły.

Czy to możliwe, że policjant chciał mnie zabić?

Niemożliwe.

Przecież widziałam.

O co tu chodzi? Co oni chcieli ze mną zrobić?

Czy to jest jakaś ustawiona gra?

Czy to możliwe, by wszyscy byli kupieni?!

Dlaczego ojciec drugi dzień nie odbiera?!

Gęstniejący od Marszałkowskiej ruch uliczny po skręcie w Aleje Jerozolimskie zamienia się w ciasny bezruch.

Taksówka przesuwa się o kilka metrów, staje i znowu jedzie kawałek. Maja czuje, że już nie jest jej zimno. Jest duszno. Przed skrzyżowaniem z Emilii Plater chwytą oburącz zagłówek fotela przed sobą.

- Chcę wysiąść tutaj. Ile panu płacę?

- Słucham?

- Zemdlilo mnie. Przejdę do hotelu sama. Ile się należy?

- Dwadzieścia dwa złote.

Gdy wychodzi na chodnik, przekraczając wysoką zlodowaciałą zaspę, zauważa przed zejściem do tunelu przyglądających się jej młodzieniaszków, pomiędzy którymi musi przejść. Palą papierosy. Na ich różowych od mrozu i raczej tępych twarzach wyraźnie widać rozbawienie.

- Barbie zgubiła płaszczyk?

- Chcesz popać mego Kena?

Śmieją się głośno, zioną wypitym piwem, strawionym kebabem i tytoniowym dymem. Ona zbiega po schodach.

* *
*

Dwadzieścia pięć minut po szóstej wieczorem w bazie przy Wale Miedzeszyńskim cztery osoby pracują przy komputerach, jedna czeka pod ścianą. Dotychczasowy system zmianowy runął zaraz po tym, gdy Arsen odczytał wiadomość od człowieka tak cennego, że nawet on, dowodzący „Odcięciem”, nie zna jego tożsamości. Jedyńm, któremu wcześniej pozwolono zobaczyć twarz Polaka, jest Ezra.

Wiadomość była krótka - najpierw ciąg cyfr potwierdzający aktualność i autoryzację, potem zakodowana informacja o miejscu przesłuchania figurantki numer siedemnaście. Kobiety, właściwie dziewczyny, która od dobrych kilku godzin powinna być martwa - i byłaby, gdyby nie kardynalny błąd Kropy.

Kropa to dobre imię dla psa - i Arsen myśli o nim nie jak o wybornym snajperze, posiadaczu licencji pilota bojowego i czarnego pasa w taekwondo - lecz jak o psie właśnie. Jego czteroosobowa grupa posługiwała się do dzisiejszego popołudnia dwoma psami - i jeden

spierdolił rankiem robotę, a drugi zdechł zastrzelony. Choć musiał przed śmiercią pogryźć parę osób, bo zamieszanie w komendzie policji jest już tematem numer jeden we wszystkich tutejszych telewizjach. Ciało psa w obcych rękach - to mniejszy kłopot. Ponowne wymknięcie się siedemnastki - większy. Lecz ten da się, być może, szybko naprawić. Z lokalizacji telefonu i obrazów z kamer wynika, że dziewczyna siedzi w taksówce. Arsen przywołuje Kropę ruchem ręki i wręcza bezprzewodowy mikrotelefon.

- Kontaktuj się tylko ze mną - mówi po niemiecku.

Kropa - starając się powstrzymać kaszel - w milczeniu kiwa głową i wychodzi. Po tym, co zrobił dziś rano w Piasecznie, a raczej po tym, czego nie zrobił tej suce, nie będzie się bez potrzeby odzywał do Arsena. Po co drażnić lwa. Ale jeśli nie będzie miał wyjścia, jeżeli jego też wyślą na stracenie, po prostu zniknie. Nie znajdą go ani w tym, ani w żadnym innym kraju.

Kropa - podobnie jak i jego zastrzelony dziś partner od łożenia po mieście - również sądzi, że Arsen gra własną, szaloną melodię. Nie wie wszystkiego o wszystkim, lecz wie dostatecznie wiele, by być pewnym, że to już nie jest normalna misja. A zaczęło się tak standardowo... I ten, który dzisiaj oddał życie, i on sam pod koniec zeszłego roku dostali intratną propozycję wejścia do grupy bojowej „Depesza”, ekipy będącej czymś w rodzaju zbrojnej odnogi nigdzie niezarejestrowanej, prywatnej firmy - cichego przedsięwzięcia decydentów i byłych szefów jednostki inspiracji wywiadowczej dawnego „Proporca”, czyli Zarządu „W” Centrum Specjalnego Przeznaczenia rosyjskiej bezpieki.

Firma, zwana niewinnie Ośrodkiem Szkoleniowym, zaś w rozmowach agentów Latarnią, nigdy nie miała stałej siedziby ani formalnego kierownictwa, a jednak prosperowała - i prosperuje - świetnie. Zleceniodawcy, którzy powierzali Latarni swe sprawy, mieli różne problemy, ale rzadko z wypłacalnością. Latarnia zarabiała więc doskonale, a przy tym nie podlegała bezpieczeństwu czy też macierzystej Służbie Wniesznej Razwiedki, z której trafiała tu zarówno większość sprzętu, jak i agentów. Tych od mokrej roboty i elektryków, takich jak Ezra czy Marks.

On sam, Kropa, wziął się z innej bajki. Podobnie jak Róża, suka już niemłoda, ale wciąż bardzo zdrowa.

Ją skaptowali na misję - tak przynajmniej mówiła - we włoskim kurorcie, gdzie wypoczywała po jakiejś wcześniejszej, równie ekscytującej eskapadzie. Jego zgarnęli w Danii. Oferta finansowa była nadzwyczaj kusząca i szybko uległ.

Gdy na początku zimy kierujący akcją facet o złych, czarnych oczach - przedstawił się jako Arsen - wprowadzał go w najniezbędniejsze szczegóły, misja była już zaawansowana.

Arsen i jego ludzie osłaniali od dłuższego czasu szeroko zakrojoną kampanię inspiracyjną noszącą początkowo kryptonim „Szczepionka”. Działania skutecznie przeciwiczone wcześniej w Bułgarii, na Węgrzech, we Francji... Firmy-matki i firmy-córki, łapówki dla polityków, ukryte przelewy. Pieniądze i jeszcze raz pieniądze. Kupione artykuły prasowe. Miękkie wpływy. Żadnej przemocy. Najwyżej jakiś niewielki szantaż. Czysta rozgrywka. Wyglądało na to, że prowadzona fachowo. Ale coś zaczęło się psuć.

Arsen za wiele nie wyjaśniał, a Kropa nie pytał, bo to nie jego rola. Zauważył jednak, że zamiast przekazywania kopert z gotówką, podsyłania narkotyków, przerabiania dokumentów i preparowania pogłosek zaczęli osaczać konkretnych ludzi. Narodził się wariant awaryjny i operacja numer dwa: „Odcięcie”. Ktoś w Latarni dał na nią zielone światło, mimo że była kosztowna, a niektóre jej brawurowe założenia graniczyły z szaleństwem. Szczególnie to ostatnie: stworzenie organizacji terrorystycznej polskich nacjonalistów i likwidacja osaczonych w jej imieniu. A potem jeszcze - to miała być najbardziej koronkowa część pracy - usunięcie resztek z imprezy rękami polskiej policji. Ktoś z Latarni rzeczywiście chciał zagrać z Polaczkami na ostro, pokazać ich bezdenną głupotę, skompromitować tutejszą bajzłokrację. Udowodnić, że można łatwo chwycić za ster. Może... zaimponować zleceniodawcom?

Sześć osób, incydentalnie tylko wspieranych z zewnątrz, wywołało na początku lutego coś w rodzaju jebanej wojny w czterdziestomilionowym kraju. To było rozwiązanie odważne, niebezpieczne i aż nazbyt dumne. Takie zagranie mogłoby przejść do historii służby, tej, z której Arsen przyniósł swoje różne dziwne przyzwyczajenia. „Próbę wody” i inne. Nigdy nie mówił jasno, lecz dało się wyczuć, co go grzeje. Tak to posplatał, by kurtyna opadła równo 23 lutego - w ich święto. Na scenie winno do tego czasu leżeć kilka porzuconych ciał i spreparowanych dowodów.

Planowali trzy główne akordy. Zamach w ośrodku wczasowym - udał się idealnie. Zabójstwo polityka z toplisty - tu też wszystko poszło jak z płatka. Trzecim punktem było wysadzenie dużej redakcji prasowej. Nieszczęsny głupek, zaopatrzony w przesterowany zapalnik, o czym nie wiedział, miał wylecieć w powietrze w zupełnie innym miejscu niż piwnica własnego bloku. Miał też to i owo wcześniej rozesłać po ludziach i po mediach. Trzeba było porozsyłać za niego. Ale i tak wyszło nie najgorzej. I na tym powinien być koniec.

Stało się inaczej: trzy dni temu dowódca odebrał wiadomość, którą nie podzielił się z nikim, poza być może Różą, ewentualnie Ezrą. Kropa może się jedynie domyślać, co było w wiadomości... Ktoś przejrzał cały ich plan. Ktoś z tych, na których aktualnie polują. Albo

wszyscy razem. Od ostatniego poniedziałku pojebało się tak, jak jeszcze nigdy. Arsen nie przyjął do wiadomości, że jego koronkowa robota może zostać odkryta i opisana. Skompromitowana. Zaczął nagłą i nieprzemyślaną improwizację. Najpierw poświęcił człowieka w beznadziejnym, samobójczym ruchu, teraz poświęci Kropę, gdy taka będzie potrzeba - tego agent jest pewien.

* *
*

Godzina dziewiętnasta zero zero. Maja szybkim krokiem pokonuje podziemny korytarz wiodący do głównej hali Dworca Centralnego. W telewizorze zawieszonym na ścianie kawiarni z kanapkami widzi miejsce, z którego wyszła godzinę wcześniej - komendę policji. Zatrzymuje się, dotykając nosem idealnie czystej i zimnej szyby, która zaparowuje przed jej ustami. Wszyscy siedzący w środku braserii, z obsługą włącznie, odwróceni są teraz do niej tyłem. Patrzą w ekran. Z korytarza nie słychać, o czym mówi reporterka w różowej kurtce stojąca na tle tłumu i żółto-czarnej taśmy, ale obrazy, które następują po jej wypowiedzi, są wystarczająco wymowne. Sanitariusze pędzą, niosąc do karetki policjantkę, którą ostatni raz Maja widziała klęczącą na zielonej wykładzinie i broczącą krwią. Inni ratownicy - już wolniej - wnoszą z budynku ciało: można się domyślać, że to nieboszczyk, bo postać przykryta jest razem z głową ciemną płachtą. Teraz sceneria się zmienia. To chyba Aleje Ujazdowskie. Tłum rozemocjonowanych reporterów biegnie za starszym mężczyzną wysiadającym z wielkiego, czarnego samochodu i zmierzającym w stronę kutej bramy, przy której stoi trzech albo czterech strażników. Otaczany i dosłownie szarpany za poły płaszcza posiwiwały szatyn ma szeroką klatkę piersiową, potężną szyję, krzaczaste brwi i gruby, płaski nos. Czerwony pasek pod jego postacią przesuwa się, niosąc zwięzłe komunikaty: „STRZELANINA W KOMENDZIE STOŁECZNEJ POLICJI * POLICJANT NIE ŻYJE * TRZY INNE OSOBY ODNIOSŁY RANY * WŚRÓD RANNYCH JEST WYSOKI OFICER WYDZIAŁU DO WALKI Z TERROREM * NAPASTNIK ZASTRZELONY PRZEZ POLICJANTA DZIAŁAJĄCEGO W SAMOOBRONIE * POSZUKIWANIA WSPÓLNIKÓW TERRORYSTY TRWAJĄ”.

Małpowaty mężczyzna wreszcie uwalnia się od dziennikarzy, a gdy osiąga bramę - granicę rejonu już dla nich niedostępnego - odwraca się energicznie i rzuca na odczepnego jakieś zdanie, odsłaniając szparę między zębami. Z podpisu, który miga na ekranie, wynika, że gość reprezentuje „Departament Prawa i Bezpieczeństwa Pozamilitarnego”, ale jakiej instytucji - tego już montażyści zapomnieli dodać albo obcięli materiał w ostatniej chwili. Znów zmiana dekoracji. Widać charakterystyczny, geometryczny wzór posadzki w głównym

sejmowym holu i posłankę Julitę Żarnowską jak zwykle obwieszoną barokową biżuterią. „Współprzewodnicząca Ruchu dla Wolności”, jak informuje podpis, czyta coś z kartki, a potem wchodzi w gorący spór z młodą dziennikarką - widać to po nerwowych gestach obu kobiet. Kamera podskakuje, jakby ktoś popychał operatora. Następna scena: korytarz jakiejś państwowej instytucji. Ciasno, dużo bocznych drzwi. Ostrzyżony na jeża posiwiwały mężczyzna opisany na pasku jako „płk Józef Drwęcki, ABW” mówi coś wprost do kamery, unosząc palec.

Czerwony pasek przesuwają się dalej: „ŻYCIU RANNYCH POLICJANTEK NIE ZAGRAŻA NIEBEZPIECZEŃSTWO * NIEZNANE MOTYWY ATAKU * NIE MA INFORMACJI O WSPÓLNIKACH NAPASTNIKA * RZECZNIK POLICJI ALONG NA TWITTERZE: TO MÓGŁ BYĆ AKT INDYWIDUALNEGO TERRORU SZALEŃCA * W ZWIĄZKU Z ATAKIEM NA KOMENDĘ POSZUKIWANA JEST 24-LETNIA MAJA WERONIKA SZALAWSKA, BEZPOŚREDNI ŚWIADEK WYDARZEŃ * POLICYJNE BLOKADY W CAŁEJ WARSZAWIE *** STRZELANINA W KOMENDZIE STOŁECZNEJ...”.

Na ekranie pojawia się na kilka sekund zdjęcie Majki w zielonkawym odcieniu: zbliżenie twarzy w pokoju przesłuchań. Obok pulsuje numer alarmowy warszawskiej policji. Po chwili obraz ustępuje miejsca zbliżeniu na twarz rzecznika rządu. Maurycy Osmołowski, mocno oparty na pulpicie i przechylony w stronę widza, tłumaczy coś ze śmiertelną powagą.

Maja czuje, jak własne tętno uderza ją w opuszki palców i płatki uszu.

Pochyla głowę, patrzy z ukosa w lewo, potem w prawo. Kilka osób zatrzymało się przed szybą kawiarni, aby tak jak ona oglądać wiadomości. Najbliżej stoi wysoka elegantka ze srebrną walizką Puccini na kółkach - identyczną miała kiedyś mama Majki. Za kobietą straszliwie zaniedbany facet, chyba bezdomny. Spogląda na Majkę. Typowy męski rzut oka: najpierw piersi, potem nogi. Nim podniesie wzrok na twarz, ona odwraca się w drugą stronę. Idzie wpatrzona w kamienną posadzkę. Przecina korytarz tunelu na ukos, by znaleźć się pod przeciwległą, nieco gorzej oświetloną ścianą. Różowe koszyki za szybą samoobsługowej drogerii, dwie osoby tyłem, sąsiedni boks w remoncie, rozkład jazdy, trzy osoby - również odwrócone, galeria fotografii ulicznych na ścianie, plecy kobiety z dzieckiem. Grupka rozgadanych Azjatów w czarnych strojach i kolorowych, sportowych butach. Ich bagaże tarasujące przejście. Z przeciwka zbliża się młodzianka, niewysoka dziewczyna w czerwonych legginsach i pstrokatej spódnicy mini w cienkie paski. Pcha składany wózek. W wózku opatulone w różowy śpiworek małeństwo ze smoczką w ustach. Za dziewczyną patrol policji - dwie pary ciężkich butów i czarne mundurowe spodnie. W tej chwili nie

więcej niż pięć metrów przed Majką.

Odwraca się bokiem i klęka, aby zawiązać sznurowadło, ale w tym momencie orientuje się, że jej sportowe pantofle ecco żadnych sznurówek nie mają, więc tylko udaje, że coś poprawia, a potem, nadal w przykłęku, przegląda zawartość torebki. Wyjmuje telefon, podważa paznokciem klapkę, wyjmuje baterię. Wrzuca jedno i drugie z powrotem między szpargały.

Młoda matka w łowickiej miniówce i jej pociecha na szczęście zasłaniają Majkę w chwili, gdy mundurowi są o metr.

Wyciąga z torby chusteczkę higieniczną i wyciera nos. Policjanci przechodzą obok, zapatrzeni w kusą kieckę.

Wstaje, po czym - z chusteczką przy twarzy i oczami wbitymi w podłogę - skręca w pierwsze z brzegu wyjście z tunelu.

Ruchome schody w dół.

Peron trzeci.

* *
* *

Arsen przed ekranem gryzie cygaro tak intensywnie, że mokre strzępy tytoniu, lepkie jak rybia skóra, wypełniają mu już połowę jamy ustnej. Nie czuje jednak goryczy. Nie czuje też zmęczenia, choć powinien. W jego głowie gra muzyka: ekstatyczne dźwięki Haydnowskiego *Stworzenia świata* przeplatają się z arią Leńskiego w *Eugeniuszu Onieginie*. Siedzący obok dowódcy Marks podaje obrazy z kolejnych kamer: siedemnastka wysiada z taksówki - słabo ją widać w bardzo dużym powiększeniu, ale to musi być ona. Lokalizacja GPS zgadza się co do metra. Ostatni sygnał z telefonu, zanim go wyłączyła, dociera z wnętrza kilkukondygnacyjnego dworca. Albo jest to poczekalnia obok północnego wyjścia z głównej hali na poziomie gruntu, albo pierwszy poziom podziemia: miejsce, w którym, według planów, handlowy pasaż przecina się z torowiskiem oznaczonym jako „peron trzeci”.

Marks przerzuca na ekran dowódcy okno z równoległym podglądem trzech programów polskiej telewizji - w jednym akurat pokazują siedemnastkę.

- Dworzec kolejowy, peron trzeci, skrót przed tobą. - Arsen pochylony nad mikrofonem przy monitorze prowadzi biegnącego przez zaśnieżony plac Kropę. Oczywiście figurantka nie musi stać teraz na tym peronie, ale to jest właśnie najpiękniejsza część operacji. Improwizacja i łut szczęścia.

- W ciągu pięciu minut będą dwa pociągi. - Teraz Ezra umieszcza na ekranie dowódcy fragment rozkładu jazdy z zaznaczeniem interesujących pozycji. Przed dziewiętnastą piętnaście na peron trzeci wjedzie InterCity z Lublina i Rzeszowa do Gdyni z przystankami

Warszawa Zachodnia, Bydgoszcz, Tczew... Wcześniej, o dziewiętnastej dziesiąt, ekspres do Piły z przystankami: Sochaczew, Kutno, Włocławek, Aleksandrów Kujawski, Toruń, Solec...

- Przyspiesz, ile możesz. - Kropa odbiera polecenie Arsena i już pędzi po oblodzonym chodniku, wyrzucając równo i wysoko wyprostowane dłonie. Ostry, zimny wiatr dmucha mu prosto w twarz. Po prawej stronie błyszczy odbitym fioletowym światłem stalinowska katedra - młodsza siostra tych z Moskwy i Kijowa. Po lewej mieni się ruchomymi reklamami granatowo-czarny prostopadłościan - miniatura tych drapiących chmury nad Nowym Jorkiem i Hongkongiem. Na wprost jaśnieje biały, prosty neon dworca.

Długie nogi agenta pracują równo i mocno jak łopaty wiatraka. Zmrożony śnieg trzaska pod ciężkimi butami.

- Trzydzieści metrów, schody w dół, najpierw w lewo, potem prosto i w prawo - Arsen wydaje komendy po niemiecku, jego głos w słuchawce zdradza podniecenie, ale jest doskonale zrozumiały.

Tuż przed zatoką autobusową przy Emilii Plater agent wpada do wejścia w podziemia. Musi się chwycić lodowatej i śliskiej poręczy nad schodami, by wyrobić na skręcie. Pędząc w dół po stopniach - i kaszląc przy tym paskudnie - rozbija jak pocisk grupę idących po stopniach nastolatków. Mija pudło biletomatu i skuloną zebraczkę na zlodowaciałym kocu. Biegnie środkiem korytarza. Oddychanie sprawia mu ból.

Skuter, którym dojechał do centrum, porzucił przed dworcem śródmiejskim, bo nawet takim pojazdem nie udało się dalej przeciskać przez korki. Trzystumetrowy sprint do tunelu zajął mu niewiele ponad minutę mimo doskwierającej grypy, ciężkich butów i sześciu kilogramów różnorodnego żelastwa ukrytego pod militarną kurtką z kołnierzem. Oskrzela pałą, oczy szczypią, ale zmysły, wyostrzone do granic możliwości, rejestrują wszystko. Czuje wyraźnie tłusto-mdłący odór ze stoiska z pączkami, kwaśny smród brudu pokrywającego zakamarki tunelu i charakterystyczną dla wielu miejsc w tym mieście woń najtańszych płynów do mycia posadzek. Dostrzega nieoznaczone drzwi wiodące w poprzeczne korytarze, kable instalacji elektrycznej pod sklepieniem, czujniki dymowe i kamery...

Równie uważnie - i błyskawicznie - ogląda twarze ludzi, szczególnie młodych kobiet. Biegnąc, stara się już nikogo nie potrącić, ale i tak przy kolejnym zakręcie ścina z nóg jakiegoś młodzieńca z plecakiem na grzbiecie. Chłopak jęczy, uderzając ramieniem o ścianę. Agent widzi nadchodzących z przeciwka dwóch policjantów. Dostrzegł ich wcześniej niż oni jego.

- Patrol - rzuca do mikrofonu za uchem.

- Nie zwalniam. - Arsen odwraca się od komputera i patrzy pytająco na Różę, która - pochylona nad własnym ekranem, początkowo nie reaguje. Trącona w ramię przez Ezrę spogląda najpierw na niego, a potem na gryzącego zmiętolone cygaro szefa. Skinieniem głowy daje do zrozumienia, że jest gotowa zadziałać, gdy zajdzie potrzeba.

W całej ich czwórce to właśnie ona - czterdziestolatka o pociągłej, mądrej twarzy - dysponuje największymi umiejętnościami przydatnymi w zdalnym sterowaniu miejską akcją. Gdyby działali na przykład w londyńskim metrze, mogłaby z powodu zagrożenia pożarowego lub w inny sposób natychmiast zamknąć wskazany tunel, zatrzymać dowolny pociąg na wskazanym peronie, uruchomić każdy alarm. Tu warunki są dużo bardziej prymitywne: przede wszystkim nie ma jednolitego systemu, w który można by się wpiąć.

Ale i w tych siermiężnych realiach możliwości Róży są imponujące.

* *
* *

Zegary na dworcu wskazują jedenaście minut po siódmej, gdy biegnący agent, mijając policjantów, przeskakuje nad trzema stopniami. Korytarz, przez który teraz biegnie, zmienia wygląd. Więcej światła, więcej ukrytych kamer.

Mają robi pierwsze kroki po peronie.

Wciąż wpatrzona w czubki swoich butów, przechodzi między automatyczną informacją a piramidą z walizek, którą ułożyła tu grupa chłopaków z jakiegoś teamu sportowego na wyjeździe.

Jedną ręką przyciska do biodra torebkę, drugą poprawia ciemne szkła, które przed chwilą założyła na twarz. Może to głupi pomysł... w półmroku podziemnego dworca, w środku zimy, dziewczyna w samym swetrze i plażowych okularach... Może wszystko jest głupim pomysłem? Może nie należy się chować, ale przeciwnie, podejść do pierwszego lepszego patrolu i dać się...

Dać się zabić?

Jakieś to wszystko nierealne.

Jeżeli już się chować... to lepiej w tłumie czy w pustce?

Intuicja podpowiada: usuń się.

Wpatrzona w płytki posadzki - wyszlifowane milionami stóp i poczerniałe - idzie powoli wzdłuż szpaleru podróżnych. Wybrała kierunek, w którym - tak się jej przynajmniej wydaje - ludzi i światła powinno być mniej. Przechodzi pod schodami, którymi przed chwilą zjechała, mija rząd wypełnionych podróżnymi ławek i stalowo błyszczącą rampę towarową. Jeszcze kilkadziesiąt kroków. Końcówka peronu jest blisko. Już tylko dwie postacie na ostatniej ławce. Oparta na lasce kobieta w długim kakaowym płaszczu z wielkimi

guzikami i towarzyszący jej chudy chłopak o pałkowatych nogach oraz chorobliwie przekrzywionej szyi. Młody inwalida pod opieką przedwcześnie postarzałej matki. Ona ma na głowie moherowy beret, on - czapkę w biało-zielone pasy ze znakiem jakiegoś zespołu futbolowego. Na rękach - rękawiczki bez palców. Rozsypując dookoła okruchy, nieporadnie i niechlujnie wyjada kanapkę prosto z foliowego worka. Jego mama - a może to tylko opiekunka? - co chwila patrzy na zegarek.

Jest siódma dwanaście.

Na końcu peronu ciemnieje wlot podziemnego korytarza.

Maja zastanawia się, czy powinna tam iść.

* *
*

Kiedy Kropa przebiega, dysząc, obok dwójki policjantów, jeden z nich odwraca się, by odprowadzić go wzrokiem. Może nawet chce wielkoluda gonić, ale towarzyszący patrolowi cywil w jasnym płaszczu i niemodnym kraciastym kaszkiecie uspakajająco klepie go w ramię. Gest jest jasny: zostawiamy drągala w spokoju. Mamy inne zadania. Dwie minuty temu cywil pokazał obu mundurowym zdjęcie, które chwilę wcześniej wpadło na ekran jego i wszystkich innych służbowych komórek tajniaków. Maja Szalawska, metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, około pięćdziesiąt kilo wagi, włosy jasny blond, proste, do ramion, cera jasna, z piegami, oczy niebieskie, ubrana prawdopodobnie w spodnie dżinsowe - granatowe lub indygo - i szary sweter. Może mieć ze sobą niewielką, jasnobrązową torebkę Moschino, posługuje się telefonem komórkowym Samsung Galaxy Note II, obudowa w kolorze czarnym. Prawdopodobna lokalizacja: hotel Marriott, Dworzec Centralny, Złote Tarasy.

Za chwilę przez radio nadejdą dokładniejsze namiary.

- Wszystko jasne? - Mężczyzna w kaszkiecie zwrócony w stronę policjantów pytająco unosi w górę brwi.

- Ta jest! - Mundurowy robi dłonią krótki gest - ani to salut, ani pożegnanie.

- Nnnnooo to... - cywil zaczyna i nie kończy. Gdy odchodzi w poszukiwaniu kolejnego patrolu, policjant w mundurze zwraca się do kolegi: - Widziałeś tego wielkiego, jak zapierdalał?

- Widziałem. Palca nie miał.

- Słuchawkę miał w uchu.

- Może to ktoś od nas?

- Albo od nich... Coś grubego się kroi... - Posterunkowy wskazuje brodą znikającego już w tłumie mężczyznę w płaszczu.

- Ale się popierdoliło, nie? - Jego partner podnosi głos, żeby przekrzywić sphywający z głośników komunikat o kolejnym nadjeżdżającym albo odchodzącym właśnie pociągu.

Jest siódma dwanaście i trzydzieści sekund.

* *
*

Czerwono-czarna lokomotywa, ciągnąca minimalnie opóźniony pociąg InterCity do Piły, z piskiem kończy hamowanie nie więcej niż dwa metry za Majką.

Kropa - już na peronie - słyszy świst hamulców, gwar ludzkiej ciżby, dzwonki telefonów komórkowych i końcówkę komunikatu:

-...wagony klasy pierwszej zatrzymują się w sektorze pierwszym, wagon restauracyjny: w sektorze drugim...

Sto pięćdziesiąt metrów od niego kobieta o kuli pomaga ruszyć kalekiemu młodzieńcowi. Chłopak macha ręką i wydaje z siebie jakieś głośne niezrozumiałe dźwięki.

- Musimy! Już teraz! Nasz pociąg! - Kobieta w moherowym berecie najwyraźniej rozumie, co ten biedak do niej mówi. Ale chyba brakuje jej sił, aby pociągnąć go za sobą. - Idziemy, Jacek! Jacek!! - Stuka laską w kamienną posadzkę i prosząco przekrzykuje hałas zatrzymującego się pociągu.

Młody kręci uniesioną wysoko głową, jak gdyby odprowadzał wzrokiem gołębie przelatujące pod sklepieniem dworca. Na zaślinionej brodzie wisi mu kawałek kielbasy.

- To jest nasz pociąg!! - kobieta krzyczy na wpół histerycznie.

- Ja pani pomogę! - Maja podchodzi i bierze chłopaka pod ramię. - Pomogę wam wsiąść!

- Dziękuję ci, dziecko... dziękuję... - Opiekunka młodego inwalidy patrzy z wdzięcznością, ale chłopak wciąż stawia opór. Szarpie się z niespodziewaną siłą.

- No to raaazem, hooop! - Maja, wysilając się do granic swych niewielkich możliwości, wpycha zaślinionego chłopaka do wagonu.

Szukający jej agent już od dziesięciu sekund przetrząsa peron. Arsen słyszy jego świszczący oddech. Ponaglająco kiwa palcem na Marksa:

- Kamery z dołu?

- Jeszcze chwila... chwila...

- Zachodni kraniec. - Róża powiększa poszczególne fragmenty obrazu. Zainstalowany w destilerze program potrafi z kilku pikseli na krzyż stworzyć najbardziej prawdopodobny obraz twarzy. Arsen nie ma wątpliwości - nie oni jedni szukają teraz dziewczyny numer siedemnaście. Ale oni ją pierwsi dopadną. Przewaga technologiczna.

- Idź w stronę lokomotywy - dowódca przekazuje komendę agentowi, który rzuca

do mikrofonu krótkie potwierdzenie i rusza we wskazanym kierunku wzdłuż wagonów. Kilkunastoosobowe grupki podróżnych skupiły się przed wejściami. Pierwsi z wsiadających - widoczni przez przybrudzone rdzawo szyby - zajmują puste jeszcze przedziały. Kropa skanuje twarze, profile i sylwetki. Błyskawicznie odsiewa mężczyzn, dzieci, stare kobiety. Młodym poświęca ułamki sekund, ale nie robi błędu: nie ta, ta też nie, ta - nie... Jeszcze cztery wagony. Większość przedziałów jest dobrze oświetlona, niektóre - ciemne. Te wymagają więcej uwagi.

Mijają cenne sekundy.

Komunikaty brzęczą nad głową.

Przed wejściem do korytarza pierwszej klasy, który właśnie mija, zostało tylko dwóch mężczyzn - jeden jest czarnoskóry. W środku, za szybą, widać młodą suczkę, włosy jasne, proste, z wplecionymi warkoczami bordo. Kropa zbliża twarz do okna, ale to jednak nie ta. Kolejny przedział i następna blondynka. Zbyt grube dupsko. Jeszcze jedna w przejściu... duży dekolt... też nie ona.

Za plecami agenta słysząc szum, stukot i zgrzyt. Ekspres z Lublina do Gdyni staje po drugiej stronie peronu. Jest czternaście po siódmej. Sytuacja zaraz się skomplikuje.

Dwie suki w wagonie drugiej klasy - obie niepodobne.

Pociąg do Trójmiasta wypływa przeszło setkę wysiadających. Niektórzy, by uniknąć tłumu, przechodzą na drugą stronę peronu. Przeszkadzają Kropie w marszu. Na szczęście mało kto jest na tyle wysoki, aby zasłonić mu widok.

Zaraz...

Kątem oka dostrzega stojącą tyłem do niego jasnowłosą dziewczynę w popielatym, włóczkowym blezerze i ciemnych okularach. Elegancka, tabaczkowa torebka na ramieniu, wzrost się zgadza. Identyczne włosy i jeszcze coś identycznego... ten sam, zapamiętany ze zdjęć kształt ramion i ułożenie głowy... Te same zgrabne nogi w opiętych dżinsach. Wypięty tyłek. Całkiem zdrowy: sweter osłaniający pośladki właśnie podjeżdża do góry, bo suczka wchodzi na stopień wagonu pierwszej klasy.

- *Ich sehe*. Warszawiarka Zachodnia, Gdynia.

Agent odczytuje tablicę ze ściany pociągu i rzuca się w stronę popielatego swetra. Ona już wsiadła, tuż za nią wepchnął się do wagonu ktoś monstrualnie gruby i niewiele niższy od Kropy. Całkowicie zasłonił, jebany w dupę, figurantkę. Pięć-sześć osób przy drzwiach. Kropa roztrąca całą tę grupę łokciami, próbując jednocześnie zobaczyć ściganą przez okno. Jest!

Niestety - znów odwrócona.

Kolejny komunikat nadawany przez megafony miesza się z gwizdkami konduktorów. Pociąg do Piły rusza z przeciwnej strony peronu, lecz agent tego nie widzi. Już wdarł się do wnętrza wagonu. Jest w wąskim korytarzu. Szerokie plecy grubasa. Mocne kopnięcie wycelowane tuż nad piętą sprowadza tę tłustą świnie do parteru. Kropa przeskakuje wierzchem. Jeszcze drugie i trzecie męskie ramiona... czarne skórzane kurtki. Przeciska się, spychając przeszkadzających na bok. Drugi przedział - nie. Trzeci: też nie.

- Który wagon? - krótkie pytanie Arsena.

- *In der Mitte*. - Agent nie jest w stanie określić tego precyzyjnie.

- Źle. To nie tam - Róża mówi spokojnie i wyraźnie.

- Nie tam!! - Słowa Arsena docierają do agenta w tym samym momencie, w którym ukazuje mu się wnętrze piątego z kolei przedziału w wagonie do Gdyni. Blondynka jest sama, stoi przy oknie, tyłem do szyby, patrzy na Kropę skośnymi oczami. Ufarbowana na blond Wietnamka, a może Chinka?

Kropa straszliwie klnie, Arsen, słuchając jego bluzgów, wypluwa z ust gorzki, tytoniowy wiór, Marks i Ezra milczą wpatrzeni w szefa, Róża, poruszając niewielkim dżojstikiem, odczytuje kolejne wskazania destilera.

- Musiała być w drugim pociągu. Już ruszył.

- Piździelec! - Tym razem Arsen mówi to głośno i do mikrofonu, tak, aby Kropa słyszał.

- Oba pociągi jadą przez tę samą stację. - Ezra podchodzi do szefa i pokazuje coś na ekranie.

- Warszawa Zachodnia.

- Nie zdążą się zrównać, ale...

- Zostań w pociągu!

Kropa kwituje rozkaz krótkim potwierdzeniem.

-...ale jest kolejna stacja... - Róża też staje obok ramienia dowódcy. Wskazuje palcem punkt na ekranie. -...Sochaczew. „Siedemnastka”, będzie tam po ósmej. Kropa wcześniej. Musi tylko wyskoczyć, bo pociąg do Piły tam staje, a ten - nie...

Arsen kiwa głową i pochyla się nad mikrofonem, by wydać polecenie.

Kropa słucha i potwierdza. Jego pociąg już ruszył i teraz wyjeżdża z tunelu. Na zewnątrz właśnie zaczyna padać gęsty i obfity śnieg.

Niesione porywistym wiatrem białe, wielkie płaty przylepiają się do mokrej szyby wagonu, rozpuszczają i tworzą ukośnie pełzające, roztrzęsione strumyczki. Wkrótce wszystko zamarnie, bo temperatura wciąż spada.

* *
*

W coraz lepiej ogrzanej chałupie nad Wisłą Krzysio i Jasio śpią przytuleni do siebie i opatuleni. Robert, który wrócił na skraj zagajnika po resztę rzeczy, siedzi w ciemnym, nieruchomym aucie, paląc papierosa. Odpalił silnik trzy minuty temu, wyłączył podsufitowe lampki i nadmucha, uchylił szybę, teraz czeka, aż się motor nagrzej. Przy rosnącym mrozie - jest już minus dwanaście - nie ma niczego gorszego, niż doprowadzić do kompletnego wychłodzenia maszyny. W niedzielę już raczej nie dałoby się jej odpalić, biorąc pod uwagę dojrzały wiek akumulatora. A w to miejsce pomoc drogowa z kabelkami nie przyjedzie. Na pewno - nie tanio.

Trzeba by prosić o wsparcie mężusia Kaliny, amatora importowanych pikapów.

Lepiej nie.

Lepiej już dwa razy na dzień tu wracać i trzymać motor na jałowym tak długo, aż olej ogrzeje się do stu stopni. Jeśli wróci odwilż, problem zniknie. Jeżeli mróz ściśnie jeszcze mocniej - trzeba będzie znaleźć w gospodarstwie odpowiednie klucze, wykręcić akumulator - czego jeszcze w tym aucie nie robił - i zanieść go do chaty.

Na razie, czekając, aż ciepło rozejdzie się po silniku, słucha radia.

„Poszukiwana jest dwudziestoczteroletnia córka byłego ministra i znanego publicysty Konstantego Szalawskiego Maja. Zaginiona jest ważnym świadkiem terrorystycznego ataku na Komendę Stołeczną Policji. Jak informowaliśmy, w efekcie napaści jeden funkcjonariusz nie żyje, troje jest rannych. Wśród nich nadkomisarz Andrzej Pankanin, któremu udało się unieszkodliwić zamachowca. Za chwilę, po wiadomościach, nasz reporter będzie rozmawiał z żoną nadkomisarza i jego córką Adrianną.

Jeszcze dziś, przed dwudziestą pierwszą, spodziewamy się konferencji prasowej, podczas której informacji udzielią prokuratura i ktoś z przedstawicieli Wydziału Działań Antyterrorystycznych Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego”.

* *
*

W klimatyzowanej sali konferencyjnej przy ulicy Podchorążych szatyn o małej fizjonomii przywołuje do porządku rozgadane grono zebranych. Jako szef Departamentu Prawa i Bezpieczeństwa Pozamilitarnego Biura Bezpieczeństwa Narodowego i szara eminencja Kolegium do spraw Służb Specjalnych Arnold Rastroń rości sobie prawo przewodniczenia temu zebraniu, choć w tym budynku nie on jest gospodarzem. I nie on zezwolił na włączenie telewizora. Denerwujące go dziennikarskie wykrzykniki - echa niedawnej palby w oddalonej o pięć kilometrów komendzie - wdarły się teraz w miejsce, w którym powinien panować spokój. Z telewizyjnego ścieku - bo to ściek i nic więcej -

wylewają się retoryczne pytania nastawione wyłącznie na podnoszenie ciśnienia u ospałych.

„Dlaczego zawiodła ochrona jednego z centralnych budynków policji?”.

„Jakim cudem tak krótko po zamachu w Omedze kolejny bandyta funduje nam jatkę?”.

„Czy to szalony naśladowca Kajetana Leskiego?”.

„Będziemy mieli tych naśladowców więcej?”.

„Co będzie, jeśli następny terrorysta zaatakuje na przykład szkołę?”.

Kryzys wchodzi już w fazę zapalną, to widać. Część koalicyjnych polityków, sądząc po wypowiedziach do kamer, zdaje się zmieniać front w oczekiwaniu na nowe rozdanie. Cóż... to oznacza, że niektórzy w tej sali mają powody, by martwić się o posady.

Tym bardziej trzeba się opanować.

- Proponuję, byśmy przerwali dyskusję, wyłączili to pudło i przeszli do konkretów. - Rastroń rozpina guzik nieco za ciasnej kamizelki. Marynarkę zdjął wcześniej. - Heleno, zacznij...

Kobieta o miedzianych włosach i oliwkowej twarzy wielokrotnie - i bardzo udatnie - poprawionej przez chirurga, na to zebranie założyła prosty, jaśminowy kostium doskonale podkreślający jej fenomenalnie wyrzeźbione ciało. Ciało, do którego Rastroń często tęskni. Teraz ona naciska guzik pilota i telewizor wreszcie gaśnie, a podniesione głosy dziennikarzy z ekranu milkną.

Milkną również zebrani przy półkolistym stole. Gorylowaty zapala papierosa, elegancka Helena innym pilotem uruchamia potężny ekran wbudowany w ścianę pokoju.

- Wszedł w stroju dostawcy pizzy, przebrał się w mundur w toalecie. To są najnowsze zdjęcia - mówi, odchrząkując. - Niezidentyfikowany mężczyzna, lat około trzydziestu pięciu, odciski nie figurują w żadnej z dostępnych nam baz. Tu macie ciekawostkę...

Zajmujące połowę ekranu zbliżenie martwej i koszmarnie zniekształconej twarzy nieprzyjemnego typu o złamanym nosie i zrośniętych brwiach zastępuje równie nieapetyczny widok jego posiniątych pleców. Między łopatkami - i śladami po uderzeniach kul - rozwija ogon spiralnie skręcony smok.

- Ożeż kurwa!

- Znajomy z Miskolca!

- Wszystko na to wskazuje. Nie mamy do czynienia z szaleńcem. Ani z naśladowcą. To nadal praca Skurwysynów.

- Teraz jego prawdopodobny cel... Heleno... - Rastroń nie spuszcza wzroku z ekranu. Popiół z trzymanego w grubych palcach papierosa spada obok popielniczki. Na ekranie

pojawia się niewyraźne zdjęcie idącej korytarzem dziewczyny, potem drugie, lepsze: Maja Szalawska w pokoju przesłuchań.

- Na razie mamy tylko takie ujęcia, ale za chwilę przyjdą nowe. Poproszę was teraz o szczególną uwagę... - Eleganka kilka razy stuka pilotem w jesionowy blat stołu. W tonie jej głosu jest coś takiego, że dwójka spośród zebranych - dotąd zajętych swymi smartfonami - zamiera w bezruchu. Mężczyzna o paskudnie podkrążonych oczach i siedząca obok niego niemłoda kobieta w przyciemnianych okularach przerywają prowadzoną szeptem rozmowę.

- To, jak wiecie, córka mecenasa Konstantego Szalawskiego, byłego ministra i naszego konsula. Wczoraj tu, w Warszawie zginął - jak dotąd sądziliśmy, z ręki złodzieja - narzeczony tej dziewczyny. Dzisiaj przed południem koleżanka panny Szalawskiej wyzionęła ducha pod domem jej ojca...

- No nie wierzę, kurwa... - Łysy z podpuchniętymi oczami chce chyba jeszcze coś powiedzieć, ale małpowaty ucisza go ruchem ręki. Helena nie przestaje mówić:

-...i to było bezpośrednim powodem wizyty tej młodej na komendzie. Nasi ludzie przetrząsają teraz prywatne monitoringi w Piasecznie. Na szczęście jest tam tego sporo, poza mieszkańcami właściwie nikt tej okolicy nie odwiedza, także jest szansa. Próbujemy też skontaktować się z Szalawskim-ojcem za granicą, ale, że tak powiem, ciekawsza jest...

-...odpowiedź na pytanie: co ona takiego sobą reprezentuje, do kurwy nędzy?! - Łysy nie wytrzymuje.

- I komu to przeszkadza...

-...i dlaczego akurat Skurwysynom...

-...i skąd wiedzieli, gdzie jej szukać...

- To akurat jest proste. Ktoś im przekazał...

- Uważaj, zanim coś powiesz.

- Podejrzewamy, że Szalawska ma wiedzę. - Dopiero słowa grubokościstego szatyna kończą sprzeczkę. Rastroń miażdży papierosa w popielniczce wielkim, tępo zakończonym kciukiem. - Policjanci, którzy ucięli sobie z nią pogawędkę, są niestety oboje w szpitalu, ale mamy nagranie.

Helena stuka w klawiaturę leżącego przed nią laptopa w białej obudowie. Obraz pokazuje się jednocześnie na nim i na ścianie.

Maja w pokoju przesłuchań. Oświetlone czoło, jasny blik światła na zadartym nosie, usta ukryte w zielonkawym cieniu. Policjantka na krześle - tyłem. Przed nią plik kartek. Trochę zniekształcone, ale zrozumiałe głosy.

„...jeśli chodzi o mojego Pawła, to on... tak myślę... zginął z tego samego powodu

co pan Kopciński i... w pewnym sensie... Beata”.

- Zaraz... Kopciński?! Przecież to jest Drehnera człowiek! Co to w ogóle ma być?!

Miedzianowłosa przeciąga wypielegnowaną dłonią po klawiaturze. Obraz staje.

- Poczekaj, Artur - mówi do łysego mężczyzny, który znowu jej przerwał. - Poczekaj do końca.

Obraz rusza. Widoczna na ekranach Maja obraca w palcach małe, plastikowe mieszadełko do kawy. Policjantka siedząca tyłem do kamery zadaje pytanie.

„- Dlaczego »w pewnym sensie«?

- Bo to ja miałam dziś zostać zastrzelona.

- Sugeruje pani, że urzędnik ministerstwa, pani narzeczony i pani koleżanka... zginęli zamiast pani?

- Nie... tego nie powiedziałam. Ale z mojego powodu.

- Niech pani zacznie od początku.

- Miałam zostać zabita, ponieważ... jak mi się wydaje, wpadłam na trop związany ze sprawą Synów, czyli Omegi, czyli...

- Wiemy, o czym pani mówi”.

Policjantka przekłada papiery na blacie. Szalawska kontynuuje:

„- Tym, na co wpadłam, są, krótko mówiąc, powiązania ludzi i firm. Napisałam o tych powiązaniach, dopisałam wnioski do pracy na zaliczenie Pawki. On był...

- Paweł Domaradzki?

- Tak. Był studentem Wiedźmina. Pana Pruskiego, tego dziennikarza z Torunia.

- I pani narzeczony pisał dla swojego nauczyciela jakiś raport, czy tak?

- Referat. Podsumowanie ustaleń co do zamachu w Omedze. Takie ćwiczenie z dziennikarstwa... Znalazłam wizytówkę, to znaczy Pawka mi ją dał. Bo Wiedźmin go wcześniej skontaktował ze swoim kolegą, właśnie Kopcińskim, żeby Kopciński nam pomógł.

- Pomógł w czym?

- Paweł chciał wydać referat jako swój artykuł. Albo nasz wspólny. Artykuł z tą naszą... moją... teorią. Że nie ma żadnych jedynaków polskich i nie chodzi o Ruch dla Wolności, tylko o pieniądze i wydobywanie gazu”.

Helena znowu zatrzymuje obraz, a potem - przesuwając palcem po krawędzi laptopa - przewija nagranie do przodu.

- Daj nam to wszystko obejrzeć! - Mężczyzna nazwany Arturem wstaje z krzesła, ale goryłowaty jednym ruchem ręki osadza go w miejscu. Helena wznowia odtwarzanie.

„- A co może nam pani opowiedzieć o samej spółce GAR?

- To jest jedna z kilku, może kilkunastu firm... Już na pierwszy rzut oka widać, że mają ze sobą coś wspólnego. Niektóre - identyczne daty powołania, inne - adresy w tej samej kancelarii. I jeszcze powtarzające się w tytułach litery, jakby od nazwisk, imion czy ksywek trzech osób. To maksymalnie głupie i od razu wpada w oko. Nie wiem, czemu kolesie w ten sposób nazwali...

- Jacy »kolesie«?

- Co najmniej cztery spółki są zarejestrowane przez kancelarię adwokata Jakubowskiego w Sopocie...”.

Małpowaty wstaje z krzesła i zatrzymuje nagranie. Maja nieruchomieje w kadrze.

- Kurwa... nie wierzę! - Łysy Artur wymachuje rękami.

- To koniec.

- Mamy uwierzyć, że kamera wysiadła?!

- Helena i tak dużo pokazała. - Rastron robi rundę wokół stołu. - Zanim zaczniemy się klócić, chcę wam powiedzieć, że liczba osób znających to nagranie jest odliczona co do sztuki, was tutaj nie wyłączając. Zatem jeżeli ktoś byłby nieroztropny... To po pierwsze. Po drugie, moim zdaniem to, co powiedziała Szalawska, jest niegłupie. Zobaczyliście to, co zobaczyliście, dlatego głównie, abyście mieli świadomość, jak cenną osobą jest dla nas wszystkich Maja Weronika Szalawska, córka Konstantego. I abyście pomogli ją uratować.

16.

Kropa stoi na korytarzu wagonu pierwszej klasy, patrzy w okno i kaszle. Widzi swoje zamazane odbicie w zatłuszczonej szybie. Widzi ciągnącą się wzdłuż torowiska szosę i tiry stojące z przygaszonymi światłami w długim korku przed szlabanem. Myśli o człowieku, który dziś połknął kulę w tutejszej komendzie policji. Facecie, którego poznał ledwo dwa i pół miesiąca temu, a jednak zdążył polubić - na tyle, na ile uczucie sympatii może wystąpić między takimi jak oni dwaj. Oczywiście... gdyby dowódca kazał mu sprzątnąć gościa - zrobiliby to bez wahania. I w odwrotną stronę byłoby na pewno tak samo. A jednak... żal człowieka. Był niezgorszym mądrałą. Podczas długich, pustych godzin oczekiwania na komendy, czy to w bazie, czy na jakimś jebanym parkingu, opowiadał Kropie niesamowite historie: o samochodach wyścigowych, nowych technologiach, eksplozjach w stanie nieważkości i różnych różnościach... W ich niełatwej profesji większość ludzi dzieli czas między treningi, pracę i proste, szybkie rozrywki. Ten był inny. Czytał dużo książek. Krótco przed tym, nim wyjechał z bazy na śmiesznym skuterku, w piwnicy służącej im obu także

za sypialnię, podszedł do Kropa. Obaj wiedzieli, że rusza na misję, której nie byłoby, gdyby nie to, że on, Kropa, spierdolił wcześniej strzał. A jednak chwycili się za ręce. Tamten powiedział wówczas coś dziwnego. „Myślę, że jesteśmy sami”. Znaczący... operacja straciła autoryzację.

Mimo to nie została przerwana.

Odwrotnie. Jest coraz goręcej. A to oznacza, że wszyscy albo prawie wszyscy winni tej samowolki zapłacą.

Ta myśl, o dziwo, uspokaja agenta. Przytyka czoło do szyby, nie zważając na brud. Widzi własne oczy i śnieg. Ktoś nadbiega korytarzem: konduktor. Rozpięta kurtka, przekrzywiona czapka na czole. Jedną dłonią podtrzymuje wyświechtaną torbę, w drugiej charczy radiotelefon. Rozsuwane drzwi syczą i trzaskają za nim, gdy znika w sąsiednim wagonie. Pociąg mija właśnie pogrążony w półmroku, bezludny peron. Znowu widać rząd samochodów w pustym, szarobiałym pejzażu, potem jakąś fabrykę z ogromnym parkingiem i otaczające ją osiedle nowych domów oświetlonych różnokolorowymi lampkami.

Gwałtowne szarpnięcie sprawia, że Kropa musi się przytrzymać ściany.

Słychać rumor stalowej konstrukcji wagonu i pisk hamulców.

Pociąg stanął, nic się nie dzieje.

Mijają dwie minuty, cztery, pięć... Kilka osób wychodzi na korytarz. Antypatyczny stwór o zapadniętej klatce piersiowej i ciężkiej dupie - ani to baba, ani chłop - próbuje otworzyć okno, by wyjrzeć na zewnątrz, ale najwyraźniej nie ma siły odblokować przymarzniętej klamki. Z przedziału na końcu wagonu słychać głośnie śmiechy.

- *Wir stehen* - Kropa wzdycha jakby sam do siebie, ale cała czwórka w zakładzie poligraficznym przy Wale Miedzeszyńskim słyszy go doskonale. Słyszą także brzęczący komunikat z głośnika zamocowanego tuż nad głową agenta:

„Dobry wieczór państwu, wita państwa kierownik pociągu. Z powodu nieszczęśliwego wypadku na torze w miejscowości Błonie nasza jednostka nabędzie opóźnienie w granicach trzydziestu minut. Za opóźnienie podróżnych przepraszamy. Prawdopodobny przyjazd do Gdyni nastąpi w dniu jutrzejszym o godzinie pierwszej czterdzieści”.

Arsen, Róża i Ezra wpatrują się teraz w ekran dowódcy, Marks stuka w klawisze komputera. Wskazania aparatów dają dokładny - i zarazem bardzo niedobry - obraz sytuacji. Pociąg z siedemnastką w środku też się zatrzymał kilka kilometrów na wschód od miejsca, gdzie utkwiał Kropa. Ale - w odróżnieniu od niego - właśnie rusza. Po trzech minutach jedzie z prędkością dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę i się rozpędza. Najpóźniej za trzy minuty, jeśli nic się nie zmieni, figurantka minie agenta.

- Da radę wskoczyć - Marks mówi to w taki sposób, jakby chciał poręczyć za Kropę.

- Chuja da radę, piździelec jeden... - Arsen, mówiąc, zasłania dłonią mikrofon.

Róża też jest zdania, że nie ma sensu odgrywać westernu. Za dużo nieprzewidywalnych czynników.

- Bierzecie auto i jedziecie. - Dowódca wskazuje palcem najpierw Ezrę, potem Marksa.

Obaj patrzą na szefa zdumieni. Elektrycy w teren?! Gonić za siedemnastką? Marks chce coś powiedzieć, ale Arsen odzywa się pierwszy:

- Zabierzecie kundla z drogi i podwieziecie, gdzie trzeba.

Jest osiemnaście minut przed dwudziestą, gdy dwaj mężczyźni, obładowani sprzętem, wchodzą do garażu w podziemiu. Marks siada za kierownicą półterenowej limuzyny audi, Ezra wrzuca do wnętrza, co trzeba.

W tej samej chwili pociąg do Piły niespiesznie wyprzedza tkwiący tuż za stacją Płochocin skład relacji Rzeszów - Lublin - Gdynia. Kropa dostrzega w przesuwających się przed nim oknach tych samych ludzi, których pół godziny temu obserwował na peronie. Siedzą w przedziałach, jedzą kanapki, śpią, czytają. Miga seksowna blondynka z odsłoniętym biustem, grubaska z gromadą dzieci i Murzyn. W ciągu czterdziestu sekund przed oczami agenta przesuwa się kilkadziesiąt przedziałów, w większości oświetlonych. Poszukiwanej nie widać.

Ale skoro dowódca mówi, że ona tam jest, to znaczy: jest.

- Wsiadaj i idź na szosę - słyszy jego głos. - Półtora kilometra na północ, skrzyżowanie z sygnalizatorami. Marks po ciebie jedzie.

* *
*

Dwudziestoletnia urzędniczka działu obsługi technicznej Biura Ochrony Rządu wstaje z sedesu i umieszcza świeżą wkładkę intymną na swoim miejscu. Wyrzuca opakowanie, spuszcza wodę i wciąga koronkowe majteczki. Zapina spódnicę. Przed wyjściem z kabiny poprawia jeszcze plaster na pięcie - sikając, zauważyła, że przesunął się niefajnie, wychodząc poza obrys brzoskwiniowego pantofelka na grubym, korkowym obcasie. Przejeżdża obiema dłońmi po biodrach, by wygładzić fałdy materiału, i przekręca plastikową zasuwkę w drzwiach. Cofa się zaskoczona na widok niewysokiego, ale potężnego faceta w rozpiętej kamizelce i białej koszuli z podwiniętymi rękawami. Mężczyzna ma krzaczaste brwi, kartoflowaty nos i zarośnięte czarnym włosem nadgarstki. Patrzy na nią bezczelnie.

- Tu jest damska...

- Wiemy. - Dopiero teraz dziewczyna dostrzega stojącą dalej kobietę. Elegantka

w ładnym kostiumie, dopracowana w szczegółach fryzura, każdy włos błyszczy jak miedziany drucik. Urzędniczka już ją widziała w budynku - i to w towarzystwie samego szefa-generała.

- Zostaw nas samych, dziecko... - Helena Waga uśmiecha się chłodno, rozciągając usta delikatnie pokryte matową szminką. Rozsiewając intrygujący zapach perfum, idzie równo z dziewczyną do drzwi wyjściowych i grzecznie otwiera je przed nią, a potem zamyka.

- Nie możemy tego przed nimi ukrywać - mówi do mężczyzny, który wkłada sobie właśnie między grube wargi papierosa bez filtra.

- Oczywiście, że nie... - Trzask dużej zapalniczki, kłęb śmierdzącego dymu, chrząknięcie. -...ale nie wszystko muszą wiedzieć od razu. Pan ze smokiem coś za łatwo wszedł. Dojdziemy, skąd się wziął, to kwestia minut. Rozumiesz, że... ktoś musiał dać sygnał ze środka. Ktoś z naszych. I tego też się dowiemy. W poniedziałek, pamiętasz, było dużo spotkań, byłem między innymi u Drehnera. Ten Kopciński przyniósł teczkę przy mnie. A Drehner mi tego nie chciał pokazać... Wtedy nie uznałem jeszcze za celowe, by go nacisnąć. Teraz już wiem, że nie nadał biegu. Albo puścił to dalej... inną drogą.

- Drehner wystawił przecież Tormbladera.

- No właśnie. Cóż... może wystawił go zamiast.

- Co ty chcesz przez to powiedzieć? - Głos Heleny robi się zachrypnięty.

- Że niezawisły sąd przychylił się do wniosków o areszt, zatem nie musimy się tym martwić, co nie znaczy, że nie powinniśmy działać w nowym kierunku. Zrobimy trójkąt: ty, ja i Józef. Niech Artur z policją kontynuują standardowo. Ustalą, skąd się wziął ten skurwiel, i posprawdzają kamery w Piasecznie. Zaraz też będzie można wysłuchać Pankanina. Nic mu nie jest. Musimy wypuścić wokoło trochę mgły, a w tym czasie znaleźć Szalawską. Pierwsi. To najważniejsze. Cały czas ją namierzamy, ale to nie jest łatwe.

- Więc może dziennikarz?

- On swoją drogą. Niezależnie. Już po niego jadą ludzie z Trójmiasta, do których mam zaufanie.

-...?

- Taktycy. Jednostka mała, ale dobrze wyekwipowana.

- Z halabardami na gryziپیórka?

- Tylko dla jego bezpieczeństwa. - W kieszeni spodni mówiącego kilkoma piknięciami odzywa się komórka. Wyciąga ją i mruży: - No właśnie...

W drzwiach toalety staje sprzątaczką z plastikowym wiaderkiem i mopem, ale na widok otoczonego dymem faceta o groźnym wyglądem natychmiast się wycofuje. Profesor

Arnold Rastron, którego bandycki, małpi wygląd nie pasuje do dyplomów dwóch zagranicznych uniwersytetów i jak najbardziej belwederskiego tytułu naukowego, słucha teraz, co ma mu do powiedzenia rozmówca po drugiej stronie łącza.

Helena Waga bez pożegnania wychodzi z ubikacji, stukając obcasami. Małpowaty patrzy na jej wypięte, idealne pośladki i cicho cmoka, nie przerywając słuchania.

Ich niedługi, ale bardzo gorący romans rozpoczął się piętnaście lat temu w Ameryce. Rastron, niewiele wcześniej awansowany przez prezydenta Wałesę na generała, poleciał tam, aby reprezentować ojczyznę w gremium o dumnej i nic niemówiącej nazwie Grupa Wysokiego Szczebla NATO. Gospodarze zafundowali im wycieczkę nad Wielki Kanion Kolorado. To było coś! Pod stopami szklana platforma za trzydzieści milionów dolarów - tak twierdził przewodnik - niżej karminowe, amarantowe i purpurowe skały. Tysiąc dwieście metrów w dół - turkusowa rzeka odbijająca słońce w zenicie. Świat, jak go Bóg stworzył. Żywiły ziemi, wody i powietrza w stanie czystym.

Helena znalazła się w tym samym czasie oraz miejscu i także za pieniądze amerykańskiego podatnika. Przyjechała podziwiać przyrodę z niewielką grupą amerykańskich instruktorów w połowie złożoną z funkcjonariuszy FBI, a w połowie z policji stanowej. Ubrana „na kowbojkę” - w obcisłe džinsy, buty do konnej jazdy, ciasny podkoszulek i kapelusz z szerokim rondem - po prostu zachwycała.

Ich pierwsze spotkanie nie było jednak udane, mimo tak pięknych okoliczności przyrody. I niepowtarzalnej atmosfery.

Generał natychmiast zwrócił uwagę na rudowłosą kursantkę i od razu próbował zarzucić sieci, ale ona się łatwo wymknęła. Nie, żeby go nie zauważyła. Zrobił na niej wrażenie, naturalnie... Jego małpio-zbójecki wygląd zwracał uwagę każdej, nawet przelotnie poznanej kobiety. Lecz to jeszcze nie była uwaga tego rodzaju, o jaki mu wtedy chodziło.

Drugi raz wpadli na siebie w Gettysburgu. Oboje byli na kolejnej wycieczce, z tym że jej wyprawa znów była grupowa i zorganizowana, on zaś przyjechał wynajętym samochodem. Było w tym trochę koniunkturalizmu, a trochę grzeczności wobec amerykańskich gospodarzy, którzy go na ów Gettysburg namawiali, jakby faktycznie czekało tam coś ciekawego do oglądania. A nie było nic. Zielone pole i kilka gablotek. Nic - z wyjątkiem Heleny.

Rastron zagał banalnie - że to przecież nie może być przypadek, dwa takie spotkania w jednym tygodniu, tak daleko od Warszawy. Ona dała się wciągnąć w żartobliwą rozmowę o zachowaniach Polaków za granicą, padło kilka dowcipów. Później wydarzenia potoczyły się dosyć klasycznie. On wplatał w żarty coraz śmielsze aluzje, ona się wykręcała, ale dała

namówić na drinka. Potem zostawiła swoją grupę na dwadzieścia cztery godziny. Pojechali we dwoje autostradą do Filadelfii. Był październik, a jednak gorąco, wręcz duszno... i bardzo przyjemnie. Zjedli późny obiad w parkowej restauracji z widokiem na szklane wysokościowce, w których odbijało się wieczorne, lapisowe niebo. Kupili sobie przewodnik, pooglądali - z samochodu - to, co nazywają tam zabytkami. Jeszcze długo po zachodzie słońca nadal czuło się mile obezwładniające ciepło - to zapamiętał, ponieważ pierwszy raz bzyknęli się zaraz po kąpieli na hotelowym balkonie. Szesnaste piętro, widok w dół już nie tak piękny jak w Arizonie, ale nie to było najważniejsze. Dla niego liczyła się przede wszystkim elastyczność jej ciała, sposób, w jaki reagowała na dotyk i penetrację - a reagowała entuzjastycznie i z całą pewnością autentycznie. Okazała się bardziej namiętna, niż mógł przypuszczać. Z początku wziął ją za kobietę piękną, zgrabną, niebanalną, lecz sztywną. A tymczasem płonął w niej ogień, tyle że kontrolowany.

Na Helenie największe wrażenie zrobił rozmiar jego członka. Od rozwodu, który ciężko przeżyła cztery lata wcześniej, Arnold nie był jej pierwszym kochankiem. Ani nawet trzecim czy czwartym. Jego szeroka szyja i klatka piersiowa, przeguby rąk i toczone uda zwiastowały co prawda, że w spodniach przechowuje coś całkiem grubego... ale nie aż tak. Niejedna dama uciekłaby na ten widok, ale jej to akurat przypasowało. Tak jest po prostu zbudowana w środku.

Po powrocie do Polski spotykali się ukradkiem - w odróżnieniu od niej profesor, ojciec dwójki dorosłych już synów, rozwiedziony nie był i rozwodu nie planował, a na skandal nie mógł sobie pozwolić. Nigdy się jednak poważnie nie pokłócili. Ona robiła karierę w przestępczości zorganizowanej, on wchodził w skład zespołów coraz bliższych samego szczytu. Romans zakończyła ona. Długi i gruby jak cukinia kutas jest rzeczą nader przyjemną... lecz to jeszcze nie wszystko. Helena chciała faceta, który prócz dobrego rżnięcia nadawałby się też do czegokolwiek innego. Na przykład położyłby się obok niej na całą noc. Zrobił śniadanie. Zabrał do teatru.

Cóż... miała prawo domagać się tego, czego on nie mógł jej dać. A gdy znalazła kogoś właściwego - swego obecnego, młodszego o sześć lat partnera - po prostu wymówiła Rastroniowi łóżko. Pozostali współpracownikami.

Musiała przyznać, że przyjął rozstanie z godnością. Twardziel.

I między nogami, i ogólnie.

Wszystkie wieczorne serwisy informacyjne telewizji rozpoczynają się dramatycznymi obrazami nakręconymi pod komendą policji.

Dalej jest nie mniej ciekawie.

Prezenterka stacji Polski News - długonoga blondyna o wysokim głosie oraz figurze i urodzie gwiazdy porno - przerywa nagrany wcześniej materiał, aby poinformować o "ustaleniach reporterów stacji z ostatniej chwili".

Senator Ruchu dla Wolności i poznański przedsiębiorca Janusz Wipert oraz jego kolega z parlamentarnej ławy adwokat Miron Buczyński otrzymali dziś wieczorem pocztową przesyłkę zawierającą nieznaną proszkę, a także dokument sygnowany znanym już znakiem Toporła i podpisem Jedynych Synów Polski. Substancję zawartą w liście bada z najwyższą ostrożnością policyjne laboratorium. Istnieje prawdopodobieństwo, że mogą to być zarówno zarazki węgla, jak i materiał silnie radioaktywny.

- Państwo na pewno pamiętają, że zarówno senator Wipert, jak i senator Buczyński znajdują się na słynnej, odnalezionej przed tygodniem tak zwanej „liście kibica” i są z tego powodu całodobowo chronieni... - Prezenterka zawieszając głos, najwyraźniej odbiera dalsze instrukcje przez słuchawkę ukrytą w ślicznym uszku ozdobionym klipsem. - Tak... Mam potwierdzenie, że treść dokumentu, kolejnego, jeszcze bardziej agresywnego manifestu terrorystów-nacjonalistów, prawdopodobnie zostanie za chwilę odczytana... zostanie odczytana tylko i wyłącznie na naszej antenie. W wersji nieocenzurowanej. Prosimy o chwilę cierpliwości, trwają konsultacje z prawnikami. Wracamy do gmachu Sejmu...

Spikerka kończy i uśmiecha się słodko w świetle halogenów, odsłaniając duże, śnieżnobiałe zęby. Stojący w zacienionym kącie studia mężczyźni - wydawca serwisu informacyjnego i jego pomocnik, redaktor odpowiadający - uśmiechają się również. Niczego nie konsultują ani nie konsultowali z żadnymi prawnikami, zaś list z manifestem zatytułowanym *Perfidna agenda transhumanizmu* przyszedł do redakcji już wczesnym popołudniem zaadresowany na nazwisko popularnego prezentera programu kulinarnego i opatrzonego informacją o pozostałych dwóch adresatach - panach senatorach. Proszek w kopercie to zapewne mąka, mleko w proszku albo pigment do farb - wszystko jedno. Można by to wypieprzyć do klozetu, ale dla zachowania formalności wezwali policję. Niech sprawdzą. Będą wyniki - będą kolejne newsy na wyłączność. Na razie sprzedajemy „manifest antytranshumanistyczny”.

W kwestii jego rozpropagowania interesy nadawców i odbiorców sproszkowanej przesyłki są zbieżne.

I rzeczywiście: tekst *Perfidnej agendy*... - kolejny elaborat przygotowany zawczasu

przez Różę i poprawiony przez znacznie lepiej operującego językiem polskim Marksa - już po godzinie jest kopiowany, czytany i komentowany od pierwszych słów:

„Mieniący się obrońcami wolności i liberalnego porządku zgnili humaniści, śmierdzący gównem pseudoracjoniści i zawszeni apologeci wypudrowanego ateizmu usiłują wpędzić nas na ścieżkę transhumanizmu, podważając kolejno: przykazania kościelne, przykazania boskie i wszelkie imperatywy sumienia...”.

...aż po znane już skądinąd zakończenie:

„...precz z handlarzami idei i zdrajcami Narodu! Obetniemy im wszystkim łby! Nasze obowiązki są polskie i tylko polskie!”.

* * *

Kwadrans po ósmej wieczór audi - z Marksem za kierownicą, Ezrą na bocznym siedzeniu i Kropą kaszlącym na tylnej kanapie - mija źle oświetloną stację benzynową w Błoniu, skręca w prawo i ostro wyrywa w przód. Wycieraczki pracują pełną parą, zbierając z przedniej szyby gęsto zacinający śnieg. Od czasu do czasu przez radio odzywa się Róża. Poza tym panuje milczenie. Marks koncentruje się na prowadzeniu - przejechać w pół godziny Warszawę spod Wawra do Ożarowa to prawdziwy wyczyn. Nie załapać się przy okazji na policyjny pościg - oto sztuka wymagająca umiejętności, intuicji, sporego szczęścia i - oczywiście - fachowej pomocy Róży. Przez ostatnie trzydzieści trzy minuty pędzili ulicami, chodnikami, osiedlowymi parkingami i środkiem torowiska tramwajowego. Kropa wskoczył w biegu. Mimo to i tak nie zdążą dopędzić pociągu z figurantką numer siedemnaście wcześniej niż we Włocławku. Ekran trasera na kolanach Ezry pokazuje - nie tak precyzyjnie jak sprzęt z bazy, ale wystarczająco dokładnie - aktualne położenie dziewczyny. Pole między wioskami Szymanowice i Zduny, dziesięć kilometrów za miasteczkiem Łowicz.

Według planu cztery minuty po wpół do dziewiątej jej pociąg pojawi się w Kutnie. Kolejny przystanek, dwudziesta pierwsza piętnaście, będzie już spotkaniem pościgu z celem. Została godzina, by przejechać dziewięćdziesiąt kilometrów nieodśnieżonymi drogami przez Kampinos, Gawłów, Sarnów, Ilów i tym podobne miejsca, w których koty chujami wodę piją. To Róża wyznaczyła im taką trasę. Jak powiedziała: droga trudna, ale pusta.

Marks może się wykazać umiejętnościami - i robi to.

Mimo że wyłaniające się w zimnym świetle halogenów wiejskie trakty są całkowicie zasypane, prawie nie zdejmuje nogi z gazu. Orientuje się co do właściwego kierunku po nielicznie wystających z puchu drogowych słupkach, czarnych pniach drzew, widoku GPS i wskazaniach z własnego nosa.

Pędzą na granicy poślizgu.

Marks - maksymalnie skoncentrowany - myśli o kilometrach, minutach i niespodziankach w terenie. Ezra - ze słuchawką w uchu i traserem w dłoniach - дума o różnych rzeczach. Na przykład o zabójcy leżącym na tylnym siedzeniu. Facecie bladym, kaszlącym i ogólnie... wyglądającym jak trup. Myśli też o Marksie - jedynym człowieku w grupie, którego mógłby od biedy nazwać swoim druhem. Człowieku, od którego refleksu w tej chwili zależy życie wszystkich siedzących w aucie.

Marks urodził się podobno w Ameryce Południowej, ale sam siebie uważa za Polaka przynajmniej w połowie. Najważniejsze, że zna ten język, kulturę i tysiące drobnych szczegółów, których nie sposób się nauczyć w ciągu kilku miesięcy. Pewne wiadomości trzeba wyssać z mlekiem matki, żeby się tutaj skutecznie poruszać. Jest delikatny, może nawet ciut kobiecy z wyglądu, a zarazem niespodziewanie twardy w środku. Szopa ciemnych, nigdy nieczesanych włosów na głowie, nieproporcjonalnie duży nos i szczupła, zwykle zgięta sylwetka mogą zmylić niewprawnego obserwatora. Oto nieopierzony, troszkę garbaty studencik, maminsynek i wielkemiejski leniuszek. W rzeczywistości Marks ma dobrze poukładane w głowie i nieraz już dowiedział, że można na nim polegać, gdy zrobi się naprawdę chujowo.

Oczywiście lojalność i poświęcenie mają w tym fachu swoje granice, a Marks też jest tylko kimś w rodzaju najemnika, chociaż... co Ezra nie raz miał okazję słyszeć, sam określa swe stanowisko mianem „wolnego inżyniera”. Tak czy owak, chodzi o pieniądze. Wszystkim chodzi o pieniądze, choć każdy oszczędza na coś innego.

Z całej ich grupy tylko Marks i on sam, Ezra, nie są byłymi wojskowymi, co zdołali wyedukować, łącząc wiele drobnych wskazówek. Kropa śmierdzi koszarami na kilometr, ich obecny dowódca - tak samo. Nawet Róża służyła w armii, tej najbitniejszej i najbardziej sfeminizowanej. Jej własne słowa. Podsyte sarkazmem i sentymentem do pustyni.

Róża jest tajemnicza, seksowna i, co ciekawe, deklaruje się jako osoba religijna. To dość nietypowe w ich profesji. Z armią, o której zachowała dobrą opinię, rozstała się podobno w dramatycznych okolicznościach. Można powiedzieć, że przeszła na stronę wroga - tak przynajmniej ujął to Marks pewnej spokojnej nocy, gdy bez zgody Arsena, ale za cichym przyzwoleniem Róży napili się wyśmienitej polskiej wódki. Jeżeli wierzyć Marksowi, ten poznał Różę podczas jakiejś wcześniejszej operacji, prowadzonej równie ostro jak obecna. To było cztery albo i pięć lat temu w zupełnie w innym zakątku świata, ale też za arabskie pieniądze. Między innymi arabskie. Podobno już wtedy Róża była legendą. Ta jej uroda... Zielonooka intelektualistka wyglądająca bardziej na aktorkę jednego z tych teatrów, gdzie piją własne siuski na scenie, niż na kogoś zdolnego zdetonować przez internet instalację

na drugim końcu świata. A jednak...

Ezra bębni knykciami w zaparowaną, zaśnieżoną i zarazem oblodzoną boczną szybę. Sinobiałe pustkowiec rozciągają się po obu stronach mijanej właśnie zamarznętej Bzury. Ezra wraca myślami do konkretów.

To, że sporo się posypało, nie jest winą Arsena jako autora scenariusza. I nie jest nawet żadną tragedią. Ich chujowa robota zwykle obfituje w zwroty akcji. Gdy konstrukcja się sypie, wiadomo, co trzeba robić. Jedni zamurują dziury i wyrwy, inni usuwają gruz. Marks, Róża i on sam raczej murują, kaszlący typ na tylnym siedzeniu to spec od usuwania. Ważne, że ktoś nad wszystkim czuwa. Natomiast teraz... wydarzenia niosą Arsena, a nie odwrotnie. I w tym jest kłopot.

Dochodzi dwudziesta trzydzieści.

Pociąg wiozący siedemnastkę hamuje przed stacją Kutno. Marks - w kontrolowanym poślizgu - przecina ciemne, opustoszałe ulice jakiejś zapomnianej miejsciny z kościołem i zamarznąłą fontanną pośrodku. Silnik wydaje wysoki ton, gdy rozpędzają się, mijając szarą remizę strażacką. Sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, sto czterdzieści... Czarna postać na poboczu chwieje się w świetle lamp. Przechodzień - albo pijany, albo targany wiatrem - o mało nie rozsmarował im się na masce. Miga zielona tablica „Płock 29 km, Włocławek 68 km”. Marks jeszcze mocniej dodaje gazu. Kropa kaszle. Ezra mówi:

- Już mamy zapas.

Z przeciwka, ze śnieżnej kurzawy, wyłania się ciężarówka. Marks zapala dodatkowe, oślepiające halogeny na dachu i trąbi. Tamten najwyraźniej zgłupiał z przerażenia, bo zjeżdża w ostatniej chwili.

Ezra w bocznym lusterku widzi przez chwilę czerwone, tylne światła w dziwnym, ukośnym ustawieniu. Kierowca ciężarówki musiał wpaść do rowu. Chuj z nim.

* *
*

- Akty Terroru, słucham.

- Z Heleną.

- Jeżeli jest pan po imieniu z panią inspektor, to zapewne ma pan też jej komórkę i bezpośredni...

- Zajęte.

- W takim razie tym bardziej...

- Kurrwa mać, dziewczyno...!

- Słucham?!

Westchnienie po drugiej stronie słuchawki. Chwila ciszy. Po niej męski głos jest już

nieco spokojniejszy:

- Wejdz do Heleny i powiedz, żeby zadzwoniła do Józefa. Do Jó-ze-fa!

Rozmowa rozłączona.

Helena oddzwania po dwudziestu pięciu sekundach.

- Drwęcki.

- To ja.

- Wreszcie... dzięki. Mamy chłoptasia!

- Kogo?

- Niezapowiedzianego gościa w Piasecznie! Wyświetlił się w ogródkowej kamerce jak malowany. Ze sprzętem w futerale. I jeszcze raz na Ursynowie. Wyobrażasz sobie? Wsiadł z armatą do metra. To są poważni zawodnicy. Arnold ma rację: za poważni jak na to, co o nich mówią. Mamy go sfilmowanego w centrum tuż po siódmej. Zaparkował skuter w pół drogi z Marszałkowskiej do Śródmieścia i chyba bardzo się gdzieś spieszył - wygląda na to, że pobiegł w kierunku Tarasów. Dojdziemy dokąd... Jeszcze dochodzimy. Wcześniej przejechał tym motorkiem przez most Siekierkowski. Sprawdzamy Płowiecką, Ostrobramską, Wał i kilka innych odcinków.

- Ile czasu?

- Nikt nie próżnuje.

Pułkownik przez chwilę milczy, jakby zastanawiał się, czy mówić dalej. Rastron nakazał mu jednak być z Heleną szczerym.

- Wyjaśnia nam się też ścieżka dostawcy pizzy. Nie zgadniesz...

- Przejechał tę samą drogę.

- Bingo! Kwadrans, może pół godziny i będziemy w domu. W czyimś domu. Chłopaki już wyjechali, krążą w gotowości. Dzwonię, by ci powiedzieć, że to będzie dziś w nocy. Kimkolwiek są, też robią błędy.

Helena nie odpowiada. Pułkownik słyszy tylko, że stuka w klawisze.

- Coś się mało cieszysz...

- Szalawska była na dworcu. Szszsziiiiit!

- Śródmieście?

- Na Centralnym. Ostatni raz jej telefon odezwał się stamtąd. Twój chłopiec z armatą mógł nie pędzić na obniżki cen do Tarasów, tylko...

- Mogła zdążyć wsiąść do pociągu.

- Dlatego biegł. Ale czy dobiegł?

- Przeanalizujemy pociągi, poczekaj... - Teraz Helena słyszy w słuchawce stukot

klawiszy. - Jeszcze chwila...

- Podobno masz zaraz występ?

- Podobno. Niech ich diabli...

- Obejrzę sobie.

- Słuchaj, tu jest za dużo możliwości, muszę zlecić moim... Oddzwonię do ciebie, tylko powiedz tej swojej sekretarce...

- Co ona winna? Byłeś niegrzeczny.

- Przepraszam. Za dużo naraz się dzieje... ale już kończymy. Czyli zaczynamy. Wiesz, co się zaraz może okazać? Gdy wszystkie myszy będą w słoikach?

- Że złapaliśmy sami siebie. Wiem. Ale to będzie już robota dla innego departamentu...

- Trzymamy się ustaleń z Arnoldem.

- Jesteśmy w kontakcie.

* *
*

Wyczekiwana wieczorna konferencja prasowa nie odbywa się ani przed dwudziestą pierwszą, jak zapowiadano, ani, jak planowano, w bloku Prokuratury Generalnej czy w siedzibie ABW. Ostatecznie spóźniony pułkownik Józef Drwęcki w towarzystwie Adama Alonga, tłustawego rzecznika komendanta głównego, staje przed kamerami w wynajętej w ostatniej chwili sali konferencyjnej Związku Techników ulokowanej przy ulicy Armii Ludowej. Towarzyszy im kilkoro przedstawiciele instytucji o poważnie brzmiących nazwach. Ci jednak nie zamierzają się odzywać do dziennikarzy - siedzą na składanych krzesłach w pierwszym rzędzie tyłem do kamer i sprawiają wrażenie, jakby sami przyszli posłuchać - albo skontrolować - mówiących.

Sala jest bardzo wysoka, przestronna, można nawet powiedzieć, że przytłacza pustką, tym bardziej że reporterów jest niewiele. Uzbrojeni faceci przy bramce do wykrywania metalu, przez którą wszyscy musieli przejść, skrupulatnie sprawdzili nie tylko zawartość toreb i futerałów, ale też numerowane wejściówki. Organizatorzy briefingu rozdali ich raptem dwadzieścia cztery, choć popyt był niesłychany. Weszli jednak wyłącznie przedstawiciele tak zwanych poważnych mediów. Reszta została - dosłownie - na lodzie. Stoją w kilku grupkach wzdłuż chodnika i patrzą w przeszkloną ścianę, oglądając własne odbicia i szerokie plecy ochroniarzy. Większość doskonale wie, że zawdzięczają swą mizerną sytuację nie tylko zwiększonym od kilku godzin środkom ostrożności, ale też wczorajszej publikacji dwóch tabloidów, które jednocześnie zamieściły obrzydliwe zdjęcie wiszącego na sznurze z prześcieradła urzędnika Ministerstwa Sprawiedliwości Januarego Okryńskiego. Zasikane

spodnie, zniekształcona strachem i przedśmiertnym cierpieniem twarz... Nierozsądni redaktorzy kilku portali nastawionych głównie na klikalność postanowili wczoraj i dziś ucieszyć wizerunkiem nieboszczyka także swoich czytelników... Teraz więc wielu ludzi przytupuje z zimna na oblodzonym trotuarze.

Reporterzy wewnątrz budynku najwyraźniej doceniają fakt, że pozwolono im wejść i jeszcze dostali kawę w kubkach. Siedzą i stoją w grzecznej ciszy, pozwalając inspektorowi Alongowi mówić.

Ten podsumowuje wcześniejsze informacje, przypomina sukcesy policji, dwukrotnie podkreśla, jak ciężko pracuje nad wszystkim sam pan komendant, potem mówi o trwających badaniach tajemniczej substancji wybuchowej, która zabiła kibica Jagiellonii Białostok. Niepytany zastrzega, że nie może jeszcze powiedzieć niczego konkretnego na temat proszku z kopert wysłanych senatorom. Co do *Perfidnej agendy transhumanizmu*, jest ona raczej materiałem do analizy dla psychiatrów niż policji. Nie, nie ma jeszcze nowych informacji o zeznaniach „tak zwanych Synów”. Proszę się o to pytać w prokuraturze, która nadzoruje śledztwo. Nie, przedstawiciela prokuratury nie będzie na niniejszym zebraniu. Może jutro rano. Nie, poszukiwana Maja Szalawska nie jest osobą podejrzewaną o żadne przestępstwo. Jest jedynie ważnym świadkiem, z którym należy się jak najprędzej skontaktować. Tak, międzyresortowy sztab kryzysowy, któremu przewodniczy profesor Arnold Rastroń z kolegium do spraw służb specjalnych, cały czas zajmuje się zaistniałą sytuacją i analizuje wszystkie możliwe związki między strzelaniną w komendzie i wcześniejszymi przestępstwami, o które podejrzewani są tak zwani Jedyni Synowie. Tak, główne działania prowadzone są w kierunku dalszego rozpracowania siatki nacjonalistów przy założeniu, że nie wszyscy jeszcze zostali ujęci, ale szczegóły poda państwu pan pułkownik.

- I proszę już powstrzymać pytania. - Adam Along pokazuje zebrany wewnątrz obu rozpostartych dłoni. - Mamy dziś ściśle wyliczony czas.

- Tak samo jak wczoraj... - Rzucona piskliwym głosem uwaga dziennikarki zostaje zbyta przez rzecznika krótkim, nerwowym gestem. - Dodatkowych informacji proszę się spodziewać sukcesywnie na stronach internetowych Zespołu Prasowego KGP. A teraz pan pułkownik, proszę.

Drwęcki, który dotąd stał wyprostowany i nieruchomy przy swoim mikrofonie, zaczyna mówić szybko, jakby chciał już skończyć i wyjść. Informuje zebranych, że zaraz będzie oświadczenie, ale nic ponadto. Czas jest „limitowany”, jakiegokolwiek pytania „nie są dziś przewidziane”. Wszystkie służby pracują pełną parą, sztab kryzysowy działa nieprzerwanie.

- Proszę państwa... - Oficer rozpina marynarkę i wyciąga z wewnętrznej kieszeni kartkę. Rozkłada i czyta pierwsze zdanie. Po drugim recytuje już tekst z pamięci, robiąc co chwila identyczne, krótkie pauzy: - Ostatnie tragiczne wydarzenia w Warszawie pokazują, że organizacja przestępcza, z którą mamy do czynienia... jest siatką znacznie bardziej rozwiniętą, niż się to początkowo wydawało zarówno organom ścigania, jak i opinii publicznej. Zamachowiec, który dziś po południu zginął w budynku Komendy Stołecznej... nie jest, z dużym prawdopodobieństwem, samotnym szaleńcem, ale osobą poszukiwaną w związku ze śmiercią prezesa Edgara Eugeniusza Matera. Dotychczas przeprowadzone aresztowania nie powstrzymały jego z pewnością wcześniej zaplanowanego ataku... obliczonego bez wątpienia na dalszą destabilizację sytuacji politycznej i bezpieczeństwa... a możliwe także, że mającego na celu fizyczną likwidację funkcjonariuszy państwa pracujących nad sprawą...

- Ouuu szit! - Helena Waga oglądająca występ pułkownika online w pierwszej chwili jest zaskoczona. Jaka „destabilizacja”?! Jaka „likwidacja funkcjonariuszy”?! Dopiero teraz dociera do niej głębszy sens ostatniej rozmowy z Arnoldem.

Wypuszczamy mgłę.

Żeby to się znowu źle nie skończyło.

* *
* *

Piętnaście minut po występie inspektora i pułkownika część dziennikarzy stoi wciąż na zewnątrz przeszklonego budynku, kuląc się w porywach lodowatego wiatru. Temperatura spadła do minus piętnastu. Komentatorka w wełnianej czapce z lamy i kremowej kurtce, stojąc przed dwoma reflektorami i kamerą, zwraca uwagę widzów na „zaostrzone środki bezpieczeństwa towarzyszące ostatniej konferencji” oraz „wybrane w ostatnim momencie nietypowe miejsce spotkania rzecznika rządu z telewizją i prasą”. Mówi coś o „faktycznym stanie wyjątkowym” oraz niepewnej przyszłości rządu.

- Wtorkowo-środowe zatrzymania podejrzanych nie satysfakcjonują już opinii publicznej w sytuacji, w której nadal nie znamy zabójcy Kajetana Leskiego, zaś budynki policyjne nie zapewniają bezpieczeństwa...

Dziesięć metrów dalej, przy krzywo zaparkowanym, obdrapanym fordzie focusie, dwóch dziennikarzy łączywie zaciąga się dymem. Starszy, tęgi, w długim, popielatym płaszczu, ma pyzată twarz wielkiego niemowlaka i łysinę na czubku głowy. Wygląda trochę jak pomarszczony Miś Uszatek.

- Przeczytaj to - mówi, podając iphone'a młodszemu, ubranemu w zbyt wielką, kraciastą kurtkę snowboardzisty we wściekle pomarańczowych odcieniach.

- Żaraż, żaraż... ale nie rozumiem... - Ten wpatrzony w telefon ma wyraźną wadę wymowy. Sprawia wrażenie raczej osiedlowego obwiesia czy bezrobotnego lenia niż dziennikarza, choć zarazem mimo przyszczy na twarzy ma w sobie coś uroczonego. - Ktosz czy to przyszał?

- Na mojego bloga.

- Kto to ma być?

- Znajomy z sieci. Znam tylko jego nicka. Ale już raz cynkował i się potwierdziło. To ktoś z policyjnej administracji. Przewiń niżej.

- Kopyczyński... Paweł Domaradzki... - Ten w kurtce głaszcze ekran czerwonym od mrozu kciukiem i czyta. Na co dzień nosi szkła kontaktowe, ale dziś, w pośpiechu, nie założył ich, dlatego przysuwa telefon bardzo blisko oczu. Wyświetlacz komórki rzuca błękitny blask na jego duży nos z podpuchniętym wągrem na samym czubku. - To są na raże wszystko tylko pytania, Maczej... Warszawa jest dużą wioszką, sam mówiłeś... Czagle tu ludzie giną w napadach i wypadkach.

- Tylko że ten Domaradzki uporczywie wydzwaniał do ministerstwa. Czegoś chciał. A dzwonił do faceta, który też nie żyje. Najpierw wypadek, potem atak z użyciem noża. Albo odwrotna kolejność. Napad - wypadek. Zadzwoiłem do znajomego z drogówki. Auto zostało spalone. Mało ci tego?

- Tylko czo to ma wspólnego z naa...?

- Dawaj! - Uszatek wyciąga dłoń po telefon. - Zaraz się dowiesz, czy ma. Coś za coś.

- Jeszli o to czy chodzi, to nie ma problemu, Maczej, żadnego... - Młodszy wyciąga z przepastnej kieszeni identyczny aparat co u rozmówcy. - Sztary Szalawski, wizytówka, adres i dam ci jeszcze maila, ale muszę wejść w skrzynkę... - Naciska dotykowy ekran tak szybko, jak tylko potrafi. - Poszło. Tylko mówiłem czy, że on nie odbiera.

- Może odbierze. Domaradzki jest w raporcie dziennym komendy miejskiej, student szkoły dziennikarskiej z adresem prywatnym na Siekierkach... - Nazwany „Maczejem” rzuca spojrzenia w obie strony, ale nikt im się w tej chwili nie przygląda. Giełda informacyjna na zalodzonego chodniku trwa, wszyscy zajęci są teraz własnymi, bardzo ważnymi rozmowami. Pochyla się nad autem kolegi i mimo poświstującego wiatru ścisza głos:

- Ulica Polska. Dokładnie taki sam adres podała dzisiaj młoda Szalawska jako swój domowy. Na przesłuchaniu. Nie adres u tatusia, tylko tam, u chłopaka.

- Szkaąd wiesz?

- Dobre źródło.

- I czo to ma niby znaczyć?

- Że mieszkali razem. Zakochani. On mógł w tym jakoś brzydko siedzieć, dlatego jak się zaczęły zatrzymania, ktoś go odstrzelił. Żeby odciąć resztę ferajny od śladów. I ten Kopciński tak samo. Wygooglowałem go - dawny dziennikarz.

- A jej teraz szukają komunikatami...

- I wszystko się zgadza. Słuchasz mnie, Mikuś?! Skok na komendę nie jest żadnym aktem terroru. Chodziło o dorwanie córki Szalawskiego. Chłopak mógł ją w coś wciągnąć na przykład i teraz tamci się bali, że ona, już zatrzymana, wypucuje się glinom.

- Czórka ministra w organizaczi terrorystycznej. Dobrze jak nie wiem co. Tylko że czała teoria nie do potwierdzenia.

- Na razie nie. Ale pokombinuj sam trochę wreszcie. - Maciej gasi niedopałek na zalodzonej masce samochodu i od razu wyciąga kolejnego papierosa. Sepleniący już ma na końcu języka uszczypliwą uwagę na temat poszanowania cudzej własności. Fakt, że jego wóz jest podrapany, nie oznacza jeszcze, że można go traktować jak popielniczkę. W porę się jednak powstrzymuje.

- Dużo niewiadomych - mówi smutno.

- Sporo, ale takie są zawsze początki, Mikuś. Ja będę łapał Szalawskiego. Kopciński jest z Torunia, a Domaradzki przyjechał na studia z Ławy. Poszukaj coś o nich i bądź na linii. I nie chlej dzisiaj... morda ty moja.

- No czo ty, Maczej? Szprawnię tą Polszką i do firmy.

- Ja będę operował z domu. To narazka.

18.

Krzysio i Jasio przespali przy kominku połowę popołudnia, dlatego teraz, o ósmej wieczorem, obaj są w wyśmienitej formie. Choć rosnący mróz, porywisty wiatr i dziko sypiący śnieg nie nastrajają do spacerów, chcą się zapoznać z okolicą. Szczególnie od chwili, gdy Robert opowiedział im o stojącym dwa kilometry dalej opuszczonym domu.

Podupadłe gospodarstwo osiem, a może dziewięć lat temu pokazał mu Damian. Było to w trakcie jednej z tych letnich pijatyk pod chmurką, które eufemistycznie nazywali „grillami”. Obzarci karkówką i ogórkami z kamionkowego gara, opici piwkiem i weseli jak dzieci, poszli cztero - albo pięcioosobową grupą - sami faceci - na spacer brzegiem Wisły. Niezamieszkaný dom stał na wzgórkú z cudownym widokiem na oba brzegi Wisły. W środku głównej izby dawni lokatorzy zostawili nieco brzydkich mebli i potłuczonych naczyń, a do tego zeschniętą na rudy brąz bożonarodzeniową choinkę.

Damian wyciągnął spod drzewka flaszkę wódki, którą zapewne schował tam poprzedniego dnia, i wśród ogólnej wesołości opowiedział historię, która się tu rozegrała pół roku wcześniej w zimie. Stary gospodarz, notoryczny ochlapus i złodziej, po powrocie z więzienia zabił obłożnie chorą żonę, a potem powiesił się w pijanym widzie. Hak jeszcze sterczał z belki pod sufitem. Opowiadka bardzo się całemu towarzystwu spodobała. Rozochocony Damian zaczął się radzić kumpli, czy nie warto byłoby kupić tej zagrody jako lokaty kapitału. Wspaniały temat do flaszki. Każdy uznał za stosowne wymądrzyć się na temat kosztów tynkowania paskudnych ścian z szarego suporeksu, osuszania fundamentów, kłopotów z duchami zabitych i powieszonych, ceny ewentualnego modnego krycia eternitowego dachu starą strzechą i tak dalej. Pili, sikali po kątach, za co Damian, przyszedł właściciel, opieprzał niesfornych. Potem łoilili dalej - jedni przewidywali hossy, a inni bessy na rynku wiejskich nieruchomości, ktoś się domagał zadzwonienia po dziewczynki i zapewniał, że z Włocławka dojadą w pół godziny. Im więcej pili, tym mniej się nawzajem rozumieli, ale nikomu to nie przeszkadzało. Narada zakończyła się wymiotami jednego z kolegów oraz postanowieniem, że za trzydzieści tysięcy - taka chyba była podówczas cena - Damian powinien jednak kupić tę smętną budę i poczekać, aż ceny pójdą w górę.

Nie kupił, o czym napomknął Robertowi kilka lat później, zachęcając jego z kolei, by wyłożył dwanaście tysięcy - cena zdążyła spaść prawie trzykrotnie. Dzięki temu mogliby zostać sąsiadami na pięknej wiślanej skarpie.

Robert nie skorzystał. I teraz, gdy dochodzi z synami pod pokraczny, siwy sześcian z pustaków, myśli, że dobrze zrobił, odrzucając ofertę Damiana. Latem to może i zabawne - mieszkać tutaj - ale co masz, człowieku, zrobić ze sobą w taką pogodę jak teraz? Chyba upić się, zabić kogoś, a potem wbić hak w belkę i założyć sobie pętlę.

- Tata, wejdziemy do środka?! - Jasio przekrzykuje świst wiatru.

- No... nie wiem, misie moje... Lepiej tylko popatrzymy przez okna.

- Wejdzmy!

- Tak, wejdzmy!! - Krzysio, z latarką w ręce, biegnie już przez zaśnieżone podwórze. Już wspina się na pokruszone, oblodzone schody i próbuje swych sił, ciągnąc za poczerniałą klamkę drzwi wejściowych. Są wypaczone i niezamknięte, ale półmetrowy śnieg na ganku nie pozwala uchylić ich bardziej niż na kilka centymetrów.

- Tata! Pomóż!

Robert odgarnia traperskim butem świeżo nawiany śnieg, a potem ten starszy, złodowaciały. Można wchodzić. W środku przynajmniej nie wieje. Promień latarki w dłoni Krzysia wydobywa z mroku najpierw pokrytą pajęczynami sień, za nią drewniane schody

na poddasze, widoczną częściowo węglową kuchnię i wpół otwarte drzwi wiodące głębiej. Podłoga trzeszczy, pod grubą podeszwą Robertowego buta trzaska jakaś skorupa.

- Nie potknijcie się tylko.

- Ale tu jest strasznie, tata...

- Nie musimy iść dalej.

- Chodźmy koniecznie!

- Tata zobacz... tam choinka.

- Nooo... już ją tu kiedyś widziałem. A wiecie, co to jest za wynalazek? Daj latarkę... -

Ojciec oświetla belkę pod stropem i to, co wisi na znanym mu haku.

- Czerwona Lampa Aladyna.

- Lampa naftowa. Czerwona może ona była kiedyś, teraz jest tylko zardzewiała, ale poczekajcie... Potrzyмай, Krzysio, przyświeć mi tutaj... zobaczmy, czy dalej działa.

Robert potrząsa lampą. W środku jest jeszcze jakiś płyn. Zdejmuje grube rękawiczki, zostawiając na dłoniach drugie, rowerowe, bez palców. Wyciąga z kieszeni zapalniczkę. Chwilę mocuje się ze szklanym kloszem, z metalowym, od dziesięciu lat nieruszonym pokrętelem i knotem, który nie chce się zapalić. Druga próba, trzecia... Odwraca lampę do góry dnem. Kilka kropel śmierdzącej, tłustej cieczy wylewa mu się na palce. Kolejne podejście jest już udane. Lampa zapala się, przygasa - i znowu płonie.

Robert mocuje klosz jak należy. Jasio wyciąga obie ręce.

- Tata, daj mi potrzyмай!

W ciepłym świetle migocącego płomienia umorusane, zaczerwienione twarze obu chłopców przywodzą na myśl portrety na starych płótnach.

- Trzymaj, tylko nie przechylaj bardzo. Możemy sobie teraz obejrzeć cały dom. Ciekawe, czy jest tu piwnica.

- O nie! - Jasio, który żwawo ruszył z lampą w kierunku choinki, teraz cofa się gwałtownie przed pajęczyną. - Piwnica niepotrzebna, tata. Jest dosyć strasznie!

* *
*

Dwadzieścia minut później cała trójka wraca wzdłuż targanego wichrem pagórka. Wisły, w dole po prawej, można się tylko domyślać - w ciemności nie widać prawie nic. Jedynie w momentach, w których szarpana wiatrem kurtyna śniegu rozwiera się na krótko, błyszczą tam coś na kształt mikroskopijnych światełek daleko, daleko, pewnie na drugim brzegu. Ale równie dobrze może to być złudzenie.

Chłopcy powoli mają dosyć spacerowania, lecz Robert w żołnierskich słowach przypomina, że obiecali pójść z nim do samochodu. Trzeba zabrać wędkę i resztę rzeczy,

znów podgrzać silnik, a przede wszystkim wymęczyć obu małych dżentelmenów do cna, żeby zasnęli bez kłótni.

Przez kwadrans pokonują zlodowaciałe pustkowia, głębokie śnieżne wykroty i szerokie kępy skamieniałych zarośli ciągnące się w stronę rzeki. Robert ma przez moment wrażenie, że chodzą w kółko, lecz nic nie mówi.

I dobrze, bo szczęście wciąż im dopisuje. Za kolejnymi krzakami odnajdują rząd sterczących ponad biały puch oblodzonych głazów - ślad zasypanej drogi dojazdowej łączącej puste gospodarstwo, obejście Damiana i dukt, na którym zostawili samochód. Idą gęsiego wzdłuż kamieni. Chłopcy stawiają stopy w dziurach wydrążonych butami Roberta.

- Tata, daleko jeszcze? - Jasio pociąga nosem, jakby nagle dostał kataru. - Mnie zimno w nogi.

- Kurczę... Niedobrze... Ale w samochodzie się napijemy herbatki. Wytrzymasz, Jasiu, prawda?

- Wytrzymam... - Kolejne chlipnięcie.

Przeprawa zdaje się trwać i trwać, chłopcy marudzą jeden przez drugiego, do tego ten wiatr... i nagle ukazuje im się zasypane subaru.

Biały wzgórek na pustkowiu.

- Tata, jak my go teraz odkopimy?! - Krzys próbuje być głośniejszy od wichury.

- Obawiam się, że za pomocą rąk... nie pomyślałem...

- Co mówisz?!

- Jasio... ty będziesz świecił latarką! A my z Krzysiem...

- Ja chcę świecić!

- Jasio pierwszy! Skoro już mi się powiedziało... Trzy minuty i zmiana!

- Śnieg mi się nasypał do buta!

- Jak się wbijemy do samochodu, to ci wytrzępię, teraz nie!

- A kto będzie liczył czas?!

- Tata niech liczy, żeby było sprawiedliwie!

- Dobra, ja liczę.

- Tylko że nie patrzysz na zegarek!

- Liczę sekundy w głowie. No, jazda!

Odsnieżanie trwa w najlepsze, gdy w kieszeni Roberta odzywa się nokia.

- Tata, nie odbierzesz?!

- Nie teraz! Uważaj, bo ci naleci za kołnierz! Tutaj rób, niżej... Rękawem spychaj!

Po pięciu minutach - i trzech zmianach warty przy latarce - połowa samochodu jest

na tyle odsłonięta, że można otworzyć przednie drzwi pasażera. Robert sadowi się za kierownicą, próbując nanieść do środka jak najmniej śniegu. Za ojcem wciska się Jasio.

- Daj mi tutaj, Jasieńko, buty... Wywalamy zły śnieżek.

- Śnieg nie jest zły, tata. Chroni małe roślinki przed mrozem.

- No tak...

- Tata, ale mi też jest zimno. - Krzysio stuka latarką w szybę samochodu. Robert wyciąga z kieszeni najpierw komórkę, a potem kluczyki. Uruchamia silnik, ustawia ogrzewanie na maksimum i rozpina plecak.

- Wchodź na herbatę. Zatrzaśnij drzwi.

- Ciasno jest.

- To przejdź na tył, tylko mnie nie kopnij. Zobaczcie! Mam jeszcze batona.

- A prawdziwe jedzenie?

- Prawdziwe jedzenie zjemy sobie przed kominkiem w domu...

- To będzie teraz nasz dom?

- Przez te kilka dni będzie.

- I będziemy cały czas palić w kominie?

- Będziemy.

- Tata, a gdzie jest twój dom?

- Jak to gdzie?

- U nas i u mamy czy u pani Iwony?

Robert nalewa herbatę do stalowej zakrętki termosu i dmucha w nią. Kłęby pary i cytrynowy aromat wypełniają kabinę auta.

- Powiedz, tata...

- Wiecie przecież, że mnie i mamie było kiedyś ze sobą ciężko... no nie?

- A teraz jak?

- Teraz będę częściej mieszkał z wami.

- A z panią Iwoną?

- Pani Iwona... - Robert odchrząkuje i znowu dmucha w zakrętkę -...chyba ma coraz mniejszą ochotę mieszkać ze mną.

Krzysio i Jasio mają bardzo poważne miny.

- No, pijemy! Krzyś pierwszy.

- Gorąca...

- Tata, zapal światło u góry.

- A po co? Fajnie jest, kiedy ciemno... W mieście nigdy tak nie jest. Popatrz tam,

na pole - może zobaczymy sarny albo dziki.

- Tu są dziki?

- Mogą być.

- A dlaczego w mieście nigdy nie jest ciemno?

- Bo zawsze coś się świeci w pobliżu. Jakaś latarnia, żarówka w oknie, telewizor albo jadący samochód. A tutaj nic.

- Śnieg nie świeci?

- Sam z siebie - nie.

- To dlaczego tak dobrze widać pole?

- Bo jest białe.

- A dlaczego?

- Białe rzeczy mają taką powierzchnię, że ona... nie trącaj mnie, synek!

- Nie chciałem!

- Tata, on mnie polał, dałn jeden!

- Sam się polałeś!

- Bo mnie potrafiłeś, geju!

- Nie mów tak na niego! Daj nakrętkę, doleję.

- A on na mnie wczoraj powiedział „ty cipo”!

Odłożony pod przednią szybę aparat odzywa się dźwiękami australijskich gitar.

Krzysio odbiera:

- Halo...? Mówi Krzysztof Pruski...

Robert - z termosem i nakrętką w rękach, a plecakiem między kolanami - posyła „Krzysztofowi” ciężkie spojrzenie, którego syn i tak nie widzi.

- Tata, jakaś pani coś mówi, ale jest niewyraźnie...

- Powiedz jej, że oddzwonię z lepszego zasięgu. - Ojciec ostrożnie przekazuje młodszemu synowi parującą nakrętkę.

- Tata do pani oddzwoni.

- Auaaa!! - Jasio omal nie upuszcza herbaty.

- Mówiłem: gorąca!

- Ale nieee, że aaaż taaak... - Jaś zaczyna pochlipywać. - Będę miał bąbel na wardze.

- Poczekaj, przyłożę ci śniegu. - Robert wciska otwarty termos do plecaka i usiłuje otworzyć zasypane drzwi od swojej strony, ale udaje mu się przesunąć je ledwo o kilka milimetrów. Termos zsuwa mu się między nogami, gorąca herbata parzy, wlewając się do buta. Jasio płacze na całego.

- Tata, ale ta pani mówi, że to jest bardzo ważne... że ona cię błaga na wszystko!

- Cooo?! Jasio, nie płacz! Krzysio daj mi telefon, wypuść brata! Idź sobie sam przyłóż śniegu. Krzyś, zajmuj się nim. To ja ciebie teraz błagam! Halo?!

- Mówi Ma.....lawska, ja jestem... byłam... Pawła Domaradzkiego... - w telefonie słychać podniesiony głos, trzaski i równomierny, natarczywy szum. Dzwoniąca usiłuje przekrzyczeć jakieś urządzenie. -...pan wie, że Paweł nie żyje?!

- Coooo?!

-...weł nie żyje i ten pana.....lega Kopciński... - Znowu trzaski, szum się wzmacnia, kolejna seria trzasków. -...zabili go na drodze!

- Zabili kogo?!

- Zabili Kopcińskiego!

- Tata, co się stało?!

- Weź termos, to co zostało, idź na pole i sobie do końca wypijcie!

- Ale co się stało?! Coś z mamą?!

- Nie, synek... to z pracy! Idźcie obaj za drzwi!!

Głos dziewczyny po drugiej stronie słuchawki robi się na chwilę wyraźniejszy.

-...strzelała do mnie policja... czy pan mnie słyszy?!

- Pani jest koleżanką, o której Paweł mówił, że razem...

- Tak! Ja... - narastające trzeszczenie -...że pan rozumie. Strzelali do mnie...

- Czy pani idzie na policję?!

-...w pociągu. Schowałam się w ubikacji!

- Dlaczego pani nie idzie na policję?!

-...ja im nie mogę ufać, strzelali we mnie po tym, jak powiedziałam, co wiem... - Kilka trzasków. Robert już sądzi, że połączenie zostało zerwane - ale tak nie jest. Na wyświetlaczu nokii wciąż widzi dziewięciocyfrowy numer.

- Ja wszystko sama widzia... i się nie mogę dodzwonić do... - Trzaski. -...pana telefon Paweł zostawił, bo... ja przepraszam! Ale nie mogę... - Seria trzasków. -...pan mnie słyszy?!

- Dokąd ten pociąg jedzie?!

- Do Piły!

- Z Warszawy?!

- Z Warszawy! I niedługo chyba będzie Toruń, słyszy pan?! - Przez chwilę połączenie jest trochę lepsze. - Czy pan może wyjść po mnie na dworzec w Toruniu?! Nawet z policją, ale żeby pan przy tym był albo jakiś inny dziennikarz... Ja się boję!!

- O której pani tam będzie?!

-...dziesiątej chyba! Czy pan po mnie przyjedzie?!

- Nie jestem teraz w Toruniu, ale spróbuję zadzwonić, gdzie trzeba!

-...nie słyszę... - Kolejna porcja zakłóceń. -...mnie w telewizji. Ja chcę od pana tylko... o pomoc... proszę!

- Spróbuję złapać lepszy zasięg i zaraz do pani oddzwonię, dobrze? Na pewno ktoś zaufany będzie czekał na peronie!

- Niech pan jeszcze słu... iiiiooo-iiiioooo-iiiiioooo...

Tym razem połączenie zerwało się na amen. Robert klnie i bije dłonią w kierownicę.

* *
* *

W pokrytej szarym, zatłuszczonym plastikiem toalecie Maja wpatruje się w ekran swojego samsunga. Zasięg padł. Kolejny raz próbuje przemyć wodą rozpaloną twarz. Poprzednim razem pociekło kilka kropel, ale teraz z krótkiego kranu nic już nie leci. Kiedy wychodził na korytarz, lodowaty przeciąg wzbudza w niej dreszcze. Chyba dostała gorączki. Wydaje jej się, że słyszy głos Beaty. Jakby ta stała tuż za jej plecami. I o coś prosiła.

To na pewno gorączka.

Za szybami okolonymi szarym marginesem lodu i śniegu widać zasypany, stary las. Maja wyłącza i ponownie włącza telefon. Nic nie pomaga - zasięgu wciąż brakuje. Gdy robi to samo po raz kolejny, aparat wypada jej z drżących dłoni na zabłoconą podłogę wagonu. Niedokładnie dociśnięta wcześniej klapka odpada, bateria wylatuje na zewnątrz. Podniesiony samsung, mokry i zapiaszczony, nie chce się włączyć w ogóle.

19.

W pierwszej chwili Robert zamierza natychmiast oddzwonić, ale porzuca ten pomysł tuż przed naciśnięciem guzika. Kładzie nokię na desce rozdzielczej i patrzy w oświetloną mdłym błękitem przednią szybę. Od zewnątrz śnieg najpierw stopniał, a potem zamarzł. Od wewnątrz nawarstwia się szron.

Temperatura oleju rośnie, chłopcy biegają po polu. Wyciąga papierosa, nie zapala go. Bierze do ręki mapę, potem wchodzi w internet. Nokia jest stara, połączenie z siecią - kiepskie, mimo to strona z wiadomościami jakoś się otwiera.

Na pierwszej fotografii ekipa ratowników wpycha do karetki pogotowia nosze z ranną kobietą. Atak na Komendę Stołeczną Policji. Zamachowiec zastrzelony przez oficera... Robert z gwizdem wypuszcza z ust powietrze.

Jasio otwiera drzwi auta:

- Tata!! A on mnie...

- Nie teraz!! Proszę cię! Mam kłopot!

- Ale nie z mamą...

- Z pracą jakby... Krzyś!!!

- To on zaczął.

- Krzyś! Proszę ja ciebie, bo jesteś starszy! Dajcie mi trzy minuty spokoju!

- Mnie jest dalej zimno!

- Tylko trzy minuty. Biegajcie dookoła auta dziesięć razy. Nie... dwadzieścia! Kto pierwszy przebiegnie, ten dostanie dychę.

- Ja nie chcę.

- Dwie dychy!

- Ja też nie chcę!

- Kto wygra, będzie miał mój największy szacun do końca roku!

- Dobra!! - Jasio zatrzaskuje drzwi.

„Nowy manifest Jedynych Synów Polski”.

Na zdjęciu powiększony fragment tekstu z jakiegoś dokumentu. Litery tak małe, że na wyświetlaczu nokii ledwo je widać:

„...apologeci wypudrowanego ateizmu usiłują wpędzić nas na ścieżkę transhumanizmu...”.

„Gigantyczne korki z powodu policyjnych blokad w Warszawie. Policja szuka ważnego świadka ataku na budynek...”.

Zdjęcie bardzo ładnej blondynki o małym, zadartym nosku i obłędnie jasnych oczach, które zwracają uwagę nawet na obrazie wielkości pocztowego znaczka. Podpis: „Maja Szalawska, studentka”.

Robert dłuższą chwilę przygląda się dziewczynie, a potem mapie. Papieros wypadł mu na mokrą podłogę. Myśli o aneksie do referatu Domaradzkiego i policji strzelającej do jego dziewczyny.

Kopytko nie żyje?

Czy to wszystko jest jakiś film?

W samochodzie powoli robi się ciepło. Nawet szyba na przedzie odmarzła. Sprawdza jeszcze kilka rzeczy w sieci, przeklinając wolno otwierające się strony. Później pisze długiego SMS-a. Gdy kończy, pozwala chłopcom wsiąść.

* *
*

Arsen jest zadowolony i podniecony. Telefon dziewczyny, siedemnastki, zalogował

się ponownie dokładnie tam, gdzie go oczekiwał - w jadącym na zachód pociągu. Na ekranie trasera najpierw pojawiły się współrzędne geograficzne stacji przekaźnikowej Nakonowo, zaraz potem kolejny punkt: Pińczata. Róża uruchomiła już tester, by dokładnie obejrzeć sobie sytuację w wagonie, ale w tym momencie sygnał z telefonu się urwał. Mimo to program już chwycił trop - wektory czasu i prędkości oraz szczegóły mapy same ułożyły się w dalszą drogę figurantki. Trasa kolejowa Kutno - Włocławek. W kącie wyświetlacza migają zmieniające się cyfry - prawdopodobieństwo trafności przewidywań względem algorytmu możliwości. Na razie powyżej dziewięćdziesięciu procent.

Róża drugi raz odtwarza rozmowę figurantki z dziennikarzystą, numerem dziesiętnastym. Dzięki programowi redukującemu zakłócenia mogą zrozumieć więcej niż sami podsłuchiwani. Na ekranie komputera widać krzywą głosu i obie lokalizacje.

„- Teraz pana znów nie słyszę! Szukają mnie niby jako świadka, ale nie wiem, czy nie chcą mnie skrzywdzić... Godzinę temu, dwie godziny, pokazywali mnie w telewizji. Ja chcę od pana tylko, żeby pan przy tym był, żeby ktoś wiedział o mnie, nie tylko sama policja. Żebym była zabezpieczona... Nie mogę się dodzwonić do rodziców. Muszę pana prosić o pomoc. Bardzo, bardzo proszę!

- Spróbuję złapać lepszy zasięg i zaraz do pani oddzwonię... dobrze? Na pewno ktoś zaufany będzie czekał na peronie!

- Niech pan jeszcze słucha, czy pan może ma telefon do kogoś...”.

Wykres głosu figurantki znika z ekranu, mężczyznę nadal słychać:

„- *Fuck, fuck, fuck...* Szlag by to, kurwa, jasny trafił...”.

Potem kilka puknięć, jakby uderzeń w rezonujący przedmiot, w tle jednostajny szum, coś w rodzaju cicho pracującej suszarki do włosów albo benzynowego silnika... i dziesięćdziesiątka wyłącza się także.

Z nim sprawa wydaje się prostsza. Nie przesuwają się, telefon ma ciągle włączony. Mapa - w maksymalnym powiększeniu - wskazuje gołe pole nad rzeką. Co ciekawe, jest bardzo blisko i coraz bliżej posuwającej się w jego stronę dziewczyny. W tej chwili dzieli ich jedyne siedemnaście kilometrów. Czy to może być tylko przypadek? Końcowe stukanie... program nie zakwalifikował tego jako zakłócenia. To przekaz główny. Nie słychać wiatru...

- On jest w samochodzie. Ale ona tego nie wie. - Uwaga Róży inspirowane Arsena.

- Pomyśl... co nasz dziennikarzysta może robić w nocy, w taką pogodę, w aucie na odludziu, ale niedaleko torów kolejowych?

- Na przykład czekać na znajomą z Warszawy.

- *Exactly!* Ubijemy dwa zajęcia jednym strzałem. - Wyraźnie podekscytowany

dowódca tłumaczy, co zrobią dalej, mieszając wyrażenia angielskie z rosyjskimi. Zapala cygaro. - Zbieramy się.

- Marks wiezie Kropę. Po co jeszcze my?

- Kundel ma ostatnio pecha. A dzisiaj nie widzę miejsca na błędy. - Szef odwraca się do Róży plecami. - Pakuj *gruz!*

Wychodzi z sali.

Róża klunie cicho i wyjątkowo brzydko. To, co Arsen zamierza zrobić, absolutnie jej się nie podoba.

Stoi wciąż zamyślona na środku sali komputerów, kiedy on wraca, niosąc rozkładane skrzynki. Kolejne piętnaście minut upływa im na intensywnej pracy. Najpierw przenoszą najwartościowszy sprzęt na dół, do mobilnego studia urządzonego we wnętrzu popielatego volkswagena transportera. Auto, umieszczone nie na zapleczu, ale bezpośrednio pod salą, od dawna nie było używane. Ezra jednak przez cały czas pielęgnował anteny i serwerownię, ładował baterie - mówiąc krótko: dbał, by w dowolnym momencie dało się przenieść do wozu całe ich niezwykle laboratorium.

Ten moment właśnie nadszedł.

Arsen który sam przenosi najcięższe aparaty, każe zabrać dosłownie wszystko, łącznie z kablami i narzędziami. Wykręca nawet wtyczki ze ścian. To może oznaczać tylko jedno. Ostateczny exodus i zamknięcie misji. Gdy w pośpiechu zbierają resztki tego, co zostało na podłodze, Róża, mocno rozgrzana, rozpina sportowy kombinezon. Odsłania piersi i przeciąga po nich dłonią. Wie, że jej nagość czasami czyni Arsena bezbronnym. Podejmuje ostatnią próbę:

- Posłuchaj mnie... Już jest wystarczająco gęsto wokół naszych spraw. Chcesz kończyć? Kończmy. Wyjeżdżajmy na własnych warunkach. Prosto do granicy. Wycofaj chłopców, póki mamy tylko jedną stratę.

Dowódca unosi się na kolanie i kładzie jej dłoń na ramieniu. Gdy zaczyna mówić, jego dźwięczny zazwyczaj ton głosu robi się matowy. I to bardzo się Róży nie podoba. Podobnie jak jego oczy - zwykle czarne niby gorąca smoła, a teraz mętne i nieobecne.

- Moja droga... zrobimy robotę do końca, jak zawsze. A wtedy sobie pojedziesz, gdzie tylko zechcesz. - Dłoń szefa na nagim ramieniu Róży jest chorobliwie zimna.

Jak mogła tego wcześniej nie dostrzec? Przypisywać to zmęczeniu? Lekceważyć?

On się kwalifikuje do wymiany.

- Kiedy ostatni raz rozmawiałeś z Latarnią? - Wie, że po zadaniu tego pytania może się spodziewać absolutnie wszystkiego, nawet natychmiastowego *coup de grace...* lecz pyta.

Odpowiedź odczytuje z szarej twarzy Arsena w ułamku sekundy.

Kłamstwo, które pada, jest już niepotrzebne:

- Rozmawiam cały czas.

- To dobrze. - Róża wstaje z klęczek i wyciąga do samochodu ostatnie dwa laptopy razem z generatorami. Potem jeszcze naręcze kabli i karton, w który wrzuciła przeszło dziesięć radiotelefonów, telefonów i drobniejszych urządzeń. Arsen w niskim pomieszczeniu na poddaszu uruchamia przygotowany przez Ezrę system kontrolowanego zapłonu. Kwadrans po ich wyjeździe cała ta buda-przykrywka powinna się spalić bez wielkich fajerwerków, za to skutecznie. Jak przystało na podrzędny magazyn farb, folii i papierów.

Gdy ustawia godzinę na plastikowym panelu, Róża, już w samochodzie na dole, kładzie na kolanach jeden z najmniejszych laptopów. Korzystając z Gmaila, otwiera skrzynkę pocztową użytkownika *rakastetsu086*. Hasło: *Gnitalloed086*. Pisze maila, ale go nie wysyła. Zapisuje kopię roboczą. Zamyka skrzynkę. Wylogowuje się.

Cokolwiek szalenię powiedział Latarni, jakkolwiek uraczył ich historią, obojętnie w jaki sposób udało mu się tak długo utrzymać w locie na luźnej uwięzi, teraz ktoś musi to przerwać. Skrzynka jest sprawdzana przez całą dobę, siedem dni w tygodniu. Za chwilę wiadomość zostanie odczytana.

Arsen właśnie schodzi na dół, niosąc marynarski worek z ostatnimi rzeczami.

- Ruszamy! - Wypluwa kopcące cygareto na posadzkę.

Kilka minut później ich furgonetka przejeżdża Wybrzeże Szczecińskie. Dokumentnie zasypana jezdnia jest prawie pusta, większość kierowców została w domach z powodu zamieci. Ulice wyglądają tak, jakby jakiś kolos stąpający w chmurach obsiewał ziemię tysięcznymi tonami białego ziarna wyrzucanymi z gigantycznej garści. Mijany w pędzie Stadion Narodowy - dumę Polaków - ledwo widać. Białoczerwone pasy pojawiają się tylko na jeden moment - widocznie niewidzialny tytan robi pauzę, by nabrać kolejną porcję bieli.

Arsen jedzie setką, nie zważając na fotoradary i pomiary prędkości. Róża, stojąc na szeroko rozstawionych nogach w studiu za plecami dowódcy, łączy na nowo wyniesione z bazy urządzenia. Wydajność całego systemu w ruchu jest niższa o co najmniej połowę, ale wystarczy, by obserwować jednocześnie postępy Marksa, Ezry i Kropy, podsłuchiwać wytypowane numery oraz monitorować ruch ostatniej dwójki interesujących figurantów. Interesujących Arsena. Bo jej losy tych nieszczęśników już nie obchodzą. Dla niej - i jak sądzi, także dla kilku ludzi z Latarni - od dziesięciu minut głównym figurantem jest już sam dowódca polskiej operacji.

Z krótkiego zamyślenia wyrywa ją hałas w krótkofalówce. Coś się chyba stało w audi.

* *
*

Jeszcze kilka minut przed dwudziestą pierwszą Marks, Ezra i Kropa mogli mieć pewność, że z dużym zapasem zdążą dopaść dziewczynę-siedemnastkę tam, gdzie zostało to zaplanowane. Po pierwsze jednak, nigdy nie da się przewidzieć wszystkiego - i oni nie przewidzieli. Po drugie, cisnący pedał gazu Marks powinien być ostrożniejszy. Najpierw zlekceważył sygnały dawane światłami przez jadących z przeciwka. Gdy zrozumiał, że tamci zawracali go z nieprzejezdnej drogi, było już za późno. Pięć kilometrów po wyminięciu przysiółka oznaczonego na ekranie nawigacji jako Dobiegniewo wyjechali z lasu, mając na liczniku prawie dwieście. Trzeba było wolniej. Marks pojął to dopiero w momencie, gdy warstwa śniegu wzniosła się przed nimi niby ściana. Przez chwilę nie widzieli nic. Wszystkie szyby zasypał trzeszczący lodowy pył. Samochód zatańczył. Długo lecieli w przestrzeni, potem zrobili beczkę i przesunęli się na boku o co najmniej kilkadziesiąt dalszych metrów, trąc drzwiami po śniegowo-lodowym podłożu. Poduszki w kabinie - przednie, tylne, cholera wie jakie - wystrzeliły jedna po drugiej. Wyleciało okno, przy którym siedział Kropa, i natychmiast wysypało się na nich - skotłowanych - kilka wiader śniegu.

Faktycznie musiało się zdarzyć w ciągu tych kilku sekund jeszcze parę innych, paskudniejszych rzeczy, bo gdy wreszcie znieruchomieli w przerywanym blasku migacza, Marks poczuł smród wyciekającego paliwa i zauważył, że są w aucie już tylko we dwóch.

- Wyjechało kutasa oknem?

- Wsssssss! - Ezra zasysa lodowate powietrze. - Rękę złamałem w chuj. - Jego zazwyczaj beznamiętny, drewniany głos jest teraz podszyty dziecięcą skargą.

- Złaż ze mnie. - Marks próbuje zmienić pozycję. - Mamy wyciek.

Ezra tylko syczy. Z zakończonego ściągaczem rękawa brązowej, watowanej kurtki płynie mu krew, której Marks co prawda nie widzi - jest za ciemno - ale czuje ją na własnej, przygniecionej dłoni.

- Przesuń się, do kurwy matki pizdy... - Wolną dłonią odpina pas, a potem maca nerwowymi ruchami kołnierz ocieplanej bluzy z wielkimi kieszeniami. - Pluskwa mi wypadła. Pchaj!

Smród ropy narasta. Gdzieś się to tutaj wylewa. Pierwsza próba otwarcia drzwi - w tej chwili zamkniętych nad głowami ich obu - kończy się rozbiciem i wgnieceniem w śnieg okna po przeciwnej stronie. Druga też jest nieudana.

Dopiero gdy obaj się podciągają w górę, co Ezra okupuje rozrywającym bólem całego boku, samochód z metalicznym jękiem najpierw powoli się przechyla, a potem opada na cztery koła. Drzwi odskakują same. Marks wypada na śnieg. Od razu biegnie w stronę

szosy, na której stanął właśnie jakiś pojazd. Samego auta nie widać, jednak na czarnym tle nocy poprzecinanych jaśniejszymi zygzakami zamieci odcina się wyraźnie snop szosowych świateł rzucony na bezlistne korony drzew.

Kropa leży w pół drogi na brzuchu. Wykręcona szyja. Twarz zwrócona ku niebu. Nikłe światło z migającego audi i odblask reflektorów z drogi pozwalają Marksowi zauważyć tylko tyle, że jedno oko leżącego jest otwarte, a drugiego nie ma wcale, podobnie jak policzka i trzeciej części czaszki. Tam, gdzie było ucho, zieje krwawa dziura.

Marks stoi nad nim i dyszy.

Ezra w tym czasie wyciąga z rozbitego samochodu ich ostatnią słuchawkę i traser. Trójczłonowy aparat wygląda na uszkodzony. Bierze go pod pachę i podchodzi do leżącego Kropy. Trąca stopą jego nienaturalnie wywaloną na bok rękę.

- Chuj mu w dupę! - woła, przekrzykując wichurę. Podaje Marksowi znaną pluskwę. - Powiedziałem już o nim! Róża każe kontynuować.

To znaczy: przejąć siedemnastą bez pomocy Kropy.

Marks wtyka słuchawkę w ucho, upewnia się co do poleceń, a jednocześnie rozpina kurtkę leżącego. Z arsenału, jaki tamten miał na tułowiu, wybiera dziewięćmilimetrową berettę i dwa magazynki. Stara się nie patrzeć w zmasakrowaną twarz. Ezra raczej nie ma z tym problemu. Rozrywa martwemu koszulę i wyszarpuje duży fragment przeпоconego podkoszulka. Z tą szmatką i rozbitym traserem pod pachą wraca do samochodu. Podpala za pierwszym podejściem mimo porywów wiatru. Ogień błyskawicznie obejmuje wrak. On odbiega i ponownie schyla się nad leżącym. Wyjmuje mu zza pasa latarkę, a potem ponadkilogramowego, dwururowego obrzyna z niklowaną obudową zamka i bruzdowaną lufą. To była ukochana armata Kropy, która podobno kiedyś służyła - jeszcze jako strzelba - bogatemu pogromcy dzikich zwierząt.

Gdy idą z Marksem w stronę stojącego na szosie auta, coraz wyższy ogień z płonącego audi oświetla im drogę. Przed nimi piękne, terenowe volvo. Ezra jedną ręką upycha po kieszeniach naboje do strzelby, opiłowaną armatę schował wcześniej pod kurtkę. Otwiera szarpnięciem tył terenówki. Szuka apteczki. Marks w tym czasie przykłada niewielką berettę do głowy pomarszczonemu, niskiemu starcowi w jasnym płaszczu, wąskich spodniach i zapadniętych w śnieg spiczastych sztybletach. Facet stoi sztywno z otwartymi ustami dwa metry obok swojego auta. W ręce trzyma telefon.

- Spieprzaj, dziadu! - Marks komenderuje mu to wprost do ucha, zachowując bardzo poprawny polski akcent na drugą sylabę. Tamten odwraca się i biegnie niezdarnie środkiem zasypanej szosy w kierunku ledwo widocznych w zamieci reflektorów kolejnego

nadjeżdżającego samochodu.

Marks siada za kierownicą. Do dziewiątej - na wielkim, centralnym wyświetlaczu widać to bardzo dokładnie - brakuje minuty.

Ezra syczy i klnie, ściągnąwszy watomaną kurtkę, by zrobić sobie zacisk na rękę. Jego złamanie w połowie drogi między łokciem a nadgarstkiem prezentuje się koszmarnie. Nawet przez bluzę pod kurtką widać, że przedramię zrobiło się o połowę grubsze. Kość podeszła pod samą skórę, która w dwóch miejscach pękła. Ezra, pomagając sobie zębami, ciasno zawija elastyczny bandaż na całej długości ramienia od dłoni po biceps. Krwi jest przy tym pełno.

Marks wrzuca wsteczny bieg i cofa auto mniej więcej piętnaście metrów, lekko potrącając tylnym hakiem uciekającego w oszołomieniu właściciela. Przez moment przygląda się zbitej, śniegowej ścianie przed sobą i rosnącym we wstecznym lusterku światłom nadjeżdżającej z tyłu ciężarówce. Wreszcie mówi coś do siebie po polsku i wciska gaz do dechy.

Z hukiem podwozia wjeżdżają w zaspę. Przednie koła przez chwilę buksują, motor wyje, auto zwalnia, ale tylny napęd robi swoje i ostatecznie - mało nie urywając zawieszania - przejeżdżają wierzchem. Samochód raz skacze do przodu, gdy kołom udaje się chwycić jakąkolwiek przyczepność, a raz hamuje, gdy podwozie osiada na śniegu. Lampki w kokpicie migają, ostrzegając o poślizgu, bocznych przesunięciach, rosnącej temperaturze i czymś jeszcze. Piszczą jakiś układ bezpieczeństwa. Ezra - zaparty obunóż o podłogę - zdrową ręką przeprogramowuje nawigację. Od miejsca, w którym powinni dorwać pociąg, dzieli ich dwanaście kilometrów. Róża doradza właśnie, jak mogą skrócić drogę, gdy zaspą się kończy, a oni przyspieszają na łuku szosy. Dalej czeka długa prosta i jeszcze dwa zakręty.

Za drugim w polu widzenia pojawia się kilka rzeczy jednocześnie.

Pierwsza z nich to oświetlone latarniami gospodarstwa z lewej i jakieś ruiny z prawej strony drogi. Druga to przebiegający tuż przed maską wielki kundel z podwiniętym ogonem. Marks hamuje z chrupotem ABS-u, lecz nie ze względu na psa. Trzecie - i najważniejsze - co widzą, to radiowóz z włączonym sygnałem. Srebrno-błękitne koreańskie auto stoi w poprzek drogi najpewniej po to, by zawracać podróżnych.

- Ezra... - Marks rzadko wymawia to przybrane imię.

- Hamuj, spróbujemy. - Ezra wyciąga obrzyna i natychmiast chowa go pod tyłkiem.

Marks staje, otwiera okno. Policjant - w świetle latarni widać doskonale jego szeroką gębę - podchodzi szybkim krokiem. W prawej ręce trzyma podłużny, czerwony sygnalizator, lewą opiera na pasku z kaburą. Żółte odbłaskowe naszywki na zimowej kamizelce, czarne rękawice, po spojrzeniu znać podejrzanego, upartego buca.

- Sierżant Marcin Kobylak, WRD Włocławek. Dobry wieczór. Dokumenty wozu, prawo jazdy, ubezpieczenie.

- Mieliśmy wypadek. - Marks wskazuje głową leżącą przed Ezrą apteczkę. - Kolega złamał rękę i...

- A było toć wjeżdżać na chama?

- Z tamtej strony nikt nas nie ostrzegął tak ładnie jak wy tutaj... Myśleliśmy, że przejedziemy... - Polszczyzna Marksa jest wyraźnie lepsza od polszczyzny sierżanta Kobylaka.

- Toście źle myśleli. Dokumenty!

Od strony Włocławka zbliża się półciężarówka. Jej ostre światła na moment omiatają poczerwieniałą od mrozu twarz sierżanta i radiowóz - teraz dopiero widać, że siedzi w nim policjantka o jasnych włosach.

Kobylak prostuje kark i odwraca się w stronę nadjeżdżającego.

Przesłania oczy dłonią.

W tym samym momencie Ezra wyciąga spod dupy opiłowaną strzelbę.

* *
*

Pomiędzy godziną dwudziestą pierwszą dziesięć i dwudziestą pierwszą trzydzieści pięć telefony profesora Arnolda Rastronia, Heleny Wagi i pułkownika Józefa Drwęckiego łączą się ze sobą około sześćdziesięciu razy. Rastron pierwszy dowiedział się od wojskowych, że aparat młodej Szalawskiej zadziałał - na krótko - w pociągu zmierzającym do stacji Włocławek. Poszukiwana żyje - i to jest dobra wiadomość. Połączyła się z jakimś numerem w pobliżu. Za dziesięć minut będzie wiadomo więcej.

Kolejną, równie korzystną wieść ma dla dwójki rozmówców Drwęcki.

- Dostawca pizzy wyklął się z tego samego gniazdka co strzelec z Piaseczna. Przedsiębiorstwo poligraficzne Vera-Druk, Wał Miedzeszyński. Bingo! Ekipy właśnie dojeżdżają. Z dwóch stron. Kwestia sekund.

Dalsze informacje nie są już takie dobre. Specgrupa przysłana z Trójmiasta nie może w Toruniu zlokalizować dziennikarza. Mają dwa adresy kobiet, pod żadnym go nie ma. Jedna z pań nie wie, gdzie Pruski jest, z drugą chwilowo nie da się porozmawiać. Siedzi na badaniach u ginekologa. Są jeszcze dzieci i matka staruszka, ale z niej trudno było cokolwiek wydobyć podczas rozmowy przez próg. Taktycy nie chcą przesłuchiwać babiny na ulicy. Ich specjalnością są zupełnie inne typy interogacji. W dyskretnych pomieszczeniach i z użyciem wody.

Ale się nie poddają. Sprawdzają jeszcze jedno miejsce.

- To nie jest najlepszy pomysł, żeby powierzać im policyjną robotę - Helena mówi do profesora tak szybko, jak potrafi. Dopiero rozłączyła poprzednią rozmowę, a pod palcami już miga zielona dioda informująca o kolejnej, czekającej. - Czy mam rozumieć, że biegają w kamizelkach po mieście?

- Nie martw się, mają ze sobą ładne płaszcze na takie okazje. Ale cóż... gramy tymi figurami, które stoją na planszy. Tym ludziom przynajmniej mogę zaufać. Szalawska szukała ostatniej nocy bardzo ciekawych koneksji w internecie.

- Znaleźliście jej komputer?!

- Nie... To było na dysku ojca. Nie pytaj jak... - Ton głosu Rastronia zjeżdża w niższe rejestry niż zwykle.

- Nie zapytałam.

- Pankanin mówi, że jej wierzy... a ja wierzę jemu. Znamy się trochę z dawnych czasów. Nasz Święty Graal to już nie jest tylko ten tekst. Musimy zatrzymać Szalawską, zanim ktokolwiek z nią... Poczekał, dzwoni Józek...

Kolejne wiadomości są podłe. Szalawski się skontaktował. Robi straszliwe piekło. Nie może się dodzwonić do córki, ale już wie, co emituje telewizja. Na szczęście nie wie - i oby

tak zostało - o dzikiej rewizji w Piasecznie. I bez tego będzie gorąco. Przed chwilą interweniował u komendanta głównego prezes Sądu Najwyższego, kolega Szalawskiego.

Następny niedobry fakt: gniazdko na Wale Miedzeszyńskim płonie. Fachowa robota. Ewidentna likwidacja przykrywki, trudno coś zrobić. Farby, lakiery, paliwo... łunę widać na Pradze, w Wilanowie i Otwocku. Chłopcy, którzy mieli dać łomot komu trzeba, rozbiegli się teraz, by potrząsnąć sąsiadami. Tak się nie robi, lecz sytuacja jest awaryjna, wszystkie ręce...

- Poczekaj! - Tym razem Drwęcki zawiesza rozmowę z Heleną, żeby wysłuchać Rastronia na równoległej linii. Po półminucie Waga znów słyszy jego wojskowy ton. - Mamy jeszcze dwie szanse. Kwadrans przed ósmą wyjechał stamtąd samochód. Audi, czarna półterenówka. Pojechał przez Cyklamenów, ktoś ciekawski zauważył, jak skręca w Trakt Lubelski...

- A druga?

- Inne auto przed dziewiątą, innym wyjazdem. Są świeże ślady w stronę Pragi. Furgon dostawczy... Jeszcze ustalają... Poczekaj... - Pułkownik po raz kolejny przechodzi na drugą linię. -...numer, z którym młoda łączyła się z pociągu, to jest nasz dziennikarz. Wszystko się teraz układa... Ona jedzie do niego. Możemy ją za godzinę ładnie powitać na dworcu w Toruniu. Tylko że... technice wychodzi absurd. Lokalizują faceta daleko poza miastem. Bez sensu. Wychodzi im w biegu Wisły...

- Nie przesłyszałam się?

- Tam też jest burza śnieżna, diabli wiedzą, pewnie zaraz poprawią namiary...

- Poczekaj. - Tym razem Waga rozłącza rozmowę, żeby odebrać raport. Kiedy oddzwania, mówi jeszcze szybciej niż poprzednio:

- Artur podaje trzy możliwe samochody: volkswagen, furgon, szary metalik, z przodu rury, bla... bla... holenderska rejestracja VX-HF... dalej nie widać, bla... bla... bla... mężczyzna, chudy i chyba śniady. Ostro pędzi. Nagrał się ładnie pod Łazienkowskim. Już go gonią. Drugi to jest dostawczak, błękitny iveco, wgnieciony przedni prawy... bla... bla... co ci piszą? Aha... chyba jakieś dziecko wiozą. Ha! Trzeci wóz zatrzymał się na rogu z Fieldorfa... już tam ostrożnie podchodzą.

- Stawiam na Holendra.

- Ja też. Gdyby nie chmury...

- Powiem ci bez satelity, za kim pędzi „chudy i chyba śniady”.

-...?

- Wszyscy gonimy tego samego króliczka. Króliczkę. Módl się, byśmy przywitali ją

pierwsi. Że tatuś da nam popalić, to jeszcze pół biedy. Arnold mi mówił, czego ona szukała w sieci.

-...?

- Nie chcesz wiedzieć.

- Może być gorszy szit, niż jest?

- Owszem. Muszę kończyć.

20.

Ze słów, które usłyszał od Róży po śmierci Kropy, Marks wywnioskował dwie rzeczy. Pierwsza: wszystko może się potoczyć dziś całkiem inaczej, niż planowali. Druga: jego domniemane kierownictwo w trzyosobowej grupie pościgowej jest już przeszłością. Kropa nie żyje, a Ezra, zwykły elektryk, do niedawna niewiele więcej niż technik, stał się nagle... no właśnie... Gdyby ktoś kazał Marksowi określić role ich wszystkich w "Odcięciu", nie miałby problemu z opisaniem szefa, jego nieformalnej prawej ręki Róży czy wreszcie własnego miejsca w szeregu. Rola dwójki psów gończych też jest - czy raczej była - jasna. Natomiast Ezra - ten niski, błydy, pozbawiony wyrazu typek o banalnej fizjonomii, drewnianym głose automatycznego sekretarza i podejrzliwym wejrzeniu - on od początku musiał być kimś więcej, niż się wydawało. Czyżby to on był inkwizytorem?

Marks wie, że zasady krzyżowego zarządzania i bezpieczeństwa wymagają, aby ktoś ciągle obserwował plecy dowódcy. Wcześniej wydawało się, że tą osobą jest Róża. To, co teraz robi kurewski Ezra, waląc z obrzyna centralnie w stojącego przy nich sierżanta Kobylaka, wskazuje na inną możliwość.

Już zaczął wydawać polecenia:

- W przód!! - krzyczy, a Marks posłusznie rusza z półsprzęgła tak szybko, jak to możliwe bez utraty przyczepności.

Ezra jedną ręką otwiera szyberdach. Klęka odwrócony na fotelu i wystawia głowę. Marks widzi w bocznym lusterku auta, że policjant w odblaskowej kamizelce leży na śniegu z szeroko rozrzuconymi nogami, zaś jego partnerka, blondynka, wyskakuje z radiowozu, by po chwili - przeczuwając, co ją czeka - wskoczyć do niego na powrót. Gdy kłapa w dachu jest już w połowie otwarta, Ezra przekłada zdrowe ramię - i armatę Kropy. Strzał z opiłowanej śrutówki rozbija szyby policyjnego wozu i jednocześnie wyrzuca w górę koguta, który jeszcze przez moment świeci w locie. Kilka metalowych kulek paskudnie rani funkcjonariuszkę, ale tego już nie widzą. Srebrnoszara zasłona śniegu przesłania wszystko.

Marks zdaje Różę krótką relację. Przed nimi pusta droga bez możliwości odbicia w bok.

Ezra przeładowuje obrzyna.

Róża podaje instrukcje. Prosto do ronda, za rondem dalej prosto. Spotkanie na dworcu pod znakiem zapytania. Pociąg jest już na stacji. Może ruszyć w ciągu pięciu minut. Nie zdążą. Na wypadek, gdyby powstał dłużej, Róża poprowadzi ich blisko dworca, ale raczej trzeba szykować się do dalszej drogi.

- Mamy tu nawigację.

- Doskonale. Ulica Płocka do skrzyżowania z Ogniwą. Potem w prawo.

Marks rozpędza się do setki. Miejscowość Modzerowo. W świetle rzadko poustawianych latarni, z których pali się co trzecia, widać zasypane chaty po lewej i niskie krzaki po prawej stronie. Fotoradar robi im zdjęcie.

- Uważaj. Na kolejne dachowanie nas nie stać.

Marks nie odpowiada, skupia się na drodze. Przed rondem - i zjazdem na wiślaną tamę - zwalnia do siedemdziesiątki, rozbija zaspę nawianego śniegu, potem znowu dodaje gazu. Jeżeli policjantka przeżyła prysznic z obrzyna - i jeśli w tym miasteczku mają więcej niż jeden radiowóz - wkrótce na drodze zrobi się gęsto.

Róża także ma tego świadomość. W dodatku w obecnych warunkach, po demontażu bazy, są w połowie ślepi i głusi. Pozostaje intuicja i improwizacja. Warunki poligonowe.

Marks i Ezra pędzą.

Jest trzynaście po dziewiątej, gdy w miejscu otoczonym ruinami nieczynnych fabryk Marks dostrzega radiowóz z przeciwka. Buda na sygnale. Volvo prawie ociera się o nią w korycie drogi i śnieżnym тумanie. Sekundę później obaj widzą w lusterkach rozblaskujące czerwienią światła hamowania. Marks przyspiesza. Tamci już zawracają. Ezra znowu otwiera szyberdach - wicher i śnieg wpadają do kabiny z hałasem.

Ulica wygina się łukiem w prawo. Pulsujące niebieskie światło we wstecznym lusterku znika za murem mijanej kamienicy. Hamowanie, dziewięćdziesiąt stopni w bok, droga lekko opada na dół, gaz do dechy, kontrolowany poślizg. Przed nimi rząd niskich latarni, dalej ciemność. Nawigacja pokazuje Wisłę. Dziewięćdziesiąt stopni w lewo, znow poślizg, szuranie systemu ABS, koła uderzają w coś schowanego pod śniegiem, może krawężnik, może dziura w zalodzonej jezdni. Wredne chrupnięcie w zawieszeniu. Pościgu nie widać. Marks dodaje gazu. Uliczka, którą teraz gnają, jest wąska, zaparkowane przy niej samochody tworzą rząd białych kopców. Żadnych ludzi.

- Czterysta metrów i w lewo. Brzeska. - Róża niepotrzebnie podaje nazwy ulic -

w zamieci i tak nie widzą tablic. Widzą natomiast dwa samochody - jadące z naprzeciwka wynurzają się z zadymki dosłownie w ostatniej chwili. Auto z tyłu pędzi na sygnale, wyprzedzając to jadące z przodu, którego kierowca próbuje ustąpić miejsca, ale jezdnia jest tutaj zbyt ciasna. Marks na trzeciego wciska się w lukę, rozbijając prawym kołem zaspę. W tylnym lusterku kilkadziesiąt metrów za nimi przytłumione śniegiem niebieskie migotanie. Ci przed chwilą wyminięci wpadają na siebie z hukiem, który brzmi jak kopnięcie w pusty karton.

Chwilę gnają w mocnym przechyle na lewych kołach. Gdy opadają wreszcie na prawy bok, Marks robi niesamowity wiraż w pędzie. Krótka prosta pod górę - i znowu obrót na zaśnieżonym lodzie.

- Pociąg w miejscu. Tysiąc pięćset metrów do dworca. Na pierwszym skrzyżowaniu w prawo, przy rozwidleniu w lewo. - Marksowi przemyka przez głowę, że Róża podaje odległości w metrach, a nie kilometrach, by im dodać nadziei, że zdążą. Na dużym wyświetlaczu auta dwudziesta pierwsza szesnaście.

Ignoruje czerwone światła na skrzyżowaniu i wchodzi w kolejny zakręt, pomagając sobie ręcznym hamulcem. Silnik ryczy, kontrolki wariują, prędkościomierz skacze, obrotomierz oszalał. Rozwidlenie. Z prawej - na tle krawędzi jakiegoś starego, potężnego budynku - pojawia się duży, zgnięty pikap, doskonale widoczny w świetle latarni. Jezdnia w lewo - pusta. Kolejne czerwone światła, pikap tuż za nimi. Ezra po raz kolejny ładuje obrzyna. Trzaskanie metalu o metal - tuż przy ich uszach - miesza się z grzechotem rozbijanych szyb.

- Do matki pizdy... jebią w nas!

- Za czterysta metrów skrzyżowanie i prosto. Pociąg stoi. - Róża musi słyszeć, co się u nich dzieje, lecz jej głos jest nadal spokojny.

Połowa przedniej szyby volvo już w proszku, tylnej nie ma wcale, podobnie jak i lewego lusterka. W tym mieście policja nie strzela w opony...

- Prosto. Osiemset metrów do celu... czekaj! Nie... Pociąg ruszył. Natychmiast w prawo!

Ezra strzela za siebie w tym samym momencie, co tamci do niego. Podwójny huk obrzyna miesza się z terkotem werbla. Marks czuje przeszywające ukąszenie w prawym łokciu, ale i tak robi dwa pełne obroty kierownicą - pozornie wbrew logice i fizyce. Taki zakręt - skok w odchodzącą pod ostrym kątem wąską ulicę - nie może się udać. I się nie udaje. Lepsze jest jednak uderzenie o mur niż kolejny postrzał.

Lewy tył volvo z potwornym rumorem i zgrzytem najpierw ścina niby wykałaczkę

znak zakazu wjazdu, potem gnie latarnię, wreszcie odbija się od grubego, kamiennego ogrodzenia obwieszzonego soplami.

Strzelają boczne poduszki powietrzne.

Przedni zderzak z rumorem ociera się o połupane kamienie. Oderwany koziółkuje po masce i resztkach szyby razem z przyczepionym doń reflektorem i fragmentem chłodnicy.

Pikapa z tyłu nie widać.

Marks wciska klakson, przeganiając z jednokierunkowej jezdni niewielki, jasny samochód osobowy. Prowadzący go młody chłopak w kapturze do ostatniej chwili nie chce zjechać - albo uważa, że należy mu się miejsce, albo po prostu zapatrzył się na pozbawioną połowy przodu dymiącą, przekrzywioną terenówkę. Jego zagapienie trwa pół sekundy za długo i płaci za nie uderzeniem, które odrzuca jego autko jak zabawkę. Potrząskane volvo gna dalej.

- Dwieście metrów i w lewo, potem pierwsza w prawo.

- Musimy zmienić transport.

- Nie ma czasu. Nowe spotkanie, miejscowość Aleksandrów, trzydzieści dwa kilometry, wyjazd na Toruń - Gdańsk, macie dwadzieścia dziewięć minut. - Ton głosu Róży nie jest już taki spokojny. - To jest ostatnie możliwe spotkanie. Na kolejnym przystanku będzie czekać orkiestra.

- Nie strasz mnie, pizdo... - Marks o mało nie mówi tego głośno. Prawy łokieć i całe ramię zaczynają wysyłać przeszywające sygnały. Ręka sztywnieje.

- My też mamy ogon - Róża wspomina o tym jakby poza protokołem, nadal spokojnie, a nawet z jakąś ciepłą nutą w głosie. Chyba chce pocieszyć ich obu, że inni też miewają kłopoty.

- Ostatnie... - Ezra, mrużąc oczy w kłębach dymu i smugach zacinającego śniegu, unosi na zdrowej dłoni dwa naboje, pięciocentymetrowe kołki obleczone czerwonym plastikiem. Armata Kropy odezwie się jeszcze dwukrotnie, potem...

Może nie być żadnego „potem”.

Pokładowy komputer komunikuje: natychmiast zatrzymaj auto! Błyszczą lampki temperatury, poziomu oleju, elektroniki silnika, hamulca i diabeł wie, co jeszcze. Zaraz wszystko wyłączy się samo. Klekot rozwalonego koła przechodzi w wizg przypominający dźwięk pracy mechanicznej piły tnącej deskę. Pędzą po lodzie na samej feldze i krzeszą iskry. Ale nie to jest najgorsze.

Przed nimi, z boków i z tyłu, wyłaniają się radiowozy. Co najmniej cztery.

Piąty wychyla się z zamieci tuż przed nimi. Srebrzysty ford mondeo wali im prosto

na maskę. Niewidoczny kierowca dąży chyba do czołowego zderzenia. Jeszcze pięć metrów, jeszcze dwa... Ezra zdrowym ramieniem obejmuje zagłówek za sobą...

Marks skręca w ostatniej chwili - jedną ręką - najostrożniej, jak potrafi. To już nie mogło się udać! W szalonym obrocie auto natychmiast traci przyczepność i leci w powietrzu, by po niespełna połowie sekundy uderzyć zmasakrowanym już wcześniej odwłokiem w obły przód forda. Ciężkie tarcze kół, potężny tylny most i szerokie blachy podwozia zdzierają przednią klapę mondeo jak wieczko konserwy i - krzesząc iskry - dosłownie ścinają kabinę radiowozu.

Razem z zawartością.

Przez następnych trzydzieści sekund wokoło rozpętuje się piekło.

* *
* *

Gdy Majce, w korytarzu wagonu, udaje się w końcu uruchomić samsunga, telefon natychmiast zaczyna dzwonić. To ojciec.

-...się z tobą dzieje, dziecko?! Dzwoniłem sześć razy... - Głos papy ginie wśród pisku i zgrzytów zwalniającego pociągu. Za oknem, w półmroku słabo tylko rozproszonym nielicznymi światłami, widać brzydki, niski pawilon, obdrapane, blaszane szopy i napis „Włocławek”.

- Nie wiem, co się dzieje... zimno mi... poczekaj... szukam miejsca. - Maja chowa się w pierwszym z brzegu, ciemnym przedziale, przepaszając po drodze stłoczonych w korytarzu ludzi. - Ja też cały dzień dzwoniłam. Wczoraj! Gdzie ty jesteś?!

-...samolotu... natychmiast... zadzwoni do ciebie zaraz Wincenty Naumann z Komendy Głównej. Nau-mann! To mój dawny uczeń, całkowicie zaufany... halo! Słyszysz mnie? Nie rób nic na własną rękę, ja wszystko.....halo!!

Ktoś w korytarzu głośno krzyczy: „Andżela! Andżelika!!”. Z drugiej strony dobiega płacz dziecka i podniesione damskie głosy.

- Nie słyszę, papa, tu hałas, telefon się psuje. Paweł nie żyje! Rozumiesz? Ktoś go zamordował, a rano u ciebie...

-...słyszysz mnie?!

-...rano strzelali do mnie u ciebie przed domem!! - Majka krzyczy, nie zwracając uwagi na dwie drobne, siwowłose kobiety siedzące w ciemnym przedziale. Jedna - typowa babunia z reklamy pastylek na serce - ma inteligentną twarz, a na nosie wielkie okulary z lat siedemdziesiątych. Druga - puciołowata - szeroko otworzyła usta, jak gdyby zamarła w trakcie głośnego ziewania. Obie patrzą na Maję.

-...czekaj koniecznie na telefon od niego! Słyszysz?! Tylko od Naumanna! - Głos ojca

przez chwilę robi się bardzo wyraźny.

- Teraz słyszę!

- Już interweniowałem, gdzie trzeba. Będziesz bezpieczna, nie będą cię w ogóle zatrzymywać. Mówiłem ci, żebyś się nie mieszała. Ale spokojnie... Naumann się tobą natychmiast zajmie... - Znowu gorsze połączenie. -...tylko muszę wiedzieć, gdzie dokładnie... halooo?!

Koniec rozmowy. Telefon padł po raz kolejny.

- Co ci się stało, dziecko? - Kobieta w okularach wstaje i wyciąga rękę w stronę Majki. Pomarszczoną dłoń ma owiniętą różańcem. Czarne, lakierowane paciorki błyszczą w słabym świetle latarni z peronu. - Okradli cię bandyci?

- Nie okradli... po prostu... ja uciekłam...

- Uciekłaś z domu?

- Uciekłam złym ludziom, proszę pani.

- Tak... tak! Teraz się tego narobiło! Ty masz gorączkę, dziecko, cała się trzęsiesz. - Staruszka z różańcem opiera dłoń o jej ramię i delikatnie popycha ją na siedzenie. - Masz jakiś płaszcz w tym pociągu?

- Nie mam.

- Krysiu, podaj przecież nasze lekarstwa - babunia mówi to do towarzyszki, która dopiero teraz zamknęła usta. - Krysiu, rusz się, na miłość boską! Ta dziecina potrzebuje pomocy!

Nazwana Krysią podnosi się z fotela i stając na palcach, sięga po leżącą nad głową żółtą foliową torbę z reklamą sieci Biedronka. Maja widzi brzydkie, ciemne wole na jej szyi. Cały czas zмага się z telefonem.

Wyłącz - włącz - podaj PIN. Ekran błyszczy przez chwilę i gaśnie.

- Ja muszę... muszę... nie działa mi...

- Możesz skorzystać z mojego telefonu, drogie dziecko.

-...muszę odebrać. Nie dzwonić. Odebrać od kogoś. Ze swego...

Kobieta ze zniekształconą szyją wyciąga z reklamówki małą buteleczkę.

- To jest syrop i na gorączkę, i na przemarzanie. - Głos ma cichy, suchy, nieprzyjemny. Jej twarz pokrywają popękane naczynka, które w półmroku wyglądają jak maoryskie tatuaże. - Dobrze nam to zrobi, kiedy wypijemy.

- Dziękuję bardzo. - Maja pociąga duży łyk czegoś, co smakuje jak ocet winny zmieszany z gorzką czekoladą i - faktycznie - czuje falę ciepła rozlewającą się od gardła w dół. - Mogę jeszcze?

- Pij, dziecino, możesz nawet dużo. Krysiu! Podaj nam bułki. Ty lubisz żółty ser z dużymi dziurami, moja mała?

- Chyba nie jestem głodna.

- Chyba jesteś. Kiedy ostatni raz cokolwiek jadłaś?

- Nie wiem... rano.

- Tak nie można, dziecino. Jedz, proszę.

Rozwinięta z szarego papieru kanapka pojawia się w ręce staruszki w tym samym momencie, w którym pociąg rusza ze stacji. Potrzaskane wiaty osłaniające zejścia do tunelu ustępują miejsca stosom ośnieżonych betonowych kłoców i chaszczom. W oddali błyszczy czerwienią neon jakiegoś sklepu, hotelu czy kina, lecz liter nie sposób odczytać - zbyt gęsto sypie z nieba.

Wagony dudnią, przyspieszając. Nad mijanymi zaroślami coś rozbłyskuje jak wybuch sztucznych ogni. Ani jedząca bułkę Maja, ani żadna z dwóch starszych kobiet nie zwracają na to uwagi. A to na pobliskim placu „Solidarności” pali się policyjny ford mondeo trójka.

* *
* *
* *

Plomień bucha we wszystkie strony, barwiąc na pomarańczowo śnieg, powietrze i lód. Czarny dym znika w ciemności, a nadpalone szczątki, płaty, skrawki i spopieliałe farfocele opadają na ziemię w promieniu kilkudziesięciu metrów. W przeciętym wpół radiowozie jeden człowiek kona, drugi już nie żyje.

Obrócone na dach volvo w niewiele lepszym stanie wpadło przed chwilą pod koła sunącego w poprzek placu śnieżnego pług. Kierowcy dwóch przypadkowo uwięzionych na rondzie samochodów osobowych - większy z nich wiezie na dachu narty - szeroko otwartymi oczami wpatrują się w makabryczne sceny. Nikt jednak nie widzi ani nie słyszy wszystkiego - nikt nie ogarnia całości sytuacji. Padający od kilku godzin śnieg w ostatnich minutach jeszcze zgęstniał. W chwilach, gdy wichur rozrywa białe zasłony, widoczność jest lepsza, lecz kiedy podmuch momentami traci impet - kurtyna bieli zapada.

Policjanci w mundurach, kurtkach i cywilnych płaszczach wrzeszczą do siebie, przeklinają, ktoś krzyczy „nie strzelać!”, ktoś rozpaczliwie wzywa lekarza. Dwóch mężczyzn z gaśnicami próbuje podejść do płonącego wraku, ale żar nie pozwala. Paru funkcjonariuszy wydiera się do radiotelefonów i komórek, kilku innych pokazuje sobie palcami wywrócone volvo.

Ezra wyczołguje się pierwszy. Twarz ma zalaną krwią, zraniona wcześniej ręka wisi całkiem bezwładnie, lecz w drugiej mocno trzyma obrzyna. Uderzenie głową o blachę odebrało mu słuch, jednak widzi, co się dzieje, i trzeźwo ocenia sytuację.

Kierowca nieruchomego pługą śnieżnego jest nie dalej niż dwa metry od niego. Oświetlony pomarańczowymi lampami siedzi bez ruchu w wysokiej kabinie. Usta ma szeroko otwarte.

Najbliższy radiowóz - co najmniej dziesięć metrów w drugą stronę. Otwarte drzwi z obu stron, policjantów nie widać: albo się skryli, albo śnieg nie pozwala ich dostrzec.

Zapaćkane błotem kombi z nartami na dachu - cztery metry.

Podpierając się sprawną ręką, Ezra staje na nogi i biegnie - wystarczają trzy susy. Szarpie za tylną klamkę samochodu - w pierwszej chwili nie może otworzyć i już chce wybić szybę spiłowaną kolbą, gdy drzwi się otwierają, sunąc w bok. Za kierownicą mężczyzna w góralskim swetrze i amarantowej, pikowanej kamizeli. Obok młoda, kruczowłosa ślicznotka - zapach jej perfum uderza Ezrę razem z ciepłem wnętrza. Na tylnej kanapie - w zasięgu ręki - dziewczynka w limonkowej kurteczce. Opaska na czole, gęste loki, piękne czarne oczy, nieprzytomna buzia czterolatki wyrwanej ze snu. Ogromny, pluszowy tygrys obok niej. Pomarańczowo-złoty, z kokardą na szyi.

Ezra chwytą zębami lufę. Uwolnioną ręką podrywa małą z siedzenia. Dziewczynka zaczyna krzyczeć, czego nie słyszy, ale domyśla się po jej wykrzywionej twarzyczce. Ścisną ją między kolanami. Obrzyn już w ręce. Już przyłożony do małego, ciepłego policzka. Obrót z uwięzionym między nogami drżącym ciałkiem, odskakujące przednie drzwi auta, wyciągnięte dłonie kobiety, jej koralowe paznokcie, szybki cios Ezry, krucze włosy nieprzytomnej rozsypane na śniegu. Tata w czerwonej kamizelce obiega auto, potykając się i przytrzymując maski. Dziecko gwałtownie się szarpie, Ezra ścisną je mocniej, skradający się policjanci są już parę metrów od niego. Marks wyrasta jak spod ziemi. Zamiast nosa ma purpurową miazgę, prawą rękę nienaturalnie przyciska do ciała, w ustach trzyma słuchawkę czy raczej to, co z niej zostało. Ich zetknięte plecy, beretta w dłoni Marksa wycelowana w gliniarzy, obrzyn Ezry wycelowany w dziecko - braterstwo broni.

- Nie strzelać! Kurwa mać!!

- Rzuć to!!

- On ma dziecko!!

- Kurwaaa!!

- Dziecko!!

Desperacki zamach faceta w czerwonej kamizeli, niedbały ruch lufy i strzał z obrzyna, który odrywa dłoń razem ze złotym zegarkiem. Diabelski grymas na twarzy upadającego ojca i jego spojrzenie - już skierowane do środka. Jeszcze więcej krwi. Marks za kierownicą. Jasna skóra na siedzeniach, mahoniowy kokpit, duży ekran satelitarnej nawigacji, błyszczące detale.

Nowiutka mazda - samochód bogatych ludzi. Szczęśliwa rodzina na feriach trafiła - jak mówią Polacy - między młot i kowadło. Ezra wskakuje tyłem, zagarniając dziecko nieczynną ręką. Czuje ból zranionego ramienia i narastający haj. Został mu jeden nabój.

Przytrzymywana dziewczynka przenikliwie piszczy, jej mama unosi się półprzytomnie ze śniegu. Koła mazdy zaczynają wirować i fontanna wyrzuconej spod nich białej pulpy zalepia ładną twarz kobiety niby tort rzucony w slapstickowej komedii. Ochryple krzyki policjantów, krótka jazda z otwartymi drzwiami, mundurowy rozciągnięty na masce, a potem przejechany, ciepłe łzy i jeszcze cieplejszy mocz dziewczynki wciąż uwięzionej między nogami Ezry. Marks, brocząc krwią z nosa, błyskawicznie przerzuca biegi i obraca kierownicę lewą dłonią. Adrenalina. Dwaj jednoręcy bandyci przeciw wszystkim. Klasyczna, nieco podniosła muzyka z głośników samochodu zagłuszana przez świst mroźnego powietrza z wciąż niezamkniętych drzwi. Krew rozmazana na twarzach, kolanach, na butach i na mokrych szybach. Pęd mazdy po śliskiej dwupasmówce. Sznur radiowozów za nimi, jeden z nich gna równolegle po przeciwległym pasie. Nikogo z przeciwka. Dziwne... Zdażyli zamknąć drogę? Postawili blokadę? Ezra, który faktycznie przyszedł na świat pod imieniem Aleksander, śmieje się dziko. Marks ciągle trzyma w ustach pękniętą słuchawkę.

Skulona na podłodze zasikana dziewczynka dostaje czkawki.

Jadą coraz szybciej. Widoczność: momentami pięćdziesiąt metrów, momentami dziesięć, nie więcej. Zaśnieżona jezdnia wznosi się gwałtownie na wiadukcie i gdy osiągną najwyższy punkt, Marks w jednej chwili dostrzega wszystko, co dla nich przygotowali prowincjonalni gliniarze. Kłębowisko policyjnych i cywilnych aut ukazuje się między perłowymi płachtami zamieci - i zaraz znika.

Hamowanie. Prędkość spada ze stu dziesięciu do czterdziestu kilometrów na godzinę.

Znów coś widać przez ćwierć sekundy: krzywo rzucona bariera, policyjna półciężarówka w poprzek jezdni i tylko jeden możliwy wąski przejazd. Nieprzejrzysta biel.

Pedał hamulca wgnieciony do oporu, prędkościomierz już opadł, chrupie ABS, mazda ślizga się w niekontrolowanym skosie. Ciemna wstęga na śniegu. Kolczatka. Policjanci w czarnych hełmach i goglach, wycelowane w ich stronę karabiny o grubych lufach. Hamulce przewyciężają poślizg niecałe ćwierć metra od kolców. Ezra - z pomocą obu kolan - unosi ściśniętą między udami dziewczynkę. Kilka skoncentrowanych lamp oświetla ich obu i dziecko. Obrzyn przyłożony do zapłakanej twarzyczki też jest aż nadto widoczny.

- Ściągnij to gówno! Liczę do pięciu! Raz!! - Ezra krzyczy przez uchylone okno. Nie może mieć pewności, że go słyszą dokładnie, ale na pewno rozumieją, o co chodzi.

- Dwa!!

Jeden z policjantów, wysoki, w matowym, jajowatym kasku, podchodzi na odległość ręki. Twarz ma zasłoniętą kominiarką. Z otworu na usta leci para.

- Trzy!!

Ezra - w ciągu najwyżej jednej ósmej sekundy - odrywa lufę od głowy dziewczynki, strzela bez celowania i - zanim ten ułamek czasu mija - znowu przykłada obrzyna do puszystych loków czterolatki. Żaden z sześciu patrzących funkcjonariuszy nigdy wcześniej nie widział czegoś tak szybkiego - i nigdy już pewnie nie zobaczy. Ten w hełmie i kominiarce, trafiony w bok ostatnim pociskiem Kropy, okręca się wokół własnej osi i pada mimo ochronnej kamizelki na kurtce.

- Cztery!!

Ezra wie, że oni nie wiedzą, że druga rura strzelby jest już pusta.

Jeden z gliniarzy daje znak wyciągniętą ręką. Krzyczy:

- Zostaw dzieciaka!! Nie uciekniesz!!

- Ściągaj gówna!! Oddam dziecko!

Ktoś zdejmuje kolce ze śniegu. Marks rusza.

- Dziecko!! - krzyk policjanta.

Marks dodaje gazu. Z lewej rząd zatrzymanych samochodów, z prawej dwa radiowozy, barierka wiaduktu i zjazd w dół. Mazda szybko przyspiesza, trzęsąc się w głębokich koleinach. Silne drogowe światła auta, które ruszyło tuż za nimi, nie oddalają się ani na metr. Jakiś człowiek uskakuje z drogi w ostatniej chwili. Ściskana kolanami dziewczynka płacze. Ezra znowu się śmieje. Wyrzuca małą z samochodu.

Światła za nimi zostają z tyłu.

- Widzicie, chuj, jaki jestem słowny? Daj mi to... - Z krzywym uśmiechem na ustach podsuwa brudną, okrwawioną dłoń, a Marks wypływa w nią słuchawkę. Oddanie pluskwy to już jest jawne oddanie dowodzenia.

* *
*

- Wyprowadź nas! - Ezra krzyczy, przytrzymując pluskwę zdrową ręką przy uchu. Odpowiedzi Róży długo nie słyhać. Już dochodzi do wniosku, że pęknięty nadajnik ostatecznie wysiadł, lecz w końcu słyszy stłumione i zarazem naładowane histeryczną emocją słowa: „Czekaj, czekaj jeszcze...”.

Róża i Arsen muszą mieć własne kłopoty w drodze.

Gdy wreszcie Róża się odzywa, jej ton jest już spokojny, a polecenia precyzyjne.

- Natychmiast w lewo.

- Co to, w pizdę matki, jest??!! - Marks naciska na hamulec, a czuły system ABS

natychmiast się włącza. Obaj mają nagłe wrażenie, że znowu zderzyli się z zaspą. Ale to nie tak... Ciągłe jada. Tyle że już nie widzą dokąd. Przed nimi tylko wirująca, migotliwa biel. Wjechali w śnieżny wodospad.

- Zwolnij!

Przez wciąż rozsunięte środkowe drzwi wsypuje się do środka biały pył, jakby ktoś skierował na nich naśnieżarkę. To już nie jest zamieć. To tornado, kataklizm. Wybawienie. Marks, zwalniając, przytomnie wyłącza jedyne działające jeszcze światło. Pędzą na oślep w ciemności.

- Miałeś dać w lewo...

- Nie widać żadnego lewo! Pizda tu jest.

- Szukaj lasu. Pięć metrów od drogi. Czterdzieści stopni w tej chwili. I pierwszy możliwy przejazd.

Ezra, który zdołał jakoś zamocować słuchawkę w uchu, wskazuje punkt w mroku. Marks skręca, niczego nie widząc. Równie dobrze mógłby kierować z zamkniętymi oczami. Przednie koła podskakują na nierówności, potem auto spada dobre pół metra, prawie staje, lecz on nie pozwala silnikowi zgasnąć. Chwilę suną, bardzo powoli, w nieokreślonej przestrzeni. Żadnych świateł dookoła, żadnych dźwięków syren - nic. W ślimaczym tempie mijają cenne sekundy, lecz oczy wreszcie przyzwyczajają się do ciemności i zaraz będzie można wrywać dalej. Największe uderzenie śnieżycy chyba już za nimi. W nieprzeniknionej dotąd szarości pojawiają się jaśniejsze i ciemniejsze strefy. Widać, gdzie góra, a gdzie dół.

Ścianę lasu rozpoznają w momencie, gdy od najbliższych pni drzew dzieli ich półtora metra. Marks błyskawicznie obraca koło kierownicy, chwytając je i puszczając zdrową ręką, ale i tak uderzają w drzewo. Gnąca się blacha i pękająca boczna szyba nie robią już żadnego wrażenia. Po prostu jada dalej.

- Dobrze... tak ciągnij. - Róża nie pyta, skąd nagły hałas. Sądzi chyba, że to Ezra siedzi za kierownicą. Komenderuje szybko, jakby chciała lub musiała zaraz kończyć. - Macie osiemnaście minut. Pięćdziesiąt metrów i w lewo.

Wjeżdżają między drzewa, rozbijając zaspę zderzakiem. W idealnie białym korycie leśnej przecinki śnieg sypie znacznie lżej. Bez reflektorów widzą więcej niż przedtem, choć nie za wiele jest tu do oglądania. Biel na dole, czerń u góry, ściany lasu po obu stronach, czarno-białe jak zebry. Marks wyciska z silnika ostatnie poty - ich samochód jest teraz pługiem rozbijającym niekończącą się śnieżną pryzmę.

- Tory za sto metrów. Może być zamknięte.

Róża ma rację: przejazd na skrzyżowaniu leśnej drogi z torowiskiem zamknięto

ustawionymi na stałe barierami. W świetle padającym z okna samotnego budynku na skraju lasu widać sterczące z puchu czerwone i białe zespawane rury. Marks redukuje bieg i wciska pedał gazu do końca. Silnik pięknie, zdrowo gra. Mazda szybko wspina się na kolejowy nasyp dwa metry na prawo od przeszkody. Gdy osiąga wierzch, przednie koła pół sekundy pracują w powietrzu, motor wyje jak zarzynany, potem robi się jasno, auto uderza z łoskotem o tory, a oni obaj zaczynają wirować w środku niczym kule w maszynie do losowania. Ezra jęczy, gdy uderza prowizorycznie zabandażowaną ręką o własne kolano. Marks - sam cierpiący po serii uderzeń - ciśnie gaz, wciąż na pierwszym biegu. Nie zważa na nieziemskie światło ani na to, czy pourywa koła - i dobrze, ponieważ niespełna dwie sekundy po tym, gdy zsuwają się z nasypu, za ich plecami z hukiem przelatuje rozpędzony pociąg. W gęstym śniegu maszynista jedzący właśnie tłustego, zimnego kotleta wprost ze słoja nawet nie zauważa, co go ominęło.

- Jesteśmy nie do zajebania, bracie! - Wariackie podniecenie Ezry narasta. Wciska w ucho pękniętą słuchawkę, której o mało nie zgubił, gdy przejeżdżali torowisko. Słyszy koniec zdania: „...autostrady”.

- Powtórz! - woła do Róży.

- Pięć kilometrów przed wami. Autostrada, wjazd awaryjny. - Ezra spogląda na ekran nawigacji. Żadnego wjazdu na nim nie widać, ale skoro Róża mówi, to widocznie wie. - Tam będzie zamknięte. Tylko siatka. Macie siedemnaście minut.

* *
* *

Dopiero za czwartym razem samsung Majki uruchamia się po wklepaniu PIN-u. Ekran wyświetla informację o kilku nowych wiadomościach w skrzynce. Najnowsza z nich - SMS od Roberta - zajmuje osiem linijek. Niektóre słowa są pourywane, brakuje części polskich znaków. Ale sens jest jasny.

„Wierze ci. Na pewno masz podsłuch więc dalej tylko smsy między nami. Jak słuchają to już wiedza, że planujesz Toru. Niebezpiecz mogą czekać na najbliższej. Zanim inne rozwiązania, musisz wyjść z pociągu. Gdzie jesteś i co widzisz za oknem szybko pisz. Nie dzwoni!”.

Ignorując nadchodzące połączenia i pytania zadawane przez obie życzliwe staruszki z przedziału, Maja odpisuje z połową bułki w ustach.

„5 minut za wrocławkiem. Widzę z prawej wielkie bloki potem dużo kontenerów. Elektryczne coś i fabryka”.

Wysła wiadomość i czekając na odpowiedź, kończy kanapkę, której smaku nie czuje. Kobieta w okularach wyciąga w jej stronę dużą szklaną butelkę. Druga z babć, ta grubsza,

uśmiecha się serdecznie i brzydtko mlaska, obierając ze skorupki jajko na twardo.

- Soczek własnej roboty. Z odrobiną prądu. Też bardzo rozgrzewa. Pijemy, pijemy... a tu mamy zakąskę. - Podtyka jajko pod nos Mai. W tym samym momencie samsung zaczyna dzwonić i wibrować. Nieznany numer. Maja odrzuca połączenie. Po sekundzie - kolejny dzwonek. A w kącie ekranu - nowy SMS.

Czyta wiadomość.

„Zaraz będzie stacja LUBANIE widac z prawej napis miniesz LUBANIE zaciągnij hamul awar. Telefon zostaw w smietniku idz na stacje. Poczekalnia. Jade jestem blisko, może będę pierwsz. Potwierdz”.

Wybiera opcję „odpowiedz” i pisze jedno słowo:

„Dobrze”.

Starowinki w przedziale spierają się, czy pociąg ma spóźnienie, czy nie ma. Ze strzępów rozmowy, które Maja chwytła jednym uchem, wynika, że obie spieszą na spotkanie jakiejś grupy zajmującej się wzajemnym udzielaniem kredytów i ktoś dla nich ważny ma czekać na dworcu, ale w jakim mieście - to już do Majki nie dochodzi. Wysłała SMS-a i wstaje.

- Muszę do toalety.

Babcia z naroślą na szyi kiwa głową.

- Jak musimy, to musimy, ale uważajmy na przeciągi. - Przechyliła głowę i sama pociąga łyk „soczku z odrobiną prądu”, zagryzając jajem. Majka wychodzi na korytarz.

Las za oknami urywa się gwałtownie - tyle udaje jej się dostrzec przez zaklejone śniegiem okna. Wagon skrzypi na łuku, w przejściu do kolejnego piętrzy się nawiany przez szpary alabastrowy puch. Jego czystość kontrastuje z brudem ścian i podłogi. Idąc w stronę końca pociągu, Majka myśli o hamowaniu awaryjnym, o konduktorach, o tym, czy drzwi się otworzą i czy to bezpieczne pozbyć się komórki. Myśli też o mężczyźnie, którego nigdy nie widziała na żywo, a któremu teraz oddaje się pod opiekę... i o tym innym, który chciał ją dziś zabić. Dwa razy udało się uciec.

Ludzie na korytarzu, sami mężczyźni. Uważnie się jej przyglądają, gdy nadchodzi wąskim przejściem. Jeden cmoka przeciągle i obleśnie, kiedy przechodząc, ociera się - choć tego nie chce - o jego wielki brzuch.

Koniec korytarza. Toaleta. Śmierdzi wypalonymi papierosami. Maja wrzuca komórkę w szparę pod pełną petów umywalką i szybko się wycofuje. W rozszerzeniu korytarza - niska kobieta trzymająca między nogami karton obwiązany sznurkiem. Przed chwilą jej tu nie było. Patrzy na Majkę uważnie. Byle nie przegapić tego Lubania. Gdzie jest hamulec? Trzeba dalej

- do ostatniego wagonu. Kolejne hałaśliwe przejście, jeszcze więcej śniegu. Oblodzone drzwi nie chcą się otworzyć. Maja szarpie raz, drugi... puściły. Pusty korytarz, śmierdzi wymiocinami. Koniec pociągu. Dobrze.

Gdzie jest hamulec?

Nie ma hamulca?!

Niemożliwe!

Z powrotem.

Wróć! Jest tutaj... Czerwone, metalowe koło z ruchomą rączką ukryte we wnęce ściany.

„Aby zahamować, kręć w prawo”.

Czy dam radę to ruszyć? Co będzie, jeśli nie zadziała?

Wyjmę telefon ze śmietnika.

Widać Lubanie czy nie widać? Za zaśnieżonymi oknami szybko przesuwiają się rozmazane pomarańczowe światła. Przeciera rękawem swetra mokre szkło. Jeden z domów stoi tak blisko torów, że - mimo padającego śniegu - dostrzega błękitny rozbłysk ekranu telewizora. Potem widzi biały od lodu dziurawy płot z siatki, poszczerbioną platformę peronu i zasypaną wiatę, a za nią - zapadnięty w ziemię, obdrapany barak z nieoświetlonym napisem. Jaki to był napis? Jest za ciemno i za szybko wszystko przeleciało, żeby odczytać. Hamować? Nie hamować?!

Rzut oka w głąb korytarza - nikogo nie ma. Chwyta oburącz zimną rączkę koła hamulcowego i nisko pochylona kręci z całej siły. Słyszy najpierw cichy, a zaraz potem bardzo głośny i przeraźliwy pisk. Po nim - coś w rodzaju ciężkiego stęknięcia w podbrzuszu wagonu. Początkowe szarpnięcie jest tak mocne, że musi się trzymać czerwonego uchwytu, by nie upaść na brudną podłogę. Pisk cichnie zastępowany innymi dźwiękami. Jakieś spadające czy uderzające o siebie przedmioty, gwizd z instalacji w ścianie za toaletą i podniesione głosy z najbliższych przedziałów. Pociąg wciąż hamuje - dlaczego to trwa tak długo? Czyżby coś jednak nie zadziałało? Nie... chyba nie... widocznie tak to jest. Jeszcze kilka sekund. I jeszcze kilka. Wreszcie wagon - z ostatnim szarpnięciem - staje. Majka dopada do wyjścia i napiera na wygiętą klamkę, która odskakuje nadspodziewanie lekko. Pcha drzwi kolanem. Mruży oczy zaatakowana podmuchem wiatru i chłodem. Trzeba skoczyć ponad półtora metra w dół. Skacze, nogi uginają się pod nią wbrew woli, spada na piersi, starając się unieść jak najwyżej głowę. Prychając i plując śniegiem kłusującym odsłoniętą skórę, unosi się, by z trudem zrobić kilka pierwszych kroków. Zaspą początkowo sięga do pół uda, po paru metrach już tylko do kolan. Śnieg na dłoniach, szyi i twarzy zmienia się w lodowatą wodę.

Patrzy za siebie. Widzi tylko światła ostatnich dwóch wagonów. Trzeci ledwo mający w zawiei, czwartego i dalszych nie widać wcale. Okna w zasięgu wzroku zamknięte, nikt przez nie wygląda, nikt jej nie goni, żadnego konduktora... nikogo. Jakby nic się nie stało. Jeszcze dziesięć metrów i zasłona śniegu całkowicie odcina ją od pociągu. Nie widać też stacji... ale przecież, no kurka... musi tam być.

Ile mogło trwać hamowanie?

Wśród tysięcy pytań, które przez lata zadała wyszukiwarkom, znalazły się najdziwniejsze. Maja wie, jak domowym sposobem połączyć olej z wodą. Wie, iloma językami posługują się mieszkańcy Malezji, i może je wszystkie wymienić, podobnie jak najdłuższe alpejskie tunele i japońskie prefektury oraz wszystkich bohaterów sagi o Egilu, synu Skalla. Nie wie jednak, jak długa jest droga hamowania pociągu ekspresowego do Piły na zaśnieżonym torze pod stacją Lubanie w powiecie Włocławek. O ile to jest ta stacja. A droga... chyba musi być długa, bo idzie, idzie... i nadal nic nie widzi. Brnie wierzchem nasypu, wzdłuż torów, liczy mijane słupy kolejowej trakcji i czuje, że jest jej coraz zimniej.

* *
*

- A wiesz... byłam pewna, że jeszcze dziś was zobaczę. - Kalina otwiera ciężkie drzwi wejściowe swojej szkoły jogi. W uśmiechu odsłania idealnie równe, białe zęby. Cofa się o pół kroku, bo wirujący podmuch natychmiast wrzuca do śnieg środka. - Tylko dlaczego jesteście tak późno?

- Kalinka... - Robert popycha przed sobą synów i zatraskuje wejście. - Przepraszam cię, ale jest nagła, ważna sprawa związana z Warszawą. Muszę na godzinę... na dwie... zostawić ci tutaj chłopaków. Będą grzeczni. Ja pojedę szybko...

- Coś nagłego w świecie kolekcjonerów?

- Nie. Mam jeszcze drugą robotę. - Robert próbuje się uśmiechać.

- W nocnym patrolu interwencyjnym?

- Na takiej uczelni w Warszawie. I tam jeden student...

- Wejdźcie, chłopcy. Jejku... przecież oni są zupełnie przemarznięci! Co ty, Robert, wyrabiasz?!

- Byliśmy na spacerze. I dostałem nagły telefon. Muszę kogoś pilnie zawieźć do Torunia.

- Z Warszawy?

- Nie... z Lubania.

- Z tego Lubania?!

- Tak.

- Nie rozumiem...

-...to długa historia. I mało wiarygodna.

- Chodźcie, chłopczkowie, do kuchni, i to szybciotko. - Kalina odwraca się tyłem, jakby nie interesowały jej dalsze wyjaśnienia. - Ty jak masz na imię?

- Krzysztof Pruski.

- Ja jestem Jasio.

- Wasz tata jest kompletnie nieodpowiedzialny.

- Mama też tak mówi.

Kuchnia - duża, urządzona w drewnie i oświetlona kilkoma niewielkimi lampkami - sprawia wrażenie miejsca ciepłego i bezpiecznego. Na wielkim blacie pełnym słoików, garów, kubków i suszonych kwiatów leżą kolorowe gazety i książki wymieszane z dojrzałymi jabłkami. Pachnie jedzeniem i palonym liściastym drewnem z niewidocznego kominka, który zapewne płonie w sąsiednim pomieszczeniu. Gra cicha muzyka - Robert poznaje: Muddy Waters na koncercie w Paryżu.

- Ściągajcie buty, kurtki i idźcie tam do ognia... z herbatką. - Gospodyni nalewa rozbierającym się chłopcom dwa kubki parującego naparu z wysokiego dzbanka. Potem popycha ich w stronę uchylonych drzwi w drugim końcu kuchni. - Cukiernicę znajdziecie na stole. A zaraz wam jeszcze ponalewam rosołu.

- Z makaronem?

- Naturalnie, panie Krzysztofie.

- Ja właśnie chcę bez.

- No to dostaniesz goły.

- I bez marchewki!

- Bez.

- Zostaniemy tutaj na spanie?

- Zobaczycie, że się wam spodoba.

- Kalinka... - Robert odzywa się trochę głośniejszym głosem, niżby należało.

- Jedź już, jedź.

- Wrócę jeszcze dziś w nocy.

- Weź auto Adriana, bo do Lubania jest jedna wielka zaspą. - Gospodyni stawia wśród rozsypanych jabłek dwie kamionkowe miski na zupę, a potem gmera chwilę w rozgardiaszu pomiędzy gazetami i doniczkami pełnymi ziół. Wyciąga chochlę i coś jeszcze: - Masz tu klucze. Dokumenty są w schowku nad kierownicą. Pojedziesz tak, jak nasz śmieszny drogowskaz każe, wiesz gdzie?

- Widziałem go rano. Ale nie chcę wam robić jeszcze większego kłopotu. Ja mam wysokie zawieszenie... przejadę.

- Nie przejedziesz. Nie kłóć się. Bierz kluczyki.

- Okej. - Robert wyciąga rękę. - W takim razie zostawię wam moje, od subaru. A nie ma jakiejś blokady w aucie?

- Nie ma nic. Wciskasz i jedziesz. Tylko że biegi masz przy kierownicy. Umiesz się nimi posługiwać?

- Tak, jeździłem.

- Zrobisz dokładnie pięćset metrów, potem przy krzyżu wzdłuż słupów w lewo. Będzie trochę po gołym polu, aż do następnego krzyża. Za nim powinieneś zobaczyć światła - najpierw elewator po prawej, a później wiejska świetlica. Dalej już będziesz miał dobrze wyjeżdżone. Przynajmniej tak powinno być. Zapamiętałeś?

- Adrian nie będzie zły?

- Nie będzie. Kąpie się u góry, sama mu powiem.

- Jak chcesz. Misiaczki... - Robert przechodzi przez kuchnię i zagląda do salonu z kominkiem. Jasio klęczy przy ogniu, grzebiąc pogrzebaczem w rozżarzonych, na pół zwęglonych klockach. Krzysztof siedzi z kubkiem na krowiej skórze i patrzy w wyciszony duży telewizor. Na wizji pułkownik Józef Drwęcki. W małym okienku w rogu ekranu - to samo zdjęcie Majki, które Robert oglądał w swoim telefonie. Na czerwonym pasku informacja: „Karol D. i Jarosław M. zidentyfikowani na nazistowskim nagraniu wideo”. - Misiaczki moje, zostaniecie u cici, tak jak się umówiliśmy, okej?

- Ale przyjedziesz?

- Kiedy się tylko rano obudzicie, będę już razem z wami. Obiecuję.

- Przesuń się, bo niosę gorące... - Kalina wchodzi do pokoju z dwoma miskami w rękach. - Siadajcie tu zaraz obaj. - Wskazuje chłopcom długi stół pod ścianą. Jego blat - podobnie jak ten w kuchni - zasypany jest mnóstwem szpargałów. Chłopcy karnie wstają.

- Robert, zrób mi na stole miejsce.

- Ciociu... a nie trzeba umyć rąk?

- Na razie nie trzeba. Nie każę wam pić rosołu rękami. Mamy łyżki. Potem się zajmujemy czystością. Wszystko w swoim czasie. Wiecie, że tutaj nawet saunę mamy?

- Supeer!

- Rozgrzejemy wasze zmarznięte nogi i resztę.

Robert kładzie dłoń na ramieniu Kaliny.

- Dziękuję ci.

- Nie robisz nic głupiego?

- Pomagam komuś.

- To czasem głupie.

- Wiem, ale muszę... Niechcący wcześniej nabroilem.

- Bardzo?

- Bardzo nieświadomie. Chciałem tylko zrobić koledze przysługę i się potwornie popieprzyło.

- To ma coś wspólnego z tą całą awanturą? - Wzrok Kaliny biegnie w stronę ekranu telewizyjnego.

Kobieca intuicja jest jak próżnia. Niedostrzegalna i nieograniczona.

- Wszystko ci powiem, jak wrócę. - Robert całuje ją w policzek, choć właściwie to nawet nie jest pocałunek, tylko trącenie nosem. Jej włosy ładnie pachną. Odwraca głowę.

- Pokażcie się cici z dobrej strony, misie!

- Pa, tata!

- Robert... - Przy drzwiach Kalina chwyta go za łokieć. - Na wszelki wypadek wklep sobie mój numer do komórki.

* *
*

Przeszło tysiąc kilometrów od Warszawy czarnowłosa dziewczyna o lekko skośnych oczach, spiczastych ramionach i małych piersiach zamyka skrzynkę mailową, chronioną dotąd hasłem *Gnitallocated086*. Przed zamknięciem standardowo zmienia hasło, dodając jedną cyfrę, odłącza od komputera coś, co wygląda jak powiększona karta pamięci, i wychodzi z pomieszczenia bez okien na długi, sztucznie oświetlony korytarz. Idzie szybko po wytartej podłodze, na której fragmenty starej, czarnej wykładziny sąsiadują z warstwami brunatnego linoleum oraz kawałkami odsłoniętego betonu.

Mimo swych prawie trzydziestu lat dziewczyna sprawia wrażenie uczennicy szkoły podstawowej. Szczególnie w tym stroju: w krótkiej, granatowej spódniczce i obcisłym, białym golfie. Na stopach ma wysokie, ciepłe skarpetki i bladoniebieskie tenisówki.

Wchodzi do pustej windy, którą uruchamia za pomocą wiszącego na szyi identyfikatora. Wjeżdża trzy piętra wyżej, wysiada i rusza w lewo, korytarzem identycznym jak poprzedni. Bez pukania otwiera czwarte po prawej drzwi. W sporym, pomalowanym na żółto pokoju, za podniszczonym pulpitem zastawionym aparaturą i kolumnami papierzysk, siedzi szczupły mężczyzna o pomarszczonej skórze i komicznie odstających uszach. Dziewczyna podaje mu trzymane w dłoni urządzenie, przymyka oczy i recytuje z pamięci jakiś zestaw parametrów: ścieżka dostępu, hasło, potem numer.

Uszaty kiwa głową ze zrozumieniem, wstaje z metalowego krzesła, podchodzi do stalowej szafy, otwiera ją, chwilę gmera w środku i coś wyjmuje.

- Sto czterdziestki się skończyły, dam ci taką... - Mówi, wyciągając dłoń. Dziewczyna odbiera od niego niewielki elektroniczny klocek, nieco mniejszy od tego, który sama przyniosła, odwraca się na pięcie i wychodzi odprowadzana wzrokiem skierowanym w centrum jej małego tyłeczka.

Uszaty oblizuje wargi, po czym umieszcza odebraną kostkę w czytniku stojącym na biurku. Pochyliła się nad nim, na dłuższą chwilę zastyga w bezruchu. Gdy kończy czytać, otwiera leżący obok skoroszyt i zapisuje w papierowej tabelce rząd liter, cyfr i ukośników. Chwilę chodzi po pokoju od jednej żółtej ściany do drugiej. Podnosi słuchawkę stojącego na biurku telefonu, ale odkłada ją, jak gdyby się rozmyślił. Wreszcie podejmuje z pulpitu plastikowy identyfikator dopięty do krótkiej smyczy i wychodzi na korytarz.

Przywołuje windę, identyfikuje się w panelu na ścianie, jedzie jedno piętro w górę, wysiada, wchodzi w szerokie przejście, na końcu którego widać potrójne drzwi z przydymionego szkła. Za drzwiami obszerny sekretariat. Młody człowiek w granatowym uniformie patrzy na uszatego, jakby chciał go o coś spytać, ale ten macha na niego lekceważąco i przechodzi mimo. Otwiera kolejne drzwi. Wkracza do dużego pokoju z panoramicznym oknem wychodzącym na wielki, zamrznięty staw. Nad stawem świeci księżyc w pełni. Noc jest gwiazdzista i mroźna. Uszaty od siedemdziesięciu dwóch godzin nie wyszedł z budynku - kiedy ostatni raz był na zewnątrz, panowała odwilż.

Korpulentna, niezbyt wysoka kobieta, z wyglądu pięćdziesięciolatka, stoi przed wielką szybą, tyłem do wchodzącego. Ze stojącego na biurku komputera płynie jednostajny głos człowieka, który uszaty natychmiast rozpoznaje. Już wie, że wszedł w niewłaściwym momencie, ale mimo to nie wychodzi.

Kobieta się odwraca. Ma długą spódnicę, męską, zielonkawą koszulę, podłużną, raczej nieładną twarz, która sprawia wrażenie wyciągniętej na siłę, i atletyczne ramiona. Cała jej postać wydaje się złożona ze źle dopasowanych elementów.

- Dokończymy za chwilę - mówi ochryplym dyszkantem, który też do niej nie pasuje. Zdaje się raczej należeć do chłopca przed mutacją, a nie do takiego wrednego babska. Znany uszatemu męski głos, który wypełniał dotąd pokój, urywa się w pół zdania, słychać krótki pisk i dopiero teraz spojrzenia obojga stojących w gabinecie się krzyżują.

- Lepiej, by to było coś ważnego.

- Jest.

Przybyły krótko i zwięźle referuje, z czym przyszedł. Mówi o grupie Arsena, choć nie

nazywa go tym imieniem. Używa określenia „Lem”. Opisuje wypadki z ostatniej doby. Podkreśla niezgodność pomiędzy obecną sytuacją i jej obrazem wynikającym z wcześniejszych meldunków. Cytuje kilka fragmentów informacji wydobytej przed kilkunastoma minutami ze skrzynki kontaktowej.

Słuchająca relacji siada w jednym z czterech głębokich foteli ustawionych przy niskim, szklanym stoliku na środku pomieszczenia. Zakłada nogę na nogę, odsłaniając kawałek grubej łydki, bierze do ręki filiżankę, chyba z herbatą, po czym władcym gestem zaprasza mówiącego, by usiadł naprzeciw. Uszaty siada i milczy.

Przez dłuższą chwilę ona też nic nie mówi.

- Ile ty masz właściwie lat, Igor?

- O tym doskonale wiadomo.

- Wiadomo... - Kobieta niespodziewanie się uśmiecha, przy czym jej nieforemna twarz nabiera jakiegoś kompletnie już chorobliwego wyrazu. Część policzków marszczy się i zwija, podczas gdy napięta skóra na brodzie wygląda, jakby miała trzasnąć, odsłaniając coś bardzo paskudnego.

- Chcesz herbaty, kawy? Każę podać. A może coś mocniejszego?

- Dziękuję, nie trzeba. Poza tym... powinniśmy chyba szybko coś przedsięwziąć.

- To na pewno... - Skrzecząca kobieta błądzi wzrokiem tuż nad głową rozmówcy. -

Spotkałeś się już z taką sytuacją?

- Dwa tysiące dziewięty. Dubasari.

- Też o tym pomyślałam. I co wtedy zrobiliśmy?

- My?

- Nie spieraj się ze mną o słówka, Igor. Co zostało zrobione?

- Redukcja.

- No właśnie. - Kobieta wstaje, jej gość natychmiast robi to samo. - Naszym człowiekiem w „Depeszy” jest Aleksander. Znany ci także jako „Ezra”. Rozumiesz?

- A nie Róża?

- Już nie ten poziom awarii. Nie sądzisz chyba, że to mogłoby zajść tak daleko, gdyby postępowała zgodnie...

- Przysłała wiadomość.

- Igor... nie bądź idiotą. Mnie nie obchodzi, czy ona przez cały czas pierdoliła się z tym baranem, czy jest taka głupia, że dopiero teraz widzi, co się dzieje. Przysłała wiadomość, bo to należy do obowiązków inkwizytora. Ona się boi. O siebie. A nie o misję. Gdyby dbała o misję, nie byłoby tego niesłychanego bagna. Ty nie rozumiesz, na co oni nas

narazili?!

- To akurat rozumiem doskonale.

- Wyciągamy stamtąd tylko Aleksandra.

- Tak jest.

- Wyślij naszego z Berlina. Będzie najszybciej. I nie bądź sentymentalny. Twoja Różyczka wyciągnie się sama za włosy. Albo pomogą jej starzy koledzy z Instytutu. Tak czy inaczej, ona nie jest już naszym problemem.

21.

Pikap Dodge RAM to samochód potwór i choć egzemplarz Adriana swoje lata ma, to jedzie się nim doskonale. Przednie reflektory co rusz przygasają, stare, po trzykroć wybite drążki kierownicze głośno klekocą, jedyna przednia wycieraczka ożywia się nieregularnie co jakiś czas, niemiłosiernie drapiąc szybę. Ale szerokie na blisko pół metra opony bez trudu rozbijają największe śnieżne bryły, a dziesięciocylindrowy silnik burczy jak wielki niedźwiedź, dając do zrozumienia, że nie ma dla niego przeszkód nie do pokonania. Tylko czeka na dociśnięcie szerokim pedałem, by pokazać, na co go stać.

Robert wyzerował licznik mil, wyskrobał dziurkę w warstwie szronu przed nosem, a potem uchylił boczne okna i teraz - nie przekraczając dwudziestu kilometrów na godzinę - sunie przez zamieć, myśląc o studencie Pawle, o jego dziewczynie i o podsłuchiwaniu rozmów telefonicznych. Myśli o swoich znajomościach, które mógłby teraz wykorzystać w Toruniu - ze szczególnym uwzględnieniem prawników. Myśli o laptopie z kopią referatu, który został w gospodarstwie Damiana, zasypanych drogach, skorumpowanych albo zdradzieckich policjantach, spiskowych teoriach, szpiegostwie gospodarczym, tajemniczych lobbystach, wydobyciu gazu, Jedynych Synach Polski, skurwysynach z zagranicy i wreszcie o własnej komórce marki Nokia, która wysyła w eter taki sam, łatwy do namierzenia sygnał jak komórka Szalawskiej. Gdy lampy samochodu wyławiają z mroku zaśnieżony, trzymetrowy polny krzyż ozdobiony łopocącymi na wietrze kolorowymi pasmami plastikowej taśmy, odbija w lewo i zmienia światła na szosowe, ale zamiast wypatrywać słupów, o których mówiła mu Kalina Ulrich, skręca jeszcze raz i jedzie w przeciwną stronę - ku opuszczonemu domowi z suchą choinką w środku.

* *
*

W tym samym momencie, osiem kilometrów dalej, Marks i Ezra-Aleksander hamują przed zamkniętą bramą awaryjną na tyłach technicznego parkingu przy autostradzie A1.

Marks podchodzi do siatki - niewielka kłódka odskakuje po pierwszym strzale z beretty. Próbuje pchnąć skrzydło bramy, ale ono nie ustępuje. Trzema susami wraca za kierownicę. Ruszają. Rozbijają przeszkodę maską.

Ezra milczy. Ogląda się za siebie, lecz w mroku nie widzi nic. Wjeżdżają najpierw na głęboko zaśnieżony nieduży plac, potem na drogę dojazdową, której biegu nie dałoby się w ogóle odgadnąć, gdyby nie słupki i znaki. Stąd widać już - nieco powyżej - wolno sunące po czterech pasach autostrady małe auta i tiry z przyczepami.

- Szybciej. - Podniecony Ezra stuka łufą obrzyna w błyszczącą obudowę ekranu nawigacji. - Osiem minut, dwadzieścia kilometrów.

- I jeszcze, w pizdę, dojazd do dworca.

- Szybciej!

Wyjeżdżając na szeroką, nieco mniej zaśnieżoną płaszczyznę, łapią długi poślizg, ale Marks - nawet w tym momencie - nie zdejmuje nogi z gazu. Mazda przecina skosem oblodzoną jezdnię, odbija się lewymi kołami od pochyłej ściany rozgarniętego przez spychacze śniegu, potem ślizga się - znów po skosie, tylko w przeciwnym kierunku - jakieś trzysta metrów. Dopiero wtedy udaje się im wyprostować wóz. Słyszą klakson sportowego samochodu, którego o mało nie staranowali. Szybciej, szybciej...

Mijają kolejne pojazdy - sunące prawym pasem tiry, błyskające pomarańczowymi światłami pługi i nieliczne osobówki. Wszystkie wydają się stać w miejscu. Na liczniku sto dziewięćdziesiąt, skorupa samochodu drży, system antypoślizgowy i kontrola trakcji błyskają na tablicy, meldując wytężoną pracę. Zostało piętnaście kilometrów. Sześć minut.

- Kurewsko mało. Nie zdążymy!

- Zdążymy.

Na przeciwnym pasie autostrady migają sygnały policyjnych samochodów - dwóch, a może więcej. W zygzakach śniegu i z powodu nawarstwionych zasp trudno się zorientować. Za nimi - spokój. Tylko dwie wyprzedzone przed chwilą ciężarówki. Kierowca jednej z nich, gdy zostawili go w tyle, obsypując śniegiem, włączył kilka potężnych świateł naraz i zatrąbił, by dać do zrozumienia, co sądzi o debilach pędzących samochodem bez zderzaków i z potłuczonymi światłami prawie dwieście kilometrów na godzinę po kompletnie zaśnieżonym pasie.

Mazda wyje z bólu. Marks wydusił z silnika wszystko, co się dało. Szybciej nie pojedą. Cztery minuty, jeszcze dziesięć kilometrów.

- Może pociąg się spóźni? - Ezra zdaje sobie sprawę, że wypowiedział swoje myśli na głos, gdy słyszy w słuchawce przytłumioną, ledwo zrozumiałą odpowiedź Róży:

- Zgadłeś! Pociąg stoi. Mała stacja... - Trzeszczenie. -...dwadzieścia kilometrów przed... macie teraz przewagę.

- Powtórz!

- Macie co najmniej dziesięć minut więcej!

- Zwolnij. - Ezra, słuchając kolejnych poleceń Róży, pochyla się w stronę Marksa. - Pociąg ma postój. Zdamy!

A ty mogłaś nam, do chuja, powiedzieć wcześniej, bośmy się tu o mało nie zabili - tego już, oczywiście, nie mówi na głos. Wie, że Róża przekazuje instrukcje najszybciej, jak można. Mówiła przecież, że mają ogon. Czyli: razem z dowódcą opuściła bazę. W Warszawie nie został już nikt. To oznacza kilka różnych możliwych scenariuszy na najbliższe dni.

- Co ty mamrociesz?

Marks zwolnił. Teraz, przytrzymując kierownicę kolanem, zapala lampkę pod sufitem i podwija sobie rękaw bluzy, by obejrzeć łokieć. Skóra na zgięciu ręki jest fioletowoczarna, spuchnięta. Kula nie zgruchotała kości, ale nadgryzła ją mocno. Cała jego prawica wygląda niewiele lepiej od złamanego ramienia Ezry. W rozczochranych włosach zaplątały mu się gałęzie i grudy błota, czoło ma rozcięte, krew z rozbitego na miazgę nosa zakrzepła nad górną wargą, tworząc wielki, ciemnobrązowy strup - coś na kształt makabrycznych wąsów. Ezra ma ochotę się roześmiać.

- Wyglądasz jak gównno.

- Ty gorzej. Mów mi, co się dzieje?!

- Pilnuj drogi. - Ezra wyjmując z ucha słuchawkę i chowa ją pod własnym tyłkiem. Patrzy na kierującego, który z wyraźną dezorientacją spogląda raz na drogę, a raz na niego.

Jednak polubił chłopaka...

- Myślę, że Arsen ewakuował bazę.

Marks milczy. Ezra prawie nigdy nie nazywał dowódcy po imieniu, nawet przybranym.

- Myślę, że dzisiaj skończymy.

- To dobrze. Im bliżej do wypłaty, tym lepiej. Sprawa zrobiła się pechowa...

Marks gasi podsufitową lampkę. Ezra, pochylony nad własnymi kolanami, patrzy w górę. Usiłuje odczytać z na wpół zaśniewanej tablicy nad jezdnią informację o czekającym ich zjeździe.

- Jeszcze sześć kilometrów - mówi, przecierając brudną twarz rękawem kurtki. Wciąż nie wyjmując słuchawki spod siedzenia i dlatego nie słyszy wywołującej go Róży, która z każdą chwilą robi się coraz bardziej wściekła.

- Ezra! Zasańcu, gnoju, odezwij się, matkojebco!

* *
*

Arsen, słuchając jej krzyków dochodzących zza pleców, gryzie resztkę cygara. Gniece jednocześnie pedał gazu transportera i skórzane obicie kierownicy. Nic nie mówi. Stygnie.

Czuje się w tej chwili jak wtedy, gdy wyskoczył na ćwiczeniach z uszkodzonym spadochronem. Lot w dół, plecak się nie otwiera, śmierć leci na spotkanie i nagle - cud! Spadochron jednak wyskoczył. Cud albo przypadek, który tym razem uratował jego i Różę, zdarzył się dwadzieścia minut temu.

Pościg musiał przykleić się do nich jeszcze na Pradze. Nie starali się, skurwiele, być dyskretni. Nie kazano im śledzić, tylko łapać. Przy zjeździe z mostu Gdańskiego widać już było, że ich doganiają. Przy Cytadeli o mało nie zastawiono im drogi - umknęli dzięki dosłownie kilku sekundom przewagi. Przed Laskiem Bielańskim wbili się w korek - i oni, i ścigający ich gliniarze. Zaczęło się lawirowanie. Dla Arsena, który ćwiczył ucieczki w korkach dwudziestomilionowych miast, pestka. Dla warszawskich głupków usiłujących go dogonić i otoczyć - trudna sztuka. Ale po pierwsze, było ich coraz więcej, a po drugie - w końcu musieli gdzieś zamknąć ulicę, bo auta wokoło stanęły i trzeba było przeskakiwać na przeciwległe pasy.

W tym momencie Arsen zaczął się pocić i martwić nie na żarty. Po śmiertelnie ryzykownym manewrze uciekli z zatraskującej się pułapki pozornie nieprzejezdnym skrótem w stronę Marymonckiej. Pościg jednak nie został w tyle. Uciekający musieli rozbijać śniegi, goniący skorzystali z gotowego przejazdu. Gdy dzieliło ich już nie więcej niż czterdzieści metrów, Arsen był pewien, że za chwilę dostaną po oponach i zrobi się tragicznie. Porzucenie sprzętu zgromadzonego w aucie i ucieczka pieszo nie wchodziły w grę - nie byłoby już wtedy dokąd uciekać. Co pozostaje?

Jak to się mówi patetycznie: zginąć z bronią w ręce.

I właśnie wtedy, tuż po wirażu w Marymoncką, szczęście się do nich uśmiechnęło. Na dwupasmówce zobaczyli wyprzedzającego ich transportera, identyczny model, zbliżony rocznik, kolor szary, a w każdym razie tak wyglądający w świetle ulicznych latarni. Nie miał co prawda - jak oni - rur na przedzie, ale za to z tyłu - identyczny czarny zderzak.

Arsen zareagował błyskawicznie - tuż za przystankiem tramwajowym przeciął dwie zasy odgradzające chodnik i torowisko. Wjeżdżał właśnie z głośnym chrobotem w gęste krzaki, gdy zza zakrętu wypadły pierwsze wozy wyjące syrenami sfory. Wyglądali jak na jakimś jebanym filmie z Hollywood. Chwilę później - wiele razy dostrzegając, że jak już fart

sprzyja, to na całego - oddzielił ich od siebie hamujący tramwaj. Wcześniej Arsen nawet go nie zauważył.

Policyjna hałastrą w kłębach śniegu popędziła za znikającym furgonem. Tramwaj najpierw dzwonił, potem hamował, wreszcie stanął kawałek przed przystankiem, a wąsaty motorniczy w samej koszuli i włóczkowej kamizeli wyskoczył na śnieg. Próbował nawet podbiec do ich samochodu. Myślał pewnie, biedaczysko, że wpadli w poślizg i wyrzuciło ich aż za tory. Nie zdążył pomóc - z rozdziawioną gębą patrzył, jak szary volkswagen najpierw wyjeżdża z krzaków, potem przecina torowisko, podskakując i krzesząc podwoziem iskry, by wreszcie rozwalić tyłem zaspę i wrócić na jezdnię, zajeżdżając drogę dziecinnie wyglądającej szatynce w małym opłu. Babka skończyła na barierce rozdzielającej pasy Marymonckiej. Ludzie w tramwaju przez chwilę nie wiedzieli, w którą stronę odwracać głowy.

Arsen przejechał kilkadziesiąt metrów po śladach pogoni i skręcił w lewo. Dalej jechali bocznymi ulicami - Lindego, potem Wólczyńską i Estrady. Zrobili duże koło, lecz uniknęli i dalszych przygód, i kamer. On zaczął stygnąć.

Ona zaczęła się denerwować.

Gdy podskakiwali na torowisku, główny serwer w transporterze się zawiesił. Przez chwilę wyglądało nawet na to, że stracili zasilanie, lecz ostatecznie wszystko poustawiała na nowo. Teraz, gdy nieco opanowali własną sytuację, Róża widzi, że cholerny pociąg jakoś długo stoi nie tam, gdzie trzeba, a tymczasem ten szmondak Ezra, nie dość, że samowolnie przejął jedyny mikrotelefon, to jeszcze się rozłączył.

- Tu coś nie pasuje. - Przechodzi do kabiny furgonu i pokazuje Arsenowi przenośny ekran, który ten obrzuca krótkim spojrzeniem.

- Co...?

- Dlaczego stanęli akurat tam? To nie jest stacja ujęta w rozkładzie. To wieś. W dodatku blisko dziewiętnastki.

- Żurnalisty... Jak blisko?

- Teraz trzy-cztery kilometry, nie więcej.

- Oni się umówili.

- Może... Ale nie wysiadła z pociągu. On się też nie rusza. Poczekaj... SMS-a jej wysłał. Ładną chwilę temu... nie zauważyłam. Odpisała mu.

- Przeczytasz?

- Nie. - Jej gest w stronę pospiesznie upakowanego w volkswagenie sprzętu jest jasny. To, co było możliwe w bazie, tutaj już nie jest.

- Najpierw rozmawiali.
- Sam słyszałeś.
- Taaa... Potem zaczęli pisać. On napisał pierwszy czy ona?
- On.
- Spryciarz jest. Żurnalista. Wiedziałem. I nie zbliżają się?
- Do siebie nawzajem? Ani trochę.
- Jak długo ten pociąg tam stoi?
- Za długo.
- Cofnij tam naszych! Natychmiast!
- Ezra, Ezra... ty słyszysz mnie do cholery, czy nie słyszysz?! Ezra! Zasańcu, gnoju, odezwij się, matkojebco!!

Żadnej odpowiedzi. Dopiero po kilku minutach głos Ezry pojawia się wśród trzasków.

-...prawie na miejscu. Zjechaliśmy z autostrady. Do stacji dwa i pół kilometra.

- Zmiana kierunku! - Róża mówi głośniejszym głosem, niż trzeba. - Powrót natychmiastowy, najpierw na Ciechocinek, potem w prawo. Wzdłuż torów kolejowych na południe. Stacja Lu-ba-nie!! Piętnaście kilometrów.

Ezra już nawet nie przeklina. Ile razy jeszcze będą zawracać, skręcać, zmieniać plany? Tyle razy, ile im każą.

Marks hamuje na wąskiej drodze.

* *
* *

Dowódca grupy interwencyjnej Straży Ochrony Kolei, stutrzydziestokilowy funkcjonariusz komendy regionalnej w Bydgoszczy Roman Świt, rozpoczął wieczór służby od zjedzenia kebaba. Kupił go na pełnej lumpeksów i lichwiarzy ulicy Dworcowej za jedyne osiem złotych i pięćdziesiąt groszy. Zawierał niewiele mięsa - składał się głównie z bułki, kapusty i najtańszego sosu czosnkowego marki Tesco - ale był taki wielki, że chociaż Roman pożerał go - jak zwykle - łapczywie, miał w ręce jeszcze ponad połowę, gdy z zatłuszczonej brodą przekraczał próg posterunku. I musiał tę niedojedzoną połówkę schować w szafce - owiniętą we wczorajszy „Express Bydgoski” - ponieważ od razu się zaczęło. Godzinę wcześniej grupa jakichś popapranych niemieckich filmowców, którym zachciało się, chyba z głupoty, podróżować pociągiem, zgłosiła kradzież czegoś, co, jak zrozumiał Świt, jest typem komputera do kamery czy coś w ten deseń. Wartość mienia - przeszło pięć tysięcy euro. Przy okazji bandziory dali jednemu filmowcowi w ryja, więc do kradzieży doszedł też i rozbój. Ale i tak, co rozumiałe, nic by się ze zgłoszeniem nie działo od razu, gdyby nie to, że jeden z tych szwabskich palantów miał prywatny telefon do kogoś, kto zaraz wydzwonił

komendanta regionalnego SOK. I szef postawił na nogi wszystkich na kilku trasach. Jeszcze wtedy złodzieje - podobno - siedzieli w składzie do Szczecina. Tyle że wiadomo, jak te chujki działają, kiedy trafi im się coś grubszego. Pierwsza stacja - i przesiadka. Najlepiej w odwrotną stronę. Dlatego zrobiło się piekło na wszystkich posterunkach od Inowrocławia po Elbląg. I dlatego Roman Świt nie zdołał dokończyć posiłku. Trzeba było sprawdzić przynajmniej dwanaście jednostek, szynobusów nie licząc.

Świt zabrał ze sobą przodownika z Rekinem, ich psem służbowym, na wyposażeniu. Pojechali najpierw jednostką do Torunia, a potem składem do Włocławka, wreszcie - by się wykazać - aż do Kutna. Zaliczyli po drodze kilka interwencji, wiadomo - służba nie druźba. Ale tamtych, o których chodziło, nie spotkali, chociaż o szóstej wieczór dostali z Bydgoszczy rysopisy.

O ósmej mogli mieć pewność, że już nic się nie zdarzy. W Kutnie - w odnowionej dyżurce - zrobili połówkę żołądkowej miętowej na czterech. Młode szczawiki z dawnego rejonu Konin postawiły. Też ich za czymś pognali daleko. Potem trochę pokręcili się po peronach, pies się wysrał, przed dziewiątą wsiedli do składu na Piłę. Kierownik pociągu otworzył im przedział, spróbowali zasnąć.

Obudziło ich nagle hamowanie. Bez dwóch zdań - awaryjne.

Przodownik - dwadzieścia dwa lata chłopak - od razu chciał startować, ustalić, co się dzieje. Ale Roman Świt nie taki nagle wyrwywny. Raz, że wypili, dwa - że na razie nie ich sprawa. Może któryś z drużyny miał powód, żeby stanąć?

Ruszyli dopiero po tym, gdy kierownik - bardzo zaaferowany - włożył głowę do ich przedziału. Może poczuł, że śmierdzi wódką, a może gęba mu się sama tak krzywi, w każdym razie zamrugał oczami i wyjaśnił:

- Ktoś nam, w dupę, hamulec zakręcił!

Dowódca grupy i przodownik naciągnęli grube kurtki z kamizelkami, poprawili pasy z bronią, wzięli na krótką smycz psa - i ruszyli. Przeszli kilka wagonów, przeciskając się między podróżnymi, co szczególnie dla Romana nie było łatwe - jego potężny korpus ledwo mieścił się w drzwiach z przedziału na korytarz.

Przy lokomotywie wyskoczyli na zewnątrz, w ciemność. Pies od razu zaczął sikać, a potem nastroszył futro i niespokojnie pociągnął ich wzdłuż wagonów, w stronę niewidocznej stacji. Brnąc w głębokim śniegu, Świt usiłował włączyć latarkę, ale chyba się popsowała. Albo siadła bateria... W każdym razie omal nie wpadł na kierownika o krzywej mordzie, który w oblepionych śniegiem spodniach i niskich półbutach biegł pochylony, sprawdzając, czy pod osiami ktoś aby nie leży. Nikt nie leżał - przynajmniej do tego miejsca.

Na śniegu było dobrze widać - nawet i bez latarki. Pogadali chwilę z kolejarem, powiedział im, gdzie właściwie są i że pociąg szybko nie ruszy. Pies ciągle szarpał smycz, jakby chciał im coś pokazać. Więc poszli za psem.

Szli pod wiatr. Śnieg walił prosto w oczy, ciężkie buty zapadały się w zaspach, a w wagonie, który akurat mijali, otworzyły się jednocześnie dwa okna i jacyś ludzie - ciekawscy, jak zwykle w takich wypadkach - zaczęli się gapić z góry na idących. Jakby patrolu w życiu nie widzieli.

Pies wciąż niespokojny warczał i węszył. Przy ostatnim wagonie znaleźli ślady. Jedna osoba. Wskoczyła, musiała się przewrócić, sądząc po odciskach w zaspie, potem poszła w odwrotną stronę niż pociąg. W kierunku peronu. Ruszyli tam.

Byli prawie przy stacji, kiedy przodownik - on pierwszy - zauważył tych dwóch. Jeden wysoki, kudłaty, trochę przygarbiony, drugi niski. Biegli w ciemności, w stronę pociągu, po przeciwnej stronie nasypu i torów. Pies się najeżył na ich widok, ale - o dziwo - nie zaszczekał. Jakby coś go wystraszyło. Roman, schylony, dał przodownikowi znać, by też spuścił łeb. Biegący chyba ich nie dostrzegli. Albo zlekceważyli. Zniknęli w śniegu i mroku.

- Co za padalce? To ci nasi? - młody wyszczał pytanie Świtowi do ucha, a ten zastanowił się chwilę, czy nie należałoby ściągnąć już Rekinowi kagańca, lecz zdecydował, by zrobić to - ewentualnie - później. Szansa, że to będą akurat te chujki, co okradły Niemców, wydała mu się minimalna. Wyglądało raczej na to, że jakiś śmieć zatrzymał pociąg i wyskoczył. A te dwa ziomale, pewnie czekające tu na skład elektryczny, skorzystały z okazji, by wsiąść szybciej do pospiesznego.

Trzeba jednak za chujkami pójść. Choć Rekin chce ich ciągnąć dalej w stronę stacji, sokiści wracają do pociągu. Młody przodownik już się wskrobał na stopnie ostatniego wagonu, drzwi są otwarte, a wcześniej nie były. Czyli ci dwaj wleźli tędy. Rekin - hyc! - i też w środku.

- Dawaj mnie do góry! - Dowódca grupy musi wyteńczyć wszystkie siły, by wciągnąć swoje wielkie ciało na niższy ze stalowych, zaladzonych schodków. Młody chwytą go za ramię i szyję, ciągnie z całych sił. Romanowi czapka zsuwa się na oczy, koszula wyłazi z kalesonów, a pałka-baton cisnie w bok aż pod pachą.

- Dawaj, stary, dawaj...

„Stary”? Chętnie by gówniarza zjebał jak ostatniego śmiecia, ale kiedy smarkacz go puści, zaraz wypierdoli się na plecy.

- Dawaj jeszcze!

- Żeeeezz ty... - Łokieć Romana w końcu opiera się na kłamce i teraz jest łatwiej.

Sapie, prycha, ale wlaź. - Gdzie poszli?

- W tamtą... - Młody pokazuje palcem śnieżne ślady na brunatnej podłodze. W myślach dodaje: „A dokąd, kurwa, mieli pójść z ostatniego wagonu, ty stary debilu?”.

Świt podchodzi do leciwej kobiety, jednej z kilku osób, które wyległy z przedziałów na korytarz. Babcia w śmiesznym kapelusiku z piórkiem pokazuje kierunek i potrząsa przy tym głową jak klacz.

- Taa-aam biece-egli. - Głos też jej się trzęsie. - Jeee-ee-den był bez ręki. Kaaa-aleka. Druu-ugi też dziwny. Beee noo-osa i cały weee-krwi.

- Już ja, chujka, jednego i drugiego kaleką dopiero zrobię! - Dowódca poprawia pałę przy pasie i rusza zbyt ciasnym korytarzem. Przodownik i pies - za nim. Któryś z pasażerów pyta: „Panowie, dlaczego stoimy?”, ale Roman Świt nie jest od tego, żeby rozmawiać z pasażerami. Poza tym jest wkurwiony.

Ezra i Marks przeczesują przedziały czterdzieści metrów przed nim.

* *
*

W pędzącym pustą, podrzędną drogą volkswagenie transporterze pochylona nad testerem Róża zestraja sygnały telefonów Ezry i dziewczyny - siedemnastki - w maksymalnym powiększeniu.

- Oddalacie się! Zawracaj!

- Niemożliwe... - Głos Ezry w pociągu miesza się z jakimś łomotaniem w tle. - Sprawdziliśmy wszystko!

- Czyli ona albo jest pod wagonem, albo...

-...zostawiła telefon i jej tu nie ma!

- Wsiadajcie! Przejmiecie najpierw dziewiętnastego. Ona z nim będzie.

Róża nawet nie pyta o zdanie pochylonego nad kierownicą Arsena. Najważniejszą decyzję podjęła. A chłopaki? Niech robią swoje do końca, trzeba im dać zajęcie. To, że siedemnastka zostawiła komórkę w pociągu i uciekła, jest oczywiste. Odebrała instrukcje SMS-em od tamtego... Jak go Arsen określił? Żurnalista-spryciarz? Jeszcze się może okazać sprytniejszy od niego. Na razie wszystko na to wskazuje.

- Trzy kilometry pięćset metrów. Północny wschód. Możecie zobaczyć drogowskaz na Anin albo Probstwo Dolne. Mam bardzo wyraźny sygnał! Dostaniecie współrzędne na telefon!

Ostatnie słowa brzmią trochę tak, jakby Róża chciała ich obu zapewnić: „Postarajcie się, chłopcy, to trzecia i ostatnia zmiana planu, teraz już was nie posyłamy na darmo”.

Namiary GPS od razu wysyła zwyczajnym SMS-em na wypadek, gdyby się mieli

więcej nie usłyszeć.

22.

Maja czuje, że przenikający całe ciało bolesny chłód zmienia się w tępy nacisk na serce i płuca. Chce jej się spać i wymiotować jednocześnie. Zbliża się coś złego. Nie ma ubrania, nie ma telefonu, przed chwilą uświadomiła sobie, że gdzieś zostawiła torebkę. W Warszawie, na dworcu, jeszcze ją miała. Została w ubikacji pociągu? W przedziale u staruszek? Pasek się urwał, gdy skakała z wagonu? Wrócić po nią? Przeszło kilometr przez zasy? A po co? Po dokumenty i pieniądze? Jakie one teraz mają znaczenie? Żadne.

Budynek stacji - ulokowany w zagłębieniu gruntu, mocno poniżej torów - przypomina zdewastowany kurnik i wygląda na wymarły. Wiatr nawiał tu więcej śniegu niż gdzie indziej. Wokół wystających ponad gładką biel resztek brudnych, zniszczonych murów sterczą kościste gałęzie ściętych mrozem drzew. Żadnych podróźnych, żadnych śladów życia - ciemne okna bez szyb zasłonięte zardzewiałymi, ciężkimi kratami. Dwie latarnie na peronie dają blask tak nikły, że Maja musi blisko podejść, by odczytać wyblakły i zatarty w trzech czwartych napis - nic dziwnego, że nie przeczytała tego z okna pociągu.

Jednak Lubanie.

Co Pruski napisał? „Poczekalnia”? Chyba tu nigdy nie był.

Skulona i zboląa, podpierając się dłońmi, z trudem obchodzi budynek w śniegu sięgającym do pól uda. Po nieoświetlonej stronie „dworca” trafia na drzwi. Zatrzaśnięte bardzo, bardzo dawno temu. Zardzewiała tabliczka z treścią już nie do odczytania. Drugie, większe wejście odgrrodzone wysokim płotem. Furtka w płocie zamknięta. Gruby łańcuch i kłódka. Ktoś tu mieszka? Maja przesuwa się wzdłuż siatki ogrodzenia. Śladów ludzkiej obecności - brak.

Wiatr przechodzi jej ciało na wylot. Dreszcze. Będę chora. Jestem chora.

Jeszcze mniejszy budynek - duża betonowa psia buda czy coś podobnego - wylania się z mroku. Jest niskie wejście, właściwie właz. To jest ta poczekalnia? Raczej przedpotopowy wychodek.

A może trzymają tu torturowane czarownice? I karmią purpurowymi grzybami, które ruszają się na talerzach?

O czym ty, kurka wodna, myślisz?

To gorączka.

W środku ciemnej nory smród ludzkich odchodów i czegoś kojarzącego się z ziemią,

zwierzęcnością.

Na pewno mam wysoką temperaturę.

Przynajmniej tutaj nie wieje.

Ziemia pode mną kręci się nie w tę stronę co trzeba.

Gorączka.

Wyciąga w mroku zgrabiące dłonie, maca mur, nie czuje zimna ani ostrej faktury, tylko kłujący ból. Odwraca się i kuca w kącie, obejmując ramionami kolana. Czuje wilgoć w spodniach. Zsikałam się? Mam już dosyć...

Ściana, której dotyka plecami, jest krzywa i lekko się kołysze. Maja słyszy szczęknięcie własnych zębów, świst wiatru, brzydki szmer w oskrzelach, który powoli cichnie czy może raczej się oddala. Widzi kolejno: Pawła karmiącego koty, swoją mamę na plaży w Villefranche-sur-Mer, siebie samą - jeszcze nastolatkę - na konnych zawodach w Sopocie, policjantkę z przestrzeloną twarzą. Ranna biegnie po jakimś wysokim rusztowaniu, Maja za nią, z małą, zdeformowaną dziewczynką na ręku. Dziecko jest chore, zżerane od środka przez węzowatego potwora, który przekształca ludzkie ciała w ptasie. Dziewczynka już ma głowę papugi. Wszystko dzieje się chyba w Londynie, bo ktoś krzyczy za Mają i za policjantką po angielsku z australijskim akcentem, który ona dobrze zna. Coś obie wcześniej ukradły bardzo złym ludziom. Tego ptasiego potworka? Nie... ukradły dokumenty. Ukradły i spaliły, ale Maja nie potrafi opowiedzieć goniącym, że już nie mają po co za nią biec. Że wszystko spłonęło, a ona zapomniała treści.

Budzi się i otwiera oczy.

Trzeba wstać, trzeba się ruszać.

Nos ma zapchany, stopy i dłonie - bez czucia. Ale umysł - już jaśniejszy.

Ile czasu minęło?

Na zegarku za pięć dziesiąta.

Wychodzi z mrocznej nory. Padający śnieg jest trochę rzadszy niż wcześniej, płatki mniejsze. Już nie przypominają strzępków waty, raczej posklejane igielki. Jeszcze niedawno ciemna okolica stacji wydaje jej się teraz rozświetlona. Najwyżej sto metrów dalej stoją domy - dostrzega światła w oknach. Widzi też stojący nieopodal samochód z porozbijanymi lampami, zmasakrowaną karoserią i nartami na dachu.

Nareszcie!

Potykać się, podbiega na tyle szybko, na ile pozwala jej kopny śnieg. W samochodzie - nikogo.

Nie! Ktoś jednak siedzi skulony na tylnej kanapie.

- Robert?! Pan Robert?

Gdy Maja otwiera drzwi, wewnątrz zapala się światło. Widać elegancką, skórzaną tapicerkę ze smugami zaschniętego błota, smaru albo krwi. W głębi, na tylnym siedzeniu leży, a właściwie stoi, ogromny pomarańczowo-złoty tygrys z kokardą.

- Jestem! Jestem!!

Majka odsuwa się od drzwi i odwraca. Nie widzi Pruskiego. Widzi ślady na śniegu. Poszedł po nią do pociągu?! Chce zawołać, lecz z jej gardła wydobywa się tylko zdławione popiskiwanie, które przechodzi w suchy kaszel.

- Gdzie pan jest? - mówi cicho do siebie ze łzami w oczach. - Gdzie...?

W pierwszej chwili chce brnąć przez głęboki śnieg do któregoś z domów. Ale nie ma już sił. Wpełza do wnętrza samochodu, kuli się tam i układa na sobie pluszowego tygrysa jak przykrycie.

* *
* *

Wiadomość o co najmniej dwóch strzelaninach w okolicach miasta Włocławek najpierw znajduje się, w formie niechlujnie spisanej notki, na stronach internetowego serwisu specjalizującego się w relacjonowaniu wypadków drogowych i napadów, zaś chwilę później i całkiem niezależnie trafia w postaci równie chaotycznego meldunku na ekran laptopa Józefa Drwęckiego oraz kilku innych osób.

Pułkownik dopiero co skończył burzliwą wymianę zdań z Arturem Berdyszakiem, najbardziej zaufanym kontaktem w policji. Dowiedział się o dopędzeniu niewłaściwej furgonetki na Marymonckiej. Teraz czyta o innej policyjnej porażce. Szuka w pospiesznie i dość bezładnie sformułowanych zdaniach czegokolwiek o czarnej półterenówce audi. Nic nie ma. Albo lokalne włocławskie ciotki pomyliły dane, albo uciekający z Wału Miedzeszyńskiego - ostatni raz widziani na Cyklamenów - zmienili po drodze wóz. Raczej to drugie. Czas przejazdu Warszawa - Włocławek z grubsza się zgadza.

Drwęcki, wyjadając z pięciokątneho papierowego pudełka makaron sojowy z kurczakiem i sosem majonezowym, otwiera kolejny, już lepiej sformułowany raport. Poprzez policyjny żargon przebija autentyczne przerażenie. Ścigany samochód marki volvo, wersja - a jakże! - terenowa. Uciekinierów dwóch, jeden bardzo młody, prawdopodobnie obaj ranni, ten młodszy w twarz, dość poważnie. Starszy - brak szczegółów. Rysopisy w trakcie sporządzania. Zostawili za sobą przynajmniej trzy ofiary. Dwaj zdekapitowani w radiowozie, jeden wcześniej zastrzelony - chyba ze strzelby. Do tego porwana dziewczynka i ranny cywil. Jeszcze ta policjantka, zupełnie młoda, z drogówki... Po prostu... jatka.

Skurwysyny! Skąd oni, w mordę jebani, się wzięli?! Z kartelu z Medellin?

Najpierw zgubiliśmy volkswagena, teraz ci się wymykają. Rozbili volvo, ukradli cywilny wóz przypadkowym świadkom, uciekli na północ i rozplynęli się niedaleko fabryki nawozów. Gdzieś w lesie między krajową jedynką i autostradą.

Trzeba przyznać, że po alarmie wszczętym przez ranioną policjantkę miejscowi gliniarze wzięli się do roboty. Zdążyli postawić blokadę, odzyskali porwane dziecko. Teraz pracują jak jeszcze nigdy! Wyjazdy autostradowe pozamykane, próbowali nawet podnieść helikoptery, ale okazało się, że w taką pogodę nie polecą. Rozhulało się cholerne zimowe tsunami.

Jedno wydaje się pewne. I my, i tamci - kimkolwiek są - zmierzamy do tego samego miejsca. Lokalizacja dziennikarza na Wiśle - początkowo wyglądająca na absurdalną - okazała się prawidłowa. Tyle że facet nie znajduje się „na”, ale „tuż przy” rzece. To jakieś bezludzie: Anin, Probstwo Dolne...

Makaron zjedzony, na dnie pudełka zostały tylko kawałki kurczaka i śliskie warzywne fusy. Pułkownik przeciera usta papierową serwetką z nadrukiem „Chińska Patelnia”, potem długo miętoli ją w palcach.

Arnold miał dobrą intuicję, wysyłając zawczasu do Torunia mocną grupę. Teraz ci ludzie będą bezcenni. Powiatowe gliny niech sobie zaciskają swoje sieci, dosyć ich tam poginęło przez ostatnią godzinę. Rybki, o które chodzi, wyłowią najlepsi wędkarze. Za godzinę będą na typowanym terenie. Po północy pójdziemy wszyscy na dużą wódkę, opić zakończoną robotę.

Pułkownik zwija serwetkę w kulkę i rzuca do śmietnika. Odległość - cztery metry, trafienie - idealne. Laptop popiskuje, absorbując kolejne informacje przesiane wcześniej przez dwójkę najbardziej zaufanych ludzi. Komunikaty o Szalawskiej zostały zdjęte. Na pogorzelsku w Wawrze kilka ciekawych śladów. Resztki instalacji świadczą o tym, że mieli tam bardzo energochłonne urządzenia i jakąś potworną antenę. Dopisek pod wiadomością: „To mi wygląda na centrum podsłuchowe - Artur”.

Następna informacja: znaleźli wreszcie to audi. I nieboszczyka z arsenałem przy sobie. Bomby tylko mu brakowało atomowej. Dzwoni jedna z czterech komórek na biurku. Najrzadziej używana. Zewnętrzna ekipa melduje, że Drehner jest już pod opieką.

Drugi telefon. Helena.

- Pojawił się tu u mnie niejaki Naumann, z Komendy Głównej, chce pomóc, mówi, że oni nie wszystko nam dają przez Artura.

- Jak mam to rozumieć?

- Znaleźli świeże ślady.

- Tych z Marymonckiej?
- Nie... tamtych z Włocławka.
- Przeczytałem przed chwilą, że mieli wypadek. Jeden nie przeżył. Zostawili go...
- Wiem, wiem. Czytałam, co on tam miał przy sobie. Słuchaj: byli na autostradzie, uciekli tylnym wyjściem. A oni ich teraz na własną rękę gonią...
- Jacy oni?!
- Wszystkie miejscowe gliny. Kolegów im, rozumiesz, pozabijali. Mają to za punkt honoru. Żeby ich dorwać. Mogą narobić bigosu... Nie możemy dopuścić do nowej rzeźni. Nie możemy stracić dziewczyny, Józef! Nie możemy... Ten cały Naumann od Szalawskiego...
- Wiem. Był tu u mnie typek z kancelarii wiesz kogo. Zostawił pomocnika. Cały czas czeka w sekretariacie, co dziesięć minut włazi. Nie martwimy się tym. Grupa już jedzie nad Wisłę, to jest najważniejsze!

* *
* *

Gdyby Robert, zgodnie ze wskazówkami Kaliny, pojechał prosto na stację Lubanie, nie byłoby nowego kłopotu, ale on postanowił być podwójnie ostrożny i dostał nauczkę.

Skracając drogę do stacji, nadział się na rząd niskich, ale gęstych krzaków o grubych pniach. Wcisnął hamulec, lecz było już za późno. Przednie koła wpadły w coś bardzo głęboko. Teraz auto wisi na stalowym brzuszyku, odsłaniając wysoko uniesiony tył.

Trzeba coś podłożyć pod zapadnięty przód. Zagląda do wnętrza odsłoniętego bagażnika. Wielki jak basen. I pełen śniegu. Wskakuje do środka paki. Grabiejącymi dłońmi rozgarnia śnieg. Zapasowe koło, jakieś szmaty, skamieniały od lodu, szary brezent z dziurami, poniżej - gruba, zwinięta w rulon gumowa plandeka i kupa desek z pozaginаныmi, rdzawymi gwoździami.

Wywala je za burtę bagażnika. Cztery dechy na prawy bok, cztery na lewy. Guma też się przyda - podnosi ją z najwyższym trudem i spycha po burcie. Jeszcze ten brezent...

Z dłoni płynie krew - głęboko weszła wielka drzazga, śnieg pod spodniami rozpuszcza się i ziębi... Ale cały znaleziony w samochodzie majdan tkwi już wciśnięty na tyle, na ile się dało, pod obie przednie opony. Leżąc na plecach, w śniegu, Robert dobija piętą ostatnią deskę, starając się, by gwoździe sterczały w dół. Siada za kierownicą, rusza powoli, ze sprzęgła, z wyczuciem... lekko... poślizg... prawe koło coś ma, lewe się kręci, chrupnięcie - nie słyszy, ale czuje, jak pękają podłożone deski - teraz albo nigdy - gaz do dechy!

Szarpięcie, podskok, hamuj... wolno hamuj... już dobrze. Teraz trzeba zawracać.

Przez chwilę szuka jakiegokolwiek przejazdu przez krzewy. Jest prześwit. Wjeżdża i dodaje gazu. W rzednącym śniegu widzi odległe elektryczne światło. Na białej płaszczyźnie

przed maską pojawiają się pierwsze ślady opon - śnieg wokoło jest świeżo rozorany, jakby ktoś inny się tu niedawno zakopał, tyle że jadąc w odwrotną stronę. Licznik pod kierownicą pokazuje cztery i pół mili. To by było osiem kilometrów. Mija coś, co zapewne jest wspominaną przez Kalinę wiejską świetlicą, elewator chyba przegapił, ale to będzie Lubanie, bo po obu stronach drogi coraz gęściej wyrastają kwadratowe domy z płaskimi dachami i podświetlonymi łukami wejść. W oknach - ciemno. Tu się wcześniej chodzi spać.

Pierwsza latarnia i znak zbliżającego się przejazdu kolejowego. Złachany sztuczny Mikołaj z workiem przyklejony do ściany jednego z domów. Żadnych ludzi na drodze. Jakies sto metrów z przodu - widoczność znacznie się poprawiła - dwa czerwone światła. Tam biegą tory. No... to już wiesz, chłopie, gdzie jesteś! Dworzec będzie za skrzętem.

Robert wybrał Lubanie na miejsce spotkania, ponieważ był już tutaj prawie dwadzieścia lat temu. Tyle że wtedy przyjechał nie od strony Wisły, lecz od szosy numer jeden - z Torunia. Miał wówczas osiemnastoletniego białego volkswagena golfa i świeży etat w swojej pierwszej, a może już drugiej redakcji. Robił materiał o niejakim Marianie Wróblu, facecie, który postanowił pozbyć się psa swojego ojca, bo - jak mówił sąsiadce, z którą się pieprzył - wkurwiali go obaj: i ojciec, i pies. Marian napił się feralnego wieczora tego, zresztą - jak się potem okazało - pił bez przerwy od wielu dni i zaniedbywał sąsiadkę. Napity, w środku nocy przywiązał Fagota - tak było psu na imię - do dwóch końców podkładu kolejowego na torach Włocławek - Toruń. Związał go tak perfidnie, żeby przejeżdżający pociąg odciął zwierzęciu lewą przednią i prawą tylną łapę, kalecząc i jednocześnie uwalniając nieszczęśnika z pęt. Pewnie zawiązując supły, przyszły bohater reportażu cieszył się już na moment, gdy dwunogi Fagot przywlecze się, brocząc krwią, do nóg ojca. Ucieszony i pijany - poszedł spać.

Noc minęła, pies się nie przywłókł. Skacowany Marian ruszył na tory, zobaczyć, co z psiaka zostało. W świetle dnia musiał od razu zauważyć pomyłkę. Pies żył. Po pijaku Wróbel przywiązał Fagota do niewłaściwego torowiska. Zamiast na głównej linii przelotowej, pies leżał rozciągnięty cztery metry dalej. Na jedynej w Lubaniu boczniczy.

Nikt się już nigdy nie dowiedział, czy Marian postanowił w tym momencie psa uwolnić, czy przeciwnie - przywiązać go tam, gdzie planował od początku. W każdym razie szedł w stronę zwierzaka po głównym torze i mocno musiało mu się we łbie kręcić, skoro nie usłyszał sygnału lokomotywy - a maszynista zaklinał się w późniejszej rozmowie z Robertem, że syrenę włączył. Rozpędzony pociąg ekspresowy „Kujawiak” z Bydgoszczy - wtedy po tej trasie jeździły jeszcze ekspresy - przejechał obywatela Wróbla w taki sposób, że odciął mu jedną rękę i jedną stopę. Przejechany zmarł z upływu krwi w szpitalu w Aleksandrowie

Kujawskim.

Przeszło dwadzieścia lat temu, na koniec wizyty w Lubaniu, młody reporter Pruski sfotografował dworzec, poczekalnię i toalety. Zdjęcia posłużyły za ilustrację dużego tekstu pod tytułem *Tylko Fagot wie, jak z Wróblem było*. Teraz Robert ledwo poznaje stację. Dawny dworzec - w połowie zasypany śniegiem - zmienił się w kupę gruzów. Poczekalni - dałby głowę, że stała obok - nie widać.

Gdzie może być Szalawska?

W świetle reflektorów pojawia się tył zaparkowanej w śniegu mazdy - z nartami na dachu, rozbitym bokiem i zmasakrowanym zderzakiem. W środku półmrok i jakiś kształt. Człowiek?

Podjeżdża blisko, wychodzi z dodge'a w głęboki puch.

- Maja! Pani Maja?! Jest pani tu?!

- Jestem. - Dziewczyna w maździe stuka w szybę od środka. Wygląda, jakby bezskutecznie mocowała się z klamką od drzwi. Robert odsuwa je jednym szarpnięciem. W kabinie samochodu zapala się światło.

Twarz, którą widzi przed sobą, słabo przypomina osobę oglądaną godzinę temu na zdjęciu w komórce. Włosy sklezione w grube strąki, pobrudzone czoło, mokre policzki, popękane wargi... Tylko ta dzika jasność szklistych oczu się zgadza. Podaje rękę i wyciąga ją z samochodu - zziębniętą, drżącą i zapłakaną.

- Nie ma pani nic ciepłego do ubrania?

- Nie mam.

Dwoma ruchami rozpina i zdejmuje z siebie puchową kurtkę.

- Proszę.

Wsiadają oboje do dodge'a. Robert rusza z kopyta, nie czekając, aż Maja zamknie drzwi. Zatrząskują się same, gdy wóz nabiera prędkości, wzniecając wokół śnieżną chmurę. Teraz kolejno: powrót do przejazdu kolejowego, zakręt i dalej możliwie prosto do szosy jedyńki. Coś jednak nie gra. Auto jest dziwnie przechylone na prawy bok. Guma?

Cholerne deski?

- Przecież uważałem...

- Co pan mówi?

- Że mogliśmy złapać gumę.

- Mam pecha maksymalnego od początku tygodnia... egh, egh, egrh... - dziewczyna kaszle, gdy pokonują przejazd oznaczony ukośnym krzyżem. Migają czerwone lampy zakazu wjazdu. - Dokąd my...?

- Zabiorę panią do Torunia. To bardzo blisko, normalnie byłaby niecała godzina. Mam paru znajomych prawników i paru dziennikarzy. Lekarz też się pani przyda. Laryngolog, doktor Rudzik, całą dobę przyjeżdża... leczył mi dzieci. Policję na razie ominie, skoro tak pani chce...

Za torowiskiem trochę domów, zasypane małe rondo, czarny kościół z ostrą wieżą na tle nieba, potem już pole. Droga - już dotąd słabo rozpoznawalna - teraz gubi się całkiem pod pokrywą nawianego puchu. Wjeżdżają w niekończącą się zaspę. Dodge z przebitą oponą pracuje ciężko. Choć Robert ciśnie gaz i obroty idą w górę, prędkościomierz nie chce pokazać więcej niż pięć mil na godzinę. Szybciej jechać się nie da, tym bardziej że przechył zrobił się naprawdę wredny.

- Kurwa mać, przepraszam, trzemy podwoziem! - On unosi obie ręce, by grzmotnąć dłońmi o kierownicę, ona - mimo założonej kurtki - drży coraz mocniej i znowu zanosi się kaszlem.

- Nie dojedziemy?

- Dojedziemy, na pewno. Choćby gówna z nieba padały... - Robert patrzy, jak strzałka prędkościomierza opada niemal do zera. -...po prostu powleczeniemy się na flaku. Śnieg jest miękki. A jak będzie już asfalt, spróbuję założyć zapas. Niech się pani nie martwi. To nie pani jest pechowa. Pani jest genialna. Czytałem referat i aneks, ale dopiero dziś do mnie dotarło, że to po prostu jest prawda... Łeb urywa. Że to się pani połączyć udało...

- Czytałam wiele razy w necie relacje z takich zamachów. Pan też... no nie?

- Mhmmm...

- Gdy działa samotny szaleniec albo fanatyk, to go od razu rozpracowują. W ciągu doby. Tu było inaczej. Za dużo dobrej organizacji. I jeszcze ta egzekucja sprawcy. Pomyślałam, że może im chodzić o prawdziwe interesy, nie o głupie manifesty skinowskie. A jaki może być interes w likwidowaniu prawników? *Raport Pelikana* pan oglądał?

- Mówi mi Robert. Oglądałem. Tam też dziewczyna wpadła na trop spisku. I też była taka mądra i sprytna. Tylko że, o ile pamiętam, w wybuchu zginął jej znajomy nauczyciel, który się dowiedział, o co chodzi. A to już mnie bardzo martwi.

Mają się nie śmieje. Podciąga nogi na siedzeniu i obejmuje kolana ramionami. Wysoko zaciąga jego kurtkę. Przez chwilę milczy.

- Więc masz kopię tekstu od Pawła? - pyta wreszcie.

- Mam.

- Wiesz, co się dziś stało?

- Wiem.

- Ty pierwszy powiedziałeś Kopcińskiemu?

- Ja.

- I teraz on nie żyje, i Beata nie żyje...

- Kto?

- Moja koleżanka. Przyjaciółka... nieważne. Zastrzelili ją zamiast mnie.

- Maju droga... - Robert systematycznie dodaje gazu, silnik huczy, ale samochód - niemiłosiernie przechylony - już ledwo się toczy. Trudno ocenić w mroku, czy w ogóle są jeszcze na drodze, czy już zjechali w pola. - Jeśli chodzi o moje poczucie winy, to więcej kamieni dokładać nie musisz. Pomagam ci, jak potrafię. Co jeszcze mogę zrobić?

- Nic... Ja wiem. Nie mogłeś wcześniej skapować, kto to ukrywa.

- Nie mogłem. Początkowo nie wierzyłem. Przecież... to było, jest... zupełnie szalone...

- Ale już łapiesz teraz, że...

-...nie ma żadnego innego wytłumaczenia. Łapię.

Chrobot spod podłogi auta zamienia się w natarczywe łomotanie. Jakby coś się wkręciło w wał.

- Nie dojedziemy? - Maja wysuwa brodę spod puchówki.

- Dojedziemy! - on stara się być głośniejszy od hałasów. - Naprawdę myślisz, że gliny tamtych wspomagają?!

- Gliny albo politycy nad nimi! Jak inaczej wytłumaczyć, że tak szybko namierzili i Pawła, i mnie? Coś jeszcze potem ustaliłam...

- Co?!

- Pamiętasz to o firmach?

- Spółki z poprzestawianymi literkami! - Robert coraz mocniej przechyla się w stronę Majki, by mogli rozmawiać. Chwilami prawie krzyczy.

- Ta kancelaria w Sopocie, ta od spółek, ma... dwóch wspólników! Adwokatów. Spółki są zarejestrowane na jednego w ramach powiernictwa. Ten mecenas... wiesz, kto jest?!

- Kto?!

- Piękny Wiktor Cezar.

- Kto?!

- Wiktor Cezar! Nie czytasz plotek?!

- Nie! Kto to?!

- Narzeczony... eghr, egr, errrrh... córki prezydenta!

- Aaaa... już wiem, ten!! Taki lalusz.

- W marcu ślub! Egrrh, ergh, eeeghr... słuchaj mnie! - Maja też pochyla się w stronę Roberta. Z wysiłkiem przekrzykuje hałas spod maski, na jej małym nosie perli się pot. - Goście zaproszeni! Dyplomaci z całego świata. Wiem, bo mój papa ma zaproszenie!

- I ty to opowiedziałaś dzisiaj na policji?!

- Jak tylko zaczęłam, wyprowadzili mnie z przesłuchania! Poszliśmy do jakiegoś ważniaka! Czekaliśmy długo, oni gdzieś dzwonili, a potem chcieli mnie...

Reszty słów nie słyhać. Łomot spod podwozia przechodzi w lawinę dzikich trzasków. Na obrotomierzu ponad pięć tysięcy, motor już wyje, a samochód prawie stoi. Gdy Robert popuszcza gaz, silnik gaśnie. Wyskakuje na zewnątrz i od razu wpada w śnieg po kolana. W najbliższej okolicy naga pustka. U góry czarno, na dole białe. Za autem wryty na polu głęboki rów. Ich własny śniegowy kilwater.

Obchodziabinę, podpierając się rękoma. Po stronie Majki koła już wcale nie widać.

Powtórka z rozrywki... kurwa mać! Teraz już deski nie pomogą.

Klnąc, włazi znowu do wnętrza wielkiego bagażnika. Koło zapasowe przytroczone jest pasem ze stalową sprzączką. Zamarzniętą. Chwyta i szarpie się z nią, kilka razy kopie, usiłuje podważyć końcówkę palcami, wali czubkiem buta. Puściło. Koło jest ciężkie jak cholera, co najmniej dwadzieścia kilo. Przygląda mu się chwilę. Śruby dwudziestki. Albo większe. Najlepszy byłby klucz francuski. Stękając, dźwiga ciężar oburącz i wyrzuca na zewnątrz.

Gdzie tu może być klucz do śrub?! Paka samochodu tonie w skotłowanym śniegu i lodzie. Poza plandekami Adrian zostawił tu jeszcze parę przydatnych rzeczy: jest gruba, zwinięta w kłęb lina, lewarek starego typu, nawet łopata bez trzonka. Dobre i to. Ale klucz do kół?

Staje wyprostowany i rozgląda się wokół. Gdy spojrzeć w lewo, chyba na południe, pole nieco się wznosi. Daleko w ciemnościach coś błyszczy na granicy widoczności. To mogą być światła domu, samotna latarnia albo tylko złudzenie. Wraca do kabiny.

Pytające spojrzenie Majki.

- Jeszcze moment! - mówi niecierpliwie, przetrząsając okolice tylnej kanapy. Nie widać niczego, co mogłoby się okazać skrzynką z narzędziami. Jakies schowki w drzwiach? Nie ma. Pod siedzeniami? Nie ma. Poza kanapą? Też nic. Stare gazety, karton po mleku i plastikowa butelka pełna lodu.

- Fuck! Nie mam czym odkręcić koła.

- Mówiłam ci, że przynoszę pecha.

- Sam spierdoliłem sprawę. Spieszyłem się po ciebie. Zaryłem. Podkładałem dechy

i sam przebiłem oponę. Tam chyba jest dom. Widzisz?

- Gdzie?

- Tam, popatrz. Pójdę pożyczyć klucz do kół. Zostaniesz?

- Wolałabym iść z tobą.

- Śnieg jest do kolan.

- Wiem. Może nas poczęstują herbatą czy... ehg, eregh... czymkolwiek? Gardło mnie pali.

- Może...

Ruszają w bocznych podmuchach wiatru, najpierw powoli, potem - gdy światło robi się wyraźniejsze - prawie biegną. Czarnoszary, nieotynkowany budynek z suporeksowych bloczków stoi na podwyższeniu. Dwa okna, jedno całkiem ciemne, w drugim widać dziurawe zasłony - to zza nich sączy się światło. W połowie urwany płot, bezlistne drzewo owocowe, stos pokrzywionych, metalowych beczek pod boczną ścianą, głowa ogrodowego krasnala stercząca ze śniegu. Z tyłu podwórze obramowane ciemnymi budami w stanie zaawansowanej zapaści. Obludzone schody, zaśnieżone, zdeformowane buty przed drzwiami. Dwie pary. Żółta plama zamrożonego moczu, jakby ktoś wysikał się w wejściu. Maja trzy razy stuka pięścią w popękane drzwi. Nic.

Robert ciągnie za obluzowaną klamkę. Otwarte. Za skrzypiącymi drzwiami wisi koc. Odgarniając go przedramieniem, o mało się nie przewraca. Smród, który ich uderza z ciemnego otworu, nie ma sobie równych. To nie są zgniłe rzygowiny, zbutwiałe szmaty, niemyte męskie nogi ani zepsuta ryba. To nawet nie jest odór z wnętrza zamkniętego miejskiego śmietnika w gorący dzień. To suma wszystkich smrodów.

Maja zasłania nos i usta ręką, kaszle długo. Robert tak samo.

- Poczekam. - Dziewczyna odsuwa się od progu.

On kiwa głową, nabiera powietrza i wchodzi, odsuwając koc do końca.

Miejsce, w którym się teraz znajduje, to coś w rodzaju sieni. Nie ma podłogi. Goła, czarna, śliska przemarznięta ziemia. Mrok. Ciasno. Po obu stronach piętrzą się stosy czarnych przedmiotów. Na razie nie widać jakich.

- Dzień dobry! - Na chwilę odsłania usta, by szybko na powrót zakryć nos. Zapach własnej, brudnej, spoconej skóry jest bardzo przyjemny.

Żadnego odzewu. Powietrze się kończy. Nową porcję wciąga przez usta.

Na ścianie przed nim coś z grubsza prostokątnego, ciemniejszego od otaczającej szarości. Przybity gwoździami koc. Czarne plamy... lepiej nie wiedzieć od czego. Wejście dalej? Chowa palce w rękawie swetra, by nie dotknąć szmaty nagą dłonią.

- Dzień dobry!!

Kolejne pomieszczenie jest nieco jaśniejsze. Kuchnia. Też bez podłogi. Ściany trudne do określenia: kawałki desek, chropowaty beton, spękany plastikowy panel. Wszystko jednocześnie jakby wilgotne i tłuste. Czarny od sadzy niski piec z otworami, przez które sączy się ciepły dym. Woń spalenizny nieco tłumi wcześniejsze odory. Żadnych mebli, półek, szaf... niczego takiego. Tylko kłębowisko badziewia usypane pod ścianami aż do połowy okien, miejscami wyżej. Jakieś ułamki drewnianych skrzyń, poszarpane kartony, porwane foliowe worki wypełnione czymś nieokreślonym, zepchnięte na kupę brunatne bulwy przypominające leśne huby czy raczej skute lodem odchody wielkich zwierząt.

- Dzień dobry! Jest tu ktoś?! - Robert już widzi, skąd sączy się światło. Kolejne przejście zasłonięte jest czymś w rodzaju zestawu kolorowych tasiemek z plastiku. Za nimi - zdaje się - tkwi źródło smrodu.

Wchodzi.

Pod niskim sufitem z żarówką, na końcu izdebki wielkości ośmiu, może dziesięciu metrów kwadratowych, widać metalowe łóżko, a na nim kłęby ciemnych szmat, spomiędzy których podnosi się włochaty potwór ulepiony z krwi, ziemi i brudu.

Brunatna, miejscami czarna twarz, z której coś się w kilku miejscach sączy. Głowa i szyja zarośnięte szczecina z wszystkich stron. Błyszczące białka skośnych oczu, potworny grymas zdeformowanych ust przypominających otwartą ranę na owłosionym psim grzbiecie. Rozłożysta sylwetka. Bulgot z nosa.

- Pan do kogo?

Robert przez chwilę nie odpowiada. Spodziewał się raczej ryku wilkołaka niż słowa „pan”.

- Samochód mi się zepsuł na drodze. Pukałem, wołałem... i wszedłem.

- Na drodze? - Włochaty robi pół kroku do przodu.

- Na polu. - Robert stara się nie cofnąć. Czuje smród ostrego potu, strawiony alkohol i alkohol całkiem świeży.

- Chętnie zapłacę za pomoc. Wiozę chorą kobietę do Torunia.

Zarośnięty nie mówi nic.

- Potrzebny nam klucz francuski. Albo zwykły, do śrub. Do odkręcenia koła. Osiemnastka-dwudziestka.

- Aha... w takim razie... chodź pan za mną. - Wilkołak wymija Roberta i prowadzi z powrotem przez kuchnię. Po drodze zabiera stojącą na podłodze wysoką butelkę z białego szkła. Można się łatwo domyślić, co jest w środku. Boski, rozgrzewający płyn. Zapewne

własnej roboty.

Włochaty cały czas bulgoce, sapie, siorbie i stęka. W sieni klęka na oba kolana i grzebie w stosie rupieci. Najpierw przekłada z miejsca na miejsce jakieś słoiki, pogniecione butelki PET, kawały zardzewiałej blachy i inne skotłowane odpady, potem wyciąga z dna obtłuczoną, metalową skrzynię z ledwo widocznym znakiem Czerwonego Krzyża. Butelka z alkoholem stoi na podłodze.

- Chcesz się napić? - Gospodarz przekręca głowę i patrzy na Roberta.

- To widać?

- Ja widzę.

Zapity profesor psychologii?

- Dziękuję, sam już pić nie mogę, ale jest ze mną dziewczyna - ona bardzo zmarzła, czeka na podwórzu.

- Zawołaj. Swojski bimberek każdemu pomoże.

„Swojski bimberek”? Witamy w klubie konesera, we własnym gronie. Może tak wpadnę tutaj na weekend z dziećmi?

Podnosi butelkę i przechodzi nad pochylonym gospodarzem, przesuwa koc i chce otworzyć drzwi, ale one już same otwierają się ze skrzypnięciem.

- Robert, jesteś tam?! - Maja wyciąga otwartą dłoń.

- Jestem tu z panem...

- Nie widzę... eghr, ehehehrrr...

- Przed tobą. Chodź do środka. Szczęście się do nas uśmiechnęło. Pan gospodarz pomoże i... nie ma herbaty, ale się znalazł spirytus na przeziębienie... No, chodź!

Majka chyba nadal nic nie widzi, bo maca palcami gęste powietrze przed sobą. Robert wkłada jej w dłoń butelkę, jednocześnie obejmuje za ramię i szybko przybliża głowę.

- Nie patrz na niego. Wygląda dziwnie, ale jest w porządku - szepce, po czym dodaje głośno: - Weź najpierw mały łyk. Jakbyś brała lekarstwo!

Dno butelki wędruje do góry.

- Nie czuję smaku.

Gospodarz śmieje się głośno i chrapliwie. Robert wacha szyjkę. Nie ma wątpliwości - w środku jest to, co ma być.

- Jak nie czujesz, możesz wypić jeszcze. Tylko ostrożnie. Małymi łykami.

* *
*

Kiedy Róża wykrzyczała „dostaniecie współrzędne”, Ezra chciał wyskakiwać na zewnątrz, ale Marks ruszył pierwszy słabo oświetlonym korytarzem w stronę końca

pociągu. W ten sposób powinno być szybciej niż wzdłuż wagonów, po pas w śniegu.

Wyszło jednak wolniej.

Na wysokiego grubasa w czapce z orzełkiem i odblaskowej kamizeli z trudem zapiętej na ogromnym brzuchu nadziali się w końcówce korytarza.

Roman Świt - bo to był on - natychmiast zorientował się, że ma przed sobą tych dwóch, których szuka. Wyższy, chudy, lekko zgięty, rozczochrany, zabłocony i z parszywie rozbitym nosem, chciał go wyminąć, ale nie z panem Romanem takie numery... o nie! Strażnikowi starczyło rozstawić łokcie, by zatkać przejście.

- Dokumenty! - wychrypiął, wypychając chujka w stronę uchylonych drzwi kibla.

Potem się zakotłowało. Ten bez połowy nosa zrobił jakiś błyskawiczny unik, nie wiadomo jak, w każdym razie Świt stracił go z pola widzenia, zobaczył natomiast tego niższego kalekę w ciepłej, brązowej kurtce, z głęboko poranionym czołem i bezwładnie wiszącą ręką. Mówiąc dokładnie - zobaczył jego złe oczy i poczuł kopnięcie poniżej kolana. Upadając, zainkasował jeszcze szybką jak błyskawica poprawkę w czerep, po której powinien stracić przytomność - ale nie stracił. Wychował się w bydgoskiej dzielnicy Szwederowo, gdzie kurwa z diabłem dzieci niańczą - i miał od małego supertwardy łeb. Tyle tylko, że widoczność na chwilę mu siadła. W nagłej ciemności usłyszał dziki ryk atakującego Rekina i pomyślał, że trzeba było jednak zdjąć psu kaganiec. Teraz, gdy strażnik kładzie dłoń na kolbie samopowtarzalnego walthera, nieoceniony Rekin rzuca się włochatą pierśią na głowę łobuza, który miał być kaleką, a okazał się karateką.

Kotłowanina trwa.

Starszy sokista nadal niewiele widzi, lecz wyciąga pistolet i potrząsa głową, jakby się chciał otrzeźwić. Młody przodownik zastawia przejście półmetrową pałką-batonem, doskonałą na demolujących pociągi kiboli - ale nie na kogoś takiego jak Ezra. Ten najpierw - jedną sprawną ręką - zrywa z siebie drapiącego psa, a potem rzuca zwierzakiem w chłopaka i natychmiast, w tej samej połowie sekundy, przyklęka. Chwyta przewróconego Świta za dłoń z pistoletem, miażdżąc ją w stalowym uścisku. Roman nie puszcza. Przed oczami staje mu niedojedzony kebab w służbowej szafce. „Ja ci, śmieciu, nie odpuszczę” - myśli, natężając siły. Jest wyższy, cięższy, ma grubsze kości, większe mięśnie i tak naprawdę powinien być silniejszy od tego, który go skopał, a jednak lufa pistoletu nieuchronnie zbliża się w kierunku jego - a nie tamtego - brody.

Roman stęka i pierdzi z wysiłku. Gdyby nie opanowująca go właśnie panika, mógłby się szczerze zdziwić: jakim cudem taki niewielki chujek może mieć taki chwyt?!

Siłują się w parterze przez dwie, trzy, może cztery sekundy. W tym samym czasie

Marks, najspokojniej w świecie, otwiera nogą drzwi i płynnym, niespiesznym ruchem wyrzuca młodego przodownika razem z jego pałąk jak nauczyciel niegrzecznego bachora z klasy. Później usiłuje wykopać także miotającego się po korytarzu psa, ale dwa strzały z walthera - brzmiały w wąskim przejściu wręcz ogłuszająco - sprawiają, że staje bez ruchu. Stłoczeni w bezpiecznej odległości pasażerowie - w kilka sekund po obu stronach zaroiło się od podróżnych - reagują różnie. Mężczyźni głównie milczą w osłupieniu, kobiety - krzyczą. Ale nie odwracają wzroku. To, co widzą, działa hipnotyzująco.

Pierwszy strzał przeszedł przez brodę strażnika Romana Świta - w idealnie równej odległości od obu kości żuchwy. Dziewięćmilimetrowy pocisk nie zatrzymał się na sklepieniu czaszki - przebił ją na wylot, zrywając czapkę z daszkiem i skalp, który teraz ześlizguje się z brudnej ściany wagonu, znacząc ją soczystą czerwienią - jedynym klarownym i sytym kolorem w tej scenie, nie licząc drobnych cynobrowych plam na spoconej twarzy Ezry.

Drugi strzał kończy życie psa. Albo prawie kończy, bo Rekin - z przestrzelonym karkiem - jeszcze cicho popiskuje, ale rusza się tylko jego pierś.

Ezra, cały czas z waltherem w ręku, przestępuje nad psiakiem. Popycha lekko Marksa, budząc go do działania, i obaj wyskakują z pociągu. Młody przodownik, siedzący w śniegu sięgającym ramion, patrzy, jak biegną ku niewidocznemu peronowi.

Ezra staje w połowie drogi.

- Zgubiłem pluskwę - mówi i odwraca się w stronę pociągu, którego już nie widać. Trąca lufą pistoletu własne ucho, jak gdyby miał jeszcze nadzieję, że jakimś cudem wytrząśnie z niego zaginioną słuchawkę. - Chuj z nią... - wzdycha w końcu, wpychając walthera za spodnie. Grzebie przez chwilę pod kurtką. Wyciąga płaską motorolę.

Jest już wiadomość od Róży. Namiary na figuranta numer dziewiętnaście.

Dwie minuty później są przy małdzie.

- Ktoś tu był. - Ezra wskazuje brodą niedomknięte drzwi i szybko obchodzi samochód z palcem na spuście pistoletu. Marks ostrożnie zagląda do środka - światło zapala się, gdy tylko dotyka klamki. Jest pusto. Uchyła drzwi bagażnika - to samo. Ezra, do pasa upapwany śniegiem, siada na miejscu pasażera. Pociąga nosem. Wciąż minimalnie czuć perfumy i wody toaletowe obojga niedawnych właścicieli samochodu, ale jest też i inna nuta. Inna kobieta. Na tylnej tapicerce - ślady wilgoci, na czarnej wycieraczkę-podnóżku: coś białego. Ezra przechyla się w fotelu. Podnosi z podłogi mały kawałek lodu, który wygląda jak falista wstążka makaronu i szybko topnieje w palcach. To z podeszwy turystycznego albo sportowego, raczej damskiego buta. Ogląda pluszowego tygrysa. Wcześniej z całą pewnością

leżał na tylnej kanapie - a teraz jest na podłodze. Sporo na nim okruchów ciastek, może chipsów, do tego parę ciemnych włosów. Oraz jeden włos jasny.

- Ona mogła tu być - mówi, wysiadając z samochodu. Przez chwilę krąży, szukając śladów. Są: sportowe buty z falistym bieżnikiem, niewielki numer, odcisnęły się w paru miejscach, jakby ich właścicielka krążyła tutaj w tę i z powrotem. Na pewno przyszła od strony pociągu. Obok tych damskich widać też inne odciski, jakieś dużo większe, męskie trapery. Wsiedli oboje do samochodu o szerokich oponach. Dostawczy, ciężka limuzyna albo terenowy. Raczej to ostatnie - podwozie wysokie i przechylone na jedną stronę.

- Odjechała z kimś!

Marks kiwa głową, zapalając motor. Trzeba obserwować ślady i być czujnym, ale planu nie ma co zmieniać. Ich marszruta i cel są wyznaczone. Współrzędne: N52° 45' 3.7742" na E18° 57' 17.4573". Figurant numer dziewiętnaście, zurnalista, jest tuż-tuż i nie przemieszcza się.

Ruszają. Prosta aplikacja w telefonie prowadzi ich nie gorzej od samej Róży. Widoczność też się poprawiła - zamieć ustępuje. Jedyne problemy to jeszcze wyższy niż dotąd śnieg. Obok przejazdu kolejowego ślady ciężkiego samochodu mieszają się z innymi, wcześniejszymi. Ezra bardzo kusi, aby pojechać przez białą, pofałdowaną równinę na skrót, celując prosto w punkt. Jednak Marks jest ostrożny. Rowy, zamarznięte strumienie, dziury, polne kamienie i inne niespodzianki schowane pod niemal metrową warstwą tylko czekają na tych, którzy nie myślą. On myśli - i dlatego stara się jechać od znaku do znaku i od słupa do słupa. Obserwuje przebieg linii elektrycznych, drzewa i błyskające daleko czerwone lampy wysokich, kręcących się w mroku wiatraków. Kiedy telefon pokazuje, że dojeżdżają na miejsce, jest prawie wpół do jedenastej.

Ezra - na krótko - łączy się przez telefon z Różą.

- Widzimy dom.

- Mam was na podglądzie, zgadza się. Jest w środku. Pięćdziesiąt pięć metrów.

Rzeczywiście, tyle by mniej więcej było. Brzydki, nieotynkowany budynek z siwych pustaków na lekkim wzniesieniu, chorobliwie powyginane drzewo owocowe, ledwo widoczne światło w jednym z dwóch okien. Podjeżdżają pod zniszczony płot. Ezra znowu czuje wzrost podniecenia. Muzykę w głowie. Mrowienie w ramionach. Mimowolną erekcję.

Pod drzwiami od strony zawianego śniegiem podwórza podchodzą jednocześnie. Marks, nic nie mówiąc, wskazuje lufą niedawno wydeptane ślady: większe i mniejsze.

Na chwilę obaj stają, oparci plecami o mur. Pan Czynna Lewa Ręka z berettą i Pan Prawa Ręka z waltherem. Dwaj elektrycy rzućeni nagle w teren, dwaj jednoręcy bandyci -

określenie, które dziś sobie wymyślił, bardzo Ezrę podnosi na duchu.

- Aleks...

Patrzy na Marksa zdziwiony dźwiękiem swojego starszego imienia.

- Aleks, ty prowadź... Ja jestem od papierkowej roboty.

Jeżeli to miało być śmieszne i jeśli nawet Marks próbował się przy tym uśmiechnąć, to mu nie wyszło. Opuchlizna rosnąca wokół zmiążdżonego nosa zajmuje już większą część jego twarzy. Ładny chłopiec zrobił się brzydalem.

Ezra zamyka oczy i trwa nieruchomo przez półtorej minuty, przyzwyczajając się do ciemności. Potem szarpnięciem otwiera drzwi i odpycha je nogą.

Ruch jest błyskawiczny. Przed nim ciemna sień.

Część III

LEKARSTWO

23.

Środa, 18 lutego, noc

Prawdopodobieństwo stawienia oporu przez żurnalistę i dziewczynę jest bliskie zera, ale Ezra, po przestąpieniu progu, rusza się cicho i szybko, jak gdyby z każdego kąta groził mu niespodziewany atak. Lufę pistoletu kieruje kolejno na brudne ściany sieni, wejście do kuchni, zakopcony kuchenny piec i kolejne przejście - do izby, z której sączy się światło. Podchodząc bokiem, wzdłuż pieca, zagląda przez krawędź futryny.

Ukazuje mu się zapalona, zardzewiała lampa naftowa, pod nią stół, krzesła i dalej - ciemny kształt, który w pierwszym momencie przypomina nieruchomego niskiego człowieka w płaszczu. A to zeschnięta bożonarodzeniowa choinka na stojaku. Za nią, jeszcze głębiej i z prawej strony, zamknięte przejście do kolejnej izby. Ezra robi dłonią kółko w powietrzu, a potem pokazuje to miejsce postępującemu za nim Marksowi. Sam odwraca się, by obejść kuchnię. Ma wrażenie, że pomieszczenia są tu ułożone dookoła pieca i połączone dwustronnie z sienią. Jeżeli tak, to do pokoju za choinką powinni wkroczyć z dwóch stron jednocześnie. Marks daje ręką i głową znak, że rozumie, o co chodzi.

W tym momencie odzywa się telefon.

Nie w kieszeni któregośkolwiek z nich. Na stole. Nokia starego typu leży za lampą, świeci na niebiesko i wygrywa *Highway to Hell*.

Marks i Ezra nie ruszają się, pierwszy nawet wstrzymał oddech.

Nic się nie dzieje.

Mija piętnaście sekund. Telefon przestaje dzwonić. Ezra przerywa ciszę głośnym charknięciem. Pluje na ścianę i już nie zachowuje ostrożności, zaglądając do ostatniego z pokoi. Pusto. Przechodzi przez pomieszczenie, skręca do sieni i znowu jest w kuchni.

- Gównno. Chuj. Nie ma ich! To przynęta...

- A to kutas, dziewiętnastka... Kto to właściwie jest?!

- Albo co my za rozpoznanie mamy?

- Rozpoznanie jest dobre.

- To oddzwoni. - Ezra bierze do ręki nokię i podaje Marksowi.

Odblokuj. Krzyżyk, gwiazdka. Nieodebrane połączenia. Ostatnie. „Kamila”. Połącz. Połączenie głosowe. Mikrofon. Długi sygnał.

Kobiecy, zdenerwowany, głos:

- Robert? Wreszcie się...

- Pan Robert chyba niestety zgubił komórkę.

- Słucham?! Kto mówi?

- Ja jestem, proszę pani, z tej wsi naszej tutaj i ten telefon znalazłem na śniegu - kiedy pani zadzwoniła, to usłyszałem. On leżał. Gdzie mam go teraz oddać?

- Gdzie pan...?

- Na polu, na drodze. Po prostu telefon wypadł.

- To jest komórka mojego... hm... męża. Roberta Pruskiego.

- Ja chętnie zaraz oddam. Gdzie męża tylko ja znajdę?

- Wie pan, że dokładnie nawet nie wiem. On jest z synami w takim gospodarstwie nad Wisłą. W gospodarstwie Damiana... Boże... zaraz, niech pan czeka... jak on się nazywa? Znowu zapomniałam... Damian, Damian, Damian... Daszyński!

- Tak, tak, proszę pani. Znam państwo Daszyński. Zaraz pójde telefon tam ponieść.

- Dziękuję panu bardzo serdecznie. I niech pan powie Robertowi, żeby do mnie zadzwonił. Niech pan mu powie, że to bardzo pilne.

- Czy coś się u pani stało?

- Męża szukają z Warszawy. Nie mówią, o co chodzi, ale to chyba coś pilnego. Nie będę pana obciążała... pan mu tylko przekaże, żeby od razu do mnie zadzwonił.

- Musi być, że mu powiem.

- Bardzo dziękuję.

Marks rozłącza rozmowę i wyświetla kolejne numery z listy nieodebranych. Ezra spogląda w ekran noki nad jego łokciem. Do wyboru zostały: „Iwona-1”, „Młody” oraz „Mama”. Do tego przeszło dziesięć telefonów nieopisanych i kilka wyświetlających się jako „numer prywatny” albo „brak numeru”.

Wygląda na to, że facet nie miał ostatnio czasu odbierać rozmów.

- Zacznij od tego. - Ezra proponuje wybrać „Iwona-1”. Marks już ma wciskać przycisk, gdy do izby wpada promień z reflektora.

Obaj przechodzą szybko do drugiego, dotąd ciemnego pokoju. Stają przy przeciwnych krawędziach zaszronionego okna. Ezra przeciera rękawem fragment brudnej szyby, chucha i jeszcze raz przeciera. Marks robi to samo. Widać samochód na polu. Jest jeszcze daleko, ale

zbliża się szybko. Inne światło, słabsze, błyszczy nieco dalej. Chyba dwa następne samochody... Nadjeżdżają z tej samej strony, z której i oni przyjechali. Po śladach jadą.

Ezra tłucze szybę lufą walthera i wybija reszki szkielek z ramy. W czarnym dotąd pokoju robi się coraz jaśniej - Marks widzi fragmenty szkielek i żółtej złuszczonej farby z okna, które osiadły mu na rękawie.

Mają razem wszystkiego dwie sprawne ręce, dwie lufy i niewiele amunicji, ale na idiotów, którzy tu walą przy pełnym oświetleniu, powinno wystarczyć.

* *
*

Mikołaj Krzak, zwany przez część kolegów Mikusiem, powinien skończyć redakcyjny dyżur internetowy przed dwudziestą trzecią, ale już wie, że nie skończy nawet i przed czwartą w nocy. Wcale go to nie martwi. Powiedział aktualnemu wydawcy, że będzie miał dla niego „ekskluzywną petardę” na temat Synów Polski, i nie zamierza wyjść z firmy, dopóki nie postawi kropki po ostatnim zdaniu.

Przeciera okulary połą flanelowej koszuli, pociąga łyk napoju energetyzującego i zaczyna coraz szybciej stukać w klawiaturę. Píše pierwsze zdania, po czterech minutach ma już zapisane pół ekranu, lecz cofa kursor na początek, kasuje dwa najwcześniejsze akapity, sprawdza coś w otwartych na ekranie okienkach i rozpędza się jeszcze raz.

Otoczający go newsroom serwisu Wyborcza.pl na trzecim piętrze korporacyjnego biurowca jest prawie pusty. Na środku pomieszczenia dwa telewizory wypluwają w kółko te same informacje, nad nimi miga nowy nabytek redakcji - ekran wyświetlający aktualną klikalność poszczególnych wieści w macierzystym serwisie. Świetnie czyta się sprawozdanie z wieczornej konferencji prasowej, nieźle - komunikat prokuratury o przesłuchaniach zatrzymanych Synów i analiza kwestii: dlaczego zabójca Matera nie został aresztowany wcześniej, razem z Reinhartem T. i jego grupą.

Przyzwoite zainteresowanie budzą także ostatnie doniesienia z Kujaw. Niezidentyfikowani bandyci zatrzymani do rutynowej kontroli drogowej zaatakowali policjantów. Dramatyczny pościg, ranni i ofiary śmiertelne. Płonące samochody w środku Włocławka. Uprowadzone dziecko wyrzucone z pędzącego samochodu.

Od momentu, gdy ktoś wypuścił amatorski film z komórki, na którym widać strażaków gaszących zapalone auto z widocznym bezgłowym trupem w środku, Włocławek dogania w klikalności Jedynek Synów. Serwis „Wyborczej” właśnie wybija - na czerwono - najgorętsze newsy: porwana czteroletnia Sabinka którą tajemniczy bandyci posłużyli się jak tarczą, razem z rodzicami wracała z nart w San Martino di Castrozza. Dziecko znajduje się w tej chwili w szpitalu, ma zapewnioną opiekę psychologiczną. Ojcu dziewczynki lekarze

przyszywają odstrzeloną dłoń.

Poza Mikusiem i jego wydawcą oraz podekscytowanym reporterem dyżurnym, który pięć minut temu dodzwonił się na izbę przyjęć we Włocławku, w pracy zostały jeszcze tylko dwie osoby. Dyżurny techniczny, chłopak młodszy od Mikołaja, aktualnie zajęty przerzucaniem nowych tekstów na *home page*, oraz facio zajmujący się reportażami, który dojeżdża do Warszawy z jakiejś pomorskiej wioski. Koleżka oszczędza na noclegach, spędzając noce w swoim boksie, i teraz najwyraźniej robi sobie korytarzowy spacer przed snem. Po piętrze uporczywie krąży plotka, że sprzątaczką złapała go kiedyś, jak walił konia przed komputerem.

Tekst, który Mikołaj wciąż jeszcze przerabia i uzupełnia, ma już roboczy tytuł: *Łańcuch nowych zbrodni Synów*. Polecą w sieć z embargiem do siódmej rano, tak jak się umówili z Maciejem, który najpierw mu tekst zredaguje, jak trzeba, a potem odpali ich wspólne rewelacje w dwóch radiostacjach.

Fakt, że zawarł układ na przetrzymanie informacji do rana i że korzysta dzięki temu z Maćkowej pomocy, Mikuś zamierza przed swoim wydawcą zataić. W domu powieszono nie rozmawia się o sznurze, a wśród tych biurek nie wymienia się nazwiska Macieja Taczalskiego.

Trzy lata temu, gdy Mikołaj zaczynał pracę w gmachu, Maciej był tutaj ważną osobistością: redaktorem-publicystą. Dla Mikołaja - przez pewien czas - nawet kimś w rodzaju starszego brata. Był cierpliwy, życzliwy, wyrozumiały i lojalny. Podsuwał Mikołajowi książki, o jakich ten by nigdy nie pomyślał, przekonał go do obejrzenia kilku ambitniejszych filmów, otworzył chłopakowi oczy na kulisy polityki i niekończącej się wojny mediów. Podtrzymywał na duchu, gdy młodszy kolega przegrał swój pierwszy proces, pomógł uniknąć dwóch kolejnych.

Co ważniejsze, Taczalski dobrze wprowadził Krzaka w arkana praktycznej roboty. Nauczył prostego, ale treściwego pisania, jasno wytłumaczył, czym się różni dziennikarstwo sieciowe od papierowego, czyli tego, które kładli mu do głowy w szkole. W porównaniu z tym, co przez trzy miesiące jasno i ciekawie wyłożył Maciej, poprzednie lata spędzone na studiach okazały się stratą czasu.

Taczalski zrobił jeszcze coś: opowiedział młodemu szczerze, na kogo trzeba uważać. I w pracy, i na mieście. Zobaczył w Krzaku potencjał. Zauważył, że sepleniący chłopak o urodzie wsiowego niezdary ma cudowną zdolność wyciągania z ludzi informacji. Nie chciał, by z powodu kilku słabości - niecierpliwości, skłonności do alkoholu oraz młodzieńczej naiwności - Mikołaj zakończył karierę, zanim stanie się naprawdę dobry.

Życie spletało figla.

To nie Mikołaj, lecz sam Maciej został zwolniony w ramach jednej z pierwszych kryzysowych czystek.

Przyjął wypowiedzenie bez mrugnięcia okiem i natychmiast przeszedł - jak gdyby chciał pokazać dawnym szefom gołą dupę - do konkurencji. Zaliczył kilka redakcji, w tym legendarny tygodnik „Prawy Prosty”, którego jedyne trzy wydane numery do dzisiaj przechowywane są jak relikwie w tak zwanych - przynajmniej na tym piętrze - skrajnie prawicowych środowiskach.

Teraz Maciej Taczalski, pokłócony z prawicą i lewicą, jest freelancerem, a Mikołaj Krzak - jedną z niewielu osób z redakcji, które na mieście jawnie podają rękę dawnemu koledze.

Półtorej godziny temu, gdy po konferencji prasowej rzecznika Alonga i pułkownika Drwęckiego Maciej przekazał Mikołajowi namiary na Pawła Domaradzkiego, Krzak pojechał prosto na ulicę Polską. Udało mu się porozmawiać z bardzo starą i bardzo wścibską sąsiadką oraz policjantem, który w towarzystwie technika wykonywał w domku Pawła i Majki - jak to sam nazwał - „ostatnie czynności”. Policjant, trochę wzięty pod włos, a trochę znudzony czekaniem, aż technik skończy - podzielił się plotkami krążącymi wśród funkcjonariuszy po napadzie na komendę. Nie był zdziwiony zaprezentowaną mu tezą o prawdziwym celu napaści. Zdradził, że podczas przesłuchania młodej Szalawskiej wypłynęło coś bardzo grubego. Jakies gówno związane z polityką. Ale szczegółów nie zna.

Po powrocie do redakcji Mikołaj połączył się z Maćkiem na fejsie i przez telefon. Opisał, co słyszał, a potem przygotował ładny draft w punktach i z zaznaczeniem ewentualnych mielizn.

„1. Policjant na Siekierkach nie wyklucza: zabójca Matera chciał zastrzelić na komendzie Szalawską, możliwe, że po to, by przerwać jej składanie zeznań (???)

2. Poszukiwania Szalawskiej na skalę niespotykaną: to może potwierdzać ciężki kaliber tajemnicy w jej posiadaniu.

3. Domaradzki, narzeczony, zamordowany w domu nożem (??), motyw narkotykowy i rabunkowy wątpliwy, sąsiadka: nie było tam nic cennego, żyli skromnie, z prochami nie mieli nic wspólnego. Sto metrów obok, na Koszykarskiej i Kątnej, stoi kilka domów, z których byłoby co ukraść, są drogie fury w garażach - wniosek: student celowo zlikwidowany, może miał tę samą wiedzę co Szalawska (??).

4. Domaradzki kontaktował się z Kopcińskim z Biura Ministra SW; Kopciński celowo (?) przejechany przez samochód.

Możliwości:

a) Szalawska i jej narzeczony związali się z Synami, ale postanowili zmienić front i nadać Skurwysynów do MSW. Wybrali Kopcińskiego, obaj faceci zostali zlikwidowani, Szalawską wcześniej zgarnęły gliny. Synowie chcieli ją dorwać mimo wszystko, ale znów się wymknęła. Plus: to wyjaśnia, czemu jej tak zaciekle szukają. Może być głównym świadkiem przeciw Synom. Minus: czemu Domaradzki dzwonił akurat do Kopcińskiego? Nie ma śladów, by się wcześniej znali.

b) Szalawska, Domaradzki i Kopciński byli zupełnie przypadkowymi świadkami czegoś, choćby zakupu broni. Są w stanie zdekonspirować Synów. Minus: mniejszy hit.

c) Jak wyżej, ale Szalawska nie uciekła, tylko została porwana z komendy przez Synów. Megaplus!!!”.

Kilkoma ruchami kursora Mikołaj pakuje spisaną notatkę i wysyła Maciejowi. Odpowiedź na fejsie pojawia się prawie natychmiast:

„Stawiamy na wersję C. Gadałem z panem Sz. Udział córki w Synach wykluczony. Czegoś się dowiedziała w zeszłym tygodniu, napisała alternatywną historię o Omedze. Chciała ją publikować pod nazwiskiem narzeczonego. Coś nie wyszło. Wszyscy jej szukają, ale każdy z innego powodu.

Mikołaj Krzak: Szukają jej historii?

Maciej Taczalski: To po pierwsze.

Mikołaj Krzak: Po co studentka pisała artykuł?

Maciej Taczalski: Nie wiem. Może Domaradzki łaknie kariery. Jest stażystą w Info-Radio. Pytałem o niego. Zdolny łeb. PS stary Sz. ma człowieka wysoko przy sztabie kryzysowym. Robi piekło u premiera.

Mikołaj Krzak: Jesteś wielki, mistrzu.

Maciej Taczalski: Ucz się, Mikuś, ucz. Siódma aktual?

Mikołaj Krzak: Spox.”

* *
* *

Berlin Kreuzberg. Ponure bloki - w większości zupełnie ciemne - ciągną się wzdłuż opustoszałego deptaka od stacji metra do linii dawnego muru. Bekir, dobiegający sześćdziesiątki, wąsaty i niewysoki, właśnie zamyka lokal - restaurację Alanya z kebabem, pizzą oraz plackami na wynos. Staje przed drzwiami w zaśnieżonym ogródku piwnym, zapina skafander w kolorze dojrzałego granatu, zapala camela i czuje, że jest bardzo zmęczony. Patrzy w górę, na białe płatki kręcące piruety w czerni, i w dół, na wydeptane w środku chodnika ścieżki. Niemcom rzadko zdarza się nie nadążać z odśnieżaniem, przynajmniej

w środku tygodnia, ale tym razem opady zaskoczyły osiedlowe służby komunalne.

Choć na deptaku obowiązuje ścisły zakaz jazdy autami - wyłączając poranne i nocne dostawy towarów - jakaś ekipa rozwrzeszczanych małałatów pruje przez śnieg w alfa romeo z odkrytym dachem i zdjętym tłumikiem. Czarnowłose dziewczyny w kolorowych, sztucznych futrach przekrzykują ryk silnika, biały obłok za autem wznosi się na pięć metrów w górę. Gdy dzikusy mijają restaurację, kierowca alfy - ulizane włosy plus ciemne okulary - rzuca za siebie ciężką butelkę po musującym winie. Flaszka trafia w oblodzoną ławkę i pęka z trzaskiem. Cyganie... Bekir wie, w którym bloku mieszkają, gdzie prowadzą melinę z haszyszem i mocniejszymi towarami, gdzie się rozliczają, a nawet dokąd wywożą swoich dłużników. Mieszka na tym osiedlu już ponad dwadzieścia lat i zna prawie wszystkich w okolicy, co jest o tyle nietrudne, że niewielu tutaj mieszka. Dzielnica, kiedyś tętniąca życiem, powoli się wyludnia. Dziczeje.

Bekir pamięta upadek muru, szturm Ossich na okoliczne sklepy, późniejszą wyprowadzkę zachodnioniemieckich meneli, zasiłkowiczów i najbiedniejszych robotników, którzy tu kiedyś mieszkali, a których dokarmiał z mobilnej kuchenki na kołach. Zaczynał od roznoszenia kanapek po budowach, potem były te gary na kółkach, jeszcze później bar Imbiss. Dziesięć lat temu wynajął lokal po sklepie z tkaninami i otworzył swą obecną knajpę. Kłopot w tym, że gdy on mocniej stanął na nogach, okolica spaskudniała. Niemca tu prawie nie uświadczysz. Są Kurdowie, Polacy, Syryjczycy, Ukraińcy, Somalijczycy, Turcy, trochę Rusków i tych z byłej Jugosławii. No i Cyganie... najgorszy element ludzki. Prawdziwe wszy na ciele społeczeństwa.

Bekir spluwa, patrząc, jak alfa romeo kręci piruety na okrągłym placu za apteką. Gdy już ma się odwrócić i schować w lokalu, dostrzega jeszcze jedno tutejsze dziwadlo: wysokiego, żyłastego faceta, jeszcze nie starego, ale już całkowicie siwego. Jego białe włosy niesamowicie kontrastują z ciemną, indiańską twarzą. Dziwoląg, który mógłby grać w kinie podstarzałego Winnetou, właśnie wychodzi z bloku-hotelu-burdelu naprzeciwko. Przez ostatni rok Bekir widział go cztery, może pięć razy i za każdym razem długo wspominał. Nie z powodu jakichkolwiek wydarzeń czy wymiany słów. Nawet nie z powodu tych włosów jak farbowanych.

Z powodu spojrzenia.

Dziwnego spojrzenia wywołującego dreszcz.

Ale... trzeba przyznać: poza tym czymś, co miał w oczach, typ wydawał się całkiem normalny. Przychodził do Alanyi tuż przed zamknięciem i zawsze kupował to samo: szaszłyki na wynos, podwójny sos czosnkowy na jogurcie i placki. Przez ostatnią godzinę otwarcia

lokalu wszystkie ceny u Bekira spadają o połowę, lecz goście o diabelskim wejrzeniu nie chodzi chyba o zniżki. On nie wygląda na kogoś, kto czeka głodny cały wieczór, by po jedenastej kupić jedzenie dwa euro taniej. Wygląda raczej na faceta z wyższych sfer, kogoś w rodzaju pisarza albo biznesmena, który z jakichś tajemniczych powodów mieszka w jedenastopiętrowej norze pełnej lumpów z całego świata.

Może on nawet nie jest imigrantem? Choć rodowitym Niemcem - też raczej nie. Ale kim? Trudno się zorientować po akcencie. Nawet Bakirowi, który Kurda od Turka, Polaka od Ruska i Syryjczyka od Libańczyka odróżni po pierwszym „*Guten Tag*”.

Teraz facet - w prochowcu koloru feldgrau i z małą, jasną walizką w dłoni - idzie szybko deptakiem, najwyraźniej w stronę taksówki, która właśnie wystawiła oświetlony pysk z bocznej uliczki - Hedemannstraße. Gdzie taki dziwny typ może jechać nocą w środku tygodnia? Na dziwki - wykluczone. To ma pod nosem. Do pracy?

Bakir otrzepuje buty na wycieracze, wchodzi do Alanyi i zauważa, że nie wyłączył elektrycznego pieca. Głośno przeklina własną głupotę. O siwowłosym natychmiast zapomina.

A przecież przeczucie go nie myliło. Mężczyzna, który faktycznie nie jest ani Niemcem, ani imigrantem, istotnie jedzie do pracy. Niespełna pół godziny wcześniej odebrał SMS-a ze zdjęciem czarnowłosego, czarnookiego faceta o ostrych rysach śniadej twarzy i mocno zaznaczonych brwiach. Używane imiona: Arsen i Lem. Dalej: wzrost, waga, wiek i kilka innych przydatnych informacji. Teraz, gdy wsiada do taksówki i zamawia kurs pod halę odlotów lotniska Tegel, wyciąga białego iphone'a, by jeszcze raz obejrzeć tę fotografię. Po chwili kasuje ją razem z dołączoną wiadomością tekstową. Wchodzi do internetu. Upewnia się, że jego rezerwacja na lot do Gdańska została przyjęta przez system. Płaci za bilet.

Kiedy młody taksówkarz - z pochodzenia Albańczyk - zjeżdża z Hauptstraße na Ring, pasażer wchodzi jeszcze do skrzynki pocztowej i pisze e-maila, którego nie wysyła. Zapisuje kopię roboczą, po czym wylogowuje się z sieci. Otwiera telefon, wyjmując kartę SIM, przełamuje na pół i wyrzuca przez okno - najpierw jedną połowę, po dziesięciu minutach drugą. Okno cały czas trzyma otwarte. Wiatr targa jego prostymi siwymi włosami, ale najwyraźniej chłód mu nie przeszkadza. Taksówkarzowi - owszem. Zirytowany Albańczyk długo patrzy we wsteczne lustro i mruczy pod nosem w języku taty i mamy, ale gdy wreszcie napotyka to, czego szukał - spojrzenie pasażera - ma wrażenie, jakby ktoś ukłuł go prosto w serce. Szybko odwraca wzrok. Za późno. Facet kładzie mu rękę na ramieniu i lekko ściska. Szofer czuje bolesny prąd przechodzący od ramienia przez prawy bok aż po kolano, które zaczyna pulsować, jakby je właśnie skręcił. Nie odrywa wzroku od mokrej, szarej

autostrady przed sobą.

- Jeśli ci coś przeszkadza, to możesz wysiąść, *vella*... - pasażer mówi to po albańsku.

Kierowca próbuje głośno i wyraźnie powiedzieć „przepraszam”, ale ze ściśniętego gardła wydobywa się tylko coś jakby krótkie skrzeczenie sroki.

Siwowłosa łaskawie cofa rękę. Do samego lotniska już się nie odzywa. Napiwku nie daje.

24.

W ciągu następnych tygodni, podczas przewlekłych postępowań i przesłuchań - najpierw w bydgoskim wydziale Biura Spraw Wewnętrznych, a potem przed komisją przyslaną z Warszawy - inspektorzy śledczy wielokrotnie usiłowali dociec, który z włocławskich policjantów osiemnastego lutego, mniej więcej kwadrans przed dwudziestą drugą, rzucił w eter hasło: „Te kurwy nie mają prawa doczekać do rana”. Słowa nagrały się niezbyt wyraźnie, w tle wypowiedzi słychać jakieś krzyki, feralnej nocy radiotelefony zmieniały właścicieli niezgodnie z regulaminem, generalnie: był bajzel. Do tego jeszcze później wszyscy nabrali wody w usta, część funkcjonariuszy „zachorowała”, a kilku z nich wręcz jawnie zaczęło sabotować współpracę z wewnętrznymi.

Fakty ustalono takie: cała akcja, a właściwie cztery różne operacje prowadzone tego wieczoru na terenie trzech sąsiadujących powiatów, naszpikowane były kardynalnymi błędami. I o ile pierwsze ofiary - sierżanta Marcina Kobylaka oraz jego ranną partnerkę - złożyć można na karb tragicznego w skutkach zawodowego ryzyka, o tyle pozostałych strat nie sposób wytłumaczyć jedynie desperacją, brutalnością i sprawnością napastników. Gdyby zachowano zasadę jednolitego dowodzenia i pilnowano procedur, dwóch ludzi nie zdołałoby wystrzelać tylu policjantów.

Tragiczna i zarazem żałosna próba wzięcia odwetu na sprawcach masakry przy placu „Solidarności” była brzemieniem w skutki błędem, a czy przestępstwem - to się okaże. Śledztwo będzie wyjaśniać, kto wezwał do samowoli, kto na nią milcząco przyzwolił, kto mówił o „niedoczekaniu do rana”. Starszy aspirant z dyżurki komendy miejskiej, który w pewnym momencie spontanicznie koordynował działania? Sierżant sztabowy Jędrzej Rzepski, rodzony brat jednego z dwóch funkcjonariuszy, którzy bez żadnej przenośni i na jego oczach stracili głowy w przeciętym wpół mondeo? To możliwe... Rzepski musiał być w stanie bliskim obłądowi, skoro - co potwierdzi później kilku świadków - rzucił się w pościg za odjeżdżającymi bandytami pieszo.

Ale może to jednak ktoś jeszcze inny? Podejrzewanych policjantów było co najmniej pięciu, wszyscy solidarnie zaprzeczali i każdy miał świadków na potwierdzenie swej wersji obrony. Do tego dysk z oryginalnym nagraniem fatalnej groźby ktoś „niechcący” uszkodził już podczas wstępnej fazy dochodzenia. Ustalono jednak kilka rzeczy.

Po pierwsze, przepuszczenie uciekających przez blokadę na ulicy Toruńskiej nastąpiło zbyt szybko. Nawet uwzględniając troskę o życie porwanej czterolatki, można było podjąć przynajmniej kilkuminutowe negocjacje i w tym czasie ustawić kolejną blokadę. Biorąc pod uwagę, że porywacze - obaj ranni - prawie natychmiast pozbyli się uprowadzonej, zatrzymanie ich, a nawet neutralizacja choćby kilometr dalej były absolutnie możliwe.

Po drugie, podejmując pościg bezpośredni w dalszej części akcji, należało posłużyć się co najmniej trzema jednostkami, i to zarówno z kierunku południowego, jak i północnego równocześnie. Tymczasem wskutek bałaganu na blokadzie za uciekającymi ruszyły w pierwszej chwili jedynie dwa radiowozy. Wyrzucenie przez ściganych dziecka na ulicę przy jednoczesnym gwałtownym pogorszeniu się i tak fatalnych warunków atmosferycznych poskutkowało utratą kontaktu wzrokowego z uciekającymi. Oraz kolejnymi chaotycznymi ruchami.

Policjanci na służbie i po niej, żandarmi, inspektorzy ruchu, a nawet celnicy z Włocławka, Torunia, Aleksandrowa i okolic rzucili się hurmem w rejon między fabryką Azoty, Wisłą i autostradą. Nastąpiło coś w rodzaju pospolitego ruszenia, którego celem miało być dla jednych odnalezienie śladów, dla innych - dorwanie uciekinierów.

Trop przez las między ulicą Toruńską i zapleczem autostrady odnaleziony został błyskawicznie. Niestety, na czteropasmówce ślad się urwał. Przez jakiś czas ścigający wymieniali się cennymi, ale wciąż nieprowadzącymi do celu komunikatami. Ktoś meldował o szaleńcach pędzących po autostradzie rozbitym autem, ktoś odnalazł rozwaloną bramkę techniczną parkingu i ruszył po śladach opon. Było też parę fałszywych alarmów. Przełomem okazało się wezwanie pomocy ze strony Straży Ochrony Kolei. Wezwano karetkę na stację Lubanie, mniej więcej we wschodnim narożniku przeszukiwanego obszaru. W tym momencie, krótko po dwudziestej drugiej, najbliżej tego punktu znajdowały się trzy jednostki - radiowóz z komendy powiatowej w Aleksandrowie i dwa samochody z Włocławka, w tym jeden cywilny. Rafał Bryk, naczelnik wydziału patrolowo-interwencyjnego, wracał właśnie z miasta do domu pod Nieszawą, gdy rozpętało się piekło. Postanowił zawrócić.

Na stację w Lubaniu jako pierwsi dotarli dwaj funkcjonariusze z Aleksandrowa. Dali z siebie wszystko, pędząc niemłodym oplem po zasypanych bezdrożach. Urwali rurę i atrapę zderzaka, ale pojawili się jeszcze przed karetką. Na peronie odebrali wyjaśnienia od lekko

spanikowanego gówniarza w kamizelce SOK, który - choć cały drżący - był przynajmniej na tyle przytomny, by dokładnie opisać dwóch napastników, którzy przed dziesięcioma minutami zabili jego partnera i dowódcę, strażnika Romana Świta.

Bez cienia wątpliwości - to byli ci gnoje, o których wszystkim chodzi.

Młody przodownik SOK nie był do końca pewien - bo, jak twierdził, poszedł za bandytami dopiero w bezpiecznej odległości - ale wydawało mu się, że później pojechali w stronę Wisły. Ich samochód miał tylko jedno światło.

To też by się zgadzało.

Śladów opon na śniegu - całkiem świeżych - znaleziono kilka, tak jakby poza samochodem o jednej lampie i autem aleksandrowskich policjantów zajechał na tę zapomnianą stacyjkę jeszcze jeden wóz o oponach szerzej rozstawionych i większych niż poszukiwany egzemplarz mazdy. To akurat stwierdził autorytatywnie naczelnik Bryk, kiedy tylko dojechał i przejął dowodzenie. Ruszył też po śladach jako pierwszy, a tamci w swoim opłu tuż za nim. Gdy mijali przejazd przez tory - wciąż pulsowały na nim czerwone lampy - dołączył do nich jeszcze trzeci samochód: straszliwie hałasujący, zapewne z powodu uszkodzenia tłumika, radiowóz z rozwalonym błotnikiem, wgniecionymi drzwiami i przekrzywionym kogutem na dachu. W środku - trójka mundurowych przybyłych prosto z Włocławka. Dwóch posterunkowych w poplamionych mundurach i z brudnymi twarzami brało udział w nieudanej obławie na placu „Solidarności”, trzeci - sierżant Jędrzej Rzepski - dołączył na Toruńskiej.

Z zabranym koledze pistoletem maszynowym Heckler und Koch w ręce.

I to Rzepski pierwszy, bez żadnej asekuracji, wyskoczył z pokiereszowanego radiowozu, gdy dojechali pod opuszczony dom między wioskami Probostwo Dolne i Anin. Tak przynajmniej zeznał potem podkomisarz Bryk, jedyny, który przeżył.

* *
*

Mieli radia, mieli sprzęt, mieli przewagę liczebną i w sile ognia. Mogli otoczyć, mogli zaczekać na wsparcie, mogli żyć. Ale sierżant Rzepski jest jeszcze prawdopodobnie w amoku, podkomisarz Bryk od lat siedzi za biurkiem i lekceważy obowiązkowe wizyty na strzelnicy, zaś reszta ich przypadkowo dobranej, sześciuosobowej ekipy to po prostu cieniasy. Ci z Aleksandrowa są w dodatku na kacu. Wczoraj - a właściwie dzisiaj - dzielili paczkami dzinsy, które wypadły z kontrolowanego tira, potem zaś spili się na wspólnej imprezie, o ile chłanie wódki w ciasnym pokoju przy włączonym filmie porno można nazwać imprezą.

Teraz kolejno wyskakują z aut. Rzepski podbiega do ustawionej pod domem mazdy i podnosząc wysoko broń, posyła serię bez żadnych strzałów ostrzegawczych. Za nim -

co mają robić? - biegną dwaj posterunkowi. Chcą dopaść bliższego narożnika domu, by się za nim schować. Na razie nie mają żadnego pomysłu, co dalej. Śnieg sypie im się do butów.

W tej samej chwili naczelnik Bryk, który pokombinował i wybrał dalszy narożnik, próbuje przeskoczyć pustą przestrzeń, korzystając z osłony, jaką daje pień starej jabłoni.

Para skacowanych dopiero gramoli się z wozu.

Marks, stojąc w pokoju z choinką, bierze zamach i wyrzuca przez okno płonąca lampę naftową. Pęka szyba i klosz lampy, tryska płonący olej, szklane odłamki lecą i do wnętrza, i na śnieg.

Trzech z czterech biegnących policjantów, naiwnych jak małe dzieci, zwalnia, jeden nawet przystaje. Wszyscy patrzą przez moment w stronę, z której dobiega brzęk szkła. Ezra - z okna w pokoju obok - oddaje osiem strzałów w ciągu dwóch sekund. Sierżant z pistoletem maszynowym umiera. Pocisk rozrywa mu rdzeniomózgowie i jest po wszystkim.

Głowa jednego z posterunkowych - trafionego w sklepienie czaszki - odskakuje do tyłu, jakby policjant zderzył się z niewidoczną belką. On też już nie żyje.

Trzeci, biegnący metr dalej, dostaje w lewą pierś i ten robi jeszcze dwa kroki, a potem pada na twarz.

Marks strzela również, ale pudłuje. Nie szkodzi. Z tymi patałachami Ezra poradzi sobie sam. Wygląda na to, że jest ich, a raczej było, w sumie sześciu. Trzech leży, dwóch skryło się z powrotem w radiowozie, ostatni musiał schować się za drzewem lub domem.

Marks rusza po niego - w stronę ciemnej sieni i wyjścia na podwórze.

Ezra otwiera z trzaskiem wybite wcześniej okno i przeskakuje nad oblodzonym parapetem. Jeden z leżących na śniegu gliniarzy - ten trafiony w korpus - pełźnie ku samochodom. Jego ślamazarny ruch przypomina ucieczkę rannej foki albo przesuwanie się jednokomórkowego drobnoustroju sunącego - bez rozumu - w stronę źródła światła.

Ezra jest w euforii. Odbija się od zaspy niby sprężyna i w kilku susach dopada leżącego we krwi sierżanta Rzepkiego. Doskonały niemiecki rozpylacz w dłoni trupa upapraną jest koralowymi fragmentami tkanki, ale on chwytą broń bez obrzydzenia.

Podbiega do srebrno-niebieskiego opla, omijając pełznącego półtrupa.

Jeden z dwójki schowanych w radiowozie zdołał wrzucić wsteczny bieg, auto cofa się nie więcej niż pięć metrów, po czym wpada tyłem w głębszy śnieg i staje z zadartą do góry maską, odsłaniając podwozie i wiszące resztki zderzaka. Koła się kręcą, długie światła z przednich lamp biją w niebo jak reflektory przeciwlotnicze. Ci w kabinie kotłują się, spanikowani... Heckler und Koch MP5 ożywa w ręce Ezry. Po jednej, krótkiej serii wnętrze radiowozu wypełnia się krwią, jakby wśród potrzaskanych szyb eksplodowała puszcza farby.

Ezra, wciąż szaleńczo podkręcony, chce strzelić jeszcze raz, ale w tym momencie jego własną głowę przebija potężny natowski pocisk, który półtorej sekundy temu opuścił lufę fińskiego karabinu snajperskiego - straszliwej broni w rękach mężczyzny skulonego na kratownicy w połowie wysokości stumetrowej turbiny wiatrowej. Strzelec zdjął już palec ze spustu, ale cały czas patrzy przez lunetę. Gigantyczna, szeroka na cztery metry łopata wirnika na moment przysłania mu obraz, lecz po chwili już widzi, co trzeba. Jeden z dwóch celów został unieszkodliwiony.

Grupa taktyczna z Trójmiasta, specjaliści od tak zwanych trudnych zatrzymań, rzeczywiście jest - jak to określił Arnold Rastroń - „dobrze wyekwipowana”. W świetle gwiazd czterej ubrani na czarno mężczyźni otaczają gospodarstwo. Piąty - ten na wiatraku - przekazuje im informacje o chowającym się za budynkiem policjancie, którego jeszcze można uratować.

25.

Róża wydzwania do Ezry sześć razy po kolei - i nic. Telefon Marksa też odpowiada dziwnie - raz jest jak gdyby poza zasięgiem, innym razem wygląda na to, że szmondak po prostu nie odbiera.

Co się porobiło z tą zasraną misją?!

Przekręca się na przyspawanym do podłogi obrotowym krześle i patrzy przez tylne okna transportera w śnieżną kurzawę, którą zostawiają za sobą. Od trzech kwadransów pędzą z Arsenem przez totalnie zapuszczone bezdroża i trakty przecinające prostymi liniami gęste lasy, jakich by się nie spodziewała tak blisko stolicy tego kraju. Minęli Truskaw, Krogulec, Sowę i jeszcze kilka innych ciemnych, pustych wiosek o równie bajkowych nazwach. Średnia prędkość - ponad dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. W tych warunkach - mistrzostwo rajdów przełajowych. Ze zwyczajnym GPS-em dawno już wylądowałiby w rowie lub utknęli na ornym polu, ale Róża jest czujna, a sprzęt - choć skonfigurowany w ubogim zestawie - mają lepszy niż wszyscy ci, którzy ich zapewne nadal osaczają.

Odskoczyć jak najdalej poza pierścień oblawy i dojechać do szosy. To jest teraz cel numer jeden.

Byle do szosy.

Reszta - to niedługo będzie cudzy problem.

Kolejne cztery próby wywołania Ezry i Marksa - nadal bez rezultatu.

Róża odrywa pupę od krzesła, a dłonie od klawiatury. Oparta z jednej strony o drżącą

ścianę transportera, a z drugiej o kolumnę spiętych klamrami, lecz niepodłączonych urządzeń, zagląda do kabiny. Dowódca pochylony nad kierownicą kołysze głową na boki w tym samym rytmie, w którym pracują wycieraczki. Pracują, skrzypiąc, na próżno - śnieg już nie pada.

Arsen zdaje się tego nie dostrzegać.

Róża przeciska się między fotelami i siada obok niego. Dłuższą chwilę w milczeniu obserwuje białą pustkę przed maską auta. Przecinają właśnie ogromną jak lotnisko polanę. Na czarnym niebie wśród rozerwanych wiatrem beżowych obłoków ukazuje się księżyc. Arsen sztywno, oburącz trzyma kierownicę. Jest coś nienaturalnego, chorego w tej jego pozycji. Do tego ta twarz... szara maska. Mimo wszystkich fenomenalnych sztuczek, którymi popisał się podczas ucieczki z Warszawy, Róża nie może się oprzeć wrażeniu, że oto wiezie ją nie dawny dowódca-przywódca, ale upiór.

Zrobiła dobrze, wysyłając wiadomość.

- Potrzebuję do toalety!

On natychmiast zwalnia, ale ona tylko klepie go w ramię.

- Nie tutaj. Nie będę podcierała dupy śniegiem. Staniemy na stacji.

- Nie ma stacji.

- Wiem. Poczekam, aż będzie.

- Dzwon do piździelców!

- Dzwonię cały czas.

- Nie przestawaj.

Arsen zwalnia przed zbliżającą się ścianą lasu.

Ona wraca na tył samochodu, przed ekrany.

- Przejazd zobaczysz z prawej, skręt o trzydzieści i dalej dwa kilometry prosto.

Ezra i Marks nadal nie odbierają.

Według wskazań skanera są już nad rzeką przy dziewiętnastym. Z satelity wygląda to na gospodarstwo rolne. Co ten szajgac jeden z drugim tam wyrabiają?

- Zadzwoń do żurnalisty! - Arsen odwraca na moment głowę i rzuca komendę, niby zdawkowe pozdrowienie. Jakby się zastanawiał jednocześnie nad czymś innym. Ale pomysł jest dobry.

Róża dzwoni.

Po sześciu długich sygnałach połączenie się kończy.

- Też nie odbiera.

- Spróbuj jeszcze raz. - Spojrzenie Arsena wędruje między elektroniczną mapą na desce rozdzielczej i ciemną ścianą drzew tańczących przed podskakującym nierówno

samochodem. Hamowanie wśród kolein i wielkich, zlodowaciałych brył, ostry zakręt, biały krzyż pomiędzy równymi pniami sosen, fragment ogrodzenia z surowych bali, a dalej - śnieżny, leśny tunel, którego końca nie widać. Prosto jak strzelił. Gaz do oporu. Na liczniku sto dwadzieścia.

Kolejny długi sygnał z telefonu dziennikarza. Jeden, drugi, trzeci... szósty.

- Nic!

- Jeszcze raz!

Arsen hamuje gwałtownie przed wyjątkowo głębokim wykrotem, za którym równy dotąd dukt zamienia się w tor przeszkód. Połamane gałęzie trzaskają pod kołami, całe auto trzęsie się tak, że Róża musi zapierać się o blaszane ściany.

Powtórne wybieranie numeru. Sygnał urwany w połowie. Jest połączenie! Róża jednym ruchem palca przerzuca odsłuch spodziewanej rozmowy na głośniki w kabinie i próbuje wydobyć z siebie maksymalnie uprzejmy ton sprzedawczyni ubezpieczeń.

- *Am I speaking with mister Robert Pruski?*

Po drugiej stronie słuchawki nic nie słychać. Długa sekunda ciszy, po niej druga...

- *Mister Pruski is not here.* - Koślawy angielski z polskim akcentem. - *Who is talking?*

Pisk destilera sprawia, że Róża natychmiast zrywa połączenie.

- Ktoś nas namierza - mówi niskim, nieswoim głosem i zupełnie niepotrzebnie. Arsen przecież dokładnie wie, co oznaczają dźwięki programu chroniącego ECDH.

Jakim cudem?! Kto tam jest? Łapiąc z trudem równowagę we wściekle rozedrganym wnętrzu, Róża podłącza do serwera kilka nowych urządzeń. Pracuje szybko, szarpie kablami, nie bawi się w dokładne konfigurowanie, ukrytą w podwójnym dachu antenę podnosi o czterdzieści dwa stopnie - na czuja. Jeżeli nawet cały ciąg zaraz padnie - to padnie. Ona potrzebuje tylko kilku sekund podglądu. Chce się upewnić, że wszystko stracone.

Będą chmury zasłaniały czy nie?

Arsen zwalnia, zakręca o dziewięćdziesiąt stopni, potem przyspiesza. Transporter już nie szarpie jak dzikie zwierzę - teraz się kołysze. Są wreszcie na asfalcie.

Oczekiwany obraz teatru operacji pojawia się po przyłączeniu trzeciego aparatu z rzędu. I zaraz znika, tak jak się obawiała. Ale to, co na moment ukazuje się na ekranie, wystarczy aż nadto. W bezpośredniej bliskości gospodarstwa nad rzeką są co najmniej cztery osoby w ruchu, może i pięć. Do tego nakładające się silne sygnały, w tym dużo kodowanych.

Już sprzątają.

- Widzisz ich?!

- Nie widzę nic. Wszystko siadło. Muszę restartować.

- Pospiesz się.

Róża uruchamia na nowo aparaty, ale teraz nie zamierza oglądać obszaru N52° 45' 3.7742" i E18° 57' 17.4573". Bardziej interesuje ją ruch wokół miejsca, gdzie się obecnie znajdują. Do najbliższej stacji benzynowej - w Łuniuchach - dwadzieścia kilometrów.

Kwadrans, jaki w tej sytuacji pozostał, wykorzystuje, pracując przy trzech klawiaturach naraz. Usuwa obie pamięci z głównego silosu i zastanawia się, które z otaczających ją procesorów powinna wymontować w pierwszej kolejności. Wypycha kieszenie kombinezону do oporu, ale jeszcze nie wszystko wyjęte.

Cztery kolejne kostki krzemu umieszcza w adidasach. Jeszcze dwa razy kłamie, mówiąc Arsenowi o kłopotach z ponownym ustawieniem zerwanego układu. A on za każdym razem odpowiada równie beznamiętnie: „Próbuj dalej”.

Gdy oświetlona na zielono stacja pojawia się przy drodze, jest dwadzieścia siedem minut po dziesiątej.

- Kamera będzie z przodu. Stań za budynkiem.

- Wolę, żebyś kucnęła gdzieś indziej, jeśli już musisz.

- Stawaj!! Muszę kupić słuchawki! Zwykłe, zasrane słuchawki z okrągłymi końcówkami. Pozrywałam wtyczki.

Arsen hamuje i skręca.

* *
* *

Stacja jest mała, ale z całonocnym bufetem. Wiatr targa naderwanym banerem reklamującym wzbogacone paliwo. Przy dystrybutorach trzy auta: dwa zaśniewane, zamrznięte i puste, jedno - wściekle fioletowe, bardzo małe, bardzo śmieszne i bardzo czyste - wygląda, jakby przed chwilą opuściło myjnię. W środku, na tylnym siedzeniu, młodzieńca jeszcze, ale już otyła dziewczyna o krótkich, czarnych włosach ściętych na pazia pije piwo z puszką. Dowódca objeżdża budynek, trzymając się w mroku zewnętrznej krawędzi parkingu. Gdy staje przed rzędem iglastych krzaków w betonowych donicach, Róża wysiada, ale nie zamyka za sobą drzwi. Patrzy, jak na krótkim zjeździe z szosy hamuje policyjny radiowóz. Arsen też się przygląda. Gliniarze albo ich nie widzą, albo udają. Podjeżdżają pod dobrze oświetlone stanowisko dla tankujących gaz. Wsiadają, nie wyłączając silnika. Dwa duże chłopcy w czarnych uniformach i włóczkowych czapkach. Przy pasach pałki, na biodrach kabury, ten po lewej ma pod pachą strzelbę. Wchodzą do budynku, a w każdym razie na to wygląda, bo z tylnego parkingu nie widać frontowych drzwi.

Róża rusza w tamtą stronę. Arsen woła za nią:

- Nie idź.

- Muszę mieć cholerne wtyczki.

- Zostań! Czekaj...

Ona nie staje. On wychyla się, patrzy na otaczający tył stacji betonowy murek zwieńczony tandetnymi, odlanymi z cementu ozdobami. Można to gównu staranować - ale w ostateczności. Obraca się w fotelu i spogląda w głąb mobilnego studia. Widać potworny bajzel. To rozumie. Ale coś jeszcze tu nie gra.

Róża wchodzi w krąg światła przed frontem stacji.

Szklane drzwi kilka metrów przed nią uchylają się pchnięte kolanem. Wychodzący chłopak - dwudziestolatek o krzywych nogach, tłustych, potarganych włosach koloru słomy i czerwonej szyi zdobionej tatuażem - ma na sobie tylko rozpiętą białą koszulę. Wygląda, jakby się urwał z wesela. Ale chyba tak nie jest, bo w jednej ręce ma reklamówkę wypchaną butelkami, w drugiej - baniak z różowym płynem do spryskiwaczy.

Róża wyciąga z kieszeni kombinezonu dwa układy scalone, a spod nich - zwitek pięćdziesięciozłotowych banknotów. Zastępuje młodemu drogę.

- Dam ciębie dwieście złotych. - Jej polszczyzna nigdy nie była idealna, ale teraz to najmniejszy problem. Kątem oka stara się zajrzeć do jasnego wnętrza budynku, przed którym stoją. Policjanci podeszli do lady zastawionej kolorowymi półkami. Widać ich plecy i karki na tle fotogramu z ogromną parówką lecącą wśród chmur. - Ja zapłacę twój transport.

- Co masz przewieźć?

Róża w pierwszej chwili nie rozumie pytania, lecz szybko się reflektuje.

- Ja tylko sama. - Rozpina zamek kombinezonu, odsłaniając idealnie gładki dekolt. W drugiej ręce wciąż trzyma pieniądze. - Teraz zaraz jechajmy.

- Jechaj... Ha, ha! Dokąd? - Chłopak odsłania zęby zbyt przeredzone jak na kogoś tak młodego. Może ma wybite?

- Wszystko mi równo, dokąd.

Młodzieniec, nie wypuszczając baniaka z ręki, porywa banknoty. Głową wskazuje małe samochód z dziewczyną w środku. Róża otwiera cienkie i niskie drzwi, przeciska się między sufitem a przechylonym przednim fotelem, po czym - zgięta we czworo - wgniata własną pupę i nogi obok tamtej. Opuszcza głowę na tyle, na ile to możliwe w tym niewiarygodnie ciasnym wnętrzu. Czuje, że poupychane w kieszeniach kombinezonu twarde kostki wbijają się w ciało.

- *I just had an accident. I need some help. Your boyfriend agreed to give me a lift.*

Czarnowłosa, która prawie dotyka nosa Róży odsłoniętymi kolanami wielkości melonów, śmieje się krótko, głośno i niemądrze. Raczej nie rozumie, co się do niej mówi.

Może nie zna angielskiego, może jest pijana mocniej, niż na to wygląda, może przyćpała, a może ten, który właśnie sadowi się za kierownicą, pobrzękując flaszkami, to wcale nie jej *boyfriend*. Wszystko jedno. Ważne, że smarkacz jest równie szybki, jak pazerny i odporny na zimno. Rusza z rykiem podrasowanego silniczka. Jeden z widocznych przez szybę policjantów odwraca się, słysząc hałas, ale nie robi nic więcej - tylko patrzy. Zaraz dostanie swojego hot doga z sosem tysiąca wysp.

Róża ostrożnie unosi głowę. Próbuje dostrzec, co się dzieje z Arsenem, ale już jej się to nie udaje. Młodzieniec za kierownicą małego fiata wykonuje przed stacją imponujący drift, po czym rozpędza się na wąskiej, nieodśnieżonej od początku zimy drodze do Łowicza. Cały czas mówi coś po polsku, lecz Róża nie słyszy, bo z ogromnych jak na tak małe autko głośników wali w nią dzika muzyka techno. Dziewczyna-pasażerka potrząsa w jej takt smolistą czupryną, rozlewając przy tym piwo.

Chyba jednak naćpana.

* *
*

Arsen czeka w pustej furgonetce dziesięć minut. Odprowadza wzrokiem obu policjantów, którzy strasznie guzdrzą się przy wsiadaniu do radiowozu. Jeden długo myje przednią szybę gąbką na kiju, mocując się z zamarzającą cieczą w wiadrze, drugi dwa razy wraca do budynku, nim w końcu sadza dupsko za kółkiem.

Dopiero gdy tylne światła radiowozu znikają z pola widzenia, Arsen wychodzi z transportera. Naciąga na głowę sportową czapkę z dużym daszkiem i otwiera szklane drzwi budynku stacji. Jest jasno, w kącie popiskuje automat hazardowy okupowany przez trójkę bełkotliwie hałasujących mężczyzn. Obok nich stoi w milczeniu kobieta z kilkuletnim dzieckiem. I ona, i trzymana za rękę dziewczynka wyglądają jak przysypane popiołem. Rodzina czeka, aż tatuś skończy grać.

Poza gromadą tubylców w zagraconym pomieszczeniu stoi tylko ekspedientka. Młoda, sztucznie opalona i ze zbyt dużymi zębami, które - teraz, gdy się uśmiecha do wchodzącego - sprawiają wrażenie, jak gdyby chciały uciec z buzi.

Arsen nie odwzajemnia uśmiechu. Wchodzi do damskiej toalety. Potem do męskiej. I jeszcze do otwartego składziku z wiadrami i szmatami. Pusto - tak jak się spodziewał.

Odjechała albo tym małym samochodzikiem, albo w radiowozie.

Jak dawno zdradziła?

Zawraca ku wyjściu, ale jeden z wioskowych hazardzistów - szeroki chłop w zabłoconych gumiakach - zasłania mu drzwi.

- Masz coś palić? - Próbuje położyć złotobrązową, rosochatą dłoń Arsenowi na piersi.

Krótki, prosty cios sprawia, że pada na kolana, a potem - uderza sztywno czołem w betonową posadzkę. Towarzyszy temu nieładny dźwięk: coś w rodzaju uderzenia kamienia o kamień w płytkiej wodzie.

Ekspedientka wydaje z siebie krótki pisk. Szara kobieta puszcza rękę milczącego dziecka i podbiega do leżącego, wyrzucając z siebie potok niezrozumiałych, polskich słów.

Wychodzący na zewnątrz Arsen karci się w myślach za nieopanowanie. Musiał jednak dać upust złości. W połowie drogi do transportera, słysząc kolejne podjeżdżające auto, staje wstrzymany absurdalną nadzieją, że Róża wróciła.

Ale to oczywiście nie ona. To para starych ludzi, którzy gramolą się na zewnątrz z trzydziestoletniego forda sedana. Lubi dawne samochody tego typu. Mustangi, mercedesy albo stare hondy. Przez chwilę myśli, czyby nie zostawić tu furgonetki, nie zabrać tego auta i nie popędzić za Różą, ale szybko odrzuca ten pomysł. Zajmie się nią później. Wraca do volkswagena, wyjeżdża z parkingu stacji, pokonuje dwanaście kilometrów i staje na skraju wysokiego lasu, w miejscu, gdzie korony sosen zasłaniają go przed światłem księżyca. Przechodzi na tył wozu i długo grzebie w popsutych sprzętach. Ostatnie, co pozostało zdadne do użytku, to prosty adapter sieciowy, w połowie wyczerpany koncentrator i własny mózg. Ale skoro cała ich zaawansowana technika nie wystarczyła do tego, by skończyć sprawę na czas, może należy poszukać celu głową, a nie techniką. Skorzystać z najprostszyc narzędzi.

Otwiera standardową wyszukiwarkę i umieszcza w jednym zapytaniu dwa słowa: „Robert” i ”Pruski”. Pierwsze trzydzieści siedem wyników ignoruje. Uważną lekturę zaczyna od listy absolwentów sprzed dwudziestu sześciu lat. Pracuje szybko, dodając kolejne nazwiska i cyfry. Otwiera PDF-y i excelowskie tabelki. Przegląda stare spisy abonentów Telekomunikacji Polskiej, rejestry ksiąg wieczystych dla gminy Waganiec i inne dokumenty, pozornie niezwiązane z celem poszukiwań.

Pierwszy punkt zaczepienia znajduje po niespełna kwadransie: „Adrian Stawiarski & Kalina Urlich, szkoła jogi »Gandhara«, sołectwo Anin k. Włocławka, oferuje: wczasy w siodle, wczasy odchudzające, organizację konferencji, pokazy i degustacje kuchni regionalnej, masaże...”.

Anin koło Włocławka.

Współrzędne: N52° 46' 1.3675" i E18° 55' 58.3557".

Jedna i dwie minuty kątowe przesunięcia. Pomyłka o mniej niż cztery kilometry.

Pomyłka? Raczej sabotaż tej zdradzieckiej kurwy.

Ale dlaczego podała Aleksandrowi współrzędne tak - mimo wszystko - bliskie

prawdy?

Arsen wkłada do ust cygaro, chwilę szuka zapalniczki, przypala. Uruchamia silnik i rusza. Pod czaszką grają mu orkiestry, biją bębny, chóry wznoszą pienia. *Stworzenie świata* tym razem przechodzi w *Mszę uroczystą* D-dur, która z kolei rozplywa się w pierwszych, wzniosłych taktach *allegro vivacissimo Symfonii szkockiej*.

26.

- Miałem tu kiedyś klucz, ale się zapodział. - Elokwentny wilkołak zamyka metalowe pudło pamiętające pewnie wojnę i prostuje się w ciemnej sieni. Jest wyższy od Roberta. - Sprawdźmy w składziku przy chlewie. Wyjdźcie wy pierwsi.

Majce - ciągle wstrząsanej dreszczami - nie trzeba dwa razy powtarzać. Na zaśnieżonym podwórzu jest nieco tylko zimniej niż w środku i nie śmierdzi. A raczej: śmierdzi mniej. Bo jednak ubranie Roberta nasiąkło już fetorem, a wymijający ich gospodarz też zostawia za sobą prawie namacalny, ciężki welon. Chwilę oboje czekają, by ruszyć za nim w bezpiecznej odległości. Maja przechyla butelkę.

- Teraz już czuję. Ten smak okropny... Ale wypiję. Papa powtarza, że co nie zabije, to wzmocni.

- Najwyżej się porzygasz.

- Co tam tak śmierdziało...? W tym...

- Wolałabyś tego nie oglądać. Pij.

Wichura się uspokoiła, drobny śnieżny pył jeszcze wiruje w powietrzu, ale już nic nie pada z nieba. Na smolistym nieboskłonie świeci srebrna litera C. Stalowy poblask wydobywa z mroku niewidoczne dotąd otoczenie. Niewielka stodoła z zapadniętym dachem, w kącie podwórza przewrócona stalowa przyczepa bez kół, dalej - bocianie gniazdo na drewnianym słupie.

Odwrócony plecami wielkolud - teraz widać, że ma na sobie wатовany kaftan PRL-owskiego budowlańca - kaszląc, charcząc i pociągając nosem, odsuwa ciężkie drzwi szopy i wchodzi do ciemnego wnętrza. Robert, po paru wdechach, kroczy za nim z zapalniczką w ręce.

- Poświęć pan bliżej, tak w prawo, o... tutaj będzie.

Włochaty dłuższą chwilę grzebie w stercie spleśniałych kartonów, starych butów, szmat i nieokreślonych przedmiotów, z których żaden nie kojarzy się Robertowi z czymkolwiek zdatnym do użytku. Wreszcie wyciąga długi na pół metra, dwuręczny klucz

do śrub. Stalowy pręt z dużym oczkiem pośrodku. Można by tym odkręcać koła od odrzutowca.

- Dwudziestka to raczej nie jest. Więcej tu będzie. Ale innego czego nie mam.

- A śrubokręt jakiś duży pan znajdzie? To się wtedy wepchnie koniec w to oko i będzie...

- Śrubokręt miałem raczej gdzieś w domu. Trzymaj pan! - Mężczyzna wręcza Robertowi wyszperany klucz i wychodzi. Mijając Majkę, która odwraca wzrok, pyta uprzejmie: - Mój napój, jak widzę, smakuje?

- Mam oddać? - Ona prostuje rękę z butelką, patrząc nieco w bok.

- Neeee... nie trzeba. Trochę zapasów mam jeszcze, a pannie, widzę, dobrze robi.

Faktycznie, nawet w nędznym, nocnym świetle widać, że alabastrowa dotąd twarz dziewczyny nabrała rumieńców.

Dreszcze też jej minęły. I kaszel.

Ale Maja nie czuje się zdrowo. Czuje się bardzo dziwnie.

Bywała już pijana, najczęściej po nadużyciu wina, ale zdarzało się jej próbować i wódki. Wiele razy paliła marihuanę, trafiały się skuny od nieznanymi koleśków, skosztowała - może ze cztery razy - haszyszu. Co najmniej raz łyknęła jakieś eksy. Bywała po tych używkach senna, płacziwa, nonsensownie wesoła, maksymalnie szczęśliwa, podniecona albo nawet napalona, zdolna do wszystkich form miłości lub do tańca przez dwadzieścia godzin z rzędu. Niejeden raz wkręcił jej się fatalny lęk. Ten głęboki. Nieraz płakała sama w klubowych toaletach, taksówkach albo na przystanku. Jednak to, co czuje teraz, po wypiciu na czczo półtorej setki siedemdziesięcioprocentowego bimbru, jest doznaniem z innej półki. Umysł Mai Szalawskiej - jasny i maksymalnie uwolniony - krąży nad obolałym ciałem. Jest w stanie tym zmaltretowanym korpusem sterować, ale obrazy, zapachy i dźwięki odbiera bezpośrednio - bez konieczności korzystania z załzawionych oczu, zapchanego nosa i zatkanego uszu. Mózg doskonale odbiera każde słowo i wszystko rozumie. Ze wszelkimi niuansami. No i najważniejsze... tępy, gniotący smutek towarzyszący jej od chwili, gdy po raz ostatni przekroczyła próg domu na Polskiej, został w tym biednym ciele poniżej. Jej myśl - zupełnie swobodna, sprawna i pozbawiona sentymentalnych obciążeń - jest gotowa do użycia.

Maja Szalawska ogarnia całość sytuacji.

Gospodarz, ten król smrodu, który - co oczywiste - ma na imię Stanisław, szuka w domu śrubokręta. Wydaje mu się, że go widział w sieni, ale to nieprawda. Śrubokręt leży w kuchni. Trochę to potrwa, zanim Stachu go odnajdzie.

Robert, przystojny i pocciwy, choć wiecznie lekko wystraszony, przygląda się

uważnie jej twarzy. W jego spojrzeniu jest troska, samcze zainteresowanie i jeszcze coś...

Uznanie?

Ciekawe, czy on słyszy te wystrzały.

- Słyszysz to?

- Co?

- Strzelają. Z broni. Z tamtej strony. Teraz poszła cała seria.

- Nie słyszę... - Robert najpierw zamiera w bezruchu, nawet nie oddycha, a potem wyciąga rękę na południowy wschód. - To dochodzi stamtąd?

- Skoro nie słyszysz, to skąd wiesz?

- Z jak daleka te strzały?

- Jakieś pięć kilometrów. Może więcej.

- Jesteś pijana?

- Raczej tak, ale słuch mam teraz ostry jak brzytwa. - Maja śmieje się krótko i zaraz zasłania usta czerwoną od mrozu dłonią. - Nie tylko słuch.

- Wierzę ci. Tylko się dziwię...

- Że takie mam duże uszy?

-...że to się jednak dzieje naprawdę... i że oni wszystko wiedzą. Skąd, pierdoleni, wiedzą...?

- Z policji.

- Ale jakim cudem reagują tak szybko?

- Na co... reagują szybko?

- Zostawiłem tam, w pustym gospodarstwie, telefon. Włączony. Na wypadek, gdyby było tak, jak podejrzewamy.

- Rozumiem. Widzisz... ja teraz wszystko rozumiem maksymalnie od razu. Ten telefon zostawiłeś włączony?

- Chciałem, żeby...

- Wiem, co chciałeś. Niedobrze, że włączony. Teraz to wiem na pewno. Ale wtedy nie byłam taka mądra. Byłam głupia... Boże! Jaka ja byłam głupia! Gdzie są twoje dzieci?!

- Skąd wiesz...?

- Po prostu wiem.

- Też niedaleko, ale na szczęście w drugą stronę je wywiozłem. W tamtą. Do koleżanki. Dlatego musiałaś na mnie tyle czekać.

- Powinieneś odwieźć chłopców gdzieś dużo, dużo dalej. Ja mogłam jeszcze posiedzieć na stacji ze złotym ty-grys-ep!...kiem. Był ca-łkiem mi-lutki-ep!...eeep! - Maja

zacina się i kilka razy czka, przysłaniając palcami popękane wargi. -...a może już jednak po-czekać nie mogłam? Może byś mnie znalazł zmienioną w sopelek. - Krótki śmiech, właściwie prychnięcie. Butelka wędruje do ust po raz ostatni. Pusta.

- Och... jaka szkoda, że ko-koniec... Nie myśl, że jestem zaaa... zalana. Jestem trzeźwa... ep!...maksymalnie!

- Wieem... znam to. Działa krótko, ale skutecznie. Strzelają jeszcze?

W zimnej ciszy mikroskopijne cząstki lodu lewitują, jakby unoszone księżycowym światłem.

- Ucichło. A wiesz, co jeszcze ci powiem, panie redaktorze?

- Co?

- Bardzo dobrze robią, że strzelają. To znaaa-czy, że ktoś ich wreszcie łapie tych... tych... eep! - Maja nie może skończyć, ponieważ nagle zapada się pod jej umysłem jakaś niewidoczna poduszka powietrzna i jażń na powrót ląduje w zmęczonym ciebie.

Kasze długo, zgięta w pół i podtrzymywana przez Roberta.

Porośnięty szczecinią gospodarz wychodzi na podwórze. W jednej ręce trzyma śrubokręt, a w drugiej - kolejną butelkę. Z ust wylatuje mu zamarzająca para.

- Oooo... co to? Zaszkoziło pannie?

Robert, pomagając Majce w utrzymaniu się na nogach, myśli o zawartości swego telefonu, o Krzysiu, Jasiu i Kamili oraz o tym, że bardzo chętnie by się napił. Chodzi od pół godziny w samym swetrze po mrozie. Dobrze sobie! Przestań...

Wyciąga zgniecione pall malle z kieszeni i bez słowa częstuje podchodzącego wilkołaka. W paczce jest jeszcze jedenaście sztuk.

- Koleżanka już do siebie dochodzi.

- Patrz pan, jaki sprzęt... - Wielgachny śrubokręt w wielkiej, poczerńiałej dłoni jest krzywy i w połowie złamany. Nie ma rączki. - Trudno. Taki musi starczyć. Gdzie wasz wóz?

- Stoi w tamtą stronę. - Robert przejmuje narzędzie, wskazuje kierunek głową i przypala gospodarzowi pall malla. Włochaty wciąga dym z poświstem, stękając, prostuje plecy i przechyla butelkę. Łyka, a potem chucha z głośnym, optymistycznym: „huuu... uch!!”.

- Panienska ma ochotę na jeszcze ździebko?

- Panienska ma wielką... ep! Ochotę. Przepraszam... - Maja oddaje pustą butelkę, którą włochaty po prostu upuszcza i kopie.

- Dawno nie paliłem. Papierosy za drogie - mówi chwilę później, kiedy już idą, Robert z narzędziami na przedzie, Maja w środku, gospodarz z butelką na końcu.

- Po cholere oni te papierosy robią takie cienkie?

- Co pan mówi?!

- Że albo lubisz sobie szczerze zapalić, albo się zaś oszukujesz!

- Aaaaaha... ja się w takim razie oszukuję.

- Źle robisz.

- Źle zrobiłem, jak podłożyłem pod koła deskę z gwoździem w środku. Pan patrzy tutaj...

- No tak... Takie gówno... Lewar ze sobą macie?

- Jest. I kołek nawet mam tu do podłożenia.

* *
* *

Ze zmianą koła mocują się bardzo długo. Najpierw odgarniają śnieg spod przedniego zawieszenia i środka podwozia, potem robią przerwę na bimber i papierosy. Robert korzysta z pauzy, by schować dłonie pod pachami. Nie ma pojęcia, gdzie zgubił rękawiczki. Dłoni nie czuje wcale, szarpiące, nieznośne klucie zaczyna się dopiero gdzieś przy nadgarstkach i sięga samych łokci.

A może ty, chłopie, odmroziłeś ręce?

Maja z gospodarzem przytupują, stojąc jedno obok drugiego po łydki w śniegu.

On zerka na nią, ona stara się patrzeć pod własne nogi i pilnuje, by stać od nawietrznej. Ale butelka zgodnie wędruje z rąk do rąk - osuszyli ją we dwoje już prawie do połowy. Robert przelyka gęstą ślinę. Bardzo żałuje, że nie ma przy sobie choćby gumy do żucia. Albo aspiryny. Albo termosu z herbatą. Zapach zupy w kuchni u Kaliny atakuje go na krótką chwilę i natychmiast znika zastąpiony odorem gospodarza.

- No to dalej! - Włochaty klaszcze w ręce, dając do zrozumienia, że czas się wziąć do odkręcania koła. Robert ma wrażenie, że gdy sam klaśnie, jego dłonie rozpadną się jak porcelana.

Klucz do śrub - zgodnie z jego przewidywaniem - jest o kilka numerów za duży, w dodatku zaokrąglone główki, do których muszą się dobrać, tkwią głęboko we wklęsnięciach felgi. Mimo wszystko z pomocą dobitego lewarem śrubokręta, naciskając na klucz we dwóch, kopiąc i klnąc, odkręcają wszystkie pięć nakrętek. Potem lewar wędruje pod auto, a pod niego - łopata bez trzonka, żeby się wszystko nie zapadło. Wspólnymi siłami podnoszą dodge'a, Robert zdejmuje koło, wilkołak nakłada nowe - i znowu dziesięć minut kręcenia. Śrubokręt wypada ze zgrabiałych dłoni, nakrętki stawiają opór. Po wszystkim Robert ma mokre czoło i dłonie poranione do krwi. Już wcześniej pozdzierał skórę, teraz jeszcze oderwał mu się paznokcie. Wisi w poprzek palca, wygląda obrzydliwie.

Urywa go do końca. I tak nic nie czuje. Wsiada do samochodu i zapala silnik. Zegar

pokazuje kwadrans po jedenastej. Ustawia maksymalny nawiew na szybę, która już zdążyła pokryć się szronem, i wysiada z kabiny. Z pomocą włochatego wrzuca na pakę przebite koło, potem lewarek i to, co zostało z łopaty. Majka pociąga ostatni łyk alkoholu. Podaje gospodarzowi prawie pustą butelkę i czubek dłoni na pożegnanie.

- Dziękuję panu za poczęstunek. Chyba uratował pan mi... ep! życie. Dziś od rana różni ludzie i przypadki mnie ratują.

- No bywa tak, bywa czasami... Niech pani już lepiej poszuka ciepłego łóżka.

Robert jeszcze raz wyciąga paczkę z pall mallami. Zostało siedem sztuk.

- Może chce pan na potem?

- Daj pan dwa. Mogę się też trochę pooszukiwać. Wystarczająco tu szczerą prawdę dookoła mam. Sami widzieliście.

- Możemy się jakoś bardziej odwdzięczyć? - Ręka położona na kieszeni dżinsów jest samotłumaczącym się gestem, ale gospodarz tylko przeciąga czarno-brunatną dłońą przed oczami Roberta, jak gdyby ścierał mu pomysł z czoła.

- Nie trzeba pieniędzy. Uważajcie po drodze.

- Jeszcze raz dziękuję.

Wilkołak unosi butelkę na pożegnanie. Pod futrem na twarzy nie widać, czy się uśmiecha.

Maja już siedzi w samochodzie.

- Co mi się tak przyglądasz po ojcowsku?

- Mów mi o tym Igorze Cezarze.

- Wiktorze Cezarze.

- Niech będzie.

Robert przeciera rękawem swetra mokrą szybę przed nosem i rusza powoli z drugiego biegu. Wbrew jego obawom auto bezproblemowo wydobywa się z głęboko rozkopanego grajdoła. Na czterech sprawnych, osobno napędzanych kołach jazda po zasypnym na prawie metr polu - wcześniej koszmarna - teraz zdaje się spacerkiem.

- Wszystko ci powiem, ale musisz mi obiecać, że najpierw pojedziemy po twoich synków.

- Co?!

- To, co słyszałeś.

- Przecież ty musisz jechać do lekarza. Mieliśmy się zobaczyć z prawnikami...

- Żaden lekarz mnie pijanej nie przyjmie. Przesłuchania też będą musiały poczekać.

Aż panna Maja wytrzeźwieje! A tak w ogóle, to nie chce mi się spotykać. Chciałabym pospać

w ciepłym łódeczku. Tak jak pan z futerkiem na nosie mi radził.

- Niezły był egzemplarz... co? Takie cuda tylko na Kujawach.

- Czyli się zgadzasz, tak? Jedziemy po twoich bojsów. Postanowione!

- Nic nie jest postanowione. Poza tym, że jesteś coraz bardziej pijana.

- Zazdrościsz?

- Całym sercem.

- To nie ma dla twojego i mego bez... bezpieczeństwa żadnego znaczenia, jaka ja jestem. Tutaj za... za dużo strzelają w okolicy. Jak wy-wyjeżdżamy z terenu bitwy - to wszyscy za jednego i jeden za... eep! Za wszystkich. Jedziemy po małych Pruskich.

- Może i masz rację. - Robert łagodnie zakręca. Nie zdejmując nogi z gazu, kreśli na zaśnieżonym polu szeroki łuk. - I tak coś czułem, że nie dam rady spędzić spokojnie tygodnia. Skoro nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło, dlaczego by tym razem miało?

- Teraz chcesz wjechać na moje pooo... poczucie winy?!

- Nieee... To fatum. Za każdym razem, kiedy planowałem coś zrobić wspólnie z chłopakami, dosłownie za każdym... coś mi wypada.

- Może ty chcesz, żeby tak było. Nie musiałeś mi pomaagać... - głos Majki wyciąga się, jakby taśma z nagraniem zwalniała.

- Nie musiałem, chciałem. Poczułem miły smak lufy w ustach.

- Smaaaak...ep! Ssmak czego?!

- Życie na trzeźwo jest nudne, dlatego chyba... tak wchodzę w różne awantury - rozumiesz?

- Doooooskonaaaale. - Maja obciera rękawem żółty gil spływający z nosa. - Mnie w życiu jeden tylko Paweł nie nudził. Reszta była taaaka banaalna... ep! Taka jałowa. A teraz Pawełka nie ma, a mnie... nie chce mi się już... ep! Będę rzygać!!

Robert zatrzymuje samochód, ale jest za późno. Z ust Majki na drzwi, szybę i jej własne kolana tryska fontanna. Bukiet zapachów w aucie - cały czas unosi się tu jeszcze woń, którą przynieśli z domu Wilkołaka - robi się trudny do zniesienia.

Robert zapala papierosa. Maja dokańcza na zewnątrz. Potem przeciera twarz śniegiem. Trochę puchu zjada.

- Przepraszam. Już mi dobrze. Wytrzeźwiałam do końca.

- Tak się wydaje. Wsiadaj.

- Wszystko tu zapaprałam.

- To nie mój samochód.

Robert wrzuca jedynekę i rusza. Jeśli wziąć pod uwagę pokrętną trasę, jaką pokonali

od stacji PKP, to jadąc konsekwentnie ku Wiśle, muszą natknąć się na drogę do szkoły jogi.

- Mów mi wszystko o Wiktorze!

- Cezar to jest, jeśli go kojarzysz, taki trochę Książę z bajki o Shreku. Zgooglowałam koleśka dokładnie. Ciekawe miał baaar... ep! bardzo ciekawe początki. Przyjęli go na prawo w Gdańsku z listy rektorskiej po interwencji taty, sędziego z Gdyni. Gazeta to opisała, ale i tak się po kościach rozeszło. Chłopak został nawet przewodniczącym samorządu. Zdjęli go po paskudnej aferze w night clubie. Wiktor i jego koleś podejrzewali, że laseczka, Bułgarka, którą obrabiali na dwa baty...

- Panno Maju... co za słowa?

-...podprowadziła jednemu obrączkę, a drugiemu - zegarek. Pobili tę biedną dziewczynę. Maksymalnie okrutnie. Ktoś usłyszał jej wrzaski, przyjechała policja, były badania, rewizje i tak dalej. Zegarek Cezara się nie znalazł. Przy okazji wyszło, że obydwaj byli zdrowo nagrżani amfą.

- Rozumiem, że Wiktorowi znowu się udało.

- Jemu tak. Tylko poszła służbowa notka, że Wiktor C., student, został zawieszony w prawach... - Maja mówi teraz głośno, wyraźnie, bardzo szybko. Już nie ma czkawki. Można by sądzić, że faktycznie gwałtownie wytrzeźwiała, ale to tylko chwilowa zwyczajka formy po pawiu. Potem nadejdzie wycieńczenie. - On przyniósł sądowi zaświadczenie, że poddał się terapii na jakiejś grupie dla tych, co po raz pierwszy weszli na drogę przestępstwa. Wystarczyło... Prawie dwa lata po tej aferze jest tylko jeden krótki post na forum - znalazłam go całkiem przypadkiem - że co za granda, bo ten od obrączki został skazany za Bułgarke, a przecież on tylko przytrzymał. Natomiast główny sprawca, czyli Wiktor, syn sędziego, który kopał... dlaczego on jest wolny? Wyglądało to, jakby ten tekst pisała jakaś siostra czy matka tego drugiego koleśka, a potem sama go usunęła z forum. Ale ja akurat najbardziej lubię odkopywać te posty, które autorzy usuwają... Dalej o Wiktoru długo, dłuuuugo nic w sieci nie ma. Następne info znalazłam o pięć lat późniejsze, kiedy już wypłynął jako aplikant adwokacki w kancelarii pana Jana Jacentego Jakubowskiego.

- Tego akurat kojarzę. Bogaty kolekcjoner. Ma Vlamincka, Légera... Największa polska kolekcja kubistów. Poza tym zbiory mikroskopów, chińskiej porcelany, średniowiecznych...

- To też wiem. W tygodnikach piszą o nim: „artysta palestry”. Przyjaciół marszandów, reżyserów i malarzy. Ma zdjęcie przy stoliku z Polańskim.

- Romanem?

- No, a jak myślałeś? I lepiej posłuchaj o tym, co tylko ja znalazłam. - Maja wyciera

cieknący nos wierzchem dłoni. Zapala światło pod sufitem, by przeszukać wnętrze dodge'a - a nuż walają się tu jakieś chusteczki? Niestety - nie ma żadnych. Nawet jednej starej gazety. Trudno.

- Odkryłam, że Jakubowski ma nieruchomości w Portugalii, Hiszpanii, a w Grecji i Szwecji własne wyspy.

- W Szwecji?!

- Tak... bardzo blisko Sztokholmu. To jest jeden z najbogatszych Polaków, tylko że koleś nie ma majątku na siebie, ale na firmy, które mają udziały w firmach, które mają...

-...udziały w innych firmach...

-...i tak dalej. A dopiero czwarta czy piąta spółka z kolei ma konkretny majątek: na przykład całe kondominium w Marbelli. Pięćdziesiąt apartamentowców przy bulwarze Księcia Alfonsa. I każdy na mecenasa pracuje.

- Zastanawiające, że taki ktoś w ogóle chodzi do pracy... I jeszcze bierze sobie za aplikanta łobuza z wyrokiem.

- Bez wyroku.

- Ale z brudem. Narkotyki, bicie Bułgarki...

- Sam widzisz... Ktoś mocny stoi za Cezarem.

- Tatuś sędzieja.

- To za mało. Ja też mam ważnego papę. Nie zawsze pomaga. Cezara podtrzymuje jakiś większy koleś.

- Dlaczego? - Robert uchyla okna, by trochę wywietrzyć smród. Pokrwawione dłonie odzyskały czucie i teraz straszliwie go swędzą, ból z zerwanego paznokcia narasta i słabnie. Spróbuj polubić to uczucie, człowieku... niech cię rozgrzewa. Pomyśl, że nie masz jeszcze raka, to będzie ci lepiej.

- Słuchaj mnie dalej. Słuchasz? W dwa tysiące jedenastym Cezar został współnikiem kancelarii. Jednym z czterech. Od tego czasu on i Jakubowski sporo osiągnęli. Trudne, głośne sprawy, duże nieruchomości i energetyka. Między klientami mają szejków arabskich, amerykańskich producentów filmowych, polskich polityków, światowe agencje reklamowe, nawet kurię kościelną i jeden bardzo dziwny bank. Pytasz, po co on chodzi do pracy? No, między innymi po to! Polska Spółdzielcza Kasa Kredytowa z Sopotu. Każdego, kto pisze o niej, że to piramida finansowa, kancelaria Jakubowskiego natychmiast pozywa - jak dotąd skutecznie. Trójmiejscy prawnicy na wewnętrznych forach piszą o nich „nietykalni”.

- O banku czy o kancelarii?

- O jednych i drugich. Panowie kancelaria budzą zawiść i podziw.

- Czy my stąd, kurwa, nigdy nie wyjedziemy?!

Robert zwalnia, dojeżdżając do ciągnącej się w poprzek wielkiej, białej wydmy. W blasku księżycy widać, że wiatr stworzył tu ze śniegu coś na kształt długiego łańcucha wzgórz ostro ściętych akurat od ich strony. Przeszkoda ciągnie się w obu kierunkach: prosto, długo, daleko. Nie ma mowy, by na nią wjechać. Suną powoli wzdłuż srebrzystej ściany, szukając jakiegokolwiek obniżenia.

- Przydałaby się mapa w telefonie, co?

- Dużo rzeczy by się przydało. Na przykład jedno grzane piwo... Opowiadaj.

- Od półtora roku Cezar bryluje maksymalnie w kolorowych magazynach. - Maja wciąga stopy na pobrudzony fotel i mówi już nieco wolniej, ciszej, jakby spirytusowy napęd się wyczerpał. Znowu pociąga nosem. - Znalazłam wywiady z nim na stronach „Gali”, „Pani”, „Modnego Domu” i tylu innych, że już mi się nie chciało wszystkiego czytać.

- Kiedy to posprawdzałaś?

- Przedwczoraj w nocy. Gdy policjanci wygarnęli z łóżek Synów, myślałam przez chwilę, że cała moja teoria to śmieci. A potem coś mnie tknęło, by jednak grzebać dalej. Poczytałam między innymi o tym, jak się spotkali - prezydentówna Kasia i nasz piękny Wiktor. Ale te zdjęcia to nawet ty musiałeś gdzieś widzieć...

- Maju kochana, skoro już wiesz, że mam dwoje dzieci, to jeszcze cię informuję, że mam także trzy miejsca, w których śpię, a żadne nie jest moim domem. Mam dwie kobiety, była żonę...

-...i słynną Iwonę.

-...oraz dwie stałe posady, a jeszcze czasami dorabiam na boku... i niekiedy ratuję z opresji lekkomyślne warszawianki z bogatych domów. Mam prawo nie śledzić perypetii córy panującego.

Gigantyczna zaspą nie chce się jakoś skończyć. Mało tego: zrobiła się jeszcze wyższa. Robert czuje narastającą irytację. Kierownica klei się od krwi. Odór wymiocin - mimo uchylonych okien - mdli. Na liczniku już ponad dziesięć przejechanych mil. I ciągle kręcą się koło cholernego Anina.

Maja nie przestaje mówić. Rozpięła kurtkę, nawet ją trochę z siebie zsunęła.

- Tak naprawdę to nic ciekawego, choć naród ma najwyraźniej inne zdanie. Poznali się na nartach wodnych. Tam im zrobili słynną sesję. Piękny Wiktor, prócz różnych innych umiejętności, jest świetnym żeglarzem i licencjonowanym instruktorem...

- Neeee nooo! To już możesz mi darować.

- Ale ta zbieżność w czasie jest ważna. Od przedostatnich wakacji na motorówkach

Cezar kręci się wokół panny Katarzyny, zabiega o nią maksymalnie. Pokazują się na imprezach i szpanerskich eventach, wszędzie mówi, jak bardzo kocha. Po prostu: żenua... A jednocześnie obaj z Jakubowskim zaczynają rejestrować te spółki, co wiesz: GRA, GAR, ARG i tak dalej. Wiktor bierze je wszystkie na siebie.

- Sprawdziłaś, czy mają kredyty w tej całej... jak jej tam... Kasie z Sopotu?

- A żebyś wiedział, że mają. I to jest nawet w rejestrze.

- Wiesz, co mi przyszło do głowy? - Robert najpierw zwalnia, a potem rozpędza się, gdy dojeżdżają do punktu, w którym zasy opadają na tyle, że można zaryzykować przejazd. Dodge wcina się w zbity śnieg, ramy podwozia stękają z wysiłku, ale... jakoś idzie. Tyle że głośno.

- Co ci przyszło do głowy?!

- Że za naszym Wiktoorem wcale nie stoi jego tata, tylko pan mecenas Jakubowski właśnie! Najpierw pomógł studentowi wygrzebać się z kłopotów po aferze z Bułgarką, potem miał go już na usługi! Nie zrobił mu żadnej łaski, przyjmując do kancelarii, tylko go wykorzystuje! To Jakubowski kręci lody z jednej strony z tym całym lobby antyłupkowym, a z drugiej - z facetami, którzy cię właśnie ścigają. I mnie! On pośredniczy i załatwia finansowanie! A Cezar to jest jego słup!

Mają przez chwilę ssie palec. W świetle spod sufitu widać, że znowu zbladła i ogólnie wygląda coraz marniej. Tylko oczy jej błyszczą od przyswojonego wcześniej bimbru, z gorączki i z podniecenia.

- A ty wiesz... że to jest całkiem możliwe?! Prywatnych szczegółów na temat Jakubowskiego jest w sieci bardzo mało. Podejrzenie mało. Zero życiorysu! Natomiast sprawy, które on prowadzi... same z górnej półki! Dużo przed zagranicznymi sądami. Różne arbitraże, kosztowne doradztwo i te rzeczy. Przynajmniej dwa razy klienci z Kataru i wielkie ruskie firmy!

- Gazprom?!

- Tak prosto to nie... głównie nic niemówiące w Polsce nazwy. Dixis, Uralio-inform, Grupa Sivianit. Ale to maksymalne giganty! I faktycznie przeważa branża energetyczna. Rurociągi, kopalnie gazu ziemnego, pola naftowe i rafinerie. Sprawdzalam w Yandeksie.

- W czym?

- W ruskim Google'u!

- I co?!

- Niewiele znalazłam. Zasnęłam.

Zaspa łagodnie opada na pole, które układa się przed nimi w wielką nieckę.

Na ciemnym horyzoncie majaczy jeszcze ciemniejszy grzebień. Zarośla? Drzewa? Słupy? Budynki? To może być Anin.

- Wszystko się klei. Popatrz sama. Koncerny energetyczne nie mogą bezpośrednio opłacać tych, co robią brudną robotę. To byłoby zbyt czytelne. Więc płacą najpierw Jakubowskiemu. Też nie wprost. Wklejają kasę poprzez ten parabank. I wszystko gra! Panowie od produkcji i handlu energią są czyści.

- Lata dobrego PR-u i udało im się wmówić ciemnemu ludowi, że ekologia to pokój. I nikomu nie przychodzi do głowy, że kiedy koleś stawia za miliard euro i na kredyt maksymalnie wypasioną fermę wiatrową na morzu, a ona ma się zwrócić w dekadę, to dla niego jest sprawą życia i śmierci, żeby opóźnić gaz z łupków choćby o rok.

- Mecenasy ustawili sobie supersłupa. Po ślubie z Kasią Cezar będzie nie do ruszenia. Spółki Cezara po prostu biorą kredyty w banku i z nich finansują machloje, naciski, przekupstwa...

-...zamachy.

- To jest akurat dziwne, że tak daleko poszli. Prawnicy, białe kołnierzyki, białe rękawiczki, białe... - Robert przerywa w pół zdania, bo w świetle reflektorów pojawiają się czarne koleiny drogi. I znajomo wyglądający porzucony traktor. A za nim - mijana dziś rano rudera. - Ufff... wiem, gdzie jesteśmy.

- Ile jeszcze?

- Pytasz jak moje dzieci. Trzy, cztery minuty. Najwyżej pięć.

- Wiesz, co mnie przy okazji zastanawia? Zobacz tylko... Ślub jest zapowiadany już co najmniej od miesiąca. Czy nie ma w tym kraju jakichś służb odpowiedzialnych za to, żeby prześwietlić kolesia, który ma się wżenić w rodzinę panującą?

- Może i są, ale skoro nasza Kasia taka zakochana...

- A jacyś dziennikarze? Przecież cała ta przeszłość Cezara to risercz na dwie godziny szukania w sieci. Nikomu się nie chciało?

- Nie każdy jest taki zdolny jak ty. Łatwiej pytać o sukcesy w pływaniu na nartach. Dziennikarstwo śledcze umarło, to akurat powinnaś wiedzieć...

- Paweł mówił dokładnie tak samo. - Maja opuszcza głowę nisko między uniesione kolana. - Dlaczego to, kurka, jest wszystko takie... smutne?

- Poziom alkoholu przestał ci rosnać. - Robert zlizuje własną krew spływającą z nadgarstka na spodnie. - Najgorzej będzie, jak zaczniesz trzeźwieć. Musisz jakoś przetrwać.

- Żeby przetrzymać, trzeba mieć nadzieję na zmianę, Robert. Ja nie mam. Paweł nie żyje i nic mi go nie zwróci. Beata zginęła przeze mnie. Boję się. Rozumiesz?

- Rozumiem doskonale, że masz zjazd. Ale spróbuj popatrzeć w ten sposób, że w ogóle żyjesz. Jutro zjesz jajko na śniadanie. Umyjesz włosy. Wypijesz kawę. Kupisz nowe skarpetki. Za tydzień minie ci kaszel. Zobacysz śnieg albo deszcz, albo biały obłok. Ja mam już grubo ponad czterdzieści lat, w tym wieku znasz setki osób, niektórych od podszewki. I ilu jest szczęśliwych? Właściwie nikt. Ale są...

- Cooo tooo jeeest?!! - Maja pierwsza słyszy gwałtownie narastający dźwięk motoru, który dobiega z prawej strony i zarazem od tyłu. Odwraca się przez ramię i dostrzega nieoświetlony, półciężarowy samochód, który - jadąc piekielnie szybko i z ukosa - wypełnia sobą cały widok w tylnym oknie. Chce jeszcze raz ostrzegawczo krzyknąć, jednak tylko piszczy przeraźliwie, gdy taranujący ich transporter zaopatrzony w grube przednie rury miażdży blachy dodge'a i wgniata do środka szkło.

Robert odruchowo wciska hamulec - a powinien przyspieszyć.

Gdyby dodał gazu, może by uciekł. Może by z tego wyszli bez szwanku.

27.

Silnik zgasł, a uderzony w bok pikap zarył w miejscu wśród skotłowanej bieli i brzęku spadającego szkła. Robert od razu wciska sprzęgło i ponownie odpala motor, lecz Arsen wypada na zewnątrz, zanim koła dodge'a skończą pierwszy, jeszcze nadaremny obrót. Od zderzenia minęło półtorej sekundy.

Maja siedzi w fotelu odwrócona plecami do Roberta, który nad jej ramieniem widzi biegnącego i strzelającego mężczyznę o czarnych włosach. Równie z huknięciem wystrzału - i tuż przed oczami - biała szyja dziewczyny wybrzusza się ponad łopatką. Spomiędzy jasnych włosów i strzępów materiału wygląda czerwona głowa węża, który - rozwarłszy paszczę - wypływa pocisk.

Kula - jasna i widoczna w ciemności - przechodzi tak blisko lewego oka, że Robert nie tylko czuje dmuchnięcie, ale i też widzi obły kształt. Tak mu się przynajmniej wydaje.

Szyba za jego głową rozsypuje się w drobny mak.

Mija kolejne pół sekundy.

W tym czasie Arsen robi dwa kroki, a ciężkie koła dodge'a obracają się wokół własnej osi siedem razy. Coś chrupie pod podwoziem i samochód rusza. Druga z posłanych przez Arsena kul nie uderza w głowę Roberta chyba tylko dlatego, że całą przednią część kabiny pikapa wypełnia już rój odłamków szkła, kropel krwi, płatków śniegu i lodowych igiełek.

Po prostu nic tam nie widać.

Kolejne ćwierć sekundy.

Trzecia kula - rykoszet od słupka karoserii - odbiera Robertowi wzrok. Ale nie odbiera świadomości. Ciemność przed oczami na moment robi się karmazynowa i połyskująca.

Następna sekunda wydaje się długa jak wieczność.

Mocny silnik dodge'a porywa ich wreszcie do przodu, maska wozu unosi się i opada, Robert słyszy bardzo bliskie, krótkie trzaski i odgłos kojarzący się z gulgotaniem indyka. Ból obejmujący czaszkę, szyję i ramię wyłącza wszystkie inne bóle. Już nie ma zmarzniętych stóp, poranionych dłoni, oberwanego paznokcia. Jest ślepotą, brak tchu i narastający strach. Ale stopy oparte na pedałach robią swoje, jedna ręka wrzuca wyższy bieg, druga przeciera śliską twarz i - mokra, klejąca - znowu chwyta kierownicę.

Robert coś już widzi. Głównie różowy kurz. Czuje, jak krew wlewa mu się do nosa. Mruga, potrząsa głową, łapie powietrze ustami. Szkarłat zalewa szeroko otwarte oczy, pieni się na wargach.

Ona leży u stóp fotela. Jak wgnieciona w podłogę. Wykręcona noga, podeszwa buta wyżej niż głowa. Twarzy nie widać - tylko rozrzucone, sklezione krwią włosy i zupełnie nagie ramię wyrzucone spod kurtki.

- Jesteś?!

Coraz szybsza jazda po omacku, jego śliska ręka dotyka czoła miękkiego tam, gdzie powinno być twarde, ból skacze ku szczytowi skali. Mam rozbitą czaszkę?

Jeszcze gazu! Perłowe pole przed nimi, czerwone pole z tyłu. Gdzie on, kurwa, jest?! Został tam?

- Odezwij się!!

Wóz cały dygoce na granicy rozpadu. Wiatr na twarzy, śnieg w kabinie, gorąco rozlewające się pod czerepem, elektryczne mrowienie gdzieś między piekącymi oczami a potylicą.

- Mów mi, czy żyjesz!

Ręka Majki wyciągnięta w górę, rozwarte palce unurzane we krwi.

- Co ci jest?!

Cichy, długi syk.

- Pokaż mi twarz!

Białe pole opada w lewo i na dół. Gdzie on jest? Gdzie są kierunki? Jak najdalej od Kaliny i dzieci. Do szosy, do Wisły, gdziekolwiek.

- Maja!!!

Dłoń Majki na jego udzie. Ścisła i puszcza, i zaciska znowu.

On obraca się za siebie przez prawe, potem przez lewe ramię. W szkarłatnej ciemności nic nie widać.

- Kurrwaaaa!!!

Dodge wyskakuje w górę na wielkiej przeszkodzie schowanej pod śniegiem. Głaz albo pień leżącego drzewa o mało nie odrywa przedniej osi. Gdy z hukiem spadają na koła, fotel pod Robertem zapada się, trzeszcząc. Twardy drut - pręt, stelaż? - wbija mu się w plecy. Teraz już nie siedzi, tylko wisi wsparty na pedałach i kole kierownicy. W lewym lusterku - purpura, czerń i biel. Wsteczne - stłuczone w pył. Prawego nie ma. Dwa różne bóle w głowie zlewają się w jeden narastający. Startujący pod czaszką odrzutowiec, wielki wodospad albo wiertarka. Krew ciekąca z rany na czole znalazła sobie drogę w dół po brodzie i spoconej szyi. Swędzi.

- Gdzie ten skurwysyn jest?! Widzisz?! Możesz wstać? Możesz pomóc?!

- Neeeeee - szept Mai jest świszczący i nierzeczywisty, jak głos węża z filmu o Harrym Potterze, który Krzysio obejrzał już sześć razy.

Światła ścigającego auta pojawiają się z prawej strony. I szybko zbliżają. Robert odbija w lewo. Trzeci bieg, pięć, sześć, siedem tysięcy obrotów, prędkościomierz nie działa. Dłoń Majki opada.

- Powiedz coś do mnie!!

- Nie zosssstawiaj mnie tu... proszszszę... duszszszę ssssię...

Niskie, splątane zarośla. Nie zwalnia. Samochód rzuca się na boki, gałęzie chłoszczą, oderwane od nich sople pękają wewnątrz kabiny, wszystko wiruje. Za krzakami - gęste pnie młodych drzew. Za późno, by zawrócić. Niższy bieg, pedał gazu wciąż wbity w podłogę, seria zderzeń, przednie reflektory pękają, ciemny, niski lasek rozświetlony teraz lampami zza pleców. Ścigający jest już nie dalej niż o pięć metrów.

Nie wyjdziemy z tego.

Mają coś szepce, ale nie słyszą co.

Grunt spod lewego koła umyka, przechył rośnie, zmiażdżone lusterko wpada do wnętrza razem z kawałem gałęzi, ostry spadek w dół i zjazd - zupełnie niekontrolowany i szaleńczy. Lód wciska się z boku do środka wielkimi bryłami. Masa omal nie urywa Robertowi ramienia, gdy wyłamuje oparcie fotela i zabiera je ze sobą gdzieś w tył. Spadają dalej przewróceni na bok. Bezwładna Majka leży teraz na kolanie Roberta, który próbuje zasłonić łokciami i głową ich oboje, bo przedniej szyby już nie ma. Lodowe odłamy i zmarznięte błoto wdzierają się przodem. Coraz głośniejszy zgrzyt rwanej blachy, nagle zderzenie ze ścianą... Z ziemią?! Czarna gruba dzida przechodzi przez kabinę na wylot

i wyszarpuje pól sufitu, który teraz jest ścianą. Moc giganta kręci samochodem. Co to było? Drzewo? Gdzie jest góra, gdzie jest dół?!

Nadal spadają. Nogi Roberta szukają pedałów, lewa dłoń - oparcia, prawa - drążka biegów. Silnik cały czas pracuje, drążek złamany, masy lodowo-kamienistej brei napierają ze wszystkich stron. Miażdżą i Majkę, i jego - aż nagle przestają.

Wokół idealnie gładka płaszczyzna zamrożonego, wiślanego rozlewiska w spokojnym, srebrnym świetle księżyca. Ścięte mrozem karpy i łoziny wystają nad tafłę lodu. Bliska ściana suchych trzcina, tataraków i turzyc.

Idylla.

Samochód w jakiś niewytłumaczalny sposób ponownie jedzie, ale już nie na kołach, tylko na tym, co z nich zostało. Przednie obręcze i bębny są zdeformowane, odwłok osiadł na gołych, stalowych flakach, które przecinają lód. Dymiący, odsłonięty silnik strzyka gorącym olejem, coś w nim płonie. Maja - wczepiona w Roberta - łapie powietrze szeroko otwartymi ustami. Pod brodą rośnie jej monstrualny, krwawo-łososiowy bąbel.

Światło atakującego furgonu - jedna goła żarówka - błyska bardzo blisko. Robert czuje wściekłość rozrywającą trzewia i coś jeszcze. Tył auta zapada się pod lód.

Koniec? Nigdy! Skurwysynu pierdolony, nie zabijesz nas!

- Duszszszę sssięęę...

- Wytrzyyyymaaj!!

Skręt w prawo, kierownica nie słucha, on nie ustępuje, wiesz się na niej, wybijając nogą drzwi. Ogień z silnika tryska płonącym gejzerem, robi się jasno. Świetlisty deszcz skwierczy na skórze porozcinanych rąk, na mokrej twarzy Majki, na jej zabloconych, zmierzwionych, zakrwawionych włosach. Lód pęka, tłoki dodge'a stają, tył już do połowy w wodzie, przód opornie się obraca, prędkość spada, furgon o trzy metry, w stopklatce widać kierowcę: śniady typ o długim nosie i szeroko rozwartych oczach, czarnych jak wloty tuneli.

* *
*

Gdy do Arsena dociera, że dziewiętnasty go taranuje, zaczyna hamować, odbijając jednocześnie w prawo. Za późno. Samochody zderzają się z armatnim hukiem, a lód w promieniu kilkunastu metrów pęka w jednym wielkim, wielokrotnie rozgałęzionym trzasku.

Żurnalista-piżdzielec wyskoczył pół sekundy wcześniej. Kiedy grzmot zderzenia przetacza się nad pękniętą taflą, odciąga bezwładną dziewczynę, a potem - gdy sam już zapada się w rozlewisku - wypycha ją na odłamana, chwiejącą się krę. Arsen nie patrzy. Zacisnął powieki, napierając na lewe drzwi, woda wlewa się niepowstrzymaną kaskadą przez

prawie, już oderwane. Volkswagen, przechylony najpierw na bok, a zaraz potem - na dach, zaczyna tonąć wśród wielkich bąbli wybuchających na powierzchni rozlewiska.

Tuż obok - w kałuży płonącego paliwa - tonie fioletowy pikap.

28.

Czwartek, 19 lutego

Robert - uwolniony od ciężaru Majki - walczy o życie w lodowatej toni. I przegrywa.

Ciężkie ubranie, ciężkie zmęczenie i woda ciężka jak ołów. Nawet powietrze jest śliskie niby szkło. Ucieka z płuc. Już na nic innego prócz oddychania nie starcza sił. Przeszywający ból paraliżuje go od palców stóp po stwardniały nagle mózg. Nie widać Majki. Nie ma powietrza.

Przed paroma sekundami wystawiał ponad lodowatą toń głowę i raz jedną, a raz drugą rękę, teraz z rozbełtanej kipieli wynurza już tylko środek twarzy. Jeszcze jeden oddech. Ssie powietrze z całych sił, nogi ciągną go w dół bez dna. Chwila bezruchu, chwila odpoczynku, przecież znieruchomiałemu każdy wdech starczy na dłużej. Zimno i cicho... Jak szybko się zamarza? Zamiast przelatujących przez głowę scen z całego życia Robertowi przypomina się czytany przeszło dziesięć lat temu reportaż znad Bajkału.

W przechłodzonej wodzie można skonać w czterdzieści sekund.

Ile już minęło?

Idzie na dno. Spada tym niżej, im więcej dużych, połyskliwych bąbli ucieka z ust. Woda w nosie i gardle. Parzy. Piecze. Dostyc tego... Najlepiej nie ruszać się - tak dobrze. Ciemno, czarno, jeszcze ciemniej. Nad głową zamyka się lód. Pod nim - wewnątrz owalnej wieży.

Spiralnie ułożone pomieszczenia.

Cele w cylindrycznym więzieniu? Sale we wnętrzu Wieży Babel? Kręgi piekła?

Spadając jak liść środkiem spirali, widzi wiele znajomych twarzy. Major Suchynin, nieżyjący Białorusin, były dowódca samodzielnej kompanii specnazu, krwawy wariat i amator smażonych łechtaczek. Grzesio Kopciński, ten cholerny karierowicz, sam sobie winien. Potwornie wyniszczony Haczyk, jednooki student, wychowanek toruńskiego sierocińca, który nie wytrzymał ciśnienia egzystencji. Jarek Bieliński, ziomek z piaskownicy, który prześladował, dręczył i straszył Roberta utopieniem w stalowej beczce ze smołą, gdy mieli po dziewięć lat. Zmarły ojciec taki, jakim go zapamiętał: ze łzami oczach i ściśniętą ze złości szczęką. Jeszcze ktoś niegdyś bliski, bardzo ważny... kobieta w męskim ubraniu.

Powinien ją od razu rozpoznać, ale nie poznaje, bo odwrócona jest tyłem i w dodatku z każdą chwilą coraz mniejsza.

Zbliża się do niej, właściwie podpływa w mieszaniu wody, powietrza i pary, goni płynnymi ruchami, lecz ona - odymiona i oszroniona zarazem - nadal umyka, prowadząc go już nie w dół, tylko jakoś tak w bok, w stronę panoramicznego ekranu wypełnionego turkusowym światłem nie z tej ziemi. To Majka?!

Maaajaaa!! Poczekaj! Dokąd?! Nie idź tam! To zasadzka!!

Ubrani w ciemne mundury żołnierze - a może strażacy - otaczają ich oboje w zimnym świetle gigantycznego telewizora, który nie pokazuje żadnego programu. Porywają i niosą gdzieś na zaplecze. Jedne wahadłowe drzwi, drugie, trzecie. Jasne światła. Będą robić operację. To nie są strażacy. To są lekarze. Dobrzy ludzie. Dadzą zastrzyk i zacznie się prawdziwy sen. O dojrzewających pomidorach, toczących się po kuchennej podłodze kolorowych kłębkach wełny, o ciepłych, kobiecych ustach. Będzie nareszcie przytulnie i przyjemnie.

* *
* *

Pokój rzeczywiście wygląda na salę szpitalną.

Mleczne ściany, wysoki sufit, duże płaskie lampy, teraz świecące tylko w połowie. Oprócz łóżka, w którym leży, są jeszcze dwa inne, puste. Nad jego głową jakieś elektroniczne urządzenie z pochylonym ekranem i mnóstwem luźno zwisających kabli. Kroplówka na białym, plastikowym stojaku zaopatrzonym w gumowe kółka. Poza zasięgiem ręki aluminiowy wózek, taki, jakiego używają do zwożenia naczyń w stołówkach. Na nim kilka plastikowych pudełek, zasobnik na fiolki, kupka ręczników i coś, co wygląda jak kasa fiskalna skrzyżowana z konsolą do gier - zapewne ciśnieniomierz. Za wysokim oknem do połowy zasłoniętym pionową żaluzją ultramarynowe niebo i czarny czubek świerka. Świt albo zmierzch. Jest zupełnie cicho. Żadnych odgłosów z korytarza, żadnych kroków za ścianą, żadnego trzaskania drzwiami.

Robert czuje chłód, choć w pomieszczeniu nie jest zimno. To jego wewnętrzne wyziębienie. Próbuje ruszyć najpierw lewą, a potem prawą nogą. Podciąga, prostuje. Jest okej. Teraz ręce. Obie są zabandażowane do łokci, z lewej ciągnie się wenflon, który łączy go z dyndającym na plastikowym stelażu przezroczystym woreczkiem.

Dotyka głowy prawym przedramieniem. Coś jakby turban na czole. Zamyka oczy i znowu jest w ciemnej, lodowatej wodzie.

Kaszele. Zapaliłoby się papierosa.

Krzysio i Jasio. Co z nimi?

Siada na łóżku i dopiero teraz dostrzega, w co jest ubrany. Za duża o kilka numerów flizelinowa koszula w kolorze skorupki jajka, pod nią - cudze majtki.

Żeby to tylko nie był dom wariatów.

Gdy wstaje z łóżka, bolą go plecy - piekielne rwanie ma swe epicentrum gdzieś między prawym biodrem a kością ogonową. Dotyka tego miejsca dłonią i czuje przyklejony do skóry gruby opatrunek-tampon. Przypomina sobie samochodowy fotel, który pod nim pękł, a zaraz potem widzi oczami wyobraźni lecącą przy skroni kulę.

Ja pierdolę...

Wykafelkowana podłoga jest zimna, dreszcz od stóp przechodzi po bolącym krzyżu.

Przydałaby się aspiryna. Najlepiej popita piwem.

Ciągnąc za sobą stojak z zasobnikiem, podchodzi do okna. To raczej światło wieczoru niż poranka. Zasypany śniegiem skwer i parking. Zaśnieżone samochody osobowe. Traktor z doczepionym pługiem. Wysokie, iglaste drzewa, w głębi fragment ogrodzenia z siatki. Dwie kamery na słupku i panel potężnego reflektora - mniejszej wersji któregoś z tych oświetlających stadiony piłkarskie. Starszy mężczyzna w kurtce z futerkowym kołnierzem i spłaszczonym berecie na głowie przechodzi w poprzek starannie odśnieżonej alejki. Kark ma gładko wygolony. Podchodzi do samochodu, wsiada. Zapewne uruchomił silnik, bo spod kufra wylatuje obłoczek spalin. Wysiada z miotłą w ręce, podnosi wycieraczki i zaczyna odśnieżać przednią szybę. Rejestracji auta nie widać.

Robert odwraca się i idzie do drzwi. Plastikowa gałka, za progiem krótki korytarz. Na końcu - w tapicerowanym fotelu - młody mężczyzna w mundurze bez czapki. Uniform jakiś dziwny - trudny do określenia. Policja? Wojsko? Ochroniarz?

Przez chwilę patrzą na siebie bez słowa.

- Ma pan papierosy?

Siedzący nie odpowiada. Gdy wstaje, okazuje się bardzo wysoki, zbudowany jak model z żurnala. Pewnie po pracy gra w koszykówkę albo pływa.

- Gdzie tu jest toaleta?

Nadal żadnej odpowiedzi. Drażal odwraca się i znika za zakrętem korytarza. Robert zauważa, że ten przedstawiciel rasy czipendelsów ma przynajmniej jeden feler: nieproporcjonalnie wielkie dłonie.

Przez chwilę mocuje się ze swoim wieszakiem na kropłówkę, wreszcie po prostu bierze plastikowy pręt w garść i pochodzi do najbliższych drzwi. Otwiera. Pusta sala. Podobna do tej, w której się przed chwilą obudził. Następne drzwi są zamknięte.

- Mogę w czymś pomóc?

Krótko ostrzyżony niski blondyn w mundurowych spodniach i zgniłozielonym swetrze stoi tuż za nim. Gładko wygolona twarz, na czubku szczęki - mała bródka. Podszedł bezszelestnie. Uśmiecha się służbowo, nieszczerze. Za jego plecami - poznany już Adonis, przy którym blondyn wygląda jak krasnoludek.

- Szukam toalety.

- Drugie drzwi po prawej. Niech pan się nie krępuje. Poczekamy.

Ubikacja - plastikowa, sterylna i prosta - nie ma okien. Grynszpanowe, papierowe ręczniki jak na stacji benzynowej, suszarka do rąk, pisuar, sedes. Żadnego lustra. Lekko wyczuwalna woń wypalonych papierosów. Robert pochyla się nad kranem, składa dłonie w miseczkę i pije wodę.

Doskonała, lepsza od mineralnej z butelki.

Gdzie są pall malle, gdzie jest komórka, co się stało z Majką, gdzie są moi synowie?

Sika, a potem wychodzi z ubikacji. Na korytarzu czeka tylko ten wysoki. Pochyla głowę i gestem ręki wskazuje drzwi sali, w której wieczór się rozpoczął.

- Pomogę - mówi, biorąc do ręki wieszak ze sflaczałą kroplówką. Wchodzą we dwóch połączeni gumową rurką. Przy łóżku czekają już blondyn z bródką i dużo starsza kobieta w jasnozielonym, jednorazowym fartuchu.

- Niech pan usiądzie. - Ona siada na taborecie, którego tu wcześniej nie było. Bródka stoi wyprostowany.

- Zmierzymy najpierw ciśnienie.

Biało-granatowy aparat popiskuje, założona na ramię opaska ciśnie, cyferki migają na jasnoszarym wyświetlaczu. SYS: 159, DIA: 94, PULSE: 68. Robert przygląda się lekarce. Podobna do jego matki: proste, siwe włosy, ostry nos, brwi najpierw wyskubane do czysta, a potem domalowane na czole. W pomarszczonej dłoni z doklejonymi paznokciami pojawia się mała latarka.

- Proszę w to spojrzeć.

Błękitne światło diody błyska w źrenicę, gaśnie, potem zapala się jeszcze raz.

- Coś pana boli?

- Wszystko po trochu.

- Ma pan poważne nadciśnienie. Dużo pan pali tytoniu?

- Trochę.

Lekarka nie słucha jego odpowiedzi. Odwraca się w stronę Bródki i kiwa głową. Wychodząc, zapala światło. Blondyn siada na jej miejscu. Czuć od niego pewność siebie i porządną wodę kolońską. Prawie dotykają się kolanami.

- To nie jest jeszcze przesłuchanie, tylko rozmowa nieformalna. Nazywam się Zawadzki.

Akurat...

- Rozumiem. Wiecie, co z moimi dziećmi?

- Pani Kamila odebrała je dzisiaj przed południem od pani Kaliny Urlich. Nic chłopcom nie jest. Pani Kamili towarzyszy cały czas policjantka.

- Co z Mają?

-...

- Z Mają Szalawską.

- Jej stan jest ciężki.

- Ale wyjdzie?

- Nie wiem.

- Kurwa mać... - Robert czuje, że do oczu napływają mu łzy. - Ja nie zgadzam się... nie chcę... - Nabiera głośno powietrza, odchyła głowę, aż trzeszczy mu w karku. Kilka głębokich oddechów. - Mogę zadzwonić?

- Będzie pan mógł.

- Ten, co gonił nas...

- Pozwoli pan, że najpierw my zadamy kilka pytań.

„My”? Stojący ciągle przy drzwiach Adonis nie wygląda na oficera śledczego. Robert wzdycha, ale jest już spokojny.

- Niech pan pyta.

- Tekst, którego autorką była pani Szalawska - pan go ma?

- Mam kopię. W laptopie. Papier i nośnik oddałem autorowi.

- Ten laptop...

- Został w gospodarstwie. Nad Wisłą. W Aninie. Koło Anina. Klucze miałem w spodniach. A moje spodnie... gdzie?

- Wszystko pan dostanie z powrotem. Kto pańskim zdaniem zapoznał się z materiałem od momentu wytworzenia? Wie pan, o czym mówię?

- Wiem. Oni go napisali wspólnie.

- Oni?

- Maja Szalawska i jej narzeczony.

- Kogo ma pan na myśli?

- Pawła Domaradzkiego, mojego studenta. Zamordowanego. Chyba, cholera, mówimy o tym samym, czy nie?!

- Proszę się nie denerwować. Kto jeszcze czytał?

- Domaradzki przyniósł tekst do mnie. Ja opowiedziałem o nim Kopcińskiemu. Pan, mam nadzieję, wie, o kim...

- Tak. Opowiedział pan, że taki tekst istnieje, czy przekazał jego treść?

- Już nie pamiętam tak dokładnie, sporo się wydarzyło. Wtedy to nie wydawało się takie ważne. Ot, praca studenta. Chyba ich tylko ze sobą skontaktowałem, dostałem wizytówkę, a Paweł, czyli Domaradzki, sam Kopcińskiemu wysłał tekst... - Robert siada głębiej na łóżku i naciąga narzutę na gołe kolana. Rurka łącząca go z kroplówką naciąga się do granic możliwości. - Gdzie my właściwie jesteśmy?

- W lecznicy, jak pan zapewne zauważył. - Blondyn usłużnie przesuwając ruchomy wieszak, żeby się nie przewrócił. Znowu ten uśmiech sztywniaka.

- Ale gdzie konkretnie?

- To żadna tajemnica, wkrótce i tak pan stąd wyjdzie.

- Czyli...

- Geograficznie rzecz biorąc, jesteśmy na Podlasiu.

- Aha. Super. Majka też tu jest?

- Pani Szalawska została przetransportowana helikopterem do specjalistycznej kliniki.

- Co on jej zrobił?

- Obrażenia wielonarządowe. Niestety.

- A pan jest... lekarzem?

- Już panu powiedziałem. Moje nazwisko Zawadzki. Kapitan Zawadzki. Reprezentuję Służbę Kontrwywiadu. A pani Szalawska ma po prostu... przestreloną szyję.

Robert przez dłuższą chwilę się nie odzywa.

- Dzisiaj jest czwartek?

- Tak. Niech pan się skupi. Kto jeszcze czytał albo otrzymał te materiały?

- Mam rozumieć, że zagrożenie jest aktualne?

- Przyjdzie tu wkrótce ktoś, kto udzieli panu wyczerpujących, tak to nazwę, wyjaśnień. Ja nie mam do tego uprawnień. Musimy natomiast możliwie prędko ustalić kilka istotnych faktów.

- A więc go nie złapaliście? Dlatego obstawiacie teraz Kamilę i dzieci. Jest jeszcze Iwona, moja...

- Obserwujemy panią Tomaszewską również. Na razie nie ma potrzeby jej niepokoić. Pan jej nie wtajemniczył... i niech tak zostanie. - Kapitan, jakkolwiek się nazywa, przerywa na dłuższą chwilę. Widać, że stara się, by nic tu nie zabrzmiało nadmiernie obcesowo. To

przecież nie przesłuchanie.

- Ruskie komando?

- Tak bym tego nie określił. Musi się pan wykazać jeszcze chwileczką cierpliwości. Osoba, która bardzo wiele panu wyjaśni, jest w drodze.

- I rozumiem, że po spotkaniu z tą tajemniczą osobą będziecie łaskawi odstawić mnie do Torunia?

- O ile mi wiadomo, z lekarskiego punktu widzenia nie ma przeciwwskazań, aby pan wyszedł.

- A mój telefon?

- Dostanie go pan z powrotem.

- Im szybciej, tym lepiej.

- Nam też nie chodzi o przeciąganie sprawy. Może wróćmy do wypracowania Szalawskiej?

Rozmawiają jeszcze dwadzieścia pięć minut. Gdy ponownie pojawia się siwowłosa lekarka - tym razem w towarzystwie bardzo młodego asystenta - za oknem jest już całkiem czarno. Widać księżyc.

O wpół do siódmej, po badaniach, tabletkach i wymianie opatrunków, na salę wjeżdża kolacja. Drobną, zasuszona kobieta w nieokreślonym wieku przynosi lekko wystudzony barszcz ukraiński i pierś kurczaka z rozgotowanymi, kompletnie pozbawionymi smaku brokułami. Plastikowa tacka, plastikowe talerze, sól w papierowych saszetkach, wykałaczka w foliowym woreczku. Typowy stołowy zestaw.

A więc tak się karmi w polskim Guantanamo. Ciekawe, gdzie tutaj podtapiają. Robert czuje wilczy apetyt. Prosi o dokładkę i - po kwadransie - dostaje jeszcze raz to samo. Tym razem barszcz jest całkiem zimny.

- Dałoby radę jakąś gazetę, internet albo chociaż żeby ktoś tu wstawił radio?

- Zapytam. - Kelnerka, kucharka, kimkolwiek ona jest, uśmiecha się życzliwie, odbierając wyczyszczone do cna talerze. Wychodzi i nie wraca. On kładzie się na plecach i wpatruje w prostokątną obudowę lampy na suficie. Myśli o przestrelonej szyi dziewczyny, którą poznał raptem dwadzieścia godzin wcześniej. Przypomina mu się, że lecąca kula była zadziwiająco błyszcząca i gładka.

Światło nad głową nieco się kołysze, raz blednie, raz błyska intensywnie, potem powoli ciemnieje. Znowu czuje chłód. Przekręca się na bok i zwija w kłębek, uważając, żeby nie wyrwać wenflonu z ramienia. Opatrunki na głowie i plecach paskudnie swędzą.

Kiedy Arnold Rastroń wchodzi do pomieszczenia i głośno zamyka za sobą drzwi, przebudzony Robert otwiera oczy. Nos ma zapchany, gardło - jak papier ścierny.

Wydaje mu się, że spał minutę, najwyżej dwie, ale musiało to trwać dużo dłużej, ponieważ księżyc za oknem już nie ma. Przez chwilę lekko nieobecny wzrokiem spogląda na zwalistą, pochyloną postać o grubym nosie, szerokich ramionach, ciężkiej szczęce i równie ciężkim wejrzeniu.

- Rozumiem, że nie przyniósł pan gazet, o które prosiłem.

Profesor nie odpowiada. Zdejmuje czarny, wełniany płaszcz i wiesz go na statywie z opróżnioną w połowie kroplówką. Ma na sobie trzyczęściowy, zapewne uszyty na miarę garnitur. Siada, marszcząc gęste brwi, i dłuższą chwilę patrzy leżącemu prosto w oczy. Robert zastanawia się, kogo - czy raczej co - ten człowiek najbardziej przypomina.

Raczej goryla niż orangutana. Orangutany mają dłuższe włosy.

Gość z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciąga płaskie antracytowe pudełko. Otwiera je, prezentując równy rząd krótkich papierosów bez filtra.

Bez żadnych wątpliwości - oto jest „osoba”.

- Pan pali, panie redaktorze?

- Myślałem, że tutaj nie wolno.

- Po capstrzyku nieco rozluźniamy regulamin. - Szeroko rozciągnięte wargi odsłaniają potężną szparę między przednimi zębami.

- Miętowych pan przypadkiem nie ma?

- Nie mam. Jeszcze jakieś życzenia?

- Chusteczkę do nosa.

Elegant wyciąga skrawek materiału z kieszeni jedwabnej kamizelki.

- Proszę. Jest pańska.

Robert głośno wyciera nos i dokładnie ogląda swe smarki.

- Chyba się przeziębilem w kąpieli. Która godzina?

- Dwudziesta trzecia dwanaście...

- Kawy bym się napił. Zaraz... która?!

- Po jedenastej. - Profesor wstaje, podchodzi do drzwi, otwiera, rzuca krótkie zamówienie, dodając: „...i popielniczkę!”.

Słowo „proszę” nie pada.

Wraca, siada, uważnie patrzy. Robert nie odwraca oczu.

- Mogę wiedzieć, co dobrego spodziewa się pan wyczytać z mojej miny?

- Podziwiam pana.

- Aaahaaa... na to nie wpadłem.

- Dobrze pan postąpił, pozbywając się telefonu w odpowiednim momencie. - Rastroń uruchamia dużą stalową zapalniczkę. Robert - przykładając końcówkę camela do płomienia - pilnuje, by nie zajął mu się bandaż na dłoni.

- No właśnie... eghre, ghre, hhhrrrgh... - przez chwilę pokasłuje. Pierwsze sztachnięcie jest obrzydliwe.

Królestwo za jednego zielonego pall malla.

Drugi łyk dymu - już lepszy.

- Pytałem wcześniej pana kapitana, jak mówił o sobie, Zawadzkiego, o tych... napastników i znalazców mojego telefonu. Niestety był bardzo oszczędny w słowach.

- Cóż... Kapitan nie przepada za wami... dziennikarzami. - Goryłowaty wypuszcza dym z kąta grubych warg, jak gdyby pykał fajkę. - Ja nie mam takich uprzedzeń. Nazywam się Arnold Rastroń i reprezentuję sztab kryzysowy, a także Radę oraz Biuro Bezpieczeństwa Narodowego. I parę innych grup.

- Pan tu rządzi?

- Nie bezpośrednio. Zaś co do napastników, jeżeli mówimy tak o osobach, które podążyły śladem pańskiego telefonu, to... dokonali oni, niestety, bardzo poważnych spustoszeń. W szeregach policji.

- Kto to jest?

- Cóż... Sądzi pan, że już tylko tego nie wie?

- Kto im płaci? - Robert strzepuje popiół z papierosa na zabandażowaną dłoń. Dobrze, że pani doktor o matczynym spojrzeniu nie widzi, co tutaj wyprawiają.

- Wie pan... - Rastroń robi zadowoloną minę kogoś, komu przypomniała się ciekawa anegdota. -...że Kajetan Leski był aresztowany za udział w kidnappingu?

- Czytałem.

- Lecz raczej pan już nie czytał, że poręczenie majątkowe za niego zostało wypłacone z konta założonego na fałszywe nazwisko przez jednego ze współników kancelarii adwokackiej mecenasa Jakubowskiego z Sopotu - kończąc zdanie, profesor uważnie przypatruje się Robertowi. Pewnie ocenia reakcję.

- Z konta Wiktora Cezara?

- Nie. Innego współnika.

- Raczej innego chłopaka na posyłki. Jakubowski... jest po prostu ruskim szpiegiem, tak?

- Osobiście sądzę, że jest to doskonale wkomponowany w europejski system

gospodarczy agent wpływu... co najmniej podwójny. Nie tylko na służbie Federacji... -
Rastroń przerywa, ponieważ ktoś puka do drzwi.

Wchodzi Adonis. Kawa, którą wnosi, o dziwo nie chlupocze w papierowych kubkach, ale w dzbanku na tacy. Do tego popielniczka z mosiądzu, porcelanowe filiżanki, spodeczki, cukiernica i talerz z ciasteczkami o kształcie zwiniętych serwetek.

Robert podciąga nogi i narzutę. Chłopak w mundurze stawia tacę na łóżku. Przed wyjściem sztywnieje na baczność i kłania się Rastroniowi.

Ciasteczka są rewelacyjne. Z borówkami w środku. Chyba własny wypiek pani kucharki. Kawa też ewidentnie nie pochodzi z targowiska. W Guantanamo, jak widać, różnie traktuje się różnych gości.

Przez dłuższy czas obaj milczą, delektując się smakiem i planując pytania. Rastroń popija małymi łykami, Robert owija narzutą pierś i plecy. Ciągle mu zimno. Jakby jakaś część lodowatej wody z Wisły wlała się do środka i tam została. Powidok mokrej twarzy Majki i straszny bąbel pełen krwi na moment pojawiają się pod powiekami.

Potrząsa głową. Nie rozklei się - a w każdym razie nie teraz. Ten facet czegoś chce.

- Trzeba będzie odwołać ślub w rodzinie pańskiego pryncypała, prawda?

- Taka możliwość już nie wchodzi w rachubę.

- A to czemu?!

- Ma pan skończone osiemnaście lat. Niech się pan domyśli.

- Cięża u panny Katarzyny?

Rastroń w milczeniu sięga po kolejne ciasteczko. Robert znowu opróżnia nos. Napełnianie jedwabnej chusteczki szanownej osoby żółtą galaretą z zapchanych zatok sprawia mu niewytłumaczalną przyjemność.

- Przecież to niemożliwe, by Cezar się z tego wyplątał. Tego nie zamieciecie pod dywan. Kiedy gówno wybuchnie, będą go grillowali na obie strony. I piękną Kasię oraz jaśnie państwa, oczywiście. Będzie z tego największy gnój od czasu tupolewa.

- I tego właśnie nie chcemy, mówiąc najkrócej. Pan Wiktor Cezar jest ofiarą długotrwałego szantażu ze strony Jakubowskiego. Jest także poważnie u niego zadłużony. Wiemy, że nie miał szczęścia do hazardu, natomiast miał do niego zapal. Ale właśnie rozpoczął terapię.

- Pan go próbuje wytłumaczyć?

- Absolutnie nic z tych rzeczy. Mówię panu tylko o faktach. Z moich informacji wynika, że zaplanowana uroczystość rodzinna odbędzie się zgodnie z terminem i pomimo wszelkich przeciwności. Moim zadaniem, a także - poniekąd - powodem niniejszej rozmowy

z panem jest minimalizacja tych przeszkód.

- Wy po prostu chcecie tego ślubu. Wam będzie na rękę taki zięć w pałacu. Umoczony po uszy. Doskonały hak na panującego, czy nie?

- Kogo pan ma na myśli, mówiąc „wy”? - Rastron wysuwa z pudełka kolejnego camela. Robert odmawia niezgrabnym ruchem zabandażowanej ręki. Stara się cały czas pamiętać, aby nie urwać rurki od kroplówki.

- Wy, czyli sekret serwisy wszelkiej maści.

- Panie redaktorze... ja reprezentuję instytucję jawną. A pan nas chyba myli z Securitate. My nie zbieramy haków na polityków. My... cóż... pilnujemy porządku.

- A celem naszej rozmowy, jak pan powiedział...

- Jest skłonienie pana do dyskrecji.

- Chcecie odpuścić Cezarowi i go potem na sznureczku...

- Nikomu nie chcemy odpuścić. Po prostu nie możemy doprowadzić do wybuchu skandalu w rodzinie pana prezydenta. Wiktor Cezar nie jest żadnym współnikiem, tylko, powtarzam panu, ofiarą mecenasa Jakubowskiego. Został wykorzystany w charakterze...

-...słupa.

- To pan używa tego określenia. Tak czy inaczej, ten młody człowiek został użyty.

- Nie wyczyścicie tego. Cezar miał w tych trzyliterowych spółkach główne udziały. Są rejestry sądowe, pełno śladów w repertoriach i w sieci. W chmurze. Nie usuniecie wszystkiego. A nawet jeżeli ktoś wykasuje dane z KRS-u, to zostaje wciąż masa pobocznych papierów. Fizycznie tego nie ogarniecie. Przecież gazety, telewizje, portale... Ja kolegów dziennikarzy nie przeceniam, ale to jednak nie są sami idioci!

- Przyznaję, że problem naturalnie istnieje, lecz nie zamierzam pana prosić, żeby pan go za nas rozwiązywał. Chodzi wyłącznie o nieutrudnianie.

- Aha... A z moją kopią referatu pan kapitan Zawadzki już się uwinął, co? Już oczyścili mojego laptopa w chałupie, więc pozostaje wam tylko zmusić mnie...

- Komputer dostanie pan z powrotem. Z pełną zawartością, naturalnie. Nie mogę i nie chcę panu niczego zabronić ani do niczego pana zmuszać. My nie niszczymy dowodów, a kopia tego tekstu będzie dowodem w kilku śledztwach kryminalnych. Dowodem niekoniecznie jawnym... My chcemy pana wyłącznie przekonać argumentami. A przy tym zadbać o pańskie bezpieczeństwo.

- W zamian za gębę na kłódkę?

- Czy pan się nie zastanawiał wcześniej, dlaczego to wszystko mu mówię?

- Bo już mnie stąd nie zamierzacie wypuścić? Samolot-więzienie czy tajemniczy

statek w Gdańsku?

- Niech pan tak nawet nie żartuje. Mówię śmiertelnie poważnie.

- Śmiertelnie... To dobre... Jeszcze parę dni temu pokazywali pana w telewizji. Te wszystkie konferencje prasowe, pan pułkownik Drzewicki...

- Drwęcki.

- Wypowiedzi... i pana, i pańskich kolegów... Synowie Polski, pravicowi terroryści... nacjonalizm i antysemityzm. Atak na komendę policji w celu destabilizacji... srutu-tutu. Od początku wiedzieliście, że to lipa. Że Jakubowski i prezydencki zięciunio...

- Nieprawda. Nie od początku...

- Przecież Kopciński dostał referat...

-...jednak osoba, której go przekazał, okazała się... hm... Doszło do przecieku.

Do zdrady.

- Słucham?!

- Wie pan, panie redaktorze Pruski... ja nie lubię dużych słów ani wysokich diapazonów. Tych sformułowań typu: racja stanu... Ciągle muszę tego wysłuchiwać na posiedzeniach.

- Mhmm...

- Staram się trzymać faktów i najbardziej logicznych interpretacji.

- A jakie one są?

- Prześledziliśmy krok po kroku ruchy jednego z członków rządu, zwierzchnika pańskiego tragicznie zmarłego w wypadku kolegi...

- Zamordowanego kolegi.

-...nie będziemy się spierać. Ten człowiek wzbudził początkowo nasze uznanie, a potem zainteresowanie. Podsunął policji nazwiska Tormbladera i innych. Wydało nam się dziwne, że powziął informacje operacyjne jako urzędnik. Cóż... jak się okazało od dawna pozostawał w zainteresowaniu różnych naszych poprzedników. I nie tylko naszych. Musieliśmy się cofnąć ładnych parę lat w dokumentach i kilka tylko dni - w odczytach monitoringów. Sam pan wie... wszędzie teraz kamery, co rusz ktoś robi zdjęcie. W ostatni poniedziałek doszło... jakby to powiedzieć najkrócej... do spotkania i przekazania referatu Szalawskiej w ręce człowieka, który został wczorajszej nocy zastrzelony pod Aninem.

- Pięknie, kurwa, pięknie... - Robert ma ochotę splunąć na łóżko, ale przetyka ślinę. Rastron zachowuje niezmienną oblicze. - Czyli że mój telefon jednak ich sprowadził...?

- Naturalnie, że tak. I ich, i naszych. Zapomniałem przez chwilę, że jest pan pozbawiony możliwości śledzenia ostatnich doniesień. Mogę panu przyznać rację: w mediach

nie pracują sami, jak pan to ujął...

-...idioci.

- Cóż... Pojawiły się artykuły odtwarzające wydarzenia, między innymi także wrocławskie, o których pan jeszcze nie wie, a które zdecydowaliśmy się na razie określić jako potyczkę stróżów porządku z kryminalistami... Pańskie nieoczekiwane wtrącenie się w kolejową podróż panny Szalawskiej jest powodem straszliwego zamieszania, ale na razie oszczędzę panu szczegółów. Robi pan na mnie wrażenie człowieka o silnej psychice i to mnie cieszy. Bo prawda jest taka, że po tym, co pan rozpoczął, parę niewinnych osób zginęło, a córki Szalawskiego być może też nie uda się uratować. To są fakty.

Nacisk z tyłu czaszki pojawia się znikąd i gwałtownie wzmagą. Robert najpierw zamyka oczy, a później otwiera szeroko - aż do wytrzeszczu. Spogląda prosto w źrenice rozmówcy.

- Pan mnie teraz chce wystraszyć czy dobić?

- Nie mam takiego zamiaru.

- Sugeruje pan, że ktoś z waszej strony nie żyje dlatego, że ja...

- Niczego nie sugeruję. Sam pan wszystko oceni. Polecę przynieść tu panu cokolwiek z internetem, jak tylko skończymy.

- Wolałbym własny telefon i wyjazd zaraz po pańskim wyjściu albo i razem z panem. Mam trochę rzeczy do zrobienia.

- Nic nie stoi na przeszkodzie, może mi pan wierzyć... o ile...

-...o ile się dogadamy?

- Nie używałbym sformułowania „dogadamy”. Ja z panem nie handluję, panie redaktorze. Ja apeluję.

- Co oni napisali? Moi koledzy po fachu? I gdzie?

- Dwóch dziennikarzy - w radio pan redaktor Taczalski... - Rastroń zawiesza głos, jak gdyby czekał na komentarz.

- Osobiście go nie znam, ledwo ze słyszenia.

-...i jakiś autor z „Gazety Wyborczej”. Poddali krytyce, wspólnie i całkiem przekonująco, dotychczasowy scenariusz wypadków związanych z tak zwanymi Skurwysynami. - Na ustach profesora gości uśmiezek niespecjalnie pasujący do jego groźnej gęby oprycha i poważnej funkcji.

- U was też się tak mówi?

- Oczywiście.

- A więc mleko już i tak wam się wylewa. Nawet i beze mnie.

- Jest demokracja i wolność słowa. Do pana apeluję, bo mam po temu okazję. Na pana Taczańskiego natomiast, a tym bardziej na to towarzystwo z ulicy Czerskiej, wpływu nie mam i nie zamierzam go uzyskiwać.

- Teraz już muszę zapytać: dlaczego pan mi to wszystko mówi?

- Chcę panu uświadomić, redaktorze, jaka tu toczy się gra. Ile jest luster. Obiedzemy publicznie ze skóry Wiktora Cezara i co to da? Skandal i dalszą destabilizację państwa.

- A mówił pan, że unika wielkich słów.

- Mówiłem, że trzymamy się faktów. Taka afera zaskutkuje wyłącznie osłabieniem Polski. Pokazaniem ewidentnej nieporadności. Rozsądny gospodarz, mając wiedzę o szurze w salonie, każe go służbie wynieść bez wzbudzania obrzydzenia wśród gości. A nie pozwala...

-...żeby tabloidy darły łacha z jaśnie pana.

- Miałem co innego na myśli, ale niech panu będzie. Cóż... najważniejsze, byśmy się zrozumieli.

- Przy tej ilości pudełek w pudełkach pan może mi przedstawić każde działanie jako politycznie słuszne i zbawienne. Ale to nie zmienia postaci rzeczy. Ruski agent i jego słup sfinansowali morderców, którzy zabili mego kolegę Grzesia, mojego ucznia Pawła i o mało - mnie samego. Nie mówię już o Majce, bo... - Robert z trudem przetyka ślinę. Gardło parzy, a lzy zbierają się gdzieś między nosem i oczami.

- Ci ludzie naturalnie poniosą konsekwencje. Jednego zastrzelono, drugiego zatrzymaliśmy, szukamy jeszcze kobiety i tego, który do pana strzelał. Szukamy go pod lodem.

- Dziękowałem już kapitanowi za osuszenie, ale dał do zrozumienia, żeby podziękować panu.

- Nie zaprzeczam. Udało mi się przewidzieć pewne ruchy... Ale powtarzam: nie traktujemy tego w kategoriach przysługi za przysługę. Poza tym, jakby pan wycenił swoje życie, panie Robercie?

- Teraz chce mnie pan jednak za serce chwycić.

- Chcę panu dopowiedzieć, czy raczej uświadomić, że to nie Cezar z Jakubowskim stanowią problem. Bo to nie oni finansowali...

- Jasne...

-...a jednak nie wiem, czy pan to wystarczająco od siebie oddziela. W tym konkretnym przypadku mecenasi nie są niczym... nikim więcej niż tylko ogniwem.

- Więc kto wykladał kasę?

- Lobby elektrowiatrowe i konsorcja naftowe. Cóż... nie mam w tym względzie zbyt dużej wiedzy, ale zostałem poinformowany na gorąco, jakie podmioty mogą wchodzić w grę.

- I zechce mnie pan wtajemniczyć?

- Niech pan to potraktuje jako wyraz zaufania. Powiedziano mi o polskiej odnodze koncernu EdeFrance - właściwie jest to firma międzynarodowa z siedzibą w Brukseli. Budują nawodne farmy. Wiatraki na pięciu oceanach, ostatnio także na Morzu Północnym i Bałtyku. Bardzo ich martwi potencjalna tania energia z łupków. Pan wie, że w Stanach to się już zaczęło: gaz, prąd, ropa... Wszystkie ceny poleciały w dół.

- Czytałem, że w zeszłym roku trzykrotnie...

- Nas samych, między innymi z powodu odkrycia w Klukowęsach, czeka podobny scenariusz. Tylko się cieszyć. Ale oczywiście dla wielu podmiotów to zmartwienie. Nie chcę panu opowiadać o rzeczach, co do których jeszcze nie ma pewności, ale podam jedną ciekawostkę... Sinorex.

- Nie słyszałem.

- Chińsko-arabski gigant naftowy. Jedna z dziesięciu największych spółek notowanych na giełdzie w Szanghaju. Piętnaście rafinerii przetwarza po dziesięć milionów ton ropy rocznie. No i jeszcze Rosjanie... ghrm... - Rastroń odchrząkuje, jak gdyby wyrwał mu się brzydki wyraz albo głośny bąk. Nalewa sobie z dzbanka do filiżanki ostatnie krople kawy. - Oczywiście oni też w tym są. Dzięki temu ci, o których mówię, mogli tak obficie korzystać z agentury, aparatury i skrzynek kontaktowych... A pani, której intensywnie szukamy... - Profesor podnosi w górę oczy i palec. -...ma obywatelstwo Izraela. Przyjechała tu kilka lat temu na stypendium naukowe.

- I pracowała dla Arabów?

- Witamy w nowym świecie. Ale niech pan ma na uwadze, że nic jeszcze nie jest ustalone z pewnością. I może nigdy nie będzie.

- Oni się jakoś nazywają?

- Zleceniobiorcy? A czy to istotne? Nazwijmy ich tajną i dobrze zorganizowaną grupą, z której korzystają zamożni zleceniodawcy chcący narobić komuś bałaganu. Przypuszczamy, że za te same pieniądze nakręcali wcześniej ekologiczne historie w Bułgarii, Rumunii, we Francji i w Czechach. A potem - i to jest przecież ich cel finalny - parlamenty pod naciskiem słusznie rozgniewanych obywateli zakazywały poszukiwań gazowych. No, ale o tym pan przecież wie.

- Tylko że nigdzie nie posunęli się do zabójstw.

- A skąd pan wie? Słyszał pan o tym autokarze z czeskimi inżynierami, który spadł

w przepaść?

- Słyszałem. Rozumiem, że według was ci... zleceniobiorcy... to jest jednak... jakaś grupa zwarta?

- Naturalnie. Zainstalowali się w Warszawie pod przykrywką firmy drukarskiej. Sprawdzamy od kiedy... i wiele innych rzeczy. Historie opisane w pracy panny Szalawskiej stanowią, to tylko moja intuicja, ale mam nieco doświadczenia, niespełna połowę, a może nawet i mniejszą część materiału do analizy. Buszowali u nas przeszło rok i to właśnie jest szokujące... skala działań. Było ich w sumie nie więcej niż kilkoro. Gdyby nie odkrycie studentki, to, co zrobili, za pięćdziesiąt lat znalazłoby się może w podręcznikach do nauki inspiracji i dezintegracji. Natomiast po odsłonięciu, w dodatku publicznym, całej tej koronkowej roboty jej wykonawcy mieliby, najdelikatniej mówiąc, duże trudności z pozyskaniem kolejnych zleceń. I to jest powód, dla którego panna Maja i pan staliście się ich celami.

- Forsa...

- Owszem. Pan czytał tę historię o aferze firmy Xelion Executives?

- W Iranie... Siedemnaście trupów.

- No właśnie. Mieli cichy kontrakt z amerykańskim rządem, jeżeli wierzyć przeciekom...

-...na pół miliarda dolarów rocznie. Czytałem.

- A teraz, po strzelaninie, a przede wszystkim po ujawnieniu, że to oni... nie mają już nic. - Rastroń wstaje i przechodzi dwa razy w tę i z powrotem między jasnymi ścianami. Owłosione dłonie ma założone za plecy. - Powiem tak, panie redaktorze: będzie najlepiej, jeżeli w domenie publicznej zachowamy ciszę. Zwrócimy się do naszych rosyjskich rozmówców o wyjaśnienia, ale wszystkiego się wyprą. Wtedy wyłożymy atuty. Mamy trójkę nieboszczyków, sporo śladów, jednego żywego, może wkrótce kolejnych. I mamy pana ministra.

- Który to?

Rastroń udaje, że nie słyszy pytania. Kończy krótki spacer i siada na taborecie.

- Załatwimy kilka zaległych spraw.

- Żeby nam kacapy cofnęły embargo na kotlety?

- Niech pan nie kpi.

- A ci biedacy, rzekomi Skurwysynowie, pójdą do więzienia i ciemny lud to kupi.

- Jeżeli zgromadzone dowody nie obronią się w sądzie, oni wyjdą i dostaną odszkodowania za niesłuszne aresztowanie.

- Co jest o tyle wątpliwe, że ten nieszczęśnik się przyznał.

- Cóż... To chyba już nie pana problem.

- Będziemy mieli kolejną zagadkę. Smoleńsk, Olewnik, Papała... teraz Omega, Mater i komenda. Nie licząc drobiazgów, takich jak Maja i mój student. Dziennikarze napiszą tysiąc artykułów, rynek wchłonie dwie albo i trzy książki, a prawda zostanie między nami - tak będzie?

Rastroń nic nie mówi. Robert wyciąga suchy już wenflon z zabandażowanej ręki i wstaje z łóżka. Nogi ma zeszywniałe. Chwiejnie podchodzi do okna, opiera się o parapet, patrzy we własne odbicie. Bandaż na czole, gęsty, tygodniowy zarost, włosy sterczące na wszystkie strony jak punkowy pióropusz.

Profesor chowa papierośnicę do kieszeni.

- Skoro pan już mówi o książkach, to ja mam bardzo konkretną propozycję. Jak się sprzedał *Wywiad z wampirem*?

- Ten, tego... przyzwoicie. - Robert takiego zagrania się nie spodziewał.

- Z pańskiego zeznania podatkowego wynika, że...

-...nooo... braaawo!

- Czyli sumę obaj znamy. Proponuję, by pan napisał także książkę o swoim spotkaniu z Szalawską i Domaradzkiem. Oraz o późniejszych tego konsekwencjach. Wydamy ją w czterech, powiedzmy, pięciu egzemplarzach. Tylko i wyłącznie dla subskrybentów. - Profesor wykrzywia twarz w półśmieszku, który zaraz znika. - Zarobi pan na tym tekście... dwanaście razy tyle, co na historii wampira. Będziemy mieli wówczas okrągłą sumę.

- A ja już prawie panu uwierzyłem, że chodzi o pryncypia.

- Bo taka jest prawda. A inną sprawą jest nasza pomoc. My potrzebujemy od pana szczegółowego raportu w celach archiwalno-szkoleniowych, więc niekoniecznie na szybko. Panu przyda się parę groszy, bo nie dość, że pan utopił pożyczony samochód...

- Kurwa mać. O tym nie myślałem w ogóle.

- To niech pan pomyśli w drodze. - Rastroń odsuwa mankiet koszuli, spogląda na zegarek, wstaje, sięga do wewnętrznej kieszeni wiszącego płaszcza i wyjmuje skórzany wizytownik. Kartonik w kolorze spatynowanego srebra odbija przez chwilę światło lampy. - Na mnie już czas.

- Pan powie... - Stojący bokiem Robert ma ochotę podłubać sobie jego wizytówką między zębami, ale tylko stuka kartonikiem w szybę. - Gdzie my dokładnie jesteśmy?

- W powiecie grajewskim. Adresu pocztowego, jeśli pan o to pyta, ten konkretny budynek chyba nie ma. Ale do Torunia dowiozą stąd pana w dwie i pół godziny.

- Nie opuszcza pana, widzę, poczucie humoru.
- Obaj mamy powody do zadowolenia, redaktorze.
- Ultimatum rządowe będzie cofnięte?
- Nikt już nie zginie. To jest najważniejsze.
- Na pewno?

- Na pewno tego dopilnujemy. Dostanie pan, naturalnie, policyjną ochronę i na razie wstrzymamy się z przesłuchaniami. Do czasu, aż będziemy mieli pewność co do losów poszukiwanych osób.

- Niech mi pan jeszcze powie na koniec... jak im się udało ściągnąć do Omegi tych a nie innych?

- January Okryński to przygotował. Wie pan, o kim mówię?

- Tak.

- Szantażowali go. Długa historia z podstawioną kobietą w tle. Jak mówiłem, była to robota, w pewnej mierze, koronkowa. A lista zainteresowań naszych nieprzyjaciół pokrywa się z listą zaproszonych nad jezioro nie tylko w trzech przypadkach.

- A w ilu?

- Przynajmniej w pięciu. Wciąż pracujemy - Rastron podaje rękę. Dłoń Roberta chowa się w niej jak ślimak w dużej muszli. - Jesteśmy umówieni?

- Na książkę...

-...i na dyskrecję. - Profesor nie ścisza nazbyt mocno, ale też nie puszcza.

Robert milczy, myśli szybko i sam wzmacnia chwyt:

- Mogę panu obiecać, że ja na pewno żadnych artykułów na ten temat pisać nie będę. Pracuję teraz w czasopiśmie o sztuce, a nie o lobbingu gospodarczym...

- To także wiemy - człowiek-goryl po raz pierwszy okazuje niecierpliwość. Teraz widać po nim, jak bardzo potrafi być stanowczy i niemiły. Dłoni nadal nie puszcza. - Porozumieliśmy się, redaktorze?

- Tak jak powiedziałem. - Robert wreszcie uwalnia rękę. - W jakim szpitalu leży Maja?

- W Warszawie. Naturalnie na Wołoskiej.

29.

Piątek, 20 lutego

Podróż do Torunia, która miała zająć dwie i pół godziny, trwała w sumie prawie pięć, ale Robertowi większą część trudnej drogi po lodzie i we mgle udało się przespać. Zapadał w czeluść pełną złych majaków, odbijał się od niej, budził z przekonaniem, że coś musi natychmiast zrobić, zmuszał do uspokojenia, znowu zasypiał i znów szamotał się z oplatającymi wizjami. Za którymś razem zasnął głęboko i mocno. Tylne siedzenie w kabynie wielkiego samochodu okazało się bardziej wygodne niż jego wąskie warszawskie łóżko na Francuskiej, a dwaj jadący z nim faceci - kierowca w nieokreślonym wieku oraz siedzący obok Adonis - nie odezwali się ani słowem aż do postoju na stacji benzynowej między Ostródą i Brodnicą.

Nie tylko nic nie mówili, ale też niczego nie jedli, nie pili i nie palili papierosów. Ani razu nie przekroczyli dozwolonej prędkości. Zwalniali do pięćdziesiątki, a czasem i do czterdziestki nie tylko przed fotoradarami, ale praktycznie w każdej z mijanych wiosek.

Słuchali muzyki.

Jeden i ten sam krążek z przebojami filmowymi - wypełniony głównie różnymi wersjami soundtracku z *Gwiezdnych wojen* - kręcił się w odtwarzaczu na okrągło, atakując Roberta w krótkich chwilach otrzeźwienia pomiędzy ciężkimi snami.

Gdy zahamowali przy dystrybutorze i wyłączyli silnik, obudziła go cisza.

- Czegoś panu potrzeba? - męski model o dużych dłoniach pyta, nie odwracając głowy. Patrzy w lusterko nad głową.

- Ubikacja, papierosy, aspiryna i kawa.

Chciałoby się dodać: „...i zgrzewka browaru”.

- Pójdziemy razem.

No pewnie. Robert naciąga watowaną kurtkę khaki, którą „lecznica” podarowała mu na odchodnym jako dodatek do resztek własnego, pięknie wyczyszczonego ubrania. Jego komórka - wciąż jeszcze wyłączona - wróciła doń razem z kluczami od trzech mieszkań oraz nienaruszonym portfelem z trzystoma złotymi wewnątrz. Ale nie musi tracić kasy na kawę. Panowie obstawa oferują zakupy na koszt podatnika. Latte w dubeltowym kubku, trzy paczki pall malli plus dwie zapalniczki po trzy złote - a co?! Budżet kraju nie takie zniósł defraudacje w kontrwywiadzie, o czym można było niedawno poczytać tu i ówdzie. No... to jeszcze pączek z lukrem.

Więcej w nim cukru i chemikaliów niż ciasta, ale świeżo wypieczony - smakuje wybornie.

Najlepsze wypieki o wpół do szóstej rano.

I ciepłe gazety przywieźli!

Czerwony na buzi ekspedient w filcowej kamizeli narzuconej na firmowe ubranko Orlenu rozcina nożykiem do tapet dowieszoną akurat paczkę z prasą i gapi się na opatrunki Roberta, który nie może sobie odmówić zakupu tygodnika „Czas Brodnicy”.

Jakie to sympatyczne, że ktoś się nadal utrzymuje na trudnym sublokalnym rynku. Ciekawe iluosobową mają redakcję.

Jeszcze „Wyborcza”, „Dziennik”, „Newsweek” i „Fakt”. Ten pan zapłaci.

Drażał już zatankował, ale nie bierze faktury. Państwo polskie wyklada dzisiaj żywą gotówkę.

Interesujące: jak wygląda u nich księgowość?

Pałac za węglem budynku papierosa - sześć mocnych, głodnych pociągnięć wystarcza, by dotrzeć do ustnika - Robert stwierdza, że mimo kataru i bólu odzywającego się nieregularnie w różnych częściach ciała ma dobry humor. To dość dziwne jak na kogoś, kto ma obandażowane ręce, zalepioną plastrami głowę i plecy, a dzień wcześniej patrzył na umierającą dziewczynę tak młodą, że mogłaby być jego córką. A jednak... smutek i jego brak własnymi chadzają drogami. Maja będzie żyła. On to czuje.

No... to... najpierw włączamy telefon czy robimy prasówkę?

Wpierw gazety.

Sadowi się z kawą na kanapie auta i włącza podsufitową lampkę. Czekał cierpliwie kierowca od razu zapala silnik. Drażał wsiada ostatni, rozglądając się uważnie ponad dachem auta. Na oświetlonym podjeździe stacji nie ma prócz nich żywego ducha, w zasięgu wzroku - podobnie. Samochód powoli wytacza się na pustą szosę. Adonis obserwuje w lusterku przestrzeń, jego partner rozpędza wóz do siedemdziesiątki - i w tym tempie jedzie.

- Panowie... jedna prośba. Możecie już nie puszczać więcej tej muzyczki z filmów? Przez nią mi się śniło, że tonę na bagnach Dagobah.

Przystojniak i kierowca nic nie mówią. Może nie czają bazy, bo rodzice nie zabierali ich na *Gwiezdne wojny*?

- No... jak będzie? Macie inny kompakt?

Drażał, który nawet w tym obszernym aucie szoruje włosami podsufitkę, pochyła się nad schowkiem. Okazuje się, że Ministerstwo Obrony dysponuje jeszcze przynajmniej jedną płytą - wiązką przebojów orkiestry Glenna Millera... Trzeba było jednak kupić sobie coś

z procentami.

- Może po prostu radio puścicie?

Adonis przychyła się do propozycji, Robert popija kawą trzy aspiryny naraz i rozkłada „Wyborczą”.

Na pierwszej stronie tytuł: *CZYŻBY DRUGA GRUPA TERRORYSTÓW?*, z nagłówkiem: „Łańcuch nowych zbrodni”.

Autor, którego nazwisko - Krzak - nic Robertowi nie mówi, powtarza i rozwija, jak wynika z kontekstu, rewelacje ujawnione poprzedniego dnia w sieci. Jest bliski prawdy: Szalawska, Domaradzki i Kopciński się znali. Cała trójka najprawdopodobniej weszła w posiadanie informacji groźnych dla Jedynaków Polski. Szalawska i Domaradzki chcieli je upublicznić, początkujący dziennikarz kilka razy kontaktował się w tej sprawie z Kopcińskim, a dokładnie: próbował wydobyć od niego komentarz. Może nawet do tego doszło. Nie wiadomo. Teraz i Domaradzki, i Kopciński nie żyją - w przypadku pierwszego miał to być złodziejski napad z narkotykowym tłem, drugi miał zginąć w wypadku. Tak twierdzi policja, ale i jedna, i druga wersja wydają się wątpliwe. Domaradzki był biednym studentem, mieszkał co prawda z zamożną dziewczyną, ale żyli skromnie, chyba nawet celowo ubogo. Hipsterska młodzież. Nie ćpali. Szalawska miała zginąć na komendzie, lecz wymknęła się zamachowcowi. Potem jednak została schwytana i porwana, najpewniej przez inną brygadę Synów Polski.

Ta Druga Komenda wciąż działa mimo aresztowania Reinharta T. i jego znajomych. Szalawska jest dla nich niebezpieczna przez to, co wie i co chciała, wspólnie z narzeczonym, ogłosić. Tylko co to było?

Ostatni fragment tekstu wybity jest na czerwono i powtórzony w ramce. Robert na chwilę przerywa lekturę. Coś go mocno swędzi pod bandażem, chciałby się podrapać, ale opatrunek na rękę założony jest profesjonalnie i bardzo ciasno. Pociera dłonią o własne kolano, mniej uszkodzoną ręką przywołuje do porządku rozsypujące się strony gazety. Czyta dalej.

Dziennikarz Krzak twierdzi, że jego informator na własne oczy widział policyjny raport opisujący pościg za samochodem marki Volkswagen Transporter z mężczyzną i kobietą w środku. Czas, w którym prowadzono pogoń - środa wieczór - oraz miejsce akcji - Warszawa - idealnie pokrywają się z momentem zniknięcia Szalawskiej, wypuszczeniem komunikatów o jej poszukiwaniu i pozamykaniem kilku ulic w stolicy. Bardzo możliwe, że ucieczka - oraz gonitwa - wiążą się też z dramatycznymi wydarzeniami, do jakich doszło mniej więcej w tych samych godzinach we Włocławku i jego okolicach. Najpierw napłynęły

stamtąd informacje o śmierci trzech policjantów drogówki, którzy zginęli w efekcie starcia z gangsterami, wczoraj wieczorem okazało się, że ofiar jest dużo więcej - wśród nich zastrzelony funkcjonariusz Straży Ochrony Kolei.

Robert upuszcza gazetę na samochodowy dywanik. Jak to powiedział ten małpowaty? „Dokonali poważnych spustoszeń w szeregach policji”? Jakoś tak.

Otwiera „Dziennik”.

Pierwsza kolumna w całości poświęcona odwołaniu politycznego ultimatum przez posłankę Żarnowską.

Autorka tekstu - niejaka Matylda Ebersson - sypie rewelacjami. Najpierw newsy terrorystyczno-kryminalne, potem wiadomości ze świata polityki.

To prawda, że niemiecki aktor i wielbiciel koni Reinhart T. przyznał się i do posiadania odnalezionej po sąsiedzku broni, i - co ważniejsze - do zastrzelenia Kajetana Leskiego. Prawdą jest także, że próbował popełnić w celi samobójstwo. Później, wyratowany w więziennym szpitalu, odwołał zeznania. Niemniej jednak sąd rozpatrujący jego wcześniejsze zażalenie na areszt odrzucił wniosek, motywując decyzję „wysokim prawdopodobieństwem popełnienia zarzucanego czynu”. Mówiąc po polsku: gość jest winny. Nie ma już powodów, aby wątpić w trafność i sens policyjnej akcji w nocy z siedemnastego na osiemnastego lutego. Służby się sprawiły, jedno i drugie ministerstwo się sprawiło, rząd się sprawił! Politycy Ruchu dla Wolności nie muszą się już obawiać o swoje życie! Niech nam żyje fantastyczny Pakt Trwałej Koalicji! Nie będzie żadnych przyspieszonych wyborów. Kochajmy się!!

Na stronie drugiej publicystyczny tekst osnuto wokół pytania, kto i dlaczego zaatakował Komendę Stołeczną. Autor przekonuje, że nierozpoznany ciągle zamachowiec topiciel to zawodowy zabójca wynajęty i opłacony przez Synów Polski jeszcze przed aresztowaniem Reinharta T. i jego grupy. Celem jego ataku na policję, podobnie jak wcześniejszego zabójstwa w basenie, była dalsza, zapoczątkowana zbrodnia nad jeziorem, destabilizacja sytuacji rządu liberałów i polskiego państwa. Teraz, gdy terrorysta nie żyje, możemy wreszcie odetchnąć. Państwo polskie zdało egzamin.

Dalszych stron nie chce się Robertowi czytać. Z głośnika ukrytego w drzwiach auta przed chwilą dobiegło jego uszu jakieś słowo. Nie potrafi go już teraz odtworzyć, ale to coś ważnego.

- Możecie pogłodzić?

Adonis spełnia prośbę. Słysząc kobietę i mężczyznę.

Damski głos:

„...według rzecznika policji pani Maja Szalawska była przesłuchiwana w sprawie tragicznej śmierci swej przyjaciółki - osoby kompletnie niezwiązanej ze sprawą, która rozbiła głowę, poślizgnąwszy się na schodach ganku przed willą państwa Szalawskich w Piasecznie”.

Męski głos:

„- Tak twierdzi policja, ale ja w tę wersję nie wierzę. Osobiście doliczyłbym panią Beatę B., w przypadku której rzecznik Along nie chciał nawet ujawnić imienia ani pierwszej litery nazwiska, nazywając ją enigmatycznie »dwudziestolatką z Warszawy«, do ofiar tej samej serii zbrodni. I przemilczeń, które mają nas wszystkich przekonać, że już jest pozamiatane.

- A nie jest?

- Nie jest. Moim zdaniem, a także, jak pani widzi, zdaniem »Gazety Wyborczej«, sprawy Szalawskiej i jej narzeczonego łączą się bezpośrednio z zamachem nad jeziorem. Ale przyjęcie tego kierunku śledztwa to oczywiście otwarcie beczki Pandory i dlatego nikt nie chce...

- Chyba puszeki.

- Z całą pewnością beczki. Starożytni Grecy nie znali puszek. A w dodatku to, co się przed nami obecnie ukrywa, nie zmieściłoby się...

- Mam rozumieć, że teraz pan opowie o Drugiej Komendzie.

- Z przyjemnością. Druga Komenda jest grupą ubezpieczającą albo inspirującą akcję tych pierwszych, już wyłapanych terrorystów. Przy czym to ubezpieczanie może oznaczać, jak w przypadku Leskiego, likwidację. Nie wiem także, czy ktoś nie pomagał Reinhartowi Tormbladerowi w samobójstwie.

- Do którego nie doszło.

- Błędy robią obie strony. To, co się stało na Kujawach...

- Za chwilę o tym porozmawiamy. Proszę mi jednak odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ci ludzie - ta Druga Komenda, przyjmując na chwilę pański punkt widzenia - czemu oni mieliby polować na byłą studentkę prawa i jej narzeczonego, początkującego dziennikarza niezajmującego się polityką ani przestępczością?

- Mogę powtórzyć tylko to, co już mówiłem wczoraj na państwa antenie: pani Szalawska, pan Domaradzki i wspomniany przez panią urzędnik Biura Ministra Spraw Wewnętrznych znaleźli się w posiadaniu informacji mogących doprowadzić śledztwo dalej niż dotychczas. Informacji, które nie pozwoliłyby odtrąbić zamknięcia tematu i wielkiego policyjnego sukcesu. A taką narrację się nam obecnie sprzedaje... Niech pani patrzy, co się dzieje. Niemiec, wielce tajemnicza postać. Z jednej strony zapomniany aktor, emigrant,

wielbiciel polskiej wsi. Z drugiej strony - powtarzam tylko przecieki ze śledztwa wypuszczane według mnie celowo - były żołnierz Legii Cudzoziemskiej. Otóż jeden z moich informatorów twierdzi, że jego przeszłość legionisty jest czystym zmyśleniem, konfabulacją będącą na rękę wszystkim chcącym zrobić z niego terrorystę. Tymczasem on może być - wiem to z tego samego źródła - po prostu psychicznie nie zrównoważony! Taki ktoś przyznaje się do zastrzelenia Kajetana Leskiego, po czym usiłuje popełnić samobójstwo. Gdyby mu się to, odpukać, udało, mielibyśmy prawie dowiedzione sprawstwo, bo przecież znaleziono karabin. Mielibyśmy też dowiedzioną znowę, bo już wiemy, że niektórzy z zatrzymanych faktycznie się wcześniej z Niemcem kontaktowali, co raczej nie budzi wątpliwości. A zatem jest związek zbrojny i tak dalej. Czterech nieżywych mężczyzn. Na tacy. Martwych i ewidentnie winnych.

- Dlaczego pan mówi o czterech osobach?

- Kajetan Leski, to raz. Winny ponad wszelką wątpliwość, zastrzelony przy próbie ucieczki z miejsca wielokrotnego zabójstwa. Mirosław Rozwadowski - dwa. Dowody jego winy są tak mocne, że aż go rozerwały. Anonimowy wciąż zamachowiec z komendy i basenu zwany przez tabloidy topicielem - to trzy. Został unieszkodliwiony w trakcie popełniania kolejnych zbrodni, prawda? Czego chcieć więcej?

- No a czwarty?

- Pan Reinhart, gdyby się skutecznie powiesił... byłoby prawie po wszystkim. Starczy osądzić resztę, czyli tych najmniej groźnych.

- Karola D., Jarosława M. i Anetę...

-...ich skazanie byłoby formalnością. A dla mnie to tylko ogłupiała młodzież, nic więcej. Ten ich żałosny film stylizowany na komunikaty Al-Kaidy... Natomiast Druga Komenda, jeśli istnieje, jest poważnym wyzwaniem dla naszych służb i tu już nie wystarczy...

- Określenie pańskiego autorstwa zrobiło karierę w mediach.

- Bardzo mi miło, ale już wczoraj doprecyzowałam, że właściwiej byłoby mówić o »Kopule« tej organizacji... Bo to nie jest jakiś, jak to niektórzy zrozumieli, drugi garnitur terrorystów, tylko faktyczni sprawcy. Ludzie pociągający za sznurki w odróżnieniu od zatrzymanych marionetek. I oni mieli na zawsze pozostać w cieniu. Gdyby nie to, że Domaradzki i Szalawska o czymś się dowiedzieli i chcieli to ujawnić. Ja pytam: o czym takim? Będziemy wszystko wiedzieli, jeżeli pani Maja Szalawska się odnajdzie, co daj Boże”.

Obraz ranionej Majki wraca gwałtownie i mocno. Niespodziewany zawrót głowy prawie pozbawia Roberta przytomności. Wymioty podchodzą wysoko do gardła. Przełknięte, zostawiają po sobie piekący, gorzki smak.

Opiera głowę o zagłówek i zamyka oczy. Aspiryna już trochę grzeje, ale nieprzyjemne chłodne prądy wędrują po całym ciele. Choroba nadchodzi wielkimi krokami. Słucha równego pomruku silnika i reszty audycji kończącej się słowami:

„-...po przerwie na reklamy mój kolejny rozmówca, pan senator mecenas Miron Buczyński. A dotąd państwa i moim gościem był redaktor Maciej Taczalski, dziennikarz niezależny. Dziękuję panu.

- Dziękuję państwu”.

Kilka muzycznych sygnałów, po których z głośnika dobywa się wiązanka zachwytów nad nowym parafarmaceutykiem zwiększającym męską potencję. Po niej - karabinowa seria informacji o tym, jakie osoby i z jaką nadwrażliwością nie mogą owego wynalazku spożywać.

Robert próbuje nie myśleć o niczym. Spokój, chłopie... spokój. Na tle coraz jaśniejszego nieba przesuwają się za oknami wierzchołki słupów wysokiego napięcia i bliższe szczyty budynków o spiczastych dachach. Przez moment widać na niebie lecące wysoko i daleko dzikie gęsi.

A może kaczki?

I dokąd lecą w środku lutego? Dopiero nad ciepłe wody czy już z powrotem?

Auto wjeżdża w ciemny tunel pod autostradą, co znaczy, że są teraz nie dalej niż pięć kilometrów od Torunia. Robert prostuje się na siedzeniu. Kierowca wciąż nie przekracza sześćdziesiątki. Przed nimi komin elektrociepłowni. Na poboczu pustej drogi stoi czarne kombi z włączonymi światłami awaryjnymi i przyciemnianymi szybami.

Kierowca przystaje dwa metry przed tamtym, Adonis wysiada, po półminucie jest już z powrotem. Nie wyjaśnia, o co chodziło. Ruszają. Robert nie pyta o nic. Należałoby wreszcie włączyć telefon, ale odkłada jeszcze na chwilę nieuchronnie czekającą go rozmowę z Kaliną albo, co gorsza, z jej mężem... Przepędza z głowy pytania, na które będzie musiał powymyślać odpowiedzi.

- A wy, panowie, egh, eregh... - odkasłuje sucho. Nadciągające przeziębienie atakuje już struny głosowe. - Wiecie chociaż, gdzie mnie dokładnie zawieźć?

- Dostaliśmy wskazanie na ulicę Kraszewskiego. - Przystojniak stuka palcem w ekran nawigacji.

- Może wstąpicie na śniadanie? Moja była żona robi świetną jajecznicę na cienkim bekonie.

- Nie ma takiej potrzeby. To ja coś dla pana mam. - Drągał odwraca się w fotelu. W ogromnej łapie trzyma niewielki, jaskrawopomarańczowy kartonik obleczony w plastikową koszulkę - klucze do gospodarstwa Damiana i kluczyk do Robertowego subaru.

- Tutaj są dwa numery telefonów, pod które może pan dzwonić o dowolnej porze. - Końcówka klucza przesuwana się po wydrukowanych na oranżowej wizytówce cyfrach. - Najlepiej telefonować w tej kolejności, jak jest zaznaczone. Czyli wpierw do mnie. Ale obaj będziemy z kolegą w pobliżu. - Model spogląda na pustą drogę przed sobą, a potem jeszcze raz do tyłu. - Pański samochód jest odstawiony na parking hotelu Helios zapłacony do jutra rana. Kolega, co auto doprowadził, prosił przekazać, że placówka nad rzeką jest zamknięta, woda z rur spuszczone, prąd wyłączony, a bagaże pana i dzieci są w samochodzie.

- Laptop...

- Laptop też. I ta nagrzewnica również, bo kolega nie wiedział, czy to do pana należy, czy była na stanie.

- Strasznie jesteście mili.

- Są wobec pana pewne oczekiwania. To pan wie. Ale pomocą służymy zawsze. Aha... jeszcze jedno: te telefony, co dałem, to one u pana w tej tam... nokii są już zapisane. Jak pan włączy wreszcie aparat, to się zorientuje.

Zegar na kokpicie auta wskazuje za dziesięć siódma. Panowie się nadal nie spieszą. Auto powoli i przepisowo toczy się szosą olsztyńską. Po obu stronach nowo wybudowane, bajkowe domki, pomiędzy nimi brzydkie, garażowe szopy z reklamami fajerwerków i naprawy chłodziw. Zza wypiętrzonych wzdłuż ulicy śnieżnych wzgórz wystają niedawno posadzone rachityczne drzewa. Co trzecie złamane ludzką ręką. Za nimi - nad tym wszystkim - bezbarwna klawiatura cztero - i dziesięciopiętrowych bloków.

Toruń. Gotyki na dotyk.

Coś ci humor siada. A przecież wracasz, człowieku, do domu. Jednego z domów. Co ja, kurczę, właściwie opowiem Kamili? Może po prostu prawdę? A chłopakom? Znowu nic ze wspólnego wyjazdu nie wyszło... taka, kurwa, karma.

Kilka razy przekłada i zgina gazety, jakby siedział w pociągu dojeżdżającym do stacji i szykował się do opuszczenia przedziału. Dopiero teraz zwraca uwagę na okładkę „Faktu”. Wierzchem strony bieżą żółte litery na czarnym tle: *Horror we Włocławku. Policjanci skończyli służbę z obciętych głowami*. Brązowo-czarne, nieostre zdjęcie przedstawia czyjeś plecy, a za nimi - w głębi - wrak spalonego samochodu na gołym, błyszczącym asfalcie. W czerwonym kółku oznaczonym dodatkowo żółtą strzałką widać owalny, poszarpany kształt. Coś jakby duży przejechany jeź.

To pewnie jedna z ”obciętych głow”.

Zwija wszystkie gazety w rulon i owija je „Czasem Brodnicy”. Ci akurat wystawili na pierwszą stronę rozmowę o zimowym przycinaniu drzew owocowych oraz relację

z niecodziennej operacji miejscowego weterynarza, któremu udało się uratować śmiertelnie chorego chomika.

To się nazywa mieć spokojną i wartościową pracę. Miałeś taką kiedyś, chłopie... w tym mieście... i komu to przeszkadzało?

Gdy ustawiają się pod czerwonym światłem na skrzyżowaniu z szosą lubicką, Robert włącza telefon. Słucha tej samej melodyjki co zawsze. Osiemnaście nieodebranych rozmów, dwadzieścia dwa SMS-y, sześć powiadomień.

Dzwoni na początek do Kamili, by dowiedzieć się, że ta za pół godziny wychodzi z dziećmi - i policjantką - do szkoły. Skoro wiejskie ferie z tatusiem nie wypaliły, zapisała chłopaków na półkolonie z treningami dzudo. Żeby się nie nudzili. Ale sama zaraz wróci.

30.

Jajecznice na cienkim bekonie Robert robi według własnego przepisu - z odrobiną mleka. Jest głodny - wbija cztery jajka, piąte rozchlapuje na podłodze. Wchodząca do mieszkania Kamila zastaje go ze ścierką i papierowymi ręcznikami, klęczącego i przeklinającego. Z patelni leci dym.

- Nie radzisz sobie? - jej ton jest raczej wesoły i nieco zaczepny. Pełen makijaż z kredką wokół ust... tak od rana... hmm... I jeszcze przefarbowała włosy na jasnorude. Pod płaszczem, który właśnie z siebie zdejmuje, ma szarą spódnicę do połowy kolan. Robert czuje delikatne poruszenie w majtkach podarowanych przez „lecznicę”.

- Też się cieszę, że cię widzę. Możesz mi pomóc opanować tamto...? - chrypi, wybierając niesfornie przelewające się białko ze szpary pomiędzy kafłami.

Kamila macha dłonią przed nosem.

- Głos tracisz. Piłeś coś?

- Kawę z mlekiem. Ale miałem trochę kłopotów. Rozbiłem samochód. Cudzy. I trochę popływałem w zimnej wodzie.

- Jezu! - Kamila dopiero teraz patrzy mu w twarz. Spod opadających na oczy i policzki włosów przebija coś, czego nie powinno tam być. - Co ty masz na czole?!

- Plaster. I szwy pod spodem. A tu mam, o... widzisz... - Przekłada ścierkę ze zranionej, wciąż zabandażowanej ręki do drugiej, z plastrem na wierzchu.

- Pięknie... - Ona wygarnia na talerz smętną zawartość patelni i oddziela nadające się do zjedzenia fragmenty jajecznic od tych bezpowrotnie spalonych. Potem cofa się do przedpokoju, z którego przynosi wypchaną foliową siatkę.

- Kupiłam rogalce i czarne bułki - mówi, kładąc reklamówkę na małym blacie.

On - ciągle w parterze - zastanawia się, co by zrobiła, gdyby wsunął jej teraz rękę pomiędzy górną krawędź kozaków a spódnicę. Ona płucze pod kranem dłonie.

- Ukroić ci pomidora?

Minęło przeszło dziesięć lat razem i prawie drugie tyle osobno. Wiele się zmieniło, ale pewne rzeczy - jak pomidor z grubą warstwą pieprzu do mocno posolonej jajecznicy - pozostały niezmiennie. Jasna cholera... może by tak tu wrócić? Ubrania chłopców na wieszakach, łyżwy Krzysia rzucone w dwóch różnych kątach ciasnego przedpokoju, szalik - chyba Jasia - dyndający na spłuczce od sedesu... Gdzie ci będzie tak dobrze jak tutaj?

- Pokrój, proszę, pokrój...

Resztki po spalonym jajku lądują w śmietniku pod zlewem, a Robert podnosi się, stękając z bólu. Pochylony nad zlewozmywakiem płucze ścierką, by z przeproszącą miną powiesić ją na kaloryferze przy oknie. Ma własny komplet kluczy od tego mieszkania, ale ciągle czuje się gościem.

- Co u ciebie? - pyta, z trudem odzyskując wyprostowaną pozycję.

- A co się mogło wydarzyć od środy? Siadaj i jedz, bo stygnie. Chcesz bułkę z masłem czy z masłikiem?

- Z masłem. Faktycznie, to dopiero dwa dni, a mam wrażenie, że więcej... Może przez twoje nowe włosy. Pamiętam cię blondynką. Ale tak też jest fajnie. Nawet bardzo... Ogólnie... wyglądasz tak jakoś dobrze... zrobiona. - Siada na niskim taborecie, małym, jak całe to mieszkanie. - Nie spieszysz się do roboty?

- Zastąpią mnie do jedenastej. - Kamila układa przekrojoną bułkę na talerzu i bierze się do szatkowania wyjętego z lodówki pomidora. - Awansowałam nieco i już nie muszę podbijać karty.

- Nie mówiłaś... - Pochłaniając pierwsze, zalatujące spalenizną fragmenty jajecznej pulpy, Robert zdaje sobie sprawę, że nie do końca się orientuje w szczegółach pracy matki swoich dzieci. W ciągu ostatniego pół roku Kamila dwa razy zmieniała miejsce zatrudnienia... ale z jakiego na jakie? Wyleciało mu z głowy.

- Bo ciebie to raczej nigdy nie interesowało.

- Teraz interesuje mnie bardzo. - Niecierpliwie kroi widelcem plaster boczkusa, pomagając sobie palcem. - Skoro awansowałaś, to i kasa zapewne będzie, więc może się znowu koło ciebie zakręcić.

- Poleciałbyś na pieniążki? - Szczery uśmiech odejmuje jej przynajmniej pięć lat.

- Na twoje - zawsze! Poza tym podobają mi się rude dziewczyny w szarych

sukienkach.

- Myślałam, że wolisz brunetki.
- Na stare lata zaplanowałem ustrzelić rudzielca.
- Plecy cię bolą, co?
- Chyba się przeziębilem co nieco.
- Powiesz mi wreszcie, co się stało? - Uśmiech Kamili znika.

Jej tradycyjne zagranie. Nagła zmiana nastroju.

Przez chwilę skupia się na pieprzniczce i czerwonych plasterkach. Pomidory już nie smakują tak samo jak kiedyś, gdy kupowało się je na targowisku...

- Zrobisz mi kawę?
- Zrobię. Nie zmieniaj tematu. Powiedz, co jest grane.
- A dasz jeszcze jakieś krople do nosa?

- Chcesz mnie wkurzyć? - Kamila schyla się i wyciąga z szuflady obok lodówki kartonowe pudło z lekarstwami dla Krzysia i Jasia. Jest tego dobre dwa kilo. I krople w trzech gatunkach.

- Gdzie ta policjantka, co mówiłaś? - Robert wpuszcza w nos lekarstwo, wciąga głęboko, głośno i nieelegancko.

- Głównie siedzi pod blokiem w radiowozie... Przychodzą we dwie na zmianę: Ewa z Iloną. - Kamila wstawia wodę w elektrycznym czajniku i wsypuje do wysokiego kubka dwie duże łyżki rozpuszczalnego jacobsa. - Ewa była wieczorem na herbacie, pogadałyśmy sobie. Opowiedziała mi trochę. Ale sama niewiele wie.

- Czytałaś jakieś gazety?

- Słyszałam w wiadomościach. A zresztą... widzę przecież, co się wokoło dzieje. Ilona i Ewa traktują nas jak rodzinę prezydenta. Pod szkołą też dzisiaj mundurowy stoi, a wczoraj jeszcze go nie widziałam. Robert... mów mi w końcu, co jest grane!

- Miałem takiego studenta, Pawła Domaradzkiego...

- Wczoraj mówili o nim w radio.

- Hę...?

- Narzeczony tej poszukiwanej...

- Spotkałem się z nią wczoraj.

- Cooo?!!

- Dlatego musiałem zawieźć dzieci do Kaliny. Jak oni cię w ogóle poinformowali, gdzie są chłopcy?

- Nie mogłam się do ciebie wcale dodzwonić, a później...

Rozmawiają, popijając na zmianę kawę i herbatę, przez kolejne półtorej godziny. Gdy Kamila wychodzi do pracy, Robert - w podarowanej przez kontrwywiad kurtce, całkiem niezłej - wypala na balkonie dwa papierosy z rzędu. Niebo nad miastem jest zachmurzone, mróz odpuszcza, jakby miała wrócić odwilż, ale wiatr znowu zrobił się mocny i nieprzyjemny. Przechodzący chodnikiem ludzie kulą się w marszu albo przytrzymują czapki. Na stromej, porośniętej sosnami górcie za dwupasmówką grupa dzieci obrzuca się śnieżkami. Ich rodzice nie zadbali o zajęcia pozalekcyjne. A ty? Kurczę, znowu nawaliłeś, człowieku... ale jest jeszcze jest parę dni wolnego... może chociaż na sanki razem pójdziemy?

Za dwie godziny trzeba odebrać chłopaków ze szkoły.

W ich obwieszonym rysunkami małym i zagraconym pokoju, przy niskim stoliku do wspólnego odrabiania lekcji Robert uruchamia komputer. Maszyna jest sfatygowana, ma popękaną klawiaturę, myszkę sklejoną plastrem i chrobocący wiatraczek w środku. Po włączeniu startuje długo i opornie. W dodatku chłopcy napakowali do środka gier - pulpit jest zawalony dziwnymi obrazkami. *Neverwinter Nights*, skrót do *Tibii*, *Riot Zone*, *Swords and Sandals* i *Heroesy* z kolejnymi numerami. Oto jest światek dzieci sieci wychowujących się bez taty.

Czekając na połączenie z domowym routerem, otwiera leżący przy klawiaturze piórnik Krzysia. A może Jasia? Widzisz... nawet nie wiesz. Wszystkie kredki tępe. Gdzie jest temperówka?

Tatus się zaopiekuje. Naostrzy jak trzeba.

Przez chwilę temperuje kolorowe ołówki nad przepelnioną śmietniczką, potem wyrzuca jej zawartość do kubła pod zlewem. Podnosi leżące na podłodze w przedpokoiku łyżwy, związuje sznurowadła, wiesza na wieszaku, wchodzi do sypialni chłopców i porządkuje ubrania rozrzucone na obu łóżkach. Brudne skarpetki walające się po kątach łączy parami po dwie i zanosz do łazienki, do kosza na pralce. Wraca przed ekran komputera. Net już chodzi. Otwiera Onet.pl. Chwilę szuka tego, co go interesuje.

„Maja Szalawska, córka byłego ministra, konsula i felietonisty mecenasa Konstantego Szalawskiego, odnaleziona. Dramatyczne oświadczenie ministra”.

Wchodzi w tekst. Jest krótki i niezbyt jasny - najwyraźniej mają jeszcze mało konkretów. Córka konsula się odnalazła, ale jest ranna i w stanie krytycznym. Nie ma żadnych dowodów, by padła ofiarą przemocy.

„Jej obrażenia są wynikiem wypadku drogowego - twierdzi biuro prasowe Komendy Głównej...”.

Ja pierdołę... W co oni grają?

„Poszukiwaną znaleziono w doszczętnie rozbitym furgonie marki Volkswagen, który wypadł z drogi i stoczył się do zbiornika wodnego w pobliżu lewego brzegu Wisły na terenie województwa kujawsko-pomorskiego. Policja szuka mężczyzny kierującego tym autem. Prawdopodobnie jest ranny”.

Dalej oświadczenie Szalawskiego, który „nie spocznie, dopóki okoliczności wypadku córki nie zostaną wyjaśnione do końca”. Niżej trochę dziennikarskich spekulacji. Anonimowe źródło podaje następujący przebieg zdarzeń: dziewczyna zaszokowana atakiem zamachowca wyszła bocznym wyjściem z policyjnej komendy, później została wciągnięta do samochodu i wywieziona. Inna wersja: z własnej woli zabrała się autostopem z pechowym kierowcą. Tylko dlaczego akurat na Kujawy? Na razie nie wiadomo. Proszony o komentarz psycholog kończy artykuł gładkim zdaniem o nieprzewidywalności zachowań u osób narażonych na nagły i ciężki stres.

Poniżej przeszło siedemdziesiąt komentarzy. Robert czyta kilkanaście na chybił trafił. Dominuje przekonanie, że policja coś kręci. Ktoś utrzymuje, że tak zwany zamachowiec z komendy wcale nie został zabity i domaga się wielkimi literami „NIECH POKAŻĄ CIAŁO!!!”. Następny internauta wyraża mocne przekonanie, iż wypadek młodej Szalawskiej to dawno planowana zemsta na jej ojcu. Jeszcze inny zaprasza na stronę poświęconą „skrywanej prawdzie o Rzekomych Synach Polski”. Po kliknięciu okazuje się, że chodzi o dalszy ciąg sprawy Smoleńska.

Robert nie może oprzeć się wrażeniu, że coś się wokół niego zaciska. Otwiera stronę Wirtualnej Polski. Czwarta informacja od góry: odnalezienie Majki. Dalej: krótki wywiad z Szalawskim-ojcem, który powtarza z grubsza to samo co w oświadczeniu. Niżej: policja udostępniła rysopis poszukiwanego kierowcy volkswagena.

„Mężczyzna podejrzewany o spowodowanie wypadku w okolicy wsi Anin, gmina Lubanie, powiat Włocławek. Przepuszczalny wiek - około pięćdziesięciu lat, waga - około 70 kilo, wzrost - 175 cm, włosy - czarne, cera - śniada, wyraźne zmarszczki, oczy i brwi - czarne. Typ południowoeuropejski”.

Przeżył? *Fuck...* Spodziewałeś się tego przecież...

Wychodzi na balkon, ale po chwili wraca - papierosy zostały na biurku. W paczce jeszcze szesnaście sztuk. W połowie pall malla dopadają go dreszcze. Zamyka za sobą balkon i dokańcza palenie w mikroskopijnej toalecie. Smród robi się natychmiast nie do wytrzymania. A wypalony kiep nie chce utonąć w sedesie. Cholera z nim.

Wraca do komputera, jeszcze raz otwiera „dramatyczne oświadczenie” Szalawskiego.

Ojciec Majki - uchwycony na zdjęciu z jakiegoś eleganckiego przyjęcia - retorycznie

pyta, jak doszło do tego, że córka została wypuszczona z komendy policji, a następnie nieomal rozstała się z życiem. O zamordowanych narzeczoną i koleżance - nie wspomina. Jak to powiedział ten Taczalski? „Beata B., dwudziestolatka z Warszawy”.

Robert uruchamia wyszukiwarkę. Przez ostatnie dziesięć lat nazwisko Taczalskiego obilo mu się o uszy kilka razy. Drukował materiały w różnych tygodnikach. Coś o siatce pedofilskiej z Katowic i o handlu organami.

„Taczalski Maciej”.

Wyskakuje kilkanaście tysięcy wyników.

Sortuj od najnowszych.

Procesor przez długą chwilę mieli, nim na ekranie pojawi się to, o co może chodzić. Czternastominutowy wywiad nagrany dla jakiejś internetowej telewizji. Żeby obejrzeć, trzeba cierpliwie przetrzymać trzy reklamy. Nowe kanapki w McDonald's, wina z Ameryki Południowej w atrakcyjnych cenach i wyszczuplający żel dla mężczyzn. Po wirujących słóczkach z kremem pojawia się na ekranie misiowaty, duży chłop z łysiną. Powiększ obraz. Robert przygląda się Taczalskiemu. Wygląda na tak zwanego porządnego chłopca. Pozornie podtusiały safandula, ale tembr głosu i ciężkie spojrzenie błędzące wokół kamery wskazują, że należy do tych, co z niejednego pieca chleb jedli.

„Dziennikarz niezależny” - tak go przedstawiają w podpisie.

Przez kwadrans Robert podziwia cierpliwość tego gościa, który powoli i logicznie tłumaczy ukrytej poza kadrem dziennikarce, dlaczego forsowana przez większą część mediów, w tym wszystkie telewizje, teza o skutecznym pochyceniu i unieszkodliwieniu Synów-Skurwysynów nie broni się w świetle faktów. Prawdziwi sprawcy nie zostali ujęci - powtarza.

Nawet nie wiesz, chłopie, jak bardzo jesteś bliski prawdy.

Wychodząc z serwisu, czyta jeszcze notkę o oczekiwanej po południu konferencji prasowej. Policja, prokuratura i Agencja mają się wspólnie odnieść do najnowszych rewelacji „Gazety Wyborczej” o terrorystach rzekomo pozostających na wolności i do koncepcji „Drugiej Komendy”.

Lekturę przerywa gitarowy dzwonek komórki. Dzwoni Kalina.

- Możesz rozmawiać?

- Mogę... ale bardzo się boję rozmowy.

- Straszna masz chrypkę... Cztery razy do ciebie dzwoniłam.

- Przepraszam. Leżałem trochę w szpitalu.

- Nic złego ci się nie stało?

- Nie, tylko... wiesz co... wyślę ci lepiej zaraz SMS-em numer, żebyś dryndnęła na stacjonarny.

- Ktoś podsłuchuje?

- Dostaniesz esa, okej? Przepraszam.

- Nie ma sprawy.

- I zadzwoń z jakiegoś innego telefonu.

Po sześciu minutach i kolejnym papierosie wypalonym na sedesie cicho terkoce zakurzony telefon w przedpokoju.

- To ja. Strasznie się, Robert, tajniaczysz.

- Nooo... i w dodatku nie wiem, jak cię mam przepraszać. Tak w ogóle. Powinienem... eghrergh, ergh... przyjechać, ale nie mogłem. Naprawdę.

- Twoi synkowie dotarli bezpiecznie?

- Tak. Jestem u... ghrhmherghhhh..... wybacz... u Kamili.

- Troszeczkę się poznałyśmy, ale krótko. Wiem, że nie możesz mówić. Chciałam ci tylko powiedzieć, żebyś się zupełnie nie przejmował samochodem. Jeśli o to się martwisz.

- Jak cholera.

- Byli u nas. I wszystko będzie załatwione.

- Kto był?

- No, jak: kto? Ci, co tu sprząтали wczoraj. Ludzie w wiosce myśleli, że wojna wybuchła. Sąsiad pierwszy raz w życiu widział, jak helikopter ląduje - Kalina mówi coraz szybciej, wyraźnie zaaferowana. Na co dzień w Aninie niewiele się dzieje. - Przed świtem dziwny facet w płaszczu jeździł od domu do domu, prosił, by nie wychodzić z gospodarstw. Zresztą zamknęli drogi. Radiowozy śmigały, karetki, wielkie, czarne samochody jak w filmie, dosłownie... Przyjechali żołnierze, robili ludziom zakupy na koszt państwa. Lepiej niż za powodzi. Komórki nigdzie nie działały, zwykłe telefony tak samo. Dopiero wczoraj wieczorem się wszystko włączyło. Na moje rozeznanie strasznie się bali, że ktoś zadzwoni do telewizji. Na koniec powiedzieli tylko, że fabrykę narkotyków wykryli, ale bandyci stawili opór i były ofiary. I że w naszym interesie jest trzymać buzię na kłódkę, bo to była fabryka mafii.

- Gliny straszą mafią... tego jeszcze nie było.

- Nie gliny, tylko ten tajniak w czarnej pelerynie.

- Zapłacą za auto?

- Dali Adrianowi do wyboru gotówkę albo lekko tylko używany wóz, wielkiego japończyka.

- I co wybrał?

- Samochód oczywiście. Mówi, że kasa się nam zaraz rozejdzie, bo remonty robimy na okrągło, a tak to wiesz... Będzie miał nową zabawkę. Już do nich pojechał po odbiór.

- Cudownie.

- Ty możesz mi powiedzieć... dlaczego tak nam idą na rękę we wszystkim?

- To jest dłuższa historia, Kalinka. Ale możemy się umówić, że jak w przyszłym tygodniu będę jechał do Warszawy, a jeszcze lepiej - z powrotem... to do ciebie zajadę. Do was.

- Obiecanki-cacanki.

- Zobaczysz. Jestem ci winien jakiś prezent... tylko nie wiem, co lubisz.

- Coś wymyślisz.

- Kupię Adrianowi uniwersalny klucz do kół.

- Wolałabym, żebyś kupił mi kwiatki.

* *
*

Telefoniczna rozmowa z Iwoną jest krótka i Robert po raz kolejny nie może się oprzeć wrażeniu, że ona cały czas myśli o czymś albo o kimś innym. Że dzieje się u niej coś, do czego on nie ma już dostępu. Umawiają się na wieczór w jej mieszkaniu. Wcześniej „będzie zajęta”, ale nie wyjaśnia czym.

On się nie pyta.

Schodzi do piwnicy, wyciąga sanki i idzie do szkoły po chłopców.

Osiedlowa uliczka - miejscami odśnieżona, momentami trudna do przebycia - wiedzie między niskimi, nieregularnie rozrzuconymi blokami i dalej - wzdłuż dużego cmentarza. Gdy sam był w obecnym wieku swoich dzieci, Robert przybiegał tutaj, między groby, z bandą osiedlowych urwisów. Mogił było wtedy mniej, a krzaków więcej. Właściwie pamięta głównie te chaszczki. Razem z kilkoma koleżkami zbierali w nich dziki szczypior, palili pierwsze papierosy, a Jarek Bieliński - przywódca bandy i groźna, dziesięcioletnia postać - założył w opuszczonym grobie tajną skrytkę. Przechowywali skradzione rodzicom fajki i drobne zagraniczne monety wyszukane pod tym samym hotelem, pod którym stoi teraz jego samochód. Chowali za nagrobkiem także ówczesną, pozał się Boże, pornografię. Czarno-białe „gołe baby” wyrwane z tygodników „Razem”, „Kujawy” i „Radar”. To były cudowne czasy dla wydawców! Wystarczyło drukować cycki, by gazeta doskonale się sprzedawała. Przynajmniej pośród - jak to się dzisiaj mówi - gimbazy.

Ich wspólny zeszyt z nagimi paniami był dziełem sztuki. Niewyraźne fotosy z cyczuszkami i - w najlepszym wypadku - odsłoniętymi pośladkami Robercik sam w ukryciu

pracowicie otoczył całymi girlandami nagich dziewcząt wyrysowanymi czarnym długopisem z wielokrotnie napełnianym wkładem. Sterczące sutki, owłosione wżgórki Wenery i wypięte tyłeczki - to były jego pierwsze przymiarki w trudnej sztuce rysunku. Trzeba przyznać - docenione przez kolegów. Ich tajna skrytka otwierana była - i zamykana - wyłącznie komisyjnie, zaś prawo do samotnego oddalenia się w krzaki z zeszytem w dłoni regulował kilkupunktowy kodeks.

Pewnego straszego wtorku zeszyt zaginął. Potworny ten dzień wrył się w pamięć Roberta bardziej niż inny, czasowo nie tak odległy, w którym ojciec skonał na zawał serca.

Jako że o skrytce wiedziały poza nim i Jarkiem tylko dwie osoby, trujące podejrzenia natychmiast rozsadziły ich paczkę. A co gorsze, ten cholerny Bielina, który zapewne sam podwędził wspólny skarb, z czasem zaczął kierować podejrzenia na Robercika. Najpierw wykluczył go z bandy, a później zaczął jawnie prześladować.

Na szczęście dziewczynom w klasie zaczęły już rosnać cycki - choć nie tak duże jak paniom na zdjęciach - więc niesnaski z kumplami przestały być istotne.

Pojawiły się ważniejsze wyzwania.

Przed wejściem na szkolne boisko Robert wypala papierosa na zapas.

Przy metalowym ogrodzeniu na zasypanym trawniku parkuje błyszczący srebrno-granatowy passat. Siedząca w środku ciemnowłosa policjantka przygląda się Robertowi uważnie. Ma ładną twarz i bardzo duże oczy. On macha jej ręką, a ona lekko skłania głowę. Czy można wyrzucić peta na chodnik, kiedy pani władza patrzy? A może należałoby się przywitać? Chyba nie... Niech każdy robi swoje. Podchodzi do szkolnej furtki i staje tyłem do auta.

Dawna tyśiąclatka - odnowiona, przemalowana w ciepłe barwy i powiększona - wygląda z zewnątrz okazale. W czasach gdy była mniejsza i całkiem brzydka, dwunastoletni Robercik uderzał tutaj w konkury do pięknej harcerki Alicji, która tak uroczo wyglądała w szarej kurteczce z czterema zuchowymi gwiazdkami na pagonach.

Ciekawe, czy Krzysio ma jakąś sympatię.

Obaj chłopcy właśnie wybiegają na boisko w gromadzie rozchełstanych, kolorowych krasnoludków. Przepychanki, krzyki, rzuty kulkami. Śnieg rzeczywiście dobrze się klei - Robert upuszcza pod nogi niedopalonego pall malla, zdeptuje, lepi solidną pacynę i celuje w biegnącego za jakąś dziewczynką Jasia, który dopiero w tym momencie go zauważa.

- Taaaataaaa!!!

Synowie ścigają się w jego kierunku, wyprzedzany Jasio usiłuje podstawić bratu nogę, a gdy to się nie udaje - przynajmniej go popchnąć. Po chwili obaj wiszą już Robertowi

na szyi.

- Co ty masz na czole?

- Plaster.

- A na tej ręce?

- Bandaż.

- A na tej drugiej?

- Drugi plaster.

- Coś ci się stało?

- Miałem samochodem wypadek.

- I dlatego po nas nie przyjechałeś do Baby Jogi?!

- Jak wy mówicie, łobuzy, na panią Kalinę?

- Ona się sama tak kazała nazywać! - Jasiu pierwszy dostrzega sanki stojące za Robertem i już w nich siedzi, wyciągnięty jak bobsleista. Krzysiek pakuje mu się na kolana.

- Spadaj, gejucho!

- Jasio, przestań go wyzywać.

- Ale on się pcha, a ja pierwszy tu siedziałem!

- Może byście tak najpierw plecaki łaskawie z ziemi podnieśli?

- Tata, proszę, weź podnieś mój, bo jak ja wstanę, zaraz ten gej mnie podsiądzie!

- Tata, nie pomagaj mu!! - Krzysiek chwyta swój plecak i już czai się na miejsce w sankach.

- Zrobimy tak: wstaniecie obaj, położycie plecaki na sanki, usiądziecie na nich prosto i zaciągnę was na górkę.

- Na Rudelkę?

- Oczywiście!

- Supeer!!

- Tata, a gdzie ty byłeś wczoraj? - Gdy tylko sytuacja na sankach zostaje uporządkowana, pojawiają się nowe pola zainteresowań.

- Gdzie moja wędka?

- Wiesz, że policja nas obserwuje?

- Wiem, wiem... i wszystko wam po kolei opowiem. Ale najpierw wy mi powiecie, jak było u pani Baby Jogi, a jak na zajęciach, okej?

- Będę chciał zdawać na czerwony pas!

- Nie ma czerwonych pasów, ty dałnie! Najpierw jest tylko biały, a potem żółty.

- Nieprawda! Tata, powiedz mu!

Robert nie odpowiada. Smarka głośno i prosto w śnieg, a potem - zamyślony i jednocześnie zadowolony z siebie - ciągnie sanki. Passat z policjantką w środku powoli rusza z miejsca.

31.

Sala konferencyjna Ministerstwa Spraw Wewnętrznych - przestronne pomieszczenie o jasnych ścianach i trzech wysokich oknach - wypełniona jest do ostatniego miejsca. Pięć rzędów krzeseł z aluminium i sztucznej skóry nie wystarczyło, by pomieścić wszystkich chętnych. Dziennikarze stoją, kucają, siadają na szarej wykładzinie wśród rozstawionych kamer, lamp oraz stosów sprzętu, kurtek, plecaków i płaszczy. Wieszaków też przygotowano zbyt mało.

Za białym, podłużnym stołem-pulpitem - cztery osoby.

Rudy rzecznik policji inspektor Adam Along w ciemnym garniturze. Wysłanniczka resortu sprawiedliwości Tamara Janicka w błyszczącej, długiej sukni, bardziej odpowiedniej na bal niż na briefing. Jej ocierający się o idealną biel blond tapir na głowie jest imponującym dokonaniem jakiegoś szalonego fryzjera. Podobny Do Pięści Maurycy Osmołowski, rzecznik rządu, tradycyjnie manifestuje całym ciałem pewność siebie.

Gospodarz, chudy jak szczapa szef biura prasowego MSW - czterdziestolatek o długim, ptasim nosie i wielkich, odstających uszach, które sprawiają wrażenie, jakby miały za chwilę odfrunąć ze skroni - wstaje, podchodzi do stojącego obok mikrofonu i wita przybyłych w imieniu kierownictwa resortu. Na początek serwuje nieco przydługi wstęp: przedstawia siedzących przy blacie, przeprasza za niewygodę spowodowaną „szalonym zainteresowaniem mediów, z jakim spotkało się dzisiejsze zebranie”, potem mówi o zaskoczeniu „wywołanym poranną publikacją jednej z gazet”, która neguje trafność zatrzymań i aresztowań w „najważniejszym obecnie śledztwie”.

- Razem z przedstawicielami kancelarii premiera, Ministerstwa Sprawiedliwości i Komendy Głównej chcemy przedstawić państwu dzisiaj cztery ważne informacje.

Sala zamienia się w słuch.

Pierwszy news.

Na kopertach z proszkiem wysłanych do senatorów Wiperta i Buczyńskiego znaleziono ślady biologiczne i zapachowe wskazujące na to, że przesyłki przygotowała Aneta K., lat dziewiętnaście. Aresztowana przyznała się do wysłania tych listów i złożyła wyjaśnienia co do składu substancji, na szczęście niegroźnej, co zgadza się z ustaleniami

laboratorium. Podejrzana zmieszała mąkę ziemniaczaną z proszkiem do prania i gipsem.

Druga wiadomość. Jarosław M., lat trzydzieści jeden, i Karol D., lat dwadzieścia jeden, wskazali śledczym miejsce, w którym piętnastego lutego nagrali antysemicki materiał wideo. Tym miejscem jest opuszczony magazyn nieczynnej hurtowni nawozów sztucznych w powiecie grójeckim.

Trzeci news. Reinhart T. ponownie - i chyba już ostatecznie - przyznał się do winy.

- Dlaczego ostatecznie?

Słowa rzucone z drugiego rzędu mogłyby zostać zignorowane, jako że jeszcze nie nadszedł czas na zadawanie pytań, ale rzecznik o długim nosie chyba czekał na taki właśnie wtřęć.

- Podczas zorganizowanej w dniu wczorajszym wizji lokalnej podejrzany wskazał miejsce, z którego oddał śmiertelny strzał z zabezpieczonego już przez nas karabinu. Jest to budynek prywatny stojący na wzniesieniu w pewnej odległości od miejscowości Psie Głowy. Funkcjonariusze policji odnaleźli we wskazanym miejscu łuskę, pobrano także odciski palców, które są jeszcze badane, ale - nie uprzedzając zdarzeń - zaryzykuję twierdzenie, że wynik tych badań jest przesądzony...

- Wcześniej tyłu tam szukało i nic!

- On jest podobno wariatem!

Nieeleganckie uwagi - tym razem ciśnięte z ostatniego rzędu - nie tylko nie wyprowadzają rzecznika z równowagi, ale wręcz wprawiają w zadowolenie.

- Cieszę się, że będę miał możliwość sprostowania niepopartych żadnymi dowodami stwierdzeń jednego z dziennikarzy. Otóż nie mamy żadnych, powtarzam, żadnych informacji ani ze strony niemieckiej, ani polskiej, aby podejrzany Reinhart Tormbla... chciałem powiedzieć, Reinhart T., był psychiatrycznie leczony po którejkolwiek stronie granicy.

- Protokół przesłuchania i xanax.

„Jeden z dziennikarzy” - siedzący pod ścianą na własnym, zwiniętym w kłęb płaszczu Taczalski - mówi to cicho, jakby do siebie, ale i tak oczy wszystkich kierują się ku jego kamiennej twarzy. Maciej jeszcze przed konferencją ostrzegwał swego współnika Mikołaja Krzaka, że konferencja ta skończy się zapewne linczem na nich obu. Mimo to trzeba pójść.

Mikołaj nie przyszedł. Doszedł do wniosku, że nie utrzyma nerwów na wodzy. Trzeba mu oddać: życie od rana nim huštało. Po porannym kolegium na trzecim piętrze macierzystego biurowca koledzy z redakcji papierowej poklepywali Mikusia po ramieniu i gratulowali czołówkowego tekstu. O wpół do pierwszej sam zastępca naczelnego zszedł z nim na lunch do stołówki i przy deserze zamówił duży follow-up. Na kolumnę.

Mikuś już, już się miał zabierać do roboty, czyli po prostu - chwycić za telefon do Macieja, kiedy przybiegła dyżurna serwisu z pierwszą niepokojącą informacją: prokuratura i policja szykują agresywne dementi. Potem coraz gorsze wieści zaczęły się mnożyć jak króliki. Okazało się, że Maja Szalawska z całą pewnością nie siedziała w ściganym po warszawskich ulicach samochodzie marki Volkswagen Transporter. Gliny dogoniły i otoczyły ten wóz na ulicy Marymonckiej. Nie było tam - jak napisał Mikołaj w swym tekście - „kobiety i mężczyzny”. Protokół z opisem akcji nie pozostawia wątpliwości: w furgonetce siedziała sobie spokojnie siedmioosobowa rodzina wracająca z wesela w Radomiu do rodzinnego Płońsk. Zatrzymani zostali przeproszeni i wypuszczeni do domów.

Kolejna, jeszcze paskudniejsza sprawa: znaleźli się świadkowie, którzy twierdzą, że widzieli Szalawską wsiadającą do pociągu na Centralnym. Po prostu wyjechała z Warszawy - wolna i przez nikogo nie porwana. A później, gdzieś na północ od Kutna, przesiadła się do samochodu, później rozbitego. Zapewne z własnej woli.

- To też był półciężarowy volkswagen, więc jakoś tam można wytłumaczyć pomyłkę twego informatora - radośnie i z udawaną konfidencją zakończył dołowanie Mikołaja starszy od niego reporter zajmujący się na co dzień prokuraturą.

- A Włocławek? - Krzak zapytał krótko i przez ściśnięte gardło.

- Też kula w płot. Niestety. Naprawdę ci nie zazdroszczę, Mikuś. Strzelanka... - długie westchnienie -...odbyła się bez udziału Szalawskiej. I raczej nie ma nic wspólnego ze Skurwysynami.

- Tylko czo...?

- Lokalna psiarnia zrobiła obławę na fabrykę amfy. Właśnie to będę pisał.

Mikołaj opuścił głowę i nie podziękował za wyjaśnienia. Pół godziny przed konferencją czworga rzeczników zamknął się w boksie wypoczywającego akurat na nartach wydawcy serwisu, dając kolegom do zrozumienia, że potrzebuje spokoju, by zacząć „pisać jutrzejszą dokrętkę”. Faktycznie zastygł na krześle, tępo wpatrzony w porozklejane na ścianie zdjęcia, grafiki i wycinki ze starych numerów „Wyborczej”. Nawet nie włączył komputera. Chciało mu się zasnąć, zapłakać albo wyparować z budynku. Już wiedział, że nie będzie pisał żadnych dokrętek, tylko odpowiedź na gigantyczne sprostowanie.

Maciej Taczalski postanowił wystawić pierś za nich obu.

Przez dwa ostatnie dni udzielił sześciu wywiadów - w radiu i w sieci, bo żadna telewizja go nie zaprosiła. Promował się z premedytacją, ale uczciwie, i teraz nie zamierza podkulić ogona. Jeżeli teoria „Drugiej Komendy” upadnie - to trudno. Raz na wozie, raz pod.

Taki zawód.

Ale skóry tanio nie sprzeda. Trochę amunicji sobie przygotował.

W odróżnieniu od sparaliżowanego łękiem Mikołaja ostatnie trzy godziny spędził hiperaktywnie, wydzwanając do informatorów. Dzięki jednemu z nich dowiedział się, co zawierają akta z posiedzenia aresztowego w sprawie Reinharta Tormbladera. Teraz, gdy w połowie konferencji rzeczników wypuścił swój pierwszy nabój - xanax - stara się zachować minę pokerzysty. Nie przyszedł tu po to, by rozsierdzić gospodarzy, ale by nie dać się zjeść.

Inspektor Adam Along, nie wstając z miejsca, przysuwa sobie stojący na stole mikrofon i włącza go.

- Ghrmm... - na początek chrząknięcie i krótka pauza. - To prawda, że podejrzany wspomniał o zażywaniu lekarstwa przed chwilą wymienionego tutaj z nazwy, ale zarówno zdaniem sądu, jak i lekarza aresztu śledczego, pod którego opieką znajduje się osadzony, nie jest to jeszcze przesłanka do uznania go za... jak to ktoś z państwa był łaskaw określić... za wariata. Z tego, co mi wiadomo, za naszą zachodnią granicą zażywanie wspomnianego leku, dostępnego w internecie bez recepty, jest równie popularne jak łykanie tabletek wspomagających odchudzanie...

Szmer wesołości na sali. Bomba rozbrojona. Właściciel długiego nosa dziękuje ukłonem koledze-rzecznikowi i rzuca Maciejowi pełne wyższości spojrzenie, po czym umiejętnie kontynuuje atak. Teraz z pomocą ściągą wyjętej z marynarki.

- Wracając do meritum, proszę państwa... Podejrzany Reinhart T. przyznał się także do kierowania grupą osób zainspirowanych ideologią ksenofobiczną i nacjonalistyczną. W grupie, o której mówię, a która utożsamiana jest, jak państwo wiecie, z określeniem „Jedyni Synowie Polski”, według dotychczasowych ustaleń następujące osoby pełniły odpowiednio funkcje...

Stojący przy mikrofonie gospodarz konferencji przez kilka minut na przemian czyta z kartki i recytuje z pamięci coraz bardziej szczegółowe i w większości już znane wszystkim informacje. Ale nikt więcej nie przerywa. W powietrzu wisi przecież czwarty news. Zapewne najmocniejszy.

Ogłasza go - również na stojąco i z podniesionym czołem - sam rzecznik rządu.

- Mogę już państwu przedstawić przesłędzone przez nas bardzo dokładnie ostatnie cztery godziny z życia poszukiwanej w dniu przedwczorajszym pani Mai Agnieszki Szalawskiej, do niedawna studentki wydziału prawa Uniwersytetu Warszawskiego.

Na sali cisza, jeśli nie liczyć krótkich pokastywań z kilku miejsc. Maurycy Osmołowski, z rękami swobodnie opuszczonymi wzdłuż ciała i ustami tuż przy sitku

mikrofonu, przemawia głośno i wyraźnie.

- Chciałbym zdecydowanie zdementować nieprawdziwe i nieścisłe informacje o rzekomym uprowadzeniu pani Szalawskiej przez grupę osób określaną mianem „Kopuły” czy też „Drugiej Komendy” Synów Polski. Uprowadzeniu, którego celem miało być uciszenie czy też - jak nieopatrznie sugeruje dzisiaj na pierwszej stronie jedna z gazet - uniemożliwienie jakiegóż demaskatorskiej publikacji. Prawda jest mianowicie taka, że pani Maja Szalawska, świadek nieszczęśliwego i tragicznego wypadku w przydomowym ogrodzie, odpowiadała na pytania przesłuchujących ją oficerów, gdy doszło do wymiany strzałów w budynku...

Osmołowski robi krótką pauzę. Nikt nie przerywa ani nie zadaje pytań.

- Pani Maja Szalawska, już wcześniej dotknięta ciężkimi przeżyciami, pozostając prawdopodobnie w szoku na widok ranionej w bezpośredniej bliskości policjantki, oddaliła się sama i z własnej woli... Skorzystała z nieuchronnego zamieszania, do którego doszło na komendzie. Natychmiast po tym, gdy funkcjonariusze zorientowali się w jej zniknięciu, zostały wszczęte szeroko zakrojone poszukiwania, które początkowo nie dały rezultatu - mianowicie z powodów czasowych. Pani Szalawska udała się bezpośrednio na Dworzec Centralny, a następnie wsiadła w pociąg do Piły. Jadąc, albo doszła do siebie, albo po prostu zmieniła zdanie - wiadomo nam w tej chwili, że z wagonu wysiadła, aby skorzystać z autostopu. Jej dalsza podróż zakończyła się tragicznym wypadkiem na oblodzonej i zaśnieżonej bocznej drodze. Uprzedzając państwa pytania, wyjaśniam, że o tym, dlaczego kierowca wiozący panią Szalawską znalazł się w takim a nie innym miejscu, będziemy mogli poinformować, kiedy zostanie odnaleziony. Policja zapewnia nas, że poszukiwania cały czas trwają. To tyle z mojej strony. Czy są jakieś pytania?

Oczy zebranych ponownie skupiają się na Macieju. No i co teraz powiecie, ty i twój kolega Krzak, który nawet nie miał odwagi przyjść?

Czas na drugi nabój. Taczalski wstaje, przesuwając plecy po ścianie.

- Jak pan rzecznik skomentuje informację, że Jarosław Maćkowiak, Karol Dołęcki i Aneta Kruczek dostali pieniądze i za ten występ przed kamerami, i za wysyłanie kopert? Czy wiecie, kto płacił?

Along i rzecznik MSW sprawiają wrażenie rażonych piorunem. Janicka z wysoko uniesionymi brwiami i otwartą buzią patrzy na Osmołowskiego. Jej spojrzenie może oznaczać zarówno pytanie - „oszukujecie nas?!”, jak i wezwanie - „zrób coś!”

Podobny Do Pięści jest całkowicie spokojny.

- Nie wiem, w jaki sposób pan redaktor zapoznał się z aktami dochodzenia, które nie są jawne. Myślę, że ten fakt powinien się stać przedmiotem osobnego postępowania. Ale

odpowiem panu, ponieważ wbrew niektórym insynuacjom ani organa śledcze, ani wymiar sprawiedliwości, ani tym bardziej ja... nie mamy tu nic do ukrycia. Wyjaśnienia złożone przez podejrzanych na etapie posiedzenia aresztowego są ich linią obrony. Mianowicie ich prawem. Jak mnie poinformował dzisiaj nadzorujący przesłuchania prokurator, żadna z osób nie była w stanie określić i przybliżyć tej tajemniczej postaci, która miałyby płacić. Niezawisły sąd, decydując o aresztach, też najwyraźniej nie uwierzył w historyjkę, a mianowicie w postać niezbyt wysokiego i niezbyt niskiego mężczyzny, który pojawiał się i znikał, hojnie wynagradzając podejrzanych... tylko że na jego istnienie nie ma ani krztyny przekonującego dowodu. Są za to przesłanki obciążające podejrzanych... które, jak widać, się mnożą. Chce pan jeszcze o coś spytać, panie Taczalski?

- Tak, chcę. - Maciej ma już tylko jeden, ostatni atut. - Strażnik Ochrony Kolei Roman Świt z Bydgoszczy został zastrzelony w wagonie tego właśnie pociągu do Piły, o którym pan mówił. To przypadek?

- Panie redaktorze... - Westchnienie Osmołowskiego jest udawane, ale brzmi dobrze. Patrzcie, zebrani: zaraz nastąpi kolejna odsłona mordęgi urzędnika. Cierpliwe tłumaczenie niepojętnemu dziennikarzowi oczywistych oczywistości. -...panie Macieju! W czterdziestomilionowym kraju, co mnie oczywiście niezmiernie przygnębia, ale takie są mianowicie fakty, otóż w Polsce co niespełna trzy godziny ginie człowiek. Pan i pan redaktor... - chwila przerwy, jakby rzecznik musiał przypomnieć sobie nazwisko Mikołaja -...pan Krzak... wy sobie, możecie, wasze prawo, budować teorię spiskową, ale prawda jest następująca: nie ma żadnej drugiej ani trzeciej kopuły, komendy czy czegoś, o czym pan opowiada w mediach. Nie ma żadnego tajemniczego płatnika bez nazwiska. Nikt nie uprowadził pani Szalawskiej. Tak zwani Synowie Polski zostali, dzięki efektywnemu wysiłkowi wielu osób, aresztowani, na co wszyscy chyba czekaliśmy. Natomiast postrzelenia policjantów i strażników, napady na domy - także z użyciem noży - porwania dzieci, nieuprawnione zatrzymywanie pociągów i ataki na funkcjonariuszy państwa...

-...szczególnie we Włocławku i okolicach...

- Tak, tak, we Włocławku również, przecież wiem, do czego pan, mianowicie, tu zmierza. Pan i pański kolega próbujecie stworzyć wrażenie, że każde przestępstwo, do jakiego dochodzi w ostatnich dniach, jest dziełem tej tajemniczej drugiej ekipy czy drugiej brygady...

- Przyznacie panowie jednak, że to jest jakaś dziwna zbieżność. - Taczalski stoi wciąż oparty o ścianę. - Giną osoby znajome i bliskie pannie Szalawskiej. Mamy krwawe wydarzenia na trasie jej podróży i w okolicy. A państwo nam serwujecie jakąś historyjkę, że jej koleżanka się śmiertelnie poślizgnęła, że akurat tej nocy wykryto fabrykę amfetaminy

i przypadkowo ten sokista...

- Używając słowa „serwujecie historyjkę”, obraża pan pamięć funkcjonariuszy, którzy oddali życie w akcji przeciwko zorganizowanej przestępczości narkotykowej. Prosiłbym o uspokojenie nerwów, a mianowicie, żeby pan się nie posuwał w insynuacjach za daleko.

- Przepraszam bardzo wszystkich panów rzeczników za to, że zakłóciłem jasność waszego przekazu. - Maciej siada na swoim płaszczu. Cokolwiek niedobrego zgotują jemu i biednemu Mikusiowi dzisiejsze wieczorne wiadomości i jutrzejsze gazety... przynajmniej będzie mógł sobie powiedzieć, że walczył.

Reszty konferencji - wystąpien Tamary Janickiej i rudzielca z policji - już nie słucha. W narastającej duchocie - klimatyzacja na sali najwyraźniej nie radzi sobie z oddechami prawie setki osób - szykuje się na to, co nieuchronne. I rzeczywiście: gdy tylko zebranie dobiega końca, obstępuje go więcej osób niż któregokolwiek z rzeczników. Koledzy i koleżanki z branży, podtykając dyktafony, pytają, czy wycofuje się z rozpowszechnianych twierdzeń na temat „Drugiej Komendy”. Bardzo też pragną kontaktu z Mikołajem Krzakiem.

- Czyż jestem stróżem młodszego kolegi mego? - Maciej wkłada do ust niezapalone marlboro i całym sobą daje do zrozumienia, że chciałby już iść.

- Sam go inspirowałeś, a teraz chowasz głowę w piasek - wyszczana do ucha uwaga niskiej i prawie łysej komentatorki lewicowego tygodnika ma zabołość i boli faktycznie. Maciej pokazuje kolegom i koleżankom plecy.

Pięć minut później na parkingu, uwolniony wreszcie od towarzystwa, zaciągając się dymem, wybiera numer Mikołaja.

* *
*

Krzak nie odpowiada.

Kiedy obejrzał na ekranie komputera pierwsze piętnaście minut konferencji, poczuł, że zaraz pęknie mu głowa. Zostawił telefon na biurku, wyszedł z boksu wydawcy, poszedł do toalety i zwrócił - w czterech porcjach pod sporym ciśnieniem - cały posiłek zjedzony w towarzystwie wicenaczelnego. Piąta seria torsji zaowocowała już tylko strugą lepkiej, sraczkowatej brei.

Wyszedł z ubikacji tylnym wyjściem w stronę biura prawnego firmy, gdzie po piętnastej mało kto się kręci. Zszedł awaryjnymi schodami do podziemnego garażu, otworzył bagażnik swojego forda focusa, wyciągnął ukrytą w bocznym schowku butelkę wódki. Niech się dzieje, co chce. I tak przejebane.

Zamknął samochód od środka, opuścił do połowy oparcie fotela, włączył cichą muzykę reggae - w odtwarzaczu zakręcił się kompakt z piosenkami Dwighta Duncana -

i zaczął pić.

32.

Po powrocie z sanek, telefonicznej rozmowie z bratem, z Damianem, ze starą koleżanką Justyną i z kilkoma innymi osobami Robert najpierw upewnia się, że jego komórka nie wysłała własnego numeru, a potem dzwoni do warszawskiego szpitala MSW. Zgodnie z przewidywaniami nie udaje mu się porozmawiać ani z lekarzem, który zoperował Maję, ani w ogóle z nikim zorientowanym w sprawie. Podanie się za kuzyna z Argentyny niczego nie zmienia. Przełączany z jednego numeru na drugi, wypytywany po kilka razy o to samo i generalnie olewany ustala tylko tyle, że najbardziej chroniona pacjentka żyje i raczej żyć będzie.

W lepszym humorze - momentami kaszląc, momentami pogwizdując - przyprowadza swoje pięknie przez kogoś umyte subaru z hotelowego parkingu pod blok Kamili. Zaciąga hamulec kilka metrów obok srebrzystego passata i przechodząc, uśmiecha się do policjantki o sarnich oczach.

Ma niesamowicie długie rzęsy. Może sztuczne?

W mieszkaniu gra telewizor, brzęczy komputer, pachnie odgrzewana grochówka i ogólnie: rodzinna sielanka trwa jak za dawnych lat. Choć zarazem - inaczej. Jakoś spokojniej. Wszystko dzieje się tak cudownie wolno... Żeby tylko jeszcze cholerne przeziębienie zwalczyć... Robert od rana wlał sobie w nos buteleczkę kropli, zjadł połowę zielonego listka aspiryny, zagryzł przyniesionym przez Kamilę gripexem. Teraz - spocony i pociągający nosem - rozpakowuje bambetle, które smutni panowie załadowali hurtem do kartonu. Ładnie to wszystko zakleili taśmą i jeszcze przyklepili na wierzchu Jasiową wędkę, bo się nie zmieściła na długość.

Farelka Damiana, przedłużacz, laptop, ładowarka, jego własne ciuchy i książki - Henry James, Harald Welzer - niczego nie brakuje. Spakowali mu też zapasowy koc, ubrania maluchów poukładali równo w plecakach... Starają się, jak mogą. Milczenie jest przecież złotem.

Robert kaszle sucho, przysłaniając usta zabandażowanym przedramieniem. W czasie spaceru na górkę Rudelkę opowiedział synom złagodzoną wersję zdarzeń. Przyjaciółka jego studenta ze szkoły w Warszawie potrzebowała pomocy, ponieważ jej pociąg stanął w polu niedaleko ich miejsca wypoczynku. Gdy już odebrał ją z dworca i wyjechali we dwoje do Torunia, zdarzył się wypadek. Stąd teraz plastry, bandaże i chrypa. Ani Krzysio, ani Jasio

nie zapytali, co stało się z ”przyjaciółką”.

W tej chwili w swoim pokoju grają w *Heroesy*. Czyli: Krzysio gra, a Jaś je zupę z miski i się przygląda. Ale trzeba docenić, że od kwadransa się nie wyklócają.

Kamila - w kuchni - robi dalszy ciąg obiadu. Dla malców będą jeszcze filety kurczakowe *à la* KFC, dla nich obojga - pieczony schab. Piekarnik już rozgrzany, smakowity zapach mięsa powoli wypiera z mieszkania woń grochówki.

Robert podłącza laptopa. Folder: „W_Sz_Dzienn”, katalog: „prace”, plik: „P_Domaradzki_zaliczenie”. Referat Pawła otwiera się w Wordzie. Gdybyś się trochę, chłopie, znał na informatyce, mógłbyś być może posprawdzać, kiedy go ostatnim razem kopiowano i ile razy. Ale czy to ma w tej chwili znaczenie?

Przegląda tekst, upewniając się, czy nie jest nigdzie poobcinany. Nie... nie skasowali niczego. Zostawili tobie to prawo. No to... kończ waść.

Zamyka plik, naciska klawisz w dole klawiatury. Do wyboru: Nowy, Drukuj, Wyślij, Kopiuj, Usuń.

Wybiera tę ostatnią opcję.

I po wszystkim.

Lżej się zrobiło?

Jakoś nie bardzo.

Otwiera przeglądarkę, a potem - na chybił trafił - ostatnio odwiedzane witryny.

Onet:

„Odnalezione dowody. Prokuratura: zatrzymani przyznają się do winy”.

„Resorty Sprawiedliwości i Spraw Wewnętrznych dementują doniesienia »Gazety Wyborczej«,,

Interia:

„Tego nie wymyśliłby Mrozek! Jak obywatel niemiecki został przywódcą Synów Polski. Historia Reinharta T. TYLKO U NAS!”.

„Ranking największych hitów Eurowizji”.

„Policja zaprzecza wczorajszym ustaleniom GW”.

Wirtualna Polska:

„Kto pierwszy umieścił w sieci skandaliczne zdjęcia obciętej głowy policjanta?”.

„Terrorystyczny atak w Mauretanii. Płonie hotel”.

„Zobacz, co ona zrobiła ze swoją twarzą: NAJNOWSZE ZDJĘCIA KORY”.

„MSW: Reinhart T. ostatecznie przyznał się do zastrzelenia Zamachowca z Omegi”.

Facebook:

Ponad dwieście nieodczytanych powiadomień i zaproszeń, przeszło pół setki wiadomości.

Niezależna:

„MSW i Ministerstwo Sprawiedliwości są zgodne: autor »Wyborczej« kłamał”.

„Jednak Synowie Niemiec. Reinhart T. to wnuk oficera Wehrmachtu. Karol D. przez rok przebywał za Odrą”.

„Maciej Taczalski, autor fałszywej teorii »Drugiej Komendy«, był wcześniej dziennikarzem »Wyborczej«. Dlaczego przedstawia się jako »niezależny«?”

Nigdzie ani słowa o losach „bruneta w typie południowoeuropejskim”.

- Za pół godziny się dopieczesz. Wytrzymasz? - Kamila stoi oparta o składane w harmonijkę drzwi kuchni. Ręka na biodrze, spódnicę przesłoniła zabawnym fartuszkiem ze wstążką.

- Startujesz w wyborach na idealną... eghrerehhh, eregh... panią domu?

- Phi... - prychnąwszy wesoło i okręcając się na pięcie, gospodyni doskonała wraca do kuchni, prezentując na pożegnanie dłoń z wyciągniętym środkowym palcem.

Robert zagląda do paczki papierosów. Zostało jeszcze jednaście. Nie najgorzej, biorąc pod uwagę, że już się ściemnia. Otwiera kilka kolejnych stron WWW, czyta i skacze między witrynami. W końcu odpala świeży zapis wideo ze wspólnej konferencji ministerstw. Obserwuje, miejscami przesuwając je do przodu, występy Alonga i Osmołowskiego. Wymiana zdań między prowadzącymi zebranie a widocznym tylko częściowo w kadrze Taczalskim nie nagrała się całkiem wyraźnie, ale wystarczająco, by wywnioskować, o co chodzi. Fragment poświęcony zastrzelonemu sokiście, fabryce amfetaminy, funkcjonariuszom, którzy oddali życie w walce z podziemiem narkotykowym, oraz wypowiedziane suchym głosem przeprosiny Taczalskiego Robert odtwarza sobie trzy razy. Potem narzuca darowaną kurtkę na ramiona. Wychodzi na balkon, by zapalić i spokojnie pomyśleć.

W trakcie porannej narady Kamila - gdy już ją wprowadził w szczegóły - wypowiedziała się krótko: „milczeć”. Nie po to policja nas chroni, byśmy im teraz robili pod górkę. Kto wie, czy nie będziemy jeszcze potrzebowali ich naglej pomocy. Trzymamy się razem i nie wychylamy.

Później rozmowa zesłała na Iwonę i jego dalsze plany. Na razie bez konkretnych ustaleń, co dalej z życiem.

Wypuszczając dym i marznąc w wilgotnym powietrzu, nad sosnami za ulicą dostrzega nieśmiało przebijający chmury ostatni słoneczny promień. Mogłaby się ta cholerna zima

wreszcie skończyć. Mógłby stopnieć śnieg. Mogliby złapać czarnowłosego gnoja.

Chyba zadzwonią, jak złapią.

Przez uchylone balkonowe drzwi słyszy gitarowe wezwanie dobiegające z komórki. Wyrzuca niedopałek w zaspę pod blokiem.

W pokoju czuć dobiegający z kuchni nowy zapach. Chyba oprócz schabu piecze się jeszcze coś smacznego. Na wyświetlaczu nokii - nieznany numer. Pan Małpa z dobrą wiadomością?

- Pruski, słucham.

- Mówi Koooonstanty Szaaalaaawski.

Robert odkasłuje, zamykając za sobą balkon.

- Chciaaalem panu pooowiedzieć, że poooinformowano mnie szczeegółowo o paaańskiej roli...

Jeszcze jedno kaszlnięcie.

- Pan mnie słyyyszy?

- Tak, oczywiście - wszystko, na co go teraz stać, to głośny szept.

- Kiedy pan będzie w Waaaarszaaaawie?

- Planuję w poniedziałek. Co z Mają?

- Odpoczywa po operaacji. Potrzebny był częściowy przeeszczep. Ale lekaaaarze są dooobrej myśli. Życzę sobie, aby pan wieeedział, że ani ja, ani maaatka Majeeeczeki, nie żywiiimy do paana pretensji.

- Dziękuję.

- Chociaż maaa pan zapewne świaaaadomość, że uruchomił laaawinę zdarzeń, bez których...

Chwila przerwy, po której Szalawski nagle zmienia swą irytującą intonację. Dalej brzmi już całkiem naturalnie i dopiero to jest trudne do uniesienia:

- Pan ma dzieci?

Robert musi usiąść.

- Tak, mam.

- Dlatego powinien pan zrozumieć, co my teraz przeżywamy z mamą Mai...

- Rozumiem... że zamierzacie państwo... doprowadzić do ostatecznego wy-wyjaśnienia, kto po-polecił... - Trudności z wymową, jakich teraz doświadcza, nie da się wytłumaczyć wyłącznie chrypą. Głos mu zanika z braku tchu. -...kto strzelał... do pana córki.

- Moja córka uległa poważnemu wypadkowi drogowemu z winy człowieka, który...

- Pana córka - Robert chrypi najgłośniej, jak potrafi - została postrzelona, a ja

widziałem lecącą kulę, która omal nie odebrała jej życia, panie ministrze.

- Słyszę, że pan jest niezdrów. I coś się panu wydawało. Nikt nie dostrzega lecących kul. - Szalawski przez chwilę nie mówi, ale i nie rozłącza rozmowy. - Pan był wcześniej dziennikarzem, prawda?

- Byłem.

- Czy człowiek nazwiskiem Taczański... czy panowie się znacie?

- Nie miałem przyjemności, ale wiem, kto to jest.

- Życzę sobie, aby pan wiedział, że ten... osobnik, zanim się jeszcze dowiedziałem o wypadku, próbował ze mnie wyciągnąć informacje o pewnych zamiarach mojej córki.

- O tym, że chciała ogłosić, kto stoi za... szopką ze Skurwysynami? To pan chciał powiedzieć?

- To jest, panie redaktorze, tylko spiskowa teoria. Opowiadanie, nowela... autorstwa sympatycznego studenta z dużą wyobraźnią. A pan zdecydował się nadać temu tekstowi fatalny bieg. Co kosztowało mą córkę zdrowie. Ona... - Szalawski sapie, wzdycha albo pociąga nosem. -...będzie wymagała długiej rehabilitacji. Nie wiadomo, czym się to skończy. Pan jest mi obecnie coś winien.

- Ja... tak. Ale... pan mówił o wyjaśnianiu za wszelką cenę... Że pan chce...

- Chcę spokoju dla mego dziecka.

- Więc po co, na miłość boską, całe to pańskie oświadczenie?!

- Niech pan się nie unosi. Nie muszę niczego tłumaczyć.

- Nie musi pan. - Robert dostrzega pytające i karcące zarazem spojrzenie Kamili, która właśnie wynosi z kuchni talerze i sztućce. Robi uspokajający gest dłonią i znowu szepce, teraz już bardzo cicho. - Nie przeszkadza panu, że policja właśnie wrabia naiwniaków?

- Człowiek, który spowodował wypadek i skrzywdził moje dziecko, zostanie schwytany. Obiecано mi to i wierzę, że tak będzie. Schwytany i ukarany. To mi wystarczy. A panu... jeśli się wydaje, że wie już wszystko... Zapewniam: jest pan w błędzie.

- Bierze pan pod uwagę, ministrze, że nasza rozmowa jest... egrhgrh, erch... po-podsłuchiwana? - Robert stara się, by jego pytanie nie zabrzmiało jak zaczepka.

- Ja sam ją nagrywam, redaktorze Pruski - w głosie Szalawskiego jest coś śliskiego i zaostzonego zarazem. - Oczekuję od pana pełnej dyskrecji. Niech pan nie powoduje dalszych perturbacji, bo jak sam widzi... są tragiczne w skutkach. Pan jeszcze przechowuje tekst Domaradzkiego?

- Skasowałem go właśnie.

- Cieszę się. Niech mnie pan źle nie rozumie ani zbyt prędko nie osądza. Wszyscy

mamy swoje bolesne tajemnice.

Chwila przerwy, po której Szalawski odzywa się jeszcze innym, bardziej swobodnym tonem. Jakby ubyło mu lat. Jakby byli starymi kumplami.

- Doceniam to, Robert, że postanowiłeś uszanować moją sytuację i zrozumiałeś własną. Możesz mi wierzyć... podjąłeś dobrą decyzję. Nie zawracam ci już więcej głowy, przecież wiem, przez co musiałeś przejść. Dziękuję za wszystko, co zrobiłeś dla Majeczki. Bardzo dziękuję. Do widzenia. Trzymaj się ciepło! Pozdrowienia dla twoich synków!

„Trzymaj się”? „Pozdrowienia”? Dobre sobie... Ciekawe, ile jeszcze osobowości ma w zanadru ten facet.

Gdy Robert idzie do łazienki obmyć spoconą twarz, telefon - ledwo schowany do kieszeni - znów dzwoni. Pośrednik, który wypisuje mu dwa razy w roku kwity od ubezpieczenia samochodu, przypomina, że właśnie upłynął termin wpłaty raty.

* *
* *

Po obiedzie Kamila podaje całemu domowemu towarzystwu upieczone własnoręcznie ciasteczka z twarogu. Chłopcy zjadają je do ostatniego okruszka w niespełna pięć minut.

Robert - totalnie zakatarzony i wstrząsany dreszczami - sprząta po jedzeniu.

Pani domu nieruchomieje na kanapie przed telewizorem. Kanał historyczny emituje właśnie reklamy w przerwie między częściami biograficznego filmu poświęconego Josephowi Conradowi herbu Nałęcz. Obserwując na przemian swoje palce u stóp oraz aktora zachwalającego kredyty, Kamila myśli o swoim byłym i całkiem niedawnym facecie Dominiku oraz o tym zabandażowanym kochasiu, który kiedyś był jej mężem, a teraz znowu krząta się między kuchnią i pokojem. Nie porównuje ich obu na siłę, ale natrętne zestawienia nie dają się jakoś odpędzić. Może dlatego, że wszystko, co najważniejsze w jej życiu przez ostatnie trzynaście lat, wydarzyło się tutaj, w tych czterech ścianach. Na ciasnej kanapie, której już nie ma - stała tam, gdzie teraz telewizor - pokazała Robertowi pasek na teście. Oglądając błękitno-biały plastikowy prostokąt, miał taką zabawną minę. Gdy dwa lata później - pracowała wtedy jeszcze w Kasie Chorych - zdała sobie sprawę z tego, że jest w ciąży po raz drugi, też była w tym pokoju. Sama o świcie. Jasio - w postaci embriona - dał o sobie znać potwornym atakiem wymiotów. Nie zdążyła do łazienki. Nie miał jej kto przytulić. Robert gdzieś chlał, wrócił nazajutrz w południe, kompletnie bez kontaktu. Już nie pamięta, kiedy mu powiedziała, że znowu będą mieli bobasa. Tym razem jego mina nie była pocieszna. Był raczej przybity. Ale - jakże by inaczej - otrząsnął się szybko, odegrał scenę radości i pobiegł do delikatesów po butelkę wódki. Żeby uczić. Potem jeszcze musiał obkoleďdować kolegów z dobrą nowiną. Może to nawet był jego pierwszy morderczy ciąg?

Najpierw mówiła mu o rozstaniu w chwilach, gdy już nie unosiła całego tego syfu, który przynosił ze sobą do domu. Potem mówiła na zimno. Jeszcze później, znów w tym pokoju, spakowała jego walizki. Nie... to nie były walizki. Była czerwona torba w kratę z wielkimi uszami i jego plecak z dwoma dziurami na spodzie. Wyciął je nożycami, żeby nosić na spacerach półtorarocznego Krzysia. Starał się być dobrym ojcem, jak umiał, ale gorzała była po prostu silniejsza. Na sprawie rozwodowej sam to powiedział pani sędzi. Rozstali się bez awantury.

Dominik, w miarę przystojny czterdziestolatek, też po rozwodzie, zniecałkany - jak to pisują w romansach - wpłynął w jej życie.

Miał trzy główne zalety: nie pił alkoholu, wracał do domu o stałej porze i pozostawał w stałej gotowości do seksu. W tamtych czasach może by się jeszcze sama przed sobą do tego nie przyznała, ale erotyczny post przy Robercie - po tym, gdy chłanie zrobiło z niego kompletnego lachmytę - dawał się jej we znaki. Bardziej psychicznie niż fizycznie - wibrator, który sobie kupiła, był zaiste słodki, ale trzydzieści pięć lat to jest, do jasnej ciasnej, apogeum kobiecego libido, a nie czas na zjeżdżanie do boksu z kawałkiem silikonu między udami.

„Zjechać do boksu” - to było jedno z tych zapadających w głowę powiedzonek Roberta. Cokolwiek by o nim mówić: miał wyobraźnię, fantazję i pomysły. Po pierwszym, najdalej po drugim roku w towarzystwie Dominika wiedziała, że ten egzemplarz już jej porównywalnych wrażeń nie dostarczy. Nie ta jakość zawodnika.

Robert - zanim się stoczył - wyznaczał jednak pewne poziomy. Był błyskotliwym rozmówcą, potrafił zaskoczyć każdego, nie przytłaczały jej przy nim zbędne drobiazgi... Miał w sobie ten trudny do opisanego, lecz wyczuwalny wewnętrzny lot.

Nigdy nie mieli pieniędzy, ale też nigdy się nie nudzili. Nie rozmawiali o cenach mięsa, kolorach dywanów, nie oszczędzali, nie gromadzili dóbr i nie oglądali telewizji. Podróżowali z namiotem, kochali się i nocowali w najprzedziwniejszych miejscach... Jeszcze po narodzinach Krzysia, z małżeństwem w kołyszce, pojechali swym pierwszym samochodem na Bałkany. Zdziczałe kempingi i puste górskie zagrody ze śladami po kulach, fantastyczny smak świeżego owczego sera z winogronami popijanego rakiją. To był pierwszy i ostatni miesięczny urlop. I wcześniej, i później Robert pracował właściwie non stop. Każdej kolejnej roboty trzymał się jak alpinista ściany. To też mu trzeba oddać: potrafił zapieprzać i nadal to potrafi.

Dominik był inny. Kończył o szesnastej, po obiedzie sypiał, lubił telewizję - w mieszkaniu stanęły dwa odbiorniki: duży i mały. Wspólne nicnierobienie zupełnie mu nie przeszkadzało. W odróżnieniu od flejowatego Roberta brał prysznic przynajmniej dwa razy

dziennie, czesał włosy i brodę - to ostatnie było akurat dość śmieszne. Dobrze zajmował się Krzysiem i Jasiem. Był dla maluchów bardzo, może aż za bardzo wyrozumiały, bo o ile Robert od czasu do czasu wymagał od synów jakiegoś wysiłku sportowego czy po prostu wspólnego pójścia w plener, o tyle Dominik pozwalał im przeleżeć dzień przed telewizorem z miską cukierków przy boku. Jak sam powiadał, rozpuszczanie cudzych dzieci jest łatwiejsze. Pewnie miał rację.

Kamila być może zdołałaby się przy nim zestarzeć, gdyby nie to, że jej były mążonek przestał chlać wodę.

Zawsze był znany w Toruniu. Obskoczył tyle redakcji prasowych oraz programów lokalnej telewizji i radia, że prawie każdy w niewielkim mieście musiał się zetknąć z jego nazwiskiem, szczególnie od czasu, gdy został redaktorem naczelnym jedyne w mieście tygodnika. Dlatego abstynencja pana Pruskiego została powszechnie zauważona.

Miejską sensacją jako pierwsza przekazała Kamili jej własna fryzjerka.

Początkowo była przekonana, że otrzeźwienie byłego skończy się szybko powrotem do nałogu i jeszcze większą katastrofą, ale lata mijały, a Robert trzymał się dzielnie. Alimenty przelewał na czas, chłopców odwiedzał i zajmował się nimi, jak trzeba, jeśli nie liczyć kilku drobnych wpadek. Z czasem coraz częściej zaczęła myśleć: co by było, gdyby zaczęli od nowa?

Potem nastąpiła cała ta historia z białoruskim wampirem i Iwoną Tomaszewską. Robert się spektakularnie zakochał w bohaterce tekstu. Ale już mu powoli mija - to się daje zauważyć. W trakcie dzisiejszej porannej rozmowy ani razu nie poskarżył się na Iwonę - są w końcu rzeczy, do których prawdziwy twardziel nigdy się nie zniża - jednak Kamili nie od dzisiaj towarzyszy przecucie graniczące z pewnością: Iwona kogoś ma, a on to podejrzewa, choć te podejrzenia tłumi. Bo przecież zazdrość nie przystoi komuś tak zdystansowanemu wobec życia jak redaktor Pruski.

Reklamy się skończyły i teraz na ekranie małego telewizora - odchodzący Dominik zabrał tylko większy egzemplarz - można podziwiać porty Zatoki Meksykańskiej na przemian z afrykańskimi pejzażami. Kamera najwyraźniej podąża śladami wielkiego polskiego pisarza, który postanowił, i słusznie, tworzyć po angielsku. Kamila zapada w drzemkę. Ostatni obraz, jaki rejestruje, to żaglowiec „Otago” na ekranie i zgarbione plecy pochylonego przy laptopie Roberta, który umył już wszystkie naczynia i teraz stuka przy stole w klawiaturę.

Połączony na stronie Facebooka z Szymonem Galperem wklepuje w ramkę kolejne pytanie.

Dziedzic Pruski:...ale co mam robić, jeśli sumienie, niech Pan wybaczy duże słowo,

podpowiada co innego?

Meshuggah: Nie bój się prostych słów, mój drogi. Nie bój się niczego. I bądź bardziej jasny, jeśli łaska.

Dziedzic Pruski: Jestem wyłącznie ostrożny i pewnie Pan się nie dziwi.

Meshuggah: Pisz tylko tyle, ile możesz.

Dziedzic Pruski: Kusi mnie rozwiązanie radykalne, lecz niekorzystne dla zdrowia tych, których kocham.

Meshuggah: Winienesz napisać raczej: „niekorzystne według moich przewidywań”. A z tego, co wcześniej napisałeś, jasno wynika daremność wszelkich przepowiedni. Nie myłę się?

Dziedzic Pruski: Nie.

Meshuggah: Nie myl sumienia z uniesieniami honoru. Sumienie to prawo naszego ducha. Szeroka przestrzeń dla naszych dobrych czynów.

Dziedzic Pruski: Żeby jeszcze chodziło tylko o własną niełojalność...

Meshuggah: Czar dotarcia do prawdy byłby niewielki, gdyby nie morze wstydu po drodze.

Dziedzic Pruski: Ale składać cudze dobro na swojej szali?

Meshuggah: Jeżeli nie jesteś gotowy wybrać pomiędzy osobami, wybierz między wartościami.

Dziedzic Pruski:????

Meshuggah: Między prawdą i kłamstwem.

Dziedzic Pruski: Chyba muszę to wszystko jeszcze raz przemyśleć.

Meshuggah: Sądzę, że o efekcie twojego dumania dowie się wkrótce bardzo dużo osób.

Dziedzic Pruski: To wskazówka?

Meshuggah: Tylko twierdzenie wynikające z obserwacji i pewnej, wybacznosci nieskromności, znajomości twego charakteru, mój drogi.

Dziedzic Pruski:????

Meshuggah: Wydaje mi się, że znam Cię już lepiej niż ty siebie. Tacy jak Ty ZAWSZE WSTAJĄ, i to jest piękne. Czapką ognia nie przykryjesz.

Dziedzic Pruski: Nie chcę pożaru.

Meshuggah: Chcesz ładu serca. To dobrze.

* *
*

Idąc godzinę później do Iwony - z obstawą za plecami - Robert czuje się tak mocno

przeziębiony, że nawet nie chce mu się palić. Przez ostatnie miesiące zrobił trasę pomiędzy ulicami Kraszewskiego i Gagarina co najmniej dziesięć razy. Jeżeli jechał autem, schodził jeden pall mall. Gdy szedł pieszo - dwa. Tym razem wyciąga zieloną paczkę dopiero w jej mieszkaniu, gdy czyta - po raz pierwszy - zostawioną na stole kartkę.

Umówili się równo na siódmą - Iwona sama wyznaczyła godzinę. Czterdzieści minut wcześniej Kamila poszła z chłopakami do multipleksu na kolejną ekranizację Tolkiena. On się spokojnie przebrał i pozbył starych opatrunków. Majtki i skarpety z tak zwanej lecznicy wylądowały w śmietniku razem z bandażem i plastrami. Obejrzał przed łazienkowym lustrem szwy na czole - wyglądały paskudnie, ale i tak lepiej niż obie poranione ręce. Nakleił nowe, dużo mniejsze plastry z domowej apteczki, zjadł trzy aspiryny, popił wodą z kranu, wlał do nosa trochę kropli, wyszedł, doszedł na Gagarina, wjechał na dziewiąte i zastał drzwi zamknięte na klucz. Otworzył sobie sam, otrzepał resztki śniegu przed progiem, wszedł do pustego mieszkania, zapalił światło, kartkę zauważył od razu.

„Nie mogłam czekać, aż przyjdziesz, nagła sprawa, przepraszam. Zdzwonimy się”.

Napisała to czerwonym, przerywającym flamastrem, w wyraźnym pośpiechu. Nie dodała ani uśmiechniętej buźki, ani serduszka, ani „pocałuj mnie w dupę”. Może pisak się wyczerpał?

Prawie nigdy nie palił u Iwony w mieszkaniu, jeżeli już, to w kuchni, pod plastikowym okapem. Tym razem zaciąga się i wypuszcza dym na środku pokoju. Wybiera jej numer, dzwoni, słucha długiego sygnału. Jeden, drugi, trzeci, przerwane. Rozłączyła się?

A co myślisz, głupku?

Spójrz prawdzie w oczy. Iwona ma w tym miasteczku ważniejsze sprawy do załatwienia niż witanie ciebie.

Zwija kartkę w lejkowatą tutkę i wykorzystuje jako popielniczkę. Staje w kącie z twarzą zwróconą do ściany i stoi tak przez piętnaście minut.

Dopala papierosa, potem następnego.

Dreszcze przechodzą go falami, piasek pod powiekami piecze, swędzi i kłuje. W skroniach dwa młotki: puk-puk, puk-puk-puk. Ręce drętwieją od łokci w dół. Ale to wszystko nic w porównaniu z uczuciem utraty.

Zastanawia się, jak mógłby zamknąć drzwi za sobą, zostawiając jednocześnie klucze w środku. Tego się albo nie da zrobić wcale, albo jesteś, człowieku, za głupi, by wynaleźć sposób. Najprostsze łamigłówki - te z dopasowywaniem figur w ramce i przestawianiem zapalek, by odwrócić kierunek, w którym płynie rybka - przerastały cię od dziecka.

Jedyny przychodzący do głowy pomysł - pozostawienie kluczy sąsiadce - odrzuca.

Zamyka drzwi i chowa klucze z powrotem do kieszeni. Ma przy tym uczucie, jak gdyby przywłaszczał sobie znaleziony portfel.

Wracając na Kraszewskiego, pali jednego papierosa po drugim, a gdy robi mu się już niedobrze od smoły i nikotyny, zjada kilka garści śniegu zgarniętych z dachu jakiegoś stojącego samochodu.

Od czasu, kiedy ostatni raz żarł śnieżki i lizał sople, minęło prawie czterdzieści lat. To był zawsze dobry sposób na to, by zachorować i nie iść do szkoły.

Bołą zęby, usta szczypią, gardło już nawet nie piecze. Wszystko od przełyku w dół zdaje się należeć do kogoś innego. Jego ciało drewnieje.

Może chcesz, chłopie, doprowadzić się do zniszczenia, żeby nie musieć decydować?

W mieszkaniu Kamili kolejny raz robi coś, co mu się nie zdarzyło od niepamiętnych czasów - włącza telewizyjne wiadomości i kładzie się na kanapie przed ekranem.

Sędzia Aleksandra Jasińska-Chadib, ostatnia ofiara Kajetana Leskiego, zamachowca z Omegi, zmarła o siedemnastej w gdańskim szpitalu. Osierociła szesnastoletnią córkę. Kamera pokazuje kilka fotografii - chyba z narciarskich wakacji - przedstawiających zmarłą prawniczkę w towarzystwie męża o ciemnej karnacji i zjawiskowo pięknej dziewczynki. Potem najazd operatora na lekarkę w zielonym czepku, która tłumaczy, dlaczego medycyna nie poradziła sobie z ciężkimi obrażeniami wielokrotnie postrzelonej kobiety.

Kolejna informacja: wspólny, uroczysty pogrzeb policjantów, którzy oddali życie w walce z bandytami we Włocławku, odbędzie się we wtorek. Obecność zapowiedzieli prezydent i premier. Rada Etyki Mediów potępiła decyzję dziennika, który opublikował „szokujące i skandaliczne” zdjęcia ciał zmasakrowanych funkcjonariuszy. Redaktor naczelny pisma broni się, powołując na wolność słowa, i przytacza przykłady zachowania zagranicznych mediów w takich sytuacjach. Przewodniczący Rady Etyki odpowiada na żywo. Potem - ilustrowana wykresami i zdjęciami paczek z kokainą - lawina danych statystycznych na temat polskiego podziemia narkotykowego. Archiwalne zdjęcia ze strzelaniny pod Warszawą sprzed dobrych paru lat.

Dalsze newsy. Ani policja, ani prokuratura nie potwierdzają doniesień „Gazety Wyborczej” na temat tak zwanej Drugiej Komendy, którą mieliby tworzyć nieznani dotąd organom ścigania terroryści - inspiratorzy ataku na Komendę Stołeczną. Główny podejrzany spośród domniemyanych Synów Polskich wskazał miejsce, z którego strzelał do Kajetana Leskiego.

Ostatnie wieści z kraju: poszukiwana w związku z atakiem na Komendę Stołeczną kobieta świadek przeszła operację po wypadku drogowym. Trwa usuwanie skutków ostatniej

śnieżycy na północnym Mazowszu, udało się przywrócić zasilanie energią elektryczną we wszystkich odciętych dotąd miejscowościach.

Czas na zagranicę. Mauretańska żandarmeria informuje o zastrzeleniu dwunastu terrorystów, którzy nocą zajęli hotel w miejscowości Nouakchott...

Robert przełącza program. Od wieków nie miał w ręku pilota. Wydaje mu się, że kiedyś to badziewie miało na sobie więcej przycisków, a teraz porobili jakieś prostsze egzemplarze. Może właśnie dla takich jak on. Wciskając guzik oznaczony plusem, skacze po kanałach: reklama „rozwiązania przeciwko zmarszczkom” i „pożyczek w trzy minuty”, skoki narciarskie, prognoza pogody - zapowiadają ocieplenie i słońce, cztery gadające głowy w przyciemnionym studiu, znowu skoki na nartach, amerykański film - jeden czarnoskóry i umięśniony pan kopie właśnie drugiego na dachu jakiegoś drapacza chmur. Kopnięty widowiskowo koziołkuje. Zaraz, zaraz... Robert przez moment szuka guzika z minusem, by wrócić do poprzedniego programu. I jeszcze poprzedniego. Jest! W półmrocznym studiu, którego atramentowoczarny wystrój ma zapewne sugerować, że tu się rozmawia o najpoważniejszych sprawach, siedzi Taczalski. Ledwo się mieści w ciasnym fotelu na krótkich nóżkach. Za jego plecami raz jaśnieje, raz gaśnie świetlny napis stylizowany na przedwojenny neon kinowy: „Minął Dzień”. Po obu stronach Taczalskiego - dwaj dyskutanci.

Szczupły młodzieniec w za małej marynarce z szalikiem owiązanym fantazyjnie wokół szyi wygląda bardziej na ostro lansującego się projektanta mody niż dziennikarza. Na nosie okulary *à la* Woody Allen, na sterczących w szpic włosach - dużo żelu. Z podpisu wyświetlającego się, gdy kamera pokazuje go w zbliżeniu, wynika, że reprezentuje redakcję informacyjną telewizji publicznej.

Drugi rozmówca, zwany tu i ówdzie „rządowym pupilem” Albert Zapatoczny, właśnie punktuje wszystkie, jak to określa, absurdalne argumenty przemawiające za teorią o „Drugiej Komendzie”. Najwyraźniej kocha swój własny głos, bo mówi głośno i długo, nie pozwalając dojść do głosu ani Taczalskiemu, ani siedzącej bokiem do kamery kobiecie, która prowadzi program. Umieszczona na podwyższeniu prezentuje doskonale nogi i burzę starannie rozczochranych złotych loków w stylu Dolly Parton.

Zapatoczny, gładząc bródkę, poucza Taczalskiego profesorskim tonem:

-...to, co pan uparcie nam prezentuje, redaktorze, niczym się nie różni od działań bulwarówki, która wyłącznie dla zwiększenia nakładu epatuje widza widokiem zdekapitowanego ciała. Pańskie oraz redaktora Krzaka tak zwane ustalenia doprowadzają do spadku zaufania wobec...

- Może pan redaktor odpowie... - gospodyni programu usiłuje się wtrącić, ale Zapatoczny nie pozwala. Taczalski cierpliwie słucha. Elegant z wyżełowanym pierożkiem nad czołem wygląda na kogoś, o kim zapomniano. Główny aktor programu kończy wypowiedź pytaniem:

- Czy pan ma choćby jeden dowód na to, że atak na Nowolipkach był próbą porwania panny Szalawskiej, na czym, jak rozumiem, opiera się cała pańska i pana Krzaka teoria? Nie ma pan!

- Nie mam - Taczalski mówi wolno, znać, że jest śmiertelnie zmęczony. - Jednak podpowiem panu dość oczywiste rozwiązanie łamigłówki, na które wpadłem dopiero dzisiaj po konferencji, gdy usłyszałem od pana rzecznika rządu, że w kraju co trzy godziny ginie człowiek... Otóż ginie, owszem, ale w wypadku drogowym. A takie nagromadzenie tragicznych zgonów, z jakim mieliśmy do czynienia przedostatniej nocy, to nie jest coś, co można wytłumaczyć statystyką. Moja teoria jest prosta: w środę wieczorem, po wyjściu panny Szalawskiej...

- A więc już pan nie mówi o porwaniu, ale o wyjściu! Pan ma jednak jakąś obsesję na punkcie tej osoby! - Oburzenie wyżełowanego eleganta sprawia wrażenie prawdziwego. - Dla pana organizacja Synów Polski, nacjonalny ekstremizm, antysemityzm, terroryzm, neonazizm... to wszystko drugorzędne kwestie. Liczy się tylko...

-...tylko pościg pana Macieja za rozwiązaniem całkowicie własnym i oryginalnym, prawda? - Zapatoczny unosi wypielęgnowany kciuk i uśmiecha się do Taczalskiego ze smutkiem, jak stary profesor karcący niesfornego, lecz w gruncie rzeczy nieszkodliwego licealistę. - Pan jako freelancer musi zabiegać o wyrazistość... i ja to rozumiem. W naszym zawodzie utrzymać się jest coraz trudniej. Ale - mój Boże - nie takim kosztem, proszę pana! Nie za cenę podpalania państwa! - Zapatoczny unosi obie ręce.

Taczalski nie daje się sprowokować.

- Pozwólcie mi dokończyć. Bardzo proszę.

Prowadząca łaskawie skłania głowę, loki opadają jej na policzki.

- W środę wieczór, między centrum Warszawy a miejscem, w którym odnaleziono Maję Szalawską...

Obaj rozmówcy Macieja wzdychają ciężko i jednocześnie.

-...odbył się wyścig pomiędzy organami ścigania a przestępcami tworzącymi faktyczne centrum operacyjne tego, co nazywamy Synami Polski. To był wyścig do czegoś, co Maja Szalawska miała ze sobą. Albo miała w pamięci. I policja ten wyścig przegrała. Stąd tyle trupów. Bo o narkotyki tu nie chodziło na pewno.

- Pańskie uporczywe zaprzeczanie oficjalnym i udokumentowanym informacjom jest równie irytujące jak uparte pomijanie faktu, że brak panu jakichkolwiek dowodów na poparcie karkołomnych teorii! - Zapatoczny znowu głaszcze swoją kozią brodę.

- Dowodów nie mam. Ale mam poszlaki i zwykłą, dziennikarską pewność wynikającą z ciągu logicznego... - Taczalski odpowiada cicho i przerywa w połowie zdania, jakby zabrakło mu tchu. Facet jest najwidoczniej na skraju zawału.

- Skoro nie ma ani dowodów, ani przełomowego źródła informacji... to po co obaj, z redaktorem Krzakiem, rozpowszechniacie nieprawdziwe i niesprawdzone wiadomości? I gdzie się pański kompan obecnie znajduje? Bo z tego, co mi wiadomo, wielu naszych kolegów po piórze szuka go dzisiaj przez cały dzień.

- Podobno schował się w mysią dziurę - młody elegant chce powiedzieć coś jeszcze, ale w tym momencie przerywa, ponieważ Maciej Taczalski podnosi się ciężko z fotela.

- Przepraszam. Źle się poczułem. Dziś w nocy nie spałem, to chyba...

Wychodzi ze studia, utykając.

Złotowłosa łania i jej dwaj goście chwilę rozglądają się po studiu, wymieniają spojrzenia, ale program leci na żywo, więc po prostu przechodzą do następnego punktu debaty zatytułowanego: jak możemy się przeciwstawić wzbierającej fali agresywnego nacjonalizmu?

Robert kaszle długo i sucho. To, co zalega w krtani, nie chce się już oderwać. Choroba wygrywa, aspiryny nie rozgrzewają, mimo zimna niezdrowy pot spływa mu z czoła i spod pach. Wyciąga z kieszeni komórkę, by sprawdzić, czy nie przyszedł SMS od Iwony, ale... nic nie ma. Idzie do łazienki, odrywa pasek papieru toaletowego i opróżnia nos. Wyciera się w ręcznik Kamili. Wraca do pokoju, otwiera laptopa, chwilę czeka, wkłada do ust papierosa, lecz nie zapala. Myśli o Pawle. Mądrym, pracowitym chłopaku, który miał przed sobą karierę. Karierę...? Przecież on miał życie przed sobą. Mógł kochać, oddychać, mieć dzieci... kurrwa mać!

Klika w ikonkę „kosz”.

Plik P_Domaradzki_zaliczenie widnieje na wierzchu tabeli.

Przywróć ten element.

Okej. Przywrócony.

Kto może mieć telefon do Taczalskiego?

Dzwoni do Atrium, do asystentki swego byłego pryncypała Makarego Glińskiego. Ewa pracuje do późna, a co ważniejsze - ma notes ze wszystkimi niezbędnymi telefonami w stolicy. I numer, o który chodzi, ma również.

Robert wybiera cyfry, czeka - czemu tak długo się łączy, do cholery?! No... wreszcie! Słucha komunikatu ze skrzynki: „Taczalski z tej strony. Już się nagrywa”.

Było do przewidzenia, że nie odbierze. Rozłącza się i pisze wiadomość:

„To ja zabrałem Maję z pociągu. Mam rzecz, której oni wszyscy chcieli. To jest tekst”.

Maciej Taczalski oddzwania natychmiast.

33.

W zabłoconym podziemnym garażu korporacyjnego biurowca na Mokotowie o wpół do dziesiątej wieczór jest ciemno i prawie pusto. Na wolnych miejscach parkingowych leżą bryły oderwanego spod błotników śniegu, gdzieś śmieci i niedopałki. Maciej nie sądził, że jeszcze kiedyś wejdzie do tego budynku, ale się przemógł i od razu zaliczył trafienie. Wcześniej założył dwa rozwiązania: albo podrapany ze wszystkich stron ford jeszcze tu stoi - i wtedy można szukać zaginionego Mikusia w jednym z trzech najbliższych barów. Albo samochodu nie ma. Wówczas pozostanie tylko wdroić plan B.

Malinowy focus stoi na swoim miejscu. Co więcej - z redaktorem Krzakiem w środku. Gdy Taczalski otwiera drzwi, alkoholowy smród wymieszany z tytoniowym dymem i dużo gorszym odorem spalonego plastiku uderza go jak pięść. Redakcyjna gwiazda tego poranka - teraz już tylko strzęp człowieka - leży i chrapie. Na pokrytej pryszczami brodzie w świetle górnej lampki błyszczą zaschnięty sople śliny. Przy odrzuconej na fotel pasażera dłoni zgasły papieros w czarnej obwódce wypalanej tapicerki. Między kolanami - przechylona i prawie pusta butelka.

Maciej zdejmuje z ramienia torbę, po namyśle ściąga i płaszcz, który kładzie na dachu samochodu. Miki nie waży dużo, ale trzeba się zabrać do pracy metodycznie. Wyciąga kolegę zza kierownicy. Najpierw stawia go do pionu, opierając o auto, potem uwalnia jego tułów, trzymając zalanego już tylko w pasie. Głowa i ramiona Mikołaja natychmiast opadają, słychać coś pomiędzy bulgotem a szlochem. Maciej - nie puszczając ofiary - wkłada koledze palce w usta. Ćwiczyli to już parę razy wcześniej. Tym razem także efekt jest zadawalający. Rzygowiny redaktora Krzaka są cienkie jak słaba herbata.

- Słyszysz mnie?

- Ehreeehreee...

- Jarzysz coś?

- Czeeeekaj... kto...? - Mikołaj unosi ręce i robi kilka zamasztych ruchów, jakby

chciał kogoś odepchnąć albo płynął gdzieś nieskładną żabką. - Czeeegooooo...

Wymiotuje jeszcze raz. Ale już stoi o własnych siłach.

- To ja, twój Anioł Stróż.

Taczalski rozgląda się po ciemnym pomieszczeniu. Dziesięć metrów dalej, przy wściekle czerwonym i idealnie wymyтым zabytkowym krążowniku amerykańskich szos - o ile dobrze pamięta, należącym do redakcyjnego prawnika - stoi plastikowe wiadro. W półmroku nie widać, co w środku pływa. Raczej nie jest to woda źródłana, ale Maciej nie zamierza się w tej chwili z Mikusiem patyczkować. Podchodzi do niego z kubłem, nabiera cieczy w dłonie i ochlapuje mu twarz. Potem, trzymając za czuprynę, myje mu całą głowę, a wreszcie oblewa go tym, co zostało. Mokry Krzak prychnął, kaszle, ale poddaje się zabiegom bez większego oporu.

- Mikuś, morda ty moja... kontaktujesz wreszcie?

Jeszcze jeden spazm, breja cieknąca z ust nie jest już herbaciana, tylko żółta jak siuśki.

- Mikuś... jest interes do zrobienia!

Wymiotujący trzęsie głową, pluje, charczy, przeciera twarz mokrym rękawem, znowu pluje. Wreszcie prostuje się wsparty tyłkiem o maskę forda.

- Jesztem fertysz!

- To pięknie. - Taczalski z zadowoleniem stwierdza, że kolega musi kontaktować lepiej, niż mógł przypuszczać. - Zawsze w ciebie wierzyłem. Spierdoliłeś ze stanowiska pracy, co?

- Dalizmy dupy w błocze na kolanach.

- Wręcz przeciwnie.

- Czooo?

- Przynoszę cudowne wieści.

- Daj papierosza. Czo ty gadasz?

- Masz tu... Słuchaj... Chcesz napisać razem ze mną piękny tekst, który przejdzie do historii twojej gazetki?

- Jaki tekst, Maczej, kurwa... Nikt ode mnie nie weźmie notki o pogodze. Wypowiedzenie dla mnie piszą. Albo już napisali.

- Zapomnij o tym. Rozbijamy dziś bank. Rozumiesz?

- Nie rozumiem. - Krzak zaciąga się dymem i kaszle.

- Szalawska miała raport o Skurwysynach. I ja ten raport mam. W Omedze nie chodziło o Kunickiego. Nie chodziło nawet o Matera. To była zasłona dymna. Nie ma żadnej, rozumiesz, Al-Kaidy. Skurwysynowie są wymyśleni. To jest gigantyczna sprawa

gospodarza. Granda, która sięga pałacu prezydenta i...

-...niemożliwe.

- Facet, który dał mi te kwity, siedział z Szalawską w samochodzie, gdy dostała kulę.

- Jaką kulę? Wariat do ciebie jakis przyszedł i tyle.

- Źródło jest pierwsza klasa.

- To może powiesz?

- Pruski. Ten kolo z Torunia, kojarzysz?

- I tak nie wierzę. Szam mi mówiłeś, że lipę zawsze poznasz po tym, jak szpizsek sięga prezydenta albo papieża.

- Tym razem wszystko się zgadza. Idealnie pasuje. Powalająco. Wiesz, co my teraz zrobimy?

- Cz-czo?

- Pójdziemy na górę...

- Pojechało czę. Ja tam nie idę.

- Dobra, na razie przysiadzimy w aucie. Mam laptop. Napiżemy to krótko i wężłowato. Podpiszemy się obaj. I dopiero wtedy pójdiesz z gotowcem na górę. Rzucisz panom na biurko, niech najpierw przeczytają, a potem cię wyrzucają. Powiesz im jeszcze, że ja i tak zawieszę raport na blogu. Albo się chcą podłączyć pod bombę atomową, albo całkiem ją potracili. Ja już mam, kurwa, dosyć zawracania rzeki kijem, jarzysz? Chcesz jutro czytać wszędzie sprostowania i paszkwile na siebie i na mnie?

- I tak będą.

- Tym bardziej warto. Wchodzisz w to czy nie wchodzisz?

- A szam czemu nie chciałeś...?

- Gdzie ja z tym pójdę? Pomyśl.

Mikołaj wrzuca ledwo napoczętego papierosa do wiadra.

- Wchodzę w to, jak mi szkołujesz red bulla.

Maciej wyciąga srebrną puszkę ze stojącej przy kole torby.

- Kto cię zna lepiej ode mnie, morda? Najpierw troszeczkę podzwonimy. Co z twoim telefonem?

- Na górze.

- Masz mój. Nie zepsuj. Wiesz, jak się na tym nagrywa?

- Wiem.

- Kartki jakiejś jeszcze w schowku poszukaj. Zaczniemy od biura komendy. Chcemy tylko komentarz.

- Już od razu?

- Wiedziałem, że się zdziwisz. Lekcje zostały już odrobione. Jesteśmy już przy deserze, morda!

* * *
*
*

Kilka minut po jedenastej Mikołaj wysiada z windy na trzecim piętrze. Podchodząc do automatu w rogu newsroomu, dostrzega kątem oka przyglądających mu się kolegów i koleżanki. Młody dyżurny ostrożnie unosi rękę. Sam pewnie nie wie: na powitanie czy na pożegnanie? Krzak stara się stać prosto, mocno ściska między udami laptop Taczalskiego. Wrzuca do wnętrza maszyny monetę i wyjmuje paczkę gumy do żucia. Idzie kolejno: do ubikacji, do pustego boksu wydawcy, z którego zabiera telefon, a potem prosto w korytarz wiodący do biur szefostwa. Po drodze patrzy na wyświetlacz komórki: sześćdziesiąt cztery nieodebrane połączenia.

Sześćdziesiąt cztery powody do zawału serca. Teraz przynajmniej został tylko jeden.

Narady, telefony i gorące spory ciągną się przez kolejne dwa kwadranse.

Wezwany, a raczej grzecznie zaproszony Maciej Taczalski wjeżdża na górę dwadzieścia minut przed północą.

Tak, ma nagrania wszystkich kluczowych rozmów: z głównym informatorem, z rzecznikami ministerstw, prokuratury i komendy, z mecenasem Szalawskim i kilka innych. W tym z politykami, którzy wskazują na Osmołowskiego jako inspiratora ściemy.

Nie, z samym Osmołowskim nie rozmawiał. Facet unika kontaktu, to jasne. Może tak zwodzić choćby i trzy dni. Gra na zwłokę, bo wie, że został trafiony.

Nie, referat Domaradzkiego nie dotyczył Wiktora Cezara. Tak, to są późniejsze ustalenia poczynione przez Szalawską i przekazane głównemu informatorowi ustnie.

Tak, informator jest wiarygodny. Nie... nie wycofa się z pewnością, bez problemu pozwolił na nagrywanie. Referat przysłał z własnej inicjatywy.

Nie, nie chciał kasy.

Tak, wysłał wszystko z jawnego e-maila.

Tak, jego nazwisko w każdej chwili możemy położyć w zamkniętej kopercie na biurku.

Szesnaście minut po dwunastej dwie wielkie maszyny w dwóch odległych drukarniach stają na pół godziny. W tym czasie najintensywniej pracują trzy osoby - niewysoki i bardzo szczupły grafik przełamujący pierwszą stronę z elektronicznym papierosem w ustach, brodaty fotoedytor oraz wysoka szatynka w okularach, aktualnie dyżurująca redaktorka korekty. Na jej dłonie - oraz na zawieszony pod sufitem zegar - patrzy co najmniej dziesięć osób.

Starają się rozmawiać cicho, by nie przeszkadzać.

34.

Sobota, 20 lutego

Roberta budzi własny kaszel. Leżąc obok na rozłożonej kanapie Kamila mruczy przez sen.

- Śpij, śpij.

Z trudem powstrzymując kasłanie, gładzi ją chwilę po ramieniu, a potem idzie do łazienki. Opróżnia nos najciszej jak potrafi, odkleja plaster z czoła i przygląda się swemu odbiciu. Dobrze nie jest. Włosy zlepione, oczy czerwone, świsty w płucach, okolice szwów nabiegły ropą, tworząc nad brwiami obrzydliwy, mleczno-siny kształt przywodzący na myśl gigantyczny, rozciągnięty pryszcz. Koszulka mokra na piersi i pod pachami. Myje zęby szczoteczką Kamili, potem wchodzi cicho do pokoju i z nierozpakowanej do końca torby wyjmuje suchy T-shirt. Ubierając się w półmroku rozświetlonym tylko latarnią zza okna, o mało nie pada na podłogę. Oparty ręką o ścianę, wolno przechodzi do kuchni. Jego dłoń zostawia tłuste i wilgotne ślady na tapecie. Nastawia w czajniku wodę na kawę, szuka w apteczce nowych plastrów, ale niestety - akurat się skończyły.

Piętnaście minut później wychodzi z klatki schodowej na zewnątrz. Jest za dwadzieścia pięć szósta. Policyjny samochód stoi tam gdzie wczoraj. W mroku nie widzi, kto siedzi w środku.

Mróz całkiem odpuścił.

Ciemne postacie spieszą chodnikiem, oświetlony tramwaj, prawie pusty, jedzie w stronę centrum. Zza śmietnika wybiega jakieś niewielkie zwierzę. Kuna? Mały lisek? Naciąga kaptur i zapina kurtkę najwyżej, jak się da. O której otwierają aptekę? Kupował w niej aspiryny niezliczoną ilość razy, ale jakoś tego nie zapamiętał. Mija skrzyżowanie z ulicą Matejki - już widać, że w aptecce się świeci. Mają - jak wynika z wywieszki - weekendowy dyżur.

- Dzień dobry - odkasłuje, wchodząc. - Ma pani cokolwiek mocniejszego od aspiryny, ale tak bez recepty?

- Miał wypadek? - Starsza farmaceutka o kościstej twarzy przygląda się z mieszaniną podejrzliwości i troski.

- Wypadłem z samochodu. I chyba złapałem zapalenie płuc.

- Więc pójdzie do lekarza.

- Pójdzie, pójdzie, ale później. Sprzeda mi pani coś czy nie?

- Na katar mogę mu wydać Theraflu Zatoki. Mamy dziś tańsze. Czternaście pięćdziesiąt za sześć saszetek. Co mu jest w czoło?

- Szwy mam założone... - Robert zagarnia włosy na twarz i głębiej naciąga kaptur.

- Ale coś mu się źle goi - kobieta nie odpuszcza. - Powinien pójść do poprawienia.

I do laryngologa, bo rzezi.

- Na pewno pójde. A plastry też bym potrzebował.

Po zapłaceniu rozrywa cztery saszetki naraz, nalewa do plastikowego kubka wody ze zbiornika pod ścianą i trzęsąc miksturą, czeka, aż proszek się rozpuści.

Aptekarka nie spuszcza go z oka.

- Nie powinien łykać aż tyle. Na ulotce są wskazówki do dawkowania. Chyba umie przeczytać?

- Niech się pani tak nie martwi, będzie dobrze.

- Za dużo wsypał.

- Ja muszę wszystkiego więcej niż inni... Żeby poczuć.

- Martwię się nie o niego, tylko o siebie. Jak mi się tutaj przewróci...

- Już sobie idę. Dziękuję.

Po drodze do nocnego spożywcza wchłania zawartość kubeczka i zapala pall malla, ale od razu go wyrzuca. Obrzydlistwo. Przed sklepem dwaj ziomale - w kapturach, tak jak i on - ciągną ze wspólnej puszkii jakieś tańsze piwo.

- Komórka sony ericsson, nówka. Potrzebna?

- Nie, dzięki.

Wchodzi do ciasnego, ciepłego pomieszczenia pełnego krzykliwych kolorów i woni zbutwiałych kartofli.

- Są już gazety?

- "Nowiny" czy „Kurier”? - Młoda, czarnobrewa sprzedawczyni nie patrzy na niego, tylko w swoją komórkę.

- "Kurier", oczywiście. - Robert sam sięga po gazetę. Trzeba kupować tygodniczek, wspomagać koleżanki ze starej redakcji... Jedyńka nawet przyzwicie wygląda: u góry odliczają dni do otwarcia nowego mostu, na dole agencyjne informacje o Skurwysynach.

- "Wyborczej" nie ma?

- O Jezu! - Dziewczyna dopiero teraz patrzy na jego twarz.

- Wypadek miałem. Co z "Wyborczą"?

- O piątej mi nie przywieźli.

- He?

- Tak, właśnie. Jak śnieżycą była, żadnych gazet krajowych nie mieli. Nawet „Faktu”!
Zaś teraz mi tylko tej nie dali, inne wszystkie są.

- Może późno skończyli drukować... eghreghreghhh... i jeszcze przywiozą.

- Coś więcej podać?

- Szesnaście piw! - Robert robi się nagle wesoły. Czarnulka śmieje się również.

- Oj, bym się, wie pan, napiła. Od osiemnastej na nogach. Koleżanka zachorowała.
Trzy sześćdziesiąt.

Na chodniku zakapturzony ziomek kołysze się w miejscu.

- Sony ericssona nie trzeba?

- Już pytałeś.

- Jo. Ale mogłeś zmienić zdanie, gościu! Nie?!

Robert zdejmuje kaptur i odgarnia włosy, prezentując jednocześnie i plaster na rękę,
i wrzód na czole.

- Sorki, sorki... - Dystrybutor komórek unosi w górę puszkę piwa, jakby chciał
wzniesić toast i życzyć szybkiego powrotu do zdrowia.

Gdzie by tutaj, cholera, „Wyborczą” kupić?

Chowa się pod wiatą przystanku ze złożonym „Kurierem” pod pachą. Tu przynajmniej
nie wieje.

Autobus w stronę ulicy Gagarina i Okrężnej podjeżdża prawie natychmiast. Hamując,
rozchlapuje brunatne, pośniegowe blocko. Robert wsiada. Biletu nie kupuje. Wysiada
na trzecim przystanku, czyli tam, gdzie zwykle. Gdzie „Kurier”?

Został w autobusie. No i okej... ktoś przynajmniej przeczyta za darmo.

Kiosk ukryty we wnęce betonowego pawilonu już otwarty. Znana Robertowi
sprzedawczyni - miła babeczka, która ciemnozielone pall malle zamawia specjalnie dla niego
- właśnie zdejmując blokadę z wnętrza okienka.

- Dzień dobry - witając się, naciąga kaptur na oczy.

- Ooo! Najpierw pana nie poznałam. Ale wieje, co? Papieroski?

- Wyjątkowo nie. „Wyborczą” pani przywieźli?

- Straszna ma pan chrypę... Przywieźli przed chwilą.

- Poproszę.

Na jedynce gazety tytuł wybity większą niż zazwyczaj czcionką: *RZĄD UKRYWA
PRAWDE*. Duży, czerwony nadtytuł: „Nie chodzi o ideologię, lecz o miliardowe interesy”.
Nad nim jeszcze jeden, o połowę mniejszy: „Jedyni Synowie Polski potrzebni dla ratowania

koalicji”.

Autorzy: Mikołaj Krzak, „Gazeta Wyborcza”. Maciej Taczalski, niezależny reporter.

„Zakaz wydobywania gazu z łupków, a nie zablokowanie Superustawy - oto prawdziwa stawka w krwawej grze, której jesteśmy świadkami.

Reinhart Tormblader i jego grupa nie odpowiadają ani za zamach w Omedze, ani zabójstwo Edgara Matera. Także »lista kibica«, koperty z proszkiem i terrorystyczne wideo to fałszywe tropy, których celem jest wmówienie opinii publicznej, że głównym celem zamachowców był Ruch dla Wolności i planowane reformy. Faktycznym powodem zbrodni jest chęć usunięcia tropów po wcześniejszych przestępczych przedsięwzięciach wymierzonych w firmy wydobywające gaz. Mordercami są międzynarodowi zawodowcy wynajęci przez lobby wysokich cen energii.

»Gazeta« dotarła wczoraj do szokującego raportu, który już na początku tygodnia był znany Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i służbom specjalnym. Jego współautorką jest Maja Szalawska, córka byłego wiceministra kultury, która według naszych informacji nie uległa wypadkowi drogowemu, lecz została postrzelona przez zawodowego zabójcę.

Treść dokumentu, który w całości publikujemy na blogu współautora tego artykułu (www.taczalski.blog.plusnet.pl), jest zarazem przerażająca i logiczna, a wypadki, które nastąpiły już po przekazaniu raportu urzędnikowi ministerstwa Grzegorzowi Kopcińskiemu, potwierdzają trafność ustaleń Szalawskiej i jej narzeczonego, dziennikarza Info-Radia...”.

- Oż ty kurr...! - Robert potyka się o zwal śniegu na chodniku. Nogi same zaniósły go pod wejście do klatki Iwony. Odsuwa się od drzwi i zadziera głowę. Okno sypialni na dziewiątym piętrze jest ciemne. A co myślałeś?

Coś w głowie podpowiada mu, by postać trochę i poczekać, ale w jakiejś innej części mózgu głos rozsądku woła: „Opamiętaj się! Idź stąd! Nie rób z siebie pośmiewiska!”. Ukłucie tego bólu duszy, który szarpnął nim wczoraj, gdy stał z papierosem w ustach w pustym mieszkaniu Iwony, sprawia, że niemal ucieka spod bloku. Kaszląc i smarkając, wraca na przystanek. Dreszcze i zawroty głowy chwilowo ustąpiły. Albo zadziałał stężony proszek na zatoki, albo to krótkotrwały wyrzut adrenaliny po lekturze gazety. Tak czy inaczej, trzeba się jak najprędzej dowlec do łóżka.

Autobus znowu podjeżdża jak na zawołanie. Tym razem kupuje bilet. Kierowca dziwnie mu się przygląda, ale właściwie już się do takich spojrzeń przyzwyczał. Siada na pierwszym fotelu z brzegu i przeskakując wzrokiem po kilka linii naraz, szybko czyta do końca artykuł Taczalskiego, a potem - gdy już wysiada - rozwinięcie tekstu na dwóch kolejnych kolumnach. Taczalski z Krzakiem odsłaniają punkt po punkcie cały spisak, piszą

o blokowaniu wierceń i o trzyliterowych spółkach. Sugerują - i popierają to kilkoma anonimowymi wypowiedziami polityków - że koncepcję rzucenia na pożarcie Tormbladera i jego rzekomej grupy podsunęli sztabowi kryzysowemu, prokuraturze i służbom rzecznik rządu Osmałowski oraz wiceminister spraw wewnętrznych Drehner. Podobnemu do Pięści chodziło oczywiście o ratowanie koalicji, natomiast rola tego drugiego wydaje się i niejasna, i najbardziej mroczna.

Robert idzie bardzo powoli, momentami - gdy światło mijanych latarni jest jaśniejsze - staje w miejscu. Już nawet nie tyle czyta, ile pożera tekst. Autorzy piszą dalej o Drugiej Komendzie albo Kopule - grupie zawodowych zabójców. Prezentują w ramach kolejne ofiary tych ludzi. Na koniec nie zostawiają suchej nitki na Wiktorze Cezarze.

Czwartą stronę gazety zajmuje sążnisty komentarz, w którym jakiś publicysta czyni kilka wezwań.

Po pierwsze, nawołuje premiera do odpowiedzi na pytanie, czy inspirował Osmałowskiego.

Po drugie, domaga się od prokuratury ujawnienia protokołów sekcji zwłok Beaty Badowskiej - „ofiary seryjnego sprawcy wypadków”.

Po trzecie, żąda dostępu dziennikarzy do prac policyjnej komisji badającej serię strzelanin we Włocławku.

Po czwarte, sugeruje, aby pan prezydent odniósł się do sprawy Cezara i planowanego weseliska.

Na końcu tekstu jest jeszcze sporo o nadszarpniętym zaufaniu do państwa, historycznej odpowiedzialności najważniejszych w nim osób - ogólnie rozbrzmiewają mocno patetyczne tony.

A w kieszeni brzmiały gitary AC/DC.

Numer prywatny.

Robert nie odbiera. Dopiero teraz zauważa, że doszedł pod blok. Składa gazetę na pół. Telefon milknie i zaraz znowu dzwoni. Niech sobie dzwoni.

Otwiera drzwi na klatkę schodową. W przedsionku stoi policjantka o wielkich oczach, które tym razem przywodzą na myśl smutną krowę. Ma bardzo przestraszoną minę.

- Proszono mnie, by przekazać, żeby pan natychmiast odebrał komórkę.

- Dziękuję za przekazanie. Proszę powiedzieć swoim szefom, że jestem chory. Wracam z apteki i zamierzam położyć się do łóżka. Nie będę z nikim rozmawiał. Jest sobota. W sobotę dziennikarze mają wolne.

- Jak pan chce...

Kobieta wychodzi przed blok i od razu mówi coś cicho do radiotelefonu. Robert zamyka za nią drzwi klatki, pilnując, by zamknęły się do końca. Przed wejściem do mieszkania otrzepuje z butów śnieg. Kamila i chłopcy jeszcze śpią. Rozbiera się w kącie, zdejmując z widełek słuchawkę telefonu stacjonarnego, wyłącza nokię, wchodzi do łazienki, bierze długi, gorący prysznic, a potem wraca do łóżka.

- Gdzie byłeś? - Kamila obraca się w jego stronę. Pytając, nie otwiera oczu - wysuwa tylko dłoń.

- W apteczkę i w kiosku. Śpij, śpij... jeszcze siódmej nie ma.

- Jesteś mokry. I okropny masz głos.

- Chyba będę chorował.

- To nie chuchaj na mnie.

On odwraca się do niej plecami, ona obejmuje go pod kołdrą w pasie. Nawet trochę niżej. Ostre paznokcie przyjemnie łaskoczą podbrzusze. Ale na tym - niestety - kończy się wędrówka jej dłoni. Co to ma znaczyć? Bądź mądry... Lista damskich sygnałów jest nieskończenie dłuższa od listy znaków nawigacyjnych wszystkich marynarek świata.

Leży i próbuje się zmusić do niemyślenia. Minuty mijają wolno. Swędzą świszczące płuca, pulsuje spuchnięte czoło, coś rwie w plecach, odzywa się nawet cholerna, złamana kiedyś w nissanie piszczel, o której już dawno zdążył zapomnieć. Wybawiający sen nie przychodzi. Tylko ten letarg - bolesny i dający jedynie namiastkę ukojenia.

O wpół do dziewiątej, gdy robi się całkiem jasno, słyszy dobiegające z pokoju Krzysia i Jasia pierwsze stukoty, szurania, a później - śmiechy, które szybko przechodzą w sprzeczkę. Obudzona Kamila wplata mu palce we włosy. I zaraz cofa rękę.

- Fuj! Kleisz się cały.

- No... mówiłem, że będę chorować.

- Myślałam, że zaprowadzisz dzieci na dzudo.

- Nie dam rady. Zresztą nie chcę się... eghrrrr, eghrr, errrhhh... pokazywać glinom.

- Co się stało? - Ona siada gwałtownie w pościeli poruszona czymś w jego głosie. Czymś, czego nie chciał zdradzać. On też unosi się na łokciu, ale zaraz opada na poduszkę ścięty zawrotem głowy. Nie ma siły usiąść.

- Nadałem wszystko - szepce - jednemu dziennikarzowi.

- Cooo?!

- Wysłałem mu referat.

- Nie zrobiłeś tego!

- Zrobiłem.

- Chyba ustaliliśmy wspólnie co innego!

- Musiałem to zrobić.

- I nie raczyłeś mnie poinformować...

- Nie chciałem cię obciążać... - Kaszle długo, raz po razie, coraz mocniej. - Nie chciałem cię obarczać... odpowiedzialnością. Będziesz przynajmniej... ehgreerggherehh... mogła powiedzieć, jak ktoś spyta, że nie miałaś z tym nic... nic wspólnego. Moja decyzja, ja... na-narozrabiałem. I ja poniosę karę, jeśli o to chodzi.

- Jaką karę?! - Kamila wstaje, podchodzi do balkonowych drzwi, odwraca się i splata ręce na piersiach. Na środku czoła zrobiła jej się głęboka, czarna zmarszczka. Wygląda, jakby się postarzała o kilka lat. - Ty chyba nie wiesz, co mówisz, Robert! Ty jesteś chory...

- Jestem.

-...albo raczej opętany! Mało ci tego, co narobiłeś od środy?! - Jej podniesiony głos momentami przechodzi w pisk. - Pochwaliłeś się tekstem chłopaka, chociaż cię ani nie prosił, ani nie upoważnił, i on nie żyje! Przez ciebie! Kazałeś dziewczynie wysiadać z pociągu, zamiast ją wysłać na policję, jak Bóg przykazał, i teraz co? Co ty zrobisz, jak ona umrze?

- Nie um-um-rze - on chrypi i znowu kaszle.

- Może nie... Nie wiesz tego przecież! Ta sędzia postrzelona w Omedze zmarła! A też mówili, że może będzie żyła! Przecież cię zaraz oskarżą! Miałeś milczeć, obiecałeś milczeć! Dali nam ochronę, a teraz co...? Robert, coś ty narobił?! Idioto! Po gazetę rano byłeś?!

- Tak.

Ich spojrzenia spotykają się na rzuconej w kąt stercie ubrań, spod których wystaje „Wyborcza”.

- Ty się nigdy nie zmienisz... - Kamila już nie krzyczy. Teraz wygląda, jakby powstrzymywała płacz. Robert chciałby do niej podejść, przygarnąć, ale nie jest w stanie nawet oderwać pleców od poduszki. Ona trąca nogą leżącą gazetę, jakby odsuwała z drogi psią kupę. - I co tam piszą?

- Wszystko.

- To może mi powiesz?

- Że wszyscy... egregherehhh... kłamią!

- A co to ciebie obchodzi?!

Jej głos ponownie szybuje ku wysokiemu C, a usta opadają.

- Co cię obchodzą wszyscy?! Ty masz dzieciaki i myślałam, ja głupia, że może chcesz znowu mieć i mnie... - Wybucha płaczem i odwraca się plecami.

Robert zmusza się, żeby usiąść. Choć w oczach mu ciemnieje, wstaje z łóżka

i podchodzi z kołdrą naciągniętą na nagie ramiona. Od okna wieje chłodem. Obejmuje ją i teraz oboje się trzęsą. Jej łzy mieszają się z jego potem.

W drzwiach przedpokoju stoją - pewnie już od jakiegoś czasu - obaj chłopcy. Boso. Rozczochrani. Piżama Krzysia jest wyraźnie na niego za mała, Jasio kąciki ust ma brązowe - chyba od czekolady.

- Kłóćcie się czy godzicie? - Krzyś wydłubuje sobie z nosa kulkę i zjada.

- Godzimy... eghreregheregh! - nagły atak kaszlu dosłownie miota Robertem.

- Idźcie się umyć go łazienki. Szybciutko... - Kamila ociera łzy.

Synowie nadzwyczaj zgodnie wykonują polecenie. Poczuli ciężar chwili.

Mama kładzie tacie rękę na spoconym karku.

- Wracaj do łóżka. Fatalnie to twoje czoło wygląda... Zrobię ci herbatę z cytryną. Jesteś taki mądry, a taki głupi...

Jej spojrzenie, w którym przed chwilą pojawiła się iskierka czułości, znowu jest twarde.

- Zrobiłem bilans. - Robert wraca na pościel, siada z podkurczonymi nogami, owinięty kołdrą po samą brodę.

- I co ci wyszło... słucham?! - Kamila przechodzi do kuchni. - No, słucham cię uważnie! - woła stamtąd.

Robert nie odpowiada. Nie ma siły mówić głośno. Oddycha z trudem. Serce łomocze mu w piersiach nierównym rytmem.

- Wyszło mi tyle... - szepce, gdy Kamila wraca do pokoju z parującym kubkiem herbaty. -...że trzeba czasem dokonać prostego wyboru, a kon-konsekwencje... eghreregheregh... i tak są nieprzewidywalne. Dwa centymetry i miałbym kulę w skroni.

- Tata, co ty mówisz? - Starszy syn znów wyrasta na progu pokoju.

- Nic... Krzysio... nooo... kłócimy się tro-trochę, sam słyszysz.

- Ale ty nie pojedziesz przez to zaraz do Warszawy?

- Nie. Co ty? Ferie to ferie. Mam prze-przecież urlop.

- Ale nie masz całkiem głosu.

- Się przeziębilem.

- To nie zaprowadzisz nas dzisiaj na dżudo?

- Mama was zaprowadzi, dobrze?!

* *
*

Pół godziny później, po śniadaniu, które Kamila zjada sama z chłopcami, cała trójka wychodzi do szkoły. Nie mija ćwierć minuty i dzwoni domofon. Robert - w kokonie z kołdry

- podchodzi i podnosi słuchawkę na ścianie.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że nie ma policji pod domem.

- Rozumiem. Jakoś będziemy bez nich żyli.

Podpierając się o meble i ściany, wchodzi do kuchni. Widzi przez okno Krzysia, Jasia i mamę idących wzdłuż osiedlowych garaży w stronę ulicy Gałczyńskiego. Starszy syn idzie przodem w kraciastej kurtce z odpiętym w połowie kapturem. Niedługo dogoni Kamilę wzrostem. Stopy już mu się większe zrobiły. Jeszcze trochę i trzeba będzie chłopakowi wyjaśnić, skąd się biorą dzieci. Młodszy, drepcący za mamą, odwraca głowę i chyba widzi ojca w oknie, bo macha obiema rękami. Tata odpowiada tym samym. Jego okrycie spada na wykładzinę.

Gdy się po nie schyla, upada. Przez pół godziny leży bez ruchu. Potem - bardzo powoli - siada, klęka, bierze pod pachę zwiniętą kołdrę i na kolanach wraca do łóżka, zgarniając po drodze laptopa. Prześcieradło jest jeszcze wilgotne. Układa się na wznak, okrywa, długo patrzy w sufit. W połowie długości między lampą a rogiem pokoju zastygł nieruchomo pająk wielkości pięćdziesięciogroszówki. Mijają kolejne minuty w bezruchu. Wreszcie Robert podciąga poduszkę pod głowę, otwiera laptopa, uruchamia Windowsa, a po nim pierwszy lepszy serwis. Padło na Onet. Czerwona ramka bije po oczach na całej szerokości ekranu. „Rząd ukrywa prawdę. Jedyni Synowie Polski nigdy nie istnieli”.

Wirtualna Polska: to samo.

„Druga Komenda na służbie antyłupkowej międzynarodówki”.

Gazeta.pl:

„Minister spraw wewnętrznych oddał się do dyspozycji premiera”.

„Julita Żarnowska w rozmowie z »Gazetą Wyborczą«

- Ostatnie rewelacje nie zmieniają faktu, że to Ruch dla Wolności jest pierwszą i główną ofiarą zbrodniczej akcji, ktokolwiek za nią stoi. Prezydium partii zbiera się w trybie nagłym o dziesiątej. Jedyny punkt obrad to uchwała o wyjściu z koalicji”.

„NOWE! Rzecznik rządu zwołuje, a potem odwołuje konferencję prasową. Gdzie jest premier?”.

„Przymierze Polskie zapowiada złożenie dwudziestu jeden wniosków o wotum nieufności dla wszystkich ministrów”.

„Prokurator generalny i szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego wezwani do prezydenta przed nadzwyczajnym posiedzeniem kolegium ds. służb specjalnych”.

„Pałac Prezydencki wyda oświadczenie w sprawie Wiktora Cezara. Pierwsze spekulacje na temat odwołania ślubu”.

„Wiceminister spraw wewnętrznych Sławomir Drehner nie pojawił się dzisiaj w urzędzie”.

„Agenci ABW zderzyli się z oficerami kontrwywiadu w drzwiach kancelarii mecenasa Jakubowskiego w Sopocie. Prawnik zniknął”.

Robert wczytuje się w teksty, przeskakując między witrynami i posuwając śladem odniesień. Dwa razy czyta od początku do końca wpis na blogu Alberta Zapatoznego.

Tytuł: *Doradzam ostrożność.*

„Pupil” ostrzega media i polityków „przed wyciąganiem pochopnych wniosków z wypracowania studenta” oraz jego dziewczyny „posiadającej jedynie wykształcenie średnie”. Wzywa autorów „Wyborczej” do ujawnienia głównego informatora.

„Standardy dziennikarskie mogą ustąpić w stanie wyższej konieczności, a z takim bez wątpienia mamy dziś do czynienia. Nie wolno podpalać państwa w oparciu o relację anonimowego donosiciela. Wzywam do opamiętania wszystkie redakcje, które dotychczas - w gorącym politycznie okresie - wykazywały się roztropnością. Moich młodszych kolegów po piórze - redaktorów Taczalskiego i Krzaka - namawiam: pokażcie, jakie macie karty. Inaczej staniecie się całkowicie niewiarygodni. Natomiast my wszyscy, obywatele, w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin utoniemy w bagnie pomówień i wzajemnych oskarżeń”.

Robert chwilowo zapomina o bólach, gorączce i upływie czasu. Newsy wpadają do sieci tak szybko, że ledwo za nimi nadąża. Na blogu Taczalskiego pod referatem Pawła tysiąc siedemset sześć wpisów i komentarzy. Piszą nacjonaści, zwolennicy „prawdy o Smoleńsku”, zwykli nienawistnicy i ci, którzy przekonują, że za wszystkim stoi Mosad. Nie brakuje głosów w obronie autorów.

„GorzkaMatadorka: Może to będzie pierwsza do końca wyjaśniona w tym kraju afera”.

„Azazel79xL: Brawo, pan Taczalski! Niech pan daje ciąg dalszy jak najprędzej. I nie przejmuje się Zapatoznym. Ryj tej lewackiej świni jest już brązowy od lizania premierowskiej dupy!!!”.

„Krzysz321: Pan i Pan Krzak przyjrzyjcie się jak najprędzej i sprawdźcie, kto został przewieziony spod Włocławka do Warszawy w specjalnym konwoju więziennym z przystankiem w Płocku na Sienkiewicza 22”.

Cholera... czyżby jednak schwytali gnoja? Trzeba zadzwonić do Taczalskiego.

Stukanie w drzwi.

Robert spogląda na ścienny zegar z barometrem, jeden pierwszych z przedmiotów,

jakie kupili sobie z Kamilą w budach targowych przy szosie chełmińskiej, gdy byli jeszcze młodym małżeństwem. Za dwadzieścia dwunasta.

Puk-puk-puk-puk! Nieco natarczywiej. Gliny?

Naciąga spodnie z podłogi, zapina je, kuśtykając ku drzwiom i - przynaglony kolejnym, głośniejszym stukaniem - przykłada oko do judasza.

Starsza kobieta w kraciastej chustce zawiązanej na głowie. Gdzie ja ją wcześniej widziałem? Sąsiadka?

Uchyła drzwi. Wysuwa tylko koniec nosa.

- W czymś mogę pomóc?

- Pan Robert?

- Tak to ja. Nieubrany jestem. Przepraszam. Leżę dziś chory.

- Pani Barańska dzwoniła do mnie, mówi, do pana się nie może dodzwonić. Prosi, żebyś pan zatelefonował w bardzo ważnej sprawie. Zdenerwowana jest. Strasznie krzyczała.

- Dziękuję, już dzwonię. Przepraszam.

Krzyczała? Koszmarne przecucie uderza jednocześnie w żołądek i głowę. Telefon. PIN. Czemu tak wolno?!

- Co się sta...?

- Nie maaa Krzyyyysia! Nie maa Jasiaaa!! - Kamila dyszy, jej głos się trzęsie, jak gdyby biegła.

- Jak to nie ma?!!

- Chodzę tu, pytam! Robert! Nie maaa!! Coś ty narobił?!!

- Uspokój się! Gdzie chodzisz?!!

- Pod szkołą! Dzieciaaaki mówią, że chyba poolicjaaant ich zabrał do radiowozu, ale...

- Niemożliwe! Poczekaj. Nie rozłączaj! Eghreghreghhh... Zadzwoń z domowego na alarmowy.

- Robeeert... - Sapanie. Cisza.

- Jesteś tam?!

Cisza.

- Kama!!

Słyszać jakieś przytłumione, cienkie głosy.

- Jesteś?!

- Robert... To nie był policjant.

- Skąd wiesz?!

- Wiem! Dziewczynka mi mówi, że nie miał munduru i utykał na nogę! Nie ma

w Polsce kulawych policjantów, Robert! A teraz patrzę na śnieg, tu gdzie stał ten... radiowóz.

- I co?

Milczenie.

- Cooo?!!

- Tu jest krew rozchlapana.

- Nieee!! Neeeeee!!! Kurwa mać, nieeeeeeee!!!

Ona głośno płacze do słuchawki.

On stoi w ciasnym przedpokoju, z komórką w jednej ręce i słuchawką aparatu stacjonarnego w drugiej. Drżą mu nogi - widzi to, ale nie czuje. Nie odbiera już sygnałów z ciała. Chce wykręcić jakiś numer, lecz nie pamięta jaki. Nie pamięta po co. Nie pamięta już niczego. Patrzy na swoje nagie stopy, na przybrudzoną wykładzinę i brązową rękawiczkę z czarnym paskiem. Krzyś o niej zapomniał, wychodząc, ale Robert w tej chwili nie wie ani gdzie jest, ani co zaszło, ani tym bardziej - czyja to rękawiczka. Jego głowa jest pusta i cudza. Jego ciało jest workiem na kości. Nie może się nawet przewrócić. Z oczu płyną mu łzy. Stoi, a jego kolana stukają o siebie.

35.

Dwunastoletni Krzysztof Pruski, uczeń szóstej klasy szkoły podstawowej numer dwadzieścia jeden w Toruniu, z trudem powstrzymuje się od płaczu. Nie chce dostać drugi raz w twarz - rozcięty policzek nadal go piecze, a krew spływa po brodzie na kraciastą kurtkę. Policjant, który polecił jemu i jego bratu wsiadać do radiowozu, mówiąc, że zawiezie ich na ważne przesłuchanie, był miły tylko przez pierwsze minuty - pod szkołą i kiedy jechali przez osiedle. Potem, na wychodzącej z miasta szosie chełmińskiej, gdy Jasio zaczął się dopytywać o tatę, mamę i cel podróży, ten pan zrobił się całkiem innym człowiekiem. Najpierw na nich nawrzeszczał, mieszając polskie słowa z angielskimi i jakimiś innymi, a później odwrócił się zza kierownicy i uderzył Krzysia. Bardzo mocno. Chłopiec zmartwił. Jego brat zaczął płakać, chociaż to nie on dostał, ale z nim tak zawsze. I płacze do teraz. Broda mu skacze, krztusi się, jakby miał zapalenie gardła, buzia blednie i czerwienieje na przemian, żyły mu wyszły na czole. Starszy jeszcze nigdy nie widział go w takim stanie. On sam płakać nie zamierza. Ale w głowie kłębią się straszne myśli. W tym nawet taka, że to nie jest policjant. Nie ma przecież munduru. No tak... istnieją policjanci tajniacy, ale nawet oni - chyba - nie biją dzieci za nic.

A jeśli to jest kolega tego Wampira, o którym tato napisał? Gdy Krzysiek był

młodszy, a Jasio zupełnie mały, ojciec przyczynił się do śmierci bardzo, bardzo strasznego mordercy. Opisał to wszystko dla pieniędzy - sam tak mówił - i cały rząd jednakowych książek stoi u mamy na półce nad kanapą. Krzyś nawet zaczął to czytać, ale przestał. Trudnym językiem pisane, bardzo dużo szczegółów, żadnych ilustracji. Poza tym mama mówiła, że ta książka jest „zasmucająca”. Jeżeli więc to jest znajomy tamtego mordercy... to może chce się teraz zemścić na tacie, krzywdząc ich obu?

Nie... na pewno nie... Tamto było bardzo dawno.

Już prędzej jest to ktoś taki jak w jednym amerykańskim filmie. Skorumpowany policjant-porywacz. Tamten też był kulawy.

Będzie chciał wziąć za nich obu okup...

Tylko że w tamtym filmie tata porwanego chłopca był bogaty, bo miał własne linie lotnicze. A ani mama, ani tata Krzysia nie mają żadnych oszczędności. Mamusia nieraz mówiła o tym z żalem. A tata powtarzał, że jego jedyny majątek to samochód.

Co z nami będzie, jeśli sprzedanie samochodu nie wystarczy na okup?

Jasio na pewno nie odpowie na to pytanie. Połyka łyżki i białe gile z nosa. Szyja i policzki mu spuchły, jakby się dusił. Krzysztof obejmuje braciszka ramieniem, a ten się kładzie, wciskając mu mokrą twarz między uda. Jego chude ramiona podskakują rytmicznie - dwa małe podskoki, jeden duży.

Może nie będzie tak źle... Przecież ten... ktokolwiek to jest... nie założył im worków na głowy, jak to robią na filmach z porwanymi. Może on tylko nie wie, że dzieci się nie bije, bo nie ma żadnych własnych chłopców ani dziewczynek.

Może jak będziemy cicho i grzecznie, to wszystko się dobrze skończy?

Samochód jedzie szybko przez las, który Krzysio poznaje. Byli tu kiedyś z tatą na rowerach. W lewo się skręca nad małe jezioro, gdzie oglądali kijanki, w prawo jest dzika puszcza z przewróconymi pniami i wielkimi paprociami. Też tam byli. On na nowiutkim, kupionym z okazji komunii rowerze, który potem ukradli spod bloku. Jasio podróżował jeszcze w foteliku u taty na bagażniku.

To niemożliwe, byśmy się mieli już nigdy się z mamą i tatą nie zobaczyć.

Policjant - Krzyś woli jednak myśleć o nim jako o policjancie niż porywacz - mija las i skręca w prawo, w polną drogę, tak zaśnieżoną, że właściwie jej nie ma, ale on trzyma na przednim siedzeniu jakiś aparat przypominający bardzo gruby notebook. I co rusz na niego patrzy. Pewnie ma tam mapę.

Samochód jedzie wolno, kołysząc się niby kajak na falach. Jaś ciągle ma drgawki. Krzyś gładzi go po włosach i uchu. Zamyka oczy i stara się bardzo intensywnie myśleć

o czymś bezpiecznym. Myśli o mamie. Jeżeli istnieje telepatia, może mama ich obu odnajdzie. W jakiś cudowny sposób odbierze sygnał z jego głowy. Skupia się na wysyłaniu wezwania o ratunek tak bardzo, że na krótko traci kontakt z rzeczywistością. Otrzeźwienie przychodzi gwałtownie, kiedy radiowóz podskakuje na wielkich, lodowych wybojach. Mijają akurat otoczone drzewami stare domy. Z jednego - najbliższej nich - unosi się ciemny dym. Ale nie ma na zewnątrz żadnego człowieka, aby uchylić szybę i zawołać do niego: „Pomocy!!”.

Kierowca radiowozu wkłada sobie w usta cygaro i zapala je. Smród robi się natychmiast taki, że Jasio kaszle jeszcze mocniej niż dotąd, a Krzysztofowi ślina napływa gwałtownie do ust jak przed wymiotowaniem. Przełyka raz po raz i stara się oddychać przez szalik. Dopiero teraz zauważył, że zginęła mu gdzieś jedna z rękawiczek. Mama robi awanturę.

Mama... Mamo... Mamusiu! Zrób awanturę, skrzyycz mnie, ale usłysz mnie!

Nie będę płakać, nie będę, nie będę... Krzys przytyka czoło i nos do zimnej szyby.

Domy już zniknęły. Wokoło nich rozciągają się teraz gołe, białe, pofałdowane przestrzenie. Nad pagórkami zachmurzone, ołowiane niebo. Wypiętrzone górzyscie obłoki wydają się groźne i dużo ciemniejsze niż śnieżne pola. Przed nimi, na dalekim wzniesieniu wśród pustki, duży, szary budynek z dziurami po wyrwanych oknach. Tak wyglądają nieczynne fabryki w których robi się zawody paintballowe. W zeszłym roku Krzys na takich był. U grubego Kacpra, kolegi z klasy, na urodzinach. Tata Kacpra ma własną firmę, wynajął dla czternastu małych gości tajemnicze miejsce, były superkarabiny, kolorowe kulki, nawet stroje dostali specjalne. Podzielili się na dwie drużyny i strzelali jak na prawdziwej wojnie. Drużyna Krzysztofa niestety przegrała.

Policjant zatrzymuje auto obok betonowej budowli. Przez chwilę próbuje wjechać w rozwaloną bramę, by dostać się na coś w rodzaju wewnętrznego dziedzińca, ale śnieg jest zbyt wysoki. Silnik huczy, koła radiowozu się ślizgają, auto nie daje rady podjechać. Kierowca daje za wygraną. Zaciąga ręczny hamulec, nie wyłączając silnika, obrzuca obu chłopców surowym spojrzeniem i nic nie mówiąc, wysiada. Omal się przy tym nie przewraca. Chociaż szyby są zaparowane i pokryte od zewnątrz lodem, Krzysio widzi, że noga, na którą ten człowiek utyka, zostawia na śniegu amarantowy ślad. Bardzo wyraźny i szeroki, jak gdyby krew całymi szklankami wylewała się z buta.

Kulawy otwiera tylny bagażnik. Czegoś tam chyba szuka, bo słychać szuranie i stukoty. Ani trzęsący się na kolanach brata Jaś, ani Krzys strachliwie zerkający przez otwór w zagłówku nie widzą - bo kłapa zasłania - że Arsen wyszarpuje zestaw pierwszej pomocy spod przestrelonego tułowia prawdziwego policjanta. Młodszego aspiranta drogówki, który

okazał się szybki i zdążył fatalnie zranić go w udo, zanim zginął.

Trzask zamykanej klapy. Porywacz wraca na miejsce z zaplamioną granatową torbą opatrzoną dwoma żółtymi pasami. Siada za kierownicą bokiem, nie zamykając drzwi. Kładzie apteczkę w zakrwawionym śniegu przed sobą, otwiera suwak. Na chłopców nie patrzy. Przeklina własne błędy. Powinien był wcześniej strzelić do tego piździelca, a poza tym - od razu zrobić sobie zacisk i opatrunek. A tak... stracił tyle krwi, że mało przed chwilą nie zemdlął.

Gdy rozcina nożyczkami nogawkę czarnych spodni, krew tryska spod materiału tak wysoko, że kilka kropel pada mu na twarz. Arsen syczy. Krzysio stara się na niego nie patrzeć. Zauważył coś innego.

Drogą, którą tu przyjechali, jedzie jakiś samochód. Właściwie samego auta nie widać - można się tylko domyślać, że pędzi szybko, bo wzbijany śnieżny tuman przesuwają się w ich stronę jak trąba powietrzna. Kulawy też patrzy na to zjawisko. Jego ciemnoszara twarz robi się martwa, jak u trupa z horroru. Nadjeżdżający wóz hamuje. To mercedes - Krzyś natychmiast rozpoznaje markę i to, że samochód jest stary. Czy możliwe, że przyjechał nim tata? Albo pomoc przysłana przez mamę, która usłyszała jego myśli? A może wysiadają policjanci w mundurach i zaraz się wszystko wyjaśni?

Niestety nie.

Wysiadają tylko jeden wysoki, chudy mężczyzna w płaszczu. Na nogach ma traperskie buty, na dłoniach ciemne rękawiczki, na głowie czapkę, spod której spływają na uszy długie włosy. Tak samo proste jak u mamy, tylko że całkiem białe. Krzyś przeciera szybę, aby go lepiej zobaczyć, Jaś też unosi mokrą i pokrytą brudnymi zaciekami twarz. Już nie płacze, otworzył buzię i sapie.

Arsen z nożyczkami i zrolowanym bandażem, który przed chwilą wyjął z torby, również patrzy na przybyłego. Z trudem staje na jednej nodze, podpierając się łokciem o dach radiowozu. Mówi coś po angielsku do tamtego. Krzysio uczy się języka już cztery lata, w szkole i na dodatkowych zajęciach, lecz tych słów nie rozumie - zbyt szybko padają. Po tonie głosu łatwo się jednak zorientować, że utykający policjant, taki dotąd groźny, teraz się boi i tłumaczy przed tamtym. Wymachuje ręką i mówi, mówi, mówi... coraz głośniejsze.

Białowłosy powoli do niego podchodzi. Nie otwiera ust. Wyjmuje z kieszeni płaszcza metalowe pudełko, a z niego - strzykawkę. Cały czas patrzy policjantowi w oczy. Niespiesznie chowa pudełko i dopiero wtedy się odzywa. Na tyle wolno, że Krzyś rozumie koniec zdania:

...and I am a cure for your sickness.

Przybyły mężczyzna wykonuje szybko coś między chwytem dzudo, ciosem karate a gestem czarodzieja. Policjant-porywacz już leży na śniegu, twarzą w dół, z wykręconą ręką. Ten drugi klęka na jego plecach i robi mu zastrzyk w szyję. Leżący trzęsie się i wije, jak przydepnięta dżdżownica. Pan w płaszczu wstaje, nie martwiąc się o tamtego. Zagląda do samochodu. Patrzy najpierw na Jasia, a potem na Krzysia, który wstrzymuje oddech. Czuje, że jego pole widzenia się zwęża. Wszystko dookoła - przestraszony Jasio, mokre szyby samochodu, czarne urządzenia przy kierownicy - wszystko to oddala się z wielką szybkością, choć jednocześnie pozostaje na miejscu - tylko że skurczone, zmniejszone, skoncentrowane w dwóch źrenicach patrzącego.

Jeszcze chwila - i białowłosego znika. Krzyś musi pokonać w sobie jakiś czar, aby znów zacząć oddychać.

- Czy on rzucił na nas krucjatusa? - Jasio odzywa się zupełnie innym głosem niż zwykle.

- Poczujesz?

- To było straszne. Gdzie jest ten...?

- Leży tam... nie patrz. Chyba umarł.

- Od krucjatusa?!

- Od zastrzyku.

- Chodźmy stąd szybko.

- Wyjdź na tamtą stronę.

Wygrzebują się z samochodu.

- Ile jest kilometrów do domu?

- Nie wiem. Po drodze były jakieś gospodarstwa. Dojdziemy po śladach.

- Jak daleko?

- Nie marudź, idź szybciej. Tata mówił, że wiejskie dzieci chodzą do szkoły po dziesięć kilometrów w jedną stronę i jakoś żyją.

- Nieprawda. Wszędzie jeżdżą gimbusy.

- Zapieprzaj!

- Nie mogę szybciej.

- A jak on nie umarł i zaraz się obudzi, i będzie...

- Nie mów tego! - Jasio odwraca się na moment w stronę radiowozu i leżącej postaci, a potem idzie już tak szybko, że brat ledwo go dogania. Przy każdym kroku obaj wpadają w sięgający kolan śnieg.

Krzysztofowi lecą z ust kłęby pary. Wał ciemnych, burzowych chmur, wcześniej

widocznych nad polami, zaciągnął niebo antracytem. Zaczyna padać śnieg z deszczem.

- Jak wejdziemy... do obcych... ludzi, to ja będę... mówił. Podam im... numer do mamy.

- Powiemy, że chcieli... nas porwać. I że... widzieliśmy trupa!

- Ty nie... nie widziałeś.

- Bo mi... nie kazałeś... patrzeć! - Sapiący nie mniej od brata Jasio zostaje już w tyle.

- Bobyś się... zesrał ze strachu. I tak całą... całą drogę... ryczałeś jak ciota!

- Dlaczego on... go zabił?

- Żebyś się... głupio... pytał. Daj... rękę.

* *
*

Już przed południem zaczyna brakować rąk do pracy w wielu warszawskich - i nie tylko - newsroomach. Wydawcy programów telewizyjnych zmieniają ramówki, odwołując emisję seriali i zawodów narciarskich, szefowie kanałów informacyjnych zacierają ręce, obserwując skoki oglądalności, i martwią się niedostatkami wozów transmisyjnych. Producenci bezpłatnych gazet robią wieczorne dodruki, a ich menedżerowie ściągają z domów ulicznych sprzedawców: dziś będzie stawka razy cztery.

Politycy Przymierza Polskiego dzwonią do siebie nawzajem wyjątkowo intensywnie. Tak samo jak liberałowie i sieroty po Materze. Intensywne bzyczenie słychać w każdym ulu.

Posłanka Julita Żarnowska, umalowana ostrzej niż zwykle i ozdobiona bogatszą niż na co dzień biżuterią, stoi w obszernym sejmowym holu przed frontem kamer i mikrofonów. Błyskają flesze, jakiś zaradny fotoreporter wspiał się na przyniesioną własnoręcznie drabinę.

- Bez względu na to, co przyniesie dzisiejszy dzień, mogę państwu ogłosić, że Pakt Trwałej Koalicji jest przeszłością. Prezydium Ruchu podjęło decyzję jednogłośnie...

Materowcy wychodzą z koalicji.

Trwające od godziny zamknięte spotkanie prezydenta z premierem kończy się kilkanaście minut przed trzynastą, ale głowa państwa nie wychodzi do czekających dziennikarzy. W poprzek pałacowej sali na spotkanie z miłościwie panującym spieszą teraz sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego i jego towarzyszy - profesor Rastroń. Prokurator generalny, następny w kolejce do golenia, czeka za ścianą, w niewielkim pokoju pełnym świeżych kwiatów, mebli o fikuśnie poskręcanych podstawach i wysokich okien, z których świetnie widać ogon rumaka księcia Poniatowskiego, a za nim - podniesione talerze anten satelitarnych na samochodach. Dziesięć minut temu zwierzchnik prokuratury odwiedził pałacową kaplicę. Modlił się gorąco, ale nadziei jak nie miał - tak nie ma.

Premier odzywa się do dziennikarzy w Sali Kolumnowej pałacu, co samo w sobie jest

już naruszeniem etykiety, ale najwyraźniej gospodarz domu pozwolił mu tutaj coś szybko powiedzieć, nim go dowiozą do własnej kancelarii.

Dzisiejsza niecierpliwa reakcja Żarnowskiej i jej ludzi - o której dowiedział się dosłownie przed chwilą - musiała go wyprowadzić z równowagi. Głos ma jak zwykle mocny, ale tym razem wyraźnie drżący. Przekrzywił mu się amarantowy krawat, tak starannie dobrany do marynarki przez żonę.

- Na wszystkie państwa pytania postaram się odpowiedzieć możliwie jak najprędzej w siedzibie Rady Ministrów. Rozumiem wasze nadzwyczajne zniecierpliwienie i podzielałam zaniepokojenie zaistniałą sytuacją. Będę przekazywał państwu informacje sukcesywnie i osobiście... Proszę? Tak, pan sekretarz stanu Maurycy Osmołowski jest od dzisiaj na urlopie, dlatego sam podejmę się rozmowy z wami na tyle... na ile potrafię.

Krzywy uśmiech. Miał być jak zwykle czarujący, miał być to jeden z tych fantastycznych uśmiechów zapewniających od lat głosy żeńskiego i gejowskiego elektoratu... ale nie wyszło. Prezes Rady Ministrów ma w tej chwili ochotę kogoś kopnąć tak, żeby zabolalo.

Rozognieni dziennikarze napierają w jego kierunku, pokrzykując i popychając jeden drugiego. Czterej umięśnieni panowie z obstawy musieli się złapać za ręce, by powstrzymać cizbę. Szef rządu wie już, że nie powinien wdawać się w takie improwizowane pogaduchy, jednak chce powiedzieć coś mocnego pod adresem Żarnowskiej. Coś, co zapadnie wszystkim w pamięć. Jeden z młodszych reporterów - brodaty, z plecakiem i w wąskich okularach na nosie - spychany właśnie na bok potężnym ramieniem ochroniarza, zadaje odpowiednie pytanie:

- Co nam pan premier powie o rozwiązaniu paktu koalicji?!

- Pani pierwsza współprzewodnicząca Żarnowska... - cztery wypowiedziane powoli słowa ociekają jadem -...ogłaszając tak zwane ultimatum, niejednokrotnie mówiła państwu o jego powodach. I o dwutygodniowym terminie. Obecnie wiele na to wskazuje, że ów termin, jeśli chodzi o ujęcie wszystkich wiadomych nam sprawców tragicznych zdarzeń, został dotrzymany. I właśnie w takim momencie nasi koalicyjni partnerzy...

-...wbijają nóż w plecy!

- To pan powiedział. Ja chcę poinformować państwa o czymś, czego, jak słyszałem przed chwilą, pani pierwsza współprzewodnicząca nie powiedziała. Otóż złożono nam... mnie... jednoznaczny propozycję. Ultimatum będzie cofnięte, jeżeli pewna pula resortów zostanie przesunięta w gestię naszego koalicyjanta. I tę transakcję - chciałem powiedzieć, ofertę - po raz pierwszy przedstawiono mi na pogrzebie pana ministra Kunickiego. W takich

właśnie okolicznościach. I ja ją jednoznacznie odrzuciłem!

Ochroniarze torują szefowi drogę do wyjścia. Kampania wyborcza właśnie się zaczęła.

* *
*

Sławomir Drehner już o dziewiątej rano zrozumiał, że stoi sam na cienkim lodzie. Ktoś zlikwidował e-mailową skrzynkę kontaktową. W tej sytuacji rozważył natychmiastowy lot do Stambułu, Kijowa albo Larnaki, nawet sprawdził w rezerwacji online, czy dałoby się zaraz wsiąść na pokład - okazało się, że owszem, można.

Odrzucił jednak ten pomysł. Wiedział, że go obserwują, a jeśli jeszcze nie zwijają, to tylko dlatego, aby zobaczyć, co zrobi. Nie pozwoliliby mu odlecieć. Zatłoczone lotnisko, kajdanki na rękach, kamery przed nosem - tego nie chce.

Wyjeżdżając z domu w Białogórze, zrobił koło przez las - najpierw Uzdowską, a potem z powrotem, aż do Żyrardowskiej i Zegarynki. Lexus z niemałym trudem przebił się przez grube śniegi. Bezpośrednio za nim nie jechali. To pewne. Są przecież bardziej finezyjne metody. A na takie trzeba odpowiedzieć w sposób możliwie prosty. Wybrał tunel pod placem Zamkowym. Wjechał, zwolnił, włączył awaryjne światła, zatrzymał się, wysiadł. Przeklinany przez hamujących i wymijających przeszkodę kierowców, boleśnie potrącony lusterkiem w biodro, przeszedł na przeciwległy pas. Wyciągnął portfel. Zastąpił drogę niemłodej, tęgiej kobiecie w dwudrzwiowym citroënie. Wybrał auto intuicyjnie - i trafił doskonale. Sześćdziesięcioletnia z wyglądu grubaska o wielkim biuście zahamowała bez grymasu wściekłości na twarzy. Była tylko zdziwiona. Gdy wskoczył do jej wozu, przychylnie zlustrowała jego drogi, grynszpanowy garnitur wystający spod rozpiętego płaszcza od Zegny, a jeszcze bardziej spodobał jej się okazany plik stuzłotówek.

- Zapłacę pani każdą cenę za podwiezienie - powiedział.

- A dokąd tak się spieszymy? - Cycata od razu zaakceptowała fakt, że dalej pojedą razem.

- Moja mama miała wypadek, a mnie akurat zabrakło benzyny. - Drehner konsekwentnie stosował metodę „im prościej, tym lepiej”. Plus wywołanie współczucia.

Kobieta pytała, co się stało mamie i ile ma lat. Wymyślił, że osiemdziesiąt. Za trzysta złotych zawiozła go na stację w Dęblinie. Wsiadł do pierwszego pociągu w kierunku Krakowa. Znalazł miejsce przy oknie, w przedziale z dwiema panienkami, chyba studentkami. Jedna czytała książkę, druga trajkotała przez telefon, ale nie rozumiał ani jednego jej słowa. Trzej smutni goście - gdy tylko weszli, wiedział już, o co chodzi - dosiedli się w Radomiu. Jeden zajął fotel naprzeciw niego, drugi spoczął obok, trzeci pokazał obu

dziewczynkom legitymację i poprosił, by się przesiadły. Staął w drzwiach i stał tak aż do Szydłowca.

Teraz wysiadają we czterech na zaśnieżony peron. Obok żalostnego budyneczku stacji PKP czekają już dwa samochody.

* *
*

Po południu serwisy informacyjne idą w eter pod hasłami „wydanie specjalne”. Dwa tygodniki zapowiadają wypuszczenie w niedzielę nadzwyczajnych wydań, wydawcy już ustalają, kto mógłby się jutro podjąć dystrybucji, zamiast iść do kościoła. TVN organizuje coś na kształt studia wyborczego - w bombardowanym newsami open space zmieniają się tylko dyskutanci, ale temat pozostaje ten sam: kompromitacja Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, rządzącej koalicji i do tego jeszcze - mówiąc delikatnie - brzydki zapach w Pałacu Prezydenckim.

Czy sąd się pospieszył, aresztując Reinharta T. i jego grupę?

Czy były naciski na sędziów?

Kto właściwie orzekał w tej sprawie?

A kto w Polsce tworzy lobby antylupkowe? Kto się jak dotąd wypowiadał na temat wierceń - i dlaczego?

Gdzie się zaszyli mecenas Jakubowski i Wiktor Cezar?

Będzie ślub prezydentówny czy nie?

Reporterzy w siedzibie fundacji Zielone Płuca. Jakaś obdrapana buda, drzwi pozamykane na głucho, sąsiad niczego nie wie.

Reporterzy w kancelarii premiera. Szykuje się wniosek o dymisję ministra spraw wewnętrznych.

Reporterzy pod siedzibą ABW. Wiceminister Sławomir Drehner prowadzony w kajdankach!

Reporterzy pod szpitalem MSW. Maja Szalawska, autorka „lupkowego raportu”, przeszła skomplikowaną operację, ale jej życiu nie zagraża już żadne niebezpieczeństwo. Lekarze określają stan pacjentki jako poważny, lecz stabilny. Nieoficjalna wiadomość z wnętrza szpitala: operowano ranę postrzałową szyi.

Reporterzy otaczają Adama Alonga, który usiłuje przekazać wspólne oświadczenie komendanta głównego i prokuratora generalnego: nocna akcja antynarkotykowa pod Włocławkiem była przykrywką dla operacji kontrwywiadowczej przeprowadzonej wspólnie z wojskowymi. Dziennikarze nie dają doczytać tekstu do końca. Chcą najpierw wiedzieć, kto kazał Alongowi i pozostałym kłamać w sprawie rzekomego wypadku drogowego

Szaławskiej. Rzecznik ucieka przed goniącymi go kamerami. Od tej chwili wszelkich informacji na wiadomy temat będzie udzielał tylko i wyłącznie szef biura Prokuratury Generalnej. Ten się jeszcze nie dał przyłapać na kłamstwie.

Reporterzy rozmawiają z ekssekatorem Ignacym Zasunim w Lublinie. Staruszek cieszy się, że wreszcie „prawda o tych strasznych ludziach i ich knowaniach ujrzała światło dzienne”. Prawie płacze do kamery. Mówi o swojej skrzywdzonej córce.

Reporterzy z wizytą w siedzibie „Wyborczej”. Krzak i Taczalski na niebieskich fotelach przy niskim stoliku. Obaj podenerwowani i jednocześnie skupieni. Mówią, że w ciągu ostatnich godzin dostali kilka sensacyjnych wiadomości, których treść sprawdzają.

- Może zdradzą panowie jedną choćby informację...?

- Służby specjalne mają w rękach członka Kopuły. Wiemy, że ten człowiek, ujęty w trakcie tak zwanej operacji kontrwywiadowczej, był trzymany pod kluczem w Warszawie. Teraz został gdzieś wywieziony. To prawdopodobnie obcokrajowiec, ale mówi po polsku.

36.

Niedziela, 21 marca, południe

Wiosna przyszła do Warszawy dokładnie wedle astronomicznego kalendarza. Jeszcze wczoraj temperatura oscylowała wokół zera, a z gęstych chmur na zmęczone ciężką zimą ulice wylewał się lodowaty deszcz. Dziś od rana jest słonecznie, biało-obłoczkowato i niewiarygodnie ciepło. Skok o ponad piętnaście stopni! W koronach wysokich drzew na rogu Francuskiej i Obrońców hałasują ptaki. Powietrze poprzątkane jest rozgrzаныmi prądami, pomiędzy którymi unoszą się nowe zapachy. Parują trawniki, wysychają ostatnie kałuże. Na metalowym płocie, w wąskim pasie słońca przelazającego między budynkami, wygrzewa się rudo-brązowy, tłusty kot.

Mają grzebie małym widelcem i fikuśnie wygiętym nożem w gryczanym naleśniku. Ciasto jest niesmaczne, nadzienie - suche, a poza tym ona nie ma już apetytu. W wełnianym swetrze uzupełnionym wielkim, poczwórnie zawiniętym szalem jest jej za ciepło, lecz nie chce rozplątywać zawoju. Woli pocierpieć i oszczędzić Robertowi widoku swej zoperowanej szyi. Trzeba było zamówić lody, a nie naleśnika. Odkłada sztućce.

- Był moment, gdy sama się zastanawiałam czy papa w tym aby nie siedzi. Ale on zwyczajnie przewidział, że tutaj będzie machlojka, i bał się, bym w to nie weszła na swoje nieszczęście. To jego własne określenie. Zjadł zęby na polityce. Dopiero później mi powiedział... Oni mają taki wewnętrzny, internetowy biuletyn dla dyplomatów, jeszcze mu to

ciągle przysyłają, więc wiedział, kto się tym zajmuje z poszczególnych... powiedzmy, stron. A ty byłeś dla niego wyłącznie koleś, który wmieszał mnie w cudzą awanturę. Do tego dziennikarz... - Uśmiech przemyka po czerwonych ustach jak słoneczny refleks. A może to rzeczywiście odblask z jakiejś szyby? -...a dziennikarze chcą przecież tylko kasy albo sławy. Zawsze. Innej opcji nie ma.

Chwila ciszy.

- Kiedy odzyskałam głos, pierwsze, co papie powiedziałam... no, może drugie... powiedziałam mu, co się stało. Że poszedłeś pod wodę, żeby mnie ratować...

- Widziałas go wtedy?

- Nie widziałam.

- A tamtych?

- Poczułam cokolwiek, dopiero jak mnie zabrali do helikoptera. Robert... ja... próbowałam coś ci podać, rękę może... ale nie było szans. Byłam sztywna z bólu i sparaliżowana od tego wszystkiego. Do teraz mam ledwo przebłyski. Niby mocne, a rozszarpane... To, co zrobiliście z Taczalskim... ja nie wiem... Oni nam jednak pomogli. Wyciągnęli cię z wody, zabrali mnie do szpitala, a teraz muszą przez ciebie...

- Beknąć za swoje kręactwa. Machlojki.

- Wiesz, co mi papa powiedział? „Gdyyyyybyyyyś wiiiiedziaaaaa, córciaaa, ile taaakich spraw wcześniej przykryyytooo...”.

- To na pewno. Wiesz, że ja już nawet w domu, w Toruniu, skasowałam tekst cały, ale wpienił mnie taki telewizyjny śmieć jeden... Zapatoczny. Widziałem, jak Taczalskiego masakruje na zimno przed kamerą. Mnie też parę razy powieźli w ten sposób, kiedy się jeszcze uganiałem za różnymi sprawami. To był impuls. Poza tym miałem czterdzieści stopni gorączki.

- Przejdźmy się. Nie chcę już jeść. - Maja wyciąga z torebki na pasku beżową portmonetkę. Robert dopija latte. Pozwala jej za siebie zapłacić.

Idą, rozmawiając, ulicą Obrońców, a potem Dąbrowiecką. Mijają stare domy, wielkie jodły i zaparkowane wzdłuż chodnika najnowsze samochody. Stara toyota Majki stoi przy niewysokim parkanie porośniętym gęstymi pnączami jeżyn, które jakimś cudem przetrwały tę podłą zimę w stanie zielonym.

- Możesz powiedzieć ojcu, że przeprosiny zostały przyjęte. Jeżeli to ma dla niego znaczenie.

Robert kładzie jej rękę na ramieniu i chce lekko, pożegnalnie pocałować w policzek, ale Maja wspina się na palce, przyciąga go oburącz w biodrach i przyciska usta do ust.

To nie jest lekki pocałunek. A już na pewno nie pożegnalny.

Większość miejsc opisanych w tej książce istnieje faktycznie, nieliczne, takie jak odcinek autostrady Toruń - Stryków, tylko w wyobraźni autora. Zbieżność opisanych postaci i organizacji z realnie istniejącymi jest przypadkowa.